

PATRICIA

SHAW

ZATOKA ORCHIDEI

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdy w pogodny słoneczny poranek zagłowiec „City of Liverpool” wpłynął na wody zatoki, znużonych pasażerów i załogę powitała oślepiająca biel latarni morskiej na przylądku Moreton; na jej widok wszyscy odczuli wdzięczność. Zostawili za sobą niebezpieczeństwa wielkiego oceanu, trwający pełnych pięć tygodni rejs dobiegał końca.

Ostrzeżono ich wprawdzie, że zatoka bywa burzliwa, dzisiaj jednak pogoda im sprzyjała. Kiedy statek minął wyspę Stradbroke i skierował się ku stałemu lądowi, po bezchmurnym błękitnym niebie przesuwały się majestatycznie pelikany, smukłe delfiny przecinały czyste wody, jakby rzucając wyzwanie statkowi, kto wcześniej dopłynie do ujścia rzeki Brisbane.

Dwie młode damy w ciemnych czepkach i pelerynach stały przy zatłoczonym relingu na skromnej części pokładu wyznaczonej dla pasażerów drugiej klasy, ciekawie obserwując otoczenie.

— To już niedługo. — Emilie z entuzjazmem w głosie zwróciła się do siostry.

— Dzięki Bogu. Nie mogę się doczekać, kiedy zejść z tego okropnego statku.

Minęli kilka wysp. Emilie zajrzała do swego notatnika.

— Piszą tu, że jedna z tych wysp nosi nazwę Świętej Heleny i jest więzieniem. Jakie to dziwne. A ta druga to pewnie leprozorium. Cóż to musi być za przerażające miejsce, Ruth.

— Straszne, choć przypuszczam, że ci biedni ludzie mogliby gorzej trafić. Te wyspy sprawiają miłe wrażenie.

Na pokładzie zaczął się ruch, pasażerowie wynosili bagaże z kajut, rodziny i przyjaciele zbierali się, by pogawędzić na

pożegnanie i omówić plany na przyszłość. Tylko siostry Tissington pozostały na uboczu. Miały zamiar znaleźć zatrudnienie jako guwernantki w Brisbane lub okolicy i zgodnie ze swym powołaniem uznały, że powinny jak najwięcej dowiedzieć się o nowym kraju. Obie prowadziły dzienniki podróży i czytały o Australii wszystko, co mogły znaleźć, teraz wszakże zyskały okazję, by naocznie poszerzyć swoją wiedzę, dlatego pilnie spisywały uwagi z rejsu rzeką, sporo miejsca poświęcając niezwykłej roślinności porastającej błotniste brzegi.

Choć jednak sprawiały wrażenie wyrafinowanych, w gruncie rzeczy żadna nie wzniosła się ponad dziecinne wypatrywanie wśród krzewów sławnych kangurów i koali, na nieszczęście jednak żaden torbacznik nie wyściubił jeszcze nosa z zarośli, za to ptaków było mnóstwo. Pośród namorzynów rosnących na wybrzeżu Ruth rozpoznała dumne eukaliptusy górujące nad buszem, w którym płonęły jaskrawoczerwone kwiaty, najwyraźniej źródło nektaru dla tysięcy wielobarwnych skrzeczących i ćwierkających ptaków.

Emilie była zauroczona.

— Popatrz tylko na te papugi! Czy nie są wspaniałe?

— Wydaje mi się, że to lorysy. Doskonały temat do twoich akwareli.

I znowu pograżyły się w rozmyślaniach, wpatrzone w obcy krajobraz. Ruth wbrew woli powróciła do łańcucha niefortunnnych wypadków, które zmusiły je do wyjazdu za granicę w poszukiwaniu uczciwego życia. Gdyby nie zdobyły poparcia Towarzystwa Emigracji Dam z Klasy Średniej, żyłyby teraz w Londynie w skrajnej nędzy, bez zajęcia, zrozpaczone. Płakała po matce. Alice Tissington przewróciłaby się w grobie, gdyby wiedziała, jakie udreki stały się udziałem córek po jej śmierci. Jako kobieta wykształcona, której ojcem był filozof i matematyk, dopilnowała, żeby Ruth i Emilie poza wiedzą nabytą w wiejskiej szkole w Brackhamie pobierały też lekcje z dziedziny sztuki.

Trzy lata... trzy wieki temu, dumiała Ruth, owdowiały ojciec powtórnie się ożenił. Nieśmiałe dziewczęta serdecznie powitały macochę, szybko jednak się przekonały, że tej kobiecie przeszkadza ich obecność w skromnym domu. W wiosce dowiedziały się, że macocha na prawo i lewo plotkuje o pasierbicach, opowiada, że obie są leniwe i do niczego się nie nadają, że to dwie pączkujące stare panny, stanowiące ciężar dla ich drogiego ojca.

Dwudziestotrzyletnia Ruth była wstrząśnięta i zażenowana. Na swój cichy sposób przypomniła nowej pani Tissington, że ma udział w utrzymaniu domu, oddając pieniądze, które zarabia jako nauczycielka muzyki, a Emilie, choć dopiero skończyła dziewiętnaście lat, już udziela prywatnych lekcji francuskiego i sztuki.

— To kolejny problem — odpaliła kobieta. — Nie pozwolę, żeby mój dom zmienił się w szkołę, w której drzwi się nie zamykają. Udzielajcie lekcji gdzie indziej.

Ruth pożaliła się ojcu, ten wszakże stwierdził, że żona ma prawo do takich żądań.

— Jak może przyjmować gości w salonie — zirytował się William Tissington — skoro twoi uczniowie w tym samym czasie brzdąkają tam na pianinie? Poza tym biedactwo cierpi na ciągłe bóle głowy od tego nieustannego zamętu.

Konflikty pomiędzy kobietami przybierały na sile. Emilie gwałtownie sprzeciwiała się ciągłym zrządzeniom macochy, podczas gdy Ruth wolała rozwiązywać problemy w sposób godny dobrze urodzonej damy, nic to jednak nie dawało. Siostry były naiwne, nie rozumiały, że żona ma nad nimi przewagę, tak długo może podkopywać ich pozycję, aż fundamenty staną się bardzo kruche.

Kiedy Emilie oznajmiła, że zaprosiła przyjaciół na kolejny wieczorek muzyczny, pani Tissington odmówiła zgody.

— Mówię ci o tym z uprzejmości — rzuciła gniewnie Emilie. — Nasze wieczorki muzyczne cieszą się wielkim uznaniem w wiosce, zawsze tak było. Ruth i ja mamy prawo do życia towarzyskiego. Nie potrzebujemy twojej zgody na zaproszenie kilku przyjaciół. To jest także nasz dom.

— Zajmę się tym. Porozmawiam z panem Tissingtonem.

— Proszę bardzo!

Decyzja ojca wciąż bolała.

— Nie mogę znieść tych ciągłych kłótni. Ta dama jest moja żoną, też nie powinna tego znosić. Zrobiła dla was co w jej mocy, ale wy najwyraźniej nie doceniacie jej dobrej woli. Będzie lepiej, jeśli znajdziecie sobie inne mieszkanie.

Kiedy początkowy szok minął, siostry zgodziły się, że przeprowadzka w końcu nie jest takim złym pomysłem. Przyjemniej będzie mieć własny dom, niezależność i cudowną wolność od tej strasznej kobiety. Postanowiły jednak, że nie zostaną w wiosce, ponieważ wkrótce wszyscy by się dowiedzieli, że wyrzucono je

z własnego domu. Żadna nie miała ochoty cierpieć takiego upokorzenia. Lepiej od razu jechać do Londynu, gdzie znają kilka osób i gdzie jest o wiele więcej okazji do zatrudnienia się w charakterze guwernantek albo dziennych nauczycielek.

Tissington dał Ruth dwadzieścia funtów na początek i obiecał finansowe wsparcie w przyszłości, choć przyrzeczenia nie dotrzymał. Załatwił także wóz do przewiezienia kufrów i mebli do Londynu. Jego żona nie omieszkała podkreślić, że meble oddała dziewczętom z dobrego serca.

Patrząc na to z perspektywy, Ruth wiedziała teraz, jak niemądrze z jej strony było oczekiwać, że po przyjeździe do Londynu znajdzie odpowiednie zatrudnienie dysponując jedynie osobistymi referencjami. Od pracodawców i agentów ciągle słyszały, że brak im doświadczenia.

Przełknęła łzy. Cóż jednak innego mogły zrobić? Ojciec je porzucił, fundusze topniały. Zdołały tu i tam zarobić kilka szylingów, pracując dorywczo w bibliotekach, przepisując listy w biurach, pilnując dzieci pod nieobecność opiekunek i podejmując inne nieważne zajęcia, ale ogarnęła je rozpacz. Sprzedały książki i wszystkie sprzęty, bez których mogły się obejść, przeprowadziły się do ponurej sutereny i wieczorami siedziały głodne w ciemności, żeby nie marnować świec. Tymczasem wszystkie błagania o pomoc, jakie kierowały do ojca, pozostawały bez odpowiedzi.

To Emilie usłyszała o Towarzystwie Emigracji Dam z Klasy Średniej, Emilie udała się do nich i natrafiła na pierwszy przychylny znak fortuny, która od tak długiego czasu ignorowała dziewczęta. Jedna z członkiń sprawdzających podania znała ich zmarłą matkę. Zmartwiło ją, że córki przyjaciółki znalazły się w okropnym położeniu, i niezwłocznie zarekomendowała je do programu emigracyjnego. Wkrótce też uznano je za idealne kandydatki do posady guwernantki w Queenslandzie, dokąd podróżować miały pod auspicjami Towarzystwa, zaproponowano im również pożyczkę w wysokości dwustu funtów na pokrycie kosztów rejsu i utrzymania. Dziewczęta nie posiadały się z radości. Nie tylko w ostatniej chwili uniknęły nędzy, lecz dowiedziały się też, że jako guwernantki w koloniach zarobią co najmniej sto funtów rocznie. Okazało się jednak, że pozostała jeszcze jedna przeszkoda. Musiały przedstawić żyranta; gdyby nie były w stanie spłacić pożyczki w ciągu trzech lat, żyrant przejąłby to zobowiązanie.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Co poczniemy? — lamentowała Emilie. — Kto podżyruje taką ogromną sumę?

— Ojciec.

— Co takiego? W żadnym razie! Nie zwróciłabym się do niego o pomoc, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

— Musimy spróbować — powiedziała Ruth ponuro. — Nie-wykluczone, że nasze życie od tego zależy.

— Nie odpowie.

— Może jednak odpowie. Nie rozumiesz? Jeśli się dowie, że opuszczamy kraj i Towarzystwo zapewniło nam pracę w koloniach, będzie miał pewność, że się nas pozbędzie. Żadnych kolejnych listów z żebraniem o pieniądze. Same będziemy mogły spłacić pożyczkę, mamy na to trzy lata. On nie ma nic do stracenia. Jestem przekonana, że napisze gwarancję. Tyle może dla nas zrobić.

. Emilie w końcu zgodziła się, że poproszą ojca, choć na wypadek odmowy przygotowała inny plan.

— Doskonale, napisz do niego, Ruth. Ale jeśli odmówi, sama napiszę gwarancję i sfałszuję jego podpis.

— O mój Boże! Nie zrobiłabyś tego!

— Ależ tak. Zanimby się dowiedział, nas nie byłoby już w kraju.

William Tissington spełnił prośbę, za co córki też nim pogardzały.

Teraz Emilie szturchnęła siostrę.

— Grosik za twoje myśli.

Ruth uśmiechnęła się słabo, porzucając przeszłość.

— Mam nadzieję, że posady nie rozdzielią nas zanadto. Powiadają, że odległości tutaj są ogromne, a podróże kosztowne.

— Rozchmurz się. Niewykluczone, że będziemy pracować u sąsiadów. Sądząc po zabudowaniach, chyba zbliżamy się do przedmieścia.

Nieważne, jak się starała, Ruth nie potrafiła dorównać siostrze w entuzjazmie dla tej przygody. Zgodziła się na wyjazd tylko dlatego, że nie miały innego wyjścia. Kiedy wszakże statek przybił do portu w Brisbane, odczuła ulgę. Miasto sprawiało przyjemne wrażenie ze swymi niskimi białymi budynkami i widocznymi w oddali wzgórzami.

Niektóre z wydatków poniesionych na pokładzie „City of Liverpool” dotyczyły codziennego życia na statku. Siostry zdołały wynająć dla siebie połowę kajuty, w drugiej, oddzielonej zasłoną, mieszkały dwie hałaśliwe kobiety. Kupiły materace na koje, a także latarnię, kubeł i inne niezbędne przedmioty. Z drugiej strony zaoszczędziły, zabierając własną pościel, naczynia, lampy i świece. Rzeczy te nie będą im potrzebne na stałym lądzie, skoro obie mają zamieszkać u pracodawców, tak więc Emilie uzgodniła sprzedaż wszystkiego z drugim oficerem. On z kolei miał sprzedać to pasażerom w kolejnym rejsie, bez wątpienia z zyskiem.

Ruth czekała na siostrę w kajucie pilnując, żeby żadna część dobytku nie opuściła statku w rękach współlokatorek, które bardzo lubiły pożyczać, za to nigdy nic nie oddawały. Skorzystała z okazji, by dokończyć list do Jane Lewin, dyrektorki Towarzystwa. Dziękowała w nim za dobroć, jakiej ze strony Towarzystwa doświadczyły, obiecywała zwrócić dług tak szybko, jak będzie to możliwe, i opisywała rejs, który od początku do końca był jedną udręką. Zaznaczyła wyraźnie, że dam nie powinno się lokować w drugiej klasie.

Przez wiele miesięcy zmuszone były znosić towarzystwo ludzi niewłaściwych, gburowatych i nieokrzesanych. Ruth opisywała współpasażerów jako osoby najbardziej wulgarnych, które w sposób skandaliczny odnosiły się do jedynych dwóch dam w ich gronie. Informowała o tym bez skrępowań, ponieważ panna Lewin wyraźnie oznajmiła, że oczekuje od guwernantek wyczerpujących relacji.

Kiedy wróciła Emilie narzekając, że z drugiego oficera udało jej się wycisnąć tylko dwa funty, Ruth zalała się rumieńcem.

— Cóż, to musi wystarczyć. Nie możemy się targować.

— Ja się targowałam. Chciał mi dać tylko funta. Możemy już iść, steward wyniesie nasze kufry. Jesteśmy tutaj, Ruth, zdajesz sobie z tego sprawę? Przyjechałyśmy na drugi koniec świata. Czy to nie cudowne? Nie mogę się już doczekać, kiedy zacznę odkrywać ten kraj.

— Ja nie mogę się doczekać smaku świeżego jedzenia — odparła siostra sucho.

Wbrew nadziejom nikt na dziewczęta nie czekał. Stały samotnie na nabrzeżu w niemiłosiernym upale, wypatrując agenta albo

## ZATOKA ORCHIDEI

w najgorszym razie jakiegoś gońca z Towarzystwa, nikt się jednak nie pojawił, nikt na statku nie rozpytywał o nie. Kiedy popołudniowe cienie zaczęły się wydłużać, nie pozostało im nic innego, jak zwrócić się o radę do kapitana, który polecił im pensjonat na Adelaide Street.

— Lepiej zostańcie tam na wieczór, moje panie, żebym wiedział, gdzie jesteście, kiedy wasi spóźnieni przyjaciele będą was szukać. Rano znowu zaświeci słońce i wszystko dobrze się ułoży.

Wezwał powóz, którym pojechały do pensjonatu o dziwacznej nazwie Belleview. Cieszyły się krótką przejażdżką, dopóki nie usłyszały, że kosztowała je trzy szylingi oraz trzy pensy za transport waliz.

— Powinnyśmy były się przejść — szepnęła Ruth.

— Nie, bo mogłybyśmy już nigdy nie zobaczyć naszych kufrow.

W pensjonacie powitała je gospodyni, niejaka pani Mediów, która oznajmiła, że koszt wynajmu oraz pełnego wyżywienia wynosi cztery szylingi i sześć pensów za dzień albo gwineę za tydzień. Siostry wybrały pierwszą ewentualność, bo jak wyjaśniły, nie są pewne swoich dalszych planów, po czym gospodyni zaprowadziła je do wielkiego pokoju na parterze.

Pokój z pojedynczymi łózkami i nieskazitelnie czystą pościelą wydał się pannom Tissington darem zesłanym z nieba, zachowały jednak spokój, by gospodyni nie domyśliła się, że niedawno opuściły drugą klasę.

— Kolacja o szóstej. Zaraz usłyszycie gong — powiedziała pani Mediów, po czym zostawiła je same.

— Boże wielki! Prawdziwe łóżka! — zawołała Emilie.  
— Prywatność. Czystość jest druga po boskości, to pewne. Nic nie śmierdzi ani nie cuchnie. — Odsunęła białą kapę z łóżka.  
— Dotknij pościeli, Ruth. Jest miękka i pachnąca, a nie sztywna od soli. Może zostanie tu na zawsze.

Ruth wybuchnęła śmiechem.

— Ja natomiast czuję zapach gotowania. Musimy szybko się przebrać, zanim zemdleję z głodu.

Panny Tissington, stosownie odziane w suknie z czarnej tafty i maleńkie toczki na gładko przyczesanych włosach, wprowadzono do jadalni i usadzono przy stoliku w rogu pod ciekawskimi spojrzeniami innych stołowników.



— Dobry wieczór, szanowne panie — odezwał się starszy dżentelmen, który siedział samotnie nieopodal. — Zeszłyście ze statku, co?

Nienawykła do tak bezpośredniego traktowania ze strony nieznanego Emilie zdołała tylko kiwnąć głową, Ruth natomiast sięgnęła po serwetkę, wstrząśnięta tą zuchwałością. Na kolację wszystkim podano to samo, ale potrawy były wyśmienite: pożywny rosół, pieczone jagnię z bukietem świeżych warzyw i pudding cytrynowy. Dziewczęta jadły z całą delikatnością, na jaką mogły się zdobyć, z ociąganiem zostawiając małe porcje, by uczynić zadość dobrym manierom.

Kelnerka powiedziała, że kawę podadzą w salonie, obie jednak grzecznie odmówiły. Nagle poczuły się bardzo zmęczone, trudy długiego wyczerpującego rejsu dawały o sobie znać.

— Cieszę się, że nikt po nas nie wyszedł — westchnęła Emilie zamykając za sobą drzwi pokoju. — Dla nas to o wiele lepiej, mamy czas, by dojść do siebie.

Zanim się położyły, uklękły do modlitwy. Ledwie jednak podziękowały Bogu za szczęśliwe doprowadzenie ich na stały ląd, górę wzięto zmęczenie. Po kilku minutach obie głęboko spały, ciesząc się spokojem i wygodami prostego pokoju w pensjonacie.

Julius Penn, agent do spraw zatrudnienia, rozjaśnił się na widok długiej kolejki kobiet czekających przed jego biurem przy Ann Street. Kilka stałych bywalczyń pozdrowił po imieniu.

— Znowu tu jesteś, Dulcie? — zwrócił się do blondynki otwierając drzwi kluczem. — Co tym razem poszło nie tak?

— Ano to, że mi nie zapłacili. Przez dwa tygodnie dla nich gotowałam, a oni tylko źle mnie traktowali i kazali czekać na pieniądze. Pytam, jak mam zapłacić czynsz?

— Dobrze, dobrze, skreślę ich z księgi. Znajdziemy coś innego.

— Widzi mi się, że powinieneś wykreślić połowę nazwisk z tej twojej księgi — warknęła Dulcie, ale Julius tylko spojrzął na zegar wiszący na ścianie biura i zamknął drzwi zostawiając ją na dworze, żeby mogła porównać swoje przykre doświadczenia z doświadczeniami innych poszukujących pracy kobiet. Miał jeszcze dziesięć minut do pory otwarcia biura.

Na jednym drewnianym wieszaku powiesił kapelusz i laskę, na drugim marynarkę, po czym w samej koszuli usiadł za

## ZATOKA ORCHIDEI

biurkiem. Zapalając cheroota powiódł wzrokiem po rzędach pustych siedzeń przed sobą i pokręcił głową. Dulcie miała rację: połowa pracodawców z jego ksiąg gotowa była na wszystko, byle tylko nie płacić służącym. Z drugiej strony połowa kobiet, które do nich Wysyłał, nic nie potrafiła robić dobrze, więc wet za wet. Julius po prostu przenosił je z miejsca na miejsca, od każdego pracodawcy i każdej zatrudnionej pobierając po szylingu. Zaskakujące, jak te szylingi ładnie się do siebie dodawały. Julius, obecnie po pięćdziesiątce, zastanawiał się, dlaczego wiele lat wcześniej nie pomyślał o takiej posiadzie. Miał ciężkie życie, często narzekał, nic nigdy nie wychodziło tak, jak powinno, chociaż podejmował wiele różnych prac, od biurowej począwszy, na wyprawach w busz w charakterze komiwojażera skończywszy. Miał też wiele wspianiałych planów, gwarantujących natychmiastowe zabicie fortuny, ale zawsze ponosił porażkę. Weźmy dla przykładu piwo bezalkoholowe. Wciąż nie pojmował, gdzie popełnił błąd. Towarzystwo Trzeźwości doprowadziło do wyrzucenia go z Parramatty, kiedy kilka pań upiło się w sztok jego piwem.

Westchnął i zaciągnął się cherootem. Tę posadę znalazł przez czysty przypadek. Przyjechał do Brisbane, żeby uciec przed długami w Sydney, i ruszył na poszukiwanie agenta do spraw zatrudnienia. Zaraz też się przekonał, że w tym mieście nikogo takiego nie ma. W ciągu kilku dni Julius zorganizował biuro. W środku ustawił swoje biurko, naprzeciw niego rząd krzesel dla szukających pracy, a za sobą zniszczony chiński parawan, zapewniający dyskrecję pełnym nadziei pracodawcom, dla których przeznaczył wygodniejsze sofy. Potem to już była tylko kwestia znajomości tematu, jak wyjaśnił właścicielowi pubu tuż obok, który przysyłał mu chętnych w zamian za stawaną od czasu do czasu do czasu brandy. Julius zamieścił kilka ogłoszeń w „Brisbane Courierze”, później nie było takiej potrzeby. Przekazywana z ust do ust wieść zrobiła swoje. Wszyscy narzekali na jego opłaty, on jednak swym najlepszym bankierskim tonem wyjaśniał, że są nieuniknione. Cokolwiek miało to znaczyć.

Zegar wybił ósmą i ta przeklęta Dulcie zaczęła walić w drzwi, krzyknął więc, żeby weszła. Sam usiadł za biurkiem, kciuki zatknął za szelki i patrzył na lawinę kobiet, które zalały jego biuro.

— Jestem pierwsza! — wrzasnęła Dulcie zajmując samotne krzesło przed biurkiem. Pozostałe chwilę gdakały, później ucichły, jak kwoki po zapadnięciu zmierzchu w kurniku.

— Zobaczmy. — Julius kartkował swój schludnie prowadzony rejestr pracodawców. — Możesz się zgłosić do Ship Inn. Potrzebują tam kucharki.

— Tam na pewno nie pójde. Ten drań od pierwszego dnia zaczyna bić.

— W tej chwili nic innego dla kucharki nie mam. Chyba że jesteś gotowa jechać w busz.

— Prędzej mnie piekło pochłonie. Większość z tamtejszych ludzi ma dwie głowy.

— Te wiejskie osady nie są takie złe. Dostaję mnóstwo listów od mieszkańców, rozpaczliwie poszukują siu... pracowników. — Julius musiał zważać na słowa. W rozmowach z pracodawcami zawsze mówił o „służących”, ale po dziesięciu miesiącach spędzonych w tym biznesie wiedział, że lepiej nie używać tego słowa w obecności interesantek. Kucharki były kucharkami, pokojówki pokojówkami, a nawet domowymi, wszystkie jednak burzyły się przeciwko nazywaniu ich służącymi. Te ślicznotki uważały, że to za bardzo zbliżone do „sługusa”. Prawdę mówiąc, wyraz ten działał na nie jak czerwona płachta na byka.

— Jakie osady?

— Toowoomba, Maryborough.

— Nie. Na razie zostanę tutaj.

— Mam wolne miejsce dla pokojówki w hotelu Victoria.

— Nie jestem żadną cholerną pokojówką, tylko kucharką. Ile razy mam ci to powtarzać, Juliusie?

— Doskonale, tylko że w tej chwili nie mam żadnych ofert. Zostań jakiś czas na obecnej posadzie.

— Bez grosza zapłaty, podczas gdy ona podejmuje wyższe sfery homarami, ostrygami i szampanem, jakby była rosyjską carycą?

Julius doskonale ją rozumiał. Pani Walterowa Bateman, żona głównego inspektora celnego, była niewiastą ambitną, sławną ze swych przyjęć, która równocześnie dała się poznać służbie i kupcom jako ostatnie skąpiradło.

— Powiedz jej, że poskarżysz się komornikowi — mruknął. Dulcie wytrzeszczyła oczy.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Chryste, a to dobre. Wyleciałabym za drzwi z butem w tyłku.

— A co masz do stracenia? — uśmiechnął się Julius, gładząc swoje starannie przystrzyżone siwe wąsy. — Zawsze zwalnia ludzi, kiedy ma im zapłacić. Będzie miała spore kłopoty ze znalezieniem kogoś innego. Możesz ją ostrzec.

— Chciałabym widzieć jej minę, jak to powiem.

— Rób, co chcesz.

Dulcie otuliła ramiona różowym szydełkowym szalem i wstała.

— Nie wiem, czy tam zostanę, pamiętaj. Płaci albo nie.

Julius kiwnął głową.

— Zobaczmy. Kto następny?

Nim Dulcie zdążyła zwolnić krzesło, przed Juliušem stanęła chuda dziewczyna.

— Musi mi pan pomóc, jestem w okropnej sytuacji, rozpaczliwej...

Guwernantki z niedowierzaniem zajrzały przez okno do biura agenta.

— To nie może być tutaj. — Ruth cofnęła się zbulwersowana.

— Właśnie że tak. Ten adres podała nam panna Lewin, poza tym tutaj jest nazwisko.

— W żadnym razie tam nie wejść. Nie ulega wątpliwości, że to agencja dla służących. Nie możemy pozwolić, żeby widziano nas w takim towarzystwie.

— No dobrze, poczekaj tutaj. Może tam jest drugie biuro. Pójdę sprawdzić.

Julius rozmawiał z pulchną kobietą, która szukała posady opiekunki do dzieci. Kiwał głową radośnie, przeglądając jej referencje. Bez trudu znajdzie dla niej miejsce.

Kiedy drzwi się otworzyły, nawet nie podniósł głowy, dopiero poruszenie wśród kobiet zwróciło jego uwagę. Do biurka zbliżała się młoda kobieta emanująca pewnością siebie, śliczna młoda kobieta, bardzo kształtna, w dopasowanej granatowej sukni, którą rozjaśniał kapelusz ze wstążkami na gęstych czarnych włosach.

Biorąc ją za ewentualną pracodawczynię, Julius w sekundzie poderwał się z krzesła, by wprowadzić gościa do swojego sanktuarium.

— Czy mam przyjemność z panem Pennem?

Głos świadczył o wykształceniu i był słodki jak jego właścicielka.

— Do usług, droga pani. Proszę usiąść. Bardzo dziś gorąco. Czy mogę zaproponować pani szklanek wody?

— Nie, dziękuję, panie Penn. Obawiam się, że trafiłam pod zły adres, ale być może pan udzieli mi wskazówek. Jestem panna Tissington; Towarzystwo Emigracji Dam z Klasy Średniej kontaktowało się z panem w sprawie mojej i mojej siostry. Jesteśmy guwernantkami, których pan poszukiwał, ale najwyraźniej skierowano nas do niewłaściwej sekcji pańskiej agencji.

— Do krocset! — mruknął Julius pod nosem. Przypomniał sobie to Towarzystwo. Wiele miesięcy temu, chyba minęło już pół roku, dostał od nich list z pytaniem, czy mógłby znaleźć stosowne posady dla guwernantek z wysokimi kwalifikacjami. Odpowiedział twierdząco, pochlebiło mu, że jego sława sięgnęła Londynu. Podejrzewał, że ktoś wysłał im jego ogłoszenie. A ponieważ więcej się z nim nie kontaktowali, zupełnie o nich zapomniał.

— Droga pani, trafiła pani pod właściwy adres. Muszę przeprosić za wygląd mojego biura. Centrala mieści się w Sydney, tutaj to tylko skromna filia.

Od kobiet podróżujących po całym stanie słyszał, że były tam odrębne agencje zatrudnienia dla kobiet lepiej urodzonych, ale on nie mógł sobie pozwolić na wynajmowanie dwóch lokali. Te kilka wykształconych kobiet, które do niego przychodziły szukając posad, nie stanowiło dostatecznego uzasadnienia dla takiej ekstrawagancji, choć niewątpliwie podniosłoby to jego prestiż.

— Rozumiem. — Zupełnie nieporuszona wyjaśnieniami podała mu starannie oprawioną teczkę. — Oto list wprowadzający od Towarzystwa oraz oryginały moich referencji. Czy pan nas się spodziewał? Czy panna Lewin pisała do pana?

— To niewykлучzone, panno Tissington, tylko że od dłuższego czasu nie miałem od Towarzystwa wiadomości. Możliwe, że informacja o waszym przyjeździe wciąż znajduje się na szerokim morzu. Kiedy panie tutaj przybyły?

— Wczoraj. Byłyśmy zaniepokojone, ponieważ nikt po nas nie wyszedł, a w Londynie poinformowano nas, że w porcie będzie ktoś czekał i od razu udamy się do miejsca, gdzie nas

## ZATOKA ORCHIDEI

zatrudniono. — Jej pewność siebie wyraźnie malała. — Czy nikt nas nie oczekuje?

— Na razie nie, ale to oczywiście stan przejściowy. Rozumie pani, muszę mieć trochę czasu na zajęcie się tą sprawą.

— Moja siostra czeka na dworze. Czym mam poprosić, żeby tu przyszła? A może jest pan zbyt zajęty? Widzę, że ma pan mnóstwo interesantów.

Julius bardzo chciał sprawić przyjemność tej młodej damie, było mu jej żal, ale kolejka czekających oznaczała szylingi, jeśli uda mu się oddzielić ziarno od plew.

— A może wybiorą się panie na spacer, rozejrzą po mieście? Jestem pewny, że Brisbane wyda się paniom bardzo interesującym miejscem. O dwunastej spotkam się z paniami w małej kawiarni na końcu ulicy, gdzie będziemy mogli porozmawiać. W przyjemniejszym otoczeniu.

Jego klientka wyraźnie się uspokoiła.

— Nie mamy posad? — Ruth była przerażona. — Jesteś pewna?

— Właściwie to nie. Całkiem zbił mnie z tropu. Nie spodziewał się nas.

— Nawet jeśli się nie spodziewał, to czy ma wolne posady? Przecież zapewnił o tym Towarzystwo. Powinnaś była nalegać, żeby ci powiedział, co wtedy miał na myśli. Mogłybyśmy je omówić.

— Skoro taka jesteś mądra, dlaczego sama tam nie pójdziesz? Ja przynajmniej weszłam do środka.

— Choć niewiele z tego wyszło — prychnęła Ruth. — Będę miała sporo do powiedzenia pannie Lewin o tutejszej sytuacji. I jak śmie nam mówić, żebyśmy spokojnie czekały w tym skwarze?

— Wątpię, czy będziesz spokojna — odparła Emilie z ironicznym uśmiechem.

— Nie łap mnie za słówka.

— Nie łapię. Chodźmy poszukać poczty, to wypełni nam czas.

Poranek był upalny i duszny. Kiedy szły główną ulicą, Ruth pożałowała, że do dziennej sukni włożyła krótką pelerynkę, ale przecież nie mogła jej zdjąć i nieść przez całe miasto. Ukradkiem otarła dłonią w rękawiczkę kropelki potu spod oczu, równocześnie-

nie obserwując zawartość sklepowych witryn. Były doskonale zaopatrzone w towary wysokiej jakości, co zaskakiwało w mieście tak oddalonym od cywilizacji jak to, choć ceny były wysokie.

— Zauważyłaś, że damy tutaj noszą o wiele większe kapelusze? — zapytała Emilie. — Sądzisz, że nasze są niemodne?

— Nie. Wydaje mi się, że powodem jest słońce. Też będziemy musiały sobie takie sprawić, w przeciwnym razie grozi nam oparzenie.

Znalazły pocztę, wysłały list Ruth, po czym zwiedziły sąsiednie ulice, stanowiące handlowe centrum miasta. Kilka przecznic dalej od rzeki trafiły na rezydencje mieszkalne, zawróciły więc i ze wzgórza zeszyły inną drogą. Widok ratusza i katedry podniósł je na duchu, zgodziły się, że miasto jest obiecujące. Zwłaszcza że odnalazły też muzeum, teatr, nawet afisz zapowiadający występ Brisbane Philharmonic Society. Nieprzyzwyczajone do upału resztką sił doszły do imponującego gmachu parlamentu, który wznosił się na brzegu rzeki, otoczony przez wysokie drzewa. Do spotkania z Pennem pozostała bita godzina.

— Powinniśmy wrócić do pensjonatu i powiadomić panią Mediów, że przypuszczalnie będziemy musiały zostać jeszcze jedną noc — powiedziała Ruth.

— Nie, na razie nic jej nie mówmy. Poczekajmy, aż ten nieszczęsny pan Penn powie nam coś konkretnego. Niewykluczone, że lepiej będzie zapłacić za cały tydzień.

— Tydzień? Na pewno nie.

— Jeszcze nic nie wiemy. A stawka za noc jest wysoka.

— Nie tak wysoka jak opłata za mieszkanie, którego być może nie będziemy potrzebować.

W końcu skierowały się do pobliskiego parku, gdzie ponuro zasiały na ocienionej ławce.

Penn już czekał, kiedy weszły do kawiarni. Machając listem poprowadził je do stolika w rogu.

— I co mówiłem, drogie panie? Oto zawiadomienie od panny Lewin. Równie dobrze mogły je panie doręczyć osobiście. Jak rozumiem, oto druga panna Tissington. Cała przyjemność po mojej stronie. Nieczęsto zdarza mi się w jeden dzień poznać dwie tak czarujące damy.

Ruth zachowała spokój. Siedząc sztywno w krześle, kompletnie Penna przyjęła krótkim skłonem głowy. Jej referencje,

zwinęte w rulon i związane tasiemką, spoczywały w torebce, ale nie zamierzała pokazywać ich w miejscu publicznym.

— Czy napiją się panie herbaty? — zapytał. — Tak, herbata i smaczne rogaliki. Mają tu wyśmienite rogaliki. — Gestem dłoni przywołał kelnerkę i złożył zamówienie, po czym spojrzął na Emilie. — Muszę powiedzieć, panno Emilie... czy mogę tak się do pani zwracać? Żeby panie rozróżnić, rozumie pani. Pani referencje są bardzo dobre, wręcz doskonałe. Domniemywam, że poza czytaniem, pisaniem i arytmetyką uczy też pani muzyki, mam nadzieję, że chodzi o fortepian. W tym zakątku świata każdy porządny dom ma fortepian.

Emilie nachyliła się, by przerwać ten potok słów.

— Fortepian, tak. Obie udzielamy lekcji gry na fortepianie i śpiewu.

— Ho, ho. A także francuskiego, retoryki, tańca i rysunku.

— Nie, malowania. Moja siostra uczy rysunku.

— Oczywiście, tak. Bardzo utalentowane z was damy.

— Dziękuję, panie Penn — rzekła Ruth. — Zastanawiam się jednak, czy ma pan dla nas jakieś wiadomości.

— Jeszcze nie, dzisiaj rano byłem niezwykle zajęty.

Podczas gdy kelnerka ustawiała na stoliku naczynia z herbatą i ciastkami, Penn opisywał uroki Brisbane oraz opowiadał o rodzinach w mieście i okolicy, które siostry Tissington na pewno poznają. Usta mu się nie zamykały, dopóki Ruth znowu nie przerwała.

— Nie ma pan dla nas nic konkretnego?

— Och, na to jeszcze za wcześnie.

Przy herbacie zadał im mnóstwo pytań. Z iloma dziećmi dadzą sobie radę? W jakim wieku? Wolą miasto czy wieś? Jakiego rodzaju wynagrodzenia oczekują? Emilie cierpliwie odpowiadała, dopóki nie uświadomiła sobie, że Penn gra na zwłokę.

— Przecież otrzymał pan te informacje z Towarzystwa, czyż nie, panie Penn?

— Tak, ale to tak samo, jak usłyszeć je od konia, by tak to ująć. Chcę, żebyście były szczęśliwe, panno Tissington.

Ruth ze znużeniem patrzyła, jak agent częstuje się ostatnim rogalikiem.

— Miałymy nadzieję, że będzie pan mógł umówić nas dzisiaj po południu na rozmowy, ale jak rozumiem, nie ma pan w swoich rejestrach wolnych posad dla guwernantek?



— Chwilowo, panno Tissington. Co wcale nie znaczy, że nie będę miał. Skoro już znalazłyście się pomiędzy nami, wieść o tym szybko się rozejdzie. Dopilnuję, by tak się stało, i to od razu. A teraz proszę mi powiedzieć, gdzie się panie zatrzymały?

Kiedy podały adres, z aprobatą pokiwał głową.

— Doskonałe miejsce. Pani Mediów cieszy się zasłużoną renomą. Niestety, muszę was opuścić, moje panie. Obowiązki wzywają. Będę w kontakcie. Postarajcie się jak najlepiej wykorzystać te krótkie wakacje, zanim będziecie musiały podjąć pracę.

Siostry patrzyły, jak przystaje przy kontuarze, zabiera zniszczony kapelusz i spieszenie wychodzi.

— Cóż za chwalipięta — powiedziała Ruth załamana, dostrzegając zaraz zdenerwowanie siostry, która najwyraźniej doszła do tego samego wniosku. — Wydaje mi się jednak, że teraz się postara.

— A jeśli nie znajdziemy tutaj pracy, Ruth? Znowu wszystko zaczyna się od początku?

— Ależ nie, z całą pewnością nie. Widziałas jego reakcję na twoje referencje. Nie sądzę, by wiele tutejszych dam mogło się pochwalić naszymi kwalifikacjami. Ojej, muszę dać mu moje referencje. Zrobię to jutro.

Kiedy wychodziły z kawiarni, teraz zatłoczonej, zadźwięczał mały dzwonek nad drzwiami. Dogoniła je kelnerka.

— Zapomniały panie zapłacić.

— Wcale nie — zachnęła się Ruth. — Zapłacił ten dżentelmen.

— Pan Penn? On zapłacił za siebie. Nie chciał, żeby panie musiały płacić za niego. Należą się cztery szylingi.

Zakłopotane wygrzebały z kieszeni monety i szybko opuściły kawiarnię.

Tamtego popołudnia po zamknięciu biura Penn istotnie się postarał. Siostry Tissington były klientkami z klasą, na pewno znajdzie dla nich odpowiednie posady i będzie mógł zainkasować większą niż zwykle opłatę. Najpierw poszedł do baru dla dżentelmenów w hotelu Victoria, by rozpytać i rozpuścić wieść o nowo przybyłych, a chociaż wzbudził zainteresowanie samymi damami, nie znalazł dla nich zatrudnienia. Jak jednak sam powiedział, było jeszcze wcześniej. Z Victorii przeniósł się do baru w hotelu Royal, miejsca spotkań bogatych hodowców była,

niestety tu też nic nie wskórał. Niezrażony tym postanowił nazajutrz rano, czyli w sobotę, odwiedzić Turf Club; był przekonany, że będzie miał więcej szczęścia z przedstawicielami ludzi majątnych, którzy w pełnej sile zjechali do miasta na wyścigi. Przekazał wiadomość dalej.

W drodze do Belleview Emilie kupiła gazetę, zachwycona, że dowie się, co dzieje się na świecie. Składając ją zauważyła datę.

— O mój Boże, dzisiaj jest piątek! Jeśli jutro nie znajdzie dla nas pracy, będziemy musiały czekać do poniedziałku. Moim zdaniem najlepiej zrobimy, jeśli jednak poprosimy o stawkę tygodniową.

Gospodyni zgodziła się na stawkę tygodniową, do następnego piątku, co podkreśliła z naciskiem.

— Nie, do czwartku — oznajmiła Emilie stanowczo — bo przyjechałyśmy wczoraj. Oto reszta należności, z góry. — Trudne londyńskie doświadczenia nauczyły ją, że „rozliczenia” to decydująca kwestia w stosunkach z gospodyniami, a pani Mediów wcale nie była inna.

— To niezgodne z przepisami — burknęła — ale trudno. Możecie zostać w tym pokoju co teraz.

— Dziękuję.

— Spodziewacie się przedłużyć potem pobyt?

— Nie.

— Ma pani przyjaciół w Brisbane, panno Tissington?

— Naturalnie — skłamała Emilie.

Stojąca z tyłu Ruth była zszokowana.

— Dlaczego to zrobiłaś? — spytała chwilę później. — Pan Penn ją zna. Może powiedzieć jej prawdę.

Emilie wzruszyła ramionami.

— A kogo to obchodzi? Nie powinna być taka wścibska.

Tymczasem pani Mediów patrzyła, jak siostry idą korytarzem do swego pokoju, i mruknęła:

— Ale zadzierają nosa!

Przyjrzała się starannym podpisom w książce gości. Wyższa, z ciemnymi włosami miała na imię Emilie, a starsza, jaśniejsza i trochę przy kości to była Ruth. Gdyby pani Mediów miała wybierać, wolałaby Ruth, choć obie siostry jak na jej gust zbyt były zarozumiałe. Mimo to budziły w niej bezgraniczną ciekawość. Suknie miały dobrej jakości, ze spódnicami na niewielkich

krynolinach zgodnie z nową modą, ale nie nosiły żadnej biżuterii, nawet pierścionków czy kolczyków. Niektórzy z lokatorów pensjonatu myśleli, że to misjonarki, Kemp jednak wyśmiał takie przypuszczenia.

— Nie one. Za eleganckie. Po mojemu to nauczycielki.

— Mylisz się — wtrąciła jego żona. W jej wspomnieniach nauczycielki były stare, brzydkie i zaniedbane, a nie wytworne jak te dziewczęta. Już sobie uświadomiła, że musi zmniejszyć swoje ogromne krynoliny. — Moim zdaniem to damy z towarzystwa, które czekają na transport do jednej z tych wielkich bydłych farm na zachodzie, gdzie mieszkają bogacze. Musimy się z nimi zaznajomić.

Pani Kemp z radością przyjęła wiadomość, że nowo przybyłe zostają w pensjonacie. Jej męża niedawno przeniesiono do Brisbane, gdzie przyjął stanowisko komendanta policji, wyświadczać tym przysługę swojemu kuzynowi Charlesowi Lilleyowi, prokuratorowi generalnemu Queenslandu. U schyłku swej kariery Jasper Kemp wolałby pozostać w ukochanym Sydney, mieście godnym uwagi ze względu na niezwykle piękno i kontrasty, jednakże żonie dokuczał tam bardzo artretyzm i lekarze stwierdzili, że przeprowadzka w cieplejszy klimat może okazać się zbawienna. A w dodatku Lilley zaproponował mu wysokie pobory i nowy dom, wznoszony właśnie w Fortitude Valley, położonej całkiem blisko centrum miasta. Prokurator generalny miał ważne powody, by sprowadzić doświadczonego oficera policji z Nowej Południowej Walii, ponieważ jak wszyscy dobrze wiedzieli, źli chłopcy z tego stanu przekraczali granice w poszukiwaniu łatwiejszych łupów w Queenslandzie, gdzie odległości pomiędzy miastami oraz pola złotonośne utrudniały przekazywanie informacji. I gdzie istniała mniejsza szansa, że ktoś ich rozpozna.

Kemp dobrze wiedział, że czeka go ciężka praca przy wprowadzaniu prawa i porządku w nie do końca zbadanym stanie, miał bowiem do dyspozycji źle wykształconych ludzi oraz fatalnie działającą administrację, zwłaszcza od czasu wycofania oddziałów brytyjskich. Od pierwszych dni zasiedlania kolonii wojsko stanowiło główną siłę utrzymującą porządek w całym kraju, teraz wszakże nadeszła pora, by władze kolonii przejęły ten obowiązek.

Prokurator generalny zaaprobował wzmocnienie sił policyjnych, aczkolwiek nie we wszystkim zgadzał się z Kempem.

W Nowej Południowej Walii działała ustawa o aresztowaniu przestępców i Lilley zdecydowany był wprowadzić ją w Queenslandzie wbrew sprzeciwom Jaspera Kempa. Zgodnie z ustawą włóczących się po kraju traperów można uznać za wyjętych spod prawa i zastrzelić na miejscu. Kemp był przerażony. Długo i żarliwie argumentował, że taka ustawa da każdemu impulsywnemu policjantowi, a skoro o tym mowa, to i cywilowi, możliwość wzięcia prawa w swoje ręce. Jednakże komendant miał tak samo nikły wpływ na decyzje tutaj jak na południu, gdzie był jednym z wielu nadinspektorów.

W sobotni poranek stał na werandzie pensjonatu, wdychając świeże powietrze i rozważając ten problem, nim wyruszy na spotkanie z podwładnymi, kiedy pojawiły się angielskie damy. Wyszły za bramę i skierowały się w stronę miasta. Mimo że na pozór były spokojne, sprawiły na nim wrażenie czymś zatroskanych i zastanawiał się, co też to może być. Za siostrami przez frontowe drzwi wyszła jego żona, nastroszona niczym poirytowana kwoka.

— Ach, te dziewczęta! — powiedziała. — Są okropnie niegrzeczne. Zapytałam tylko, czy idą na spacer, a one kompletnie mnie zignorowały. Przeszły obok, jakbym była powietrzem. Co im zrobiłam, że tak niemiło mnie potraktowały?

— Nic, moja droga. Wydaje mi się, że coś je dręczy. Wiesz, że ludzie skłopotani bywają zamknięci w sobie.

— Pierwszy raz o tym słyszę.

— W takim razie już wiesz. Wróć na lunch. Czy masz ochotę pojechać ze mną i sprawdzić, jak posuwa się budowa domu?

— O tak. Pani Mediów też chciałyby pojechać. Bardzo ją to ciekawi.

Założę się, że tak, pomyślał Kemp. Życie w pensjonacie wcale mu nie odpowiadało, zbyt wielu ludzi dokoła, a pani Mediów należała do tych, co czepiają się człowieka jak rzep psiego ogona.

Ruth i Emilie nie zdawały sobie sprawy, że muszą poczynić poważne zmiany w swoim zachowaniu. Nie znały skłonności miejscowych ludzi do nawiązywania rozmowy z nieznanymi, nie wiedziały, że uprzejmość wymaga grzecznej odpowiedzi. Nie podobało im się wścibstwo tej kobiety, która pytała, co mają zamiar robić; wyznawane przez nich zasady kazały wyminąć ją

obojętnie. Kiedy znalazły się za bramą, całkiem o niej zapomniały.

— Wzięłaś referencje? — zapytała Emilie.

— Tak, mam je ze sobą. Tym razem usiądziemy w jego biurze i we właściwy sposób omówimy sprawy. **Poinformował** pannę Lewin, że te posady są wolne.

— Ale od tego czasu minęło kilka miesięcy.

— Mimo to jakieś miejsca wciąż mogą być wolne. Może nie znalazły się odpowiednie guwernantki. Musimy tego człowieka przyszpilić.

Tego dnia jednak nie przeprowadziły żadnej rozmowy z Pen-nem. Jego biuro było zamknięte na cztery spusty, żaluzje spuszczone.

— Dzisiaj jest sobota — westchnęła Emilie tracąc humor.

— Wygląda na to, że w weekendy nie pracuje.

— Mógł nam powiedzieć! To tylko dowodzi, jak niefrasobliwie podchodzi do swoich obowiązków. Cóż, wrócimy tu w poniedziałek z samego rana.

Słońce zakryły nisko wiszące chmury, co jednak nie zmniejszyło upału, który niczym kocem otulił miasto, zamieniając powietrze w wilgotny okład. Ruth czuła, jak między piersiami spływa jej strużka potu, i ogarnęła ją irytacja na Emilie za jej wygląd. Młodsza z dziewcząt o wiele mniej się pociła, przez co zyskiwała kolejną, acz może trywialną przewagę nad siostrą. Ruth westchnęła głośno.

— W takim razie możemy wrócić do pensjonatu.

— Nie — odparła Emilie stanowczo. Tak Ruth reagowała na każdą trudność i w Londynie, i na statku, a Emilie miała serdecznie dość ukrywania się za zamkniętymi drzwiami, odsuwania się od świata.

— Cóż innego możemy zrobić?

— Na przykład pójść na spacer.

— W tym upale? Jest tak parno, że aż dech zatyka.

— Wiem, ale musimy się do tego przyzwyczaić. Upał nie minie. W końcu tutaj jest lato.

— Niech sobie będzie, choć to nie znaczy, że musimy się głupio zachowywać. A poza tym wczoraj zwiedziliśmy miasto.

— Jeśli nie chcesz, możesz wracać. Ja mam mnóstwo czasu. Przekonam się, co oferują tutejsze przedmieścia.

— Nie możesz chodzić sama.

— Och, na litość boską, wcześniej czy później każda z nas będzie pracować w innym miejscu. Spacer na pewno mi nie zaszkodzi, a przynajmniej lepiej poznam miasto.

Emilie nie posiadała się z radości, kiedy siostra odeszła w swoją stronę. Z Ruth układało jej się doskonale, wzajemne przywiązanie dojrzało dzięki wspólnie przeżyтым przeciwnościom losu, ale prawdę mówiąc, Emilie męczyła już ta wymuszona bliskość. Od czasu do czasu wybuchały między nimi sprzeczki, choć to nie było problemem. Emilie czuła, że siostra coraz bardziej zamyka się w sobie i wlecze ją za sobą, odbiera powietrze. Ich związek porównałaby do tego dusznego upału, który dokucał jej tak samo jak Ruth, ale przecież człowiek musi się wyzwolić, pokonać go. Iść dalej. Ucieszyłaby się, gdyby dostały posady daleko od siebie, tak by każda mogła prowadzić własne życie, by nie były ze sobą związane, tak od siebie zależne. Emilie doszła do głównej ulicy; wiedziała już, że to Queen Street. Zdecydowała, że tym razem sprawdzi, co jest dalej. Przyjemnie było być samej i bez długich dyskusji móc iść, gdzie się chce.

Charles Lilley był prokuratorem generalnym, a równocześnie przedstawicielem w parlamencie dobrych ludzi z Fortitude Valley, mieszkającego nad rzeką elektoratu, który o rzut kamieniem oddalony był od bardziej uległego okręgu Brisbane. Gdy wybrano go do Stanowego Zgromadzenia Ustawodawczego, był dumny, że wyborcy z Valley mu zaufali, choć od tamtego czasu toczyć musiał nieustanną walkę o zachowanie fotela na ruchomych piaskach opinii publicznej. Jęknął, wpychając złotą spinkę w mocno nakrochmalony kołnierz, który już zaczynał mięknąć w spocnym zagłębieniu pod brodą. Fortitude Valley na początku swego istnienia była niemal królewskim przedmieściem z rezydencjami, ale główną ulicę wkrótce zajęli kupcy, którzy nie potrafili znaleźć dla siebie miejsca w handlowym centrum Brisbane. Z zalet tej okolicy skorzystali także siodlarze, powstały tu również stajnie i niewielkie fabryki; za rezydencjami zaczęły się tłoczyć domki robotników, zajmując otwarte przestrzenie. Pierwotni mieszkańcy nie ustępowali, z zazdrością strzegąc swych pięknych widoków, ożywczych powiewów od rzeki i wspaniałych figowców rosnących nad zatoką Moreton, i odwracali się plecami do tygla najrozmaitszych typów ludzkich budujących centrum handlowe w Yalley. Hotele i domy gry wyrastały jak grzyby po

deszczu; okryci aurą tajemniczości Chińczycy przywozili fortunę z pól złotoonośnych, choć nie afiszowali się ze swym bogactwem, woleli zwyczajność pralni i sklepów. Obok domów krawców i bławatników powstawały siedziby rozpusty i butnie pchały się naprzód, ich lokatorki z wysokich balkonów zaczęły marynarzy, którzy przyglądali się im spod oka.

Nad takim to drapieżnym i zadufanym w sobie tłumem władzę sprawował jaśnie pan Charles Lilley. Żałował bardzo, że nie wybrał okręgu na drugim końcu Brisbane, gdzie nowe przedmieścia w rodzaju Paddington, Toowong i Yeronga pozostawały spokojne i przyzwoite, lecz było już za późno. Zdobył Fortitude Valley i miał na głowie rozkrzyczanych robotników, którzy raczej wybierali bójkę niż strawę. Dobrze urodzonych mieszkańców, którzy nie mieli zamiaru mieszać się w jego potyczki z elementem socjalistycznym, dręczącym go na każdym kroku. Na szczęście jednak kobiety, najemcy i rozpuszczeni smarkacze nie mieli prawa głosu, choć można by pomyśleć, że jest wręcz przeciwnie, sądząc po ich masowym udziale w zebraniach publicznych, na których domagali się sprawiedliwości, czyli pieniędzy. Charlesa zawsze dziwił widok kobiet towarzyszących mężczyznom, które zakrzykiwały go, jakby brały udział w jakiejś powtórce rewolucji francuskiej.

— Okropni ludzie! — prychnął do lustra, kiedy spinka wreszcie trafiła na swoje miejsce.

Po jego stronie wiernie stali mieszkańcy rezydencji, a także, o dziwo, Chińczycy. Na początku Charles był przerażony, że tak wielu, Bóg tylko wie dokładnie ilu, Chińczyków przeprowadza się do jego okręgu, ale ci osobliwi, starsi wiekiem dżentelmeni z długimi warkoczycami i kłaniającymi się służącymi złożyli mu wizytę. Patrząc ukradkiem spod ciężkich powiek, postavili jasno kilka spraw.

Nie chcą kłopotów.

Pomimo tego, co głoszą plotki, są szanującymi prawo obywatelami.

Kupili skromne domy i interesy i nie zależy im na niczym większym. Charles dowiedział się, że lwia część pieniędzy przeznaczają na pomoc krewnym w Chinach.

Będą zaszczytzeni, jeśli wielmożny pan pozwoli, by wypełnili obowiązki wobec niego jako dżentelmeni i przedstawiciele cieszących się poważaniem rodzin.

— I na Boga, mają rację — powiedział Charles do swego odbicia, poprawiając surdut i wygładzając fałdy czarnego krawata. — Ilu Kitajców jest w więzieniu? Ani jeden. Wygląda na to, że na własną rękę rozprawiają się ze swymi złoczyńcami. — Charles zadrżał. Wolał nie wiedzieć zbyt wiele o ich metodach. Z pozoru Chińczycy byli idealnymi obywatelami, wspomagali jego fundusz wyborczy i zajmowali się swoimi sprawami. Z całą pewnością nie znajdują się pośród krzykaczy, którzy przyjdą na dzisiejsze zebranie.

Koło bramy czekał na niego jego sekretarz Daniel Bowles.

— Co ty tu robisz? Chyba kazałem ci iść prosto do parku...

— Tak zrobiłem, sir. Platforma już stoi. Jest całkiem mocna...

— Mam nadzieję, że zbudowano ją w zacienionym miejscu.

— Tak. Obok miejsca, w którym będzie pan stał, zawiesiłem na drzewie flagę. Rzecz w tym, panie Lilley, że burmistrz postanowił nie przemawiać.

— Jak to? Przecież miał mnie przedstawić. Swoim zwyczajem ten głupiec łamie obietnice. Jeszcze wczoraj przyrzekał, że przyjdzie.

Daniel pokręcił głową.

— Był tam wcześniej. W parku gromadzi się wielki tłum, panie Lilley, a nastroje nie są dobre. Burmistrz prosił, żebym panu przekazał, iż jego zdaniem mądrze byłoby odwołać zebranie.

— Odwołać? Po ogłoszeniu w gazecie, gdzie wyraźnie napisano, że będę przemawiał dzisiaj o dziesiątej rano? Nie mogę tego zrobić. To po prostu wykluczone.

Charles zdecydowanym ruchem włożył czarny cylinder na głowę i ruszył w górę ulicy.

Daniel przyśpieszył, by dotrzymać kroku szefowi.

— Panie Lilley, widziałem ten tłum i skłonny jestem zgodzić się z burmistrzem. Jak powiada, rozważa to lepsza połowa cnoty.

— Rozważa, co za duby smalone! Ten człowiek to tchórz. Zdaję sobie sprawę, że ludzie mają poważne powody do niepokoju, i dlatego muszę dzisiaj przemówić. Muszę wyjaśnić, że choć obecnie bezrobocie jest bardzo wysokie, wkrótce wszystko dobrze się ułoży. — Gniewnie skrzywił się. — To nie nasza wina, że ten przeklęty bank splajtował, zabierając ze sobą kredyt rządowy. Dlatego nie mogliśmy zapłacić robotnikom. Obecnie pracujemy



nad zaciągnięciem nowego kredytu i wszystko wróci do normy.  
— Spojrzał na złoty zegarek z dewizką, który nosił na kamizelce.  
— Za dziesięć dziesiątą. Pośpiesz się, Danielu. Będziesz musiał mnie przedstawić.

— Ja? Nie jestem mówcą, sir.

— Od tej chwili jesteś.

W złowieszczej ciszy ludzie rozstępowali się, robiąc przejście Lilleyowi i jego sekretarzowi. Lilley uchylał kapelusza w geście radosnego pozdrowienia, lecz odpowiadały mu ponure miny. Teraz jednak Daniel bardziej przejmował się swoją nową rolą niż wrogością tłumu.

Wchodząc na podium obejrzał się jeszcze i zobaczył, że Lilley prowadzi ożywioną dyskusję z Joe'em Fogarty, dokerem i magicielem pierwszej wody. Najwyraźniej nie była to przyjacielska wymiana zdań, bo Fogarty krzyczał i wymachiwał na Lilleya, który w końcu wzruszył ramionami i dołączył do sekretarza.

— Zaczynaj — mruknął szturchając Daniela. — Weź głęboki oddech. Mów głośno.

— Co mam powiedzieć?

Zdenerwowany Daniel zrobił krok do przodu. Uniósł ramiona w geście podpatrzonym u polityków. Pośpiesznym spojrzeniem omiótł tłum i z przerażeniem uświadomił sobie, że ludzi przyszło wyjątkowo dużo, część musiała zostać na przyległej ulicy. Zebrani wyglądali na biedaków, ubrania mieli nędzne, choć nie wszyscy byli robotnikami; Daniel dostrzegł także urzędników i nauczycieli, niektórych znał, a nawet kilka kobiet. Teraz wiedział już, jak zacząć.

— Panie i panowie! — zawołał głosem brzmiącym nazbyt piskliwie. — Dziękuję wszystkim za przybycie. To ważne spotkanie, jak bez wątpienia wszyscy wiecie, a ja jestem...

— A ty kim jesteś? — krzyknął ktoś. Powszechny wybuch śmiechu uniemożliwił Danielowi przedstawienie własnej osoby, co uważał za rzecz konieczną.

— Wracaj do domu, do mamusi! — pisnęła jakaś kobieta.

Czerwony jak burak, ściskając kurczowo słomkowy kapelusz, Daniel mówił dalej, choć sam ledwo się słyszał w panującym zamęcie.

— Mam przyjemność zapowiedzieć wystąpienie pana Charlesa Lilleya, deputowanego do Zgromadzenia Ustawodawczego Stanu Queensland oraz...

W tym momencie uratował go Lilley, zajmując miejsce przy mównicy.

Tłum nagle ucichł patrząc na Lilleya, który kiwnięciem głowy podziękował Danielowi. Sekretarz pośpiesznie się wycofał.

— Panie i panowie, wasz rząd doskonale zdaje sobie sprawę z dręczących was problemów...

— Od kiedy to?! — rozległ się wrzask, do którego zaraz przyłączyli się inni. Lilley spokojnie czekał, aż hałas ucichnie.

— Jestem tutaj po to, by wysłuchać, co macie do powiedzenia, i razem z wami poszukać rozwiązania, nie możemy jednak tego zrobić, jeśli obecni pośród was agitatorzy będą próbowali zagłuszyć głos rozsądku.

— Więc powiedz, jak to z twojej strony wygląda! — krzyknął Fogarty. — Banki znowu działają. Czemu tyle czasu trwa przyjęcie na powrót do pracy wyrzuconych robotników? — Aprobujące krzyki tłumu przyjął machaniem czapki.

— To nie takie proste. Niedługo rozpoczniemy prace publiczne: budowa nowych dróg, budowa gmachu poczty głównej przy Queen Street...

— Kiedy?

Grupa mężczyzn o twardych, ściągniętych twarzach wystąpiła przed tłum. Danielowi nie podobał się ich wygląd i zastanawiał się, czy Lilley ich zauważył.

— Obecnie są w stadium planowania.

— W tym czasie ludzie umierają z głodu, a wy sobie chodźcie na wyścigi! — krzyknął jeden z mężczyzn na przedzie. Lilley pokręcił głową, dając do zrozumienia, że przecież jest tutaj, lecz nieznamy z rozmysłem gest ten zrozumiał źle.

— Nie kłam! Wybierasz się dzisiaj na wyścigi! Twój koń bierze w nich udział, Lilley. — Mężczyzna wdrapał się na podium, by zwrócić na siebie powszechną uwagę. Zirykowało to Fogarty'ego, który podburzał tłum dla własnych celów, oskarżając Lilleya o to, że jest szarlatanem, że rzuca słowa na wiatr, że jest bogatym głupcem i los robotników za grosz go nie obchodzi.

— Kto to jest? — zawołał Lilley do Fogarty'ego.

Ten tylko wzruszył ramionami, rozgniewany świadomością, że wiec wymknął mu się spod kontroli. Ludzie tłoczyli się z przodu, ci z transparentami napierali od tyłu.

Daniel zobaczył, że do jeźdźca, który wstrzymał konia w bramie parku, dołączył drugi. Obaj ciekawie przyglądali się wypadkom, choć nie brali w nich udziału. Fogarty wciąż stał przy podium, milczący i ponury. Daniel pojął, że doker miał pewnie własny plan wykorzystania okazji i przemówienia do zebranych, jako że znany był ze swych politycznych ambicji. Najwyraźniej w całym tym zamieszaniu zrezygnował i Daniel żałował, że Lilley nie poszedł w jego ślady. Szef jednak nadal przemawiał, teraz głosem podniesionym do krzyku, tak samo rozgniewany jak jego słuchacze.

Nagle tłum rzucił się do przodu z okrzykiem:

— Łapać drania!

Daniel zeskoczył z podium prosto w tłum, lecz nikt nie zwrócił na niego uwagi. Fogarty także krzyczał, ale próbując powstrzymać atakujących. Łapał mężczyzn wchodzących po schodkach i ściągał w dół. Lilley był w najgorszej sytuacji, znalazł się w samym środku grupy rozgniewanych ludzi.

Wtedy jeden z jeźdźców ruszył galopem w stronę podium, nie zważając na ludzi umykających na boki przed końskimi kopytami. Po kilku minutach jego towarzysz zdecydował się zrobić to samo. Był bardzo młody, jasnowłosy, przez tłum jechał wywijając biczem. Daniel, który uciekał z parku, zobaczył, że chłopak głośno się śmieje. Świetnie się bawił.

— To wcale nie jest śmieszne — mruknął Daniel, niepokojąc się o Lilleya i czując wyrzuty sumienia z powodu ucieczki, ale co w pojedynkę mógł poradzić przeciwko tej tłuszczy?

Deputowany do parlamentu wpadł w furję, że te zbiry tak go traktują, i nie pozostał im dłużny, rozdając na oślep ciosy. Usłyszał, jak jego płaszcz z trzaskiem się rozrywa, gdy odpychał od siebie ręce napastników, kopał w kostki butami z twardej skóry, przeklinał i krzyczał na otaczających go mężczyzn, żeby się cofnęli. Ci głupcy grozili mu linczem, bardziej jednak martwił się o to, by utrzymać równowagę, bo gdyby się przewrócił, na pewno by go stratali. Przed zwłeczeniem z podium uratowały go spocone grupy zbliżające się ku niemu z różnych kierunków.

Dostrzegł rudobrodego jeźdźca i wziął go za jeszcze jednego zbira. Nieznajomy wszakże pochylił się ku niemu w tej samej chwili, w której Lilley uświadomił sobie, że popchnięto go

niebezpiecznie blisko krawędzi platformy. Poczł, jak męzczyzna chwytł jego ramię w żelazny uścisk.

— Wskakuj na pokład, kolego! — krzyknął wskazując grzbiet konia.

Interwencja zaskoczyła tłum, co Lilleyowi dało czas na ocenę sytuacji.

— W żadnym razie! — zawołał. Za nic w świecie nie chciał, by ratowano go z tarapatów jak jakąś głupiutką pannicę.

Zamiast tego zeskoczył w bezpieczną przestrzeń pomiędzy koniem a platformą, chwytając się uprzęży dla zachowania równowagi.

Koń szedł do przodu, chroniąc Lilleya, ale tłum nie zamierzał łatwo zrezygnować ze swej ofiary. W jego stronę poleciały grudy ziemi, mężczyźni zaczęli ku niemu napierać.

Za jego plecami pojawił się drugi jeździec, wywijając biczem i nie zważając na okrzyki bólu tych, których trafił. Zeskoczył z siodła, podał lejce Lilleyowi, po czym zanurkował w tłum, nim ktokolwiek zdążył się zorientować, co właściwie zaszło. Tym razem Lilley się nie opierał. W jednej chwili był już w siodle i zaraz też dwa galopujące konie uitorowały sobie drogę pośród ścisku, kierując się ku bramie i zostawiając tłum samemu sobie.

Opuściwszy park, jeźdźcy skręcili w cichą uliczkę, gdzie Lilley ściągnął lejce i zwrócił się do towarzysza.

— Muszę panu podziękować, sir. Te zbiry mogły mi wyrządzić prawdziwą krzywdę.

— Dlaczego?

— Polityczne niepokoje. Nazywają to zamieszkami chlebowymi.

— Miałem rację. Od razu wiedziałem, że jest pan politykiem.

— Nazywam się Charles Lilley. Jestem postem z tego okręgu. Próbowałem tym głupcom wytłumaczyć...

— Następnym razem niech pan weźmie ze sobą uzbrojoną straż. Nigdy przedtem nie spotkałem polityka. Bardzo mi przyjemnie. — Nieznajomy uściskał dłoń Lilleyowi. — Mieszka pan w tej okolicy? Lepiej odprowadzę pana do domu. Wydaje mi się, że przestraszy pan damy, jak pójdzie pan pieszo w takim stanie.

Te słowa skłoniły Lilleya do przyjrzenia się sobie. Zgubił kapelusz, ubranie miało brudne i podarte.

— O mój Boże! Nie mam zegarka!

— Pewnie wart co nieco?

— Bardzo dużo. Zegarek i łańcuszek były ze złota. Ale ja go sobie ceniłem, bo należał do mojego zmarłego ojca.

— Nie ma sensu wracać tam po niego — powiedział nieznajomy z żalem w głosie. — Na pewno już go ktoś wziął. Można za niego kupić mnóstwo chleba i masła.

— Cholerna szkoda. No cóż, ruszajmy dalej. Kim był pański przyjaciel? Jemu też chciałbym podziękować.

— Pierwszy raz go widziałem. To jakiś smarkacz. Ale sprytny, szybko się stamtąd wydostał. Diabelnie swobodnie poczynął sobie tym biczem.

— Zasłużyli na to — burknął Lilley. — Ale co z jego koniem? Co mam z nim zrobić?

— Niech się pan tym nie przejmuje. Pan wróci na nim do domu, a ja go zabiorę. Poszukam tego młokosa. — Zerknął na kasztana z białą plamką na pysku. — To młody koń, tak samo zuchwały jak jego pan. Wcale nie przestraszył się tłumu. Moja stara szkapa pracowała przy bydle, dwunogie zwierzęta jej nie przeszkadzają.

Kiedy znaleźli się pod bramą posiadłości Lilleya, z przeciwnego kierunku nadbiegł Daniel.

Lilley odzyskał już panowanie nad sobą. Zsiadł z konia i poklepał sekretarza po ramieniu.

— No, przynajmniej nic ci się nie stało. Masz przy sobie jakieś pieniądze?

— Tylko dziesięć szylingów.

— To będzie musiało wystarczyć. Daj je temu dżentelmenowi. Drobne zadośćuczynienie za fatygę.

Daniel liczył, że nieznajomy istotnie okaże się dżentelmenem i odmówi. Trudno było wydebić zwrot takich pożyczek od wielkiego człowieka, który zwykle całkiem o nich zapominał. Nieznajomy jednak nie był dżentelmenem. Przyjął dziesięć szylingów jako rzecz mu należną, wziął drugiego konia, po czym życząc im dobrego dnia, odjechał.

James McPherson uznał, że miał dobry dzień. Zarobił dziesięć szylingów i nowego konia.

Emilie obawiając się, że pobłądzi, pilnowała, by rzekę mieć z prawej strony, nawet jeśli udawało jej się tylko dojrzeć ją przez zarośla, ponieważ wzdłuż brzegu nie prowadziła żadna ścieżka.

## ZATOKA ORCHIDEI

Poza centrum miasta nie było chodników, trzymała się więc krawędzi polnych dróg dla bezpieczeństwa i cienia. Z rzadka pędem mijali ją jeźdźcy i powozy; taka prędkość wydawała jej się dziwna, zważywszy na leniwą atmosferę dnia. Może jednak nie do końca przyzwyczała się do ulicznego ruchu po miesiącach spędzonych na statku. Po długim okresie beczynności cudownie było z taką swobodą iść przed siebie; ćwiczenie już dobrze jej robiło. Upał nie wydawał się tak dokuczliwy, zresztą twarz miała osłoniętą podszytym jedwabiem słomkowym czepkiem i w dodatku wiał lekki wietrzyk.

Kontrasty w roślinności rzeczywiście zdumiewały. Nietknięte siekierą połacie ziemi porastały gęste krzewy, splątana trawa i wysokie smukłe drzewa, eukaliptusy, które sprawiały wrażenie, jakby właśnie wyzwoliły się z więzów, bo konary niczym złowieszcze sznury oplatały im winorośle. Gdyby nie wiedziała, że to nieprawda, Emilie te prawie nieprzebyte chaszczce określiłaby mianem dżungli. Zaskoczyło ją jednak, że nie ma tutaj palm i innych tego rodzaju egzotycznych roślin. Spodziewała się, że miasto otoczone będzie palmami, ale widywało się je tylko w prywatnych ogrodach, gdzie specjalnie je sadzono. Emilie z zainteresowaniem oglądała te ogrody, bo gdyby nie palmy, mogłaby pomyśleć, że jest w Anglii; właściciele preferowali róże, lawendy, hortensje i inne ojczyście rośliny. Uznała to za mało twórcze, bo wzdłuż drogi widziała wspaniale pachnące miejscowe kwiaty.

Zauroczona ich aromatem Emilie nie mogła się oprzeć pokusie, musiała zerwać kilka delikatnych białych kwiatów frangipani, żeby zabrać je do pensjonatu, zrobiwszy jednak kilka kroków po wysuszonej trawie, krzyknęła ile sił w płucach. Wstrząsnęło nią własne zachowanie. Nigdy w całym swoim życiu tak głośno, tak po prostacku nie krzyczała, ale oto przed sobą zobaczyła łeb potężnego węża. Pysk miał otwarty, oczy zimne, utkwione w jej oczach. Nie poruszał się. Emilie także znieruchomiała, zahipnotyzowana wzrokiem gada. Widowała wcześniej te zwierzęta, żaden jednak nie miał równie wielkiego łba. Szara skóra wyglądała na twardą, przywodziła na myśl stalowy łańcuch.

Nadbiegła jakaś kobieta.

— Co się stało?

— Wąż — szepnęła Emilie, ledwo chwyając oddech.

- Ukąsił cię?
- Nie.
- Stoisz na nim?
- Nie.

— Nigdzie nie widzę solidnego patyka — mruknęła kobieta jakby do siebie. — Będziesz musiała odskoczyć. One bardziej boją się ciebie niż ty ich.

Emilie ani przez chwilę w to nie wierzyła, a poza tym nie potrafiła wykonać żadnego ruchu.

Kobieta czekała, ale kiedy stało się jasne, że ani wąż, ani dziewczyna nie zamierzają ustąpić, powiedziała:

— No dobrze...

W sekundzie było po wszystkim. Kobieta złapała Emilie i szarpnęła do tyłu. Obie o mało się nie przewróciły, kiedy jednak odzyskały równowagę, nieznajoma zawróciła w stronę węża, czym kompletnie zbiła z tropu Emilie.

— Chcę się przyjrzeć draniowi — wyjaśniła i zaraz wybuchnęła śmiechem. — Chodź tu i sama zobacz, dziewczyno. To żaden wąż, tylko wielki stary waran, całkiem jak ten, co rabuje w moim kurniku.

Wąż czy nie, Emilie nie miała zamiaru zbliżać się do potwora. Nie ruszając się z miejsca, pokręciła głową.

— W takim razie wynoś się! — Kobieta machnęła zamaszycie rękami i tupnęła, i waran zniknął z szelestem w trawie, by po chwili pojawić się na pobliskim drzewie. — Widzisz go! — Wybawicielka Emilie nie kryła podniecenia. — Popatrz! Ale wielki! Nigdy wcześniej takiego nie widziałas?

— Nie.

— Więc zapamiętaj, jaszczurki mają nogi, węże nie. I jaszczurki nie zrobią ci krzywdy.

Emilie chciała się bronić, że nie była w stanie dojrzeć łap warana w gęstym poszyciu, ale wydało jej się to dość mało-śtkowe, podziękowała więc kobiecie za jej dobroć i obie z zainteresowaniem patrzyły, jak jaszczurka, przywierając do pnia, wolno kręci głową z boku na bok, jakby sprawdzając, czy jeszcze ktoś nie planuje ataku na jej godność.

Emilie pożegnała się z nieznajomą i ruszyła w drogę odalając się od rzeki. Była zadowolona, że po powrocie będzie miała co opowiadać Ruth. Minęła kilka domów, kiedy zobaczyła, że naprzeciw niej biegnie młody mężczyzna. Sprawiał wrażenie,

jakby go ktoś gonił, ale poza nim nikogo w zasięgu wzroku nie było. Na widok Emilie zwolnił dysząc tak, jakby w płucach zabrakło mu powietrza, wreszcie się zatrzymał.

— Nie szedłbym tą drogą, panienko. W parku zgromadził się tłum i lada chwila wyleje się na ulice.

— No wie pan!

— To tylko taka sugestia — uśmiechnął się młodzieniec.

— Nadłożenie drogi może okazać się dobrym wyjściem.

Emilie wpatrywała Mę w niego zdumiona. W gruncie rzeczy mu wierzyła, ale gdzie niby ma pójść, żeby nadłożyć drogi? Była zdezorientowana.

— Proszę ze mną, odprowadzę panią do rogu.

Był mniej więcej w jej wieku, wysoki i opalony, miał błękitne oczy, w których zapalały się iskierki, kapelusz na jasnych przydługich włosach i — musiała to przyznać — najbardziej słoneczny uśmiech, jaki widziała u mężczyzny. Na pewno jednak nie był dżentelmenem, świadczył o tym nędzny strój i brzydki skórzany bicz zwinięty na ramieniu.

Po jego ostrzeżeniach Emilie straciła ochotę na dalszy spacer. Nie chciała też, by widziano ją w jego towarzystwie, lecz nie zostawił jej wyboru. Muskając jej ramię, z całkowitą swobodą ruszył obok niej, choć na szczęście nie ujął jej pod rękę, bo musiałyby go odepchnąć.

— Wyszła panienka zaczerpnąć świeżego powietrza?

— Tak.

— Miły dzień na spacer.

Emilie nie podjęła rozmowy z tym zuchwalcem, choć to najwyraźniej wcale mu nie przeszkadzało, po prostu szedł obok niej. Od miejsca, gdy narzucił jej swoje towarzystwo, do rogu było może ze dwanaście domów, choć Emilie wydawało się, że jest ich czterdzieści. Umierała z zażenowania.

Na rogu młody człowiek przystanął.

— Dokąd panienka idzie?

— Wracam do centrum — warknęła Emilie.

— To dobrze. Tam nic nieprzyjemnego pani nie spotka. Proszę iść do końca i skrócić w lewo. — Roześmiał się. — Przedtem szła pani w złym kierunku.

W tym momencie Emilie nie mogła dłużej powstrzymać gniewu.

— Wcale nie! Chodzę tam, gdzie mi się podoba!



Twarz mu się zmieniła, jakby uraziła jego uczucia. A co z jej uczuciami? Na ulicy zaczepił ją nieznajomy, plotąc jakieś bajdy o tłumie.

— W takim razie nie będę pani więcej przeszkadzał — powiedział nieśmiało, uchylił kapelusza i odszedł.

Emilie nie mogła się oprzeć, by za nim nie zerknąć, i natychmiast zalała się rumieńcem. Przyłapał ją! Widziała wyraźnie, z jakim rozbawieniem do niej pomachał. I tyle na temat jego zranionych uczuć! Dotknęta do żywego Emilie jedną dłonią w rękawicze złapała czepek, zadarła brodę i szybkim krokiem ruszyła przed siebie.

— No proszę, co za ślicznotka tu idzie — powiedział młodzieniec. Wciąż z głową zaprzętą myślami o Emilie, mrugnął z uznaniem do staruszki kuśtykającej do domu.

— Ach, wynos się stąd! — odparła ze szczerbatym uśmiechem.

Żałował, że nie mógł zostać z tą dziewczyną. Odprowadziły ją do miasta, gdyby go poprosiła, gdyby nie była taka wyniosła i nieprzystępna. Przecież zdradził jej nawet swoje nazwisko, prawdziwe nazwisko, które brzmiało Mallachi Willoughby, a to nieczęsto mu się zdarzało. Wyjątkowe wydarzenie, tak by to ujął.

Idąc wolno, jako że nie miał już powodów do pośpiechu, rozważał, czy nie skrócić w następną ulicę i nie wpaść na dziewczynę jakby przez przypadek, ale wiedział, że lepiej nie prowokować losu. To była prawdziwa dama, bez dwóch zdań, więc nie dziwota, że nie miała ochoty zadawać się z kimś jego pokroju. Chyba nie mógł jej o to winić. W końcu był tylko włóczęgą. Przez te ostatnie pięć lat, które minęły od śmierci zamroczonego alkoholem taty na farmie Gurundi, Mallachi nigdzie dłużej nie zagrał miejsca.

Dawniej rodzina Willoughbych mieszkała na małej farmie oddalonej o dwa dni drogi od Sydney. Od samego początku siostra nazywała braciszka Sonny i tak już zostało. To były dobre czasy.

Kochał mały drewniany domek z ciepłą kuchnią, ciasną sypialnią rodziców i przybudówką dla dwojga dzieci. W tamtej okolicy latem było sucho i w powietrzu unosiły się tumany kurzu, zimą chłodno i mokro, lecz on tego nie zauważał; ciągle był zajęty, biegając po stodołach i oborach lub zapuszczając się daleko za strumień.

— Szczęśliwe dziecko — powtarzali wszyscy; wspominając przeszłość Sonny pokiwał głową. To określenie pasowało do niego także i dzisiaj. Po co pogrążyć się w rozpacz? Nie widział w tym sensu. Wyróżniał się już w jednoklasowej szkole oddalonej o milę od farmy, do której chodziło jedenaścioro dzieci w różnym wieku. Wszystkie gorąco nienawidziły szkoły i robiły wszystko, by dokuczyć nauczycielowi, panu Pattersonowi, którego główną pomocą dydaktyczną był pas. Choć nie bardzo im się to udawało. Sonny jedyny lubił szkołę, lubił nawet pana Pattersona, ten zaś w rewanżu zawsze na koniec roku dawał mu nagrodę i mówił dumnym rodzicom, że chłopak daleko zajdzie. Sonny nigdy o tym nie zapomniął. Był przekonany, że rzeczywiście daleko zajdzie, tylko trzeba na to czasu.

Byli biedni, o takich jak oni mówią „nędzarze”, lecz to nie miało wpływu na chłopca. W tej samej sytuacji byli wszyscy, których znał. A potem, kiedy miał dziesięć lat, zachorowała matka. Długo leżała przykuta do łóżka chorobą, z dnia na dzień bledsza i chudsza, aż wreszcie przytuliła syna do siebie i powiedziała, że wkrótce pójdzie do nieba. To był wstrząs, potworny wstrząs, Sonny bowiem nie potrafił wyobrazić sobie życia bez swojej słodkiej matki, i po raz pierwszy w życiu naprawdę się przeraził. Ona jednak starała się go uspokoić, mówiła, że kiedy pójdzie do nieba, uwolni się od bólu, którego nie może znieść, który sprawia, że całe noce jęczy i płacze, więc Sonny nie powinien się martwić. Tatko zaopiekuje się nim i siostrą, a ona z uśmiechem będzie z wysoka na nich patrzeć, wreszcie bezpieczna i wolna od cierpień, za towarzystwo mając aniołów i swoich rodziców, którzy poszli tam przed nią. Tak więc Sonny musi być dobrym chłopcem i nie płakać, gdy jej zabraknie.

Sonny czuł się kimś wyjątkowym, że mamusia z nim rozmawia, bo najwyraźniej nikomu innemu o tym nie mówiła. Wszyscy płakali, a tatko zyskał dobry pretekst, żeby znowu stać się żalonym pijakiem.

Wkrótce potem Margaret, siostra Sonny'ego, wyszła za męża, a tatko sprzedał farmę. Należało się tego spodziewać, bo nigdy nie lubił pracy na farmie, zwłaszcza bydłowej, która jak często powtarzał, nie była warta poświęconych jej godzin.

Wyruszył w drogę, biorąc ze sobą Sonny'ego jako najlepszego kompana. Ta decyzja rozniewała Margaret, która wysyłała listy domagając się, by chłopiec zamieszkał u niej, ale tatko zupełnie nie

ignorował, a Sonny'emu to nie przeszkadzało. Podobały mu się przechwałki ojca, że teraz są wolni jak wiatr. W sezonie tatko pracował jako postrzygacz, przenosząc się z farmy do farmy i pieczy dziesięcioletniego Sonny'ego powierzając dwa konie oraz sakwy z dobytkiem. Przez pozostałą część roku wędrowali, znajdując dorywcze zajęcia w miastach i na wsi. Wkrótce też Sonny zabrał się do pracy, wpraw pomagając przy strzyżeniu owiec, potem jako robotnik, wyrastał bowiem na silnego, postawnego młodzieńca.

Był rzeczywiście najlepszym kompanem ojca, najlepszym przyjacielem i pomocnikiem, który szybko stał się opiekunem, ponieważ tatko do cna pogrążył się w pijaństwie. Kradł ojcu pieniądze, kiedy ten był nietrzeźwy, i chował w szparze w swoim siodle, żeby uratować je przed przepiciem. W te tygodnie, gdy nie mieli pracy albo staruszek zbyt był oszołomiony, by opuścić obozowisko, Sonny ruszał na wyprawy i zawsze wracał ze zdobyczą, bo kradł jedzenie z farm lub sprzed nosa sklepikarzom. Tatko nigdy nie dopytywał, skąd biorą się jajka, mięso czy inne zapasy, a Sonny nigdy z własnej woli tego nie wyjaśniał w obawie, że dostanie lanie. Kiedy podrósł, często proponowano mu stałą pracę, ale zawsze miał jedną odpowiedź:

— A mój tatko?

Wyglądało na to, że nikt nie ma pracy dla Joe'ego Willoughby'ego, a tylko garstka jest w stanie powiedzieć o nim dobre słowo, syn więc nie mógł go opuścić. Wędrowanie stało się ich sposobem życia. I wcale nie było to złe życie. Mieli swoje wzloty i upadki, ale jak tatko często powiadał: „Zawsze jest ktoś, kto ma gorzej”. Sonny musiał się z tym zgodzić. Widywał w swoim życiu prawdziwych nieszczęśników.

Pochowali tatkę na cmentarzu farmy Gurundi koło starego wielkiego pieprzowca i oznaczyli miejsce drewnianym krzyżem. Jeden z postrzygaczy wyrył na nim nazwisko i litery „RIP”; wyjaśnił Sonny'emu, że oznacza to „niech spoczywa w spokoju”. Chłopcu to się spodobało.

Kiedy na koniec tygodnia ustawił się w kolejce po wypłatę, farmer spojrzął na niego gniewnie.

— Jaka zapłata? Twój staruszek był mi winien ponad dziesięć funtów, nie wspominając już o rachunku za grog i tytoń u mojego sklepikarza. Masz u mnie dług, synu, ale możesz zostać, żeby go

odpracować. Na razie zabieram twoje konie jako zabezpieczenie.

Sonny był wściekły na ojca. Właśnie przez to kupowanie na kreskę i pożyczki byli ciągle bankrutami. A przecież czy ojciec nie przysiągł na błogosławioną głowę mamy, że nigdy więcej nie będzie tego robił? Chłopak oznajmił farmerowi, że człowiek nie jest odpowiedzialny za długi innego, nawet własnego ojca.

To rozśmieszyło farmera.

— Rachunki są na nazwisko Willoughby, a to twoje nazwisko, synu. Musisz się nauczyć odpowiedzialności. A poza tym pogrzeb był za darmo, więc mi tu nie marudź.

To była dobra nauczka, rozmyślał starszy i mądrzejszy Mai (zdrobienie od Mallachiego) Willoughby. Teraz miał całą listę nazwisk; spływały mu z języka, jakby się z nimi urodził, dzięki czemu mógł ruszać dalej bez konieczności oglądania się za siebie.

Załatwił rachunki z farmerem. Nikt jednak nie może zmusić Mała Willoughby'ego do pracy za darmo. Poszedł do sklepu i wziął na kredyt butelkę whisky i dwie butelki rumu.

Sklepiarz zmarszczył brwi.

— No, no, chłopcze, myślałem, że nie bierzesz kropli do ust. Nie chcę przyczyniać się do twojej zguby i patrzeć, jak staczasz się jak twój staruszek.

— Ach nie, tego na pewno bym nie zrobił, Charlie. Dość się napatrzyłem. Ale postrzygacze powiadają, że tata nie powinien odchodzić w samotności. Chcą urządzać stypę. — Uśmiechnął się smutno. — Mam teraz obowiązki. W imieniu rodziny muszę coś im dać. Ten alkohol jest dla nich.

I tak było. Mai sprzedał chętnym postrzygaczom butelki za połowę ceny i schował gotówkę. Kiedy stypa trwała w najlepsze, a jej uczestnicy smętnie śpiewali, fałszywie przy tym zawodząc, młodzieniec zabrał swoją sakwę i uprząż, także tę należącą do ojca, i wymknął się w ciemność. Zdjął łańcuch z bramy i gwizdnięciem przywołał konie, śmiejąc się do siebie w głos. Nim rano wszyscy się obudzą, jego tyle mil będzie już dzielić od okrutnego farmera, że nikt nie wyruszy w pogoń.

Mai Willoughby tym razem spędził w Brisbane tylko kilka dni; chciał się rozejrzeć. Był wieśniakiem, nie lubił wielkich miast, ale miał dość gotówki, żeby odpocząć, zanim znowu wyruszy w drogę.

Widział tłum w parku, choć wcale go nie zainteresował. Słyszał, że na drugim końcu miasta odbywa się konkurs ujeżdżania byków, i tam właśnie się wybierał, nie żeby miał zamiar brać w nim udział i zbierać potem połamane kości.

— Siano zamiast mózgu — tatko tak zawsze nazywał tych ludzi.

Nie. Wszelkie takie zgromadzenia były dobrą okazją do zarobienia paru groszy. Pokątne wyścigi konne, biegi, jarmarki, a jeszcze lepsze zdobycze trafiały mu się w drodze. Mai dla nikogo już nie pracował. Pracował dla siebie. Zdeklarowany samotnik z twarzą, która była jego fortuną, tak niewinną i słodką, że kobiety od razu brały go pod swoje skrzydła, a twardzi mężczyźni myśleli z pogardą, że mają przed sobą łatwą ofiarę. Amatora. A Mai w wybranych dziedzinach wcale nie był amatorem. Biegał szybko jak wiatr. Zawsze miał dobre konie, kiedy wszakże zgłaszał je do wyścigu na prowizorycznym torze, pojawiał się z nędzną szkapiną i w ostatniej chwili dokonywał podmiany. Albo też smarował tłuszczem końską grzywę i ogon, by wyglądały na zmierzwione, czasem nawet dodawał zwierzętom siwizny i trenował, by kulały. Mai znał mnóstwo sztuczek, zwłaszcza karcianych, bo karty były jedyną rozrywką, jaką tatko i on mieli w samotne noce, i większą przyjemność sprawiały mu wyzwania niż zyski, które dzięki temu osiągał.

O nie, nie interesował go ten zatłoczony park; już prawie minął bramę, gdy zobaczył mężczyznę na koniu, który z zainteresowaniem obserwował wypadki. I poznał go.

Wielki Boże! To McPherson. We własnej osobie.

Mai nie znał McPhersona osobiście, ale sporo o nim słyszał i kilkakrotnie na tyle się do niego zbliżył, by teraz mieć pewność. Oto on, wielki jak życie, z rudymi włosami i krzaczastą brodą, ze spokojem śledzący przebieg niedowarzonych zamieszek.

James McPherson był poszukiwany w południowych stanach za wszelkiego rodzaju przestępstwa, począwszy od kradzieży koni i rabunku z bronią w rękę, skończywszy na zastrzeleniu człowieka nad rzeką Houghton. Mai nie był pewien, czy wszystkie opowieści o McPhersonie były prawdziwe, słyszał jednak dość, by wiedzieć, że ten człowiek to autentyczny, zatwardziały wyrutek bandyta. I wciąż przebywa na wolności.

— Zdolny do wszystkiego — mówiono o nim. — Trzymaj się od niego z daleka, przyjacielu.

Tym razem jednak McPherson odgrywał rolę galanta. Skoczył na koniu prosto w tłum, by uratować głupca w eleganckim ubraniu, Mai więc zdecydował się przyłączyć do zabawy! Ze śmiechem spiął konia i pogalopował przez park, prosto w tłum, wymachując biczem.

Mai zapomniał o angielskiej damie. Musiał poszukać swojego konia. Nie martwił się, wiedział, że na pewno go znajdzie. Albo ma go ten polityk, w którym to przypadku sprawa będzie łatwa: pójdzie, odbierze konia i jeszcze dostanie słowa podziękowania z napiwkem, albo McPherson. Mai stawiał na tego drugiego. Odzyskał już oddech, więc znowu zerwał się do biegu.

Wiedział, że nie byłoby mądrze rozpytywać w barach, czy ktoś widział człowieka odpowiadającego rysopisowi McPhersona, bo gdyby trafił na jego kumpli, mogliby go wziąć za policyjnego donosiciela, a tego Mai nigdy by nie zrobił, bo sam też nie kochał prawa. Zamiast tego chodził od pubu do pubu, oglądając konie przywiązane do słupków. Swojego zobaczył na tyłach hotelu Royal Mail. Mógł go prostu wziąć i odjechać, ale to by nie było zabawne, no i co, gdyby ktoś zgłosił kradzież? Poza tym bardzo chciał poznać swojego bohatera. Będzie miał co opowiadać wnukom: „Osobiście znałem tego szalonego Szkota...”

Starannie zwinął długi bicz i zawiesił sobie na ramieniu pleciana rączką z przodu — doskonała broń w razie potrzeby. Nie żeby przewidywał kłopoty, ale nigdy nic nie wiadomo. Zdjął kapelusz, przygładził włosy wierzchem dłoni i ruszył ku drzwiom pubu.

Nikt nie zwrócił uwagi na wiejskiego chłopca, który mrużąc oczy, by przyzwyczaić je do mroku po jaskrawym słońcu na dworze, spokojnie przeciskał się przez sobotni tłum bywalców. Nie zauważył go też McPherson, który stał ze znajomym w odległym kącie. Spojrzał na Małą, ale zaraz odwrócił od niego wzrok, zupełnie go nie rozpoznając. Chłopak dotarł do kontuaru i kupił sobie lemoniadę, po czym ruszył prosto w stronę McPhersona.

— Jak leci?

Szkot spojrział na niego gniewnie spod ciężkich powiek.

— Ktoś ty?

Mai uśmiechnął się. A to dobre, pomyślał, udawaj dalej, że mnie nie poznajesz. Ale to ci się nie uda.

— Nazywam się Ned Turner i przyszedłem podziękować za opiekę nad moim koniem.

— Jakim znowu koniem? — burknął McPherson.

— Tym kasztanem, co ma moją uprząż.

— Tym? — Szkot zwrócił się ku znajomemu. — Gdybyś zobaczył, jak człowiek porzuca swojego konia w miejscu publicznym, to też byś pomyślał, że go nie chce, no nie?

— No jasne — odparł łysy kompan. — To tak, jakby zostawił go na pierwszym lepszym rogu.

— Ja też tak mówię. Znalezione nie kradzione.

Mai roześmiał się, jakby uważał, że starsi mężczyźni żartują sobie z niego.

— Zgadzam się, ale nie wtedy, kiedy chodzi o mojego konia.

Kim był ten elegant?

McPhersona zaskoczyła przyjacielska postawa chłopca.

— To jakiś przekłety polityk — odpowiedział łaskawie.

— Uratował mu pan życie. Mam nadzieję, że postępował słusznie.

— A od kiedy to te dranie słusznie postępują?

Mai otworzył szeroko oczy.

— Co pan mówi! No to powinien był go pan tam porzucić, sir. Mogę postawić wam drinka? Tyle przynajmniej mogę zrobić.

Szkot mrugnął do towarzysza, po czym spojrzął na prawie puste kufle z piwem.

— Taa. Napijemy się whisky. Podwójnej.

— Już się robi! — Mai posłusznie ruszył ku kontuarowi. Kiedy wrócił z drinkami, McPherson zmienił zdanie.

— Powiem ci coś, Ned. Jeśli potrzebujesz konia, możesz wziąć mojego.

— To bardzo wielkodusznie z pana strony i jestem pewny, że to świetne zwierzę, ale ja i mój koń przywykliśmy do siebie. Wie pan, jak to jest. Przywiązałem się do Pally'ego. — Podał najgorsze imię, jakie potrafił wymyślić dla swojego Strikera. McPherson wybuchnął gromkim śmiechem.

— Boże wszechmogący! A co to za imię dla konia? To czystej krwi wierzchowiec. Nie masz żadnego szacunku dla zwierzęcia. Pally! W życiu czegoś takiego nie słyszałem.

— Wie pan, zawsze byliśmy kumplami. Trochę kuleje, ma słabą nogę, ale ja się nim opiekuję.

Szkot odwrócił się plecami, by zastanowić się nad całą sprawą. Mai przypuszczał, że niekoniecznie przełknął gadkę o kalectwie, choć z drugiej strony, skąd mógł wiedzieć?

W końcu McPherson zapalił fajkę, mocno się zaciągnął i spojrzał na Mała.

— Wiesz, co myślę? Myślę, że jesteś cholernym oszustem. I nie zwiodłeś mnie tymi swoimi niebieściutkimi oczkami. Ani przez chwilę. Wiesz, kim jesteś?

— Nie, sir, nie wiem.

— Chryste Panie! Słyszysz to? „Nie, sir, nie wiem” — powtórzył przedrzeźniając Mała. — A teraz zajmijmy się interesami. Możesz wziąć swojego konia, ale ja dostanę zegarek.

— Jaki zegarek?

— Ten, który wyjąłeś z kieszeni Lilleya. Dla ciebie pana Lilleya. Razem ze złotym łańcuszkiem, co należał do jego drogiego tatki nieboszczyka.

— Nic nie wiem o żadnym zegarku. Chciałem tylko pomóc.

— Akurat. Tak samo jak ja z daleka dojrzałeś błysk złota. A teraz mi go oddasz albo stracisz konia.

— Koń jest mój.

McPherson westchnął.

— Możemy wziąć cię za nogi i wytrząść ci go z kieszeni...

Mai z ociąganiem podał zegarek, który Szkot błyskawicznie schował do kieszeni.

— Dobry chłopak, nie mam do ciebie urazy. Chcesz się napić?

— Nie, dziękuję.

— Hola! A gdzie podział się „sir”? — McPherson uśmiechnął się ironicznie. — Gdzie mieszkasz, Ned?

— Tu, w Brisbane.

— Masz robotę?

— W sezonie pracuję na farmach. — Kolejne kłamstwa. — Myślę o podróży na północ.

— Prawdę mówiąc, my też. — McPherson spojrzał pytająco na łysego kompana, a kiedy ten skinął głową, dodał: — Jeśli chcesz, możesz pojechać z nami.

Mai aż spuchł z dumy. Zostać zaakceptowanym przez sławnego — niesławnego — Jamesa McPhersona to była naprawdę wielka sprawa. Mógłby się przechwalać jazdą w jego towarzystwie. Choć będzie to też szaleństwo. Mai orientował się, że



wyjętych spod prawa można zastrzelić na miejscu, choć nie był pewny, czy to prawo obowiązuje w Queenslandzie. Według jego zrozumienia prawo jest prawem wszędzie, gdzie się jest, a on żywił wiele szacunku dla własnej skóry. Nie miał zamiaru dać się zastrzelić w krzyżowym ogniu.

Pokręcił głową.

— Nie mogę, mam tutaj dziewczynę. Liczę, że pojedzie ze mną. — Przed oczyma stanęła mu twarz Angielki i uśmiechnął się szeroko. — Uparła się, że sprowadzi mnie na dobrą drogę.

Roześmiali się. Teraz byli spiskowcami.

— To będzie wymagało sporego wysiłku — zauważył McPherson, po czym odprawił Mała. — Niedługo znowu się zobaczymy, synu.

— Mam taką nadzieję — uśmiechnął się Mai. Miał nadzieję, że nie. Raz wystarczy. Żal mu było zegarka, ale w końcu na świecie są inne zegarki, a kto mógłby powiedzieć, że nie tylko zna szalonego Szkota, ale jest jego przyjacielem? Udało mu się zaprzyjaźnić z bandytą. I odzyskał konia. Uczciwa wymiana.

Dzięki swym gorzkim londyńskim doświadczeniom siostry Tissington orientowały się, jakimi drogami mogą zdobyć zatrudnienie, jeśli — a może kiedy — Penn je zawiedzie. Podczas gdy Emilie była na spacerze, Ruth przejrzała anonsy w gazecie, przekonała się jednak, że jeśli chodzi o kobiety, praca jest wyłącznie dla służących oraz robotnic fabrycznych. Znalazła jednak ogłoszenie guwernantki z doskonałymi referencjami, poszukującej zatrudnienia u rodziny wraz z mieszkaniem. Wynagrodzenie do uzgodnienia.

Pokiwała głową. Mogłaby z tego skorzystać. Jeśli zostaną zmuszone do zainwestowania w ogłoszenie, wyraźnie zaznaczy, że są guwernantkami angielskimi. Co nie znaczy, że obie zamieszczają jedno ogłoszenie. Lepiej nie dezorientować ludzi informacją, że identycznej pracy poszukują dwie damy. Na pewno jednak podkreślenie, że guwernantka przyjechała z Anglii, przemówi do pracodawcy z wyższej sfery, a tym samym przypuszczalnie bogatszego.

Są jeszcze duchowni, oni też mogą pomóc. Dzięki pastorowi z kościoła anglikańskiego przy Edgware Road znalazły zajęcia, dzięki którym jakoś przetrwały w Londynie, a tutaj powinno

powieść się lepiej. Teraz przynajmniej mają doskonałe referencje z Towarzystwa.

Niestety, piękna katedra, którą wcześniej mijały, okazała się świątynią rzymskokatolicką, w niedzielny poranek więc dziewczęta wzięły udział w anglikańskim nabożeństwie w kościele Świętego Jana. Nigdy nie lubiły opuszczać niedzielnych nabożeństw, tym razem jednak uznały, że warto dopilnować, by posadzono je blisko pulpitu, gdzie zostaną dostrzeżone jako nowo przybyłe. To tylko taka mała, a niewykluczone że pomocna intryga. Przyjęły komunię, starając się skupić myśli na modlitwie, nie zaś na niezwykle ważnej konieczności zarobienia na życie.

Po nabożeństwie specjalnie wyszły z ostatnimi wiernymi. Ucieszyły się, że pastor już jest przed kościołem, gawędzi z członkami kongregacji. Był to dziarski mężczyzna o siwych włosach i wesołym usposobieniu.

Kiedy się pojawiły, natychmiast podszedł je przywitać.

— Widzę, drogie panie, że jesteście tu nowe. Witajcie u Świętego Jana.

Dowiedziały się, że to wielebny Forrester; był bardzo zainteresowany nowymi parafiankami.

Kiedy już powiedziały, kim są i skąd pochodzą, a także opisały długi rejs, który określiły jako nad wyraz przyjemny, acz przyszło im to z wielkim trudem, Ruth zdołała powiedzieć pastorowi, że są guwernantkami.

— Obie. Guwernantki! Słowo daję, jestem pewny, że obie panie będą mieć niezwykle wkład w edukację swoich wychowanków. Doprawdy mamy szczęście, że wybrały panie Brisbane.

Nagle Ruth zabrakło słów. Obarczanie pastora ich problemami na progu kościoła, gdy wkoło czekali ludzie, by z nim porozmawiać, nie wydawało jej się rzeczą słuszną. Emilie jednak czuła, że nie mogą sobie pozwolić na marnowanie czasu.

— Mam taką nadzieję, wielebny. Mam nadzieję, że będziemy mogli wnieść swój wkład w życie tutejszej społeczności. Jednakże spotkał nas zawód. Opuszczałyśmy Anglię z gwarancją, że czekają tu na nas posady, ale po przyjeździe przekonaliśmy się, że wcale tak nie jest.

— Przypuszczam jednak, że to dość wcześnie. — Ruth powtórzyła słowa Penna, na co Emilie spojrzała na nią gniewnie.

— Tak, oczywiście — rzekł pastor. — Nie wątpię, że obie panie bez najmniejszego trudu znajdą odpowiednie zatrudnienie.

- Tak — potwierdziła Ruth uprzejmie.
- Gdyby jednak wielebny słyszał o czymś odpowiednim dla nas — nie ustępowała Emilie — to proszę dać nam znać. Chwilowo zatrzymałyśmy się w pensjonacie Bellevue.
- Doskonale, naturalnie — mruknął pastor mgliście, przechodząc do następnej grupki wiernych. — A teraz proszę wybaczyć, drogie panie.
- Niewiele działyśmy — narzekała Emilie, gdy szły opustoszałą Ann Street.
- Nigdy nic nie wiadomo.

— Kto to był? — zapytała pani Walterowa Bateman. Wielebny Forrester, spełniwszy obowiązki, pragnął teraz kontynuować dyskusję z jej mężem o funduszu budowlanym.

— Damy z Anglii. Przyplłynęły w czwartek na pokładzie „City of Liverpool”. Panny Tissington.

— Doprawdy? Na tym statku przyplłynęło kilkoro moich przyjaciół. Wydałam dla nich wspaniałe przyjęcie powitalne w sobotę wieczorem. Przyprawdzili też innych pasażerów, ale nikt nie wspomniał takiego nazwiska. Kim one są?

— To guwernantki i czarujące damy.

Annie Bateman była zaintrygowana.

— Do licha, sprawiają wrażenie zbyt dobrze urodzonych, żeby być służącymi.

Jej mąż westchnął.

— Trudno nazwać guwernantki służącymi, kochanie. W każdym razie takie guwernantki. Kształcą uczniów w wielkim stylu.

— Ha, i chyba są dobrze opłacane. U kogo pracują, wielebny?

— Nie sędzę, by już przyjęły posady. Jestem pewny, że będą wybredne przy wyborze. A teraz, panie Bateman, naprawdę powinniśmy jak najszybciej zwołać zebranie komitetu...

— Istotnie, wielebny, ale budowa katedry to wyczerpujące zadanie, i to pod wieloma względami. Zwlekam, bo gubernator i premier muszą zostać naszymi patronami. Kiedy będziemy mieć ich podpisy na wykropkowanej linii, każemy prawnikom zarejestrować fundusz oraz nasz komitet jako ciało oficjalne. Tylko jeden komitet, obecnie zbyt wiele chętnych osób tworzy własne kółka. Powinno się je lepiej zorganizować.

— Możesz zostać prezesem tego **komitetu, Walterze** — **wtrąciła** jego żona.

Walter jęknął.

— To się jeszcze zobaczy.

— Widzę, że nasz wielki projekt już znalazł się w dobrych rękach — oznajmił zachwycony pastor.

Mężczyźni rozmawiali o architektach i konieczności przeprowadzenia poszukiwań odpowiedniego kandydata na całym świecie, lecz Annie bardziej zajmowały osoby dwóch guwernantek. Zastanawiała się, kogo stać na zatrudnienie takich doskonałości, i wyobrażała sobie, jakim towarzyskim sukcesem byłoby posiadanie angielskiej guwernantki. W mieście są szkoły, przypuszczają więc, że obie panie wyprowadzą się na wieś, do bogatych posiadaczy ziemskich. Ale do kogo?

Tydzień później, dzięki wysiłkom Penna, plotkom Annie Bateman oraz dyskretnym pytaniom wielebnego Forreстера, o angielskich guwernantkach mówiło całe miasto. Ponieważ siostrom kończyły się fundusze, powiadomiły Penna, że gotowe są wyjechać na wieś. Gdziekolwiek.

Nie krył zdumienia.

— Właśnie dlatego moje starania tak długo trwają. Trzeba czasu, by wysłać tam wiadomość i otrzymać odpowiedź, moje panie. W mieście nie ma pracy dla guwernantek. Sądziłem, że o tym wiecie.

Ruth nie miała wyboru, musiała wynająć pokój na kolejny tydzień i zapytać właścicielki, czy wyrazi zgodę na wykorzystanie adresu jej pensjonatu w ogłoszeniu, które siostry zamierzały umieścić w „Courierze”.

Pani Mediów była pod wrażeniem.

— Może są zarozumiałe i prawdziwe z nich zimne ryby — rzekła do pani Kemp — ale na Boga, mają doskonałe maniere. Dotąd nikt nigdy nie pofatygował się, żeby powiedzieć mi o ogłoszeniu, a one jeszcze zapytały, czy mogą użyć adresu Belleview.

— A po co chcą się ogłosić w gazecie?

— Szukają pracy. Piórkiem by mnie pani przewróciła. Szukają pracy jako guwernantki, a ja myślałam, że to damy z funduszami. Nie mogę się doczekać, jak zobaczę to ogłoszenie.

W piątkowy poranek niemal każdy lokator pensjonatu zdążył przeczytać ogłoszenie, kiedy więc siostry zeszły na śniadanie, jak zwykle spokojne i opanowane, powitał je zakłopotany szmerek. Chociaż pani Mediów trzymała „Couriera” pod ręką, nie zapytały, czy jest gazeta w domu.

— Ostre z nich zawodniczki — stwierdziła rozczarowana.

Zaczęła jednak przeglądać nadchodzącą pocztę, a inni lokatorzy i kucharka patrzyli jej przez ramię.

Annie Bateman także przeczytała ogłoszenie. Sama nie miała dzieci, lecz wysłała list do swojej siostry w Lindsay Downs koło Nanango, w którym powtórzyła wszystkie krążące po mieście plotki oraz powiadomiła o przybyciu do Brisbane dwóch dobrze urodzonych guwernantek. Wcześniej rozpytała się tu i tam, z czystej ciekawości, i odkryła, że Angielki udzielają wszystkich zwykłych lekcji, ale też doskonale znają się na muzyce, językach, retoryce i wszelkiego rodzaju umiejętnościach przydatnych w życiu towarzyskim. Annie przekazała to wszystko siostrze, która miała dwie córki, a na koniec dodała haczyk: angielskim guwernantom trzeba płacić co najmniej sto funtów rocznie oraz zapewnić mieszkanie i wyżywienie. Na co niestety Leonie nie mogła sobie pozwolić.

Ponad sto mil dalej Leonie Stanfield czytała list i uśmiechała się ze smutkiem. Jej córki, dwunastoletnia i dziesięcioletnia, miały guwernantkę, która już otrzymała wymówienie. Była kuzynką męża i nawet w połowie nie zasługiwała na pięćdziesiąt funtów rocznie, które jej płacili. Jako nauczycielka była do niczego. Leonie dość szybko odkryła, że równie dobrze sama mogłaby uczyć córki. Zgadzała się z Annie. Byłoby cudownie, gdyby dziewczęta wreszcie miały prawdziwą guwernantkę. Choć nie po to, by chwalić się nią w sąsiedztwie, Leonie odrzucała również niemądre uzasadnienie.

Lindsay Downs było farmą bydłą, nie największą w okolicy, choć sporą, zajmującą ponad dwadzieścia mil kwadratowych. Wygodny dom w gruncie rzeczy był przerośniętą chatą z gontowym dachem, nic wyjątkowego, lecz Leonie to nie przeszkadzało. Była zadowolona: stanowili zżyta, szczęśliwą rodzinę. Pomimo długiej suszy i spadku cen wołowiny Jackowi Stanfieldowi udawało się jakoś wiązać koniec z końcem. Był nieuleczalnym optymistą, przyjmował takie porażki ze spokojem i za pewnik brał cykle natury.

— Wszystko toczy się kołem — lubił powtarzać, po swojemu cierpliwie się uśmiechając. — Przetrywamy chude lata, jeśli w lata tłuste będziemy zbierać każdy orzeszek.

Był dobrym zarządcą i dobrym człowiekiem i Leonie głęboko go kochała. Wiedziała, że sto funtów dla guwernantki to ekstrawagancja, na którą Jack nigdy się nie zgodzi. Nikt na farmie, nawet brygadzysta, tyle nie zarabiał. W sercu jednak lamentowała. W spokojnych czasach nachodziło ją pragnienie, mgliste pragnienie, by więcej wiedzieć o różnych sprawach... Żałowała, że nie jest — już samo to słowo sprawiało, że kurczyła się w obawie przed szyderstwem — bardziej kulturalna. Tak, o to chodziło. Wybrała to określenie pewnego dnia pomiędzy zachodem słońca a zmierzchem, kiedy niebo zalały fale złota i czerwieni. Było tak pięknie, że Leonie żałowała, iż nie ma obrazu, który ten widok na zawsze by zachował.

W domu było kilka książek, Bóg tylko wie, skąd się wzięły: poezje Wordswortha, jej ulubione, parę egzemplarzy Biblii, żywoty wielkich generałów, historia Anglii, antologia Szekspira, książki Jacka o hodowli i rolnictwie oraz kilka romantycznych powieści. Te ostatnie przywiozła obecna guwernantka jako lekką lekturę dla dziewczynek.

Leonie chciałyby mieć więcej książek. Dobrych powieści. Albumów o sztuce i pięknych przedmiotach. Nie orientowała się jednak, gdzie je zamówić, a żadna ze znajomych osób nie potrafiłaby jej w tym względzie oświecić, nawet gdyby zapytała. Lecz nie chodziło tylko o książki; były też inne rzeczy, niemożliwe do zdefiniowania dla kobiety mieszkającej na wsi, której edukacja ograniczyła się do najbardziej podstawowych nauk pobranych w małej szkole w buszu. Leonie pragnęła, by o tych rzeczach wiedziały jej córki, a przecież angielska guwernantka miałyby je w małym palcu. Kultura. Nie ośmielała się wypowiedzieć tego słowa przy Jacku, boby ją wyśmiał. Pomyślałby, że Leonie idzie w ślady Annie, której afektacja bawiła go, a czasami irytowała.

Odpowiedziała na list siostry, pamiętając przy tym, by napomknąć o odejściu obecnej guwernantki. Wolała nie pisać wprost, że ją wyrzucili, bo nie chciała robić dziewczynie złej opinii w Brisbane. Annie za dużo mówiła. Dodała, że angielska guwernantka byłaby idealna dla Jane i Jessie, ale kogo na nią stać? W każdym razie nie Stanfieldów.

Mimo to śniąc na jawie widziała piękną scenę: jej córki w białych muślinach siedzą pod wistarią z elegancką guwernantką, która udziela im lekcji sztuki. Pędzle, farby i sztalugi dopełniały obrazu. Kiedy indziej wyobrażała sobie córeczki przy pianinie, grające pięknie dla gości, a obok stoi guwernantka, dumna ze swych uczennic. Na razie jedynym, który umiał grać na pianinie, był Jack, ale on grał ze słuchu. Leonie westchnęła. Jak cudownie by było, gdyby jej córki wyrosły na eleganckie, wykształcone damy, prowadzące życie pełne, a nie ograniczone do farmy i rozmów o pogodzie, bydłe i dzieciach.

A potem Annie przysłała siostrze kolejny list, tryskający podnieceniem i dotyczący jednego tylko tematu.

*Posłuchaj uważnie, Leonie... To dotyczy panien Tissington, o których Ci pisałam, tych guwernantek. Zamieściły ogłoszenie, że szukają pracy. To znaczy, że na razie nie mają żadnych ofert. Będę sprawdzała, czy ogłoszenie znowu się pojawi, i może Ty będziesz miała szczęście. Wiesz, może Ci się uda zatrudnić którąś z nich za niższe wynagrodzenie. Wiem, że płaciliście kuzynce pięćdziesiąt funtów. A gdyby udało się przyjąć Angielkę za tyle samo? Co moim zdaniem i tak jest dużo. Zatelegrafuj, jeśli chcesz, żebym się wywiedziała...*

Leonie była zachwycona. Jack nie będzie się sprzeciwiał takiej kwocie. Wysłała depeszę, ale nie robiła sobie wielkich nadziei. Skoro te panie zamieściły ogłoszenie, to pewnie zaleją je oferty. Powiedziała Jackowi, co tym razem wymyśliła Annie.

— Annie i ty — uściślił. — Ale gdyby udało jej się namówić jedną z Angielek do przyjazdu tutaj i przyjęcia ustalonej przez nas pensji, to nic przeciw temu nie mam. Co dziewczynki o tym myślą?

— Jeszcze im nie mówiłam. Nie chcę, żeby się rozczarowały.

Odpowiedzi na ogłoszenie osobiście doręczała im właścicielka, która ciągle pytała, czy coś im się trafiło. Zakłopotana Ruth odpowiadała zawsze tak samo:

— Jeszcze nie podjęłyśmy decyzji, pani Mediów, ale dziękujemy za troskę.

Codziennie otrzymywały co najmniej trzy lub cztery odpowiedzi. Niecierpliwie otwierały koperty i nieodmiennie czekało je rozczarowanie. Dziewczęta sądziły, że wyraźnie określiły, czego oczekują, lecz ich korespondenci jakby tego nie rozumieli. Proponowano im posady pielęgniarek, nawet kucharek. Jakaś kobieta napisała, że jest wdową, ma ładny dom i chętnie przyjęłaby kogoś do towarzystwa, ale nie stać jej na wypłacanie pensji. Siostry dostały też dwie propozycje małżeństwa od nieznamomych mężczyzn, co mimo powagi położenia rozśmieszyło je do łez. Ktoś chciał dowiedzieć się czegoś o siostrze, która wyjechała do Londynu, i miał nadzieję, że angielska guwernantka spełni jego życzenie, a dwie nauczycielki pytały, czy panny Tissington nie mogłyby im pomóc w znalezieniu zatrudnienia. Te prośby były przygnębiające.

Drugie ogłoszenie, które pojawiło się w gazecie pod koniec tygodnia, zostało właściwie odczytane i pani Mediów niezwłocznie je skomentowała:

— Wciąż nic się nie trafiło?

Ruth przyznała, że na razie nie udało im się znaleźć odpowiednich posad. I tak się zastanawia... czy pani Mediów ma tańszy pokój?

— Tańszy pokój? Nic o tym nie wiem. Wszystkie nasze pokoje są w tej samej cenie, z wyjątkiem pokoju za kuchnią. Są w nim tylko dwa pojedyncze łóżka i niewiele więcej. Zwykle wynajmuję go komiwojażerom. Wie pani, jacy oni są, i tak rzadko widują łóżko. Ale tam wasze kufrы w żadnym razie by się nie zmieściły.

— Och. — Ruth skłonna była przenieść się do tego pokoju, wiedziała jednak, że Emilie nigdy by się na to nie zgodziła. — No cóż, nieważne. Zostaniemy tam, gdzie jesteśmy.

— Przykro mi — powiedziała pani Mediów, szczerze zmarwniona, co wzruszyło Ruth. Zamykając drzwi za sobą, miała łzy w oczach.

Wciąż odwiedzały biuro Penna, bardziej z przyzwyczajenia i dla zapełnienia sobie czasu niż z nadziei, tego ranka wszakże agent czekał na siostry z dobrymi wieściami.

— A nie mówiłem, że znajdę wam posadę? — zapytał śpiewnie, używając słowa, które od nich usłyszał. — W dodatku nie jedną. Dwie, w tym samym mieście. Proszę dalej, moje panie.



Usiadły na nierównej sofie w jego gabinecie, popatrując na siebie, niezdolne ze zdenerwowania wykrztusić słowa, i słuchały, jak Penn szybko i bezosobowo radzi sobie z nieszczęsnymi kobietami, które w zależności od sytuacji śmiały się, płakały albo krzyczały na niego.

Emilie uniosła brew i szepnęła sarkastycznie:

— I wszystko w jeden dzień.

Wreszcie Penn wrócił do nich, w rękę trzymając zniszczoną księgę.

— Zaraz, niech sprawdzę. Miasto Maryborough, położone na północ od Brisbane. To tylko kilkaset mil. Port węlniany. Bardzo ważny, niektórzy powiadają, że większy niż Brisbane. Nie powinnyście były marnować pieniędzy na te ogłoszenia. Czytałem je. Nie żywię urazy. Ale umieściłem własne ogłoszenia w „Maryborough Post”. Będę musiał obciążyć panie kosztami. Trzy szylingi. Zgadzaście się?

Obie kiwnęły głowami.

— To i tak taniej niż w „Courierze”. Mam dwie posady, jak mówiłem. I obie obiecujące. Pierwszą oferuje pani Manningtree. Ma troje dzieci, siedem, osiem i dziesięć lat, najstarszy to chłopiec. Mieszka w mieście. Ma urządzony ze smakiem dom, co chyba was ucieszy. Tak w każdym razie ona twierdzi. W okolicy nie ma porządných szkół i rozpaczliwie poszukuje guwernantki.

— To cudownie — szepnęła Ruth.

— Doskonale. W gazecie podałem wysokość pensji...

— Nie! — krzyknęła oburzona Ruth.

— Nie ma sensu marnować czasu. Ani waszego, ani jej. Lepiej od razu wszystko powiedzieć. Tak czy owak, pani Manningtree nie stać na sto funtów, proponuje osiemdziesiąt. Może być?

— Tak. Tę posadę przyjmie Emilie.

— Nie, Ruth, ty ją weźmiesz.

— W żadnym razie. Przynależało mi, że pierwsza posada jest dla ciebie, niezależnie od tego, co się zdarzy.

— Dobrze — powiedział Penn. — Panna Emilie ma pracę. Druga oferta jest od pani Mooney, także z mieszkaniem. Zapłaci siedemdziesiąt funtów, ani pensa więcej, ale ma tylko jedno dziecko. Trzynastoletnią córkę. Pisz, że nie ma czasu, żeby samej zająć się dziewczynką...

— Powiedział pan: Mooney? — zapytała Ruth. — Czy to irlandzkie nazwisko?

— Tak. Dziwne, że mają tylko jedno dziecko. Pewnie musi być jakiś powód...

— Panie Penn — wtrąciła Emilie — Ruth próbuje panu powiedzieć, że nie brałyśmy pod uwagę pracy u papistów.

Agent zamrugał zdziwiony.

— Dlaczego nie? Nie wyobrażam sobie, żeby próbowali panią nawrócić. — Nie czekał na odpowiedź. — Pani Mooney jest właścicielką hotelu Prince of Wales. Słyszałem o nim. Jeden z najlepszych w mieście, powiadają, pokoje gościnne, sala jadalna, pełne wyposażenie.

— I gdzie mieszkają? — zapytała Ruth.

— W hotelu oczywiście. Pani też dostanie swój pokój. Będzie pani miała doskonałe warunki.

Ruth pokręciła głową.

— Obawiam się, że nie. Mieszkanie w hotelu nie wchodzi w grę. Ani u tych ludzi. Będzie mi pan musiał znaleźć coś innego.

Penn nie krył irytacji. Pochylił się i powiedział:

— Wydaje mi się, drogie panie, że żebracy nie mogą przebierać. Znalazłem wam dwa miejsca, tak jak obiecałem. Albo je bierzecie, albo same szukajcie sobie pracy.

— Możemy przez dzień się nad tym zastanowić, panie Penn? — zapytała Emilie.

— Do jutra, tak, ale tylko do jutra. W przeciwnym wypadku sam zajmę się tą ofertą. To moja praca, chyba rozumiecie. Nie pozwolę, żeby takie okazje się marnowały.

Tissingtonowie nie byli abstynentami. Wino przy różnych okazjach pojawiało się na stole, William po kolacji z lubością palił fajkę i popijał porto. Na statku dziewczęta miały własny rytuał, kieliszek wina dziennie, jedna z ich nielicznych przyjemności. Wino było niezłe, niezwykle tanie jak na tę jakość, a kupowały je od pierwszego oficera, który nie naliczał akcyzy. Poczują się lepiej, kiedy dostarczył im pretekstu do picia. Powiedziały mianowicie, że lekarze z powodów zdrowotnych zalecają wino w czasie długich rejsów, w ten sposób bowiem zapobiega się skutkom braku świeżych warzyw.

— Wielu lekarzy ma własne winnice w koloniach i doskonale im się powodzi — mówił pierwszy oficer. — Choć na początku zajęli się winiarstwem, żeby zaopatrzyć statki w wino na rejs powrotny.

Mimo że siostry nie miały nic przeciwko alkoholowi w odpowiednim miejscu i porze, żadna nie potrafiła sobie wyobrazić, że zamieszka w hotelu. Poza wstrętem, jaki ten pomysł budził, obawiały się też o swoją reputację. Kiedy doszły do pensjonatu, dylemat wciąż pozostał nierozwiązany. Emilie miała posadę, pojedzie do Maryborough, ale co z Ruth? Powinna zostać w Brisbane i liczyć na to, że znajdzie sobie inne miejsce, czy przyjąć tę okropną propozycję jako ostateczność?

Emilie poszła pozbierać pranie ze sznura, Ruth zaś skierowała się do zajmowanego przez nie pokoju. Po drodze zaczęła ją pani Mediów.

— Panno Tissington, czekałam na panią. Jakaś dama chce się z panią zobaczyć. Jest w salonie. Proszę za mną, przedstawię panią. Ta dama ma dla pani pracę.

Ruth skrzywiła się. Wolałaby, żeby gospodyni nie mówiła o „pracy”, jakby były robotnicami albo czymś w tym rodzaju.

Witając się z panią Bateman, rozpoznała w niej kobietę, którą widziała przed kościołem Świętego Jana w dniu, gdy rozmawiały z pastorem. Jak mogła zapomnieć? Kobieta miała ten sam okropny kapelusz, przeładowany wstążkami.

— Tak się cieszę, że panią widzę — rzekła podekscytowana. — Iz tego, że wciąż jest pani wolna. To znaczy jako guwernantka. Pani Mediów mówiła mi...

Ruth zirytowana tupetem gospodyni, która nie ruszała się z miejsca, jakby zamierzała wziąć udział w rozmowie, spojrzała na nią stanowczo.

— Dziękuję, pani Mediów, to wszystko.

Rozgniewana taką odprawą gospodyni wyszła pośpiesznie, a pani Bateman uniosła brwi, bo zaimponował jej władczy ton guwernantki.

— Muszę pani powiedzieć, pani Bateman — zaczęła Ruth — że moja siostra i ja otrzymałyśmy dzisiaj dwie doskonałe propozycje posad.

— O nie, proszę mi nie mówić, że się spóźniłam.

— Niekoniecznie. Do jutra mamy czas na podjęcie decyzji. Może będzie pani taka uprzejma i powie mi o swojej propozycji. Ten fotel pod oknem jest bardzo wygodny, proszę na nim spocząć.

— Dziękuję, panno Tissington.

Podczas gdy pani Bateman układała fałdy swej obfitej spódnicy, Ruth usiadła sztywno naprzeciw niej na prostym krześle

i czekała, aż ewentualna pracodawczyni zacznie mówić pierwsza.

— Moja siostra, pani Stanfield, szuka guwernantki. Mieszka na farmie bydłowej na zachodzie. Nie tak daleko stąd, tylko jakieś sto mil. Właściwie to farma jest na północny zachód. Siostra ma bardzo przytulny dom i dwie urocze córki. Ma też pianino i chciałyby, żeby dziewczynki uczyły się muzyki. Uczy pani muzyki, panno Tissington?

Ruth skinęła głową.

— Wiedziałam, że tak, oczywiście. Rodzina mojej siostry mieszka niedaleko miasta Nanango. To małe miasteczko, właściwie osada, ale bardzo tam sympatycznie. I bardziej sucho, nie tak wilgotno jak w Brisbane. My jesteśmy w dolinie, rozumie pani, i w upalne dni rzadko tu wieje. Sama mam dom przestronny i chłodny, ale trudno oczekiwać takiego standardu na wsi. Cóż, nie w przeciętnym gospodarstwie, by tak to ująć. Mój drogi mąż jest inspektorem celnym w Brisbane, ma biura w domu celnym, okazałym budynku, który być może pani zauważyła...

Ruth pozwoliła jej paplać, uznała bowiem, że gdyby w tych okolicznościach przerwała, zachowałaby się nieuprzejmie. Nie lubiła pani Bateman, uważała ją za kobietę dość przeciętną, ale to nieistotne, skoro nie u niej miała pracować. Posada wydawała się doskonałą, siostra może przecież okazać się zupełnie inna.

— Czy jeszcze o czymś chciałyby pani usłyszeć? — zapytała wreszcie pani Bateman.

— Zastanawiałam się, czy Nanango położone jest blisko Maryborough?

— Maryborough? To port, Nanango zaś znajduje się w głębi łądu. I dzieli je spora odległość. Przypuszczam, że Maryborough jest na dalekiej północy.

— Och! Moja siostra rozważa przyjęcie posady w Maryborough, ja natomiast nie jestem pewna, czy odpowiada mi druga posada w tym samym mieście. Muszę przyznać, że oferta pani Stanfield wydaje mi się o wiele atrakcyjniejsza.

Pani Bateman nie kryła podniecenia.

— Więc ją pani przyjmie?

— Należy rozważyć także inne aspekty. Jakie wynagrodzenie proponuje pani Stanfield, jeśli oczywiście uzna mnie za właściwą kandydatkę? Mam doskonałe referencje, pani Bateman. Jeśli pani sobie życzy, mogę je pani pokazać.

— Nie, nie ma takiej potrzeby. Doskonale znam się na ludzkich charakterach, o ile wolno mi o sobie tak mówić. I jestem przekonana, że jako dama wykształcona okaże się pani także kompetentna. Pozwoli pani, że dodam, iż nie będzie pani żałowała przyjęcia tej posady. Pan Stanfield to uroczy człowiek, dziewczynki są dobrze wychowane, będzie pani miała własny pokój, a moja siostra z radością panią powita. Zostaniecie jedną wielką szczęśliwą rodziną, by tak to ująć.

— A wynagrodzenie?

— Siostra proponuje pięćdziesiąt funtów na rok. To spora suma, nie sądzi pani?

— Och, to o wiele mniej niż obowiązująca stawka.

— Ale będzie pani miała tylko dwie uczennice i niezależność. A także mieszkanie i wyżywienie za darmo.

— To się rozumie samo przez się.

— Jestem pewna, że spodoba się pani tamtejsze życie. Gdybym to ja miała wybierać, wolałabym wyjechać do Nanango, a nie do Maryborough.

— Doprawdy? A dlaczego?

— No cóż, Maryborough to przecież port. Rzeczny port, dość niebezpieczny. Spotka tam pani zupełnie innych ludzi niż w porządnych wiejskich miasteczkach.

Dla Ruth to załatwiło sprawę: hotel był wykluczony. Pracydawcy Emilie wydawali się rozsądni, skoro mieli wielki dom. Przecież muszą tam mieszkać jacyś uczciwi ludzie. Martwiła się, że wyraziła zgodę na niską pensję, nie zapomniała bowiem o konieczności spłaty pożyczki zaciągniętej w Towarzystwie. Niewiele jej pozostanie na życie, nawet z zapewnionym wyżywieniem. Zawsze są inne wydatki, ubrania i tak dalej. Emilie sprzeciwiałaby się przyjęciu tak niskiego wynagrodzenia.

Spojrzała na panią Bateman.

— Czy pani Stanfield rozważyłaby siedemdziesiąt funtów?

— Och, to niemożliwe. To dobra rodzina, ale niezbyt bogata. Żyją wygodnie, ale nic ponad to. Mają za sobą kilka złych lat, susze fatalnie się odbiły na ich sytuacji finansowej. Musi wystarczyć pięćdziesiąt funtów.

Przenikliwy wzrok pani Bateman mówił wyraźnie, że w tej kwestii negocjacji nie będzie, i Ruth podjęła decyzję. Powie Emilie, że pani Stanfield zaproponowała siedemdziesiąt funtów, i będzie oszczędzać każdy grosz.

ZATOKA ORCHIDEI

— Pani charakterystyka posady i rodziny **sprawia, że trudno** mi odmówić — powiedziała. — Będę zaszczycona **mogąc u nich** pracować.

— Za pięćdziesiąt funtów?

Ruth skinęła głową.

— Kiedy mam zacząć?

— Natychmiast, panno Tissington! Nie potrafię wyrazić, jak bardzo w pani imieniu się cieszę. — Nieoczekiwanie pani Bateman poderwała się na nogi, jakby w obawie, że guwernantka zmieni zdanie. — Powiadomię o naszej rozmowie moją siostrę i postaram się załatwić dla pani dyliżans. Zapewniam, że nie będzie pani żałowała, a pani Stanfield z radością panią powita.

— Jeszcze jedno, pani Bateman. Czy może mi pani powiedzieć, jak moja siostra dostanie się do Maryborough? Zapomniałyśmy o to zapytać. Czy ona też powinna jechać dyliżansem?

— Może, ale to długa podróż z wieloma przesiadkami. Wygodniej jest płynąć.

Pożegnawszy się z panią Bateman, Ruth poszła oznajmić Emilie, że w końcu obie mają posady, choć nie potrafiła znaleźć w sercu radości. Teraz się rozstaną, pojedą między obcych, każda zdana tylko na siebie. Ruth zmówiła modlitwę prosząc Boga, by opiekował się jej młodszą siostrą i zachował ją w dobrym zdrowiu i szczęściu.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Duchota przyniosła nieunikniony deszcz, który z mżawki zmienił się w ulewę, i kiedy Mai dotarł wreszcie na jarmark, zwijano namioty, a kupcy salwowali się ucieczką. Nic jednak nie potrafiło zepsuć mu nastroju w to sobotnie popołudnie. To był ciekawy dzień. Zawrócił konia i pozwolił mu iść stępa, nie zważając na deszcz, który wcale nie był dokuczliwy, nie przeżywał zębem do kości jak te straszne ulewy na południu.

Na rogu ulicy zobaczył przedziwny pojazd i po raz kolejny zadumał się nad skłonnością ludzi z miasta do wyróżniania się od innych, przez co człowiek na każdym kroku trafia tu na rozmaite cudactwa. Cztery konie ciągnęły wielką platformę z wysokim płóciennym baldachimem, coś w rodzaju zamkniętego wozu. Zawsze ciekawski i nie mający akurat nic innego do roboty Mai zeskoczył z siodła, przywiązał konia do palika i stanął pod markizą, by zbadać sprawę.

Na jednym z kół umocowana była deska z napisem: **WSZYSCY NA POKŁAD DO GYMPIE, NIEZWYKŁEGO ŻŁOTEGO MIASTA.**

— Co to jest? — zapytał człowieka w białym płaszczu, który odbierał opłaty od kilku klientów. Wokół gromadził się tłumek, by obserwować wydarzenia, a może po prostu schronić się przed deszczem.

— Żłoto! — odparł mężczyzna. — A ty wyglądasz na odpowiedniego młodzieńca. Masz dobre mięśnie, ale czy masz dwa funty?

— Mam własnego konia, proszę pana. Ale gdzie jest Gypmie?

— Na północy, kolego. Całkiem blisko dla jeźdźca, za to za daleko dla wlokących się pieszo kopaczy, chyba że wolą stracić wszystkie siły, nim dojdą na pola.

— I pan ich tam wiezie?

— I to w ekspresowym tempie. Najtańszy sposób dojazdu. Można tam dojechać tylko dylizanssem, ale jest za drogi dla robotnika.

— A niech mnie dunder świśnie! I jest złoto w tym niezwykłym złotym mieście?

— Najlepsze, jakie dotąd znaleziono, tak powiadają. Moi pasażerowie wrócą jako milionerzy. Chcesz z nami jechać?

— Niewykluczone. — Mai w żadnym razie nie zamierzał mówić o swoich planach. Ten facet za bardzo wyglądał na oszusta z jarmarków, żeby mu zaufać, choć wyprawa na pola złotonośne to może nie taki zły pomysł. Stał na uboczu, obserwując podnieconych mężczyzn odliczających dwa funty drobnymi, niektórzy nawet puszczały w obieg kapelusze, by zebrać całą sumę, lamentując przy tym o nędzy i głodujących rodzinach. Przypominali mu oszalałych graczy na wyścigu.

Kiedy zniszczony kapelusz dotarł do Mała, ten wygrzebał z kieszeni pięć szylingów.

— Uważasz, przyjacielu, że stawiasz na dobrego konia? — zapytał.

— Bardzo dobrego! Tylko wariat tam nie jedzie. Taka okazja już się nie powtórzy. — Nieznajomy zobaczył wpadające do kapelusza szylingi i spojrzał na Mała z wdzięcznością. — Jesteś dżentelmenem, chłopcze. Barney Magee nie zapomni o tobie, kiedy zdobędzie fortunę.

Mai wyszczerzył zęby. Urodzony cynik, zauważył, że Magee nie pofatygował się zapytać go o nazwisko, tak by nie zapomnieć dobroczyńcy, kiedy zdobędzie fortunę w Gympie, niezwykłym złotym mieście.

Magee wdrapał się na wóz, a właściciel wciąż wykrzykiwał:

— Wsiadajcie! Wsiadajcie! Mam tylko parę miejsc! Nie pozwólcie, żeby ktoś was uprzedził! A może pan?

Chudy mężczyzna o ściągniętej smutnej twarzy zapytał, czy mógłby zapłacić za przejazd u celu, ale został zignorowany. Mai wrócił do swojego konia. Nie miał gorączki złota, jak to nazywano, ani nie spodziewał się, że w przyszłości go dopadnie, ale ciekawość nie minęła. Równie dobrze może się przyjrzeć polom.



Mai wkrótce się przekonał, że wyprawa na północ przypominała raczej bieg z przeszkodami, poczynając od samego szlaku, który był wyrazisty wyłącznie dla ludzi znających te okolice. Wyboiste ślady po kołach prowadziły we wszystkich kierunkach, wiele z nich kończyło się ślepych zaułkiem w pierwotnym buszu, stanowiącym schronienie dla grasujących po terenie Aborygenów. Szlaki wydeptane przez owce kończyły się na odległych farmach, powodując dezorientację i złość. Wezbrane po deszczach zwiastujących początek zimy rzeki, zjawisko nowe dla zrozpaczonych południowców, zagradzały drogę, na ich brzegach rozbijali obozowiska podróżni, którzy targowali się z przewoźnikami o koszty przeprawy promem. Dręczeni nieustannym deszczem i błotem, ogarnięci strachem wędrowcy pieszo i na wozach z trudem parli naprzód.

Mai uświadomił sobie, że strach jest gorszy niż gorączka. Strach, że pokłady złota się wyczerpią, nim człowiek zdąży dotrzeć do celu. Strach przed atakiem Aborygenów na obozujących samotnie, który sprawiał, że ludzie dla bezpieczeństwa zbierali się w grupy, co wszakże bywało powodem kolejnych kłopotów. Nazbyt wielu budziło się rano ze strasznych i przerażających snów o mordach i gwałtach, by się przekonać, że obrabowano ich z tak rozpaczliwie potrzebnego jedzenia i sprzętu, a co gorsza, także ze strzelb. Na szlakach po bezdrożach, gdzie zwykle spędzało się czas z nieznanymi, królowały podłość i podejrzliwość. Wszyscy wiedzieli, że bandyci nie będą zadawać sobie trudu z takimi żałosnymi wędrowcami, skoro czekają na nich prawdziwe zdobycze pomiędzy polami złotonośnymi a portem w Maryborough, więc ostrożnie spoglądali w twarze tak zwanych przyjaciół. Stronili od Niemców i Szwedów, a przede wszystkim wyładowywali frustrację na enigmatycznych Chińczykach, którzy dreptali spokojnie, jakby nieświadomi niebezpieczeństwa. W obozach i przydrożnych karczmach wybuchały często bójki, lecz Chińczycy, z determinacją dążący do celu, nie dawali się w nie wplątać. Umykali w ciemność i znikali, pozostawiając strach przed nożami tak ostrymi, że przecinały ludzkie gardło.

Mai się nie śpieszył. Jeśli złoża się wyczerpią, to trudno. Zarobił kilka funtów, przez tydzień pracując jako pomocnik przewoźnika, po czym za darmo przeprowił się przez rzekę. Zawędrował na owczy szlak, gdzie spotkał największe stado tych

zwierząt, jakie w życiu widział. Zdumiony rozmawiał z właścicielem, który powiedział mu, że prowadzi dwanaście tysięcy owiec na zachód stanu, gdzie zakłada farmę, i przydałby mu się nowy poganiacz...

— Bo niektórzy z moich drani zwiali do Nashville.

— Gdzie jest Nashville? — zapytał Mai.

— Jakieś sześćdziesiąt mil w górę rzeki od Maryborough. Nash znalazł tam złoto. Teraz to miejsce nazywają Gympie. Po aborygeńsku to znaczy „klujące drzewo”. Tam się wybierasz z resztą tych kundli?

— Niewykluczone.

— Posłuchaj, synu, poświęć mi tydzień. Dobrze ci zapłacę. To wielkie stado, a tereny przybrzeżne są piekielnie trudne. Kiedy przeprawimy się przez te wzgórza, znajdziemy się na bardziej otwartych przestrzeniach. Wtedy będziesz mógł zawrócić.

Tak jak Mai się spodziewał, po trudnym przejściu przez góry właściciel zaproponował mu, żeby z nimi został, ale on nie miał ochoty miesiącami przedzierać się przez ledwo zbadany kraj, odebrał więc zapłatę i zawrócił. Kiedy znowu znalazł się na szlaku do Gympie, dołączył do kilku kopaczy, żeby posłuchać najnowszych wieści; ucieszyło go, że pokłady złota jeszcze się nie wyczerpały. Z owczarzami czuł się bezpiecznie, mówił ich językiem i przyjemność sprawiało mu ich towarzystwo, po powrocie więc tak bardzo się nie pilnował. Poza tym jadąc przez bezdroża, napotkał dwie grupy czarnych tubylców. Wyglądali groźnie, w rękach ściskali włócznie i dzidy. Przypuszczał — miał nadzieję — że wyprawili się na polowanie, i powitał ich uśmiechem i przyjaznym machaniem. Nie próbowali go niepokoić, na wypadek jednak gdyby uznali, że samotny jeździec stanowi łatwą zdobycz, nie spał przez dwie noce, odpoczywał tylko z jednym okiem szeroko otwartym i strzelbą gotową do strzału. Był zmęczony. Głupi, tak sobie później powiedział.

Kucharz poganiaczy dał mu soloną baraninę i kilka konserw na drogę; Mai podzielił się tymi zapasami z nowymi przyjaciółmi, po czym rozwinął derkę i zapadł w błogosławiony, odpęrzający sen przy gasnącym ognisku.

Rano przekonał się, że kopacze zniknęli. Podobnie jak jego pieniądze, jedzenie, strzelba i amunicja. Amatorzy, zostawili mu konia.

Malowi wpadło do głowy, że to mogli być zwykli rabusie, nie kopacze, polujący na górników wędrujących na północ, więc na wszelki wypadek zawrócił. Kiedy napotkał obozowisko Chińczyków, podał im opis tych mężczyzn i naturalnie dowiedział się, że jego byli przyjaciele pojechali na południe. W przeciwieństwie do wielu innych ludzi spotykanych na szlaku Mai nie miał najmniejszych problemów z Chińczykami. Na wielu farmach byli chińscy kucharze, którzy zawsze dobrze odnosili się do chłopca podróżującego z ojcem, w rezultacie czego Mai więcej chyba wiedział o tej nacji niż jego staruszek.

Mai odszukał najważniejszego starca w chińskim obozie i nawiązał z nim uprzejmą rozmowę, w trakcie której ze smutkiem wspominał, że go obrabowano. Poprosił też o wyświadczenie małej przysługi.

Po rozważeniu kwestii pan Xiu przemówił pośpiesznie do kulisa, który zaraz przyniósł flakon pełen pigułek. Wysypał kilka i zawinął w ryżowy papier, a kiedy jego szef kiwnął głową, wręczył je Malowi.

Pogoda się poprawiła i słońce wysuszyło na kamień błotniste koleiny, zamieniając je w nierówne bruzdy, co utrudniało życie piechurom, za to ułatwiało jeźdźcom. Mai mógł teraz przyspieszyć. Rozglądał się za złodziejami, ale dopiero po jakichś dwudziestu milach zobaczył, jak wychodzą z przydrożnego zajazdu z workiem po cukrze pełnym zapasów.

— Pewnie kupione za moje pieniądze — mruknął obserwując ich zza krzaków.

Rozbili obozowisko milę dalej, Mai więc zawrócił do buszu, gdzie zostawił konia, i bezszelestnie ukrył się w zaroślach, wyczekując odpowiedniego momentu. Kiedy kociołek z herbatą zaczął bulgotać nad ogniskiem i rozszedł się zapach pieczonego mięsa, ruszył do akcji. Najpierw konie.

Rozwiązał je i klepnął po zadach, po czym wycofał się, by z uciechą obserwować dalsze wypadki. Mężczyźni przy ognisku usłyszeli hałas i natychmiast rzucili się w pogoń za wierzchowcami, które spłoszone biegły zygzakiem w stronę drogi. Wkrótce je złapali, lecz dali Malowi dość czasu. Nie zauważony przez nich wrzucił opiumowe pigułki do herbaty i zniknął. Miał nadzieję, że okażą się skuteczne. Próby pokonania dwóch uzbrojonych mężczyzn szczyrykiem i pejczem z góry skazane były na klęskę.

Wyglądało jednak na to, że pan Xiu wiedział, co robi. Nie minęło wiele czasu, a obaj rabusie chrapali wniebogłose koło przygasającego ognia, pogrążeni w rozkosznych rojeniach.

Złodzieje zostali okradzeni z pieniędzy, większej części zapasów i koni. Mai galopował przez noc prosto do przystanku ostatniego promu. Kiedy przewoźnicy wyszli ze swych chat do pracy, sprzedał oba konie szefowi, biorąc po dziesięć funtów za każdego, pięć mniej, niż wynosiła przeciętna cena, ale też o nic go nie pytano.

Po tym wydarzeniu Mai trzymał się owczych szlaków, które prowadziły dalej od wybrzeża niż drogi uczęszczane przez wozy, lecz były o wiele bezpieczniejsze.

Jechał przez wzgórze Gypie, szeroko otwartymi ze zdumienia oczami oglądając tętniącą życiem osadę i gołe zbocza, z których wycięto drzewa. Podążał szlakiem prowadzącym między dwoma rzędami namiotów i kopców ziemi, popatrując na robotników, którzy niczym mrówki tłoczyli się nad rzeką z ogromnymi sitami w dłoniach albo machali łopatami i kilofami z taką zapalczywością, jakby od tego zależało ich życie. Było tu gorzej niż w miejskich slumsach, cuchnęło jak w rynsztoku. Połcie surowego mięsa wisały przed prowizorycznymi jatkami, niepokojone przez wrony psy i kozy grzebały w śmieciach pomiędzy namiotami, pijacy zataczali się przed budami z alkoholem, a niechlujne kobiety próbowały ratować ostatni grosz, odciągając swych mężczyzn od pokusy.

Skoro jednak Mai już tu był, to równie dobrze mógł sprawdzić, co da się zrobić.

Chociaż cały teren sprawiał wrażenie pogrążonego w kompletnym chaosie, Mai wkrótce się przekonał, że jakieś zasady jednak istnieją, a dobruśnicy kopacze chętnie udzielają rad. Wykupił pozwolenie w biurze rejestracyjnym, kwadratowym szałasie zbudowanym z drewnianych bali, i tuż za progiem zaczepił go młody Anglik.

— Sam, sir?

— Niewykluczone. A kto chce wiedzieć?

— Clive Hillier, do usług.

— W jakiej sprawie?

— Jako współlnik. Tutaj bez współlnika niczego **pan** nie osiągnie.

' — I pan sam siebie na tę funkcję mianował?

— Właśnie.

— Dlaczego?

— Bo mam działkę i potrzebuję kogoś, kto by ze mną pracował. Może pójdziemy na szklaneczkę do szynku i omówimy tę sprawę?

Mai roześmiał się. O, na pewno nie da się nabrać. To oszust, który szuka darmowego napitku.

— Przykro mi, ale ja nie piję.

— Tym lepiej — powiedział Anglik z typowym dla swej nacji nosowym akcentem. — W takim razie chodźmy do mojego namiotu na filiżankę herbaty.

Robił dobre wrażenie, miał ciemne włosy, gładko ogolone policzki i szczupłą budowę, a ubrany był w skórzane spodnie utknięte w wysokie do kolan buty, które musiały kosztować kawał grosza, nim trafiły w tę okolicę. Przypominał Malowi Anglików, którzy przyjeżdżali na owcze farmy ze Starego Kraju, przyjaciół właścicieli lub nowych znajomych, pragnących się dowiedzieć, jak zrobić tu fortunę. Mai uznał, że nie ma nic do stracenia, a herbaty chętnie się napije.

Nad kubkiem w schludnym namiocie dowiedział się, że Hillier jest bankrutem. Skończył się okres wynajmu działki, a nie stać go było na odnowienie umowy. Prawdę mówiąc, nie stać go też było na wyjazd.

— Do Maryborough jest stąd sześćdziesiąt mil w dół rzeki — powiedział. — W ostateczności, o ile będę miał większe szczęście niż kiedykolwiek dotąd, mógłbym może do kogoś dołączyć...

— Nie masz konia?

— Sprzedałem, stary druhu. Trudno wyjechać, kiedy codziennie tuż koło ciebie jakiś przekłety wariat wrzeszczy, że trafił na żyłę. Możesz mi wierzyć, to działa.

— Na mnie na pewno nie. Czego ode mnie chcesz? Pomocy finansowej?

— Powiedziałbym inwestycji, jeśli masz pieniądze.

Mai chował w pasku ponad czterdzieści funtów, ale jeśli Anglik na nie liczył, to znowu miał pecha.

— Kilka funciaków — odparł ostrożnie.

— Więc może odnowiłbyś dzierżawę na nazwiska nas obu? W rewanżu mógłbyś ze mną zamieszkać. I podzielimy się po

połowie tym, co uda nam się wykopać. Szczerze mówiąc, byłbym wdzięczny, gdybyś mógł zaopatrzyć nas w żywność. Moja spiżarnia jest pusta, w przeciwnym razie poczęstowałbym cię lunchem.

Mai zamrugał zdziwiony. Ten mężczyzna, na oko dwudziesto-pięcioletni, nie tylko był bankrutem, lecz także nie miał nic do jedzenia, a mimo to zachował pogodę ducha. Ha, to nie zdarzało się często.

— Ale po co odnawiać prawo do działki, skoro nic na niej nie ma? — zapytał. — Powiedziałeś przecież, że nie znalazłeś ani grama złota. Czemu nie zrezygnujesz? Nie mam zamiaru kupować pustej dziury.

— Więc przyłączysz się do mnie? — ożywił się Hillier.

— Nie tutaj. Nie możemy znaleźć lepszego miejsca?

— Nie. Jestem tuż nad rzeką, z obu stron ludzie znajdują złoto. Ja po prostu nie dotarłem jeszcze do żyły. Zostań ze mną, bardzo proszę, choćby na kilka tygodni. Kiedy zwolnię tę działkę, ktoś inny natychmiast ją zajmie. Zabiję się, jeśli znajdzie złoto.

Mai zapalił i rozejrzał się po namiocie. Panował tu porządek, żadnych śladów wilgoci, a miejsca wystarczyło dla dwóch mężczyzn. Hillier musiał zaczynać dobrze, bo miał stół, dwa krzesła, kilka porządnych latarni, a także drugą pryczę.

— Co się stało z twoim współnikiem?

Hillier wzruszył ramionami.

— A tak, mój współnik. Wyjechała.

— Kobieta? — zdziwił się Mai.

— Tak. Byłem bardzo przywiązany do Fleur. Twarda dziewczyna. Poznałem ją w Brisbane. Tutaj przypłynęliśmy razem statkiem. Romantyczne, nieprawdaż? Kobiety na polach bywają użyteczne, jeśli są odpowiednio wytrzymałe, a tego Fleur nigdy nie brakowało. Uroczą dziewczyną, możesz mi wierzyć. Ale na moje nieszczęście jeden z naszych sąsiadów trafił na żyłę i pomachał na pożegnanie kopaczom. Ze smutkiem muszę wyznać, że Fleur z nim pojechała. Głupia.

— Mnie nie wydaje się głupia.

— Chyba masz rację. Ale mnie rzeczywiście na niej zależało. Mówiłeś, że jak się nazywałeś?

— Nie mówiłem. Mai Willoughby. — Będzie musiał zarejestrować działkę na prawdziwe nazwisko.

— To znaczy, że zostaniesz moim wspólnikiem?

— Niewykluczone.

Hillier wybuchnął śmiechem.

— Więc koło fortuny wreszcie się dla mnie odwróciło! Widziałeś ludzi czekających przed biurem?

— Tak. I co z tego?

— Oni też nie mają grosza, a tam szuka się wspólników, którzy dopiero co przyjechali. Nie spodobałeś się tym twardym ludziom. Uznali, że jesteś za młody, za delikatny. Mam nadzieję, że to pozory.

— W każdym razie będę lepszym pomocnikiem niż kobieta. — Mai wzruszył ramionami dziwiąc się własnej głupocie, która kazała mu związać się z tym nieudacznikiem. Z drugiej zaś strony Hillier był sympatyczny, więc kilka tygodni kopania na pewno nie przyniesie szkody.

Mai nie miał nic przeciwko ciężkiej pracy, po prostu nie lubił, gdy trwała zbyt długo. Wymachiwanie kilofem i ładowanie ziemi do ciężkich wiader na początku było trudną próbą dla mięśni, szybko jednak odnalazł rytm i pracował wesół, wypatrując sławnego błysku złota w skalistym szybie. Zrozumiał też, do jakich zajęć mogła być przydatna kobieta: wsypywanie kamieni do rynny, gdzie się je rozdrabniało, wieczne płukanie ziemi w poszukiwaniu aluwialnego złota i pomoc przy lżejszych obowiązkach. Bez komentarza przyjął decyzję Hilliera, który sobie tę rolę przypisał.

Mając wiele czasu na rozmyślenia, Mai zastanawiał się nad Fleur. Poza prostytutkami jedynymi kobietami na polach złotonośnych były żony, twarde, zmęczone kobiety, rozpaczliwie walczące u boku mężów o garnek złota, Hillier jednak się upierał, że Fleur była inna.

— Prawdziwa piękność — twierdził ze smutkiem. — Cudowne miedziane włosy, urocza twarz i figura, tryskała radością życia.

Raczej chyba awanturnica, myślał Mai, na tyle urodziwa, że zawróciła Hillierowi w głowie. Ponieważ Hillier pochodził ze szlachty, co widać było na pierwszy rzut oka, dziwiło, iż w ogóle zadał się z taką kobietą. Mai często wspominał swoją Angielkę, tę, którą spotkał w dzień rozruchów w Fortitude Valley. Hil-

lierowi na pewno by się spodobała. Młoda i piękna, była prawdziwą damą. Nawet by się jej nie śniło postawić stopę w takim jak to miejscu, nie mówiąc już o pracy. Pewnego wieczoru, kiedy Clive nudził go swoimi rojeniami o trafieniu na żyłę i odnalezieniu Fleur, Mai powiedział mu o swojej przyjaciółce.

— Jest Angielką. Bardzo ładna i wytworna, z najmilszym głosem na świecie. I ubiera się modnie. Śliczna jak obrazek.

— Wydaje się czarująca. Jak ma na imię?

— To nie twój interes — burknął Mai. Wolał skłamać, niż przyznać, że nie ma pojęcia.

Skrytemu wielbicielowi serce by pękło, gdyby teraz zobaczył swoją angielską damę. Przypuszczalnie rzuciłby kilof i łopatę, by natychmiast ruszyć jej na pomoc.

Emilie stała w porcie, walcząc ze łzami. Zegnała się z siostrą i wcale nie miała takiej jak przedtem ochoty na samodzielność.

— Przykro mi, że do tego musiało dojść — jęknęła Ruth.

— Niepotrzebnie. Obie wiedziałyśmy, że to wielki kraj i że trudno nam będzie znaleźć posady blisko siebie. Będę się rozglądać za miejscem dla ciebie w Maryborough, a ty możesz robić to samo u siebie na wsi.

— Ale jesteś taka młoda.

— Mam dwadzieścia lat.

— Właśnie. W tym wieku powinnaś się cieszyć życiem towarzyskim, zamiast wyjeżdżać w dzikie ostępy.

— Proszę, Ruth, przestań tak myśleć, bo się rozchorujesz. Brisbane trudno nazwać dzikimi ostępami, a powiadają, że Maryborough jest jeszcze tłoczniejsze. To ty wyjeżdżasz na wieś.

— Pamiętaj, Emilie, jeśli będziesz nieszczęśliwa, natychmiast wracaj do pani Mediów, a ja przyślę ci pieniądze. Uzgodniłam to z nią.

— Mówiłaś mi już o tym. Czas na mnie, Ruth... wszyscy wchodzą na pokład.

Emilie musiała jednak przyznać, że odczuła lekką ulgę, gdy znalazła się na pokładzie szkunera „Miriam”, ponieważ zaczynało im brakować pieniędzy. Musiały kupić lżejsze, odpowiednie na ten upał ubrania, właściwie zmienić całą garderobę, i płacić za pokój, ale tę troskę miały już za sobą. Wreszcie będą dostawać wynagrodzenie.



Skoro rejs miał trwać tylko kilka dni, Emilie wykupiła najtańszy bilet, za dziewiętnaście szylingów, i nastawiła się na prymitywne warunki, mimo to nie była przygotowana na chaos panujący na pokładzie. Z wyjątkiem kilku rodzin pasażerami byli niemal wyłącznie mężczyźni, którzy siedzieli na pokładzie pomiędzy stosami bagażu, jakby mieli tu spędzić cały rejs.

Emilie znalazła stewarda, który poprowadził ją wąskim korytarzem do drzwi; spodziewała się, że będzie to kajuta, lecz zobaczyła coś w rodzaju sali sypialnej. Już zatłoczonej kobietami, które prześcigały się, by zająć lepsze miejsca. Wszystkie wyglądały na ubogie, ale spokojne.

Jakaś Irlandka gestem pokazała jej wolną prycze.

— Zajmij ją, póki możesz, kochana. W męskiej części brakuje miejsc, więc pewnie niedługo zaczną wynosić stąd wolne prycze, a wtedy gdzie złożysz głowę?

Emilie usiadła z rozmachem na twardej pryczy.

— Nie ma pościeli. Powiedziano mi, że będzie pościel.

— Ha, słowa nic nie kosztują. Nie zaprzataj sobie tym głowy, raczej się módl, żebyśmy szczęśliwie dopłynęli na miejsce.

— Ale mój kufer... Nie ma go tutaj. Gdzie go znaleźć?

— On znajdzie ciebie.

I rzeczywiście, kufer przyniesiono razem z innymi bagażami i złożono w stos koło wręgi. Nikt nie mógł tu liczyć na prywatność; kiedy Emilie chciała wyjąć coś z kufra, musiała przekładać dobytek innych kobiet, żeby się do niego dostać.

Jednakże dzięki pani Delaney rejs przebiegł Emilie znośnie. Dowiedziała się od Irlandki, że większość pasażerów to emigranci sprowadzeni do Maryborough przez radę miejską, bo rozpaczliwie potrzebowano tam rąk do pracy w porcie oraz na farmach położonych w głębi ładu. Pani Delaney jechała do męża, który już znalazł dobrą pracę jako drwal. Była z tego powodu uszczęśliwiona i nie pozwalała, by cokolwiek jej radość zmąciło.

W czasie tego krótkiego rejsu, który przeraziłby jej siostrę, Emilie spała w halce na gołym materacu, myła się w wiadrze z morską wodą za długą zasłoną, którą zawiesiły pomysłowe kobiety, i stała w kolejce po jedzenie w kambuzie. Musiała przyznać, że te proste kobiety były lepsze i bardziej wielkoduszne niż zadzierające nosa pasażerki w drugiej klasie, które spotkała w poprzednim rejsie. Kiedy wychodziły na pokład, by zaczerpnąć świeżego powietrza, towarzyszyła jej pani Delaney, sama siebie

## ZATOKA ORCHIDEI

mianując przyzwoitką Emilie, i rzucała gniewne spojrzenia mężczyznom, którzy przyglądali się jej ślicznej młodej podopiecznej.

— Oni nie są dla ciebie, panno Tissington — ostrzegła.  
— Nie patrz na nich.

Port stanowił imponujący widok. Na kotwicach kołysały się wielkie żaglowce, po nabrzeżu woły ciągnęły długie platformy załadowane wędną, na wozach wznosiły się stosy drewna, wszędzie krzatali się ludzie. Istotnie port Maryborough sprawiał wrażenie większego i bardziej ruchliwego niż Brisbane.

Pani Delaney dopilnowała, żeby kufer Emilie zniesiono ze statku, po czym odeszła z mężem, który niecierpliwie na nią czekał. Emilie znowu z nadzieją stała w obcym porcie. Dopiero teraz przyjrzała się nowemu otoczeniu. Wstrząsem był dla niej widok setek czarnych ludzi na nabrzeżu. Obie z Ruth, starając się nie gapić, widywały Aborygenów w Brisbane, biednych, zaniedbanych, lecz wyraźnie nieszkodliwych ludzi. Tutejsi natomiast mieli jaśniejszą skórę i byli odważniejsi, kręcąc się koło niej, uśmiechali się szeroko i otwarcie na nią patrzyli. Odeszłaby, ale nie mogła zostawić kufra, zawołała więc do jakiegoś marynarza:

— Czekam na pana Manningtree! Zna go pan?

— Nie mogę tego powiedzieć, panienko.

— Powinnam stąd odejść?

Marynarz zobaczył, że Emilie nerwowo popatruje na otaczających ją tubylców.

— Niech się pani nimi nie przejmuj, nie zrobią pani krzywdy. Szefowie niedługo ich zabiorą. Przywieziono ich z wysp do pracy na plantacjach trzciny cukrowej.

Ledwo skończył mówić, podszedł do nich pulchny mężczyzna o czerwonej twarzy, odpychając tubylców, jakby byli lalkami.

— Czy to panna Tissington? — zapytał.

— Tak. Pan Manningtree, prawda?

— We własnej osobie — odparł mierząc ją wzrokiem z góry na dół w sposób, który Emilie z całą pewnością potępiła.  
— Doskonale. Nie spodziewałem się takiej panienki. Ale witam w Maryborough. To pani kufer?

Nieszczęśliwa Emilie skinęła głową. Nie podobał jej się ten człowiek: był prostacki i ordynarny, nie miał marynarki, tylko koszulę bez kołnierzyka i spodnie z jaskrawymi szelkami. Nie miał nawet skarpetek na stopach obutych w sandały z rafii. Obejrzała się, rozpaczliwie pragnąc zobaczyć kogoś znajomego,

marząc, by pani Delaney znalazła jakiś powód, by tu wrócić, żałując, że nie może pobiec na pokład „Miriam”... ale to były tylko rojenia.

Pan Manningtree kazał dwóm tubylcom zanieść kufer do amerykanki, po czym rzucił im monetę za fatygę i ze śmiechem patrzył, jak obaj po nią nurkują. Spokojnie usiadł na koźle i zawołał do Emilie, żeby wsiadała.

Po drodze nowy pracodawca wygłosił jej wykład.

— Jestem właścicielem dobrze prosperującego tartaku i mam kilka innych interesów. I jestem członkiem rady miejskiej, pewnego dnia zostanę burmistrzem, ale nie zadzieram nosa. Rozumie mnie panna?

Emilie pokiwała głową. To rzucało się w oczy.

— I nie chcę, żeby moje dziewczuszki zaczęły zadzierać nosa, więc lepiej niech panna nie wkłada im do głowy głupich idei. To był pomysł mojej pani, żeby przyjąć nauczycielkę, w mieście nie ma szkół wartych wydawanych na nie pieniędzy, i tutaj się z nią zgadzam. Nigdy nie zdobyłem wykształcenia, moja pani też nie, ale w tym świecie trzeba patrzeć dalej własnego nosa. Lepiej uczyć się wcześniej, tak jak ja zrobiłem z moimi firmami. Wiedzieć, co jest potrzebne. Jak dorosną, moje dzieci będą bogate... majątek w drugim pokoleniu... więc nie powinny być ignorancjami, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Mnie to nie przeszkadza, radzę sobie lepiej niż większość tutejszych ludzi, ale Maryborough się rozwija. Za kilka lat będzie tu prawdziwe miasto, zapamiętaj moje słowa, i nie chcę, żeby moje dzieci zostały z tyłu.

Podczas gdy Manningtree mówił, Emilie spod rondka czepka przyglądała się miastu. Było okropne, zupełnie nie przypominało Brisbane. Wszystko wskazywało na to, że jechali główną ulicą, szeroką i brzydką, przy której wznosiły się dziwaczne budynki, począwszy od szałasów, skończywszy na piętrowych domach pilnie potrzebujących farby, a pomiędzy nimi niczym szczyby w uzębieniu straszły wolne, zarośnięte zielskiem działki. Panował wielki upał, większy nawet niż w Brisbane, lecz Emilie nie widziała żadnego drzewa, tylko tę żalną, obskurną ulicę bez eleganckich sklepów, za to z przechodniami, którzy wyglądali tak samo prostacko jak prawiący jej kazanie członek rady miejskiej.

— Moja pani mówi, że panna uczysz też manier — ciągnął.

— Pochwalam, nie zaszkodzi im, jak się nauczą manier, i możesz

je panna nauczyć dobrze mówić. To ważne. Ja sam się nauczyłem czytać, pisać i rachować. Niezły jestem w rachunkach — rozeźmiał się rubasznie. — Możesz panna postawić na to swoje pantalony. Ja nie muszę dobrze mówić, bo sam sobie jestem szefem, ale nie chcę, żeby moje dzieci robiły z siebie głupca. Rozumiesz panna?

— Tak, panie Manningtree.

— Ten agent napisał do mojej pani, że uczysz panna francuskiego. Bardzo był z tego dumny. To prawda?

— Tak, panie Manningtree.

— No, na to się nie zgodzę. Strata czasu. Nie napisał za to, a to mnie ciekawi... umiesz panna grać na pianinie?

— Tak, panie Manningtree.

— Umiesz panna? Na Boga. W końcu do czegoś doszliśmy.

— Gwałtownie powściągnął konia, rzucił Emilie lejce i zeskoczył z kozła.

— Poczekaj tutaj.

Manningtree wszedł do sklepu, zostawiając Emilie ściskającą skórzane lejce i mającą nadzieję, że koń nie zerwie się do galopu. Mijali ją najrozmaitsi dziwni ludzie: kobiety w płaskich, wygodnych sukniach bez krynoliny i miękkich kapeluszach na głowie, twardzi mężczyźni podzwaniający ostrogami, grupy Aborygenów i co gorsza, Chińczyków; niektórzy z kolorowych kręcili się bez celu na rogu, a środkiem kłusowali jeźdźcy, jakby to była wiejska droga, niepokojąc konia, który zniecierpliwiony rżał.

Wrócił pan Manningtree, bardzo z siebie zadowolony.

— Przed chwilą kupiłem pianino — oznajmił z dumą.

Emilie musiała o to zapytać.

— Czy tutaj sprzedają pianina, panie Manningtree?

— Nie, dziewczyno, zamówiłem, i to najlepsze, jakie można kupić. Sprowadzą je dla mnie. Zawsze chciałem pianino, moja pani też, ale mówiłem, że to strata pieniędzy, skoro nikt nie umie na nim grać. — Otarł wąsy z potu i osuszył dłoń na koszuli.

— Gorąco tutaj, lepiej jedźmy.

Przez otwartą bramę wjechali na błotnisty podjazd prowadzący przez parne zarośla, które Emilie uznała za nieprzyjemne. Pod baldachimem drzew na trawnikach rosła płatanina mchów i krzewów z szerokimi liśćmi. W ogrodzie panowała niesamowita atmosfera, jakby w tym półmroku wciąż kryły się duchy z prze-

szości. Emilie myślała, że to chyba obrzeża posiadłości, nieoczekiwanie jednak wjechali na polanę i jej oczom ukazał się dom. Był obszerny, drewniany i jak inne budynki w tym mieście nie pomalowany, szare ściany wydawały się nijakie, ospałe. Zastanawiała się, czy w tych stronach trudno dostać farbę.

Dom był parterowy, dość wielki, z przestronną krytą werandą od frontu, lecz nie skorzystali z tego wejścia. Manningtree skierował amerykańkę na tyły, na rozległy nie ogrodzony dziedzińiec otoczony szopami i kępami dzikich bananowców.

Pani Manningtree stała w kuchennych drzwiach z trójką dzieci; gdy Emilie uśmiechnęła się do nich, dostrzegła niemiły grymas na twarzy kobiety i intuicyjnie odgadła, co było jego powodem. Pani domu, ładnej na swój sposób, nie spodobała się młoda śliczna guwernantka.

Emilie nie przestała się uśmiechać, gdy mąż przedstawiał ją żonie, choć wiedziała, że przy niej będzie musiała się pilnować, chodzić ze schyloną głową. Pani Manningtree miała około trzydziestu lat, co najmniej o dwadzieścia mniej niż małżonek. Ubrana była w różową suknię w kwiaty, tak skrojona, by podkreślała obfity biust i cienką talię, a na szyi miała sznur pereł, który Emilie wydał się dziwny o tej porze dnia. Jej własny granatowy strój podróżny z białą bluzką przez porównanie wydawał się skromny i mało elegancki; Emilie cieszyła się w duchu, że jednak skorzystała z porad Ruth, która z naciskiem powtarzała, że guwernantka w żadnym razie nie powinna się wyróżniać. Jej najlepsze suknie, relikty starych dobrych czasów w domu, owinięte w bibułkę spoczywały na dnie kufra.

Dzieci, odziane czysto, acz bose, uśmiechały się entuzjastycznie, gdy matka po kolei je przedstawiała.

— To Jimmy, to Alice, a to mała Rosie. Przywitajcie się z panną Tissington.

Wypowiedziane chórkiem „dzień dobry” brzmiało wesoło i przyjacielsko. Emilie zaczęła mówić, że cieszy się z poznania swoich uczniów, ale pani Manningtree przerwała jej w pół słowa, wysyłając dzieci do zabawy, po czym wprowadziła guwernantkę do wyszorowanej do białości kuchni, od której zaczęły zwiedzanie domu. Emilie zastanawiała się, czy to znaczy, że zawsze powinna korzystać z wejścia dla służby, czy też tym razem tak po prostu było wygodniej.

W przeciwieństwie do zapuszczonego ogrodu dom był schludny i czysty, z lśniących drewnianych podłóg unosił się kojący zapach pszczelego wosku. Emilie walcząc z obezwładniającym zmęczeniem oglądała umeblowane dobrej jakości sprzętami pokoje, z uwagą starając się słuchać chlebobawczyni.

— Często przyjmuję gości, panno Tissington. Nasza pozycja tego wymaga. Przyjechała pani z Anglii i może pani sobie myśli, że my tutaj jesteśmy zacofani, ale niech pani nie da się zwieść. Utrzymuję odpowiedni poziom i tego samego oczekuję od mojego personelu.

— Oczywiście — potwierdziła Emilie, po czym dyplomatycznie dodała: — Ma pani piękny dom, pani Manningtree. Po trudach życia na statku uważam się za wybrankę fortuny, że zaprosiła mnie pani do siebie, i przyrzekam, że dołożę wszelkich starań w pracy w dzieci.

Jej słowa ułagodziły kobietę.

— Tak? To dobrze. Musi pani być z nimi stanowcza i co tydzień składać mi raport. Chodziły do małej prywatnej szkoły, ale ta przekłeta kobieta uciekła z jakimś prostakiem i zostawiła nas na lodzie. — Spojrzała na Emilie podejrzliwie. — Mam nadzieję, że nie przyjechała pani tutaj polować na męża.

Zbita z tropu dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

— Nie, madame.

Panią Manningtree ta odpowiedź jakoś przesadnie ucieszyła.

— Tak też mi się wydawało, nie wygląda pani na taką, co będzie uganiała się za mężczyznami w tym mieście. Ale niech się pani ma na baczności, mało tutaj przyzwoitych niewiast, więc będą za panią węszyli. Musi pani dać jasno do zrozumienia, że w żadnym razie nie będzie pani przyjmować wizyt dżentelmenów ani w moim domu, ani w jego pobliżu, to nie będzie kłopotów. Teraz pokażę pani jej pokój.

Zawróciły korytarzem. Emilie przekonała się, że jej pokój przylega do kuchni, ale jak reszta domu jest schludny jak spod igły. Przykryte białą narzutą łóżko otaczała gęsta moskitiera, pod otwartym oknem stała umywalka z dzbankiem, szafa i toaletka zajmowały miejsca obok siebie pod ścianą.

— Bardzo ładny — powiedziała w chwili, gdy do środka wtoczył się Manningtree z jej kufrem.

— Poznaje pani dom? — zapytał, nim jednak Emilie zdążyła odpowiedzieć, żona go odprawiła.

— Obiecałeś, że naprawisz dach w pralni, Bert, więc lepiej się do tego zabierz. Przy następnym deszczu znowu przecieknie i moja pościel będzie do niczego.

Z tonu jej głosu Emilie domyśliła się, że tę parę dzieli nie tylko różnica wieku, stwierdziła jednak, że stoi po stronie kobiety. Pani Manningtree może i jest apodyktyczna, ale utrzymuje dom na przyzwoitym poziomie i przynajmniej stara się dobrze wyglądać, choć brakuje jej dobrego smaku. Za to jej mąż to prostak. Ordynus. Pewnie małżeństwo zaaranżowano.

W przypływie ulgi, że znalazła przyjazną duszę, Emilie zsunęła rękawiczkę i wyciągnęła dłoń do pani Manningtree.

— Nie potrafię wyrazić, jak się cieszę, że panią poznałam. I jaka jestem szczęśliwa, że tu trafiłam.

Kobieta zamrugała zdziwiona, lecz mocno uściśnęła dłoń.

— Nie jestem przyzwyczajona do ściskania rąk kobietom. Czy to nowy zwyczaj?

Niezupełnie, pomyślała Emilie. Był to gest spontaniczny, wywołany potrzebą ludzkiego dotyku. Poczucia, że ktoś cię obchodzi. Że ty kogoś obchodzisz.

— Tak — skłamała zażenowana.

— Miło wiedzieć. Mam nadzieję, że będzie tu pani szczęśliwa, panno Tissington. I jeszcze jedno. Nazwała mnie pani „madame”. To mi się spodobało. Mam nadzieję, że nadal będzie się pani tak do mnie zwracać, dając przykład kucharce i pokojówce. Pracują na przychodne i trudno je czegoś nauczyć. Są tutejsze, rozumie pani. Ma pani zegarek?

— Nie — odparła Emilie. Obie z Ruth zmuszone były zastawić w lombardzie zegarki i tę skromną biżuterię, którą posiadały w Londynie. — Zgubiłam go na statku.

— Pewnie ktoś go skradł. Musi się pani mieć na baczności przed prostakami. Ale nie szkodzi. Każę pokojówce wzywać panią na kolację o szóstej, a w klasie postawię budzik. Klasa jest na tyłach, żeby nikt wam nie przeszkadzał.

Emilie stojąc w drzwiach myślała już, że nigdy nie zostanie sama, pani Manningtree rozwodziła się bowiem nad klasą i nowym kosztownym wyposażeniem: tablicami, tabliczkami, ławkami, mapami świata...

Godzinę później leżała na łóżku, zaintrygowana woalem moskitiery, i zastanawiała się nad wzmianką pani Manningtree o polowaniu na męża.

Czy szukała męża? Tej kwestii nigdy z Ruth nie omawiały, ponieważ okoliczności, w jakich się znalazły, nie pozwalały zajmować się niczym poza zaspokojeniem najbardziej podstawowych potrzeb, poza troską, by mieć dach nad głową. Zanim jednak ojciec powtórnie się ożenił, dziewczęta prowadziły normalne życie towarzyskie i miały obok siebie dżentelmenów, nawet jeśli nie łączyły je z nimi szczególnie bliskie związki. Miały przyjaciół, których znały całe swoje życie. I gdyby wszystko potoczyło się zwykłym trybem, dżentelmeni ci w odpowiednim czasie na pewno by się oświadczyli. Ruth była bardzo zajęta nieśmiałym Johnem Perigree, synem doktora Perigree, i to z wzajemnością, ale John podążał w ślady swego ojca i studiował medycynę w Birmingham, tak więc coraz rzadziej odwiedzał wioskę. Korespondowali jednak, choć listy się urwały, kiedy Ruth powiadomiła Johna, że obie z Emilie wyjeżdżają do Londynu.

Emilie często się zastanawiała, czy Ruth powiedziała Johnowi, dlaczego muszą wyjechać, siostra jednak nie chciała o nim rozmawiać. W tych sprawach była nieustępliwa. John jako student niewiele miał pieniędzy, za mało, by utrzymać żonę, a Ruth straciła dom i schedę. Sytuacja była beznadziejna. Może dlatego Ruth nie chciała o nim wspominać. Zbyt to smutne. Zbyt osobiste.

Ze swej strony Emilie, co dopiero teraz zrozumiała, w tamtych beztróskich dniach marnowała bezcenny czas, grając rolę niedostępnej damy wobec tłumu wielbicieli. Tańce, przyjęcia, pikniki... Emilie Tissington nigdy nie narzekała na brak towarzysztwa uważnych młodzieńców, przyjaciół, którzy odsunęli się, gdy macocha przejęła władzę, ukróciła przyjęcia w gościnnym domu Tissingtonów i rozpowiedziała po okolicy, że córki, choć z towarzyskiego punktu widzenia bez zarzutu, nie mogą liczyć na wielkie posagi.

— Jacy przyjaciele? — zapytała siebie Emilie z pogardą. — Wszyscy, mężczyźni i kobiety, gdy tylko wiatr powiał nam w oczy, wzięli nogi za pas.

Kiedy napisały z Londynu do przyjaciół, z nadmiernym optymizmem przedstawiając swoje życie w metropolii, odpowiedziała im jedynie droga Bidy Halligan, sąsiadka, która ze smutkiem dowiedziała się od ich macochy, że nie mogą znaleźć posad. To dotkliwie siostry zraniło. Bidy była miłą dziewczyną,



ale powszechnie znaną z braku taktu. Nie mogły znieść jej współczucia. Przestały pisywać do domu.

Ale polowanie na męża? Może kiedyś, myślała Emilie. Gdyby podróżowały pierwszą klasą, miałyby może okazję spotkać odpowiednich dżentelmenów, takich, którym nigdy do głowy by nie wpadło kupić bilet drugiej klasy. Nieoczekiwanie przyszła do Emilie myśl, że Towarzystwo mogło mieć swoje powody, wcale nie ekonomiczne, by wysłać wykształcone damy w taki sposób. Chodziło o to, by nie poznały odpowiednich mężczyzn. By wylądowały w kolonii samotne, gotowe wypełnić zobowiązania wobec Towarzystwa.

Mimo wczesnego upalnego popołudnia i znużenia Emilie nie mogła zasnąć. Bez Ruth, której obecność kazała jej się powstrzymywać, zobaczyła siebie jako ofiarę okrutnego spisku, którą w najlepszym okresie życia wysłano w świat na służbę, zmuszając do ulegania woli obcej kobiety i jej prostackiego męża. W jej oczach nie było łez. Czuła tylko gniew, pozwalając sobie na rzadki przypływ żalu nad sobą.

Polowanie na męża? zapytała znowu siebie Emilie. Może tak. Ale pani Manningtree ma rację. Nie w tym nędznym, obskurnym mieście, gdzie nawet nie malują domów.

Nieświadomie pani Manningtree dała jej impuls do wznieśnięcia się ponad upokarzające poczucie, że jest tylko służącą, które towarzyszyło Emilie od tamtego przerażającego dnia, gdy wyrzucono je z domu. Grymas na twarzy pracodawczyni na widok guwernantki był pierwszym dodającym otuchy znakiem, jakiego od dawna Emilie nie widziała. Oznaczał zazdrość. To było jasne jak słońce.

Emilie stanęła przed lustrem i rozplotła warkoczki zwinięte na głowie w koronę. Ciemne włosy opadły jej na ramiona połyskliwymi falami. Rejsy morskie dobrze jej zrobiły. Nie miała żadnych krostek, cera była świeża, gładka, nawet trochę opalona. Lśniaca i zdrowa. Emilie wiedziała, że ma teraz w ręku atut. Rozkwitła w ładną dziewczynę. Kobieta.

Pannę Ruth Tissington zaskoczyło ciepłe przyjęcie w Nanango po fascynującej podróży dylizanssem, która trwała dwa i pół dnia. Na stacji czekała na nią rodzina Stanfieldów w komplecie oraz dwa podniecone psy. Powitali ją tak, jakby była dawno nie widziana przyjaciółką. Pani Stanfield wręcz ją uściskała.

— Tak się cieszę, że pani przyjechała, panno Tissington. Jak minęła podróż? Mam nadzieję, że nie okazała się zbyt męcząca. Opiekowali się panią?

— Tak, dziękuję, byli bardzo uprzejmi.

Zamienili jej przyjazd w rodzaj przedstawienia, robiąc tyle zamętu, że ludzie naokoło zaczęli się gapić, i prawie nie dali jej szansy na pożegnanie się z sympatycznymi współpasażerami. Podróżujące z nią dwie pary na wieść, że niedawno dopiero przyjechała do tego kraju, dołożyły starań, by towarzyszyć jej na postojach, a także pokazywały krajobraz i zachwycającą faunę. Ruth była szczęśliwa, że wreszcie mogła zobaczyć stada kangurów i pędzące strusie emu, sporą gromadkę sennych koali i więcej zwierząt, niż w życiu widziała. Podróż była prawdziwą przygodą i kiedy tylko znajdzie wolną chwilę, będzie musiała szczegółowo opisać ją w dzienniku.

Pani Stanfield przedstawiła jej swojego męża Jacka oraz dwie dziewczynki, Jane i Jessie, po czym dodała:

— A do mnie musi się pani zwracać „Leonie”.

Ruth poruszyła ta propozycja.

— Dziękuję, ale wołałabym nie. To stanowiłoby zły przykład dla dziewczynek.

Wątpiła, by pani Stanfield zrozumiała ton tej odpowiedzi, i chociaż był to drobiazg, nieco ją zaniepokoił. Zamierzała dołożyć wszelkich starań, by udowodnić swoją wysoką wartość jako guwernantki, a nie mogła zacząć od ulegania prostackim kolonialnym manierom, jeśli jej obecność miała przynieść jakąkolwiek korzyść dziewczynkom. Zdążyła już zauważyć, że dziewięcioletniej Jane i dwa lata starszej Jessie dyscyplina jest bardzo potrzebna, przerywały bowiem rodzicom i swawoliły na stacji, jakby to był plac zabaw.

Wreszcie poprowadzono ją w stronę wozu, na którym pan Stanfield zdołał znaleźć miejsce dla jej kufra pomiędzy skrzyniami i workami z zapasami, po czym ujął ją pod ramię.

— Możesz usiąść z przodu, Ruth — zaproponował; najwyraźniej jej imię znał od szwagierki.

To nie była odpowiednia pora na zwracanie uwagi, że Ruth w żadnym razie nie może się zgodzić, by zwracano się do niej po imieniu, westchnęła więc tylko i pozwoliła, by jej pomógł przy wsadaniu. Zaraz też wybuchła sprzeczka.

— Nie, tatusiu, chcemy, żeby Ruth usiadła przy nas! — wołała Jessie. — To nasza nauczycielka.

- Uciszcie się — wtrąciła matka.
- Nie, zamień się z nią miejscami.
- Już na to za późno. Bądźcie cicho.

Ojciec zupełnie je zignorował i wóz wytoczył się ze stacji, skręcając w długą polną drogę.

— Tam jest miasteczko — powiedział Stanfield, biczem wskazując za siebie. — Zabierzemy cię tu innym razem, żebyś mogła się rozejrzeć. Ze wschodu nadciąga burza i chcę przed nią wrócić do domu.

— Nie jedziemy do miasta? — zaczęła lamentować Jane.  
— Chciałam spotkać się z Elsie. Obiecałeś, że pojedziemy do miasta.

Zawtórowała jej siostra krzycząc, że to niesprawiedliwe. Matka próbowała z nimi dyskutować, zamiast — jak pomyślała Ruth surowo — natychmiast ukrócić takie zachowanie. Stanfield nie zważał na całą tę scenę.

Potem Jessie uciekła się do starego dziecięcego wybiegu.

- Musimy jechać do miasta. Chce mi się siusiu.
- Nieprawda. Poszłaś na stacji — odparła matka.
- Właśnie że mi się chce. I czuję, że zaraz zmoczę się w majtki.

Pani Stanfield westchnęła.

— Zatrzymaj się, Jack. Zaprowadzę ją za te krzaki.

Zdjęła dziewczynkę z wozu. Podczas gdy na nie czekali, Jane chichotała.

— Założę się, że nic nie zrobiła. Założę się. — A gdy siostra wróciła, szturchnęła ją w bok. — Nic nie zrobiłaś, prawda?

- Nie potrafię susiać za krzakami, to wszystko.
- Nie kłam. Potrafisz.

Ruth z przerażeniem słuchała tej wymiany zdań, siedząc sztywno, dłońią w rękawiczce trzymając się poręczy i obserwując, jak konie pokonują wyboistą drogę.

Ta część podróży zajęła im dwie godziny. Stanfield miał rację, ledwo weszli do domu — bardzo podobnego do wielkich wiejskich domów w ojczyźnie, co Ruth z radością stwierdziła — kiedy rozpełtała się burza. Niebo pociemniało, błyskawicom towarzyszyły grzmoty, od których pękały bębunki w uszach, i zaczął padać deszcz, wkrótce przechodząc w sążnistą ulewę. Ruth schroniła się w przeznaczoną dla niej małej sypialni. Była kompletnie rozstrojona, nie tylko tą przerażającą burzą, ale

## ZATOKA ORCHIDEI

i okropnymi dziewczynkami. Jeden z dżentelmenów z dylizansu, pragnąc dostarczyć młodej Angielce jak najwięcej informacji o nowym kraju, kupił dla niej aktualną mapę Queenslandu. Ruth wyjęła ją teraz z podręcznej torby, by sprawdzić, jak ma się jej miejsce pobytu do miasta, do którego pojechała Emilie. Maryborough położone było daleko na północ, o wiele dalej, niż sobie wyobrażała. Dopiero teraz zaczynała zdawać sobie sprawę z ogromu tego kraju, w którym w ciągu trzydniowej podróży pokonuje się zaledwie maleńki fragment stanu.

Miała nadzieję, że Emilie bez jej pomocy dobrze zniosła rejs i że jej uczniowie nie okażą się tak trudnym zadaniem jak dziewczynki Stanfieldów.

Właściwie to dobrze, pomyślała Ruth, że to ja przyjąłam tę posadę. Emilie mogłaby sobie nie poradzić z tą dwójką. Potrzeba im twardej ręki, a ja dopilnuję, by ją dostały. Nie zawiodę państwa Stanfieldów. Pomimo nadmiernej wylewności byli sympatycznymi ludźmi. Miała wprawdzie nadzieję na wyższą pensję, ale to w żadnym razie nie wpłynie na wypełnianie przez nią obowiązków; była osobą odpowiedzialną i zrobi, co w jej mocy.

Rozpakowała się i zebrała siły, by wyjść z pokoju na spotkanie z rodziną. Na sobie miała uniform składający się z białej bluzki z granatową kokardą przy wysokim kołnierzu i granatowej spódnicy, włosy zaś uczesała z przedziałkiem na środku i splótła w warkocze, które zwinęła w staranne węzły nad uszami. Panna Tissington, angielska guwernantka, przybyła.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Ożywienie panujące na polach złotonośnych i rozpierająca poszukiwaczy energia zatrzymały Mała w Gypie dłużej, niż zamierzał pozostać. Był zadowolony, że pracuje z Hillierem, kiedy jednak do jego świadomości dotarła rodząca się tam przemoc, uznał, że czas wyjeżdżać.

— To miejsce robi się zbyt zatłoczone — ostrzegł Clive'a.  
— Powinniśmy się stąd wynosić. I tak nic nie wykopaliliśmy.

Wspólnik nie chciał o tym słyszeć.

— Zainwestowałeś w działkę, Mai, nie możesz stąd odejść.  
Co za różnica, że przyjechało więcej kopaczy?

Mai wiedział, że to zasadnicza różnica, gdy obserwował wybuchające co rusz bójki, zajmowane bezprawnie działki i kłótnie przechodzące w strzelaninę. Obóz Chińczyków zaatakowała banda rozżłoszczonych górników, którzy nie mieli żadnego rozsądnego motywu poza tym, że dla Chińczyków nie ma miejsca w ich białym świecie; na porządku dziennym były rabunki, nie tylko na polach złotonośnych, ale i na drogach. Bandyci napadli na dylżanse przewożące złoto do Maryborough i policja nie miała wolnej chwili, szukając w górach kryjówek rabusiów w skazanej na niepowodzenie próbie odzyskania skradzionego kruszcu. W rezultacie na polach pięść i strzelba stanowiły o prawie i bezprawiu. Rewolwery służyły jako waluta i Mai rozgniewał się, gdy pewnego popołudnia po powrocie do namiotu Hillier z dumą pokazał mu kolta.

— Po co ci to, do diabła?

— Wiesz, co się tu wyprawia, stary druhu. Musimy strzec naszej działki.

— Oszalałeś? Nie mamy czego bronić. Ile za to zapłaciłeś?

— Powiedziałem temu człowiekowi, że dasz mu dziesięć funtów. To pół ceny. A jak się przekonasz, jestem dobrym strzelcem. Dorzucił też amunicję.

Człowiek, który w towarzystwie dwóch kompanów przyszedł po swoje pieniądze, nie miał ochoty zabierać broni, choć Malowi udało się stargować cenę do bardziej realistycznych czterech funtów, kiedy zaczął marudzić, że komisarz do spraw złota zagroził wysłaniem swoich przedstawicieli na poszukiwania skradzionej broni. Nie była to prawda, ale do tego stopnia poruszyła kupców, że zgodzili się na obniżkę ceny pod warunkiem, że Mai będzie trzymał gębę na kłódkę.

— Zapłaciłem za rewolwer, więc jest mój — powiedział Hillierowi. — I sprzedam go przy pierwszej nadarzającej się okazji. Co więcej, dam ci dwa tygodnie, poczynając od dzisiaj, potem wyruszam w drogę. Możesz pojechać ze mną albo zostać, jak sobie chcesz.

Kiedy tego wieczoru odpoczywali z Clive'em w namiocie, opuściwszy kłapy dla ochrony przed owadami, usłyszeli krzyki i jęki: następna bójka.

Nagle do namiotu wpadł chiński kulis krwawiący obficie z kilku ran.

Clive skoczył na równe nogi, wrzeszcząc na kulisa, żeby się wynosił, ale Mai mu przerwał:

— Zostaw go!

Słyszeli tupot nóg, wrzaski: widome znaki, że poszukiwania trwają. Mai odepchnął kulisa na bok i wyszedł przed namiot.

— Co się dzieje?

— Widziałeś gdzieś przeklętego żółtka?

— Nie, a czemu?

Mężczyźni, a było ich z dziesięciu, nie odpowiedzieli, tylko pobiegli dalej, w dłoniach trzymając ciężkie kije i sznury.

— No to nas załatwiłeś — jęknął Clive. — A jak tu wrócić? Wtedy nas też pobiją.

Mai puścił jego słowa mimo uszu, kładąc młodego kulisa na swojej pryczy.

— Boże wszechmogący! Nieźle dostał! Ma chyba rozbita głowę i złamaną rękę. Wytrzymaj krew, a ja pójde po pomoc.

— Jaką pomoc? Nikt nie pomoże żółtkowi.

Mai spod pryczy wyciągnął rewolwer, **załadował i wręczył** Clive'owi.

— Teraz będzie ci potrzebny.

— A po co?

— Dla samoobrony, gdyby wrócili. Ale jeśli go stąd wyrzucisz, będziesz musiał się bronić nie tylko przede mną. Teraz przydad się na coś. Zaopiekuj się nim.

Wymknął się w ciemność i pobiegł w stronę chińskiego obozu. Zbliżając się do namiotów wiedział, że Chińczycy na pewno zachowują czujność. Biały człowiek może nawet nie mieć szansy się wytłumaczyć, gwizdnął więc parę razy, by zwrócić ich uwagę. Zareagowali szybciej, niż się spodziewał. Koło niego pojawił się gotowy do walki Chińczyk, Mai zawołał więc jedyne imię, które znał.

— Pan Xiu! Pan Xiu!

Wartownik wydawał się wahać, ale nie zaatakował.

— Sze! — nalegał Mai. — Pan Xiu. Ja przyjaciel. Prowadź, cholernie szybko.

W zaroślach zaszeleściło i zaraz zmaterializowali się jeszcze dwaj Chińczycy. Trzymali Mała na dystans, omawiając sprawę w swoim języku.

— Mówicie po angielsku? — zapytał, choć uświadomił sobie, że z tymi kulisami była to strata czasu. Gdyby w swoim języku zapytali go, czy zna chiński, miałby równie głupią minę jak oni.

Wyprostował się i władczym gestem dał do zrozumienia, że życzy sobie widzenia z panem Xiu.

Kazali mu czekać przed namiotem pana Xiu, aż ten będzie gotów go przyjąć. Kiedy wreszcie pozwolono mu wejść, zrozumiał powody tej zwłoki. Odziany we wzorzyste szaty szlachetnie urodzony Chińczyk wcale nie sprawiał wrażenia, że być może przerwano mu nocny spoczynek, siedząc na pięknie rzeźbionym krześle w najbardziej luksusowym namiocie, jaki Mai w życiu widział. Miniaturowe złote lampiony oświetlały wyłożone dywanami pomieszczenie, zdobione złotymi i czerwonymi draperiami. Stojąc pod strażą na dworze, Mai nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów i wytworności namiotu, bo zewnętrzne szare płótno zlewało się z mrokiem i innymi namiotami.

Wciągając w nozdrza zapach kadzidełek tłących się w odległym kącie, ze zdziwieniem wpatrywał się w eleganckie czarne

## ZATOKA ORCHIDEI

niskie stoły, rzeźbione krzesła i długie sofy obite czerwoną satyną. Z tego zdumienia wyrwał go pan Xiu.

— Znowu się spotykamy, panie Willoughby.

— Tak, sir. Nie wiedziałem, gdzie indziej mógłbym się udać. Jednego z pańskich kopaczy zraniono. Pobili go. Bardzo potrzebuje pomocy. — Pan Xiu siedział nieporuszony, Mai więc ciągnął: — Właściwie nie wiem, czy to pański człowiek, ale...

— Gdzie jest?

— W moim namiocie.

— A dokładnie?

— W dole rzeki, w miejscu, które nazywają Elbow Bend.

Dopiero wtedy Mai uświadomił sobie, że za jego plecami stoi kilku ubranych na czarno Chińczyków; poruszali się tak bezszelestnie.

Pan Xiu przemówił do nich, po czym wolno odwrócił się do Mała.

— Pokaże im pan drogę?

— Tak. On potrzebuje lekarza.

Pan Xiu pokiwał głową.

— Spłacił pan dług.

— I tak bym to zrobił.

— Tak, panie Willoughby, tak sędzę. A teraz, gdyby był pan tak uprzejmy, moi ludzie są gotowi.

Audiencja dobiegła końca. Mai okręcił się na pięcie, by odejść, ale nie leżało w jego naturze pozwalać, by w taki sposób go odprawiano.

— Miło było znowu pana widzieć — powiedział wesoło do pana Xiu. W nagrodę zobaczył, że wąskie usta starego Chińczyka rozciągnęły się na kształt uśmiechu.

Kiedy ukradkiem wracał pełnymi wybojów ścieżkami do Elbow Bend, ledwo świadom był obecności podążających za nim cichych mężczyzn.

Clive zaskoczony cofnął się, kiedy czterej Chińczycy w powłóczystych, przypominających piżamy strojach wsunęli się do namiotu, zabrali rannego towarzysza i bez słowa rozplynęli się w ciemności.

— Skąd ich wzięłeś, do diabła?

— To przyjaciele — wzruszył ramionami Mai. — Zaopiekują się nim. Jestem zmęczony. Idę spać.



\*"- Mała zirytowało, w gruncie rzeczy rozgniewało, że to Hillier pierwszy potknął się o złoto, a nie on, który sfinansował całe przedsięwzięcie i wykonywał lwią część pracy. Kwestia zasad, można by rzec. Kopał powiększając tunel, podczas gdy wspólnik miał wywozić ziemię na pożyczonej taczce, zamiast tego jednak marudził w chłodnej płyciźnie na zakręcie rzeki. I rzeczywiście się potknął, to było właściwe określenie. Na brzegach panował tak wielki ruch, tak gęsto tu kopano, że ziemia zapadła się Hillierowi pod nogami i zjechał do błotnistej dziury. I były tam, połyskujące jak gwiazdy na tle czarnej ziemi... okruchy złota, ziarna złota udające piasek, ciężkie złote kamyczki nie splamione błotem.

Hillier zaczął wyć jak wilk, a potem krzyżeć o pomoc, kiedy stanął twarzą w twarz z prawdziwymi wilkami w postaci rodziny osłizłych wodnych węży oraz stada okrutnych szczurów, od których roilo się na polu, tak więc Mai, słysząc krzyki, wolnym krokiem poszedł sprawdzić, o co ten rwetes. Hillier był w ekstazie, wrzeszczał ile sił w płucach. W tym bełkocie tylko jedno słowo było zrozumiałe i ono sprawiło, że ze wszystkich stron zbiegli się ludzie.

— Złoto!

Mai padł na kolana i z niedowierzaniem patrzył, jak wspólnik nabiera w dłonie skarb ukryty w bagnie.

— Na wszystko, co święte! To złoto!

— Oczywiście, że tak, przecież ci mówiłem, że tu jest złoto! — krzyknął Hillier wesoło. — Szybko przynieś sito i pożycz drugie. Zbuduj śluzy, żeby ani okrucz nam nie uciekł. Przynieś łopatę, zbuduj groblę. Ruszaj się, Mai, nie siedź tak!

Clive został szefem, a Mai jego chętnym pomocnikiem. Zapomnieli o suchej dziurze, pracowali za wysoką groblą, którą wzniosł przezorny Mai. Cał po cał zaczęli wydobywać złoto. Był to proces powolny, ale ogromnie opłacalny.

Nazajutrz o świcie Mai dostarczył pierwsze złoto w pudełkach po zapałkach i na dnie wyszorowanego słoika po dżemie do prowizorycznego banku. Podejrzliwie obserwował, jak je ważono, by się upewnić, że żadne ziarenko nie przyklei się do lepkich palców; zdziwił się i ucieszył, gdy wręczono mu dziewięćdziesiąt funtów.

Na kasjerze jednak nie zrobiło to wrażenia.

— Niech pan jeszcze nie odchodzi. Muszę wpisać pańskie dane do rejestru.

## ZATOKA ORCHIDEI

Podczas gdy Mai czekał, aż kasjer wygrzebie stosowną księgę, przez tylne drzwi do banku wszedł siwowłosy mężczyzna. Powitał Mała uprzejmym kiwnięciem głowy, po czym zamienił z kasjerem parę słów. Po kilku minutach księga została odnaleziona, a starszy mężczyzna opuścił bank.

Mała zaskoczyło, że tego człowieka łączy coś z bankiem, znał go bowiem jako zapalonego gracza. By rozpędzić nudę jednostajnego życia w namiocie, Mai często grywał w karty w pobliskim saloonie: skromne partyjki z zaufanymi partnerami nie mogły mu narobić wielkich szkód i dzięki temu nie wpadał w kłopoty. I właśnie tam widywał siwowłosego; grał ostro przy stoliku w głębi. Mai czasami podchodził, by obserwować, jak stosy gotówki i złota rosną na zielonym pluszu, który to luksus zapewniono dżentelmenom.

— Kto to jest? — zapytał Mai kasjera.

— Carnegie, komisarz do spraw złota — odparł otwierając rejestr. — A teraz niech mi pan poda numer licencji, numer działki, nazwisko lub nazwiska właścicieli. Potrzebny mi pański podpis albo odcisk kciuka, jeśli nie umie pan pisać.

Mai podał żądane informacje i złożył podpis dziwiąc się nieco, że równie ważna osobistość zniża się do towarzystwa prostych ludzi, choć podejrzewał, że wielki szef czy nie, wieczorami też pewnie nie ma nic do roboty w tej dziurze.

Niewiele zostało z części należnych Clive'owi pieniądze, gdy Mai odliczył poniesione przez siebie koszty, ale Anglik wcale się tym nie martwił: jutro też jest dzień.

Na koniec tygodnia Mai doszył do pasa dodatkową kieszeń na ponad czterysta funtów, zysk ze znaleziska, choć wtedy złoże zaczynało się już wyczerpywać. Z dnia na dzień urobek był mniejszy, aż wreszcie po kilku pustych dniach Mai mógł kasjerowi wręczyć niecałą uncję złota.

Komisarz Carnegie znowu był w banku. Spojrzał na Mała z ciekawością.

— Kończy się, co?

— Na to wygląda. Ale nie narzekam. Nieźle na tym wyszliśmy.

— I słusznie, synu. Sprytni biorą, co szczęście im przyniosło, i odchodzą, kiedy to możliwe.

Mai zsunął kapelusz na tył głowy i uśmiechnął się szeroko. Bawiło go, kiedy ludzie mówili do niego, jakby dopiero co wyrósł z krótkich spodnek.

— Chyba mógłbym tak postąpić — odparł, żeby zrobić wrażenie na wielkim szefie.

— Daj mi znać, kiedy zdecydujesz się na wyjazd. Miałbym dla ciebie robotę.

Mai kiwnął głową, uprzejmy jak zwykle, choć ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, była praca. Było jeszcze za wcześnie na rezygnację z działki, ale postanowił, że jeśli złoży się wyczerpie, ruszy w drogę. Powiadali, że Maryborough to dobre miasto, więc się tam rozejrzy, a potem pojedzie na wybrzeże. Kumple od kart mówili mu, że wybrzeże to najpiękniejsze miejsce, jakie oglądały ludzkie oczy.

— Choć na towarzystwo nie ma co liczyć — przestrzegali. — Białych jak na lekarstwo, ledwo kilku posiadaczy ziemskich, którzy podzielili między sobą całą okolicę.

To Malowi nie przeszkadzało. W trakcie podróży jedną z przyjemności było szukanie malowniczych miejsc, wartych zobaczenia zakątków, o których wszyscy opowiadali cuda. Najbardziej lubił Góry Błękitne koło Sydney, widoki tam rzeczywiście były wspaniałe, ale jako wieśniaka ciągnęło go morze, paliła ciekawość, jak by to było mieszkać nad jego brzegiem, chociaż przez krótki czas...

Clive był wstrząśnięty.

— Nie możesz odejść! Odnowimy dzierżawę i będziemy kopać głębiej. Nie możemy teraz przestać.

— Nie trafiliśmy na żyłę, kolego, tylko na ślepą odnogę. Szukamy od tygodni i nie znaleźliśmy nawet ziarenka. Działka wygląda, jakby przeszedł przez nią obłąkany oracz. Nie możemy nawet jej sprzedać.

— Więc wynajmiemy inną działkę, gdzieś dalej w dole rzeki.

— Dobrze wiesz, że tam nikt nie znalazł złota.

— Więc gdzie indziej. Te pola jeszcze się nie wyczerpały, Mai. Rozejrzyj się, codziennie przybywa kopaczy.

Mai wzruszył ramionami.

— W tej sprawie nie mogę się z tobą sprzeczać, ale nie chcę tu zostać. To żadne życie w tym mrowisku. Zarobiliśmy sporo, czas się stąd zabierać.

— Ale możemy zarobić o wiele więcej. Co znaczy kilkaset funtów, kiedy prawdziwe znalezisko ustawia człowieka do końca życia? Wciąż znajdują tu prawdziwe bryły, Mai... wielkie...

moglibyśmy być bogaci. Nie rozumiesz? Teraz możemy sobie pozwolić, żeby tu zostać.

Mai pokręcił głową. Już prawie się przyzwyczaił do odoru, choć łaknął czystego powietrza, samotności, świeżego jedzenia. Pragnął swego dawnego życia. Clive może zostać, ale on wyjeżdża.

Wieczorem poszedł do saloonu na partyjkę kart, woląc to od kolejnej sprzeczki z Clive'em.

Carnegie, który już miał przekroczyć próg, dostrzegł Mała czekającego na dworze, aż zwolni się stolik.

— Pan wciąż tutaj, panie Willoughby?

Mai zamrugał zaskoczony.

— Skąd pan zna moje nazwisko?

— Moja praca na tym polega. Myślałem, że dawno **pan** stąd wyjechał.

— Wyjeżdżam jutro.

— Aha, to interesujące. Może się przejdziemy?

— Przejdziemy? A dlaczego?

Carnegie zmarszczył brwi.

— Bo pełno tu naokoło ciekawskich uszu. Możemy pójść tam.

Doszli do końca ścieżki i zatrzymali się pod daszkiem opustoszałej jatki. Chociaż drewniane półki były puste, smród surowego mięsa wciąż unosił się w powietrzu i z głośnym bzyzieniem latały muchy. Czując mdłości Mai zaproponował, żeby poszli dalej.

— Niech pan wytrzyma jeszcze chwilkę — odparł Carnegie.

— Skoro pan wyjeżdża, może pan dostać tę pracę.

— Z całym szacunkiem, panie Carnegie, ale ja nie potrzebuję pracy.

Komisarz zgonił muchy z twarzy.

— Jedzie pan na południe czy dalej, do Maryborough?

— Do Maryborough.

— W takim razie proszę pana tylko o to, żeby pan w drodze coś dla mnie zrobił. Za stosownym wynagrodzeniem.

— A co dokładnie?

— Jak pan wie, moim obowiązkiem jest przewożenie ładunków złota pod eskortą do Maryborough. Niedługo wyjeżdżam z następnym ładunkiem i potrzebuję strażnika. Pan mi wygląda na uczciwego człowieka, więc jeśli pan chce, ma pan tę pracę.

— Dlaczego ja? Przecież musi pan mieć własnych strażników.

Carnegie pokręcił głową.

— Przychodzą i odchodzą. Złoto eskortuje się co trzy, cztery tygodnie, więc dla większości z nich poza Taylorem to zajęcie dorywcze. Taylor pracuje w moim biurze na stałe i można na nim polegać, ale z zasady za każdym razem dobieramy innych ludzi, którzy wzajemnie się nie znają, bo w ten sposób nie musimy obawiać się spisku.

— Chce pan powiedzieć, że strażnicy mogą się zmówić przeciwko panu?

— Bywały takie wypadki. Mnie to się nie zdarzyło, ale pan Taylor i ja jesteśmy ostrożni i zawsze dobrze uzbrojeni.

— Dlaczego nie korzystacie z pomocy policji?

— Korzystamy, kiedy to możliwe, ale policja rzadko ma dla nas czas. — Znowu odpędził rojące się muchy. — To miejsce jest okropne. Musimy iść.

Zanim weszli do saloonu, Carnegie zwrócił się do Mała:

— I co pan powie? Przyjmie pan tę pracę?

— Chce pan, żebym eskortował złoto? Tak po prostu?

— Niezupewnie. Interesuje to pana?

Mai przystanął, by rozważyć tę kwestię, kciuk zatykając za pas i ciężar ciała opierając na jednej nodze. Gdyby podróżował z eskortą, miałby ochronę dla własnych znacznych funduszy. Jak się zastanowić, to sam był chodzącym bankiem. Nie może wiecznie nosić pieniędzy przy sobie, a ponieważ nie przesiadywał w pubach jak tutejsi obłąkani górnicy, wcześniej czy później będzie musiał zdecydować, co z nimi zrobić. Może zdeponować w banku. To była nowa myśl.

— No i? — zapytał Carnegie.

— Czemu nie? Kiedy wyjeżdżamy?

— Dopiero wyznaczę termin. Najpierw musi pan się zgłosić do pana Taylora, żeby lepiej pana poznał. Ja na razie składam panu propozycję. Jeśli Taylor wyrazi zgodę, ma pan tę robotę. Ale nie może pan z nikim o tym rozmawiać. Jeśli się dowiem, że komuś pan powiedział, sprawa jest nieaktualna.

Taylor był groźnie wyglądającym mężczyzną po czterdziestce, z potężną szczęką, ciemnymi włosami i wąsami oraz zimnymi stalowymi oczami, które zdawały się przewiercać młodego człowieka na wylot, kiedy ten po gołych deskach zbliżał się do biurka zastępcy. Mai pomyślał, że Taylor bardziej wygląda na policjanta niż na urzędnika państwowego, i poczuł niepokój.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Czego chcesz?

— Pan Carnegie kazał mi tu przyjść i porozmawiać z panem o pracy. Chodzi o eskortowanie złota...

— Kazał, tak? — Taylor spojrział gniewnie i Mai odniósł wrażenie, że Carnegie nie cieszy się sympatią swego pomocnika.

— Coś ty za jeden?

— Mai Willoughby, sir.

Uprzejma odpowiedź zrobiła swoje, gniewne spojrzenie złagodniało, choć nie ostry ton, którym Taylor zaczął zadawać pytania. Pochodzenie? Rodzina? Gdzie pracował? Czy miał kłopoty z policją? Czy pije? Gra w karty? Powiodło mu się na polach? Nazwisko wspólnika? Pochodzenie? I tak dalej.

Rozbawiony Mai zaczął snuć opowieść o rodzinnym hotelu w Ipswich, swoim życiu postrzygacza na wielkich farmach i domu rodzinnym u wuja Silvera w Chinchilli. Wuj na pewno by się zdziwił.

Taylor przygryzając wargę mierzył go wzrokiem.

— Gdzie spotkałeś komisarza?

— Widział mnie w banku i chyba parę razy w saloonie, przy stoliku.

— Przecież mówiłeś, że nie grasz?

— Ja? Nie, sir. Gram partyjki z przyjaciółmi, żeby zabić czas, by tak to ująć. Nie mógłbym sobie pozwolić na wielkie stawki jak pan Carnegie.

To poskutkowało. Taylor z trzaskiem zamknął pióro i odsunął notatnik, po czym zajął się szczegółami.

— Praca jest niebezpieczna — ostrzegł. — Już nie jesteś takim żółtodziobem, żeby tego nie wiedzieć. Dlaczego chcesz ją przyjąć?

Mai wyszczerzył zęby.

— Jeśli zerknie pan do notatek i do rejestru bankowego, to się pan przekona, że mam przy sobie więcej gotówki, niż zarobiłem przez całe życie. Chcę stąd wyjechać, póki fortuna mi sprzyja. Mój partner zostaje. Nie przychodzi mi lepszy pomysł na podróż samotnego człowieka z pieniędzmi niż konwój złota. A panu?

Taylor pokiwał głową.

— Będziesz musiał się pilnować. Ale wyglądasz na rozsądnego, nie jak połowa tych pijanych błaznów. Umiesz się obchodzić z bronią?

— Ma pan moje słowo.

— Dobrze. Będę w kontakcie.

- Kiedy wyjeżdżamy?
- Kiedy powiem. Wiem, gdzie cię znaleźć. Rozlicz się ze współnikiem i trzymaj gębę na kłódkę.

Komisarz Carnegie wcześniej wstał od pokera, wymawiając się upałem, który istotnie był okropny, temperatura wciąż przekraczała dziewięćdziesiąt stopni, a choć słońce zaszło przed godziną, nie wiał nawet najśłabszy wietrzyk. Komisarz wytarł spoconą twarz wielką chusteczką i zamówił brandy dla złagodzenia bólu pulsującego w skroniach.

— Starzeję się — powiedział. — Nie mam tyle sił co wy, młodzi. Przysięgam, że od tego upału głowa mi pęka.

Głowa rzeczywiście go bolała, choć powodem była też seria przegranych partii, a komisarz nie śmiał zaciągać nowych pożyczek od właściciela saloonu. Dopóki kilka miesięcy temu nie pojawił się Taylor, Carnegie sam prowadził księgi, skrupulatne rozliczenia, które pozwalały mu chować pieniądze do kieszeni i od górników proszących o przysługi pobierać łapówki, przez niego nazywane gratyfikacjami. Dodatkowe zarobki bardzo się przydawały, ponieważ Carnegie potrzebował każdego pensa, jaki ta praca mogła mu dać — wierzyciele z Brisbane przysyłali coraz bardziej naglące listy. Długi karciane są naturalnie przywilejem dżentelmena i musi minąć jakiś czas, nim te tutaj zaczną być problemem, ponieważ Allyn Carnegie miał liczące się nazwisko i potężnych przyjaciół.

Ten przeklęty Taylor, przeglądający dzienniki i rejestry niczym sęp, od razu by zauważył, gdyby bilans nie zgadzał się o pół pensa albo gdyby górnicy wynajmujący działki nagle stawali się ich pełnoprawnymi posiadaczami, tak więc to źródło zupełnie wyschło.

Carnegie westchnął. Z powodu Taylora musiał pożyczać od Chińczyków, by utrzymać się na powierzchni, i teraz był u nich tak zadłużony, że od ruiny uratować go mógł jedynie cud.

A ponieważ cuda rzadko się zdarzają, komisarz postanowił upozorować własny. Był to plan śmiały, a równocześnie tak prosty, że nie mógł się nie powieść. Do jego przeprowadzenia potrzebował wyłącznie odwagi, nie, ikry. Aby podjąć decyzję.

Carnegie tak obficie się pocił, że już w progu dwuizbowej chaty znanej jako rezydencja komisarza pozbył się surduta i kra-

wata. Rzucił je na krzesło i zaczął po omacku szukać zapalek, kiedy z sypialni dobiegł go jakiś szmer.

— Kto tu jest? — zawołał. — Wyjdź i pokaż się.

W progu pojawił się krępy łysy mężczyzna.

— Bez nerwów, to ja.

— Do diaska, Perry! Co ty tu robisz? Zabroniłem ci się tu pokazywać. — Wbrew tym słowom Carnegie poczuł ulgę. Zapalił lampę, zamknął drzwi i spuścił płócienne rolety na małe okno.

— Nikt mnie nie widział. Chcę wiedzieć, czy zrobimy to czy nie. Nie mogę czekać w nieskończoność.

— Trzeba rozważyć sporo spraw...

— Powtarza to pan od tygodni. Trzeba skończyć z tym rozważaniem, bo tylko trwonimy czas. Kiedy termin następnego ładunku?

— Kiedy powiem — odpalił Carnegie, nagle jednak poczuł zdenerwowanie. Ręce mu się trzęsły, gdy sięgał do pudełka po cygaro i zapalał.

Perry także się poczęstował.

— Chętnie zapalę — wyszczerzył zęby. — Tchórz pana obleciał, komisarzu? To nie był mój pomysł, pamięta pan? I nie wydaje mi się, żeby mnie pan wybrał dla moich pięknych oczu. Szukał pan dobrego wsparcia i ma je pan. Jestem odpowiednim człowiekiem. Więc niech pan powie, w czym problem.

Carnegie mocno zaciągnął się cygarem. Rzeczywiście, jego współnikiem był Perry, ten brutal o twardej twarzy, kryminalista czystej wody, ale kogoś takiego jak on właśnie potrzebował. Jeśli nie zrealizuje planu z Perrym, to na drugą szansę nie ma co liczyć. W żadnym razie nie będzie mógł podjąć próby z kimś innym, bo Perry się o tym dowie i zadenuncjuje komisarza, sam niewinny jak baranek. Niezaangażowany, a tym samym niebezpieczny.

Wybrał Perry'ego starannie, tak samo jak dla kontrastu wybrał tego wieśniaka Willoughby'ego. Chłopak był głupi jak but.

— Zaraz do tego dojdę — powiedział wolno. Następny ładunek złota, który opuści pola, wart będzie osiem tysięcy funtów. Połowę musi oddać Perry'emu, tak jak obiecał, ponieważ w gazetach podadzą wartość skradzionego kruszcu, ale cztery tysiące wystarczy na rozwiązanie jego problemu. — Muszę ci zaufać, zgodzić się, żebyś zabrał złoto. Skąd mam wiedzieć, że nie uciekniesz z całym ładunkiem?



Perry oparł się o ścianę.

— Bez obawy, będzie pan miał swoją połowę, może mi pan wierzyć. A wie pan dlaczego? Bo to najsprytniejszy plan, o jakim w życiu słyszałem. Muszę panu oddać sprawiedliwość, komisarzu, to prawdziwa perełka. Ile dostanę?

— Około czterech tysięcy — odparł Carnegie spokojnie.

— Chryste! Cztery tysiące! Zgodziłem się za połowę tej sumy. Chryste! Załatwimy sprawę i nigdy więcej na oczy mnie pan nie zobaczy. Wrócę do domu, do Tasmanii, pan zostanie bohaterem, a policja będzie biegała po górach i szukała brzydkich bandytów. — Wybuchnął śmiechem. — Zręczne, naprawdę zręczne. Ale myślę, że człowiek nie dostaje poważnej posady jak pańska, jeśli nie jest sprytny.

Carnegie potrzebował tego pochlebstwa, a równocześnie odczuł ulgę, że Perry rozumie, iż nierozwągą z jego strony byłyby próby oszustwa. To było najważniejsze. Komisarz zezna, że zaatakowali go bandyci, ale nie poda rysopisu Perry'ego. Zanim policja dowie się o napadzie, Perry będzie już w Maryborough, zamiast ukrywać się w górach.

Razem ze złotem do miasta wysłana zostanie także gotówka z małego banku na polach złotoonośnych — dodatkowa premia. Zadaniem Perry'ego będzie wziąć złoto i pieniądze, ukryć je w wybranym już miejscu, a następnie wrócić do dawnej pracy w Maryborough.

Za cztery tygodnie, dokładnie dwadzieścia osiem dni po tym, jak sprawa przycichnie, Perry weźmie z kryjówki worki z łupem i dostarczy do domu komisarza w Maryborough. Obaj wiedzieli, jak ważne jest to, by nikt nigdy nie mógł ich ze sobą połączyć, tak więc przekazanie worków będzie musiało nastąpić w środku nocy — Perry je schowa pod tylnymi schodkami i zniknie. Musieli wzajemnie sobie ufać, stawka była za wysoka, żeby popełniać błędy, i żaden z nich nie mógł ryzykować prób oszukania współnika.

W zaciszu swojego domu Carnegie podzieli łup jako ten, który ma doświadczenie ze złotem, i spakuje część Perry'ego. Worek umieści pod tylnymi schodkami, Perry będzie mógł nocą go zabrać i ruszyć w swoją drogę. Żadnych bezpośrednich kontaktów. Plan musi się udać, jest bezbłędny.

Carnegie cieszył się teraz, że kupił tę chatę, by mieć wytchnienie po nędznych warunkach panujących na polach złotoonoś-

## ZATOKA ORCHIDEI

nych, bo obecnie bardzo się przyda. Chociaż w żadnym razie nie dorównywała standardem przestronnej willi w Brisbane, była jednak dla niego drugim domem. I bardzo poręcznym w tej sytuacji, uśmiechnął się komisarz.

Po raz kolejny zastanawiając się nad planem stwierdził, że jego jedynym prawdziwym zmartwieniem jest Perry. Zaufanie do Perry'ego. Ale kto inny? Albo Perry, albo ktoś jego pokroju.

Zgasił cygaro.

— Sobota. Jedziemy w sobotę.

Perry zerwał się z krzesła, na którym siedział okrakiem, przewracając je w podnieceniu.

— Naprawdę? Zaczynamy? Powiem panu, panie Carnegie, że nie będzie pan żałować. Załatwimy sprawę, a potem będziemy wolni i czysti. Żywa dusza na całym świecie nie będzie mogła żadnego z nas wskazać palcem. Na Boga, będziemy bogaci!

Cztery tysiące dla Carnegiego nie oznaczały bogactwa, choć był to dobry początek.

— Powtórzymy to sobie jeszcze raz. Będziesz czekał na nas w Blackwater Creek. W niedzielę wieczorem. Z łodzią.

— Taa, już ją mam, na miejscu. Ilu ludzi będzie z panem?

— Taylor i trzech strażników. Dwóch już ze mną pracowało, jeden jest nowy.

— Kto?

— Chłopak nazwiskiem Willoughby.

— A co z Taylorem?

— Postąpi według zasad — wykrzywił się Carnegie. — Podobnie jak ja. W Blackwater Creek czekamy na policyjną eskortę.

Dylizans, wzmocniony silnymi pasami ze względu na wyboiste szlaki, w czasie tej podróży nie miał pasażerów. Załadowany stalowymi kuframi, był gotowy do drogi w sobotę przed świtem. Taylor zasiadł na koźle, pozostali jeźdźcy z komisarzem na czele ustawili się z tyłu. Nikt się z nikim nie żegnał. Po prostu skręcili na drogę i pojechali, zostawiając za sobą pola złotonośne.

Mai czuł podekscytowanie. To było coś innego, eskortowanie z bronią w rękę ładunku złota, chociaż on i pozostali strażnicy mieli jedynie strzelby.

Nie uprzedzili go o wyjeździe. Jeden z konwojentów, nawet nie podając nazwiska, wpadł do namiotu, kiedy na dworze było jeszcze ciemno.

— Willoughby?  
— To ja. — Mai był trochę zaspany, choć całkiem przytomny.

— Komisarz cię wzywa. Zbieraj się.

Więc o to chodziło! Mai miał czas tylko na spakowanie się i obudzenie Clive'a. Naturalnie wcześniej go uprzedził, że przyjął pracę strażnika, by bezpiecznie dojechać do Maryborough. Clive nie krył rozczarowania, ale Mai podjął już decyzję. Uścisnęli sobie dłonie i rozstali się jako przyjaciele.

Czekał przed rezydencją komisarza, próbując utrzymać konia w miejscu, podczas gdy dylżans wyjechał z szopy, a pozostali jeźdźcy, których nikt mu nie przedstawił, uspokajali rwące się do drogi wierzchowce. Taylor powoził dylżansem, lecz to komisarz na muskularnym siwku był szefem. Spiął konia i wszyscy popędzili, nim ktokolwiek w obozie zdążył otworzyć oczy.

Panie z Towarzystwa Emigracji Dam z Klasy Średniej nie tylko wystawiały guwernantkom referencje, ale i z naciskiem zwracały uwagę na konieczność zachowania odpowiedniego poziomu, tak by obecni i przyszli chlebodawcy rozumieli i akceptowali właściwy status guwernantki w domu.

Emilie przeczytała i przyjęła bez oporów listę zasad, uznała je bowiem za rozsądne i normalne, dokładnie takie, jakich należałoby się spodziewać w tej sytuacji. Bardzo szybko wszakże przekonała się, że pani Manningtree nie zna owych zasad, a Emilie czuła się w jej towarzystwie zbyt onieśmielona, by od pierwszego dnia podejmować próby ich wprowadzenia.

O piątej po południu przysłała po nią pokojówka.

— Jestem Nellie. Pani Manningtree kazała, żebym zaprowadziła panią do dzieci. Już się wykapały, więc będzie musiały je pani tylko uczesać i zaprowadzić do jadalni na kolację.

Emilie odkryła pierwszy błąd. Guwernantki nie są nianiami, tylko nauczycielkami. Posłusznie jednak podążyła za pokojówką do sypialni, gdzie otoczyli ją podopieczni, wszyscy troje przekrzykując się wzajemnie. Zasykali ją gradem pytań, najwyraźniej zafascynowani długim rejssem na wielkim statku.

Uniosła dłonie, by zaprowadzić spokój.

— Nie mogę od razu odpowiedzieć na wszystkie pytania — uśmiechnęła się. — Jutro opowiem wam o statku i tym bardzo

długim rejsie. To będzie dla was doskonała lekcja geografii. Najpierw jednak musicie się ubrać.

Pokój z ustawionymi rzędem trzema łózkami wyglądał jak mała, nieporządna sypialnia w internacie — wszędzie walały się ubrania i ręczniki. Emilie zaczęła je zbierać.

— Co wkładacie do kolacji?

— To co mamy na sobie — wyjaśniła Alice. — Ale Rosie ubrała się przodem do tyłu.

Emilie zaparło dech.

— Przecież jesteście w nocnych koszulach.

— Tak, bo się kąpaliśmy. Czekaaliśmy na panią, ale Nellie powiedziała, że pani śpi.

— Zawsze chodzicie na kolację w nocnych strojach?

Dzieci kiwnęły głowami.

— Dobrze — westchnęła Emilie wzruszając ramionami.

— Najpierw musicie się uczesać. Alice, zajmę się Rosie, ale musisz dać mi szczotkę.

Odprowadziła młodszą dziewczynkę na bok, poprawiła jej strój i poczekała, aż Alice znajdzie brudną szczotkę i połamany grzebień w szufladach komody, po czym z całą delikatnością, na jaką było ją stać, zaczęła czesać splątane loki.

Rosie była zadowolona.

— Pani robi to naprawdę dobrze. Przy Nellie zawsze mnie boli, bo ona ciągnie za kołtuny.

Emilie zadała sobie pytanie, czy pokojówka nie zwała jednego ze swych obowiązków na guwernantkę. Trzeba to będzie wyjaśnić.

Mniej czasu zabrało wyszczotkowanie włosów całej trójce niż czekanie, aż mizerne wysiłki Jimmy'ego i Alice przyniosą jakies rezultaty. Skończywszy Emilie zebrała dzieci.

— Dobrze. Gdzie wasze papucie?

Cała trójka otworzyła szeroko oczy.

— Ni mamy papuci — odparł Jimmy.

— Nie mamy... — poprawiła go Emilie.

— Właśnie — powiedziały chórem dzieci.

Wkrótce Emilie dowiedziała się, że buty są tylko do szkółki niedzielnej, że jest w nich gorąco i robią się ogromne pęcherze, które trzeba przekłuwać igłą, żeby woda wypłynęła, i wtedy jeszcze bardziej boli. Emilie wiedziała, co to pęcherze, sama w swoim czasie miała nie jeden, ale bosa dzieci w klasie? To nie wydawało się właściwe.

Zamiast do jadalni dzieci powiodły pannę Tissington do kuchni, gdzie poznała kucharkę Kate, rozsądnie wyglądającą kobietę o jasnych włosach spiętych w ciasny kok i wąskim uśmiechu, a stamtąd, prawie się nie zatrzymując, cała trójka pomaszzerowała przez spiżarnię do pokoiku bez okien, gdzie na gołym stole czekały cztery nakrycia.

Kiedy dzieci zajęły miejsca, do izdebki weszła Nellie.

— Proszę tu usiąść, panienko — powiedziała grzecznie. — Ja i kucharka jemy później. Chce pani zupy?

Zaszokowana Emilie kiwnęła głową, choć ogarnięta niepewnością wciąż stała. Guwernantki jadają z rodziną, przypomniawszy sobie, a nie w pokoju dzieciennym.

Tu jednak było jeszcze gorzej. Izdebka bez wątpienia była jadalnią dla służby. Czy pani Manningtree nie rozumie, że Emilie nie jest ani niania, ani służącą? Czuła, że powinna pokojówce powiedzieć, iż zaszła pomyłka, ale doskonale się orientowała, że lepiej nie obrażać służby. Rano będzie musiała poruszyć tę kwestię w rozmowie z chlebobawczynią. Na razie była głodna.

Mieszcząca się w szopie z żelaznym dachem klasa była rozgrzana jak piec, choć dzieciom wcale to nie przeszkadzało. Rodzice przynajmniej dołożyli starań, by odpowiednio wyposażyć salę: był tu długi stół dla dzieci i stojący naprzeciwko stolik dla nauczycielki. Na parapecie leżały zeszyty, pudełko ołówków, tabliczki i rysiki, a także stos podręczników. Na ścianie wisiała wielka nowa tablica, a obok stały sztalugi z pudełkiem kolorowej kredy.

Alice, która przewodziła rodzeństwu, przyniosła krzesła i ustawiła przy stole i stoliku dla „panienki”. Emilie jej podziękowała, po czym rozłożyła własny zbiór czytanek i podręczników. Były to książki, które razem z Ruth zakupiły w Londynie w nadziei, że okażą się przydatne.

Nowa nauczycielka zwróciła się do dzieci z pytaniem, jaka jest ich ulubiona modlitwa poranna, a ponieważ żadnej nie miały, poleciła im odmówić „Ojczy nasz”. Następnie krótko się przedstawiła, zadowolona, że dzieci słuchają jej z uwagą. Przynajmniej na razie.

Zaplanowała, że na początek sprawdzi ich umiejętność pisanja, zanim jednak zdążyła to zrobić, w otwartych drzwiach pojawiła się pani Manningtree.

— Dzień dobry, panno Tissington. Cieszę się, że widzę tu panią. Nie ma sensu marnować czasu. Grzecznie się zachowują?

— O tak, pani Manningtree. To bardzo dobre dzieci. — Zobaczyła, że cała trójka pojaśniała słysząc pochwałę, choć matka nie zwróciła na słowa guwernantki uwagi.

— Ma pani wszystko, co potrzebne?

— Tak sędzę. Tak.

— Jeśli będzie pani czegoś chciała, niech pani powie Kate. Ona się tym zajmie.

— Dziękuję.

Emilie wzięła głęboki oddech. Musi teraz o tym powiedzieć, po prostu musi. Teraz albo nigdy.

— Pani Manningtree, zastanawiałam się nad pewną kwestią. Nad kolacją. Czy życzy sobie pani, żebym spożywała posiłki razem z panią i panem Manningtree?

— Co? Dobry Boże, nie. Dzieci jedzą w służbówce, myślałam, że pani o tym wie.

— No tak, to rozumiałe. Ale pani sobie życzy, żebym gdzie ja jadała?

Kobieta wyraźnie się zirytowała.

— Mówi pani, że chce jadać w jadalni? To właśnie pani mówi?

— Cóż... tak zwykle się dzieje — wyjąkała Emilie.

— Ale nie w moim domu. Często mamy gości. Ludzi interesu. Ważnych ludzi. Pani obecność odebraliby jako natręctwo. Nie rozumiem, skąd pani wzięła ten pomysł. To ponad pani pozycję, niech mi pani wierzy. Mam nadzieję, że nie będzie pani więcej wpadała na podobne pomysły...

Emilie oszołomiła ta tyrada.

— Myślałam tylko...

— Posiłki w służbówce są równie dobre jak te przy moim stole, jeśli ta kwestia panią niepokoi.

— Och, nie...

— W takim razie więcej nie chcę o tym słyszeć. — Pani Manningtree określiła się na pięcie i poszła w stronę domu.

Ponieważ w oczach wezbrały jej łzy, Emilie ze schyloną niską głową wróciła do swojego stolika. Dzieci jednak uważnie wysłuchały jej rozmowy z ich matką.

— Ale my lubimy z panią być, panienko — Alice próbowała ją pocieszyć.

Emilie przełknęła łzy, odzyskując panowanie nad sobą.

— To bardzo miło z twojej strony, Alice, ja też lubię z wami przebywać. Może ty i Jimmy coś napiszecie, a ja zobaczę, co mogłaby zrobić Rosie.

Dzieci zostały przyjaciółmi Emilie. Wszyscy troje byli bardzo bezpośredni, lecz bez arogancji, i pilnie brali udział w lekcjach, o ile tylko Emilie nie dopuszczała, by zaczęli się nudzić. Często więc opowiadała im historie, zabierała na spacerów po rozległym ogrodzie, który — z czego dość szybko zdała sobie sprawę — był częściowo wykarczowanym lasem deszczowym, oraz zadawała ćwiczenia fizyczne, aczkolwiek widziała, że to zdrowe dzieci, nie potrzebujące dodatkowego wysiłku, skoro po lekcjach goniły jak szalone.

Jednakże po zajęciach czas włókł się Emilie niemiłosiernie. Chodziła na spacerów, zabierając ze sobą dzieci, by uciec ze swego ponurego pokoju, najwyraźniej bowiem zabroniono jej wstępu do pozostałej części domu. W tym czasie zostało jej tylko kilka szylingów, ale w obawie, by nie zirytować wybuchowej chlebodawczyni, nie chciała pytać, kiedy otrzyma pensję. Szybko przekonała się, że pani Manningtree jeszcze gorzej odnosi się do pokojówki i kucharki, które też serdecznie jej nie znosiły, sama wszakże nie dawała się wplątywać w te narzekania. Po jakimś czasie uświadomiła sobie, że usunięcie jej do pomieszczeń dla służby było chyba błogosławieństwem.

Jej chlebodawcy istotnie prowadzili bujne życie towarzyskie. Lunche z udziałem hałaśliwych kobiet trwały całe popołudnia, choć wieczory były jeszcze gorsze, krzyki podpitych i śpiewy odbijały się echem w całym domu. Kate i Nellie pracowały do późna, ale potem mogły uciec do własnych domów, podczas gdy Emilie, słysząc pijanych mężczyzn zataczających się po korytarzach i bełkoczących na podwórzu, żałowała, że w swoich drzwiach nie ma zamka.

Czasami Rosie, przerażona odgłosami hulanki, przemykała się do pokoju Emilie i chowała w jej łóżku. Dziewczyna nie miała serca kazać małej odejść.

Pewnego dnia rano po szczególnie hucznym przyjęciu Emilie w kuchni usłyszała, jak Nellie mówi do kucharki:

— Dziwne, że ona nie zaprasza panienki na te swoje przyjęcia. Zawsze jest na nich więcej panów niż pań. Można by pomyśleć, że będzie chciała to wyrównać, skoro panienka w niczym tamtym kobietom nie ustępuje.

Kucharka sarkastycznie uniosła brew.

— Właśnie dlatego. Ona nie chce z nikim konkurować. W każdym razie nie z naszą panienką, która jest z nich wszystkich najładniejsza.

— Wielkie nieba! — zawołała Emilie. — To by mi do głowy nie przyszło!

— Ale to prawda, zapamiętaj moje słowa, panienko. Masz więcej klasy niż wszystkie razem wzięte i ona o tym wie. Nellie słyszy, jak się przechwala guwernantką, ale nikogo do panienki nie dopuszcza. Bez obawy.

— Ona po prostu taka jest — zaprotestowała Emilie.

— Może tak, ale pilnuj się przed szefem, panienko. Widziałam, jak na panienkę patrzy. Wpada na lekcje, co?

— Tak, żeby sprawdzić, jak dzieci sobie radzą.

— Powiedz to ptaszkom, panienko — odparła Kate wesoło. — I trzymaj na podorędziu szpilkę do kapelusza.

Nawet Emilie musiały się roześmiać, na co kucharka pokiwała głową z aprobatą.

— Miło patrzeć, jak panienka się śmieje. Zbyt jest poważna. Taka młoda dziewczyna musi częściej wychodzić. To niedobrze, że co wieczór siedzi panienka w tym pokoju.

Emilie zgadzała się z nią w całej rozciągłości, ale w tym mieście nie było dokąd pójść, a poza tym po zmroku nie odważyłaby się wyściubić nosa na ulice. Co gorsza jednak, w pokoju nie miała nic do roboty. Z braku pieniędzy nie mogła kupić książek czy nawet przyborów do wyszywania. W nadziei, że uda jej się malować, przez Kate złożyła zamówienie na akwarele, pędzle i papier, tłumacząc, że poznanie podstaw rysunku będzie z korzyścią dla Alice, lecz zostało zignorowane.

A potem, po długich tygodniach, w domu zapanowało wielkie podniecenie. Przyszło pianino! Emilie zupełnie o nim zapomniała, a tu zobaczyła pana Manningtree napominającego dwóch mężczyzn, którzy wnosili instrument do domu. Przestrzegał, by go nie zadrapali, bo obedrze ich ze skóry, dyskutował z żoną, gdzie postawić nabytek, a kiedy wreszcie znaleźli odpowiednie miejsce w salonie, osobiście zerwał papier, by wszystkim pokazać przedmiot swej dumy i radości: lśniące czarne pianino ze świecznikami z brązu.

Pani Manningtree stała z tyłu, Nellie i Kate patrzyły z podziwem, a dzieci biegały dookoła i domagały się, by pozwolono im spróbować. Ojciec odegnał je machnięciem ręki.



— Nie, mamy tutaj prawdziwą pianistkę. Panno Tissington! Niech pani wystąpi, młoda damo, żebyśmy posłuchali, jak brzmi ten instrument.

Emilie nie posiadała się z radości. Dla niej pojawienie się pianina było niczym wizyta starego przyjaciela. Uniosła pokrywę, wzięła od Nellie piórka do zmiatania kurzu i delikatnie przesunęła nimi po klawiaturze, dopiero potem przebiegła palcami po klawiszach.

— Och, ma piękny ton — powiedziała.

Zaczęła od etiudy Chopina, potem zagrała melodyjny utwór Liszta i wszyscy byli zachwyceni — z wyjątkiem pani Manningtree.

— Nie może pani zagrać czegoś, co znamy?

— Oczywiście. — I Emilie zagrała irlandzkie ballady, które śpiewali pasażerowie na statku. Ku jej zaskoczeniu pan Manningtree zaczął śpiewać całkiem miłym tenorem.

— Wy też śpiewajcie! — zawołał. Wkrótce pozostali zebrali się wokół instrumentu, śpiewając z wielką żarliwością, tylko pani Manningtree stała w progu z nachmurzoną miną.

— O której mamy się dzisiaj spodziewać lunchu? — zapytała kwaśno.

Kate zrozumiała aluzję; szturchnęła Nellie i obie po cichu się wymknęły. Jednakże pan domu miał nową zabawkę i nie pozwolił Emilie wstać, dopóki nie wyczerpał się cały jego repertuar.

— Na Jowisza, to wielki dzień — oznajmił. — Nie ma jak pianino w domu. Czy mogłaby pani nauczyć dzieci, panno Tissington?

— Tak, naturalnie. Zaczniemy lekcje, kiedy pan będzie sobie tego życzył. Choć Rosie może jest za mała.

— Nieprawda! — zawołała dziewczynka.

— Zaczniemy lekcje, kiedy ja wam powiem — wtrąciła pani Manningtree. — A to znaczy wtedy, gdy salon będzie wolny. I nie w czasie godzin lekcyjnych. Może pani odejść, panno Tissington, i zabrać dzieci ze sobą. Już im przepadła połowa lekcji.

Emilie, wciąż zauroczona pianinem, przestała się mieć na baczności.

— Och, na pewno to nadrobimy — powiedziała z uśmiechem.

— Bez wątpienia. W pralni jest stos rzeczy do prasowania. Nellie nie ma na to czasu. Może pani dzisiaj po lekcjach zająć się prasowaniem.

## ZATOKA ORCHIDEI

Ze swym rubasznym usposobieniem pan Manningtree niczego nie zauważył. Podziękował Emilie za „ochrzczenie” pianina i kazał obiecać, że znowu dla nich zagra.

— Z największą przyjemnością — odparła spokojnie, nie dając poznać jego żonie, że ostatnie polecenie wprawiło ją w furję. — A teraz, jeśli pan wybaczy...

Pianino wprowadziło zmiany w życiu Emilie, choć nie były to zmiany na lepsze.

Późno wieczorem w niedzielę, kiedy skończyła list do Ruth, w którym wylizowała zalety swej posady, głównie jakieś głupstwa, do jej drzwi głośno zapukał pan Manningtree.

— Jest tam pani? To ja, Bert. Chcemy, żeby pani zagrała dla nas.

Emilie zarzuciła szlafrok i uchyliła drzwi.

— Panie Manningtree, nie mogę. Nie jestem ubrana.

— Nie szkodzi, poczekamy.

— Może innym razem. — Wyraźnie czuła alkohol w jego oddechu.

— Teraz jest najlepsza pora. Proszę przyjść. Niech pani nie będzie nieśmiała...

— Naprawdę nie mogę...

— Może pani. — W jego głosie zabrzmiał stanowczy ton. — Niech pani nie psuje zabawy, zresztą i tak się pani nie wymiga. Daję pani pięć minut.

Goście madame opuścili w beładzie jadalnię i zgromadzili się w salonie, gdy Emilie stanęła w progu. Wszystkie kobiety ubrane były w najlepsze stroje, co tutaj oznaczało jaskrawe tafty, jak stwierdziła Emilie ironicznie, mężczyźni zaś mieli na sobie koszule bez marynarek. Rozmyślnie czekała nic nie mówiąc, wreszcie ktoś ją zauważył. Została poprowadzona przez pokój i usadzona za pianinem przy wtórze głośnych okrzyków.

Posłusznie grała, o co ją proszono, znosząc nacisk zebranych wokół ciał, raz po raz odmawiając przyjęcia kieliszka wina i odpierając zaloty młodego człowieka o mętnych oczach, szesanych do tyłu włosach i cienkim wąsiku.

Pozostali mężczyźni byli starsi wiekiem — Emilie zgadywała, że to ojcowie miasta — i przyjemność sprawiał im sam udział we wspólnym śpiewie prowadzonym przez pana domu, za to ów

młody człowiek, niejaki Curtis, zachowywał się okropnie, szepcząc jej do ucha sprośności i zuchwale ją obejmując.

— Wolałabym, żeby pan tego nie robił — powiedziała przerywając grę, by po raz trzeci zdjąć ze swoich pleców jego ramię. Jej postępowanie spowodowało wybuch śmiechu.

— Niech się pani pilnuje, panno Tissington — wesoło ostrzegł ją jeden ze starszych gości. — Kapitan doskonale poczyła sobie z damami.

Curtis, wcale nie zakłopotany, zwrócił się do gospodyni:

— Jakżebym mógł inaczej, skoro w naszym gronie mamy śliczną angielską różę? Chowałaś ją przed nami, Violet. A to taka utalentowana dama...

Pani Manningtree wzruszyła ramionami.

— Myślę, że jak na jeden wieczór dość mamy muzyki. Dziękuję, panno Tissington, pani skromny występ sprawił nam przyjemność.

Emilie z radością skorzystała z pretekstu do ucieczki, choć odprawiono ją w obrazliwy sposób. Głośno zatrasnęła za sobą drzwi sypialni, rozgniewana, że wbrew woli zmuszono ją do udziału w tak nieprzyjemnym wieczorze.

Rano złość jej nie przeszła, a ponieważ czuła potrzebę porozmawiania z kimś, opowiedziała o swych przeżyciach kucharce, choć reakcja Kate tylko ją przygnębiła.

— Ha, panienko, powiedziałabym, że kości zostały rzucone. Będą cię tam wlec, kiedy im się będzie podobało. I nic nie można na to poradzić, to samo robią ze mną i Nellie. Kiedy ona wydaje te swoje przyjęcia, musimy zostać do późna. I nie płaci nam za to, nigdy nawet słowem nie podziękuje. Nic nie można na to poradzić.

Tak też było. Co najmniej raz na tydzień, niekiedy częściej, Emilie bez uprzedzenia wzywano, by grała. Z czasem przywykła do nowej roli; słysząc dobiegające z salonu odgłosy hulanki, nie rozbierała się, tylko ze znużeniem czekała na nieuniknione pukanie do drzwi. Jednakże dzięki udziałowi w tych wieczorach i czynionych tam obserwacjach zyskała okazję do lepszego poznania chlebobawców. Pan Manningtree, choć prostacki w obejściu, okazał się miłym człowiekiem. Był dumny z Emilie, w momentach trzeźwości zdobywał się na szczere podziękowania. Kiedyś nawet przyniósł jej do klasy pudełko czekoladek.

— Dobra z panienki dziewczyna — powiedział. — To dla pani. Nasz burmistrz uważa panią za doskonałą pianistkę, a to chyba sporo znaczy, no nie? Czy coś mogę dla pani zrobić?

Emilie zalała się rumieńcem.

— Właściwie tak, jeśli byłby pan tak uprzejmy. Czy mógłby mi pan powiedzieć, kiedy się mogę spodziewać pensji? Jestem tu już od sześciu tygodni...

— Krucho z gotówką, co? Dlaczego pani nie mówiła? Domywymi rachunkami zajmuje się żona. — Wyjął z kieszeni monety i odliczył pięć szylingów. — Czy to pani na razie wystarczy?

— Tak, dziękuję panu. Zastanawiałam się jednak, w jakich odstępach czasu mam się spodziewać wypłaty pensji?

— Zapytam żonę, niech pani mnie to zostawi. Jak radzą sobie dzieci?

— Bardzo dobrze, sir, uczenie ich jest przyjemnością. Może posłuchałby pan, jak czytają, jak rachują...

— Tak, w najbliższym czasie. Bardzo dobrze. Bardzo dobrze.

Najwyraźniej edukacja dzieci była wyłącznie sprawą jego żony, Emilie więc nie naciskała.

Rzeczą niezwykle zajmującą okazało się dla Emilie obserwowanie chlebobawczyni na gruncie towarzyskim. Grała wielką panią, a równocześnie piła dużo i bezwstydnie flirtowała z Curtisem, znanym także jako kapitan Morrow, oficerem armii i regularnym bywalcem tych przyjęć. Na każdym kroku krytykowała męża i rozkazywała mu, jakby był lokajem, choć jemu to nie przeszkadzało. Nie ulegało wątpliwości, że jest bardzo przywiązany do żony i nie widzi nic złego w tym, co robi.

Tego wieczoru, kiedy Emilie jak zwykle siedziała z dziećmi przy kolacji, do służbówki wpadła rozgniewana pani Manningtree.

— Jak śmiesz skarżyć się mojemu mężowi, że nie dostałaś zapłaty, ty mała parweniuszko!

Emilie spokojnie wstała.

— Nie skarżyłam się, madame. Zapytałam, kiedy się mogę spodziewać wypłaty części mojej pensji.

— Powiem ci, kiedy będziesz dostawać pieniądze. Co kwartał. Co trzy miesiące otrzymasz jedną czwartą umówionej sumy. Czy to jasne?

— Tak, madame. Gdyby mi to pani wyjaśniła, nie musiałabym pytać.

<sup>ii</sup> — Czy ty zwracasz mi uwagę?

— Ależ nie, w żadnym wypadku.

— Mam nadzieję, że nie, bo jesteś tu tylko na okresie próbnym, trzymiesięcznym okresie próbnym, więc nie zadzieraj nosa. Mój mąż dał ci pięć szylingów, które zostaną odliczone od pierwszej wypłaty. Nie życzę sobie, żebyś znowu u niego zebrała.

— Zebrała? Ja nie zebrałam, pani Manningtree, i wypraszam sobie takie uwagi. A teraz, jeśli pani skończyła, pozwoli pani, że dzieciom podadzą deser.

Urażona kobieta stała nieruchomo przez kilka sekund, po czym wpadła do kuchni, by zrobić kucharce awanturę o ciasto podane na lunch. Wyżywa się na Kate, pomyślała Emilie, choć dygotała z obawy, czy nie posunęła się za daleko. Martwiła się, bo istniało wielkie prawdopodobieństwo, że po trzech miesiącach ta jędra ją zwolni. I co ona wtedy pocznie?

Emilie żałowała, że nie może jej uprzedzić. Chociaż była bardzo przywiązana do dzieci, to jakie miała tu życie w pokoiku na tyłach, wiecznie zagrożona zwolnieniem? Dość szybko uświadomiła sobie, że im głośniejszy pan Manningtree ją chwali, tym usilniej jego żona wytyka jej błędy. Nalegała, by co tydzień składać jej raporty z postępów dzieci, i sama je sprawdzała, zadając zbyt trudne pytania, przez co Alice płakała, a Jimmy się wzdrygał. Emilie było żal dzieci, wiedziała bowiem, że ta zimna kobieta wykorzystuje je jako broń przeciwko niej. Próbowwała pocieszać swoich uczniów, nie krytykując zarazem matki, która poza tym wcale się nimi nie zajmowała. Ojca zresztą też rzadko widywały. Po niedługim czasie zrozumiała jednak, że dzieci szybko zapominają, a ponieważ nie znają innej sytuacji, zadowolają się opieką kucharki, Nellie i panienki.

Wreszcie Emilie napisała długi żaloszny list do **Ruth**, narzekając na okropną posadę, samotność i co gorsza, brak pieniędzy. Osiem szylingów musiało jej wystarczyć na następne sześć tygodni, po którym to czasie miała nadzieję dostać dwadzieścia funtów pomniejszone o kwotę otrzymaną od pana Manningtree. A jeśli zostanie zwolniona? Czy będzie miała prawo domagać się tych dziewiętnastu funtów i piętnastu szylingów? A może zwolnienie po okresie próbnym oznacza, że nie ma żadnego prawa do pensji? Wylała wszystkie swoje żale i zmartwienia w liście do siostry, która chwalić Boga, trafiła do idealnej rodziny, mimo iż dzieci były bardzo rozpuszczone i nie chciały się uczyć.

Jakież Ruth ma szczęście, westchnęła Emilie czytając od nowa to, co napisała. A potem podarła kartkę. Jaki sens obarczać ją tymi problemami? Co siostra może poradzić?

Pewnej niedzieli młoda guwernantka wybrała się na spacer po Maryborough. Przystanęła, by obejrzeć imponujący hotel Prince of Wales, piętrowy budynek z werandami od frontu. Pamiętając, że tutaj oferowano miejsce Ruth, zastanawiała się, czy praca w hotelu i dla papistów mogłaby okazać się gorsza niż jej obecna posada. O mało nie weszła do środka, by zapytać, czy propozycja nadal jest aktualna, zaniechała tego jednak, i to z wielu powodów. A jeśli pani Manningtree się dowie? Poza tym dzieci cierpiałyby, gdyby je opuściła, choć niewykluczone, że i tak zostanie do tego zmuszona. Czy ośmieliłaby się wejść i zapytać? Nie, lepiej nie.

Kiedy ruszyła w dalszą drogę, usłyszała, że ktoś ją woła.

— Panienko! Panienko! Proszę poczekać!

Po drugiej stronie ulicy młody człowiek zeskoczył z siodła, puścił lejce, po czym biegiem ruszył w jej stronę.

Emilie rozejrzała się, by sprawdzić, czy młodzieniec nie woła kogoś innego, ale prócz niej na ulicy było tylko małżeństwo, spokojnie idące w przeciwnym kierunku.

Chłopiec zatrzymał się przed nią i ściągnął kapelusz z głowy.

— Panienko, nie pamięta mnie pani? Jestem Mallachi Willoughby. Spotkaliśmy się w Brisbane. W Valley! Na ulicy. Szła pani w złym kierunku. Pamięta pani?

Emilie pokręciła głową, próbując odejść, on wszakże nie ustępował.

— Przykro mi, nie pamięta mnie panienka. Ale ja panienkę pamiętam. — Brakowało mu tchu, tak się ucieszył na jej widok, jakby była dawno nie widzianą krewną.

— Wybacz pan, ale proszę mnie zostawić w spokoju. Musiał mnie pan z kimś pomylić. — Już miała go wyminąć, gdy nagle tamto zdarzenie stanęło jej przed oczyma. Tak się zdziwiła, że aż przystanęła.

— Więc przypomniała sobie panienka! — zawołał Mai wesoło. — Zna mnie panienka.

— Wcale pana nie znam i proszę mi nie mówić, że znowu idę w złym kierunku.

— W żadnym razie! Tak się cieszę, że panienkę widzę. Nie znam tego miasta. Co panienka tu robi?

Trudno było gniewać się na niego, skoro zasady przyzwoitości najwyraźniej nic dla niego nie znaczyły, a nie ulegało wątpliwości, że nie miał złych zamiarów.

— Objęłam tutaj posadę — wyjaśniła krótko.

— Naprawdę! Miała pani szczęście. Co pani robi?

Emilie westchnęła. Teraz aż za dobrze pamiętała tę twarz — szczerą, otwartą, na swój sposób niewiarygodnie przystojną z tymi ufnymi błękitnymi oczami — co wszakże nie mogło dla niej być pretekstem, by stać z nim i rozmawiać jak ludzie z niższych sfer.

— Jestem guwernantką i wracam do domu.

— Guwernantka, czy to nie miło? W takim razie odprowadzę panienkę. — Rozejrzał się po pustej ulicy i zażartował: — Nie chciałbym, żeby panienkę stratował tłum.

Gwizdnął na konia, który spokojnie ku niemu przykłusował.

— To jest Striker — powiedział Mai. — Striker, przywitaj się z panną...

Szukając dla siebie wymówek, Emilie pomyślała, że nie uda się jej pozbyć pana Willoughby'ego, a poza tym dlaczego właściwie nie miały jej odprowadzić młody mężczyzna? Nawet jeśli był poganiaczem bydła — w mieście aż się od nich roiło. Tego słowa nauczyły ją dzieci, wyjaśniając też, dlaczego ci mężczyźni na koniach mają przy siodle bicze i liny.

— Tissington — powiedziała.

— Koniowi nic z tego nie przyjdzie. Za trudne. Jak mógłby panienkę nazywać?

— Emilie — odparła z uśmiechem.

— Emilie — powtórzył zwracając się do wierzchowca.

— Śliczne imię, prawda? Jak jego właścicielka.

Prowadził konia, gdy szli ulicą, a następnie skręcili na drogę prowadzącą do domu państwa Manningtree. Willoughby gawędził wesoło, nie zauważając, a może nawet niewiele się o to troszcząc, że Emilie zachowuje nazbyt wielką rezerwę. Swego towarzysza o nic nie pytała. On natomiast zarzucał ją pytaniami. Zaskoczyło ją jednak, że w jego obecności czuje się tak swobodnie; sprawił, że ani trochę nie była skrępowana.

— Więc tutaj panienka mieszka? — Zajrzał za bramę.

— Wygląda bardzo wytwornie.

— Nie dla mnie! — nieoczekiwanie wybuchnęła Emilie.

— Mam pokój na tyłach, koło kuchni. Ja tutaj tylko pracuję.

Zmarszczył brwi.

— Ale to dobra praca. Spotykałem guwernantki na farmach na zachodzie. Wyglądało na to, że takie życie **bardzo im** odpowiada.

Jego słowa zainteresowały Emilie.

— Widział pan? A gdzie?

— W wielu miejscach.

— I zna pan tych ludzi?

— Jasne. — Mai spojrzał na nią zmartwiony. — Nie lubi panienka tej pracy?

Pokręciła głową; jego dobroć sprawiła, że zaczęła się nad sobą rozczulać.

— Muszę już iść.

— Nie, niech panienka poczeka. Powinniśmy o tym porozmawiać. Jeśli nie lubi panienka tej pracy, to dlaczego stąd nie odejdzie?

— Nie mogę.

— Żadnych „nie mogę”. Proszę posłuchać, ja też muszę już iść, ale wieczorem wrócę do miasta, choć może być późno. A jutro wieczorem? Czy mogę panienkę odwiedzić? Nie mam złych zamiarów, nic w tym stylu.

Emilie wyobraziła sobie reakcję pani Manningtree, gdyby zapukał do drzwi i zapytał o nią. Byłoby fatalnie. I to bardzo. Ale ten pan Willoughby znał farmy, gdzie guwernantki mogą znaleźć dobrą pracę. Niewykluczone, że potrafiłby jej pomóc.

— Zna pan miejsce zwane Nanango? — zapytała.

— Owszem. Całkiem przyjemne miasteczko. To kraina posiadaczy ziemskich. A dlaczego?

— Och, pytam bez powodu. Moja siostra tam pracuje.

— Nie chce panienka, żebym ją odwiedził?

— Przykro mi, ale to nie jest najlepszy pomysł. Im by się to nie spodobało.

— Więc może panienka mogłaby spotkać się ze mną? Tutaj, przy bramie. O której kończy panienka pracę?

— Nie mogę wyjść przed siódmą. Muszę położyć dzieci spać.

— Dobrze, w takim razie spotkamy się tutaj o ósmej.

Teraz Emilie zaczęła się martwić. O ósmej będzie już ciemno, a ona nie pochwałała, kiedy dziewczęta wymykały się z domu po zmroku. To takie prostackie. W dodatku by spotkać się z nieznanym mężczyzną. To by znaczyło, że bierze życie we własne ręce.



— A co byśmy robili? — zapytała, kierowana przezornością. Roześmiał się.

— Będzie panienka ze mną bezpieczna, panno Emilie. Moglibyśmy pójść na brzeg i popatrzeć na statki albo gdzie indziej, gdzie tylko panienka zechce.

— Nie mam pojęcia, dokąd chciałabym iść. Zupełnie nie znam miasta.

— To tak samo jak ja. W takim razie rozejrzemy się i porozmawiamy, dobrze? Czy to panience odpowiada?

— Tak. I jeszcze jedno, panie Willoughby...

— Jestem Mai.

— Mai. Dziękuję.

Patrzył, jak spokojnie idzie podjazdem, śliczna drobna figurka w schludnej spódnicy, szeleszczącej białej bluzce i słomkowym kapeluszu na lśniących włosach, aż zniknęła mu z oczu i dopiero wtedy ogarnęło go podniecenie. Gdyby tylko Hillier mógł zobaczyć go dzisiaj z tą damą... Gdyby mógł zobaczyć, jak idą razem niczym idealna para. Mai żałował, że zabrakło mu odwagi, by ująć ją pod ramię, jak wedle jego rozeznania należało postępować z damami, ale w obecności Emilie bardzo się denerwował, taka była piękna. Martwił się teraz, że za dużo gadał.

Ponieważ była tu nieszczęśliwa, a on pragnął więcej się o niej dowiedzieć, sprowadził konia z drogi i przywiązał do drzewa, po czym ruszył na rekonesans po nie ogrodzonej posiadłości, bezszelestnie przemykając się między zaroślami. Mai zobaczył piękno tego miejsca, które na pierwszy rzut oka zdenerwowało Emilie swym ponurym wyglądem. Dławiące wszystko chwasty zostały wyrwane, ustępując pola trawnikom tam, gdzie dochodziło światło, za to pozostawiono wspaniałe stare drzewa, porośnięte pnączami i mchem. Mai poznał rozłożyste figowce i czerwone drzewa gumowe, pobielające drzewa butelkowe i dęby, po czym z cichym chlupotem przeszedł przez mierzwę pod rozległe ogniste drzewa, pokryte rdzawoczerwonym kwieciami. Zdażył w samą porę, by zobaczyć, jak Emilie obchodzi dom, mijając kępy banksji, kierując się ku tylnym drzwiom, i krew zawrzała mu w żyłach.

Co to za ludzie, że takiej wytwornej młodej damie każą korzystać z kuchennego wejścia jak byle służącej? I co ona miała na myśli, kiedy mówiła, że nie może stąd odejść? Jaką nad nią mają władzę? Kimkolwiek są ci ludzie, jej chlebodawcy, Mai nie wątpił, że Emilie jest dla nich o wiele za dobra.

A potem sobie przypomniał, że w ciągu godziny musi stawić się na posterunku policji w Maryborough, pobiegł więc, by spełnić swój obowiązek.

W Lindsay Downs pod Nanango atmosfera panująca w domu uległa istotnej zmianie od momentu przybycia gubernantki i Leonie się martwiła. Narzekanie zupełnie nie leżało w naturze Jacka — zawsze był taki łatwy w obejściu — ale po wczorajszej kolacji nie wytrzymał.

— Chcę, żebyś porozmawiała z panną Tissington. Nie zniosę dłużej jej czepiania się przy posiłkach. Powiedz jej, żeby przestała dziewczynkom zwracać uwagę. Czuję się gorzej niż w szkole.

— Och, Jack, nie bądź wobec niej taki surowy. Ona ma dobre intencje. Próbuje tylko zrobić dla dziewczynek wszystko, co w jej mocy. Poprawić ich maniery.

— Nie obchodzi mnie, co ona próbuje zrobić. Mam serdecznie dość jej zrzędzenia. — I ją przedrzeźniać Ruth: — Łokcie ze stołu. Trzymaj prawidłowo nóż. Talerz z zupą stoi krzywo. Nie mów z pełnymi ustami. Pamiętajcie o dobrych manierach.

— Może gdybyś porozmawiał z dziewczynkami i kazał, żeby były jej posłuszne, nauczyłyby się tego wszystkiego szybciej i nie musiałyby tak zrzędzić.

— Ha! — wykrzyknął Jack. — Więc sama przyznajesz, że ona zrzędzi.

— Tylko dlatego, że uważa to za swój obowiązek. Jest bardzo sumienna i dokłada wszelkich starań, by wywiązać się ze swej funkcji bez zarzutu.

— Więc powiedz jej, żeby przestała. Ja też podskakuję, jak słyszę jej głos. Sam kładę łokieć na stole i mam wrażenie, że tymi swoimi oczkami jak paciorki na mnie też patrzy. Osiąga tylko tyle, że wszyscy jesteśmy podenerwowani. Jane i Jessie specjalnie płątają jej figle. Ty coś im każesz, one marudzą i jęczą, ta kobieta nigdy im nie odpuszcza, a ja muszę tego słuchać. To cholernie nieprzyjemne, Leonie. Nikt się nie śmieje. Jeśli nie będę mógł się odprężyć podczas posiłków przy własnym stole, to będę jadał z pracownikami.

Leonie westchnęła. Wcale jej nie cieszyła perspektywa poważnej rozmowy z panną Tissington, która zdecydowanie odmówiła, by ktokolwiek z rodziny lub personelu zwracał się do niej po imieniu. Ta kobieta peszyła Leonie. Kobieta? Panna Tissington

miała dopiero dwadzieścia cztery lata, ale była tak sztywna i poważna, tak głęboko przekonana, że jej angielskie maniere górują nad zachowaniem mieszkańców kolonii, że przedwcześnie się postarzała. Już była typowym przykładem starej panny nauczycielki.

W klasie jednak doskonale sobie radziła. Pod jej rządami dziewczynki zrobiły ogromne postępy. Nienawidziły nauczycielki, ale ona zmuszała je do pracy, czego dowodem były schludne zeszyty i cotygodniowe sprawdziany z wielu przedmiotów. Panna Tissington połączyła lekcje botaniki z zajęciami plastycznymi i wszyscy byli zaskoczeni, a równocześnie ucieszeni, gdy się okazało, że Jane ma wielki talent.

— O rety — wzdychała zmartwiona Leonie idąc korytarzem. Była zadowolona, że Jacka nie ma w domu podczas okropnych lekcji gry na pianinie, które odbywają się raz na tydzień. Hałaśliwe godziny walenia w klawisze i gniewne narzekania guwernantki, że zadna z dziewczynek nie ćwiczyła. Co było prawdą. Po wyjściu z klasy biegły do stajni, siodłały swoje konie i znikwały, usuwając się z zasięgu wzroku nauczycielki. Wiedziały, że jeśli zostaną w domu, ona założy im obroże na szyję.

Pani Stanfield nerwowo czekała, aż dziewczynki pójdą na lunch, po czym sama weszła do klasy, by spełnić swój obowiązek.

Po krótkiej pogawędce, w trakcie której powiedziała pannie Tissington, że ślicznie dzisiaj wygląda, że wiejskie powietrze najwyraźniej dobrze jej służy i że klasa bardzo zyskała dzięki obrazkom, szkicom i kalendarzom pogody na ścianie, Leonie wreszcie przeszła do sedna.

— Panno Tissington, chciałam porozmawiać z panią o posiłkach.

— Naturalnie — uśmiechnęła się guwernantka. — Czy nastąpiły jakieś zmiany w porach?

— Nie, chodzi o coś innego. Zastanawiałam się, czy mogłyby pani nie strofować dziewczynek przy stole?

— Nie strofować? Nie rozumiem.

— Wolałabym, żeby nie wydawała im pani poleceń przy stole... to znaczy dotyczących manier.

Panna Tissington przetrawiła te słowa, po czym rzekła:

— Dziewczynki trzeba uczyć manier, pani Stanfield. Jak inaczej mogłyby je osiąść?

— Może udzielać im pani pouczeń tutaj.

— Robię to bez końca. Obawiam się jednak, że zapominają, muszę więc im przypominać. Jeśli okażemy konsekwencję, przekaże się pani, że wejdzie im to w nawyk.

— Zdaję sobie z tego sprawę, ale trudno mi znieść to wieczne strofowanie. — Leonie nie chciała tak powiedzieć, nie chciała użyć słowa „wieczne”, brzmiało zbyt surowo, ale tak się skupiła na tym, by odpowiedzialności za tę sprawę nie zrzucić na męża i nie wywołać u guwernantki zażenowania, że po prostu jej się wymknęło.

— Trudno pani znieść moje uwagi? — Głos panny Tissington brzmiał lodowato. — Sądziłabym raczej, że o wiele trudniejsze do zniesienia są wieczne przekomarzenia się Jane i Jessie oraz ich skłonność do przerywania, wręcz niegrzecznego odpowiadania rodzicom. Bardzo się staram nie komentować tego aspektu sprawy, ponieważ to zależy od pani...

— Oczywiście. Rozumiem doskonale, ale mimo to... życzyłabym sobie, to znaczy byłoby lepiej dla wszystkich zainteresowanych, gdyby pani nie robiła takiej wielkiej sprawy z zachowania dziewczynek przy stole. — Leonie próbowała się uśmiechnąć. — One są szalenie męczące.

Miała zamiar załagodzić sytuację, zrzucić winę na córki mówiąc, że są męczące, ale osiągnęła odwrotny skutek. Teraz to panna Tissington była obrażona.

— Mam rozumieć, że nie powinnam wcale zwracać im "uwagi? Że to mnie trudno znieść?

— Niezupełnie — wyjąkała Leonie.

— Nie widzę, jak inaczej mogłabym to zinterpretować. Kiedy tutaj przyjechałam, wyraźnie mi pani powiedziała, że chciałaby, żeby dziewczynki zachowywały się jak damy. Znajomość manier przy stole uważam za absolutną podstawę dla młodej damy.

— Oczywiście, ma pani rację. Ale to nie przynosi rezultatów, naprawdę. Ze względu na spokój w czasie posiłków muszę prosić panią, by przestała korygować dziewczynki. Bardzo proszę.

Panna Tissington zimno kiwnęła głową.

— Doskonale, jeśli tego pani sobie życzy, przestanę. Miejmy nadzieję, że do nauki wystarczy im obserwacja dobrego przykładu.

— Dziękuję pani. To drobiazg, więc nie powinna się pani tym przejmować.

Ruth wcale nie uważała tego za drobiazg. Była straszliwie zażenowana, że zwrócono jej uwagę z powodu fatalnie wy-

chowanych córek, które okropnie zachowywały się przy stole. Skargę pani Stanfield, bo niewątpliwie była to skarga, odebrała jako niesprawiedliwą i raniącą, podczas gdy starała się zrobić co w jej mocy dla swoich uczennic. A ze słów pani Stanfield wynioskowała, że ta krytyka nie była niczym nagłym, że jej chlebodawcy od jakiegoś już czasu musieli być nią rozczarowani. To sprawiło, że się wzdygała, dotąd bowiem przekonana była o ich pełnej aprobacie.

Na swój sposób Ruth szczerze cieszyło życie w Lindsay Downs. Dziewczynki były trudne, stanowiły prawdziwe wyzwanie, lecz jakoś dawała sobie z nimi radę, a po lekcjach, kiedy miała wolny czas, obserwowała życie farmy, które uznała za niezwykle zajmujące. Nikt jej nie przeszkadzał, kiedy spacerowała, przypatrując się zarządzaniu tysiącami sztuk bydła oraz jak wynikało z jej obliczeń, setkami koni, a także pracy małej mleczarni. To był świat mężczyzn, krzepki i szorstki, a choć Ruth była zbyt nieśmiała, by się do niego zbliżyć, fascynował ją widok tak wielu jeźdźców, którzy z jakiegoś powodu nieustannie przepędzali muczące stada przez labirynt pastwisk ogrodzonych wysokimi płotami. Jako osoba mało gadatliwa, Ruth nie potrzebowała towarzystwa, gdy spacerowała po ogrodzie i wzdłuż strumienia przecinającego posiadłość, czerpiąc przyjemność z tego, co lubiła nazywać wycieczkami krajoznawczymi.

Wieczorami dołączała do rodziny w salonie, oni wszakże po kolacji nigdy długo nie zostawali, ponieważ Stanfield wstawał o świcie. Po ich odejściu Ruth miała salon dla siebie, zajmowała się szyciem lub czytała jedną z książek, które pani Stanfield na jej prośbę uprzejmie zamówiła. Zabrali ją nawet ze sobą, gdy jechali z wizytą do przyjaciół w małym miasteczku o nazwie Nanango. Przyjaciele okazali się ludźmi bardzo sympatycznymi, choć oczywiście Ruth niewiele miała z nimi wspólnego.

Wypowiedź pani Stanfield zdeprymowała Ruth. Nie potrafiła radzić sobie z krytyką. Przekonana, że odgrywała swoją rolę przykładowie, przeżyła wstrząs, gdy spotkała się z naganą, i nie potrafiła spojrzeć tym ludziom w oczy. Pobiegła do kuchni powiadomić kucharkę, że nie jest głodna i nie będzie na lunchu, po czym ukryła się w klasie.

Tamtego wieczoru guwernantka nie zwracała dziewczynkom uwagi, lecz atmosfera przy stole była jeszcze gorsza. Ruth przez

cały posiłek zachowywała kamienne milczenie, przerywane tylko wówczas, gdy Leonie próbując rozładować napięcie zadawała jej najróżniejsze pytania, na które odpowiadała monosylabami, z ponurym wyrazem twarzy.

— Jest urażona, to wszystko — wyjaśniła później Leonie mężowi. — Myślała, że postępuje słusznie wobec dziewczynek. Szybko jej minie.

— Mam nadzieję. Powiedz jej, że daje zły przykład, obrażając się w obecności uczniów.

— Ona się nie obraziła.

— A dla mnie tak to wygląda.

Po jakimś czasie powściągliwość panny Tissington zaczęła budzić coś na kształt irytacji. Pozbawiona prawa do zwracania uwagi podopiecznym, najwyraźniej nic innego nie potrafiła robić, nigdy bowiem nie próbowała nawiązać rozmowy, siedziała tylko sztywno i prosto obok Jane, jakby z dala od tego, co toczyło się przy stole. Leonie nie wiedziała, co o niej myśleć. Była nieśmiała? A może karała ich, jak twierdził Jack nazywając ją Panną Ponurą. Bez względu na wyjaśnienie Leonie musiała zgodzić się z mężem, że dalej tak nie może być. Dziewczęta zauważyły, jak małomówna i cicha stała się panna Tissington, i zaczęły dokuczać jej bzdurnymi pytaniami, zmuszając ojca do wzięcia guwernantki w obronę.

— Wystarczy! — ryknął na Jane. — Jeśli ty i twoja siostra nie będziecie dobrze się zachowywać, odejdziecie od stołu.

Panna Tissington nawet nie mrugnęła okiem; nadal jadła, nabierając jedzenie ruchami delikatnymi i precyzyjnymi.

— Znajdź jej chłopaka — powiedział Jack do żony. — Kogoś, kto jej życiu nada blask. Z dnia na dzień zmienia się w typową starą pannę, a przecież nie jest brzydka. Gdyby tylko trochę się odprężyła.

Ruth wiedziała, że ostatnimi czasy robi na Stanfieldzie złe wrażenie — wiele razy dostrzegła, jak ostro na nią spogląda — nie wiedziała jednak, jak wycofać się z tej sytuacji; nie była zresztą pewna, czy naprawdę tego chce. Łatwiej było siedzieć przy stole i nic nie mówić, niż głowić się nad jakąś niemądrą uwagą, która stanowiłaby jej wkład w rozmowę dotyczącą głównie spraw farmy. Co więcej, ku swemu przerażeniu i głębokiemu zakłopotaniu uzmysłowiła sobie, jaką nudziarą musi być dla rodziców i córek, skoro teraz, gdy już nie obserwuje tak czujnie

dziewczynek, nie jest w stanie robić nic innego, jak tylko bez słowa łykać kęs po kęsie.

Była przygnębiona, bardzo przygnębiona, a choć sobie tego nie uświadamiała, zaczęła zamykać się w sobie. Zarabiała około czterech funtów na miesiąc i poważnie martwiła się spłatą kredytu zaciągniętego w Towarzystwie, a równocześnie musiała jakoś radzić sobie z niezbędnymi wydatkami osobistymi; zawsze coś było potrzebne, zwłaszcza nowe ubrania, konieczne do zachowania odpowiedniego poziomu. Cel, jaki sobie wytyczyła: zdobycie złotego jajka i zarobienie na bilet powrotny do Anglii, wydawał się poza jej zasięgiem.

Pani Stanfield zagaiła kolejną pogawędkę. Wzięta Ruth na bok i zaproponowała, że skoro ją uważają za członka rodziny, to może mogłaby zachowywać się mniej oficjalnie.

— Pod jakim względem, pani Stanfield?

— Tutaj naprawdę wszyscy mówią sobie po imieniu. Wyjątkiem są oczywiście moje córki. Byłoby o wiele przyjemniej, gdybyśmy zwracali się do ciebie „Ruth”. To oczywiście działa i w drugą stronę. Ja jestem Leonie, a mój mąż ma na imię Jack.

— Sądziłam, że już omówiliśmy tę kwestię.

— Tak, ale poczujesz się swobodniej, przekonasz się.

— Postaram się. — Ruth wciąż tego nie pochwałała, ale skoro nalegali...

— I jeszcze jedno. Jeśli masz ochotę na filiżankę kawy lub herbaty, w każdej chwili możesz pójść do kuchni. Nie ma potrzeby wzywać pokojówki.

— Skarżyły się, czy tak?

Leonie przełknęła głośno ślinę. Istotnie, obie pokojówki narzekały, że nie są służącymi „jaśniepani”, gotowymi na jej każde skinienie. Służba domowa nie cierpiała guwernantki i jej wyniosłego zachowania.

— Wcale nie — rzekła. — Chciałabym tylko, żebyś czuła się swobodniej.

— Dokładałam wszelkich starań, by nie naruszać terytorium kucharki. Tam, skąd pochodzę, najlepiej poprosić pokojówkę.

Pokonana Leonie pokręciła głową.

— Ruth, nie jesteś tam, skąd pochodzisz. Tutaj sprawy wyglądają inaczej. Prowadzimy bardzo nieoficjalny tryb życia. Nie bierz sobie tego do serca... Nie ma potrzeby wszystkiego traktować z taką powagą. Czasami uśmiech czyni cuda. Po-

słuchaj, jutro jedziemy do miasta i zostajemy na tańce w ratuszu. Miałabyś ochotę wybrać się z nami? Załatwię ci nocleg.

— Nie tańczę — skłamała Ruth. Wciąż boleśnie przeżywając usłyszany przed chwilą wykład, wyobraziła sobie, jak sieje pietruszkę pośród obcych na tych tańcach, a tego by nie zniosła.

— Jestem pewna, że będziesz się dobrze bawić.

— Dziękuję, ale nie, pani Stanfield.

Wyjechali do Nanango w suchy wietrzny poranek. Przed pożegnaniem Stanfield po raz ostatni prosił Ruth, by do nich dołączyła, ona jednak stanowczo odrzuciła propozycję. Mimo to odnosił się do niej bardzo miło.

— W takim razie następnym razem, Ruth — powiedział z uśmiechem. — Nie przyjmę wtedy odmowy.

Ruth była rozczarowana panią Stanfield, nie tylko z powodu niesprawiedliwej krytyki, lecz i zaniedbania własnych obowiązków. Skoro guwernantce nie wolno było uczyć tych rozwzdrzonych pannań, jak należy zachowywać się przy stole, powinna robić to matka. Lecz ona nie robiła. Bez słowa nagany pozwoliła, by córki wróciły do dawnych prostackich manier. Ruth obserwowała je z milczącą dezaprobatą i liczyła w myślach przewinienia, co wręcz stało się jej obsesją, zaczęła więc je dopisywać do ciągle rosnącej listy przypiętej do ściany w klasie. Dziewczynki ignorowały listę, pani Stanfield chyba jej nie zauważyła, mimo to Ruth czuła, że dała wyraz swojej opinii.

Z czasem zaczęła odnosić wrażenie, że wszystkie kobiety w tym domu są przeciwko niej, choć pociechę przyniosła jej myśl, że pan Stanfield, szef, jak nazywano go na farmie, był po jej stronie. Zawsze odnosił się do niej uprzejmie. Prawdę mówiąc, był taki szczerzy nalegając, by towarzyszyła im na następne tańce, że Ruth gotowa była dopuścić taką ewentualność. Mogłaby włożyć suknię z błękitnego jedwabiu z peleryną, która nie widziała światła dziennego od rejsu. Było jej w niej do twarzy i idealnie nadawała się na wiejskie tańce.

Wraz z mijającymi godzinami wiatr przybierał na sile, Ruth schroniła się więc w salonie. Tuż przed porą lunchu zajrzała do niej pokojówka.

— Kucharka mówi, że aby oszczędzić mi nakrywania do stołu w jadalni, jak ich nie ma, może pani jadać w kuchni — oznajmiła radośnie.



Ruth zjeżyła się. Jedzenie w kuchni nie pasowało do jej pozycji.

— Proszę nakryć w jadalni.

— Co?

— Zjem lunch w jadalni, jeśli będziesz taka miła.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i odmaszerowała, Ruth jednak rozważyła sprawę ponownie. Pani Stanfield mówiła, że powinna być mniej oficjalna. Mogłaby pójść na to ustępstwo podczas ich nieobecności. W końcu kuchnia jest przestronna, a stół dla służby stoi w odległym kącie pod oknem. Zje szybko i spokojnie wyjdzie.

Podjąwszy decyzję ruszyła korytarzem do kuchni. Trafiła akurat na moment, gdy się z niej naśmiewały.

— Jaśniepani nie zmieni zdania — mówiła pokojówka.

— Nie mogę drugi raz ją prosić. Siedzi tam samiutka z miną kwaśną jak cytryna.

— Och, niech jej będzie — odparła kucharka. — Nic dziwnego, że szef nazywa ją Panną Ponurą.

Ruth była wstrząśnięta. Docinki służących nie zrobiły na niej wrażenia, ale przecież pan Stanfield na pewno tak by o niej nie mówił... Na pewno nie! Nie mogła już zawrócić, stała w progu. Złapała pełne wyrzutów sumienia spojrzenia obu kobiet.

Przemówiła spokojnie, zmuszając się do stawienia im czoła z godnością.

— Zmieniłam zdanie. Nie mam dzisiaj ochoty na lunch, dziękuję, zjadłam obfite śniadanie. Myślę, że pójdę na spacer.

Próbując jakoś wybrnąć z niezręcznej sytuacji, kucharka powiedziała troskliwie:

— Och, panienko, nie wychodziłabym dzisiaj na dwór. Wiatr jest coraz silniejszy, będzie burza piaskowa. Te burze tutaj zrywają się nagle...

Ruth odwróciła się gwałtownie i poszła do swojego pokoju. Była zdenerwowana i roztrzęsiona, musiała wy dostać się z tego domu. Nie miała nic przeciwko wiatrowi, wręcz przeciwnie, liczyła, że pomoże jej wyrzucić z głowy myśli o ranach, jakie zadawali jej ci ludzie. Przyniesie pociechę.

Włożyła żakiet, zawiązała szal pod brodą i skierowała się ku bocznym drzwiom, a stamtąd wyszła na ścieżkę prowadzącą do stodół. Wiatr rzeczywiście był silny, w powietrzu unosiły się kamyczki żwiru, w sumie jednak nie było tak źle. Niebo przybrało

pomarańczową barwę — zupełnie niezwykłą, zauważyła Ruth, rozpaczliwie pragnąc znaleźć temat do rozmyślań — na horyzoncie przechodzącą w czerwony brąz. Chociaż wiatr smagał ją w twarz, szła dalej ze świadomością, że kieruje się ku terenom, gdzie pracują mężczyźni, skoro jednak w zasięgu wzroku nie ma żywego ducha, równie dobrze może skorzystać z okazji wyprawy w nowym kierunku.

— Przynajmniej to jakaś odmiana — powiedziała do siebie ze szlochaniem. — Jak oni śmia stroić sobie ze mnie żarty!

Szybkim krokiem minawszy stodoły i opustoszałe zagrody dla bydła, wyszła na rozległe pastwiska, które z oddali wydawały się gładkie, w rzeczywistości natomiast były nierówne i pełne wybojów, przez co Ruth niekiedy się potykała. Nie miała zamiaru pozwolić, by te nieistotne trudności ją powstrzymały. To było wspaniałe. Pochylona pod naporem wiatru, szła po otwartej przestrzeni, zastawiając za sobą dom i tych niewdzięcznych ludzi, przynajmniej na chwilę.

Gdy opuściła pastwiska i znalazła się pomiędzy rzadkimi zaroślami, gdzie łatwiej było iść, korony drzew chwiały się szarpane podmuchami. Przypuszczała, że ścieżka doprowadzi ją do strumienia, który wił się przez posiadłość, postanowiła więc odroczyć nad jego brzegiem, a potem zawrócić. Niechętnie.

Z minuty na minutę robiło się ciemniej, przez zarośla przedzierał się pył tworząc pomarańczową mgłę. Ruth właśnie pomyślała, że chyba powinna już iść do domu, gdy nagle wyrosła przed nią potężna bestia z wielkimi rogami i czerwonymi, groźnymi oczami.

Krzyknęła i zerwała się do biegu. Potknęła się o zwalony konar, zaraz jednak wstała, zbyt przerażona, by oglądać się za siebie i sprawdzać, czy byk ją goni. Słyszała tylko ryk wiatru, tak porywistego, że groził zwaleniem drzew. Ruth biegła jak szalona, a kiedy zabrakło jej tchu, padła na ziemię koło solidnego białego drzewa. Dysząc zerknęła za siebie, ale nigdzie nie dostrzegła zwierzęcia. Ile jeszcze może tu być tych wielkich byków? zastanawiała się z niepokojem, zła na własną głupotę, która kazała jej na oślep zapuścić się na ich terytorium. Jedynie teren obok domu był ogrodzony. I tak miała szczęście, że nie wpadła na całe stado.

Burza piaskowa przybierała na sile, Ruth zasłoniła więc szalem twarz, kryjąc się za drzewem. Po raz pierwszy spotkała się

z tym zjawiskiem i nie miała pojęcia, jak długo będzie musiała znosić torturę niesionego wiatrem piasku, wciskającego się pod ubranie i boleśnie kłującego, zdecydowała jednak, że choćby nie wiadomo ile miało to trwać, nie ruszy się z miejsca. Nic w świecie nie mogłoby ją skłonić do biegu i ryzykowania, że znowu trafi na wściekłego byka; musi poczekać, aż będzie widziała, gdzie idzie.

Ponad godzinę później tumany piasku opadły, wiatr ucichł i jak gdyby nic się nie stało, znowu zaświeciło słońce. Znużona Ruth wstała i otrzepała ubranie, ale po pierwszym kroku krzyknęła z bólu, chwytając się drzewa dla zachowania równowagi. Kostkę miała spuchniętą, pewnie ją zwichnęła, gdy przewróciła się zawadzając o zwalony konar.

— Do diabła! — mruknęła. Każde stąpienie sprawiało jej wielkie cierpienie, ale nie mogła na zawsze pozostać w buszu, musiała wrócić.

Kiedy tak kuśtykała podpierając się patykiem, uświadomiła sobie, że droga do otwartych pastwisk trwa zbyt długo. Nagle przypomniały jej się opowieści Stanfieldów o ludziach, którzy zabłądzili w buszu, i ogarnęło ją przerażenie.

— Chodzi o to, co nazywają jednostajnością — wyjaśnił Stanfield. — Setki identycznie wyglądających drzew mogą dezorientować każdego, kto dobrze nie zna okolicy, zwłaszcza z pieszych wędrówek.

— Ha, mnie to nie dezorientuje — powiedziała do siebie Ruth, gniewnym wzrokiem rozglądając się po ponurym otoczeniu. Zawiesiła szal na drzewie. — Jeśli przez jakiś czas pójdę w jednym kierunku i nie wydostanę się z buszu, wrócę tutaj i zacznę od nowa.

Kiedy po jakimś czasie musiała zawrócić, z przerażeniem stwierdziła, że nie potrafi znaleźć drzewa z szalem. Pewnie go minęła.

Ruth Tissington nie będzie płakać. Cienie się pogłębiały, ptaki ze świergotem układały się w gniazdach, z wolna zapadał zmierzch. Zabłądziła, ale nie miała zamiaru płakać.

— Sama wplątałaś się w te tarapaty — powiedziała — więc sama się z nich wydostań.

Wyczerpana, sprawdziła powalony konar. Okazał się solidny, usiadła więc, by odpocząć. W kostce jej pulsowało, w głowie dudniło; była oszołomiona po tych niekończących się poszukiwaniach. We znaki jej się dawał pokrywający wszystko piasek. Ruth

## ZATOKA ORCHIDEI

w całym swoim życiu nie była tak spragniona. Gdybym tylko znalazła strumień, lamentowała w myślach, rozglądając się wo-koło w poszukiwaniu choćby tropu, który mógłby ją uratować. Przestraszył ją jakiś nieznaczny ruch, ale to był tylko mały kangur albo walabia, Ruth nie wiedziała na pewno. Zwierzątko spojrzało na nią łagodnymi wilgotnymi oczyma, jakby ze współczuciem, po czym cicho pokicało przed siebie. Ruth żałowała, że nie zostało. Później zobaczyła dwa bvkki przedzierające się przez krzaki i wpadło jej na myśl, że powinna podążyć za nimi, że wyprowadzą ją z tego labiryntu, obawiała się jednak, że mogą ją zaatakować. Bydło tutaj było jak ogromne dzikie zwierzęta, zupełnie nie przypominało potulnych krów pasących się na polach w ojczyźnie. Ruth przypominała sobie krępego byka, którego przestraszyła się w dzieciństwie, miniaturkę w porównaniu z tymi bestiami. Lepiej zostawić je w spokoju. Postanowiła, że kiedy tylko nabierze sił, zacznie od nowa szukać drogi, tym razem w punkcie wyjścia zostawiając stos gałązek i zachowując większą ostrożność.

Kiedy o szóstej stwierdzono, że panny Tissington nigdzie nie ma, kucharka wszczęła alarm. Była sobota, sporo ludzi dostało pół dnia wolnego i pojechało do Nanango na ciesząc się wielką popularnością Tańce Hodowcy w Sali Wolnomularzy, ale na farmie pozostało kilku starszych poganiaczy, którzy podczas burzy piaskowej zabawiali się grą w karty. Gdy siadali do kolacji w jadalni dla personelu, kucharka zaczęła bić w dzwon alarmowy.

Któryś poszedł sprawdzić, co się dzieje. Gdy usłyszeli, że guwernantka wybrała się na spacer w czasie burzy, jednogłośnie uzgodnili, że równie dobrze mogą najpierw zjeść. Choć gdyby szef był w domu, niewątpliwie bez zwłoki ruszyliby na poszukiwania. Tak czy owak, wszystko wskazywało na to, że czeka ich długa noc.

I rzeczywiście. Pięciu poganiaczy z latarniami przeczesywało tereny wokół domu. Przewodził im wiekowy Thommo, najstarszy pracownik farmy, który nauczył się tropić ślady od Aborygenów, pierwotnych mieszkańców tej okolicy. Ponieważ ani kucharka, ani żadna z dwóch pokojówek nie potrafiły mu wskazać, w jakim kierunku dziewczuszka mogła się udać, Thommo mógł prowadzić poszukiwania tylko według ustalonej procedury. Zataczali coraz większe łuki, pokrzykując „kuuiii, kuuiii”, aż wreszcie dotarli do buszu za rozległymi pastwiskami, do którego mało kto się

zapuszczał przed porą spędzania stada. Wtedy wsiadali na konie i człowiek dowodził swej wartości, gdy udawało mu się wykurzyć wojownicze bydło i muczące żałośnie cielęta z zarośli, w których się schroniły błędnie wierząc, że tam są bezpieczne.

Zmęczeni i źli, wcale nie przejęci swym obowiązkiem, szukali wiele godzin, aż wreszcie jeden zauważył szal. Wtedy przynajmniej mogli skoncentrować się na najbliższej okolicy.

Znaleźli guwernantkę śpiącą w zaroślach. Nie mogli jej dobudzić.

— Ma gorączkę — oznajmił stary Thommo. — Posadźcie mi ją na siodle, zawiozę ją do domu.

Ruth nie pamiętała, jak ją ratowano. Była rozpalona i prosiła o wodę. Nie potrafiła zapanować nad dreszczami; noc w buszu są lodowate, przemarzła do kości, więc owinęli ją w koc, ale kiedy zrobiło jej się za gorąco, odrzuciła przykrycie błagając, by zostawiono ją w spokoju, bo boli ją głowa i kości, nie, nie kości, tylko kostka. Straszliwie się pociła, łóżko wyglądało, jakby się zmoczyła, i czuła się tak upokorzona, że bez przerwy prosiła panią Stanfield o wybaczenie, potem jednak pani Stanfield odchodziła i od nowa zaczynały się koszmary. Potworne koszmary. Ruth wołała matkę i Emilie, ale obie odwracały się od niej, zawstyżone, że mogła tak się zapomnieć przy obcych. Przerażone jej widokiem, wymiotami, odorem.

— To żółta febra — powiedział doktor do Leonie.

— Żółtaczka?

— Nie, nie żółtaczka, mogę się założyć, tylko żółta febra. Powiadają, że powoduje ją ukąszenie moskitów, a tutaj jest ich całkiem sporo.

— Ale ona zżółkła jak przy żółtaczce...

— To prawda, Leonie, ale żółta febra robi to samo z człowiekiem. Widziałem chorych na nią na Jawie, gdzie jest więcej moskitów niż powietrza.

— Co możemy zrobić?

— Pilnować, żeby było jej ciepło.

— Nie odjedziesz, prawda? Nie zostawisz jej. Nie wiedziałabym, co począć.

— Oczywiście, że nie zostawię. Jej ani ciebie. Możemy tylko czekać. Ona jest młoda i silna. Po mojemu gorączka minie po kilku dniach.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

— Gdzieś ty się do diabła podziewał? — wrzasnął sierżant Pollock. — Powiedziałem, żebyś dał mi pół godziny, a nie pół dnia.

— Musiałem zająć się koniem. — Mai spojrział na dwóch policjantów, którzy czekali z sierżantem. — Poza tym jest was trzech, nie potrzebujecie mnie.

— Skończysz swoją robotę! — Pollock spał wierzchowca i czterej jeźdźcy pogalopowali ulicą, skręcając na drogę prowadzącą do Blackwater Creek, a dalej na pola złotonośne.

Malowi wcale to nie przeszkadzało, ale nie zawadziło spróbować. Bezpiecznie dotarł do miasta i miał nadzieję, że zostanie mu oszczędzony powrót do komisarza i jego ładunku. Skoro o tym mowa, to był najszczęśliwszy dzień jego życia. I pomyśleć, że się sprzeciwiał, kiedy Carnegie polecił mu wcześniej rano ruszać do miasta.

— Po co? — zapytał sennie, gdy Taylor trącił go butem i kazał wstać. Było jeszcze przed świtem, na wschodzie pojawiły się dopiero pierwsze słabe błyski światła.

Droga z pół złotonośnych przeszła im bez kłopotów. Pomimo wyboistego szlaku i nieuniknionych przeszkód w postaci wyschniętych kałuż i skalistych strumyków dylizans z cennym ładunkiem dobrze sobie radził, bandyci ich nie napastowali, za co Mai dziękował losowi. Na noc rozbili obóz nad strumieniem, choć Mai uznał, że raczej była to mała rzeka, bo płynęła bystro, niemal całkowicie zakryta przez bujną roślinność lasu deszczowego. Pozostałym dwóm pomocnikom wyznaczono nocną straż, szefowie spali w swoim namiocie, a Malowi pozwolono wyciągnąć się pod wozem. Był bardzo z tego zadowolony.

A teraz się dowiedział, skąd to wyróżnienie.

— Pojedziesz przodem — nakazał Taylor.

Mai zadrżał w powiewie nocnego wiatru i napił się wody. Z namiotu wyszedł Carnegie, by udzielić mu instrukcji.

— Wskakuj na siodło, Willoughby, i ruszaj. Ta droga prowadzi prosto do Maryborough, jedź szybko i nigdzie się nie zatrzymuj. W mieście idź od razu na posterunek policji, odszukaj sierżanta Pollocka i złóż mu raport.

— Dlaczego? Coś się stało?

Jeden z wartowników uśmiechnął się do niego, idąc w stronę ogniska, by na nowo je rozpalić. Będzie szykował śniadanie, pomyślał Mai gniewnie. Był głodny.

— Nic się nie stało i tak pozostanie — odparł Carnegie. — Ta część podróży może przysporzyć kłopotów, bo tutaj rabusie z buszu mają ostatnią szansę, a bywało, że i miejscy bandyci próbowali szczęścia pomiędzy Blackwater Creek a Maryborough. Kilka miesięcy temu napadnięto tu na transport złota, eskorta górników nie wystarczyła i od tego czasu nie jeździmy bez pełnej policyjnej ochrony. Nie marnuj czasu. Sierżant Pollock i jego ludzie bezpiecznie nas doprowadzą.

Mai nie martwił się o złoto, większą troską przejmował go własny ładunek: pas tłusty od gotówki.

— Dlaczego nie może jechać jeden z górników? — zapytał Taylora. — Znają drogę lepiej ode mnie. Nigdy tu nie byłem.

Taylor wzruszył ramionami.

— Rozkaz komisarza. Środki ostrożności. Taką decyzję zawsze podejmuje się w ostatniej chwili. No, jedź już. Im szybciej wrócisz, tym szybciej stąd ruszymy. — Spojrzał na Mała. — Choć mnie się to nie podoba. Wolałbym, żebyśmy się nie zatrzymywali.

Odjeżdżając Mai widział jeszcze, jak Taylor i Carnegie ładują broń, by w razie czego wesprzeć zmęczonych strażników. Sam także miał strzelbę, ale nie zamierzał jej używać. Jechał szybko, pokonując milę za milą, lecz ostrożnie. Doskonale zdawał sobie sprawę, jakimi sztuczkami można okuliwić konia lub zatrzymać dyliżans wiozący ładunek złota, więc to nie była pora na podziwianie krajobrazu. Kiedy nad horyzontem pojawiło się słońce, poczuł się lepiej, a kiedy dostrzegł odosobnione farmy, wiedział, że najgorsze ma za sobą. Zbliżał się do cywilizacji. Nie spotkał bandytów, nie trafił na zasadzki, więc dyliżans też mógłby spokojnie jechać.

## ZATOKA ORCHIDEI

Z drugiej strony przez większość czasu droga prowadziła / przez gęste zarośla; każdy mógł się tu ukryć. Jeden lub dwóch, których nie zainteresował samotny jeździec.

Droga, ubita kołami furmanek, wyraźnie się poprawiła, przy niej rozciągały się kwitnące ogrody pielęgnowane przez Chińczyków w kapeluszach kulisów. Mai wyprzedził zaprzęg dwunastu wołów ciągnących platformę wyładowaną wielkimi belami wełny i wesoło pozdrowił woźnicę. Minawszy zakręt, zobaczył ogromny tartak. Zdziwił się, dlaczego panuje tutaj taka cisza, i zaraz uświadomił sobie, że to przecież niedziela. Dlatego. Dobry dzień na przywiezienie złota do miasta. Większość złych chłopaków jeszcze nie wytrzeźwiała po wczorajszej nocy, chyba że byli to urodzeni buszmeni. Jak McPherson. Na polach złotonośnych sporo o nim gadano. Obrabował dylizans pocztowy dwie mile za miastem, i to nie raz, ale dwa. Owo wspomnienie sprawiło, że Mai się wyprostował i uważnie rozejrzał. Tylko dwie mile za miastem! Boże wszechmogący! Nic dziwnego, że Carnegie cały się trzęsie.

Rzeka doprowadziła go do nabrzeża. Zaparło mu dech z podziwu na widok tak wielu stojących na kotwicy statków, ale nie mógł zwlekać. Jakiś rybak pokazał mu drogę do posterunku policji, naturalnie zamkniętego w niedzielę, ale tuż obok był dom mieszkalny.

W odpowiedzi na jego pukanie z okna wychylił się wyglądający na Irlandczyka człowiek z rudą czupryną.

- Czego chcesz?
- Pan Pollock?
- Sierżant Pollock.
- No dobrze. Pan Carnegie mnie przysłał.
- Gdzie jest tym razem?
- W Blackwater Creek.
- Wszystko w porządku?
- Tak. Czeka na pana.
- Dobra. Daj mi pół godziny, zbiórę chłopaków.

I w trakcie tej półgodziny Mai dostał największy w życiu dar. Jechał przez miasto, rozglądając się za jakimś jedzeniem, kiedy ją zobaczył. Tę angielską damę.

Emilie Tissington. Znał teraz jej nazwisko i rozpięła go radość, bo jutro wieczorem spotka się z nią przy bramie. Szedł o zakład, że była dziesięć razy lepsza od dziewczyny Clive'a.



Mai jeszcze bardziej rozgniewał sierżanta, kiedy zatrzymał się, by napić konia.

— Myślałem, że tego dopilnowałeś.

Chłopak wzruszył ramionami.

— On lubi dużo pić.

Aż do ostatniej minuty Baldy Perry spodziewał się, że plan spali na panewce. Że komisarz stchórzy. Przez całą noc czekał ukryty w krzakach i nie mógł zmrużyć oka. Chwilami myślał, że jeśli Carnegie zmieni zdanie, sam powinien dokonać napadu, wiedział jednak, że to puste mrzonki. Perry był wykonawcą, szeregowcem i godził się ze swoimi ograniczeniami. Brakowało mu własnych pomysłów, choć dokładnie wykonywał polecenia, a jeśli coś szło nie tak, to nie z jego winy.

Kiedy wreszcie usłyszał głosy, bosy przemknął przez zarośla ze strzelbą w dłoni. Teraz mógł tylko czekać. Złoto znajdowało się w dylizansie, ale brakowało mu odwagi albo brawury, by w pojedynkę napaść czterech uzbrojonych ludzi, tak więc pierwszy krok należał do Carnegiego. Wybrał odpowiednie drzewo i wspiał się na nie, tak jLX mu polecił komisarz, który twierdził, że eskorta może mieć szansę, by odpowiedzieć ogniem, ale w panice będą celować w krzaki, a nie w strzelca usadowionego na konarze. Perry przypuszczał, że Carnegie ma rację. On sam nigdy nie panikował. To była po prostu robota. Zastrzelić kilku chłopów. Zabrać złoto i wynosić się stąd.

Po pierwszym strzale Baldy o mało nie zleciał z drzewa.

Kiedy sadowił się tam o świcie, słyszał jeźdźca opuszczającego obóz, i od tej chwili rozpoczął czuwanie. Zobaczył, jak Taylor wychodzi z namiotu, jak dwaj wartownicy przestają się mieć na baczności i zajmują przyrządzaniem śniadania. Raz jeszcze sprawdził strzelbę.

Bekon smakowicie pachniał. A potem rozległ się strzał! Carnegie strzelił Taylorowi w plecy i ten spadł z dylizansu. Zdezorientowani strażnicy odwrócili się i sięgnęli po broń. W sekundzie Baldy położył trupem pierwszego, drugiego ten sam los spotkał podczas próby ucieczki. Czujnie rozejrzał się dokoła, ale Carnegie gorączkowymi gestami wzywał go na dół.

Było po wszystkim. Tak po prostu. Perry pokiwał głową z uznaniem, przedzierając się przez zarośla. Spryciarz z tego Carnegiego. Tak czystej roboty dawno nie widział.

## ZATOKA ORCHIDEI

Perry ledwo miał czas przyjrzeć się ciałom rozciągniętym na polanie, ponieważ ogarnięty paniką Carnegie cały się trząsał, a mówił szeptem. Baldy Perry wyszczerzył zęby. Jakby się bał, że te umarlaki go usłyszą.

— Szybko, wyciągaj kufry, ruszaj się, natychmiast! — warknął Carnegie, ale Baldy go zignorował i poszedł się upewnić, czy strażnicy rzeczywiście nie żyją. Pierwszemu strzelił w głowę, drugiemu w pierś. Cholernie celne strzały, pomyślał, zawsze byłem w tym dobry, jeśli sam mogę się pochwalić.

— Chodź tu! — Carnegie prawie krzyczał wywlekając stalowy kufer. — Musimy wszystkie wyładować.

— I we wszystkich jest złoto? — zmartwił się Baldy. Za dużo ich, nie da rady unieść.

— Nie, ty cholerny głupcze. Złoto jest w tym, w następnym gotówka z banku. Pozostałe zawierają rejestry i raporty z banku i ministerstwa górnictwa.

Zaraz też Baldy miał dwa interesujące go kufry poza dyliżansem, a komisarz trzęsącymi się rękami próbował je otworzyć.

— Zajmij się resztą — syknął.

— Nie są nam potrzebne.

— Wyciągaj je, przecież nie wiemy, co w nich jest. Poprzerwaj te cholerne kufry, jakbyśmy czegoś w nich szukali.

Po chwili księgi, papiery i grube rejestry leżały w bezładnych stosach koło wywróconych kufarów, Baldy jednak nie spuszczał chciwego wzroku ze skórzanych worków ze złotem, które Carnegie gorączkowo rzucał na ziemię obok lżejszych toreb z premią w postaci starej dobrej gotówki. Co za łup! Co za cholernie dobry łup!

Carnegie upuścił klucze do kufarów i zwrócił się do współnika.

— Wiesz, co masz robić — mówił ściągając jutowy worek, który w dyliżansie służył do ochrony tapicerki. — Wepchnij wszystko do tego.

Baldy posłusznie złapał pierwsze worki.

— Czy to całe złoto? — zapytał zaskoczony, że są w połowie puste.

— I to mnóstwo, ponad tysiąc uncji. W pozostałych są suwenery i banknoty. A teraz pamiętaj: jak się przeprawisz przez rzekę, zakop worek pod tym wielkim figowcem, który ci pokazałem. Zatop łódź i wynoś się stamtąd. Jutro idź do pracy i zachowuj się normalnie. — Carnegie dyszał, jakby przebiegł milę.

— Odczekaj dwadzieścia osiem dni, dokładnie tyle, potem wróc i wykop worek... Masz tam konia, prawda?

— Jasne. — Dla Baldy'ego to była najłatwiejsza część planu. I bez problemu też przyprowadził łódź z Maryborough, po czym ukrył ją na drugim brzegu rzeki. Zarobił na swój udział w łupie, pieszo wracając stamtąd do miasta. Wtedy nie miał konia, droga do promu zajęła mu cały dzień i pół nocy.

Carnegie powtarzał wszystkie ustalenia, ale Baldy wiedział, że zwleka obawiając się tego, co potem nastąpi. Komisarz był przerażony.

— Słuchaj uważnie — warknął. — W nocy przyniesiesz worek do mojego domu w Maryborough i schowasz pod kuchennymi schodami. Nikt nie może cię zobaczyć. Podzielę zdobycę najlepiej jak się da, zważę złoto i ukryję pod tymi schodami twoją część.

— Lepiej, żeby tak było — burknął Baldy.

— Będzie. Od tej chwili nie możemy się kontaktować. Nie znasz mnie, choćby nie wiem, co się wydarzyło.

— Dobrze, dobrze, skończmy już z tym.

— Doskonale. Ale najpierw ja się położę, a ty rzucisz na mnie ciało Taylora.

— Chryste! A po co?

— To moje alibi. Będzie wyglądało, jakby się na mnie przewrócił. A poza tym będę skrwawiony. — Komisarz wzdygnął się. — Tak się zastanawiam... Weź moją strzelbę i wyrzuć do rzeki. Potem... — Położył się cały drżący, a Baldy przywalił go ciałem Taylora. Zaraz jednak Carnegie je odepchnął i wstał bładny jak ściana. — Boże, niedobrze mi.

— To był pański pomysł. — Baldy podniósł strzelbę komisarza, załadował i czekał. — Gotowy?

— Tak. Podejdz bliżej. — Carnegie zebrał całą siłę woli. — Już. — Zamknął oczy, gdy Baldy z uśmiechem wycelował. Zastanawiał się, czy nie zabić Carnegiego, ale uznał, że plan jest zbyt dobry, żeby go psuć. Komisarza muszą odnaleźć żywego, żeby podał rysopisy zbirów i młodzieńca, którego zatrudnił jako strażnika, oskarżył o wprowadzenie konwoju w pułapkę. Carnegie pośle policję fałszywym śladem, bo będą szukać kilku sprawców, a nie jednego. Nie można pozwolić, by skierowali się ku rzece. Poza tym Baldy wiedział, że dla niego sprawy układają się lepiej, jeśli wykonuje rozkazy. A ten plan był sprytny.

## ZATOKA ORCHIDEI

Carnegie, marszcząc twarz w oczekiwaniu na ból, wyciągnął rękę.

Perry strzelił mu w przedramię, trochę niżej, niż mu kazano, ale co za różnica?

— Jezu Chryste! — Carnegie padł jęcząc i szlochając, podczas gdy Perry złapał jutowy worek ze skarbem i przez busz pobiegł w stronę strumienia, gdzie zostawił łódź. Wrzucił worek na pokład, po czym odłamał liściastą gałąź i zawrócił' by zatrzeć własne ślady na piasku. Kiedy znalazł się w łodzi, gałąź wrzucił do strumienia.

Wiosłując z całej siły, szybko pokonywał odległość dzielącą go od ujścia strumienia i śmiał się do siebie na myśl o przebiegłości komisarza i własnym sprycie. Jego starego kumpla McPhersona czeka niezły szok. Baldy przedstawił Carnegieemu rysopis Szkota — miał być jednym z bandytów, którzy zaatakowali konwój. Policja zaaresztuje Willoughby'ego, a kiedy znajdzie McPhersona, obaj pójdą na szubienicę. Baldy Perry zaś nie miał z tym nic wspólnego. Nie było żadnego powodu, żeby go podejrzewać.

Kiedy Pollock i jego ludzie przyjechali na miejsce, zobaczyli komisarza błakającego się jak w malignie pośród trupów. Wstrząśnięci zeskoczyli z koni i pobiegli sprawdzić, czy ktoś nie przeżył. Od odoru i rojów much zrobiło im się niedobrze.

Pollock rozkazał, żeby zabitych ułożono w dyliżansie i przykryto, sam natomiast zajął się raną komisarza, kręcąc głową na widok żalostnej próby zahamowania krwotoku opaską i bandażem. Nie chciał biedaka denerwować, więc nie powiedział mu, że opaska po niewłaściwej stronie rany wcale nie pomaga. Z drugiej strony Carnegie był człowiekiem z miasta, w dodatku strasznie cierpiał. Pocisk przeszedł przez lewe ramię miażdżąc kość. Ci dranie nieźle urządzili komisarza, pomyślał z gniewem sierżant, ręka nigdy nie będzie całkiem sprawna. Cmokając współczująco, oczyścił ranę, zdezynfekował sołą, po czym zabandażował ramię i prowizorycznie usztywnił gałązkami mając nadzieję, że opatrunek wytrzyma, dopóki nieboraka nie zawiozą do lekarza.

Carnegie, który nie był ideałem pacjenta, wrzeszczał wniebogłosy, bliski zemdlenia, Pollock zawołał więc do Willoughby'ego, by ten poszukał w namiocie alkoholu dla złagodzenia bólu.

Wstrząśnięty i chętny do pomocy Willoughby znalazł butelkę szkockiej i zaraz z nią przybiegł do sierżanta. Wlali whisky Carnegiemu prosto do gardła. Przełknął ją łapczywie, następnie całkiem nieoczekiwanie znowu zaczął krzyczeć, palcem wskazując chłopaka.

— To jeden z nich. Co ty tu jeszcze robisz, draniu? On był z nimi! Sprowadził ich tutaj! Aresztujcie go!

Carnegie zatoczył się, z wściekłości niemal tocząc pianę z ust. Mai gapił się na niego szeroko otwartymi oczyma.

— Pan się pomylił, panie Carnegie. Nie było mnie tutaj. Posłał mnie pan do miasta, pamięta pan?

Ale Carnegie nie ustępował.

— To był on, powiadam wam! Nie próbuj mi wmawiać, że nie pamiętam. Pamiętam każdą sekundę tego straszego ataku. — Wybuchnął płaczem. — Myślałeś, że nie żyję, co? Żeście mnie zastrzelili jak pozostałych. — Złapał Pollocka za rękę. — Nie było cię najwyżej pół godziny, Willoughby! To on! Kiedy zaczęła się strzelanina, Taylor stał na warcie. Strzelili mu w plecy po tym, jak strzelili do mnie. Przewrócił się na mnie... — Sierżant wlał mu w usta następną porcję whisky. — Sądził, że umarłem. Że jestem trupem pod tym biednym Taylorem. Myślałem, że zwymiotuję, jego krew łała się na mnie, ale się nie ruszałem, udając martwego. Nic ich to nie obchodziło, nawet nie sprawdzili.

— Willoughby nie mógł z nimi być — powiedział Pollock. — Wysłał go pan do miasta.

— Akurat! Jasne, wyjechał, ale zaraz wrócił. Widziałem go po strzelaninie. Otoczyli nas i wystrzelali jak kaczki. Nie mieliśmy żadnej szansy. I jeszcze się śmiali, ci dranie. A potem on pojechał... O Boże, Taylor nie żyje, tak? A chłopcy? Chyba też są martwi. Sprawdź pan, sierżancie? Próbowałem...

— Spokojnie, panie Carnegie, spokojnie. Zajmiemy się tym. Mikę... — zwrócił się do jednego z konstabli. — Posadź pana Carnegiego na koźle dyliżansu. A ty, Gus, zaaresztuj Willoughby'ego, dopóki sprawy nie wyjaśnimy.

Konstabl wyjął rewolwer i złapał za rękę Mała, który cofnął się oburzony.

— On oszalał! Nie miałem z tym nic wspólnego. Nigdy nikogo nie zabiłem. Nie zrobiłbym tego!

Carnegie, którego sadzano właśnie na koźle, odwrócił się gniewnie.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Ty Judaszu! Przygotowali pewnie na drodze zasadzkę, ale ty ich ostrzegłeś, powiedziałeś, że czekamy tutaj na policyjną eskortę. Więc ich tu przyprowadziłeś. — Oparł się ciężko o ramię konstabla. — Widziałem cię z twoim kumplem. Wielkim facetem z rudą brodą i szkockim akcentem.

Pollock nastawił uszu.

— Może pan podać rysopisy zbirów?

— Mogę, do diabła. Jego i Szkota widziałem. Może byli inni. Nie ośmieliłem się podnieść głowy. Po strzelaninie zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Słyszałem, jak wywlekają kufry. Było mi słabo. Potem odjechali...

— I jednym z nich był nasz stary znajomy McPherson. Kto jeszcze?

— Na pewno nie ja! — krzyknął Mai. — Carnegiemu coś się przywidziało.

Komisarz zachwiał się na siedzeniu.

— Do śmierci nie zapomnę o tym koszmarze. Joseph Taylor był moim najlepszym przyjacielem...

Mai odwrócił się ku niemu.

— A od kiedy to? — syknął. — Taylor pana nienawdził.

— Zamknij gębę — powiedział Pollock gniewnie. — Zwiąż go i posadź na konia, Gus. A ty, Mike, skończ tutaj. Pozbieraj papiery i książki do kufrów i schowaj w krzakach. Nikt się nimi nie zainteresuje. Później kogoś po nie przyślemy. Najpierw musimy zawieźć pana Carnegiego do miasta. I tych biedaków też. — Kręcił głową, ledwo wierząc w to nieszczęście, po czym obszedł obozowisko. Zauważył, że strażników zaskoczono, gdy szykowali śniadanie. Kociołek z wodą wyparował do sucha nad wygasłym już ogniskiem, bekon spalił się na popiół. Obok ciał leżały talerze i kubki.

— Kto był na straży? — zapytał nagle.

— Taylor. Albo przynajmniej powinien być. Wartownicy nie spali całą noc. Byli zmęczeni.

— Kto do pana strzelił?

— Skąd mam wiedzieć, sierżancie? — zawołał Carnegie żałośnie. — Strzał rozległ się zupełnie niespodziewanie. Nie wiedziałem, co się dzieje. Zatoczyłem się i padłem. Prawie równocześnie rozległy się inne strzały i przygniół mnie Taylor. To stało się tak nagle, że myślałem, iż przewróciło się na mnie drzewo. Może pan sobie wyobrazić moje przerażenie...

Pollock pogrążony był we własnych myślach.

— Jeśli strzelano tak szybko, to musiało być kilku strzelców. Przyszli z różnych kierunków, co najmniej dwóch, może trzech.

— Widziałem tylko dwóch... Udawałem trupa i tak bardzo się bałem, że nawet nie podniosłem głowy, tak jak panu mówiłem. Leżałem płasko na twarzy. — Komisarz znowu się rozszlochał. — Przykro mi, sierżancie, robię z siebie kompletnego głupca.

— Nie, wszystko w porządku. To skutek szoku.

— Powinniśmy na miejscu cię powiesić — warknął Mikę, wiążąc Malowi ręce z przodu wąskimi paskami skóry i zaciskając z całej siły węzeł. — Trzej porządni ludzie nie żyją, a ty pojechałeś sobie do miasta i myślałeś, że ujdzie ci to na sucho.

Kolbą strzelby uderzył Mała w plecy, posyłając chłopaka na piasek.

— Wystarczy! — krzyknął Pollock. — Nie chcę żadnego bicia. Gus, podnieś go.

Mai, stanawszy na nogi, zawołał do Pollocka:

— Carnegie albo stracił rozum, albo łże jak najęty! Nigdy nie widziałem na oczy bandytów.

— Powiedz to katu — mruknął Gus, popychając Mała w stronę konia.

Kiedy chłopak znalazł się w siodle, Gus owinał sznurem jego lewą kostkę, przeciągnął go pod końskim brzuchem i umocował na drugiej kostce, po czym się upewnił, że więzień jest mocno przywiązany do zwierzęcia.

— Tak na wszelki wypadek, gdyby wpadło ci do głowy zeskoczyć i uciekać, ty przeklęty morderco. W życiu czegoś podobnego nie widziałem.

Mai zignorował go zupełnie, starając się pozbierać myśli. Dlaczego Carnegie go oskarża? Nie był aż tak ciężko ranny, by popełnić tego rodzaju pomyłkę. Konwój zatrzymał się na tej polanie, z dala od głównej drogi, bo jak powiedzieli mu strażnicy, było tam bezpiecznie i nikt nie mógł ich dostrzec. Była to naturalna polana, na której poganiacze bydła rozbijali zwykle obozowisko, by nie blokować szlaku. Nawet Pollock nie wiedział dokładnie, gdzie to jest. Ktoś jednak wiedział. Ale skąd? Mai przypuszczał, że wcale nie było trudno zdobyć tego rodzaju informację w Gympie. Może jeden ze strażników się wygadał i ktoś śledził konwój. Za słówko szepnięte do niewłaściwego ucha

ten biedny drań zapłacił życiem. To jednak nie tłumaczyło, dlaczego Carnegie z niezachwianą pewnością utrzymuje, że to Mai był judaszem.

Konstabele porządkowali obozowisko, podczas gdy Pollock wciąż z namysłem się rozglądał.

— Na pewno ruszyli w stronę gór — powiedział do Gusa. — Nie miało sensu jechać w przeciwnym kierunku, do miasta. I mają nad nami przewagę. — Podeszedł do Mała. — Ilu ich było?

— Nie wiem, nie było mnie tutaj. Carnegie kazał mi jechać po pana, więc pojechałem. Wcale nie zawróciłem.

— Więc te zbiry przypadkiem się napatoczyły, tak? Czekali tu tygodniami w nadziei, że będzie przejeżdżał konwój ze złotem.

— Niech mi pan da spokój! Nie miałem z tym nic wspólnego. Po mojemu ktoś wygadał się w Gympie.

— Dziwne. Więc musiałeś tylko pojechać i powiadomić kumpli. Nigdy nie mówiłem nic o tym, że zawróciłeś. Carnegie też nie. Powiedział tylko, że tu byłeś. Tam czekali? Na drodze prowadzącej do Maryborough? Ostrzegłeś ich, że wysłano cię po wsparcie?

— Nie. Carnegie mu wszystko się poplątało. Musiał widzieć kogoś podobnego do mnie.

— Och, jasne. Mnóstwo facetów wygląda jak ty, zwłaszcza tych z buszu. Ale ja z ciebie wyciągnę prawdę, ty draniu. Willoughby, aresztuję cię za morderstwo i rabunek z bronią w ręku. Myślałeś, że wszyscy nie żyją, co?

— Nie! — Mai zaczął się szamotać próbując zsunąć więzy, ale sznur tylko głębiej wpił mu się w ciało. Zaczęło do niego docierać, że ma kłopoty, straszne kłopoty, a wszystko dlatego, że ten idiota Carnegie z kimś go pomylił. Z kimś, kto teraz jest daleko stąd. Razem z McPhersonem.

Argumentował i błagał, lecz nikt mu nie wierzył. Był złapanym na gorącym uczynku sprawcą, mieli świadka i całkowitą pewność jego winy. Przywiązali konia do dylizansu i cała grupa ruszyła w ponurą podróż do Maryborough. Jechali wolno, niemal w pogrzebowym tempie z szacunku dla zamordowanych. Mai przeżywał udreki, że przywiązali go do konia. Wiedział, że oczy każdego spotkanego na drodze człowieka będą zwrócone na niego, i zaczynał się czuć jak cyrkowy klaun, rozrywka dla gawiedzi. Równie okrutna zbrodnia wywoła wielkie oburzenie,



ale policja będzie mogła przedstawić przynajmniej jednego z morderców. Miała więźnia na pokaz. Na polach złotoonośnych Mai czytał o skargach górników i mieszkańców miast na brak policyjnej ochrony przed zbirami z buszu, teraz miał wrażenie, że używają go jak tarczy, która ochroni ich przed gniewem opinii publicznej.

Nagle przeraził się, że policja może być w to wplątana. Jaka by wtedy miał nadzieję?

Jeźdźcy zbliżający się z naprzeciwka zatrzymali się. Zobaczył, że rozmawiają z sierżantem, wstrząśnięci patrzą na dyliżans, a potem obrzucają go nienawistnymi spojrzeniami. Jeden z nich podjechał ku Malowi i splunął mu prosto w twarz. Mając związane ręce, nie mógł nic zrobić, tylko czekać, aż flegma spłynie mu z policzka. I zaczął ogarniać go strach. Na drodze spotkają innych podróżnych, którzy zareagują tak samo, a może jeszcze gorzej. Po raz pierwszy w życiu Mai czuł prawdziwe przerażenie. Miasta oznaczają tłumy ludzi, w jego sytuacji tłumy ludzi rozgniewanych. Z więzami u dłoni i nóg, będzie zdany na ich łaskę. Zastanawiał się, czy Pollock i dwaj konstable gotowi byłiby go bronić, gdyby przyszło co do czego. A właściwie czemu mieliby to robić?

Chciał nalegać na Pollocka, by sprawdził jego strzelbę, którą od razu mu odebrali. Przekonaliby się, czy z niej strzelano. Choć z drugiej strony pewnie by powiedzieli, że miał czas ją wyczyścić albo że strzelał z innej broni.

Rozmyślał o Carnegiem, który siedział na koźle obok powożącego Gusa. Jego koń, także przywiązany do dyliżansu, kłusował posłusznie przy Strikerze. Komisarz był graczem. Wszyscy o tym wiedzieli, w każdym razie wszyscy na polach złotoonośnych. I przegrywał. Jak wielkie były jego karciane długi? Gracze często uciekają się do przestępstwa, rzecz to nie nowa. Ale komisarz do spraw złota? Mało prawdopodobne. A poza tym układ komisarza ze zbirami z buszu byłby ryzykowny. Musieliby mieć pewność, że go sprzątnęli.

Ale czemu tego nie sprawdzili? Pollock rozważnie najpierw przekonał się, czy ci mężczyźni rzeczywiście są martwi, choć wydawało się to oczywiste. Dlaczego przestępcy nie postąpili tak samo? Zbyt się śpieszyli, przypuszczał Mai. Przypomniał sobie, jak jego tatko mówił, że wszyscy kryminaliści wcześniej czy później wpadną w ręce policji, ponieważ są po prostu głupi. Mai

miał nadzieję, że szybko złapią McPhersona. Poza Carnegiem był jedynym człowiekiem, który mógł go oczyścić z podejrzeń.

— O Chryste! — mruknął, niezgrabnie siedząc w siodle. A jeśli będą go wlec przez miasto na oczach wszystkich mieszkańców? Jeśli panna Emilie go zobaczy? Mai był zdruzgotany.

O zmierzchu dojechali na obrzeża miasta. Po drodze spotkali wielu konnych, woźniców, górników, najróżniejszych ludzi, którzy słysząc przerażające wieści, przyłączyli się do procesji obzucając Mała wyzwiskami. Wreszcie Pollock kazał Mike'owi jechać obok więźnia. Jego wierzchowiec pełnił funkcję bufora, sam Mike natomiast, trzymając własny gniew na wodzy, ostrzegał tych, co nazbyt się zbliżyli. Strzelbę miał na podporządku, dłoń położył obok spustu.

Słaby promyczek nadziei zaświecił Malowi, kiedy jakiś przechodzień zauważył:

— On mi nie wygląda na bandytę.

Odpowiedziały mu krzyki oburzenia, choć Malowi wydało się, że rozpoznaje ten głos. Rozejrzał się, ale zobaczył tylko gniewne brodate twarze, więc po dawnemu utkwiał wzrok w tylnej ścianie dyliżansu.

Koło wielkiego tartaku Pollock nieoczekiwanie kazał Mike'owi skrócić. Dyliżans z turkotem wjechał na podjazd i zatrzymał się pomiędzy stosami drewna.

— Co jest? — zapytał Mike.

— Nie możemy w taki sposób wjechać z ciałami do miasta. To nie jest słuszne. Rodziny i tak będą strasznie się czuły, nie muszą widzieć ciał w dyliżansie. A poza tym sami prosilibyśmy się o kłopoty. Przywiezienie Willoughby'ego razem z zamordowanymi wywołałoby rozruchy. Poczekajcie chwilę.

Zwrócił się do grupy ciekawskich i wybrał jednego, by pojechał do miasta po przedsiębiorcę pogrzebowego.

— Powiedz mu, żeby natychmiast się tu stawił i zajął ciałami.

Następnie polecił dwóm innym, by zostali w tartaku, zamkniętym w niedzielę, i czuwali przy zwłokach do przyjazdu karawanu.

W tym czasie postronni chwilowo przestali interesować się więźniem — z wyjątkiem jednego, który otarł się o Mała i uderzył go w udo. Wyglądało na to, że cios poprze obelgą, w rzeczywistości jednak powiedział:

— Barney Magee nigdy nie zapomina przysługi.

Mai spojrział w dół i rozpoznał człowieczka, który z kapeluszem w dłoni zbierał na przejazd na pola złotońskie. Mai dał mu jakieś pieniądze, choć teraz nie pamiętał, ile tego było.

— To była spora przysługa — odpalił, ale poszukiwacz złota już zniknął w tłumie. Kiedy związanymi dłońmi Mai niezgrabnie potarł udo, wyczuł jakiś przedmiot w kieszeni kaftana. Przesunął po nim palcami.

Jezu! Nóż. To na pewno Magee powiedział, że Mai nie wygląda na bandytę. W końcu jednak okazał się przyjacielem. Niewykluczone, że nóż na nic mu się nie przyda, ale warto spróbować. Postarał się przenieść go do rękawa, nie odrywając skupionego wzroku od Pollocka, na którego wszyscy patrzyli.

Sierżant rozpędzał tłum mówiąc gapiom, żeby zajęli się swoimi sprawami; nie miał zamiaru pozwolić na samosąd. Wycofali się z ociąganiem, choć Mai zauważył, że wszyscy ruszyli do miasta, zapominając zupełnie o pierwotnym celu swej podróży, bo chcieli oglądać wprowadzenie więźnia.

Razem z milionem innych, pomyślał Mai żałośnie. Nóż był ostry; mały, wąski, ale ostry jak ten, którego tatko używał do strugania, i przeciął więzy na przegubach tak szybko, że Mai musiał je złapać, by nikt niczego nie zauważył. Strzelbę wyjęli z pochwy przy siodle, za to bicz wciąż zwiisał leniwie z łąku. Mai wpatrywał się weń i zastanawiał, co dalej robić.

— Może pan jechać konno? — zwrócił się Pollock do Carnegiego.

— Nie, sierżancie, słabo mi.

— Dobra. Zostanie pan przy dylizansie. Mikę zawiezie pana do miasta, kiedy przedsiębiorca przyjedzie z karawanem.

— To będzie wielka ulga. Podróż w towarzystwie tych nieszczęśników była nie do zniesienia. Jestem panu wdzięczny, sierżancie. O wiele stosowniej jest wwieźć zmarłych do miasta z godnością.

Pollock pokiwał głową, po czym rzekł do Gusa:

— We dwóch będziemy eskortować Willoughbyego. Nie potrzeba nam towarzystwa tłumy gotowego do linczu. Pod miastem skęcimy na boczne drogi. W ten sposób okrążymy tych drani, zanim obudzą się w mieście. Ruszamy.

Mai nie miał ochoty czekać, aż skręcą na boczne drogi.

Przez większość czasu jechali obok siebie, Mai w środku. Musi się na coś zdecydować, postarać się jakoś wydostać. Gdy

## ZATOKA ORCHIDEI

trafi za kratki, nikt go nie będzie słucał. Jeśli jednak teraz spróbuje uciec, zastrzela go.

Doszedł do wniosku, że nie ma wielkiego wyboru, a w dodatku bardzo mało czasu. Przy drodze w oddali wciąż rósł busz, w którym mógłby się ukryć, gdyby szybko tam dojechał, a za kilka mil znajdują się na otwartych polach.

Począkał, aż trzy konie na tyle się od siebie oddała, że będzie mógł użyć bicia.

Zaskoczył obu swoich strażników. Bicz nagle zawirował i z taką siłą uderzył Gusa w plecy, że ten krzyknął i zwałił się z siodła. Mai nie czekał, odwrócił się i smagnął konia sierżanta w zad. Zwierzę stanęło dęba, po czym pogalopowało przed siebie; sierżant ze wszystkich sił starał się odzyskać panowanie nad słoszonym wierzchowcem. Koń Gusa pobiegł za towarzyszem. Jednakże Mai już tego nie widział. Nie śmiał oglądać się za siebie, kiedy spał konia do szalonego galopu. Gnał ku wolności. By ocalić życie.

W porównaniu z niekończącymi się dziewiczymi lasami deszczowymi Maryborough było tylko drobinką cywilizacji, która przywarła do brzegu rzeki, tak więc Mai wiedział, że jeśli będzie parł naprzód, policjanci niewielką mają szansę, by go złapać. Dziękował Bogu za gęstą subtropikalną roślinność, gdy jego koń przedzierał się przez krzewy i wymijał drzewa, nie gubiąc tempa, jak wyszkolony koń poganiacza, którym zresztą był, nim stał się przyjacielem i towarzyszem Mała.

Na początku okrzyki pogoni wydawały się niebezpiecznie bliskie, później wyraźnie się oddaliły, Mai jednak wiedział, że policjanci jeszcze nie zrezygnowali. Przez korony drzew wciąż przesączały się pasma złotego światła, które obserwował z przerażeniem, modląc się, żeby słońce pośpieszyło się z zachodem, pograżyło las w mroku. Pochylony nisko nad karkiem Strikera, poganiał go do galopu niczym dżokej pędzący po wygraną. I nagle w jednej chwili zapadła ciemność. Na północy nie było zmierzchu, światło zniknęło, a Mai zaczął mrugać, by przyzwyczaić oczy do mroku. Koń zwolnił, jakby wiedział, że gonitwa dobiegła końca. I rzeczywiście tak było, pomyślał Mai. Na razie. Jutro wyślą za nim grupy pościgowe. Wielkie grupy, uzbrojone, z prawem do strzelania bez ostrzeżenia.

W tak ciężkie tarapaty jeszcze w życiu nie popadł i wyglądało na to, że nie ma sposobu, by z nich wybrnąć. Przypuszczał, że

ucieczka nieodwołalnie przypieczętowała jego winę, ale czy miał inne wyjście? Niewykluczone, że Pollock zdołałby powstrzymać gniewny tłum przed linczem, ale sąd pewnie także uznałby go za winnego. Mai nie miał zielonego pojęcia, jak działają sądy, choć nie zamierzał czekać, żeby przekonać się o tym na własnej skórze.

Przeprowadził się przez strumień, napił porządnie, by oszukać głód, jako że przez cały dzień nie miał nic w ustach, i przestudiował pozycję księżyca na niebie.

Jako człowiek urodzony w buszu, Mai nie potrzebował kompasu, choć potrzebował planu. Będzie musiał odnaleźć McPhersona, o ile oczywiście pozostanie na wolności na tyle długo, nie wątpił bowiem, że za jego głowę wyznaczą nagrodę; na razie najważniejsze było podjęcie decyzji. Na pewno będą oczekiwać, że ruszy w głąb lasu, ku odległym górą, gdzie człowiek może się ukrywać latami, lepiej więc będzie wybrać kierunek odwrotny. Tak w każdym razie sobie mówił. Ryzykowne, ale rozsądne, jeśli będzie podróżował wyłącznie nocami, bo grupy pościgowe będą przeczesały okolice, próbując nie dopuścić, by dotarł do tych gór.

I była jeszcze panna Emilie. Zawstydzony swoim położeniem, zaczął z większym szacunkiem nazywać ją panną Emilie, ponieważ rzadko opuszczała jego myśli. Jeśli zawróci, wciąż będzie mógł się z nią spotkać. Dotrzymać przyrzeczenia. Błagać, by mu zaufała. Modlić się, by nie usłyszała o jego kłopotach.

Boże, ależ był głodny; brzuchowi się zdawało, że gardło jest dziurawe. To było jedno z ulubionych powiedzonek tatki. Często przez wiele dni głodowali w chudych okresach.

Chude okresy? Mai poklepał się po pasie z pieniędzmi i wybuchnął śmiechem.

— Chryste! Pewnikiem jestem najbogatszym głodującym głupcem po tej stronie równika.

A potem pomyślał o Chińczykach. Ogrodnikach na plantacjach. Nigdy za grosz ich nie obchodziło, co dzieje się w świecie białego człowieka. Mógłby na kilka minut wśliznąć się do którejś z chińskich chat. Sprzedadzą mu żywność, o ile nie będzie za długo się kręcił i nie wpłacze ich w swoje problemy. A potem przetrwa jakoś dzięki temu, co znajdzie w buszu, jeśli będzie miał szansę zapolować w biały dzień.

Chwycił za uzdę i pogładził konia po uchu.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Chodźmy, kolego, chwilę ja poprowadzę. Niech ci dranie pomęczą się za swoje pieniądze.

Przy kolacji państwo Manningtree straszliwie się pokłócili. Dzieci poszły do łóżka, a Emilie, zarzuciwszy pretensje, że jej pozycja znacznie przewyższa pozycję służących i wśród nich na pewno nie będzie szukała towarzystwa, wśliznęła się do kuchni, żeby wypytać, co się dzieje.

Kucharka powitała ją uśmiechem.

— Obudzili panienkę, co?

— Nie spałam. Myślałam, że już poszłyście do domu.

— Ach, nie. Muszę zostać, póki nie podam puddingu, a ona jeszcze nie kiwnęła głową. Przy odrobinie szczęścia pozabijają się oboje.

Słyszac trzask rozbijanej porcelany, Emilie uciekła na drugi koniec kuchni. W tej samej chwili w progu stanęła Nellie z tacą pełną kieliszków i talerzy.

— Kto tam jest? — zapytała Emilie.

Pokojówka wykrzywiła się ze złością.

— Kapitan był na kolacji. Z tego, co krzyczą, szef go obraził, więc sobie poszedł i od tamtej chwili się kłóca. Ona się wydziera, że szef był niegrzeczny dla gościa, a on wrzeszczy, że ona sypia z kapitanem. Co jest prawdą.

— Słucham? — zdumiała się Emilie.

Nellie wzruszyła ramionami.

— To już dość długo trwa, a kapitan wcale nie jest pierwszy, tylko że sporo czasu mija, nim szef przejrzy na oczy. Później się upija i zaczyna rozbijać rzeczy. Tym razem rozbił krzesło i lustro nad kominkiem, a potem zabrał się do talerzy deserowych. Zapomniałabym o puddingu, pani kucharko, ani im w głowie pudding.

Nellie zdjęła fartuszek, kucharka poszła w jej ślady. Ponieważ krzyki i hałas w jadalni wcale nie cichły, Emilie była przerażona.

— Chyba mnie nie zostawicie? Nie chcę być sama w domu z nimi.

— Nic ci nie będzie, panienko — powiedziała kucharka.

— Zamknij drzwi na klucz.

— Tam nie ma zamka.

— Więc przystaw je krzesłem. Ale oni nie będą panienki niepokoić. Ciagle się kłóca.

- Nigdy wcześniej ich nie słyszałam.  
Nellie układała brudne naczynia na ławie.  
— Mogą poczekać do rana. Nie obchodzi mnie, co ona mówi.  
— Przesunęła grzebieniem po rozwichrzonych włosach, po czym odwróciła się do Emilie. — Jak o tym myślę, to faktycznie. Odkąd panienka tu przyjechała, zachowują się wzorowo. Ale wiedziałam, że to nie będzie trwało wiecznie.  
— Panienko Emilie, idź do łóżka i o wszystkim zapomnij  
— powiedziała kucharka. — To nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani z nami.  
— Och, wręcz przeciwnie — oznajmiła Nellie. Emilie i kucharka otworzyły szeroko oczy.  
— Co masz na myśli? — zażądała wyjaśnień kucharka.  
— Och, byłam bardzo ostrożna, czekałam za drzwiami na odpowiedni moment, żeby wejść i pozbierać naczynia po głównym daniu. On krzyczał na nią, że jest kurwą, a pani mu na to: „A ty to co? Wiem, że zadajesz się z tą zarozumiałą panną Tissington. Ciągłe o niej gadasz, jaka jest śliczna i jaka mądra...”  
Kucharka głośno odetchnęła.  
— Nie!  
Nellie jednak była nieporuszona.  
— Wiecie, jak to jest. Wet za wet. On wrzeszczy na nią. Ona wrzeszczy na niego. Kogo to obchodzi? Idę to domu.  
— Mnie obchodzi — powiedziała Emilie z gniewem. — To nie jest prawda.  
— Nie możesz nic zrobić, panienko, nie wplątując w sprawę Nellie — poradziła kucharka. — Nie zważaj na to. Usłyszysz gorsze rzeczy, jak dłużej tu zostaniesz. Kiedy ostatnim razem ją przyłapał, w Boże Narodzenie...  
— Nie, to był Nowy Rok — sprostowała Nellie.  
— No tak, poszli na jakieś przyjęcie, a po powrocie tak ją sprzął, że przez tydzień leżała w łóżku.  
— Boże kochany!  
Emilie, ukrywszy się w swoim pokoju, podstawiła krzesło pod klamkę. Choć hałas ustały, to kłótnia z przerwami trwała nadal. Emilie podskoczyła przerażona, słysząc nieśmiałe pukanie do drzwi, ale to była Rosie.  
— Wpuści mnie panienka? Miałam zły sen, boję się.  
Emilie wzięła dziecko do łóżka, żeby je pocieszyć, i w rezultacie sama lepiej spała.

Nazajutrz rano pani Manningtree była w okropnym nastroju, każdemu wytykała błędy, zwłaszcza dzieciom. Wpadła do służbówki w czasie lunchu i wrzeszczała, żeby wszystko zjadły, a potem zrobiła awanturę Alice, bo nie wywiązała się ze swoich obowiązków, do których należało zbieranie jajek w kurniku. Kiedy Alice cichutko jęknęła, że nie mogła dzisiaj znaleźć żadnych jajek, matka uderzyła ją w twarz.

Emilie miała już dość

— Proszę nie bić dziecka. To nie jej wina, że nie było jajek.

— Doprawdy! W takim razie jakim cudem przed kilkoma minutami Nellie udało się znaleźć ponad tuzin? — Odwróciła się do Alice. — Wcale tam nie byłaś, prawda?

— Zapomniałam — szlochała dziewczynka.

— Sama pani widzi, panno Tissington. Ona kłamie. Więc proszę mi nie mówić, żebym nie karała własnych dzieci. Niech pani pilnuje swojego nosa, w przeciwnym wypadku pani dni tutaj będą policzone. Policzone, słyszy mnie pani?

— Tak, madame. — Emilie czuła, że się dusi. Miała wrażenie, że ściany małej izdebki napierają na nią. Pragnęła odepchnąć tę kobietę, wyskoczyć na dwór i biec tak długo, aż znowu będzie mogła swobodnie oddychać, lecz to było niemożliwe. Zła na siebie za własną słabość, za tolerowanie tej prostackiej kobiety, stała nieruchomo przy stole ze spuszczonym wzrokiem, wbitym w czubki butów.

— I nie będziemy więcej potrzebować pani usług jako pianistki — prychnęła chlebobawczyni, poprawiając grzebień w wielkim koku. — Po jakimś czasie człowiekowi zaczyna się to nudzić.

Po jej wyjściu kucharka przyniosła im gorące tosty z masłem. Mrugnęła znacząco do Emilie.

— Koniec z pianinem? Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Emilie zmusiła się do uśmiechu.

— Chyba tak.

Cały dzień walczyła z przemożną ochotą, by wmaszerować do domu i wręczyć swoją rezygnację. Na pewno będą musieli coś jej zapłacić. Jeśli nie, napisze do Ruth, by przysłała jej pieniądze na podróż do Brisbane, gdzie poszuka sobie innej pracy. Jakiegokolwiek pracy. Przestała myśleć w kategoriach pozycji społecznej czy stosownej posady. Dowiedziała się od Nellie i Kate, że tutaj



ludzie nie robią takich rozróżnień, w każdym razie nie na prowincji. Albo ktoś ma pracę, albo nie.

I jeszcze ten pan Willoughby. Czy naprawdę powinna spotkać się z nim przy bramie?

Sprawę rozwiązał gniew. Nieważne, kto przyszedłby ją odwiedzić, nawet gdyby to była Ruth, musiałyby zapukać do kuchennych, nie zaś frontowych drzwi, więc ona równie dobrze może pójść do bramy. Nie będzie przecież robiła nic złego. Ale nieznamy mężczyzna?

Z irytacją odrzuciła wątpliwości, które dręczyły ją od niedzieli. A poza tym on może wcale się nie pojawić. Postanowiła, że pójdzie do bramy punktualnie o ósmej, ale na pewno nie będzie czekała. Jeśli go nie zobaczy, natychmiast zawróci. To naprawdę niemądrze przypuszczać, że poganiacz pomoże znaleźć jej następną posadę... pracę.

Dlaczego więc w ogóle się nim przejmowała?

— Bo w wolnym czasie mogę robić, co zechcę — odpowiedziała sobie dumnie, zamiast przyznać, że rozpaczliwie tęskni za przyjacielem, za kimś spoza tego domu, gdzie czuje się jak w więzieniu, za kimś, kto chciałby z nią rozmawiać, kto by ją lubił. Nawet jeśli tym kimś miał być pan Willoughby.

Mai był na miejscu godzinę wcześniej. Czekał na nią, ukryty w cieniu. Widział dwoje ludzi wyjeżdżających w eleganckim powozie, bez wątpienia chlebobawców panny Emilie. Oboje byli wystrojeni jak choinka; Mai przypuszczał, że wybierają się na jakieś przyjęcie w mieście. To dodało mu otuchy. Panna Emilie się ich bała, dobrze więc, że opuścili dom.

Chłopak nie denerwował się przebywając w mieście. To było ostatnie miejsce, w którym ktokolwiek by go szukał. Stąd miał zamiar jechać na wybrzeże. To także było ryzykowne, mógł wpaść w pułapkę, z drugiej zaś strony wiedział, że grupy pościgowe już wyruszyły w drogę. Można było bezpiecznie iść o zakład, że będą przeczesywać busz, tropiąc tak zwanego mordercę i przeżywając najpiękniejsze chwile w swoim życiu.

Żałował, że o tym teraz pomyślał.

Ale nie miał czasu na myślenie, bo właśnie podjazdem szła panna Emilie, a on nie był jeszcze gotowy na spotkanie. Jak mógłby jej wyjaśnić ten straszliwy splot wypadków? I czy zechce go słuchać? Gdyby nie to, że nigdy by jej nie zawiódł, uciekłyby

w noc, ponieważ jego pewność siebie topniała, i to w chwili, gdy najbardziej jej potrzebował.

Malowi ugiwały się kolana, gdy szedł jej naprzeciw. Powodem jednak nie było tylko spotkanie z panną Emilie. Nagle znowu z całą mocą dotarła do niego groza własnej sytuacji, to było jak cios i mógł tylko bez słowa się uklonić, gdy go powitała.

— Dobry wieczór, panie Willoughby. — Poczul się pewniej, gdy dodała: — Wieczór jest bardzo przyjemny, prawda?

Chciała w ten sposób przerwać milczenie i musiał zdobyć się na wysiłek. Rozejrzała się dokoła. Kilka jardów w obie strony ciągnął się niski kamienny płot, bardziej dla celów ozdobnych niż praktycznych, i Mai uznał, że to wystarczy. Nie mógł zaproponować jej pójścia do miasta.

— Muszę z panienką pomówić — rzekł pośpiesznie. — Czy możemy tutaj usiąść?

— Jak pan sobie życzy. — Wydawała się nieśmiała.

Dopilnował, by wygodnie usiadła na płaskim kamieniu, po czym klapnął obok niej, zachowując jednak pewien dystans, żeby nie pomyślała, że jest zbyt natarczywy.

Emilie zaskoczyła wyraźna zmiana w Malu. Tym razem nie było w nim beztroski, wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie zmartwionego.

— Stało się coś? — zapytała.

Pokiwał głową.

— Tak i nie. Przykro mi, nie mam za wiele czasu, ale chciałem się dowiedzieć, jak się panience układa. To znaczy w pracy.

— Och, jakoś sobie daję radę.

— Mnie na to nie wygląda. Co się dzieje?

Emilie zawahała się, po czym zdecydowała, że równie dobrze może mu powiedzieć. Musi komuś powiedzieć. A on nikomu tego nie powtórzy. Nie zna tych ludzi.

— Sama praca jest w porządku. Lubię uczyć, dzieci są miłe. Trudno jednak tu mieszkać. Moja chlebodawczyni, pani Manningtree, jest bardzo nieprzyjemną kobietą, nie tylko wobec mnie, ale całej służby. — Westchnęła. — Chyba po prostu taka jest.

— A jej mąż? Niepokoi panienkę?

— Nie, właściwie nie. Rzadko go widuję.

— A rodzina panienki? Co oni o tym mówią?

Był tak zainteresowany jej osobą, wręcz zaintrygowany, że Emilie na wszystkie jego pytania odpowiadała szczerze, z taką

swobodą, z jaką mówiła w domu, zanim popadła w nędzę. Przypomniała sobie, że w przeszłości była otwartą młodą kobietą, która nigdy nie bała się wyrazić swojego zdania, o czym na własnej skórze przekonała się jej macocha. Cudownie było znowu tak rozmawiać, nawet jeśli rozmówcą był pan Willoughby. Opowiedziała mu o Towarzystwie, o pomocy, jakiej udzieliło jej i siostrze w sprawach dotyczących emigracji do tego kraju, o szoku, jaki przeżyły, gdy się przekonały, że nikt ich nie oczekuje, a obiecywane doskonałe posady po prostu nie istnieją.

— Byłyśmy dość naiwne — stwierdziła smutno.

— Nie, to oni was zawiedli. Myślę, że byłyście bardzo odważne, przyjeżdżając tutaj. To poważna decyzja. A jak radzi sobie siostra panienki? Lubi swoją pracę?

— O tak! Jest bardzo szczęśliwa.

— I nie może znaleźć nic dla panienki w tamtej okolicy?

— Powiadomiłaby mnie, gdyby była taka możliwość. Ale naprawdę mówię za dużo. A co u pana? Wspomniał pan, że coś się stało.

Mai głęboko odetchnął i zakłopotany, wyciągnął przed siebie długie nogi.

— Faktycznie. Podejrzewam, że szybko panienka o tym usłyszy. Panno Emilie... — odwrócił się ku niej — ...cokolwiek będą o mnie mówić, niech panienka w to nie wierzy. Mam kłopoty, poważne kłopoty.

— Jakiego rodzaju?

— Była zasadzka, ukradziono łądunek złota, zabito paru ludzi. Oskarżają mnie o to, ale ja nie miałem z tym nic wspólnego.

— Kiedy to się stało?

— Tego samego ranka, kiedy spotkałem panienkę w mieście. Byłem tylko strażnikiem, a zdecydowałem się na tę robotę, bo i tak jechałem do Maryborough. Nie powinienem był jej brać. Wrobili mnie.

— Kto?

— Jeszcze nie wiem, ale się dowiem. Aresztowali mnie...

— Dobry Boże!

— Ale im uciekłem. Chciałem tylko, żeby panienka wiedziała, że nie miałem z tym nic wspólnego, przysięgam, że...

— Szukają pana teraz? Policja?

Mai wstał, ujął Emilie za rękę i pomógł jej się podnieść.

— Tak, dlatego nie mogłem zabrać panienki do miasta. Przykro mi, bardzo mi przykro. Wyjeżdżam stąd i najlepiej panienka zrobi, jak nikomu nie powie, że się znamy. Choć nie podejrzewam — dodał niepewnie — że miałaby panienka na to ochotę.

Emilie nie wierzyła własnym uszom i zastanawiała się, czy coś z tego jest prawdą. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Mam nadzieję, że panienka mi wierzy — mówił Mai.

— Nie okłamałbym panienki. Miałem pecha, okropnego pecha. Byłem na polach złotonośnych i dobrze mi szło. Moim współnikiem był Anglik, nazywa się Clive Hillier. Może panienka kiedyś go spotka. Gdyby tak się stało, wiem, że przemówi w mojej obronie.

— Dokąd pan pojedzie? — zapytała opierając się pokusie, by zerknąć za siebie, obawiała się bowiem, że nawet w tej chwili policja może ich obserwować.

— Jeszcze nie wiem. — Wcisnął jej niewielki pakunek w ręce. — Chcę, żeby panienka to wzięła. Doszedłem do tego uczciwą drogą. Clive mógłby to panience powiedzieć.

Emilie wpatrywała się w pakunek ciasno zawinięty w gazetę i związany sznurkiem.

— Co to jest?

— To dla panienki. Jeśli mnie złapią, i tak nigdy więcej na oczy tego nie zobaczę, ktoś wsadzi to sobie do kieszeni. Więc równie dobrze panienka może to wziąć. Przepraszam, ale teraz muszę już iść. — Ujął ją za ręce, w których ścisnęła zawiniątko. — Proszę o mnie nie zapominać. Znajdę jakieś wyjście. I myślałem o panience. Powinna panienka znaleźć sobie kwatery w mieście, wtedy będzie panienka mogła zatrzymać pracę bez konieczności mieszkania w tym domu.

Po tych słowach zniknął, zostawiając oszołomioną Emilie pośród wysokich drzew, które drżały w świetle księżyca.

Poza sprawdzaniem od czasu do czasu, czy w okolicy nie potrzeba guwernantki, Emilie nie czytywała lokalnej gazety, teraz wszakże, gdy na pierwszej stronie nagłówek krzyczały o zasadzce i mordach, nagle się nią zainteresowała.

Wpierw słuchała z uwagą, jak Kate czyta na głos przerażającą historię, i czekała, aż będzie mogła wziąć gazetę i sama prze-studiować artykuł, zwracając baczną uwagę na każde słowo.

Zbladła dowiedziawszy się, że bandyta Mai Willoughby wciąż przebywa na wolności, podobnie zresztą jak jego współnik w zbrodni, James McPherson, i że za jego głowę wyznaczono cenę.

— Powiadają, że jest okrutny — mówiła Kate, zręcznie krojąc jagnięcy udziec. — Prawdziwy morderca.

— Kto? — zapytała Emilie, dygocząc na całym ciele.

— Ten Willoughby. Mój znajomy widział go w tartaku pana Manningtree. Powiedział, że ma twarz zbrodniarza, a brzydki jest jak noc, z żółtymi oczami.

Emilie gapiła się na kucharkę, ale nie śmiała otworzyć ust.

Przez wiele dni śledziła tę sprawę, ciągle od nowa czytając tę samą historię o skradzionym złocie, odwadze pana Carnegiego, komisarza do spraw złota, który został ranny w ataku, oraz nieustannych poszukiwaniach dwóch zbrodniarzy. Były także smutne doniesienia o pogrążonych w żałobie rodzinach oraz relacja z pogrzebów, w których udział wzięli też państwo Manningtree; byli zachwyceni, że ich nazwisko pojawiło się w gazecie. Pod koniec tygodnia wszakże na pierwszy plan wysunęła się inna tragedia. Płynący z Sydney parowiec „Java Queen” z czterdziestoma dwoma pasażerami na pokładzie nie przybił do portu na czas i obawiano się najgorszego.

Jednym z pasażerów był kapitan Curtis Morrow; po wielu dniach poszukiwań na morzu stało się jasne, że nikt nie ocalał.

Wstrząśnięta pani Manningtree nosiła się na czarno i sprawiała wrażenie nieutulonej w żalu, choć w oczach cynicznej kucharki żałoba była zwykłym udawaniem.

— Zrobi wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę — oznajmiła Kate.

Przez cały ten czas, a dokładnie przez dziesięć dni, jakie upłynęły od chwili, gdy przyjaciel pożegnał się z Emilie, dziewczyna nie potrafiła zmusić się, by otworzyć paczkę. Trzymała ją ukrytą na dnie swojego kufra, rozdzierana sprzecznymi pragnieniami: by Mai przyszedł po zawiniątko, a równocześnie by trzymał się z daleka ze względu na swoje bezpieczeństwo, bo przed posterunkiem policji wystawiono tablicę z informacją, że za podanie miejsca pobytu wyjętego spod prawa Mała Willoughby'ego przewidziano nagrodę w wysokości pięćdziesięciu funtów. Emilie widziała ją tylko raz, ale na jej widok przeżyła taki wstrząs, że od tego czasu chodziła drugą stroną ulicy.

Martwiła się, że przypuszczalnie głupotą i naiwnością z jej strony było uwierzenie panu Willoughby'emu. Nie wątpiła, że nie mógł brać udział w napadzie, że nikogo nie mógłby zabić. Rozmawiała z nim w kilka godzin po tym zdarzeniu, a przecież nikt nie mógłby tak się zachowywać. Na pewno czymś by się zdradził, miałyby jakieś wyrzuty sumienia po równie przerażającym czynie. Pan Willoughby nie mógł być aż tak brutalny, tak całkowicie pozbawiony serca.

Znużona tymi troskami i wiecznymi rozterkami, Emilie wreszcie wyjęła paczkę, wpierw zamknąwszy drzwi do swojej sypialni. Było późno, w domu panowała cisza. Czując się winna, odwinęła papier. Była też zakłopotana, ponieważ dał jej do zrozumienia, że to są pieniądze, a ona nie chciała jego pieniędzy. Do diaska, cóż takiego mu powiedziała w tamto niedzielne przedpołudnie, że nabrał przekonania, iż potrzebna jej gotówka?

Banknoty wysypały się na łóżko. Mnóstwo banknotów. To nie było kilka funtów, tylko spora suma. Emilie gorączkowo przetrzucała papier, w który je owinięto, szukając listu z jakimiś wskazówkami. Czy Mai chciał, żeby zdeponowała je w banku? Albo umieściła w takim miejscu, do którego on miałby dostęp? Nic jednak nie znalazła, tylko te wielkie znajome banknoty Banku Anglii, szeleszczące i nowe. W sumie czterysta funtów.

Emilie przerażiła się, że Mai wszedł w ich posiadanie drogą przestępstwa, że to łup z rabunku, pamiętała bowiem, że skradziono złoto i gotówkę. Skoczyła i zamknęła okno, odcinając się od świata. Była sama ze swoim sekretem.

„To dla panienki. Jeśli mnie złapią, i tak nigdy więcej na oczy tego nie zobaczę”, powiedział.

Ogarnięta paniką zawinęła pieniądze w bieliznę, ukryła na dnie kufra i z trzaskiem zamknęła pokrywę.

Czy on zupełnie oszalał? A może był bardzo sprytny? Nic dziwnego, że ostrzegał, by nikomu nie wspominała o znajomości z nim. I tak by tego nie zrobiła, skoro w mieście okrył się niesławą. Teraz wszakże, dając jej te pieniądze, wplątał ją w swoje żałosne życie. Boże wielki, co ma z nimi zrobić? A gdyby powiedziała kucharce, że w pokoju ma fortunę dzięki uprzejmości przyjaciela bandyty?

Emilie tej nocy nie zmrużyła oka.

\*

W Lindsay Downs guwernantka z wolna dochodziła do siebie po gorączce, wciąż jednak była słaba. Mogła przyjmować tylko lekkie pokarmy, bo przy każdej solidniejszej potrawie jej żołądek się buntował.

Doktor niewiele mógł na to poradzić.

— Ona cierpi na melancholię — powiedział do pani Stanfield. — Nie taka znowu rzadkość w podobnych przypadkach. Przedłużająca się słabość rodzi w umyśle pacjenta silne pragnienie powrotu do zdrowia, a kiedy to życzenie się nie spełnia, chora osoba niecierpliwi się, co powoduje, że czuje się nieszczęśliwa, a to samo w sobie jest melancholią, jeśli mnie rozumiesz.

Leonie nie rozumiała. Uważała, że całe wyjaśnienie doktora jest stekiem bzdur, ale była zbyt uprzejma, by powiedzieć to głośno. Według niej panna Tissington po prostu użalała się nad sobą. Powinna wyjść z pokoju, usiąść w fotelu na werandzie, gdzie odetchnęłaby świeżym powietrzem, i wracać do sił. Minęło kilka tygodni, odkąd zabłądziła w buszu i zapadła na gorączkę, co w końcu nie jest rzadką dolegliwością. Ale nie, ona leży, woli być chora. Jak długo jeszcze?

Kilka dni temu guwernantka zebrała siły i napisała list do siostry w Maryborough. Leonie, obiecawszy, że go wyśle, sprytnie otworzyła kopertę nad parą. Nigdy przedtem w taki sposób nie naruszyła niczyjej prywatności, ale teraz wręcz paliła ją ciekawość, o czym panna Tissington pisze. Ponieważ wciąż była zbyt słaba, żeby opuścić pokój, może jakoś tłumaczy to siostrze.

List był dość smutny i rozczarował Leonie. Dowiedziała się z niego tylko tyle, że panna Tissington jest szczęśliwa, ale ostatnio miała dużo zajęć i nie starczało jej czasu na korespondencję, tak więc niedługo postara się wysłać bardziej zajmujący list. Ukryła przed siostrą fakt choroby i Leonie sądziła, że to rozumiała. Ale co dalej z nią począć?

Doktor miał połowiczną rację. Ruth istotnie popadła w melancholię, choć nie była tak chora, jak z pozoru to wyglądało. Rzecz w tym, że wszystko, co się wydarzyło, wprawiło ją w straszliwe zażenowanie i nie miała siły komukolwiek spojrzeć w twarz. Wciąż uważała się za istotę wyższą od tych mieszkańców kolonii, lepiej wykształconą, lepiej zorientowaną w wielu sprawach, dobrze urodzoną Angielkę, i nie zamierzała tego zdania zmienić. Nie wiedziała jak. Ciągle sobie przyrzekała, że niedługo wsta-

nie, jutro, pojutrze, a wtedy każe Stanfieldom odpowiedzieć za wszystkie zniewagi.

Nie przyjmie od nich ani słowa krytyki więcej. Od pana Stanfielda zażąda przeprosin za nazwanie ją Panną Ponurą, przez co podważył jej autorytet nie tylko w oczach dzieci, ale i służby. Pan Stanfield straszliwie ją rozczarował i zamierzała mu to powiedzieć. Zamierzała też wyraźnie oznajmić, że dziewczynom trzeba o wiele większej dyscypliny, a nie mniejszej, i ona tego dopilnuje. Zatrudniono ją, żeby zrobiła z nich damy, i byłaby w stanie to uczynić, gdyby rodzice się nie wtrącali.

Taki to plan Ruth ciągle od nowa wałkowała w myślach, leżąc w łóżku, aczkolwiek zrealizowanie go wymagało sił, których na razie nie miała, ponieważ nie czuła się dobrze. Ale niedługo jej stan się poprawi, to tylko kwestia czasu. W ten sposób nieświadomie sama wplątała się w ten zaklęty krag. Kierat, całkiem zbliżony do diagnozy doktora.

Domownicy jednak przestali interesować się panną Tissington. Wiosna była w całej pełni, gdy rozpoczęto przygotowywania do przyjęcia ważnego gościa. Matka Jacka wróciła do domu z dalekich podróży i teraz wybierała się w odwiedziny do Lindsay Downs, a jak Leonie doskonale wiedziała, Lavinia Stanfield była osobą niezwykłą.

Farma, jedna z wielu należących do klanu Stanfieldów, była ulubioną farmą Lavinii, ponieważ tutaj był jej pierwszy dom, gdy wyszła za Lindsaya Stanfielda, a także pierwsze ogniwo łańcucha farm hodowlanych, które para nabywała przez lata wraz z rosnącym majątkiem.

Jak pozostali domownicy Leonie niecierpliwie wyczekiwała spotkania z teściową i opowieści o jej podróżach. Pani Stanfield, obecnie wdowa, pożegłowała do Londynu z siostrzenicą w roli towarzyszkii, by złożyć wizyty wysoko postawionym krewnym, którzy serdecznie ją przyjęli. Stamtąd podróżniczki wyruszyły na objazd po kontynencie, po czym spędziły miesiąc z przyjaciółmi w ich pięknej willi we Florencji. Leonie widziała szkice tej willi i zazdrościła teściowej; zachwycona, z wielką ochotą pojechałaby do Florencji.

— Pewnego dnia, kiedy dziewczynki podrosną, wszyscy pojedziemy — powiedział Jack.

Leonie lubiła teściową, choć w jej obecności ogarniało ją zdenerwowanie. Była to wspaniała kobieta, władcza i nigdy nie



cofająca się przed tyranizowaniem rodziny radami, opiniami i poleceniami. Na początku Leonie wydawało się to arogancją, Lavinia wszakże odznaczała się poczuciem humoru, które łagodziło jej apodyktyczność, co dla otoczenia było niejaką pociechą. Na razie jednak Leonie musiała wypucować dom na błysk, by w trakcie inspekcji uniknąć pełnych dezaprobaty prychnięć na widok kurzu pozostałego na opuszkach palców.

Jack także nie pozostał obojętny, pomyślała Leonie z uśmiechem, choć na pozór udawał, że wizyta matki nie robi na nim wrażenia. Ogrody i trawniki wypielono i uporządkowano, płoty naprawiono, szopy pomalowano. Lindsay Downs tym razem powinno przejść kontrolę pozytywnie.

Kiedy nadszedł wielki dzień, wszyscy ucieszyli się, że Lavinia wygląda nadzwyczaj dobrze i jest w doskonałym nastroju. Doceeniła wystawny lunch, którym podjęła ją Leonie, a który zjedli przy ślicznie zastawionym stole na chłodnej werandzie z widokiem na dolinę. Był tylko jeden zgrzyt, kiedy Jane i Jessie, zupełnie nie zainteresowane opowieściami babci o fascynujących miastach, które zwiedziła, przerwały jej, pytając jedna przez drugą:

- Gdzie są nasze prezenty, babciu?
- Co nam przywiozłaś?

Wcale nie speszone miazdzącym wzrokiem babki, nadal ją dręczyły, aż wreszcie Leonie kazała im się uciszyć. W rezultacie musiały wiele dni czekać na swoją kolej, Lavinia dała im prezenty dopiero wtedy, gdy obdarowała wszystkich innych, a nie zapomniała także o pracownikach. Nadzorca dostał ołowiany kufel z Londynu, kucharka i pokojówka szwajcarskie pozytywki. Wreszcie jednak szyte ręcznie stroje do jazdy konnej zostały wyjęte z otulającej je bibułki i Leonie nie kryła zachwytu, bo dziewczynkom było w nich bardzo do twarzy. One jednak wolały pudełka ze świecidełkami, które babka dla nich zgromadziła.

Lavinia naturalnie dowiedziała się o losie guwernantki i pewnego dnia bez zapowiedzi odwiedziła chorą.

Ruth była bezgranicznie zaskoczona, gdy przy swoim łóżku zobaczyła kobietę, o której tak wiele słyszała. Starsza pani Stanfield była wysoką, dystygowaną kobietą ze starannie uczesanymi siwymi włosami i stalowymi niebieskimi oczami. Ubrana była po miejsku, w kosztowną czarną suknię z drobno plisowanym stanikiem, rozjaśnionym podwójnym sznurem pereł i takimiż

kolczykami, na dłoniach oprócz obrączki miała pierścionek z wielkim brylantem.

Ruth drzemała, włosy miała w nieładzie; czuła, że to stawiają w niekorzystnym położeniu. Nie podobała jej się ta wizyta.

— Dzień dobry, moja droga. Nazywasz się panna Tissington, a ja jestem pani Stanfield. Mówili mi, że niedomagasz.

Ruth z wysiłkiem usiadła opierając się o poduszki.

— Tak, ale już mi lepiej, pani Stanfield.

— To dobrze, bo ta gorączka potrafi być bardzo nieprzyjemna. Ale proszę mi powiedzieć, czy nadal masz nudności? Podniesioną temperaturę? Dreszcze?

Wypytywanie, podobne do lekarskiego badania, trwało długo. Pani Stanfield położyła Ruth dłoń na czole, sprawdziła gardło i puls, wreszcie się wyprostowała.

— Dzisiaj ludzie nie mają pojęcia, jak radzić sobie z chorobami czy ich skutkami. Nie potrafią kroku zrobić bez doktora. Za moich czasów w promieniu wielu mil nie było lekarza. Człowiek sam się musiał nauczyć, co najlepiej działa. Przepraszam za mojego syna i jego żonę, że pozostawili cię tu bez żadnej pomocy.

— Och nie! — zawołała Ruth. — Są dla mnie bardzo dobrzy. Bardzo mili.

— Nie dość dobrzy. Doprowadzę cię do zdrowia w jednej chwili. Teraz wstaniesz i pokojówka przygotuje ci kąpiel. Potem możesz napić się herbaty i zjeść jajko z sałata i grzanką na tylnej werandzie. O tej porze dnia jest tam chłodno i bardzo przyjemnie. Musisz wyjść na powietrze, moja droga.

— Naprawdę nie czuję się... — zaczęła Ruth, ale pani Stanfield nie chciała słuchać jej wymówek.

— Ależ tak. Musisz wstać i coś robić. Z chorobą trzeba walczyć, panno Tissington, a nie poddawać się jej.

Protesty na nic się nie zdały. Ruth nie miała wyboru, musiała się wykapać i pójść na werandę, gdzie przekonała się, że z salonu przyniesiono dla jej wygody fotel. Na stoliku, nakrytym nieskazitelnie czystym obrusem, stał porcelanowy serwis do herbaty, a nawet wazonik z groszkiem pachnącym, Ruth wszakże nie była w nastroju do doceniania takich wytwornych szczegółów; czuła się roztrzęsiona i wykorzystana.

Wypiła jednak herbatę, a kanapki, cieniutkie i bez skórki, były całkiem smaczne. Naprawdę nie miała ochoty zostawiać jednej, ale dobre maniery przeważały.

Przez jakiś czas pozwolono jej na cichą kontemplację, później wszakże przyłączyła się do niej starsza pani Stanfield, co Ruth odebrała jako okrutne natręctwo, nie czuła się bowiem na siłach, by prowadzić konwersację.

— Jak się teraz czujesz, panno Tissington?

— Obawiam się, że dość niepewnie.

— Wcale mnie to nie dziwi. Twoje biedne nogi muszą być słabe po tym okresie bezruchu. Ale szybko wrócisz do siebie. Dzisiaj po południu zalecam krótki spacer, tylko jedną rundkę po ogrodzie. To wiejskie powietrze jest rześkie, choć jak sobie wyobrażam, nie jesteś do niego przyzwyczajona. — Ku przerażeniu Ruth pani Stanfield usiadła obok niej. — Chciałam przez to powiedzieć, że pewnie tęsknisz za chłodniejszą pogodą.

Ruth zmuszona była odpowiedzieć.

— Raczej tak, choć człowiek się aklimatyzuje po jakimś czasie.

— W to nie wątpię. Z której części Anglii pochodzisz?

Przez następne pół godziny pani Stanfield prowadziła rozmowę dotyczącą głównie Ruth, szczerze bowiem interesowała się jej pochodzeniem, robiła to jednak w taki miły, łagodny sposób, że Ruth nie mogła się obrazić. Prawdę mówiąc, widziała wyraźnie, że pani Stanfield darzy ją sympatią, że wrażenie na niej zrobiły jej kwalifikacje, i poczuła się lepiej. O wiele lepiej. Ta kobieta ją rozumiała. Niedawno wróciła z Anglii i doskonale zdawała sobie sprawę z odmienności kultur, problemu, z którym musiała radzić sobie Ruth. Żeby sprawić przyjemność pani Stanfield, przyrzekła, że pójdzie na ten spacer.

Lavinia istotnie doskonale zdawała sobie sprawę z odmienności kultur, kiedy poszła szukać synowej.

— Musimy rozwiązać tę sytuację z panną Tissington. Nie można pozwolić, żeby wiecznie pogrążała się w żalu nad sobą. W ciągu kilku dni postawię ją na nogi. Ona nie jest chora, tylko zdruzgotana.

— Dlaczego? Robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby tu była szczęśliwa, Lavinio, ale to trudna osoba. Czuje urazę z byle drobiazgu.

— To rozumiałe. Jest młoda. Żyła dotąd pod kloszem i jest bardzo przywiązana do protokołu. Nie ma pojęcia, jak dostosować się do tego, co uważa za nasz nadmiernie swobodny styl życia.

Obawiam się, że dla kogoś tak sztywnego jak twoja panna Tissington jest to bardzo trudne. Ona ma silne poczucie własnej wartości.

— Jack mówi to samo. — Leonie wzruszyła ramionami. — Powiada, że jest zbyt zarozumiała.

— I tu się myli — odparła ostro Lavinia. — Panna Tissington jest bardzo miłą młodą kobietą. Prawdę mówiąc, to klejnot. Oczytana. Doskonale zna francuski. Ależ by mi się przydała w moich podróżach zamiast tej głupiej Moniki, która wiecznie czegoś nie pojmuje. Panna Tissington nie jest zarozumiała, tylko musi utrzymać odpowiedni poziom, a kobiety jej pokroju będą to robiły za wszelką cenę, nawet gdyby miało je to zabić. Inaczej po prostu nie potrafią. Panna Tissington martwi się o swoją młodszą siostrę, także guwernantkę, która z usposobienia jest trzpiotką.

— Powiedziała ci to wszystko? — zdumiała się Leonie. — Nigdy wiele nie mogłam z niej wydobyć, zamyka się jak ślimak, gdy chodzi o sprawę osobiste.

— Bo zbyt była zajęta próbami zadowolenia siebie.

— Ojej, skarżyła się na nas? Albo na dziewczynki?

— Oczywiście, że nie. Leonie, ty wciąż nie rozumiesz. Ona doskonale zdaje sobie sprawę ze swoich obowiązków, do głowy by jej nie wpadło krytykować którekolwiek z was. Ale to nie rozwiązuje problemu. Nie wiem, jak w ogóle mogłaś tutaj sprowadzić osobę taką jak ona. Powinnaś była pojechać do miasta i sama z nią porozmawiać, zamiast polegać na słowie swojej siostry.

— Starałam się tylko zrobić to, co dla dziewczynek najlepsze.

— Ha, dziewczynki! Jak rozumiem, nie lubią jej, a Jackowi nie podoba się, że próbuje je nauczyć odpowiedniego zachowania przy stole. Sam mi to powiedział. Cóż, to niedobrze, prawda? Co w tej kwestii proponujesz?

Leonie oparła się o krzesło i westchnęła.

— Naprawdę nie wiem. Wszystkich do siebie zraziła. Nie potrafiła nawet dogadać się z pokojówką i kucharką.

— A czemu miałyby to robić? W jej świecie one nie istnieją. Posłuchaj mnie, moja droga. Panna Tissington ma rację. Jestem tu dość długo, by widzieć, że Jane i Jessie przy stole zachowują się w sposób absolutnie niedopuszczalny. Musiałam się powstrzymać, żeby do jadalni nie zabierać linijki. Jeśli jakieś dziewczynki

PATRICIA SHAW

kiedykolwiek potrzebowały kogoś w rodzaju panny Tissington, to właśnie one. Choćby po to, żeby jej słuchać. Ma nieskazitelną dykcję, a wasze córki szwargoczą jak tubylcy. Zamierzam powiedzieć Jackowi, że uważam Jane i Jessie za fatalnie wychowane bachory.

— Jesteś niesprawiedliwa, Lavinio — zachnęła się Leonie.

— To jeszcze kociaki. Wyrosną z tego.

— Nie wyrosną, Leonie. Ktoś musi je nauczyć, jak się mają zachowywać, skoro ty i Jack nie potraficie.

— Chcesz, żebyśmy zatrzymali pannę Tissington?

— Nie. Pasuje tutaj jak kwiatek do kożucha. I marnuje się dla tej dwójki, bo rodzice jej nie wspierają.

— Próbujemy — broniła się Leonie — ale ona jest taka surowa i obraża się, gdy cokolwiek jej sugeruję. Będziemy musieli ją zwolnić i znaleźć kogoś innego.

— Nie. Miejsce Jane i Jessie jest w szkole z internatem, a im szybciej tam się znajdują, tym lepiej. Sama porozmawiam o tym z Jackiem.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Clive Hillier nie wierzył w ani jedno słowo. Mai nie był mordercą. Nie był też wyjętym spod prawa zbieg, rabującym transporty złota.

— Dlaczego miałyby to robić? — kłócił się Clive z górnikami. — Wyjechał stąd z kupą gotówki. Wziął tę robotę, bo bezpieczniej jest podróżować do Maryborough w grupie. Na litość boską, znaleście Mała. To wszystko nieprawda.

— Więc dlaczego uciekł?

— A wy byście nie uciekli? Skoro wszystko przemawia przeciwko niemu? Ludzie tak się wściekli z powodu tych morderstw, że mogli go zlinczować. Nie ucieklibyście, mając choćby cień szansy? On jest niewinny, mówię wam. Został kozłem ofiarnym. Policjanci musieli kogoś złapać, żeby udowodnić, że są w stanie zapewnić ochronę podróżnym na tych drogach, bo jak na razie zupełnie się im to nie udawało. Przestępcy zbierają tam obfite żniwo, pojawiają się, kiedy chcą, rabują, kiedy im się podoba, i uchodzi im to na sucho. McPherson jest najlepszym przykładem.

Niektórzy górnicy go słuchali. Niektórzy nawet się z nim zgadzali. Wszyscy jednak mieli własne problemy, a poza tym co mogli poradzić? Willoughby był na liście poszukiwanych, za jego głowę wyznaczono cenę.

Kiedy Clive dowiedział się, że na polach złotonośnych jest sierżant Pollock, zgłosił się do niego żądając rozmowy. Pollock, któremu Anglik przypadł do gustu, wyraził zgodę.

Od niego też poznał parę szczegółów z życia nieuchwytnego Willoughby'ego, który rozpułynał się bez śladu. To, że Hillier

uważał wyjętego spod prawa za „dobrego człowieka”, wcale nie czyniło go niewinnym. W małych osadach na wiejskich terenach aż roiło się od bandytów uwielbianych przez miejscową ludność, wręcz bohaterów, którzy byli kryminalistami do szpiku kości. Napadali na urzędy państwowe, banki, dyliżanse pocztowe, transporty złota lub gotówki, prostych ludzi zostawiając w spokoju, i dlatego biedacy ich podziwiali. Mieszkańcy samotnych farm udzielali im pomocy, bo zawsze za wszystko płacili i kobiety traktowali z szacunkiem, dzięki czemu płęć piękna mdlała na ich widok. Z drugiej zaś strony policjanci czy wojskowi, którzy ich ścigali, natykali się na mur upartego milczenia albo co gorsza, na otwartą niechęć. Nie witano ich serdecznie, nie karmiono, podejrzliwi domownicy informowali ich tylko, że mogą napoić konie i ruszać w drogę. Niewdzięczna praca.

Pollock to rozumiał. Jego dziadek był skazańcem wysłanym do kolonii karnej za kradzież ubrania bogatemu właścicielowi ziemskiemu. Oddzielono go od rodziny, którą próbował utrzymać. To sprawiło, że Jonah Pollock ze spokojnego parobka zmienił się w twardego mężczyznę, który na każdym kroku walczył z tymi, co go uwięzili. W rezultacie skończył w okrytej złą sławą twierdzy na wyspie Norfolk, znanej z okrutnego traktowania skazańców, gdzie z więźniarką zdażył spłodzić syna, nim wychłostano go na śmierć za niesubordynację. Syn, Joseph Pollock, trafił do Sydney. Urządził sobie nawet życie pracując jako kowal. Nie był człowiekiem rozgoryczonym. Wręcz przeciwnie.

— Co się stało, to się nie odstanie — powtarzał swojemu synowi Joemu. — Mogłem pójść tą samą drogą co mój staruszek. Przeklinać drani do samej śmierci. Ale wybrałem inne życie. Wszystko dobrze się ułożyło. Mam własną kuźnię. Twoja mama to porządna kobieta, przyjechała tu jako wolny człowiek. Tam mogłoby nam być gorzej. Miasto Sydney to dobre miejsce.

I tak było aż do dnia, gdy młody Joe Pollock powiedział ojcu, że wstępuje w szeregi nowo utworzonej policji.

Wtedy też Joe zobaczył prawdziwą stronę rodzinnej historii. Ojciec krzyczał i wściekał się, groził mu ciegami, nazywał sprzedawczykiem i zdrajcą, matka płakała i starała się przywrócić w rodzinie spokój. Joe pojął wówczas, że ojciec pogodził się z okolicznościami swojego przyjścia na świat, nigdy jednak nie wybaczył władzom, że tak surowo karały i w końcu zabiły jego

ojca. Nosiło to nazwę prawa, władzy, nieważne, ale wysoko na tej liście znajdowali się sędziowie i policjanci... Joe senior ich nienawdził.

Jednakże Joe Pollock nie widział dla siebie lepszej szansy i dlatego z niej skorzystał, a potem z rodziną i dziećmi przeprowadził się do Queenslandu. Matka utrzymywała z nim kontakt, ale ojciec mu nie wybaczył. O tak, sierżant Pollock dobrze rozumiał tę niechęć do władzy, wiedział, skąd się brała, ale to go nie obchodziło. Transporty skazańców z Wysp Brytyjskich ustały, to był zamknięty rozdział. Teraz nowe pokolenia musiały zająć się własnym życiem, a to dotyczyło także ludzi, którzy dawali wyjętym spod prawa schronienie w błędnym przekonaniu, że w ten sposób mszczą się na władzy. Większość z nich nigdy nawet nie spotkała skazańca przywiezionego tu z Wysp, spełniali tylko swoją powinność wobec ludowych legend, wobec wrodzonego sprzeciwu wobec władzy. A sierżant Pollock nie zamierzał spokojnie na to pozwalać. Zwracał się do przełożonych z petycjami, by surowo karać każdego, niezależnie od płci, kto pomaga przestępcom lub ich ukrywa, i twardo opowiadał się przy ostrych środkach.

A teraz musiał słuchać, jak ten Anglik pieje peany na cześć kolejnego bandyty, który wydawał się bardzo miłym człowiekiem.

— Czy wszyscy tacy nie są? — przerwał Hillierowi.

— Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Mówię tylko, że Mai Willoughby nie jest człowiekiem, którego szukacie.

Hillier upierał się przy powtarzaniu ciągle od nowa szczegółów zasadzki, szukając śladu, który by mu pomógł udowodnić niewinność przyjaciela. Pollock słuchał cierpliwie, ale wiedział, że ta rozmowa prowadzi w ślepą uliczkę. Willoughby siedział w tym po szyję, a Camegie żył i był świadkiem. Na szczęście.

— A skąd mam wiedzieć, czy pan nadal nie jest jego wspólnikiem? — warknął sierżant, znużony już argumentami Hilliera.

— Bo ani na chwilę nie opuściłem pól i mogę to udowodnić.

— To pan tak twierdzi, zastanawiam się jednak, czy celowo nie opóźnia pan śledztwa. Był pan jego wspólnikiem, ale nic nie może mi pan o nim powiedzieć. Mniej dowiaduję się od pana niż z zapisków tego nieszczęsnego Taylora, a okazuje się, że mnóstwo z zawartych tam informacji to kompletne bzdury. Dlaczego okłamał Taylora?



— Bo niczego nie brał poważnie. To typowe dla Mała. Jest zamknięty w sobie.

Zirytowany Pollock przypuścił atak na Clive'a. i

— A co to znaczy w normalnym angielskim?

— Pilnował swojego nosa.

— Albo miał sporo do ukrycia. To młody chłopak, gdzie są jego bliscy? Przecież gdzieś musi mieć rodzinę.

— Nie wiem, nigdy o niej nie wspominał.

— Albo pan mi nie mówi. Chyba pan pamięta, że prawo surowo traktuje każdego, kto pomaga przestępcom lub ich ukrywa. Wcale nie jest pan czysty. Nadal ma pan działkę?

— Tak.

— I jak panu idzie?

— To moja sprawa.

— Moja, jeśli pan stąd wyjedzie. Chcę wiedzieć, kiedy i dokąd się pan wybiera. Zrozumiano?

— Oczywiście. — Clive wpadł w furję. — Jestem przekonany, że przeprowadzi pan zwykłe policyjne śledztwo, wybierając najłatwiejszy cel i robiąc wiele hałasu w trakcie pościgu za niewinnym człowiekiem. Ale to dobrze wygląda w papierach, no nie?

Odszedł rozdrażniony, nie przejmując się tym, że zwrócił przeciwko sobie policjanta odpowiedzialnego za dochodzenie. Dlaczego sierżant, ten zakuty łeb, nie poszuka prawdziwych bandytów? Ci na pewno nie będą się kręcić po polach złotonośnych.

Jednakże Pollocka nie uraziła reakcja Anglika. I tak była łagodna w porównaniu z obelgami, którymi zazwyczaj go obrzucano. W najlepszych czasach trafiał na garstkę chętnych do współpracy. Ale Hillier jest ważny, bo to jedyne ogniwo łączące się z Willoughbyem. Do Maryborough dostarczono zapiski Taylora z rozmowy z młodym człowiekiem i Pollock uważnie je przestudiował, po czym telegrafem przesłał informacje nowemu komendantowi policji, Jasperowi Kempowi, zadowolony, że mają dobry ślad prowadzący do uciekiniera, ale odpowiedź wprawiła go w oszołomienie.

Nikt nie znał postrzygacza nazwiskiem Willoughby. Na niektórych z wymienionych przez niego farm hodowano bydło, nie owce. Jego ojciec nie miał hotelu w Ipswich, w mieście nie było takiej rodziny. Kemp uważał, że „Willoughby” może być przy-

branym nazwiskiem, i Połlock skłonny był się z nim zgodzić. Wydawało się dość szlachetne dla tego łgarza i prostaka. I wszystko wskazywało na człowieka starannie ukrywającego prawdziwą tożsamość dla celów przestępczych. Sierżant zaczynał podejrzewać, że zasadzkę planowano od dłuższego czasu. Jednakże Willoughby czy jak tam się nazywał nie pasował na autora tego wyrafinowanego planu.

Pollock wrócił do biura komisarza i usiadł na krześle w gabinecie Carnegiego. Lada chwila spodziewano się przybycia nowego komisarza.

Musiał przyznać, że na miejscu Taylora także przyjąłby do eskorty Willoughby'ego z tą jego twarzą dziecka. Ze względów bezpieczeństwa zatrudniony w ostatniej chwili, nie znany pozostałym konwojentom. Jeśli nawet nie był postrzygaczem, to na pewno był człowiekiem buszu, opanowanym i spokojnym, nieskłonny do paniki w razie kłopotów. Pollock miał przewagę, znał Willoughby'ego, jechał z nim i wiedział, że ten cwany oszust na pewno nie mógł być mózgiem napadu. Więc kto nim był?

McPherson. James McPherson. To niewykluczone... i kto jeszcze? I co łączyło Willoughby'ego z McPhersonem? Gdyby mógł to odkryć, miałby ich obu. Choć taki scenariusz także do końca go nie satysfakcjonował...

Ponieważ McPherson również nie był typem planisty. Szkot działał na terenie Nowej Południowej Walii, zapuszczał się na południe aż do Cowry, w Queenslandzie zaś urządzał wypadki na zachód do Romy i daleko na północ do Mackay i Bowen, setki mil od Maryborough. A potem pojawił się tutaj i dwa razy, noc po nocy, napadł na dyliżans pocztowy.

Pollock przestudiował wiszącą na ścianie mapę Queenslandu. Po każdym rabunku, czasem dwóch, McPherson zniknął. Nie szukał schronienia w górach, zawsze wyłaniał się na powierzchnię setki mil dalej. Dlaczego więc przez wiele tygodni pozostał w tym okręgu, czekając na transport złota?

Jeszcze coś w tym napadzie go niepokoiło, coś, co pominął, i wiedział, że pominął, ale w końcu to sobie przypomni. Potrzeba tylko czasu. Jedynie żona Pollocka zgadzała się z nim, że jest dobry w swojej pracy, zdaniem innych był marudą i pedantem, któremu nie zależy na rozgłosie. I dlatego teraz ostro go krytykowano za odesłanie ludzi, którzy wtedy do nich dołączyli. Gdyby pozwolił im wszystkim zostać, Willoughby na pewno by nie uciekł.

Pollock miał zatem istotne powody, by złościć się na **Mała** Willoughby'ego.

Tak, Allyn Carnegie był zadowolony z Perry'ego, kiedy ból pozwalał mu myśleć o czymś innym poza stanem jego ręki. Miejscowy lekarz opatrzył ranę i nastawił ramię najlepiej jak umiał, przyczyniając pacjentowi cierpienie i niepokoju. Carnegie nie miał zaufania do medyka, którego nazywał rzeźnikiem, i skarżył się gorzko, że jego interwencja tylko wszystko pogorszyła. W rezultacie lekarz zaproponował, że pośle do Brisbane po specjalistę od kości.

— Myślisz, że siedzę na pieniądzach? — wrzasnął Carnegie.  
— Przecież to by kosztowało fortunę.

— Może sam pan pojechać do Brisbane i odwiedzić specjalistę — odpalił lekarz. — Nie będę się sprzeciwiał.

— To niemożliwe. Nie czuję się na siłach, by podejmować taką podróż. — Nie chodziło tylko o stan zdrowia; Carnegie nie miał zamiaru opuszczać Maryborough. W każdym razie nie bez złota.

Ucieczka Willoughby'ego okazała się niezwykle fortunna w skutkach. Razem z pogrzebami odwróciła publiczną uwagę od samego napadu i wysłała Pollocka w pościg. A przesłuchania, którym poddawał komisarza, ciągnęły się w nieskończoność i dla chorego były nie do zniesienia. Poza raną w ramieniu Carnegiemu dokuczwała dyzenteria, za co winił obrzydliwą miksturę przepisaną mu przez lekarza.

Współczując samemu sobie Carnegie pozostawał w swoim domu w Maryborough, gdzie opiekowała się nim przychodząca na dzień służąca, i martwił się o złoto, niepokoił o Perry'ego. Chociaż uzgodnili, że Perry pod żadnym pozorem nie będzie się z nim kontaktował, Carnegie nie mógł mieć absolutnej pewności, że bandyta nie zbiegł z łupem, i to był jedyny niepewny element w całym planie, jedyna trudność. Nie dało się takiego zadania zlecić uczciwemu człowiekowi, stąd Perry i konieczność zaryzykowania, że wszystko pójdzie dobrze. Innego wyjścia nie było. Jednakże Carnegie, sam będąc graczem, wiedział, że szanse są po jego stronie. Perry był typem szeregowca, tępakiem, który wypełnia rozkazy. W nagrodę dostanie połowę ogromnego łupu i nie będzie musiał się martwić, że ktoś kiedyś oskarży go o udział w przestępstwie. Błyskotliwość planu wywołała rzadki uśmiech uznania na twarzy tego brutala.

Od wszystkich tych trosk Carnegiego ciągle bolała głowa. Kiedy tak ponuro siedział przy oknie i obserwował zatłoczoną ulicę, zaczynał nienawidzić tego miasta.

W oficjalnym liście do ministra górnictwa zrezygnował z funkcji komisarza, jako powód podając poważne obrażenia i wyczerpanie nerwowe, po czym zabrał swoje rzeczy z biura w Maryborough.

List przyjęto z żalem i słowami podziękowania oraz zapewnieniem, że jego pensja będzie wypłacana przez cały rok, a nie dziewięć miesięcy, przez które faktycznie pracował.

Carnegie uważał, że sprawiedliwie go potraktowano. Sugestia, że powinien pojechać do specjalisty, otworzyła przed nim nowe możliwości. Kiedy dostanie złoto, może ranę wykorzystać jako pretekst do bezzwłocznego wyjazdu do Brisbane, zamiast jednak pozostać w mieście, gdzie czekali na niego wierzyciele, wsiaść na statek i popłynąć do dalekich krajów. Na przykład do Chin, było mnóstwo statków kursujących między Australią i Chinami, a stamtąd do Ameryki. O wiele łatwiej będzie pozbyć się złota w Chinach. Przed napadem Carnegie upewnił się, że w Brisbane działają paserzy, którzy kupują złoto nie zadając niepotrzebnych pytań, ale to był znacznie lepszy pomysł.

Ku swemu przerażeniu dostał list od żony, wstrząśniętej wiadomościami o zasadzce i obrażeniach męża, których rozmiary dziennikarze wyolbrzymili. zaproponowała w nim, że przyjedzie, aby się nim opiekować. Carnegie odpisał natychmiast. Nie jest mu potrzebna, a to okropne miasto nie jest odpowiednim miejscem dla jego żony. Powinna zostać w Brisbane, on wróci do domu, jak tylko zdrowie mu na to pozwoli.

Westchnął. Ta kobieta nigdy nie przestanie go irytować.

I gdzie do licha podziewa się Perry?

Żaden doker pracujący na nabrzeżach nie miał pojęcia, że Baldy Perry jest teraz bogaczem, ważną osobistością, a chociaż starczało mu rozumu, by o tym nie gadać, zaczął przejawiać butę, przez którą bynajmniej nie stał się obiektem powszechnej sympatii. W najlepszych momentach Perry był człowiekiem agresywnym, problemy rozwiązywał pięścią i nigdy nie lubił ciężkiej pracy, teraz wszakże nie miał innego wyboru. Podjął tę robotę tylko po to, by uniknąć podejrzeń, poza tym dawała mu pretekst do pozostania w Maryborough. Powtarzał sobie, że to tylko kwestia czasu, niedługo rzuci tę harówkę, odbierze swój udział od

Carnegiego i zacznie się pławić w zbytkach. Czekanie na tę chwilę było jednak udręką.

Ciągle myślał o złocie zakopanym pod drzewem nad rzeką, choć nie chciał o nim myśleć... to jak rozmyślać o kobiecie, gdy żadnej nie ma w okolicy, pocić się i mieć dreszcze, nocami przeżywać tortury... rano Baldy czuł się okropnie. To nie wpływało dobrze na jego usposobienie.

Brygadzysta Mahoney czepiał się Perry'ego od trzech tygodni. Wylałby go z roboty, gdyby miał dość rąk do pracy. Trudno było utrzymać ludzi na nabrzeżach, gdy tak blisko znajdowały się pola złotonośne. Perry sprawiał ciągłe kłopoty i rozrabiał, wywoływał bójki, dręczył innych robotników i najwyraźniej uważał, że może sam sobie wybierać statek, na którym chce pracować.

W końcu brygadzysta miał tego dość.

— Cholera, jeśli nie chcesz tej roboty, Perry, to wynoś się stąd do diabła!

Ku jego zaskoczeniu drań się wycofał mruczając pod nosem, że nie chce stracić pracy, i prawie zdobywając się na przeprosiny. Mahoney kręcił głową z niedowierzaniem.

Spokój jednak nie trwał długo. Upokorzony na oczach ludzi, którzy musieli pracować, Perry nie potrafił przełknąć gorzkiej pigułki. Przez cały dzień go to dręczyło, czuł się tak, jakby w jego wielkim brzuchu wiły się robaki. Starał się je ignorować, bo musiał trzymać się planu. Przypomniał sobie uniesienie, z jakim zakopywał skarb pod drzewem. To nie było drzewo wybrane przez Carnegiego, choć równie dobre. Na wspomnienie miejsca wskazanego przez komisarza przeszedł go dreszcz. W życiu tak szybko nie biegł. Już miał się zabrać do kopania pomiędzy korzeniami, kiedy w błocie zauważył ślady krokodylich łap prowadzące od rzeki. Wielkie, głębokie ślady! W sekundzie stamtąd zwiął, nawet nie próbował rozglądać się za potworem.

Wiedząc, że krokodyle potrafią się poruszać z przerażającą prędkością, Baldy ruszył po zboczu, przedzierając się przez gęste krzaki, aż był pewien, że nic mu nie grozi.

— Jezu! —jęknął. — Na pewno tam nie wrócę.

A kiedy otrząsnął się ze strachu, poszukał innej kryjówki. W końcu wybrał stare drzewo figowe, którego splecione korzenie ciągnęły się na wiele jardów dookoła. Idealne miejsce.

Wkrótce też worek znalazł się w głębokiej dziupli; nie było potrzeby poruszać ziemi czy choćby liścia. Baldy poklepał sękaty pień.

— Dobre drzewo. Będziesz pilnowało mojego worka.

Zadrzał spoglądając na rzekę. Wrzucił do wody strzelbę Carnegiego, a kiedy dopłynął łodzią do brzegu, wyładował z niej rzeczy, zrobił w dnie dziurę i zatopił, nawet nie myśląc o przeklętych krokodylach!

— Człowiek czasami ma szczęście — mruknął, odnajdując konia i uwalniając go z pęt.

W nietypowym dla siebie wesołym nastroju wskoczył na siodło i wzdłuż rzeki ruszył w kierunku promu i bezpiecznego schronienia w Maryborough.

Wciąż rozmyślał o tym starym dobrym drzewie, kiedy gwizdek oznajmił koniec pracy. Peny zaczepił bosak za pas i poszedł do pubu, nie tego w hotelu Port Office, gdzie zbierali się wszyscy dokerzy, ale do położonego dalej przy drodze Criterion, by uniknąć docinków i przytyków kolegów, którzy słyszeli jego sprzeczkę z Mahoneyem.

Wychylił trzy kufle jeden po drugim, stojąc na końcu baru, samotny, ponury pijak, i rozmyślał o Mahoneyu i o tym, co niedługo zrobi temu irlandzkiemu draniowi. Rozmyślał też o Carnegiem, który był powodem jego wstydu, bo trzymał go na uwięzi zakazami. Jego, Perry'ego, co dokonał napadu przewyższającego wszystkie wyczyny McPhersona.

Perry przerzucił się na rum, najlepszy w Maryborough. Uznał, że powinien się zobaczyć z Carnegiem. Minęły już trzy tygodnie, rabunek poszedł w zapomnienie, bo uwagę wszystkich przykuło zatonięcie parowca „Java Queen” i otwarcie nowego ratusza. W gazetach prawie nie wspomniano o Willoughbym. Ten głupek uciekł w góry, a jeśli wie, co jest dla niego dobre, tam też zostanie. Perry zachichotał. To był właściwy ruch, wplątanie w sprawę takiego tępego smarkacza. Carnegie powiedział, że policjanci w to uwierzą, i faktycznie uwierzyli, zaczęli szukać wiatru w polu. Idioci szukający idioty. Baldy zamówił następny kieliszek. Miejscowy rum był prawdziwą wodą ognistą, ale Baldy tyle już go wypił, że teraz smakował mu jak nektar.

Do baru weszła grupa mężczyzn i Baldy się skrzywił. Niektórych znał i poczuł do nich pretensje, że wkroczyli na teren, który uważał za własny. Najwyraźniej pili gdzie indziej i na poprawiny przyszli do Criterion, ale lokal był mały, nowo przybyli stłoczyli się przy kontuarze, krzykami domagając się

obsłużenia. Baldy rozmyślanie rozłożył łokcie, żeby zachować jak najwięcej miejsca dla siebie, i oczywiście ktoś go popchnął.

— A jak ci się wydaje, kogo potrącasz? — burknął groźnie.

— Nikogo, kolego. Mógłbyś się trochę posunąć.

Zaraz jednak inny mężczyzna przepchnął się do kontuaru, nie zważając na łokcie Baldy'ego, który z całej siły uderzył w niego potężnym barkiem. Nieznajomy aż się zatoczył.

— Uważaj, co robisz, cholerny idioto! — wrzasnął.

Baldy natychmiast rzucił się na niego i złapał za koszulę.

— Kogo nazywasz cholernym idiotą?

To był niewielki człowieczek, ale żyłasty. Rozłoszczony, szybko uwolnił się z uchwytu.

— Trzymaj swoje tłuste łapska z daleka ode mnie, stary.

Baldy w odpowiedzi wymierzył mu cios w żołądek. Nieznajomy stracił równowagę i wpadł na innych klientów baru. Barman natychmiast zainterweniował.

— Żadnych bójek! — zawołał. — Ty, Perry, wynoś się stąd. Wracaj do matki.

Perry poczuł się do głębi urażony. On był tu pierwszy, zajmował się własnymi sprawami, potem dopiero przyszli ci dranie, w większości już pijani, a teraz jemu każą się stąd wynosić. Ha, nie pozwoli, żeby po raz drugi tego samego dnia spotkało go takie upokorzenie.

— A kto mnie zmusi? — warknął.

Przez tłum przepchnął się jakiś rudzielec. Mahoney! Irlandzki łajdak!

— Ja. Nie potrzeba nam tu kłopotów, Perry. Swoje już wypieś. Idź teraz do domu.

Baldy w sekundę wyjął bosak i wyciągnął przed siebie.

— Nie próbuj mi rozkazywać! Tutaj nie jesteś szefem.

Zdesperowany Mahoney zwrócił się do barmana:

— Należ mu strzeżniennego...

Baldy nie czekał, co Mahoney ma do powiedzenia. Zamachnął się, próbując wziąć go z zaskoczenia, ale żyłasty nieznajomy okazał się szybszy. Skoczył, by odepchnąć Baldy'ego od jego celu, lecz nadział się przy tym na hak, który wbił mu się w szyję. Na wszystkie strony trysnęła krew.

Rozwścieczony tłum otoczył Baldy'ego, ciosami i kopniakami spychając go do rogu.

Nazajutrz posiniaczony i chory Baldy obudził się w więzieniu. Miał złamanych kilka żeber, kaca i nudności. Oskarżono go o napaść i pobicie. Jego ofiara trafiła do szpitala z poważnymi obrażeniami.

— Jak długo będę musiał tu siedzieć? — wyjęczał.

— A co to za różnica? — odpowiedział konstabl Gus Frew.

— U nas jesteś tylko na chwilę, dopóki nie przyjedzie sędzia. Wyrok odsiedzisz na południu.

— A kiedy sędzia tu będzie?

— Wszystko w swoim czasie. Nieźle załatwiłeś Jackiego Flynna. W sobotę miał się żenić, musieli to odwołać. Zepsułeś wesele, stary, nikt tutaj nie powie o tobie dobrego słowa, więc lepiej zacznij się przyzwyczajać do życia o chlebie i wodzie.

Kilka dni później Baldy próbował zaapelować do Gusa.

— Musisz mnie wysłuchać. Nie mogę zostać w więzieniu. Mam sprawę do załatwienia.

Konstabl roześmiał się.

— Jasne, statki nie mogą wypływać w morze bez twojej pomocy. Jesteś ważną osobą, Baldy. Nie słyszałeś? Powiadają, że rany Jackiego są poważne, nigdy nie będzie mógł ruszać głową.

— Nie, słuchaj, mogę zapłacić. Jeśli ktoś by mnie stąd wydostał, wynagrodzę go sowicie, jeśli mnie rozumiesz.

Konstabl puścił jego prośby mimo uszu, za to współwięźniowie, którzy słyszeli tę rozmowę, chcieli pożyczyć od niego pieniądze. Sędzia nie śpieszył się z przyjazdem do Maryborough, ale rozprawa trwała tylko kilka minut. Baldy został skazany na sześć miesięcy w więzieniu na Świętej Helenie, wyspie położonej u ujścia rzeki Brisbane.

Angus Perry był analfabeta. Wyrósł na biednej farmie na południe od Sydney, jego ledwo wiążący koniec z końcem rodzice nie uważali książkowej nauki i butów za rzeczy konieczne do przeżycia. Cieszyli się jednak, że ich jedynak z wątłego malca wyrastał na wysokiego i muskularnego młodzieńca, który szybko przerósł ojca. Angus był silny, idealnie nadawał się do pracy na farmie, i rodzice wcześniej przydzielili mu obowiązki. Czy raczej próbowali, bo był leniwy i oporny i tylko pod ciągłą groźbą bata wykonywał to, co mu nakazywali. Właściciele okolicznych farm, równie biedni jak państwo Perry i tak jak oni walczący ze



skutkami straszliwej suszy, zaczęli się skarżyć, że Angus to złodziej, że po każdej jego wizycie coś znika... uzda, połec wieprzowiny, kurczak, drut na ogrodzenie... lista ciągnęła się w nieskończoność. Na początku rodzice Angusa twierdzili, że chłopak jest niewinny — nie miał jeszcze czternastu lat — kiedy jednak ojciec znalazł w stodole cudze siodło, ruszył na syna z batem, zdecydowany wprawdzie dać mu nauczkę, której młody szybko nie zapomni, a potem wysłać, by oddał siodło właścicielowi.

Lecz sprawy nie ułożyły się po myśli ojca. Angus wyrwał mu z dłoni bat, odrzucił daleko i pobił rodziciela trzonkiem siekiery. Od poważniejszych obrażeń uratowała męża swymi krzykami pani Perry. Po bójkę Angus odszedł z domu i nigdy tam nie wrócił.

Przyłączał się do grup młodych przestępców, które krażyły koło doków w Sydney, a w końcu ruszył na północ, podejrzany osobnik zadający się z podobnymi sobie.

Jak wielu z tego grona Baldy wylądował na polach złotołonośnych; miał nadzieję zrobić tu szybko fortunę w taki albo inny sposób. Razem z kumplem zajął się górnictwem. Ku radości obu faktycznie znaleźli kilka uncji aluwialnego złota. I to właśnie tam spotkał Carnegiego, ważną osobę, który zainteresował się nim, kiedy Baldy zgłosił się do biura, by wynająć kolejną działkę.

Na Baldym wielkie wrażenie zrobił Carnegie, człowiek sympatyczny, który najwyraźniej polubił górnika, nawet wypełnił dla niego formularze. Prowadząc inspekcję pól złotołonośnych, sporo czasu poświęcał Baldy'emu, który zaczął się już podejrzliwie zastanawiać, czy ważny komisarz przypadkiem nie węszy. Perry górnik wciąż był Perrym złodziejem, a puste namioty stanowiły łatwą zdobycz.

Po bójkę ze współnikami, po której Baldy został sam, Carnegie zastał go siedzącego z niepokieszoną miną przed rozpadającym się namiotem.

— Jak idzie kopanie, panie Perry?

— Marnie. Strata czasu. Chyba dam sobie z tym spokój.

— Ach, myślę, że to kwestia szczęścia. Niektórzy je mają, inni nie.

Baldy wzruszył ramionami. Nie był w nastroju do rozważania takich subtelności z tym szpiclem.

— Miałbym dla ciebie robotę — powiedział Carnegie.

Baldy przyjął te słowa obojętnie.

— Niech pan poszuka chętnego gdzie indziej — warknął.

— To jednorazowe zlecenie. Można zarobić spory kawał grosza.

— Co pan nie powie. — Na Baldym te słowa wcale nie zrobiły wrażenia.

— Doskonale. Jeśli zmienisz zdanie, to przyjdź do mojej kwatery wieczorem po dziesiątej. Ale pilnuj się, żeby nikt cię nie widział.

Perry skręcał papierosa, nawet nie patrząc na oddalającego się eleganckiego komisarza. A może to zboczenie? Ledwie tak pomyślał, wyszczerzył zęby. Zboczeńcy to pieniądze. Pobijesz takiego do nieprzytomności, a nigdy cię nie zdradzi, zwłaszcza osobnik tego typu. Perry postanowił, że wpadnie do kwatery komisarza. A nuż będzie warto?

I tak to się zaczęło. Carnegie nie był zboczeńcem. Miał butelkę whisky i dużo gadał, ale nie zachowywał się jak zboczeniec. O robocie mówił ogródkami, aż wreszcie do Baldy'ego zaczęło docierać sedno jego słów i pomyślał, że ten facet to oszust. Uśmiechnął się szeroko, chcąc dowiedzieć się więcej, i rozmowa gładko toczyła się dalej...

Przez cały czas pobytu w areszcie w Maryborough Baldy'emu towarzyszyła nadzieja, że Carnegie przyjdzie mu na ratunek; da w łapę waźniakom i wydostanie współnika z za krat. Była to płonna nadzieja. Perry nie mógł nikomu powierzyć napisania listu, zresztą o czym taki list miałyby być? Naraziłby się na niebezpieczeństwo, gdyby zwrócił uwagę policji na swoją znajomość z komisarzem. Z drugiej strony Carnegie także nie mógł ujmować się za Perrym, skoro istotą całego planu był brak kontaktów pomiędzy nimi.

Ale Carnegie był chyba w stanie podjąć jakieś zakulisowe działania, prawda? myślał z gniewem zatroskany Baldy. W końcu to ważna osobistość.

Kiedy zabierano go z Maryborough, łańcuchem przykutego do statku, Perry wdzięczny był tamtemu krokodylowi. Gdyby nie ta bestia, zostawiłby złoto w kryjówce wskazanej przez Carnegiego, skąd ten pod nieobecność partnera w każdej chwili mógłby je zabrać — w całości. A teraz łup pozostanie na miejscu, dopóki Baldy nie wyjdzie na wolność.

Rozgoryczonego, agresywnego Perry'ego wraz z innymi skazańcami wsadzono na łódź w porcie Brisbane, by przetransportować ich w dół rzeki do cieszącej się okrutną sławą kolonii karnej na Świętej Helenie, skąd uciec można było tylko wpław przez wody, w których roiło się od rekinów. Już w chwili gdy postawił stopę na brzegu, butna postawa sprowadziła na niego jedną z wielu chłost. Strażnicy ostrzegli go, że wcale im nieśpieszno do rozstania się z nim.

— Znamy twój typ — powiedzieli. — Agresywni chłopcy potulnieją tu jak baranki, w przeciwnym razie odsiadują wyrok z nawiązką.

Termin przekazania łupu zbliżał się wielkimi krokami, wprawiając Allyna Carnegiego w zniecierpliwienie. Wieczorami siedział na tylnym ganku, wyczekując nocnego gościa, wypatrując Perry'ego wślizgującego się na podwórko, choć przecież mieli się nie spotykać. Perry zgodził się polegać na doświadczonym oku byłego komisarza przy sprawiedliwym podziale łupów, a Carnegie zdecydowany był zrobić to najlepiej jak się da, skoro worki zawierały zważone porcje złota aluwialnego, oznaczone bryłki, monety i banknoty. Miał do tego prawo jako szef przedsięwzięcia i Perry nie narzekał, gdy to ustalali; takie wrażenie zrobiła na nim perspektywa rabunku doskonałego, że zgodziłby się na wszystko.

Kiedy Carnegie wreszcie kładł się do łóżka, znużony czuwaniem i nieustannym bólem w słabym, zniekształconym ramieniu, które bardzo długo się goiło, spał niespokojnie. Nasłuchiwał, czy Perry nie nadchodzi, podrywał się przy najsłabszym odgłosie, bo każda żywa istota uwzięła się, by burzyć jego sen. Drobne zwierzęta buszowały w krzakach, ptaki skrzeczeniem reagowały na intruzów, psy ujadły, koty miauczały, a poduszka Carnegiego mokra była od potu, ponieważ noc sprowadzała ze sobą demony. Dręczyły go okrutne rojenia, gdy na chwilę zamykał oczy, zawsze niedokończone i zawsze przerażające. Doszło do tego, że obawiał się zasnąć, choć powtarzał sobie, że to tylko nerwy. Kiedy pojawi się Perry, katusze na pewno się skończą.

Czekał więc i czekał. Dni wlokły się niemiłosiernie, noc stawały się do zniesienia tylko dzięki butelce whisky. Nie zachęcał znajomych do składania mu wizyt, zresztą niewielu zadawało sobie ten trud, bo jego sława ofiary zblakła. Na polach złotońośnych w Gympie wciąż znajdowano kruszec, lecz pierw-

sze podniecenie minęło, teraz oczy wszystkich zwrócone były na nowe miejsce zwane Charters Towers; twierdzono, że znajdują się tam potężne pokłady, o wiele większe niż na innych polach.

Po raz kolejny przyszedł Pollock; powiedział, że to nieoficjalna wizyta, chciał sprawdzić, jak czuje się pacjent, lecz był człowiekiem podstępny i Allyn miał się przed nim na baczności. Zadawał niewinne pytania z takim spokojem, że ktoś mniej bystry dałby się oszukać, ale nie Carnegie. On też potrafił grać w tę grę. Powitał sierżanta z żalosną wręcz wdzięcznością, bo tak niewiele osób jeszcze jego stan obchodził, nawet ten głupi doktor o nim zapomniał. I do znudzenia mówił o napadzie, biednym Taylorze i pozostałych zamordowanych, jakby nie potrafił otrząsnąć się po tragedii.

Sierżant siedział z nim na werandzie, sączył jego dobrą whisky i sprawiał wrażenie, że nigdzie mu się nie śpieszy.

— To okropne, że tak szybko powołali nowego komisarza — zauważył.

— Wcale nie. Złożyłem rezygnację. Nie jestem bohaterem. Niech kto inny bierze tę pracę.

— Rozumiem doskonale, sir, ale to bez wątpienia popłatne zajęcie. Fatalnie, kiedy trzeba odrzucić taką pensję.

— Nie dla mnie. Mam własne środki.

— To dobrze. Odniosłem wrażenie, że na polach zaciągnął pan długi. Karciane.

Carnegie roześmiał się głośno.

— Wszyscy dżentelmeni mają długi karciane, a mnie nie poszczęściło się z tymi spryciarzami. Ostatnimi czasy byłem zbyt chory, żeby o nich myśleć, ale dzisiaj poczyniłem ustalenia, by wszystkich spłacić, skoro już tam nie wrócę. Nigdy się nie próbuję wywinąć od karcianych długów, taka praktyka wydaje mi się obrzydliwa.

— Oczywiście. Ale czy mam rację twierdząc, że już przekroczył pan stan konta w miejscowym banku?

Carnegie był wściekły, że ten prostak ośmielił się sprawdzać jego finanse, wyśmiał jednak głośno sierżanta.

— O co chodzi? Czy ten łajdak z banku boi się, że umrę? W tych dniach otrzymałem pokaźny czek z ministerstwa górnictwa plus premię, więc nawet nie muszę zwracać się do mojego banku w Brisbane z prośbą o przesłanie funduszy. A przy okazji, ma pan udział w kopalniach złota w Ballaracie?

— Nie.

— Zatem niech pan posłucha mojej rady i zainwestuje. Po rozruchach, które wywołali tam górnicy, inwestorzy się wycofali. Moja żona nalegała, żebym sprzedał akcje, ale tego nie zrobiłem, teraz mam portfel wart fortunki, a cena wciąż idzie w górę. Z dobrego źródła wiem, że w Ballaracie złota jest dużo, w przeciwieństwie do złóż w Gympie. A skoro o tym mowa, sierżancie, często pan podróżuje. Byłbym wdzięczny, gdyby powiedział mi pan, co sądzi o odkryciu w Charters Towers. Czy złoża są istotnie tak bogate, jak ludzie mówią?

— Nie wiem.

Carnegie widział wyraźnie, że rozmowa o akcjach nie interesuje słabo opłacanego policjanta, który ma na utrzymaniu rodzinę, więc ciągnął:

— Zastanawiam się, czy byłby pan tak uprzejmy i dał mi znać, jeśli czegoś pan się dowie. Kilka tysięcy akcji w solidnej kopalni nie poszłoby na marne...

Pollock dopił drinka.

— Wybacz pan, sir, ale służba nie drużba. W mieście jest sędzia i musimy przygotować się do jutrzejszej rozprawy. Dziękuję za whisky. Mam nadzieję, że niedługo całkiem odzyska pan zdrowie.

Wstał, wziął kapelusz i ruszył przez ganek.

— Jeszcze jedno... chodzi o klucze do kufrów bankowych, tych, co zawierały złoto i dokumenty. Gdzie były? Zamki nie zostały rozbite.

— Ja je miałem — odparł Carnegie spokojnie. — W kieszeni marynarki.

W tej samej chwili żołądek mu się skurczył i były komisarz poczuł wzbierającą falę żółci. Zwalczył ją jednak, nie pozwolił sobie nawet na głośne przełknięcie. Miał wrażenie, że gardło ma zaciśnięte, jakby go ktoś dusił. Klucze. Przekłete klucze.

— Ale gdyby zabrali je panu, kiedy leżał pan postrzelony, zobaczyliby, że pan żyje...

Carnegie zobaczył siebie leżącego na ziemi. Miał na sobie marynarkę? Nie! Nie chciał dziury po pocisku w marynarce z dobrej serży, w której trzymał klucze przymocowane łańcuszkiem do dziurki od guzika, żeby przypadkiem nie wypadły. Przymknął oczy i zaciągnął się cygarem, nienawidząc tego szpicla z jego docieklivością i kręcąc głową w uprzejmej naganie.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Ma pan rację, sierzancie. Wierzę, że klucze ocalały mi życie. To był upalny poranek, marynarka wisiała na koźle dyliżansu. Wystarczyło, że ci łajdacy szybko ją przeszukali, i już mieli klucze. Niech mi Bóg pomoże, jeśli ich nie znaleźli — plótł Carnegie zastanawiając się gorączkowo. — Ale przecież był z nimi Willoughby, wskazał im, gdzie szukać. Złapaliście już drania?

— Nie, ale złapiemy.

— Mam taką nadzieję. Naprawdę doceniam wszystko, co pan dla mnie zrobił, sierzancie Pollock. Jeśli kiedykolwiek zdecyduje się pan zainwestować w akcje złota, niech pan o mnie pamięta, będę szczęśliwy mogąc udzielić rad w tej kwestii. Teraz jednak nie powinienem pana zatrzymywać, okazał mi pan i tak wielką uprzejmość...

Minęły cztery tygodnie. Godziny zmieniły się w dni, a strach kazał Carnegieму odpoczywać w dzień i czuwać w nocy. Strach kazał mu wciąż od nowa sprawdzać kryjówkę; Carnegie nie dopuszczał do siebie myśli, że Perry wystrychnął go na dudka, nie mógł przecież być aż tak głupi. Poszerzył teren poszukiwań na otoczenie domu, przedzierał się przez krzaki z obsesją zrodzoną z paniki, ale nigdzie nie dostrzegł śladu złota. Powtarzał sobie, że może Perry pomylił terminy, źle obliczył czas, że faktycznie jest aż tak głupi. Na pewno jest. Mimo to...

W tym mieście na rubieżach bójki i awantury wszczynane przez pijaków były na porządku dziennym i dopóki konfliktów nie rozwiązywano bronią, o tego rodzaju incydentach nawet nie wspomniano w lokalnej gazecie, tak więc Carnegie, który czytał dziennik od deski do deski, by wypełnić czymś czas, nie mógł w żaden sposób się dowiedzieć, że jego partner został osądzony i usunięty z miasta. W absolutnie żaden sposób.

Kiedy rozpacz zaczęła brać we władanie byłego komisarza, niespokojnie krążył po domu i obgryzał paznokcie. Wiedział, że powinien pojechać na to miejsce nad rzeką i sprawdzić, czy złoto dalej tam jest. Mimo to zwlekał, lamentując w duchu. A gdyby ktoś go zobaczył? Poczucie winy trzymało go jak w imadle, nie pozwalając odróżnić przypadkowego, swobodnego wyjazdu za miasto od szalenię podejrzonej wyprawy do drzewa skrywającego łup. Czuł się dostatecznie dobrze, by wsiąść na konia, ale czy starczało mu odwagi? Mimo to czekał, modląc się żałośnie, by

PATRICIA SHAW

Perry dotrzymał słowa, obiecując w duchu, że porządnie natrze mu uszu, kiedy go znowu zobaczy. Podczas tych długich szalonych godzin rozważał także ukaranie Perry'ego przez odebranie mu jego części złota.

Martwił się ewentualnymi błędami. Kazał Perry'emu obciążyć skórzane worki i zatopić w rzece, a złoto przeładować do jutowego worka i ukryć w sakwie. Nikt nigdy nie zważał na żałosne zawiniątka noszone przez włóczęgów i ludzi z buszu, a nawet górników. A jeśli Perry zachował bankowe worki i został poddany przesłuchaniu? Nie, na pewno do tego nie doszło. To byłaby wiadomość na pierwszą stronę.

Wszystkie te rozważania, troski, domysły i przypuszczenia zajmowały mu całe godziny na jawie oraz zmieniały sny w koszmary, sprowadzane do wspólnego mianownika: Perry spóźnia się o dwa tygodnie. Allyn osobiście pojechałby sprawdzić wybrane drzewo, ale co, jeśli policja już odkryła złoto, a teraz nad rzeką zastawiła pułapkę na rabusiów, morderców?

Kiedy tak wyliczał w myślach powody, by nie jechać nad rzekę, a równocześnie próbował zebrać się na odwagę, by jednak tam pojechać, do drzwi zapukał kolejny gość. Gość zdecydowanie nieproszony.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pan Xiu jako człowiek szlachetnie urodzony podróżował w stylu przystojącym jego klasie. W każdej chwili miał przy sobie co najmniej czterdziestu kulisów, kilku służących zajmujących się posiłkami oraz kwaterą, dwóch ochroniarzy oraz majordomusa Chunga Lee. Na polach złotoonośnych dobrze mu się wiodło. Uważał, że jego ludzie doskonale dzięki temu swoje umiejętności, teraz wszakże zbierał się do wyjazdu. Astrologi i geolodzy z Szanghaju informowali, że stan Queensland kryje w sobie niewypowiedzianie bogate zasoby złota, a on nie miał powodów, żeby im nie wierzyć.

Chung Lee przestudiował mapy i zalecił trasę, która miała zaprowadzić ich do odległego miejsca zwanego Charters Towers, jeśli tylko jego mistrz w swej mądrości zdecyduje się jechać na północ. Xiu pokiwał głową, to miejsce wydawało mu się odpowiednie.

Xiu, człowiek wykształcony, znał angielski, podobnie jak pełniący funkcję jego sekretarza Chung Lee, który jednak słabiej władał urzędowym językiem tego kraju. Wymagane tu formularze i druki rejestracyjne nie budziły w nim wszakże obaw; prawdę mówiąc, uważał je za łatwiznę w porównaniu z biurokratycznymi labiryntami w rodzinnym kraju i za każdym razem był w stanie zapewnić spokojny przejazd panu Xiu i jego dworowi. Okolica całkiem przypominała mu Chiny, aczkolwiek zadziwiało go, jak mało ludności zamieszkuje te strony. Nawet biorąc pod uwagę czarnych i białych, mieszkańcy ledwo zaludniły przeciętną wioskę w Chinach. Często dyskutował tę kwestię z panem Xiu; obaj naturalnie wspominali o braku regularnych dostaw wody, co mogłoby stwarzać problemy, gdyby liczba ludności wzrosła.



Co wieczór Chung Lee czytał panu Xiu każdą gazetę, jaka wpadła mu w ręce. Czasami były to wydania sprzed jednego lub dwóch dni, kiedy indziej udawało mu się wydebić od górników dzienniki nie z Maryborough, lecz z wielkich miast, i te pochodziły sprzed tygodnia. Bywały wszakże dni, kiedy Chung Lee nie potrafił znaleźć żadnej gazety dla swojego mistrza, i wtedy, przepraszając gorąco, czytał ponownie artykuły, które szczególnie zainteresowały pana Xiu, czemu ten się nie sprzeciwiał. Chung Lee doskonale zdawał sobie sprawę, że pan Xiu sam potrafi czytać, lecz od dżentelmena pochodzącego z równie szlachetnej rodziny co on nie oczekiwano, że będzie brudził sobie dłonie farbą drukarską, tak więc jego sekretarz, będąc tylko sługą, uważał ten wieczorny obowiązek za przywilej.

Pana Xiu niezwykle zainteresował atak bandytów na transport złota i śmierć strażników, aczkolwiek Chung Lee nie uważał tego incydentu za jakieś szczególnie ważne wydarzenie. Chińscy bandyci byli o wiele liczniejsi i znacznie bardziej krwiożerczy, z napadów na konwoje przewożące przedmioty wartościowe uczynili niemal styl życia. Pomimo to posłusznie czytał wciąż od nowa relacje, co więcej, poproszono go o wygłoszenie własnej opinii o tym zdarzeniu, co też uczynił, powtarzając czytane komentarze, a następnie, na co nalegał jego pan, przedstawiając osobiste zdanie.

— Trudno tę sytuację zrozumieć, sir. Dlaczego bandyci zostawili jednego człowieka przy życiu, skoro nie przechwalają się napadem? Najwyraźniej mają zamiar pozostać anonimowi i nie chcą chełpić się tym sukcesem w gronie sobie podobnych. Kilka ciosów mieczem wymierzonych wszystkim ofiarom stanowiłoby gwarancję dyskrecji.

Pozycja Chunga Lee nie pozwalała zapytać, czy pan się z nim zgadza, choć milczenie, jakim skwitował słowa sekretarza, zostawiło kwestię otwartą do dalszej dyskusji.

— Mam własne przemyślenia w tej sprawie — oznajmił Xiu po dłuższej chwili. — Teraz możesz odejść. Muszę się za-  
stanowić.

Wszyscy się pakowali, co Clive przyjął niemal z ulgą. Wiedział, że nigdy nie zrezygnowałby z perspektywy znalezienia złota, gdyby nie ta zdecydowana powszechna opinia. O ile eksperci potrafili stwierdzić, złoża w Gypmie zostały prawie

w całości wydobyte i górnicy powinni się teraz rozejrzeć za innym miejscem. Część z tych, którym się udało, zabrała swój łup i paradnie ruszyła do domu, inni wrócili na pole bitwy, roztrwoniwszy swoje bogactwo na najlepsze wina, jakie za pieniądze można kupić w Maryborough, oraz drogie kobiety, które wprowadziły swoich dżentelmenów w świat burdeli i jubilerów.

Co nie znaczy, że ktokolwiek się skarżył. Przehulali fortunę w Maryborough, ale bawili się przy tym jak nigdy w życiu. Nie mieli żadnych pretensji. Po prostu przyłączyli się do górników, których czekał prawdziwy egzamin z wytrzymałości: droga do Charters Towers, choć było to tylko pięćset mil na północ w linii prostej. Część wsiadła na statek do Townsville, by stamtąd dojść na piechotę, bez względu jednak na wybraną trasę wszyscy tam zmierzali i Clive zastanawiał się, czy nie powinien pójść w ich ślady.

Po wyjeździe Mała pracował sam, od czasu do czasu znajdując parę uncji, dość, by starczyło mu na życie bez konieczności naruszania gotówki zarobionej wcześniej. Gdy Mai, jego kumpel szczęściarz, był z nim.

Lecz i Malowi szczęście przestało dopisywać. Do diabła, gdzie on się teraz podziewa? martwił się Clive.

Wiedział, że powinien zabrać swoje ponad czterysta funtów i jechać do domu, ale gdzie był jego dom? W Londynie? Od śmierci ojca, pułkownika, jego rodzina ledwo wiązała koniec z końcem. Clive planował, że wyśle połowę swoich zarobków matce, gdy tylko dotrze do cywilizacji, ale jak długo wyżyłby za resztę w Londynie? Clive, najstarszy syn, stanowczo odmówił wstąpienia do gwardii.

— Nie mam nic przeciwko wojskowym — oznajmił matce z uśmiechem — poza dyscypliną, marną płacą i groźbą utraty życia.

Pamiętał, że wspominał także o jedzeniu, aczkolwiek wątpił, czy wyżywienie w armii mogłoby być gorsze niż te pomyje, które zmuszony był pałaszować tutaj. Perspektywa podobnych warunków na polach złotonośnych Charters Towers, oddalonych jeszcze bardziej od cywilizacji, pomogła mu podjąć decyzję: zanim wyruszy na północ, zrobi sobie odpoczynek w Maryborough.

Nie chcąc opuszczać swej działki, dopóki nie minie okres opłaconego z góry wynajmu, nadal grzebał w ponurym tunelu. Przy tym zajęciu zastał go Chińczyk, który przyniósł wiadomość

od niejakiego pana Xiu, pragnącego zobaczyć się z panem Hillierem.

— Kto to jest? — zapytał Clive.

— Nasz dżentelmen, sir. Życzy sobie z panem porozmawiać.

— O czym?

— Pójdzie pan?

— Teraz?

— Poprowadzę pana.

Prośba Chińczyka zaintrygowała Clive'a.

— Dobrze, tylko daj mi minutę na umycie się. Zobaczymy, o co tu chodzi.

Xiu niewątpliwie był szefem chińskiej grupy. Clive'owi jego wygląd wydał się złowieszczy: wychudła twarz, cienkie czarne wąsy spadające jak rzemyki na brodę. W ciemnych oczach przysłoniętych powiekami nie malował się żaden wyraz, nawet gdy gospodarz zaprosił gościa, by wypił z nim herbatę w cieniu płóciennego baldachimu.

Chińczyk ubrany był w ciężką spódnicę i watowany jedwabny zakiet, stroju dopełniała zaś okragła wyszywana czapeczka, spod której spływał na plecy warkoczyk. Clive pomyślał, że warkoczyk sprawia wrażenie grubszej wersji wąsów, i leniwie zastanawiał się, czy mają do siebie pasować.

Nie lubił Chińczyków, uważał ich za podejrzaną nację, ale ten był pierwszym, z którym spotykał się towarzysko. Zajął miejsce na gładkim, wypolerowanym krześle naprzeciwko pana Xiu, po czym służący podał im wyjątkowo dobrą herbatę. Pili w milczeniu, poza słowami powitania niewiele mówiono.

Clive nie zamierzał pozwolić, by to małe przedstawienie go onieśmieliło, i przeszedł do sedna.

— Czym mogę panu służyć, panie Xiu?

Chińczyk przez kilka minut wpatrywał się w niego, jakby go oceniając.

— Był pan współnikiem pana Willoughby'ego? — zapytał wreszcie.

— Tak.

— Nadal jest pan jego współnikiem?

— Pyta pan, czy w przestępstwie? — warknął Clive. — Nie, nie jestem. Jeśli interesuje pana nagroda za jego głowę, musi pan szukać gdzie indziej.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Czyżby pan uważał pana Willoughby'ego za zbrodniarza?

— Ja nie, ale inni tak.

Xiu wolno pokiwał głową.

— Jeśli nie zbrodniarza, to może złodzieja?

Clive odstawił filiżankę z delikatnej porcelany na spodek.

— Niech pan posłucha, panie Xiu, nie wiem, do czego pan zmierza, ale jedno panu powiem: Mai nie jest bandytą. Nie jest rabusiem ani mordercą. Nie wierzę, że ma cokolwiek wspólnego z tym napadem.

— Ma pan dowód?

— Tylko moje słowo. Znam go, nigdy nikogo nie zabił i na pewno nie planował zasadzki.

— W takim razie to bardzo niefortunny zbieg okoliczności. Dokąd pan się stąd wybiera, panie Hillier?

— Chyba do Charters To wers. Wierzę, że tamte złoża warte są zachodu.

— Istotnie, tak powiadają. To trudna podróż. Ja będę podróżował łądem. A pan statkiem?

— Tak. Gdzieś tam musi być port.

Głębokim dźwięcznym głosem, jak duchowny wygłaszający kazanie, Xiu objaśnił mu szczegółowo trasę. Clive'a zaskoczyła jego dogłębna wiedza. Usłyszał, że powinien statkiem popłynąć do portu Townsville, gdzie znajdzie się około czterystu mil na północ od zwrótnika Koziorożca, a do pół złotoñośnych będzie miał jakieś sześćdziesiąt mil na południowy zachód. Chińczyk przestrzegł go przed porą deszczową na wybrzeżu oraz porą suchą w głębi łądu, a także przed wielką rzeką, która może skutecznie zagrozić mu drogę, kiedy monsunowe deszcze sprowadzą powódź na południe. Clive usłyszał tyle rad dotyczących klimatu i terenu, że w głowie zaczęło mu się kręcić. Przez cały ten czas służący dolewał herbaty do maleńkich czarek.

Wreszcie pan Xiu wstał, dłonie kryjąc w rękawach. Audiencja dobiegła końca.

— Będzie pan żeglował z Maryborough, panie Hillier. Zapewne odpocznie pan tam przez kilka dni, by dojść do siebie po tutejszych trudach.

— Czekam na to z niecierpliwością.

— Być może znajdzie też pan czas na wizytę u pana Carnegiego.

— Dlaczego miałbym to robić?

— A dlaczego nie? Jest pan dżentelmenem, nikomu nie wyda się impertyncją, że odwiedza pan człowieka pochodzącego z tej samej klasy. Pan Carnegie tam był. On jeden wie, co wydarzyło się w tamtą niedzielę.

— Czy pana zdaniem mógłbym go przekonać, że w sprawie Mała popełnił błąd?

— Czasami błędy nie są tym, na co z pozoru wyglądają. Clive nie krył zdumienia.

— Nie wierzy pan Carnegiemu? Komisarzowi?

— Moje skromne opinie są bez znaczenia. Pan powinien wyciągnąć własne wnioski. Życzy pan sobie eskorty w drodze powrotnej do namiotu?

— Nie, dziękuję. Nie... — Clive pojął aluzję i zerwał się na nogi. Wciąż nie wiedział, co myśleć o wielkopańskim Azjacie, który w tej osadzie w buszu wydawał się zupełnie nie na miejscu.

Xiu sięgnął po dzwoneczek z brązu. Jego głos, przypominający raczej głos gongu, słodki i melodyjny, sprowadził z sąsiedniego namiotu Chińczyka, z którym Clive miał już styczność. Służący ukłonił się swojemu panu, a gdy ten z aprobatą skinął głową, podał Clive'owi zapieczętowany zwój pergaminu.

— Co to jest? — zapytał Clive. Nagle się zdenerwował, jakby wręczono mu nakaz z sądu.

— To dla pana, panie Hillier — rzekł Chińczyk, najwyraźniej nie zauważając, że jego pan cicho odchodzi. — Do pana Xiu zwrócono się z prośbą, by to panu przekazać, sir, jest jednak mężem wielkiej mądrości i przezorności. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli przed spełnieniem tej prośby zajrzy w pańskie serce. — Skłonił się nisko. — A teraz pan wybaczy.

On także zniknął, nim osłupiały Clive zdążył otworzyć usta. Służący ustawiał naczynia po herbacie na czarnej lakierowanej tacy, ale jego chyba nie miało sensu wypytywać. Odnosił wrażenie, że ich tajemniczy świat zamknął się przed nim, że był tu intruzem, wsunął więc zwój do kieszeni i przez polanę ruszył w stronę szlaku. Nie wątpił, że go obserwują, i nie miał zamiaru nikomu sprawiać satysfakcji, otwierając przesyłkę jak niecierpliwe dziecko. Choć tak właśnie się czuł. Paliła go ciekawość, co też zwój zawiera. Może to jakiś prezent. Albo mapa tej małej znanej okolicy wokół Townsville, skoro złotek dysponował tak wielką wiedzą. Clive szedł przez opuszczone obozowiska, w których teraz skarbów szukały hałaśliwe wrony, minął roz-

gałęzienie, żartobliwie nazywane rynkiem, gdzie obok siebie tłoczyły się urzędy, kramy z alkoholem, saloony, sklepy i burdele. Clive nie wątpił, że w Charters Towers zobaczy dokładnie to samo.

Słońce chowało się za horyzont. Na krótką chwilę wstęgi złota i różu rozświetliły obłoki na zachodzie, tworząc ostry kontrast z brzydkim zdewastowanym krajobrazem, zasypnym szarzejącymi śmieciami pozostawionymi przez górników, którzy przeszli przez to miejsce niczym plaga szarańczy.

Do namiotu Clive miał ponad milę. Kiedy znalazł się na miejscu, zapalił lampę i nalał sobie na kilka palców wątpliwego dżinu, po czym wyjął z kieszeni rulon i lekko go zgniótł, przekonując się, że prezent, czymkolwiek jest, nie ma żadnego określonego kształtu. Clive uśmiechnął się ironicznie. Pewnie to zbiór chińskich mądrości dla jego oświecenia. Wolałby funt tej wybornej herbaty.

A potem przypomniał sobie, że pana Xiu poproszono, by mu to przekazał.

— Cóż to może być, do diabła? — zapytał głośno, wpatrując się w zwój. Nie był adresowany do niego, ani po angielsku, ani po chińsku. Na zewnętrznej stronie nie było żadnych napisów.

Złamał pieczęć i zdziwił się, że pod pierwszą warstwą jest następna, także pusta. Zirytowany wyjął środkową kartę z pośledniego papieru i utkwiał wzrok w piśmie skreślonym nie znaną mu ręką.

*Drogi Clive,*

*mam nadzieję, że dobrze ci się wiedzie. Naprawdę mi przykro, że tak się stało. Naprawdę. Nie chciałem, żebyś źle o mnie myślał. Może trudno ci będzie to przełknąć po tym, co pisali w gazetach, ale nigdy nie miałem nic wspólnego z tą sprawą. Z morderstwami i rabunkiem. Byłem głupi. A powinienem wiedzieć lepiej. Głupi jestem okropnie, nie wiem, kto to zrobił, ale jest człowiek, co go muszę znaleźć. Może pomóc, choć trudno na to stawiać.*

*Mam nadzieję, że wyświadczysz mi przysługę. Odwiedź moją przyjaciółką panną Emilie Tissington, która mieszka przy Lennox Road w Maryborough. Guvernantka. Trochę ci o niej opowiedziałem. To Angielka, ale bardzo nieszczęśliwa, nikogo nie zna i jest samotna. Sam widzisz, ja teraz dla nikogo nie mogę być*

*przyjacielem. Miałem pecha, no nie? Mam nadzieję, że odnajdziesz Fleur.*

*Mai*

Clive wiele razy czytał list. Zastanawiał się, w jaki sposób trafił do pana Xiu, a potem sobie przypominał, że Mała z jakiegoś powodu akceptowano w tej zamkniętej społeczności. Rozumiał teraz, dlaczego Chińczyk był taki przezorny. Gdyby stwierdził, że dawny wspólnik Mała nie jest nadal jego przyjacielem i mógłby przekazać list władzom, na pewno by mu go nie oddał. Ha, przecież nieprzyjemności mogły spotkać także tę Angielkę, którą policja ani chybi uznałaby za współniczkę przestępcy. Clive na podstawie słów Mała i mglistych uwag Chińczyka nabrał przekonania, że przyjaciela istotnie ktoś wrobił. Ale kto?

Xiu zasugerował mu, żeby odwiedził Carnegiego. Chytry Chińczyk wskazywał na komisarza. Ale to dość naciągane. Ten człowiek został ranny w napadzie. A Mai nie wspominał jego nazwiska.

Więc gdzie teraz jest? Wciąż ukrywa się w buszu? Mai nigdy nie mówił o sobie; Clive powiedział Pollockowi, że nigdy o niczym wiele nie mówił, a tę jedyną rzecz, którą o przyjacielu wiedział, ukrył przed sierżantem.

Willoughby był doskonałym buszmenem. Od dnia gdy zgodził się zostać współnikiem, warunki bytowe Clive'a bardzo się poprawiły. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Mai pozamiatął w namiocie i wokół niego, wykopał porządną latrynę i pilnował, by ją zamykać — o czym Clive oczywiście zapomniał — na okres równy życiu muchy. Potrafił na ognisku upiec chleb z mąki i wody, który nazywał podpłomykiem, wyśmienity z melasą o nazwie Golden Syrup, do tej pory nieznaną Clive'owi. Kiedy nie mógł już znieść ochłapów sprzedawanych w jatce, na parę dni wyprawiał się w busz i wracał z rybami, kangurzym mięsem oraz zaskakującym wyborem jadalnych roślin nieznanymi przeciętnemu kopaczowi, nawet z dzikim miodem. I o tym Mai mówił. Godzinami. Bawiło go, że dla wielu górników busz to pustynia, miejsce, w którym nie można porządnie się wyżywić, i woła korzystać z drogich dostaw prawie niejadalnej żywności na pola złotonośne.

— A według ciebie czym żywią się Aborygeni? — pytał Clive'a. — Przecież nie mają sklepów.

Pozostawiony sam sobie po odejściu Mała Clive wrócił do dawnych zwyczajów: jadał zepsute mięso, gdy nie mógł znaleźć lepszego, i zapleśniały chleb ze sławnym syropem. Znowu schudł i zaczynał poważnie się martwić, jak przeżyje na tych polach złotoonośnych na północ od zwrotnika Koziorożca. To oznaczało upaś, o wiele dokuczliwszy niż tutaj. Gdyby tylko mógł namówić Mała, żeby z nim pojechał... Gdyby tylko Mai nie był poszukiwanym zbrodniarzem z ceną wyznaczoną za jego głowę...

Nagle uderzyła go pewna myśl. Człowiek, którego Mai musiał znaleźć! Chyba nie chodziło mu o Carnegiego? Clive'a ogarnął strach.

— O Jezu, nie! — jęknął. Chyba Mai nie jest taki szalony, żeby iść do Carnegiego? Który nadal przebywa w Maryborough, przynajmniej tak wynika z ostatnich doniesień. Mała każdy może położyć trupem na ulicy. Carnegie ma prawo na jego widok strzelać. Czy Mai posunąłby się do tego? Clive zadrżał. Jeśli Mai nie wytknie nosa z ciągnącego się po horyzont buszu, to przeżyje, chociaż nie będzie miał żadnej przyszłości. Więc może zaryzykuje i pójdzie do komisarza?

Clive uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy nie zna Mała Willoughby'ego. Nawet jako przyjaciel nie potrafił odgadnąć, co Mai robi. Jeśli o to chodzi, nie miał pojęcia, gdzie chłopak teraz jest. Może być gdziekolwiek w tym rozległym kraju.

Nazajutrz rano Clive spakował się, tym razem naprawdę. Zwinął kilka swoich rzeczy w niepozorny rulon, przymocował do siodła i ruszył do Maryborough. On też musiał zobaczyć się z pewnym człowiekiem. A także młodą damą — na życzenie przyjaciela.

Młoda dama, o której mowa, była przekonana, że jak magnes przyciąga kłopoty. Uważała siebie za osobę spokojną, preferującą uporządkowane życie. Ale czy to możliwe, skoro ludzie ciągle wprowadzają w jej życie zamęt? I tak było jej niełatwo, zważywszy na pracę oraz troskę o pana Willoughby'ego i jego pieniądze. A teraz musiała poradzić sobie z kolejną przeszkodą.

Pani Manningtree urządziła wielkie przedstawienie z żałoby po świętej pamięci kapitanie Morrow; wzdychała, szlochała i upierała się przy czarnym stroju, aż tu zupełnie nieoczekiwanie humor jej się poprawił.



— I tyle żałoby — skomentowała kucharka. — A co teraz wymyśliła?

Wkrótce się dowiedziały. Pograżona w żalu matka kapitana przybywała do Maryborough, by odwiedzić symboliczny grób syna na miejscowym cmentarzu. Z inicjatywy pani Manningtree jego przyjaciele ufundowali marmurowy nagrobek i postawili w widocznym miejscu, niedaleko bramy. Z ciekawości Emilie poszła w towarzystwie Nellie obejrzeć tę wspaniałość, o której pani domu ciągle opowiadała, i obie zasmuciła melancholijna inskrypcja: „Zaginiony na morzu”.

Nellie, dziewczęce sentymentalne, uroniła nawet kilka łez.

Za to łzy pani Manningtree wyschły, choć nie zrzuciła żałobnego stroju. Ledwo potrafiła ukryć podniecenie. Pobiegła do kuchni, by podzielić się najświeższymi nowinami z kucharką.

— Matka biednego drogiego kapitana przyjeżdża do miasta, a co więcej, przyjęła zaproszenie, by zatrzymać się u nas. Jest hrabiną, arystokratką. W tym mieście poza naszym domem nie ma godnego jej mieszkania. Muszę dołożyć wszelkich starań, by temu biedactwu było u nas dobrze.

Obecna przy rozmowie Nellie nie kryła zatroskania.

— A w którym pokoju chce ją pani umieścić, madame? W drugiej sypialni jest pani garderoba, a dzieci mają ostatni.

— Wszystko przemyślałam. Pokój dzieci jest najbardziej odpowiedni, wielki i przewiewny, hrabinie będzie tam wygodnie. Wyniesiemy dwa łóżka, żeby miała więcej miejsca. Wielkie damy, takie jak hrabina, podróżują z mnóstwem bagażu. Chcę, żeby ten pokój dokładnie wyszorowano. Trzeba będzie powiesić nowe firanki i wstawić lepszą toaletkę. Widziałam w sklepie śliczny hinduski dywan, który ładnie będzie tam pasował. I nowe lampy...

— Przepraszam, madame, ale gdzie położymy dzieci?

— W pokoju panny Tissington.

— Będzie ciasno. Może dwa dodatkowe łóżka się zmieszczą, ale trzy na pewno nie.

— Nic nie szkodzi. Rosie będzie spała z Alice.

— A co panna Tissington na to powie?

— Panna Tissington tu pracuje, zrobi, co jej się każe. To tylko chwilowy układ.

Dzieci były zachwycone, że „wszystkie razem” zamieszkają z gubernantką, bo spodziewały się pysznej zabawy, za to Emilie

wcale się nie cieszyła. I nie chodziło tylko o to, że niewygodnie będzie z trzema łózkami stłoczonymi w pokoju, buntowała się przeciwko naruszeniu jej prywatności. I były jeszcze pieniądze pana Willoughby'ego. A jeśli dzieci pod jej nieobecność zaczną myszkować po pokoju i je znajdą? Emilie wiedziała, że nie ma nic złego w samym posiadaniu gotówki, ale te akurat banknoty emanowały poczuciem winy. Ukrywała je tak często w najróżniejszych zakamarkach, że nieraz przez wiele dni nie potrafiła ich znaleźć. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie je utknęła. Zawsze odczuwała ogromną ulgę, gdy w końcu na nie trafiała, i na jakiś czas wracały do najwłaściwszego schowka. Kufra.

Emilie wiedziała, że nie ma sensu dyskutować z panią Manningtree, czuła jednak, że powinna powiedzieć, co o tym sądzi, przynajmniej wyrazić swoje zdanie. Dlaczego ta kobieta nie może opróżnić garderoby? Nellie mówiła, że pełno tam ubrań i pudeł z różnymi śmieciami. Najwyraźniej pani Manningtree należała do osób, które niczego nie potrafią wyrzucić.

Kiedy dostarczono dywan, z którego rozłożeniem czekano tylko na wyprowadzkę dzieci z pokoju, Emilie ruszyła na poszukiwanie pani Manningtree.

— Zastanawiałam się, czy jest jakiś inny pokój, w którym dzieci mogłyby spać, madame? Jako guwernantka zmuszona jestem podkreślić, że zajmowanie wspólnego pokoju z nimi jest dla mnie bardzo niewygodne.

— Szkoda, że tak to pani odbiera. Drobną niewygoda na pewno pani nie zaszkodzi. Jak powiedziałam Nellie, to chwilowe.

— A jak długo potrwa ta chwila, madame?

— Skąd mam wiedzieć? I z pewnością do głowy nawet by mi nie wpadło pytać hrabinę, jak długo zamierza zostać. Przyjeżdża aż z Melbourne i może zostać, jak długo zechce. Przypuszczalnie miesiąc. Kiedy się zadamowi, zamierzam poznać ją z miejscowymi osobistościami i pokazać okolicę. Mamy tutaj piękne krajobrazy...

Emilie była przerażona. Sądziła, że to kwestia kilku dni. Ale tygodnie? Nie mogła pozwolić, żeby pani Manningtree na tak długi okres narzuciła jej ten układ. I mimo woli powiedziała to, co zaproponował jej pan Willoughby. Słowa same wyszły z ust, jakby kazał jej zająć własne stanowisko.

— W takim razie, madame, uważam, że powinnam poszukać mieszkania w mieście. Niech dzieci wezmą mój pokój. Jest za mały dla nas wszystkich.

Jej wypowiedź wyraźnie poruszyła panią Manningtree, zaraz jednak grymas niepokoju ustąpił miejsca kostycznemu uśmiechowi.

— Bardzo dobrze. To może być jakieś rozwiązanie. — Pomysł zaczynał jej się podobać. — Tak, to doskonałe wyjście. Przyda mi się wolny pokój. Tak, niech pani znajdzie mieszkanie i ustalimy, w jakich godzinach będzie pani pracować.

Nie ustaliłyśmy godzin, rozważała teraz Emilie. Pani domu to zrobiła, w dodatku bardzo szybko. Jeszcze tamtego popołudnia.

Emilie miała pracować od ósmej rano do siódmej wieczorem w dni robocze i przedpołudniami w soboty. Ponieważ w skład wynagrodzenia wchodziły utrzymanie i mieszkanie, wolno jej będzie jadać z dziećmi, natomiast nie otrzyma żadnej rekompensaty za wynajęcie kwatery. I układ nie będzie tymczasowy, tylko stały. Emilie nie miała innego wyjścia, musiała znaleźć sobie mieszkanie.

Kate i Nellie bardzo się zmartwiły.

— Wyrzuciła panienkę?

— Nie, to był mój pomysł.

— Ale gdzie panienka pójdzie? — mówiła Kate. — W mieście nie ma porządných pensjonatów, są tylko kwatery dla górników i wszelkiego rodzaju wędrownych ptaszków.

— Coś znajdę — powiedziała Emilie bez przekonania. — Nie martwcie się o mnie. Doskonale potrafię o siebie zadbać.

Ale czy naprawdę? Emilie obawiała się, że popełniła straszliwy błąd. Nie mogła obwiniać pana Willoughby'ego o to, że podsunął jej taki pomysł. Był mężczyzną, nie pomyślał, jakie niebezpieczeństwa czyhają na kobietę w tych pensjonatach, jeśli istotnie są takie złe, jak przedstawiła je Kate. W piątkowy wieczór Emilie siedziała w swojej sypialni i nerwowo zadawała sobie pytanie, w co właściwie się wpakowała.

Może się okazać, że nie będzie jej stać na płacenie co tydzień czynszu, jeśli nie zachowa ostrożności. Ale w kufrze leżały te pieniądze. Jego pieniądze. A może jej? Czy miałby pretensje, gdyby troszkę wzięła dla siebie? Emilie była pewna, że nie. Wręcz przeciwnie, przypuszczalnie by się ucieszył. Mimo to czuła niepokój. Za późno jednak, żeby się wycofać, teraz trzeba podjąć stosowne decyzje, i to natychmiast.

\*

To miasto zawsze ją onieśmiało. Chodząc po jego ulicach, miała wrażenie, że jest maleńkim żyjątkiem w rodzaju mrówki. Nic nie znaczącym. W niczym nie przypominało znanych Emilie miasteczek, w których życie toczyło się wolno, a ludzie z godnością zajmowali się swoimi sprawami. Jeźdźcy prowadzili swoje wierzchowce stępa, woźnice uważali, by nie tarasować drogi, niepisane zasady zachowania w miejscach publicznych były ściśle przestrzegane. Za to tutaj! Tu nie było żadnych zasad. Nie było nawet chodników, człowiek narażał życie wypuszczając się na główną ulicę, gdzie jeźdźcy galopowali, wozy załadowane niewiarogodnie wysoko belami wełny chwiały się i niezgrabnie toczyły w stronę nabrzeża, a powożący dwukółkami i bryczkami najwyraźniej sądzili, że szeroka droga to zaproszenie do szybkiej jazdy.

W mieście więcej było mężczyzn niż kobiet, mężczyzn, którzy tłoczyli się przed pubami albo wałęsali w grupach, zajęci własnymi sprawami, choć to w ogóle nie przeszkadzało kobietom, które przechadzały się wesoło, głośnymi okrzykami witając znajomych, co dla Emilie było prawdziwym szokiem. W tym czasie przyzwyczała się już do chodzenia ze spuszczoną głową i splecionymi dłońmi w rękawiczkach, jak zakonnica, by uniknąć niepożądanego zainteresowania.

I to był kolejny problem, pisała do Ruth. Nikt tutaj nie nosił rękawiczek, absolutnie nikt, dlatego ona też zastanawia się, czy nie powinna z nich zrezygnować. Doniosła siostrze, że widziała kobiety jeżdżące konno z mężczyznami, siedzące w siodle po męsku, ubrane w męskie spodnie i kapelusze. Niezwykły widok, doprawdy. Dzieci mówiły o nich po prostu „buszmenki”, jakby była to rzecz normalna. Cóż za fatalny przykład.

Ruth była zbulwersowana. Wyglądało na to, że jej miasteczko Nanango jest o wiele bardziej ucywilizowane. Doradziła Emilie, by nie zaprzestała noszenia rękawiczek i w żadnych okolicznościach nie godziła się na obniżenie poziomu, mimo iż znalazła się w dzicy, którą dotąd przypisywano wyłącznie Ameryce. Błagała, by Emilie była bardzo, bardzo ostrożna w zawieraniu znajomości, i dodała, że chociaż jej chlebobdawcy są ludźmi prostymi, to powinna być wdzięczna, że bezpiecznie mieszka pod ich dachem. Ruth słyszała o guwernantkach, które pracując na oddalonych farmach owczych, padły ofiarą zalotów ze strony męskich członków rodziny i musiały uciekać, co wpędziło je w poważne tarapaty finansowe.

Emilie, drepcząc ulicą i omijając przykurzone towary bezładnie wystawione przed sklepami jak na jakiejś wyprzedaży, zadrzała, gdy sobie wyobraziła, że Ruth dowiedziała się o jej znajomym, prawdziwym wyjętym spod prawa bandycie. Kiedy wszakże przekroczyła próg Banku Nowej Południowej Walii, musiała odpędzić od siebie wszelkie myśli o siostrze. Ruth nigdy nie zrozumiałaby tej sytuacji. Byłaby wstrząśnięta. Prerażona. Rozgniewana.

Emilie nerwowo podeszła do kontuaru, grzecznie powitała wesołego kasjera, wąsatego dżentelmena z bardzo czerwonymi ustami, i podała mu pieniądze. Pieniądze pana Willoughby'ego. Niezależnie od tego, czy zamieszka w pensjonacie czy też będzie dzieliła pokój z dziećmi, pieniądze muszą się znaleźć w bezpiecznym miejscu. Gdy kasjer zaczął liczyć banknoty, zerknęła za siebie spodziewając się, że na miejscu ją zaarrestują. Zamiast tego kasjer zwrócił się do niej uprzejmie:

— Cztery funty, panno...

— Tissington — powiedziała szybko. Nie mogła przecież zdeponować pieniędzy w banku na nazwisko człowieka ściganego przez prawo. — Emilie Tissington.

Nie było żadnych ciekawskich spojrzeń, żadnych pytań, jakim sposobem młoda dama weszła w posiadanie tak wielkiej sumy, tylko dodające otuchy kiwnięcie głową. W banku, a właściwie samej witrynie, było gorąco. Emilie twarz miała purpurową, rozpaloną, zęby jej szczękały, gdy podpisywała formularz. Kasjer zniknął na zapleczu, za jej plecami cuchnący mężczyzna prychnął i kichał, na ogromnym ściennym zegarze wskazówce cały wiek zajęło ruszenie się z miejsca. Wreszcie kasjer wrócił, wciąż uśmiechnięty, i podał jej książeczkę bankową, po czym zwrócił się do następnego klienta, gestem zachęcając Emilie, by zrobiła miejsce przy okienku.

Koło drzwi znajdowało się polerowane siedzisko podobne do kościelnej ławki, do którego Emilie udało się dojść, nim nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Postawiła na kolanie wygodną czarną torbę, wsunęła do środka książeczkę i zaczęła szukać chusteczki, by zyskać na czasie. Zrobiła to. Zdeponowała pieniądze w banku.

Dopiero wtedy pojęła, co jej powiedział. Że jeśli go złapią, to nigdy tych pieniędzy nie zobaczy. Niezwykła rozmowa z panem Willoughbym wracała do niej we fragmentach. Teraz ogarnął ją wielki smutek. Uświadomiła sobie, iż próbował jej powiedzieć, że

jeśli go złapia, może spodziewać się brutalnego traktowania, a policjanci w rewanżu obrabują „rabusia” ze wszystkiego, co wartościowe.

Emilie spojrzała na swoją lśniącą skórzaną torbę. Ruth kupiła takie dwie na targu tuż przed wyjazdem z Anglii. Nie potrafiła się im oprzeć, bo były tanie, a równocześnie wyglądały na drogie, pasowały do ich nowych ról eleganckich guwernantek. Emilie pomyślała o panu Willoughbym i jego sympatycznej, otwartej twarzy bez śladu okrucieństwa, o które go oskarżano. Znowu zobaczyła jego oczy, wielkie, błękitne, niewinne, i poczuła go przy sobie. Zgadzał się z nią, był zadowolony, że postąpiła rozsądnie. Emilie miała nadzieję, że to nie są wytwory jej wyobraźni, i przysięgła sobie, że jeśli on kiedykolwiek będzie potrzebował pieniędzy, zwróci mu całą sumę. Na razie jednak to ona była w potrzebie.

Kiedy wyszła z banku na zalaną jaskrawym słońcem ulicę, swego dobroczyńcę miała w sercu. Wiedziała, że ją lubił, to było oczywiste, teraz wszakże chciała znowu go zobaczyć i nie miała to nic wspólnego z pieniędzmi. Złakniona od dawna miłości, Emilie pragnęła wziąć w objęcia tego słodkiego młodego mężczyznę, pocieszyć go, czule się nim opiekować.

Może Willoughby zaraził ją swoim dobrym humorem i niewiarygodną pewnością siebie, rozważała Emilie, która nie drepotała już ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Nie była dłużej nieśmiałą dziewczyną, lecz kobietą, a gdzieś tam był mężczyzna, który ją kochał.

Zarumieniła się na tę myśl. To była prawda. „Lubił” to głupie słowo, staroświecki eufemizm na określenie tego, co widziała w jego oczach i czego nie odważyła się nazwać. Emilie w końcu odnalazła romantyczność, ale nie taką z jej marzeń, od której trzepoce się serce i ściska brzuch, lecz gorzko-słodką miłość do niewiarygodnie przystojnego mężczyzny. W myślach pozwoliła sobie nazywać go po imieniu, czego ze względu na dobre maniere dotąd nie robiła. Mai. Jej przyjaciel.

— Pieniądze w banku są nasze, nie moje — szepnęła do siebie, przystając przed pensjonatem. — Wykorzystam je najlepiej, jak będę umiała. Ale jedno mogę ci przyrzec: nie wyjadę z miasta, dopóki nie będę miała wiadomości od ciebie. To nasz jedyny punkt kontaktowy. Niech Bóg ci błogosławi i zachowa cię w zdrowiu, Mai.

- Na schodach pensjonatu stała kobieta. ;
- Wchodzisz czy wychodzisz, panienko? Wyglądasz, jakbyś dostała obuchem w głowę.
- Nie. — Emilie szybko odzyskała panowanie nad sobą.
- Szukam pokoju. Pani jest właścicielką?
- Jasne, że ja. Ale nie przyjmuję takich jak ty.
- Przepraszam?
- Bez obrazy, panienko. Ale mam dość kłopotów z pijakami i awanturnikami, żebym jeszcze przyjmowała kobiety. Nie wiem, czemu w ogóle mnie o to pytasz.
- Przepraszam, ale potrzebuję mieszkania. Może mi pani wskaże odpowiednie miejsce.
- W tym mieście? — Kobieta wybuchnęła śmiechem. — Do tej pory mieszkająś pod kamieniem? Mogę od razu powiedzieć, panienko, że w tej części świata nie ma pensjonatu ani pokoju do wynajęcia, w którym dziewczyna taka jak ty byłaby bezpieczna w swoim łóżku. Mężczyźni tutaj rzadko miewają kobiety. Lepiej wracaj tam, skąd przyszedłaś.
- Emilie jednak spaliła już za sobą mosty. Nie mogła wrócić do pani Manningtree i prosić o swój dawny pokój.
- Musi być jakieś miejsce — powiedziała błagalnie. — Nie może mi pani polecić żadnego przyzwoitego adresu?
- Kobieta zmarszczyła się z namysłem.
- Możesz zapytać w hotelu Prince of Wales. Jest dla grubych ryb i tych, co wzbogacili się na złocie. Tam, kochana, byłabyś bezpieczna, choć to słono kosztuje.
- Emilie wzdrygnęła się na myśl o zamieszkaniu w hotelu.
- I poza tym naprawdę nic nie ma?
- Kobieta pokręciła głową.
- Posłuchaj mojej rady, kochana, trzymaj się z dala od pensjonatów. Wyglądasz na miłą dziewczynę. Idź do pani Mooney do Prince'a, a nuż zechce ci pomóc.

Pójście do pani Mooney nastęrczało kilku problemów, z których wcale nie najmniejszym był strach przed kosztami pobytu w hotelu. Emilie żałowała swej pochopności w rozmowie z panią Manningtree. I były też wpojone jej zasady. Ludzie z jej klasy nie bywali w hotelach, chyba że w podróży, kiedy nie było innego wyboru, a już zwłaszcza unikali podobnych lokali. Prince of Wales był obszernym piętrowym budynkiem, ale saloon dla

zabijaków drzwi wejściowe miał od głównej ulicy. Trzeba je minąć, żeby w ogóle wejść do hotelu.

Kiedy wiedziona desperacją przechodziła na drugą stronę ulicy ku drzwiom hotelu, Emilie niemal słyszała głos siostry, która protestowała, domagała się, by zawróciła, nim zepsuje sobie reputację, lecz nie mogła. Odwracając wzrok od saloonu, weszła po stopniach do czystego, wyłożonego dywanem holu.

Panował tu zaskakujący chłód, a kiedy jej oczy przyzwyczały się do mroku, pośpieszyła ku drzwiom z tabliczką „Biuro” i nieśmiało zapukała. Nie doczekała się odpowiedzi, co dało jej świetny pretekst, by wziąć nogi za pas, póki jeszcze mogła. Odwróciła się, lecz wtedy zobaczyła schodzącą po stopniach kobietę.

— Czym mogę służyć, panienko?

Była to pulchna kobieta w obcisłej prostej czarnej sukni z białym koronkowym kołnierzem. Twarz miała ogorzałą, spaloną słońcem i wiatrem jak praczka, pomyślała Emilie, ale brązowe włosy były starannie zebrane do tyłu w lśniące loki.

— Miałam nadzieję zobaczyć się z panią Mooney.

— To ja. — Była o głowę wyższa od Emilie i mówiła zdecydowanie, jakby nie miała czasu na głupstwa.

— Och! Pani Mooney, jestem panna Tissington...

— Boże na wysokościach! Guwernantka Violet Manningtree.

— Tak. Zastanawiałam się, czy ma pani wolny pokój. Chciałabym wynająć pokój.

— Na jak długo?

— Och! Jako stały gość.

— W takim razie nie mogę ci pomóc, panienko. Nie przyjmuję stałych gości.

Emilie już zaczęła się cofać do wyjścia. Czuła niemal ulgę.

— Przepraszam, madame. Proszę mi wybaczyć.

— Chwileczkę! Po co ten pośpiech? Myślałam, że mieszkaśz u nich.

— Tak, mieszkałam, ale pewna dama przyjeżdża z wizytą...

Pani Mooney roześmiała się.

— Och, jasne. Hrabina! Jakby Violet i Bert nie chwalili się tym każdemu, kto na nich wpadnie. A ciebie wypchnęli z domu, co?

— Nie. Potrzebny im pokój, więc zaproponowałam, że znajdę sobie inne mieszkanie.



— Więc jednak nie szukasz miejsca na stałe?

— No cóż, tak. Pomyślałam, że to będzie miła odmiana, jeśli zamieszkam gdzie indziej. Znajdę miejsce dla siebie, rozumie pani.

Emilie była zła, że musi to wszystko wyjaśniać, w dodatku bez powodu. Pragnęła, by ta kobieta pozwoliła jej odejść.

— I nadal będziesz uczyć dzieci?

— Oczywiście. To bardzo dobre dzieci.

— Miło to słyszeć. Ja też odpowiedziałam na wasze ogłoszenie, ale ten agent dał mi znać, że macie już posady. Tym Violet też się przechwalała — uśmiechnęła się szeroko. — Powaliła mnie na deski, można powiedzieć.

Emilie wzdrygnęła się przypominając sobie, że obie z Ruth odmówiły pracy w hotelu, tym hotelu, i u katolickiej rodziny — tej rodziny. Uff, na szczęście Julius Penn nie podał pani Mooney powodów.

— Przykro mi — mruknęła.

— Niepotrzebnie. Dla mnie świetnie się ułożyło. Wysłałam córkę do szkoły z internatem, niech zaopiekują się nią zakonnice. Nie powiem, żeby moja Marie się z tego cieszyła, ale tak jest najlepiej. — Z baru za ścianą dobiegły radosne okrzyki i pani Mooney poprowadziła Emilie ku drzwiom. — Muszę już iść, panienko. Sobota to pracowity dzień. Ale przyjdź do mnie jutro po południu, wtedy jest spokojnie, i zobaczymy, co będę mogła dla ciebie zrobić. — Emilie chciała zaprotestować, powiedzieć, by pani Mooney nie zadawała sobie trudu, lecz nie udało jej się wtrącić ani słowa. — O drugiej? Utniemy sobie pogawędkę i wszystko mi opowiesz.

Po tych słowach spiesznie odeszła zostawiając Emilie w drzwiach. Dlaczego ta kobieta nie potrafiła po prostu odmówić, zamiast komplikować życie błahymi pogaduszkami? Emilie westchnęła. Nie pozostało jej nic innego, jak wrócić do domu i powiedzieć Kate i Nellie, że jeszcze nie znalazła sobie pokoju. A hrabina przyjeżdża za tydzień. Na pewno jednak Emilie nikomu nie wspomni o wizycie w hotelu, gdzie nie przyjmują gości na stałe — nie robi z siebie kompletnej idiotki.

Przez cały okres pobytu w Maryborough Emilie nie interesowała się miastem, głównie z powodu dzikiego wyglądu jego mieszkańców, choć podczas spacerów z dziećmi nabrała nieco

odwagi. To było tak, jakby pełnienie funkcji ich opiekunki usprawiedliwiało jej obecność na ulicy, a równocześnie stanowiło gwarancję, że będzie zwracała na siebie mniejszą uwagę. W mieście było tak wielu mężczyzn i stosunkowo tak mało kobiet, że przy tych nielicznych okazjach, gdy wychodziła sama, miała wrażenie, iż wkracza na męskie terytorium.

Jednakże w ten niedzielny poranek Emilie świadomie podjęła decyzję o zmianie swojego nastawienia. Przestanie być taką myszką. Wiedziała, że to śmieszne kryć się za dziećmi, które znały miasto na wylot. Poza ich guwernantką nikogo jakoś nie obchodziło, gdzie się włóczy z kolegami, zresztą najwyraźniej nic im nie groziło. Uwielbiały chodzić na nabrzeże i oglądać statki, zupełnie nie zważały przy tym na tłumy biednie odzianych Aborygenów, wyspiarzy z Morza Południowego, cichych chińskich kulisów, nie wspominając już o białych mężczyznach, którzy nadzy do pasa i bosi harowali w upale. Pomimo protestów Emilie dzieci biegały po magazynach, wpadały do portowego składu celnego i chowały się za beczkami z rumem i whisky, aż ich tak zwana opiekunka rezygnowała z poszukiwań, szukała jakiegoś bezpiecznego miejsca i tam czekała, dopóki znudzone nie wyszły z kryjówek, gotowe ruszać dalej.

Naprzeciw domu państwa Manningtree po drugiej stronie Lennox Road znajdował się starannie pielęgnowany ogród botaniczny, który bardzo Emilie interesował. Często gawędziła z kuratorem, choć tylko mała Rosie chciała tam z nią chodzić. Dwoje starszych okropnie te spacery nudziły, i rzeczywiście, Emilie musiała to przyznać, zarośnięte tereny wokół domu były dla dzieci o wiele ciekawsze, zwłaszcza że mogły tam biegać jak szalone i bawić się w chowanego, niż starannie wytyczone ścieżki i młode drzewka w ogrodzie botanicznym, który założono na terenach uprzednio wykarczowanych pod tartaki.

Przystanąwszy w bramie, Emilie pomyślała, że znacznie przyjemniej byłoby odwiedzić cichy ogród, niż ruszać ku centrum, ale nie miała odwrotu. Czuła, że ze względu na Małą nie może na razie opuścić miasta, tyle przynajmniej jest mu winna. Gdyby wyjechała, zupełnie straciłaby z nim kontakt. Nie chodziło tylko o pieniądze, martwiła się o niego, o to, co się z nim stanie.

— Ha — rzekła do siebie, idąc ku Sussex Street, która prowadziła do tłocznej Wharf Street — jeśli masz tu mieszkać,

czas najwyższy, żebyś sama poznała miasto, zamiast płatać się za dziećmi.

Pierwszą rzeczą, którą zrobiła w tej nowej erze życia, było zdjęcie rękawiczek i wrzucenie ich do torby.

Emilie czuła, że przed spotkaniem z panią Mooney powinna nadal szukać pokoju, zamierzała więc metodycznie obejść ulice w nadziei, że coś gdzieś znajdzie.

W ponad godzinę później znalazła się na obrzeżach małego miasta, tylko o kilka przecznic od domu państwa Manningtree, i wciąż nic nie miała. Widziała w oknach dwa szyldy o wynajmie pokoiów, ale domy tak rozpaczliwie nędznie wyglądały, że nawet nie próbowała pukać do drzwi.

Zmęczona i rozgrzana zdjęła czepkę i dla ochłody przeczesła wilgotne włosy palcami, wcale nie dbając o to, że damy z jej klasy nie pokazują się publicznie bez kapelusza. Kiedy tak maszerowała drogą, wpadło jej do głowy, że naprawdę powinna przestać nosić te sztywne grube czepki i wyłożyć szylinga na słomkowy kapelusz, który widziała w oknie sklepowym. Swój zdobiony wstążkami kapelusik może zachować na lepsze czasy. Dlaczego nie? Mnóstwo kobiet tutaj je nosi.

Nie miała wyboru, musiała iść zobaczyć się z panią Mooney, a potem, wieczorem, zapytać chlebodawczyni, czy mogłaby zostać w jednym pokoju z dziećmi. Ta perspektywa tak ją przygnębiła, że zaczęła ponownie rozważać, czy mimo wszystko nie powinna opuścić Maryborough. Mogłaby pojechać do Nanango i odwiedzić Ruth albo wrócić do Brisbane i poszukać innej pracy. Tylko jak powiadomić pana Willoughby'ego o swym miejscu pobytu? Bardzo chciała znowu się z nim spotkać. Opowiedzieć mu o swoim dylemacie. On by ją zrozumiał.

Jak ktoś może w ogóle myśleć, że taki sympatyczny młody człowiek zdolny jest do morderstwa? Wszystko to było zbyt straszne, by się nad tym zastanawiać.

Hotel z ulicy wydawał się spokojny, kiedy wszakże Emilie weszła do holu, spotkała grupę ludzi opuszczających jadalnię, cofnęła się więc, by zrobić im przejście. Niektórzy z nich, znajomi państwa Manningtree, poznali ją i po przyjacielsku życzyli dobrego popołudnia. Emilie odpowiadała uprzejmie, choć serce jej zamierało na myśl, że madame niedługo usłyszy o wizycie swojej guwernantki w hotelu Prince of Wales. A potem

uświadomiła sobie, że jej chlebodawcy, choć oczywiście ich to zaciekawi, sami tego popijając, nie dostrzegą nic niestosownego w jej obecności tutaj.

Nagle Emilie zaczęła chichotać, po raz pierwszy od wielu, wielu miesięcy coś ją tak rozbawiło... Nikogo w tym zwariowanym świecie nie obchodzi, czy przekroczyła próg hotelu... chociaż jej siostrę bardzo by to obeszło! Ruth byłaby zbulwersowana. Skoro o tym mowa, mnóstwo rzeczy zdarzających się w świecie Emilie ogromnie by ją zszokowało. Więcej nawet, wprawiło w furję.

— Tu jesteś! — Pani Mooney wołała do niej z drugiego końca holu. — W dodatku punktualnie. Lubię ludzi punktualnych, ale w tym mieście nikt tego słowa nie zna. Jadłaś lunch?

— Tak, dziękuję.

— Filiżankę herbaty?

— Dziękuję, ale nie.

— A co u Violet? Rozłożyła już czerwony dywan?

Emilie pokręciła głową nie wiedząc, czy kobieta żartuje czy mówi poważnie.

— Bo kupiła taki, wiesz. To szczerza prawda, jak tu stoję. Prawdziwy czerwony dywan na powitanie hrabiny. Co o tym myślisz?

— Naprawdę nie wiem, pani Mooney.

— A, dajże spokój! Młoda dama jak ty doskonale wie, że to rzecz niewłaściwa, ale jesteś zbyt dobrze wychowana, żeby to powiedzieć. No, chodź ze mną. Martwiłam się o ciebie. Ludzie powiadają, że wrzuciła cię do pokoju dzieci, żeby zrobić miejsce dla hrabiny, i dlatego szukasz noclegu.

Drepcząc za panią Mooney koło klatki schodowej w kierunku wąskiego korytarza, Emilie usiłowała złagodzić tak ostre postawienie sprawy.

— Niezupełnie... — zaczęła, ale pani Mooney przystanęła i spojrzała jej w twarz.

— Nie ma potrzeby szukać dla niej usprawiedliwień. Wszyscy o wszystkich tutaj wiedzą i każdy zna Violet. To samolubna suka. Nie możesz pozwolić, żeby jej to uszło na sucho.

Emilie zeszywniała.

— Jestem zatrudniona u pani Manningtree. To jej dom. Moim obowiązkiem jest dostosować się do jej życzeń albo tak sprawy ułożyć, by je zaaprobowała.

Pani Mooney wybuchnęła gromkim śmiechem.

— Ależ z ciebie słodkie dziecko! Moja Marie straciła wspa-  
niałą nauczycielkę.

Ciągnąc za sobą Emilie, wpadła do wielkiej i hałaśliwej  
kuchni, w której pracowało kilka kobiet.

— To panna Tissington! — zawołała, przekrzykując szcęk  
garnków i głośne rozmowy. — Jest prawdziwą angielską guwer-  
nantką, więc uważajcie na swoje maniery, jeśli któregoś dnia  
zdecyduje się zaszczycić swoją obecnością naszą jadalnię. Teraz  
wychodzę i chcę, żebyście wszystkie wróciły na podwieczorek  
o czwartej, bo będziemy mieć sporo gości. Czwarta, powtarzam,  
nie wpół do piątej, i dzisiaj, nie jutro. A teraz do roboty,  
dziewczęta, nakrywajcie stoły i nie zapomnijcie o tacach na  
ciasto.

Wszystkie z uśmiechem pokiwały głowami, najwyraźniej  
wcale nie speszone groźnym tonem, a pani Mooney ze swym  
gościem wyszła tylnymi drzwiami na szeroką werandę zagraconą  
skrzyniami, zapasowymi krzesłami, pustymi pudłami po masle  
i beczkami z pocącymi się jarzynami.

— Chcę ci coś pokazać — powiedziała pani Mooney, gdy  
zeszły po stopniach do dwukołki, przy której z kucykiem czekał  
czarny mężczyzna.

— Chce pani, żebym gdzieś panią zawiózł? — zapytał.

— Nie, Toby, dziękuję. Miejsca jest tylko dla dwóch osób,  
a ja zabieram panienkę.

Zanim się zorientowała, Emilie siedziała obok pani Mooney,  
a dwukołka z hotelowego dziedzińca wyjechała na boczną drogę,  
stamtąd zaś skręciła na Kent Street. Zostawiły za sobą główne  
ulice, jadąc wąską ścieżką, która prowadziła wzdłuż wijącej się  
rzeki, obok pól żółtych od kukurydzy. Przez cały ten czas pani  
Mooney opowiadała o swoim mężu nieboszczyku i jego pasji  
— uwielbiał łowić tutaj ryby.

Za zakrętem ich oczom ukazał się piękny piętrowy dom, swą  
wspaniałością daleko przewyższający wszystkie inne budynki,  
jakie Emilie widziała w mieście. Był nawet pomalowany, co  
zauważyła z ironicznym uśmiechem.

— Kto tutaj mieszka? — spytała zaciekawiona.

— Paul Dressler, członek rady miejskiej. Przyjechał tutaj  
biedny jak mysz kościelna z grupą Niemców, których sprowadził  
Pop Hamburger, żeby zaludnić rejon. Śmieszna historia. Spodzie-

wali się całego statku emigrantów ze starych krajów i w mieście zapanowało wielkie podniecenie, farmerzy, plantatorzy trzciny cukrowej, drwale, hodowcy bydła, wszyscy razem z mieszkańcami miasta i członkami rady przyszl ich powitać, na nabrzeżu stała nawet orkiestra. To była wielka okazja. W końcu spodziewali się osiemdziesięciu Brytyjczyków i dziesięciu Niemców z rodzinami, o ile ktoś je miał. No i statek przybił do brzegu, orkiestra grała, wszyscy machali jak w Dzień Świętego Patryka w Dublinie. Po trapie zeszło tych dziesięciu Niemców, wszyscy uśmiechnięci od ucha do ucha, a żaden — jakżeby inaczej? — nie znał słowa po angielsku. Ale ludzie patrzyli ponad ich głowami — ciągnęła pani Mooney. — No wiesz, czekali na resztę. Okazało się, że reszta, wyczerpana po długim rejsie... obie wiemy, jak to jest... no, w każdym razie tylko spojrzeli na Brisbane i postanowili, że dalej nie jadą. Opuścili statek, a Maryborough miało pecha. — Wzruszyła ramionami. — Choć trzeba było widzieć minę Hamburgera! Wyglądał jak kot, który połknął kanarka! Ścisnął ręce swoim emigrantom i śmiał się do rozpuku, bo starzy dobrzy Niemcy dotrzymali słowa. — Pani Mooney westchnęła. — Dressler przez jakiś czas pracował jako drwał, tutaj i na Wyspie Frasera... spławiali drewno w górę rzeki do tartaków. Twój szef, Bert Manningtree, powiada, że najlepsze drewno jest stamtąd, eukaliptusy i kauri. Ale Dressler był z zawodu cieślą okrętowym. Zaczął od małego doku remontowego przy nabrzeżach, otworzył też sklep, a potem zajął się budową statków. Nigdy nie oglądał się za siebie. Wciąż zarabia krocie... No, jesteśmy na miejscu.

Posiadłość Dresslera na tyłach domu sięgała do rzeki, dotarli więc do końca ścieżki. Przed nimi rozciągały się gęste chaszczki.

— Gdzie? — zapytała Emilie, gdy wysiadły z dwukółki, a pani Mooney przywiązała kucyka.

— Tam, widzisz bramę? Do Dresslera należy cały ten teren z wyjątkiem ćwierci akra na samym brzegu rzeki. To było ulubione miejsce do wędkowania mojego Paddy'ego. Naprawdę się zdenerwował, kiedy Dressler kupił całe czterdzieści akrów, ale Paul nie jest złym człowiekiem. Zagrał z Paddym o ten kawałek i Paddy wygrał.

Rozwarła bramę. Razem z Emilie poszły zarośniętą ścieżką do tylnych drzwi małego nie malowanego bungalowu.

— Paddy nazywał to swoją wędkarską chatą — roześmiała się pani Mooney. — Stoi tyłem do przodu, no nie?

— Takie sprawia wrażenie — przyznała Emilie.

— Bo Paddy chciał, żeby weranda miała widok na rzekę.

— Pani Mooney przekręciła klucz w zamku i znalazły się w małym dwupokojowym domku, choć Emilie ledwo obrzuciła wewnątrz spojrzeniem. Jej wzrok przyciągnęły ogromne okna, przez które widać było namorzyny i dalej, za nimi, rzekę.

— Och! — westchnęła zaskoczona. — Co za piękny widok.

— Najlepszy w tej okolicy. Sam dom też nie jest taki zły. Już tu nie przychodzę, za mało mam czasu, ale przysyłam dziewczyny, żeby posprzątały.

Emilie rozejrzała się dokoła. Nie pastowaną podłogę zmięczyły wielkie ładne dywany.

— Są z Indii — uśmiechnęła się pani Mooney smutno.

— Trzeba pamiętać, że mój Paddy, niech Bóg ma w opiece jego duszę, sam urządził to miejsce...

Emilie dostrzegła w jej oczach ból, gdy mówiła o zmarłym mężu, i poczuła zazdrość, że ta kobieta doświadczyła miłości, zwłaszcza że sama najwyraźniej skazana była na życie starej panny, zajmującej tylny pokój w domu chlebobawców i pozbawionej szans na jakiegokolwiek kontakty towarzyskie.

— Wstawił niezbędne meble — ciągnęła pani Mooney — stół i krzesła, wygodną sofę i porządne łóżko. Ale nie zgodził się na zasłony. Słyszałaś kiedyś takie rzeczy? Twierdził, że zepsułyby widok.

— To prawda — odparła Emilie, na co jej rozmówczyni aż pojaśniała.

— Tak myślisz? — Otworzyła dwoje drzwi, przez które obie swobodnie wyszły na werandę, gdzie kilka zniszczonych płócien-nych foteli leniwie wygrzewało się w słońcu. — Ślicznie tu, prawda?

— Tak, pani Mooney. I spokojnie.

Nierówna ścieżka prowadziła na błotnisty brzeg rzeki, gdzie wykarczowano namorzyny, by uzyskać dostęp do wody i niewielkiego pomostu.

Wędkarska chata Paddy'ego była uroczym miejscem, zwłaszcza teraz, gdy rzeka lśniła rudawo od popołudniowego słońca, a tęczowo upierzone papugi krzątały się na pobliskich drzewach, i Emilie zaczęła zastanawiać się, jak daleko jest od miasta. Od domu państwa Manningtree przy Lennox Road. Pogubiła się w tych krętych drogach.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Kuchnia jest z boku — mówiła pani Mooney. — Koło zbiornika z wodą.

Pograżona w myślach Emilie przyglądała się stromemu zejściu nad wodę.

— Zastanawiałam się, czy nie wynając domku, dopóki go nie sprzedam — dodała Irlandka.

— I dlatego mnie pani tutaj przywiozła?

— Chciałam, żebyś się tu rozejrzała. Przemyśl to. Bez żadnych zobowiązań, rozumiesz.

— Gdzie jesteście, pani Mooney?

— Niedaleko od miasta. Lubisz chodzić?

— Tutaj chodzę z dziećmi tylko do miasta i z powrotem, ale w domu było inaczej. W niedziele wyprawialiśmy się na spacer, w sumie dziewięć mil przez pola i z powrotem przez las...

— Boże wielki, dziewięć mil tutaj zaprowadziłoby cię w busz i nigdy więcej byśmy cię nie zobaczyli. Od tylnych drzwi, tych, co to powinny być frontowe, możesz przejść skrótem przez posiadłość Dresslera, minąć dom po drugiej stronie ścieżki i przez park wyjść na Lennox Road.

— I to wszystko?

— No wiesz, przywiozłam cię z Kent Street wzdłuż rzeki, żebyś zorientowała się w położeniu domku, ale chyba tylko poplątałam ci w głowie.

— To prawda — roześmiała się Emilie. — Myślałam, że jestem wiele mil od miasta.

— W takim razie z powrotem pojedziemy tym skrótem.

Pani Mooney zamknęła drzwi na klucz i rozejrzała się tęsknie, jakby po raz ostatni patrzyła na to miejsce. Emilie zrobiło się jej żal.

— Czy naprawdę jest pani zbyt zajęta, żeby tu przychodzić, pani Mooney, czy raczej z domem wiąże się za wiele smutnych wspomnień?

Irlandka pokiwała głową.

— I jedno, i drugie. Przychodziliśmy tu, Paddy i ja, żeby uciec od zamętu związanego z prowadzeniem pubu. Kiedy masz pub, twoje życie nie należy do ciebie, bo niezależnie od tego, jak twoim zdaniem wytworny jest to lokal, przez całą dobę ciągle masz coś do roboty. Paddy łowił ryby, a ja przychodziłam później. Wieczorami siedzieliśmy na werandzie i byliśmy tylko we dwoje, Paddy i ja, i nasze myśli i wspomnienia, i roz-



mawialiśmy o dawnych czasach i ludziach tam, w ojczyźnie... — Wzdychając wróciła do terażniejszości. — Teraz to wszystko minęło. Jestem zajęta, pracując za dwóch, żeby utrzymać hotel na odpowiednim poziomie, więc czas najwyższy pozbyć się tej chatki. Pomyślałam o tobie, wpadło mi do głowy, że może chciałabyś obejrzeć to miejsce.

— A czynsz ile wynosi?

— To zależy od ciebie, panno Tissington. To był tylko taki pomysł. Wiem, że przywykłaś do wytworniej szych warunków...

Emilie ujęła starszą kobietę pod ramię, gdy szły ku bramie.

— Bardzo bym chciała mieć własne mieszkanie. Strasznie mi trudno żyć pod cudzym dachem. Im więcej o tym myślę, pani Mooney, tym silniej uświadamiam sobie, że nie jestem stworzona na guwernantkę mieszkającą z chlebodawcami, choć moja siostra pewnie by się ze mną nie zgodziła. Ona doskonale sobie radzi, ja natomiast czuję się jak więzień. — Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że otwiera serce przed kobietą, której właściwie nie zna. Doszły już do bramy, kucyk i dwukółka oddalone były o kilka kroków, lecz pani Mooney nie wykonała żadnego ruchu. Stała w milczeniu i słuchała. — I to nie jest opinia o pani Manningtree — wyjaśniła Emilie. — Kiedy po śmierci mamy do domu wprowadziła się macocha, czułam to samo. Jakbym nigdzie nie miała własnego miejsca. Nie wydaje mi się, bym miała powody do narzekań...

— Nie chodzi o narzekania — przerwała pani Mooney stanowczo. — To zupełnie inna sprawa. Twój problem polega na tym, że straciłaś panowanie nad własnym życiem. Widzę to w twoich oczach. Jesteś inteligentną dziewczyną, która kuli się w sobie. Przeprasza, że żyje. Masz za sobą ciężkie czasy, co?

Emilie pokiwała głową wspominając nędzę, której doświadczyły w Londynie. Wilgotny pokój, zimno i głód, i robienie dobrej miny do złej gry.

— Ha, mogę tylko poradzić, żebyś odważniej odnosiła się do świata. Wiem, że inaczej cię wychowano niż mnie, z problemami musiałaś radzić sobie później — my cierpieliśmy jako dzieci, wykształcenia żadnego nie mamy — ale skutek jest ten sam. Musisz sama o siebie zadbać. Ci z twardej szkoły nazywają to dojrzewaniem. — Pani Mooney pchnęła bramę i obejrzała się za siebie. — Teraz, skoro widziałas chatkę, pytanie brzmi, czy nie chciałabyś jej wynajmować, dopóki nie zdecyduję się na sprze-

daż. Bez zobowiązań. Nie będę urażona, jeśli odmówisz albo boisz się sama mieszkać. Choć nie ma się czego bać, bo Dresslerowie są niedaleko...

Pani Mooney nie zdawała sobie sprawy, że jedyną rzeczą powstrzymującą Emilię od skorzystania z cudownej okazji posiadania własnego kąta była wiecznie obecna w jej myślach troska o reputację. Obawiała się, że dziewczyna mieszkająca samotnie wywoła plotki, choć wzmianka o tym wiele ją kosztowała, bo równocześnie bała się obrazić panią Mooney.

— Dobra reputacja? — huknęła Irlandka. — Nie zaproponowałabym ci tego domu, moja droga, gdybym myślała, że zepsuję ci opinię. Tutaj bierzesz, co możesz. Ludzie to rozumieją. Przyzwoitość ma swoje miejsce, ale najważniejsze jest przetrwanie. Mało wiesz o życiu w buszu, prawda?

— Tak — przyznała Emilie słabo.

— Dobrze by ci zrobiło, gdybyś zobaczyła, jak żyją tam kobiety, a to wcale niedaleko stąd. Na razie jednak sama ustalasz własne zasady...

— Więc pani zdaniem to byłoby w porządku?

— Tak, ale decyzję musisz podjąć sama. Jeśli ci to nie odpowiada...

Emilie głęboko odetchnęła.

— Byłabym szczęśliwa, gdybym tu zamieszkała, pani Mooney.

— Ha, w takim razie nie zmarnowałyśmy popołudnia, co? Teraz wrócimy do hotelu i napijemy się herbaty.

Emilie prawie biegiem pokonała podjazd, pragnąc jak najszybciej podzielić się z Kate nowinami, nie zdążyła jednak przekroczyć progu kuchni, gdy kucharka zadała jej pytanie:

— Była panienka w hotelu Prince of Wales?

— Tak. A skąd wiesz?

— Pani dowiedziała się od swoich znajomych. Aż się cała trzęsie. Była tutaj i pytała, po co panienka tam poszła, ale powiedziałam, że nie wiem. Ona myśli, że panienka szuka pracy.

— Jakiej pracy? Córka pani Mooney jest w szkole z internatem.

— Ona o tym wie, ale myśli, że skoro zabrała panienkę sprzed nosa Molly Mooney, to Molly może chce się odegrać

i namówić panienkę, żeby przysłała do niej pracować, i wtedy sprowadzi Marie do domu...

— Co za bzdury. Szukałam tam pokoju.

— Ale to by kosztowało kawał grosza!

— Wiem, nie orientowałam się w cenach hotelowych.

Kate ze śmiechem ujęła się pod boki.

— W każdym razie pani cała się trzęsie. Nie chce, żebyś poszła do Molly. Więc przed chwilą tu zjrzała i zostawiła dla panienki kopertę. — Kucharka serdecznie klepnęła Emilie po plecach. — Wygląda na to, że w końcu dostałaś pieniądze!

Guwernantka wolałaby otworzyć kopertę w samotności, ale Kate, wciąż piejąc z zachwytu, czekała niecierpliwie.

Emilie w kopercie znalazła jedenaście funtów i piętnaście szylingów. Uznała, że to część rocznego wynagrodzenia minus tamte pięć szylingów zaliczki, bo chlebobawczyni nie zadała sobie trudu, żeby dołączyć notkę z wyjaśnieniami.

— Boże drogi — uśmiechnęła się. — Jak się zaczyna, to na całego.

— Co panienka ma na myśli?

Emilie szybko odzyskała panowanie nad sobą, zła na siebie, że mało brakowało, a wspomniałaby o pieniądzach Willoughby'ego. Pieniądzech Mała.

— Ano to, że znalazłam kwaterę. Dom. O wszystkim opowiem, ale najpierw muszę się przebrać do podwieczorku.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ruth czuła się o wiele lepiej, podniesiona na duchu towarzysz-  
twem starszej pani Stanfield, która okazała się osobą uroczą  
i kulturalną. Wrócił jej apetyt, spacerowały przyjemność  
i była w doskonałym nastroju. Pora zająć się pracą, dziewczynki  
przez wszystkie te tygodnie miały wakacje i trzeba nadrobić sporo  
zaległości.

Tak więc Ruth poszła do pani Stanfield, do której wciąż nie  
potrafiła zwracać się po imieniu, by poinformować ją, że jest  
gotowa do podjęcia lekcji.

— Och, panno Tissington, tak się cieszę, że czuje się pani  
dobrze. Bardzo się o panią martwiliśmy, te gorączki bywają  
uporczywe. Ale pani doskonale poradziła sobie z chorobą.

— Jestem pani wdzięczna i mogę tylko przeprosić, że by-  
łam takim ciężarem, aczkolwiek okres wymuszonego wypo-  
czynku dał mi czas na przemyślenie naszego rozkładu zajęć.  
Mam mnóstwo nowych pomysłów i nie mogę się doczekać,  
kiedy wrócę do klasy.

— A tak, chciałam z panią o tym porozmawiać.

— To dobrze. Uważam, że dziewczynki skorzystają na lek-  
cjach greki i łaciny, co pomoże im w opanowaniu ortografii  
i zrozumieniu znaczenia słów. Mogłabym uczyć je sama, ale  
uważam, że lepiej korzystać z podręczników. To cienkie książ-  
eczki i byłabym wdzięczna, gdyby je pani zamówiła. Dzięki temu  
dziewczynki ciągle mogłyby do nich zaglądać. Słowo pisane,  
rozumie pani... ma większy ciężar niż moje...

— Wybacz, Ruth, poczekaj moment. Powiedziałam, że chcę  
porozmawiać z tobą o wykształceniu moich córek. Zwlekłam

z tym, aż poczujesz się na tyle dobrze, że będziemy mogły sprawę przedyskutować.

— Naturalnie. Co pani miała na myśli?

Pani Stanfield wyraźnie się zdenerwowała.

— Chodźmy do salonu, Ruth, nie możemy stać i rozmawiać o tym w holu.

Guwernantka nie kryła zadowolenia. Rzeczywiście trzeba porozmawiać o wykształceniu Jane i Jessie, tę kwestię należało omówić już dawno. Pani Stanfield musi się dowiedzieć, że jak na swój wiek dziewczynki są poważnie opóźnione. Teraz muszą przysiąść łańdów i zabrać się do pracy. Żadnych wymówek.

Kiedy usiadły, pani Stanfield głęboko odetchnęła.

— Ruth, chcę ci powiedzieć, że zrobiłaś na nas wielkie wrażenie. Matka Jacka mówi, że mieliśmy doprawdy wyjątkowe szczęście, iż osoba z twoimi kwalifikacjami zgodziła się do nas przyjechać...

Ruth pojaśniała.

— Dziękuję.

— Ale nic z tego nie wyszło.

— Słucham? — Ruth zeszywniała.

— Żeby długo się nie rozwodzić, Ruth, powiem, że postanowiliśmy wysłać dziewczynki do szkoły z internatem. Próbowałaś, dokładałaś wszelkich starań, żeby nauczyć je manier, Bóg wie, jak tego potrzebują, ale one z tobą nie współpracowały. W szkole z internatem...

— Czy mam rozumieć, pani Stanfield, że moje usługi dłużej nie są w tym domu potrzebne? — przerwała jej Ruth.

— Ruth, dziewczynom potrzeba dyscypliny. Byliśmy zażenowani, kiedy matka Jacka nazwała je bachorami...

— To nie moja wina.

— Oczywiście, że nie. Ale czy nie widzisz...

— Życzy sobie pani, żebym kiedy wyjechała?

— Och, Ruth, nie ma powodów do pośpiechu. Damy ci doskonałe referencje oraz premię...

— Nie potrzebuję dobroczynności.

— Nie uważamy tego za dobroczynność, Ruth, tylko za wyraz uznania dla twego zaangażowania w pracę. Pewnego dnia Jessie i Jane będą żałować, że straciły taką nauczycielkę.

— Szczerze w to wątpię, pani Stanfield. A teraz wybacz pani, ale pójdę się spakować. Rano będę gotowa do wyjazdu.

— Ależ możesz tu zostać, dopóki nie znajdziesz posady, serdecznie zapraszamy.

— Powiedziałam już, że nie przyjmuję dobroczynności. Przy najbliższej okazji wracam do Brisbane. A teraz... wybacz pani...

Z całą godnością, na jaką było ją stać, bo w głowie jej się kręciło i znowu czuła się słabo, Ruth pobiegła do swojego pokoju. Została zwolniona! Nie przyznałaby, nawet przed sobą, że Stanfieldowie podjęli słuszną decyzję, że nie była odpowiednią nauczycielką dla ich głupich córek. Obwiniała rodziców, że nie udzielili jej wsparcia potrzebnego do zapanowania nad tą dwójką rozwdrzonych panna. Zmuszenia ich do pracy. Upokorzenia związane z nędzą w Londynie zbladły w porównaniu z tym afrontem. Jak śmieli ci kolonialni parweniusze, te wiejskie buraki ją zwolnić? I wysłać jej uczennice do jakiejś niedowarzonej szkoły... nawet nie zapytała do której... prowadzonej przez kobiety, które same miały poważne braki w wykształceniu.

W ciągu dwóch dni guwernantka opuściła Lindsay Downs, nie oglądając się za siebie i ignorując zaproszenia, by została jeszcze na jakiś czas. Jechała do Brisbane, bo żadne inne miejsce nie przychodziło jej do głowy. Jakże zazdrościła Emilie jej bezpiecznej posady u rodziny Manningtree w miasteczku na północy i uczenia trójki cudownych dzieci. Nie może jednak martwić siostry i zamierzała wytrwać w tej decyzji. Znajdzie inną posadę. Przynajmniej teraz miała też referencje od miejscowej rodziny. To już było coś.

Pani Mediów zdziwiła się, widząc starszą pannę Tissington na progu swego pensjonatu, ale nie usłyszała żadnych wyjaśnień. Młoda dama, zamknięta w sobie jak przedtem, wynajęła pojedynczy pokój na tyłach i wyraźnie dała do zrozumienia, że wolałaby jadać samotnie. Nie życzyła sobie dzielić stolika z innymi gośćmi.

Komendant Jasper Kemp i jego żona wyprowadzili się z Belview, choć Ruth nawet tego nie zauważyła. Pani Kemp była zachwycona nowym domem w Wickham Terrace, „rezydencją”, jak go nazywała, i cały czas miała zajęty budowaniem statusu rodziny w towarzyskich kręgach miasta.

Jasper natomiast zastanawiał się, czy nie ugryzł więcej, niż potrafi przełknąć. Chociaż politycy używali wielkich słów, mówiąc o prawie i porządku jako kwestiach priorytetowych w nowym stanie Queensland, by zrobić wrażenie na wyborcach i uci-

szyc hałas czyniony przez gazety, to dżentelmeni ze skarbcza niechętnie przyznawali tak potrzebne fundusze siłom policyjnym. Już po krótkim czasie spędzonym za biurkiem Jasper pojął ogrom swego zadania i uświadomił sobie, że premier mógłby cały budżet stanu poświęcić jego resortowi, a on ledwo by to zauważył.

Jasper wcześniej nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów Queenslandu. Jego stolicę Brisbane tysiąc mil dzieliło od małej osady Somerset na przylądku York, przy czym w większości były to obszary niezbadane. Nic dziwnego, że zbiry z buszu chodząły wolno. Choć dla Jaspera i tak stanowili oni problem mniejszej wagi.

— Do diabła, jak mam organizować siły policyjne, skoro miasta opanowane są przez poszukiwaczy złota i emigrantów? Nie da się oszacować dokładnej liczby stałej ludności w tych miejscowościach.

Daniel Bowles, sekretarz prokuratora generalnego, podzielał jego zdanie.

— Doskonale pana rozumiem, sir. Mojego ministra hodowcy bydła z zachodu i północy zasypują prośbami o przysłanie oddziałów wojska, które by ich broniły przed atakami Aborygenów, i to w czasie, gdy chcemy wycofać wojska i zastąpić je policjantami.

— Bronić ich? — mruknął Kemp. — Z tego, co czytałem, toczy się tam prawdziwa wojna. Żadna ze stron nie ma litości. Dlaczego nie możemy zwołać narady z czarnymi? Usiąść i zawrzeć zawieszenia broni?

Daniel niespokojnie poruszył się na siedzeniu. Nie po to Lilley go tu przysłał. Miał do przekazania ważną wiadomość. Daniel był pragmatykiem. Jego zdaniem kwestie, na które narzekał Kemp, z czasem same się rozwiążą. Jeśli ludzie chcą wyjeżdżać na rubieżę i dać się obrabować albo zabić, to sami sobie są winni. Nie powinni płaczliwie domagać się pomocy od rządu.

— Niech pan zapyta o to swojego ministra — mówił Kemp. — Jeśli rząd planuje odsunięcie wojskowych od obowiązków cywilnych, to dlaczego związanych z tym funduszy nie można przekazać do budżetu policji?

Daniel skrzywił się.

— Nie rozumie pan, panie komendancie. Rządu po prostu nie stać na finansowanie obecności wojsk na tych terenach. W budżet-

cie przewidziano fundusze wyłącznie na typowe oddziały wojskowe oraz oczywiście na naszą marynarkę.

— Na co? — wybuchnął Kemp.

— Marynarkę, sir. Mamy potężne wybrzeże, które trzeba chronić. Premier już zamówił dwa okręty, a w przyszłości będzie ich więcej. To powód do dumy, nie sądzi pan?

— DUBY smalone! A kto nas niby zaatakuje, na litość boską? Marsjanie?

— My w parlamencie patrzymy na tę sprawę w sensie globalnym.

— Rozumiem. Tymczasem nie ma funduszy na walkę z przestępczością w naszych miastach. Liczba przestępstw w samym Brisbane jest alarmująca.

— Jedynie na biedniejszych przedmieściach, panie Kemp. Gazety grubo przesadzają. Jeśli można, przejdę do kwestii, którą pan Lilley uważa za niezwykle ważną.

— Kwestię? Sądziłbym, że z pamięci może wyrecytować cały ich tuzin, i to bez konieczności drapania się w głowę.

— Tak, naturalnie. — Dla Daniela ten człowiek był sierżantem, który dostał za wielki dla siebie awans, nie takiego człowieka powinien był Lilley mianować. W Brisbane sporo było dżentelmenów, którzy pełniliby tę funkcję, nie stwarzając niepotrzebnych trudności. Kemp po prostu nie rozumiał sytuacji politycznej. Aby utrzymać się przy władzy, rząd musiał zadowolić właściwych ludzi, a to oznaczało ludzi majątnych, którzy domagali się lepszych urządzeń portowych, lepszych i bezpieczniejszych dróg, lepszych szpitali i wszelkich niezbędnych rzeczy, dzięki którym małe miasteczka zmieniały się w wielkie miasta. I tak, statusu stanu morskiego. Daniel całą duszą popierał pomysł, by Queensland miał własną marynarkę na wzór brytyjski. W przyszłości widział nawet siebie w funkcji ministra marynarki.

Usunął z pamięci zniecierpliwione wypowiedzi Kempa, przygotowując dla Lilleya własną wersję, która zirytuje ministra i nie wpłynie na budżet. Daniel często myślał, jak niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z władzy, którą może sprawować urzędnik państwowy bez konieczności podnoszenia głosu.

Skargi i propozycje Kempa ciągnęły się w nieskończoność.

— Jeśli rząd rozwiązuje oddziały wojskowe i odbiera żołnierzom pracę, kiedy bezrobocie i tak jest sporym problemem, to dlaczego nie może przenieść ich do sił policyjnych? Ci ludzie



rozumieją dyscyplinę, mają za sobą szkolenia. Stanowiliby dla mnie wielką pomoc.

— Boże mój, brytyjscy wojskowi cieszą się ogromnym uznaniem. Większość z nich wraca do domu lub wyjeżdża do Indii, na pewno nie zgodziliby się na...

— Nie pytałem o pańską opinię, panie Bowles. Proszę, by pański minister zastanowił się nad tą propozycją. Mogą wśród nich być tacy, także oficerowie, którzy chętnie skorzystaliby z okazji pozostania w tym kraju.

Daniel uśmiechnął się do siebie: kolejna prośba, która wyląduje w archiwach.

— Jak pan sobie życzy, panie komendancie. A teraz przejdźmy do sedna. Mój minister — i muszę dodać, że wielu jego zwolenników — jest oburzony morderstwami i rabunkiem złota, do którego doszło w okolicach Maryborough. Jak pan wie, przestępcy nie skorzystali aż tak bardzo na kradzieży, w każdym razie jeśli porównać to ze złotem zrabowanym z większych pól złotoonośnych niż Gympie. Teraz mówi się, że złoża w Charters Towers są potężne. Ba, pojawiły się oznaki, że złoża te odsuną w cień kopalnie w Ballaracie. A nawet Afrykę Południową. Zarejestrowano już syndykaty złożone z najpotężniejszych obywateli stanu. Dżentelmeni ci muszą mieć pewność, że transporty złota z Charters Towers będą bezpieczne.

— Rozumiem — powiedział Kemp z gniewem.

— Tak więc minister życzy sobie, by załatwiono sprawę tego rabunku.

— Nie morderstw, tylko rabunku?

— No cóż, morderstw też. Oczywiście.

— Znam szczegóły tego napadu. Prowadzący śledztwo sierżant, nazywa się Pollock, o ile mogę stwierdzić, jest zdolnym policjantem. — Kemp zmarszczył brwi. — Jednym z garstki pozostających do mojej dyspozycji do czasu, gdy będę mógł wyszkolić następnych. Kiedy dostanę na to fundusze.

— Może i zdolny, ale mojego ministra wciąż niepokoi, że ani o krok nie zbliżył się do rozwiązania sprawy tej potwornej zbrodni. Więcej, pozwolił zbiec jednemu ze złoczyńców, o którym od tej pory słuch zaginął, podobnie jak o jego współniku i zrabowanym złocie. Wszystko to stało się powodem do zakłopotania dla rządu oraz przedmiotem wielkiej troski wspomnianych uprzednio syndykatów. Potrzebujemy inwestorów, nie

tylko miejscowych, zagranicznych także, a nikt nie będzie tu inwestował, jeśli odniesie wrażenie, że stanem rządzą bandyci. Że doszło do sytuacji, w której nie możemy zagwarantować, że złoto bezpiecznie dotrze do cywilizacji.

— Skończył pan, panie Bowles?

— Próbowałem tylko wyjaśnić panu sytuację, sir.

— Rozumiem, ale nie potrzeba mi pańskich objaśnień. Doskonale orientuję się w sytuacji, o której pan mówi, oraz zdaję sobie sprawę z wyolbrzymionych konsekwencji. Z mojego doświadczenia nabytego na południowych polach złotonośnych wynika, że inwestorzy nie mogą się doczekać, żeby ulokować swoje pieniądze w tutejszych kopalniach złota. Zainwestowaliby w dnie morza, gdyby złoto tam było, i wcale by się nie zastanawiali, jak bezpiecznie je stamtąd przetransportować. Z tego też powodu złoto zostało sprzedane bankom już na samych polach. Niech pan nie uczy ojca dzieci robić, panie Bowles. Jedynym przegranym jest rząd. A ja pracuję dla tego rządu i moim obowiązkiem jest położyć kres napadom. Podejmę wszelkie starania, by tak się stało.

Daniel siedział nieporuszony; nic, co powiedział ten policjant, nie mogło wpłynąć na człowieka, który pracował w samym sercu władzy.

— Wcale w to nie wątpię, panie komendancie. Jednakże tych zbirów należy pojmać i surowo ukarać. Dla przykładu. By pokazać, że rząd bardzo poważnie traktuje program zwalczania przestępczości, a co lepiej mogłoby o tym zaświadczyć niż ten incydent? Spotkał się z wielkim zainteresowaniem prasy.

— Dziękuję, panie Bowles. — Daniel pomyślał, że Kemp odprawia go dość bezceremonialnie, chowając nos w aktach. — Proszę przekazać ministrowi, że doceniam jego zainteresowanie.

— Naturalnie, że przekażę, panie komendancie. Pan Lilley będzie zadowolony, ponieważ gabinet podjął decyzję, iż skutecznym krokiem będzie poinformowanie prasy, że osobiście przejeżdża pan nadzór nad śledztwem.

Kemp pokiwał głową.

— Bardzo słusznie. Będę miał tę sprawę na oku.

— Nie, zależy im na konkretnych działaniach. Spodziewają się, że pojedzie pan do Maryborough i na miejscu poprowadzi dochodzenie. W ten sposób stanie się jasne, iż dla rządu jest to sprawa niezwyklej wagi.

Daniel wstał, spoglądając na Kempa ponad dość marnym biurkiem, nawet w połowie nie tak imponującym jak biurko Daniela w gmachu parlamentu.

— I powinien pan jechać natychmiast, sir — dodał, po czym wyszedł energicznym krokiem.

Ponieważ obecnie Daniel przebywał w najwyższych kręgach — sam premier zwracał się do niego po imieniu — uznał, iż potrzebuje porządniejszego adresu. Mieszkanie u rodziny Timmonsów było w porządku w czasach, gdy pracował jako szeregowy urzędnik państwowy, odkąd wszakże awansowano go na sekretarza ministra stanu, po prostu się nie nadawało.

Na nieszczęście — i bardzo głupio, co sobie teraz uświadamiał — zaangażował się w dość namiętny romans z córką Timmonsów; wszystko wskazywało na to, że rodzina w każdej chwili oczekiwała ogłoszenia zaręczyn, co stanowiło kolejny powód, by jak najszybciej uwolnić się z ich szponów. Joan była udogodnieniem, niczym więcej, śliczną dziewczyną o bujnych piersiach, bardzo chętną. I właśnie ta chęć, tak sobie powtarzał, przygotowując się do zniknięcia za horyzontem, czyniła z tej dziewczyny dziwkę. To nie była właściwa kandydatka na żonę dla dżentelmena jego kalibru. Bo Daniel był ambitny. Szybko uczył się ról odgrywanych na scenie politycznej i rządzących nią reguł. Niewykłuczone, że pewnego dnia sam zostanie posłem do parlamentu. A w takim świecie nie było miejsca dla kobiety pokroju Joan Timmons.

Zaplanował wyjazd bardzo starannie, oznajmiając, że niedługo wyruszy z ministrem w podróż po stanie w sprawach parlamentarnych, wiedział bowiem, że dla tych naiwnych ludzi parlament to jedna wielka tajemnica. Zapłacił czynsz do ostatniego dnia. W wigilię wyjazdu wrócił późno z miasta w nadziei, że uniknie spotkania z dziewczyną, lecz ona zapukała do jego drzwi.

Udając sen Daniel pozwalał jej pukać, wiedział bowiem, że nie będzie robiła zbyt wielkiego hałasu z obawy przed obudzeniem rodziców, a rano łatwiej było pozwolić jej na przygładzenie sobie włosów, wyszczotkowanie nowego brązowego garnituru i wyprostowanie krawata przy wtórze słodkich czułości. Przyrzekł, że do niej napisze. Że wróci do „domu”, kiedy tylko będzie mógł. Przyjął od niej pożegnalny prezent w formie tanich spinek do mankietów, któremu towarzyszyło cmoknięcie w policzek.

A potem opuścił ten ponury dom sąsiadujący z cuchnącą masarnią i ruszył przez siebie. Słyszał, że Kemp z żoną na jakiś czas zatrzymali się w pensjonacie Belleview niedaleko ogrodu botanicznego we właściwej części miasta, i uznał, że skoro to miejsce było dobre dla komendanta, będzie też dobre dla niego. Człowiek potrzebuje odpowiedniego adresu, by spotykać odpowiednich ludzi i robić postępy w życiu.

Bowles przybył w porze kolacji, a ponieważ w jadalni panował tłok, umieszczono go z panną Tissington, która co widać było na oko, nie ucieszyła się z towarzystwa. Była jednak doskonale wychowaną młodą damą i powitała gościa królewskim skinieniem głowy oraz słowami:

— Dobry wieczór, panie Bowles.

Przyjrzał się jej uważnie przy zupie i spodobało mu się, co zobaczył; domyślał się, że liczy sobie dwadzieścia parę lat i jest Angielką. Miała jasnobrażowe włosy i miłą szczupłą twarz; prawdę mówiąc, cała była szczupła. Jej ubrania, choć proste, były doskonale skrojone i przypomniały mu, że jego brązowy garnitur w porównaniu z jej granatowym kostiumem jest żałosny, źle dopasowany, niechlujny. Będzie musiał to zmienić, jeśli ma wkroczyć we właściwe kręgi. Zauważył, że dłonie panny Tissington są wypiełgnowane, wszystko w niej było nieskazitelne, łącznie z drobnymi pliskami na białej jedwabnej bluzce. I nie nosiła pierścionków. Daniel postanowił, że musi poznać tę damę, ponieważ w przyszłości znajomość z nią może okazać się atutem.

Dama jednak zachowywała rezerwę. Nie miała nic do powiedzenia, Daniel zatem wziął inicjatywę w swoje ręce, wzór biorąc z polityków, których oglądał w akcji. Uśmiech. Rozmowa. Pochlebstwo. A przede wszystkim pomniejszanie własnej osoby.

— Mam nadzieję, że pani mi wybaczy — zaczął. — Nie ma nic gorszego niż konieczność przebywania z nieznanym, kiedy człowiek nie prosi o nic poza możliwością cieszenia się posiłkiem w spokoju.

Odpowiedź panny Tissington była do przewidzenia.

— Nic się nie stało.

Jednakże jej głos był tak angielski, wykształcony, że zaświerzbiał go palce, niemal poczuł onieśmienie. Słyszał siebie usiłującego zaokrąglić samogłoski, by w jej towarzystwie nie wydać się kompletnym wieśniakiem.

Kelnerka zwlekała z podaniem głównego dania, Daniel więc wykorzystał okazję.

— Jak miło z pani strony, że tak mówi. Chciałbym, żeby mój minister był taki wyrozumiały.

Wpatrywała się w niego nie mrugając i Daniel także to zauważył, uświadamiając sobie, że to jest tajemnica jej królewskiej postawy. Nieruchomy wzrok, nieruchome powieki, najwyraźniej rzecz dla niej naturalna, były niezłą sztuczką. Z rodzaju tych, co przyciągają uwagę otoczenia. Daniel pękał z ciekawości, chciał jak najwięcej się o niej dowiedzieć.

— Pański minister? — zapytała z głową uniesioną wysoko, dłońmi starannie splecionymi na podołku.

Prawie się uśmiechnęła. Zainteresowała ją.

— Ojej, tak. Mój minister, jaśnie pan Charles Lilley, jest prokuratorem generalnym stanu Queensland. Mam nadzieję, że nie odniosła pani mylnego wrażenia. Mogła pani zrozumieć, że chodziło o pastora. Przykro mi, że wprawiłem panią w zakłopotanie. W dzisiejszych czasach religia może być kwestią niezwykle kontrowersyjną.

— Wcale nie poczułam się zakłopotana, panie Bowles, aczkolwiek nie pojmuję pańskich związków.

— Naturalnie. Raz jeszcze proszę mi wybaczyć. Jestem tylko drobną szprychą w wielkim rządowym kole. Pełnię funkcję osobistego sekretarza pana Lilleya. Mojego ministra, rozumie pani. Wszyscy tak nazywamy naszych szefów.

— Doprawdy? Interesujące.

Daniel Bowles i panna Tissington wkrótce stali się przyjaciółmi. Każde wywarło na drugim ogromne wrażenie. Daniel dowiedział się, że nowa znajoma to guwernantka z bardzo wysokimi kwalifikacjami. Zaskoczyło go, że płynnie mówi po francusku; jak sam wyznał, zazdrościł jej szalenie, że jako szesnastolatka mogła doskonalić swój akcent podczas kilkumiesięcznego pobytu w Paryżu. Daniel pragnął odwiedzić kiedyś to miasto.

Chociaż na razie mógł tylko o tym śnić.

W czasie gdy panna Tissington czekała na odpowiednią posadę i martwiła się brakiem okazji, Daniel zabrał ją na wycieczkę po parlamencie, a nawet na popołudniową herbatę na trawnikach przed gmachem. Było to wytworne przyjęcie i Ruth uznała za konieczne zainwestować w śliczną suknię z białego

muślinu z plisowanym stanikiem i marszczoną spódnicą. Tak zwiewnej sukni dotąd nie miała, a kiedy uzupełniła ją wielkim słomkowym kapeluszem, który ozdobiła zwojami muślinu i sztucznymi żółtymi różami, czuła, że wygląda stosownie do okazji. Nawet na pani Mediów silne wrażenie zrobiła ta przemiana guwernantki w modną damę, gdy oboje z Bowlesem opuszczali pensjonat.

Chociaż nigdy nie przyznała tego w cotygodniowych listach do siostry, Ruth ucieszył ów komplement z ust pani Mediów. Jednakże w dalszym ciągu trzymała właścicielkę pensjonatu na dystans. Żadna z mieszkających tu osób nie interesowała Ruth, wyjątkiem był tylko Bowles. Zachowywał się jak dżentelmen, był sympatyczny, choć nie ulegało wątpliwości, że pochodzi z niższej średniej klasy albo jeszcze gorzej. Czasami to ją martwiło, ale napominała siebie, że nowy znajomy ma przecież swoje zalety. I nie obrażał się, kiedy go poprawiała. Oto był mężczyzna, starszy od niej o pięć lat, który jej potrzebował, chciał się zmienić na lepsze. A kto bardziej nadawał się na rolę nauczycielki niż przyjaciółka, angielska guwernantka?

Tak więc poprawiała jego akcent, gramatykę, dobór ubrań, manieri przy stole... lista rzeczy wymagających ulepszenia nigdy się nie kończyła... a Daniel, jak teraz go nazywała, nalegał, by nie przestawała. Panna Tissington znalazła chętnego i uważnego ucznia. Nauczyła go nawet francuskiego na tyle, by rozumiał menu w restauracjach, gdzie serwowano francuskie dania. Naturalnie nie odwiedzała z nim tych miejsc, gdzie zjawiał się na każde zawołanie swojego ministra, ale interesującą rzeczą było słuchać o ważnych osobistościach i ich znajomych. Zadziwiające, choć tę myśl Ruth zachowała dla siebie, że pełniący wysokie funkcje dżentelmeni z taką ochotą zadawali się z plebsem, co w tym mieście było na porządku dziennym. Nie była pewna, czy to pochwała.

Pomiędzy nią a Bowlesem nie było nic z romansu, bardziej uznanie wzajemnej użyteczności, a także szacunek. Po zwolnieniu z pracy — nie mogła przyjąć żadnej innej interpretacji — towarzystwo Bowlesa przyczyniło się do złagodzenia urazy i na swój sposób Ruth była mu wdzięczna. On wszakże zdawał się nie rozumieć ani nic go to nie obchodziło, jak ważne dla niej było jak najszybsze znalezienie nowej posady. Trzeba przyznać, że był bardzo zajęty, ale miała nadzieję, że skoro porusza się w kręgach ludzi majątnych, będzie mógł jej pomóc, szepcząc słówko w odpowiednim miejscu. Kiedy nic z tego nie wyszło, Ruth na nowo

podjęła codzienne wizyty w biurze Juliusa Penna, aczkolwiek bez skutku. Penn ciągle ją zapewniał, że lada dzień znajdzie dla niej posadę, irytując Ruth pustymi obietnicami, aż wreszcie pewnego dnia zastała biuro zamknięte.

Nie wierząc własnym oczom, Ruth pobiegła do małej kawiarni na rogu, by wypytać o Penna, lecz usłyszała, że właściciel domu także go szuka. Agent zniknął, nie zapłaciwszy sześciotygodniowego czynszu.

Podczas kolacji Bowles w końcu zauważył, że panna Tissington jest cichsza niż zwykle.

— Czy coś się stało?

— Mój agent zniknął bez słowa. Po prostu zamknął biuro i wyjechał.

— No cóż, i tak pani mówiła, że do niczego się nie nadawał.

— Nie w tym rzecz. Znowu będę musiała umieścić w gazecie ogłoszenie.

— Coś się pojawi — powiedział Daniel, grzebiąc w kielbasie z tłuczonymi ziemniakami.

— A na razie będę żyła powietrzem — odparła gniewnie.

Usiadł prosto i spojrzął na nią.

— Dlaczego? Nie ma pani pieniędzy?

Ruth nie potrafiła zmusić się do przyznania, że zapłata otrzymana od Stanfieldów kurczy się w zastraszającym tempie, a na razie nie oddała ani pensa z kredytu udzielonego przez Towarzystwo w Londynie.

— A pan jest tak bogaty, że może żyć bez swojej pensji? — rzuciła ze złością.

— Nie, panno Ruth, oczywiście, że nie — odparł i zapadł w ponure milczenie.

W końcu jednak udzielił jej rady.

— Obie jesteście emigrantkami, pani i siostra. Czy złożyły panie podanie o przydział gruntu?

— Przepraszam, panie Bowles, ale co to takiego?

— Wielki Boże, marnuje pani okazję. Emigranci, którzy zapłacili za podróż tutaj, mają prawo do dwudziestu akrów ziemi. Jak rozumiem, nie skorzystały panie z darmowego przejazdu finansowanego przez rząd?

— Nie — odparła Ruth dygocząc lekko; doszła do wniosku, że koszty przejazdu pokrywane z innych źródeł nie dyskwalifikują jej i Emilie.

## ZATOKA ORCHIDEI

- W takim razie możecie obie wziąć czterdzieści akrów.
- I będziemy właścicielkami tej ziemi?
- Tak.
- Ale nie jesteśmy farmerami. Cóż dwie damy mogłyby zrobić z tak potężnym kawałem ziemi? — Czterdzieści akrów, to niemal nie mieściło się Ruth w głowie.
- Zawsze możecie ją sprzedać.
- Boże wielki! Czy to legalne?
- Oczywiście. Nasz stan nie posiada wielkiego kapitału, ale ma nadmiar gruntów. Ten przydział jest marchewką, która ma zachęcić emigrantów do osiedlania się u nas, ponieważ cierpimy na poważny brak ludności. Niektórzy zajmują się rolnictwem, inni ziemię sprzedają. To bardzo proste. Przyniosę pani dokumenty.
- Zrobiłby to pan dla mnie?
- To żaden kłopot.
- Och, panie Bowles, byłabym ogromnie wdzięczna.

Tego wieczoru Ruth usiadła, by napisać do Emilie o nieoczekiwanym darze fortuny. Kilka tygodni temu zmuszona była wyznać siostrze, że wróciła do Brisbane i mieszka w Belleview, ponieważ okropne dzieci Stanfieldów odesłano do szkoły z internatem, choć pozostaje w dobrym nastroju, jako że obecnie ma doskonałe referencje od miejscowej rodziny, które zapewne wywrą większe wrażenie niż rekomendacja Towarzystwa. Za czas przepracowany w Lindsay zapłacono jej dobrze, nie ma więc powodu do zmartwienia.

Teraz mogła napisać Emilie, że dotąd nie znalazła nowej posady, bo wszechobecny Julius Penn uciekł, ale perspektywy są dobre. Poznała dzentelmena, niejakiego pana Bowlesa, starszego od niej o pięć lat, który jest ni mniej, ni więcej, tylko sekretarzem prokuratora generalnego. Tenże pan Bowles uprzejmie zaproponował, że pomoże im w staraniu się o ziemię. Ruth uzyskała od niego zapewnienie, że jeśli dobrze wybiorą grunt, istnieje szansa, iż sprzedadzą go za prawie dwa funty za akr. Na koniec wspomniała, że żywi nadzieję, iż Emilie wyrazi zgodę na sprzedaż i będą mogły podzielić się zyskami.

Listy siostr się rozminęły. Dwa dni po tym, jak Ruth nadała swój, otrzymała list od Emilie z wiadomością o jej nowej siedzibie: obecnie mieszka w ślicznej małej chacie przy Ferny



Lane. Wiele miejsca poświęciła entuzjastycznym peanom na cześć domu, dopiero na koniec podała powody, dla których opuściła domostwo państwa Manningtree.

Ruth tego nie aprobowała. Była przerażona, że jej młodsza siostra mieszka sama w tym dzikim miasteczku. Co ona właściwie sobie myśli? Nawet jeśli przez jakiś czas musiałyby dzielić pokój z dziećmi, to przede wszystkim powinna mieć na względzie swoją reputację i niezwłocznie wrócić pod dach chlebobawcy.

To wszystko napisała w długim, gniewnym liście, po czym pobiegła na pocztę, by natychmiast go wysłać.

Tymczasem Emilie z radością dowiedziała się o możliwości nabycia ziemi, choć sama wolałaby wstrzymać się ze sprzedażą. Z tego, co słyszała od ludzi w mieście, wartość gruntu rosła w zastraszającym tempie, bo emigranci przybywali tysiącami. Emilie widziała, jak wysiadają na ląd w porcie Maryborough, i rozsądnym założeniem było przypuszczenie, że w Brisbane jest ich jeszcze więcej.

Jeśli wszakże Ruth brakowało pieniędzy na bieżące wydatki, Emilie z największą radością jej pomoże, jako że była w stanie zaoszczędzić sporą sumkę.

Ostatnie stwierdzenie wprawiło ją w zdenerwowanie. Miała mnóstwo pieniędzy, ale należały przecież do Willoughby'ego, chociaż zdecydowanie oznajmił, że są jej. Była przekonana, że nie miałyby pretensji, gdyby w razie konieczności część z nich wykorzystała na pomoc siostrze.

W żadnym jednak wypadku nie mogła o tym powiedzieć Ruth. Sytuacja doprawdy była szalenie niezręczna.

Hrabina była dziarską kobietą o kościstej twarzy i długich do ramion siwych włosach, których nigdy nie upinała, nawet nie wiązała wstążką, po prostu pozwalała, by powiewały niczym obłok wokół jej głowy. Emilie myślała, że pod pewnymi względami owa swobodna fryzura mówi wszystko o charakterze hrabiny, bo ubierała się prosto, bez ozdób, a kroki stawiała zdecydowane.

Z tego też powodu Emilie nie potrafiła pojąć, jak może znieść towarzystwo pani Manningtree, której afektacja budziła zażenowanie otoczenia, gość jednak zdawał się niczego nie zauważać.

Podczas pierwszego tygodnia w domu panowała żałoba, odprawiono nabożeństwo w intencji kapitana Morrowa, jego matka zaś, co zrozumiałe, była spokojna i zamyślona. Potem

oznajmiła, że chciałyby konno zwiedzić okolicę, skoro odbyła podróż do tego odległego portu.

A ponieważ pani domu nie jeździła konno, kilku z przyjaciół kapitana Morrowa zgodziło się eskortować damę; wtedy też do wszystkich dotarło, że hrabina lubi przygody. Po zbadaniu miasta wyraziła życzenie wyprawy na pola złotonośne, natychmiast też poczyniono stosowne ustalenia. Tym razem nie było jej przez wiele dni, w czasie których pani Manningtree chodziła po domu nadaśana, choć udawała, że bardzo jej taki układ odpowiada. Po powrocie z Gympie hrabina szła spać wcześniej i stanowczo się nie zgadzała, by gospodyni kłopotowała się urządzeniem wieczorków i kolacji proszonych na jej cześć.

— Ależ w żadnym razie nie chciałabym być dla ciebie ciężarem, moja droga. Okazałaś i tak wielką uprzejmość, udzielając mi gościny w twoim uroczym domu.

I znowu wyruszała na wyprawę z zaufanymi towarzyszami, którzy cieszyli się bardzo, że tak wielką przyjemność sprawia jej obozowanie w buszu.

W czasie tych tygodni Emilie rzadko widywała hrabinę, tak samo zresztą jak pani Manningtree, i była zadowolona, że mieszka pod własnym dachem. Przechadzka wczesnym rankiem była dobrym ćwiczeniem i ogromną przyjemnością, którą przewyższała jedynie radość powrotu do chaty wieczorem. Pewnej soboty zaprosiła nawet na nocleg dzieci i dla nich także to była wspaniała przygoda. W sumie wizyta hrabiny okazała się dla wszystkich szalenie udana — z wyjątkiem pani Manningtree. Jej mąż nie miał żadnych zastrzeżeń. Zajęty w tartakach odczuwał ulgę, że hrabina jest tak mało wymagającym gościem.

A kiedy hrabina wyjechała, nikt słowem nie wspomniął o powrocie Emilie do jej pokoju, pozostała więc w chacie przy Ferny Lane i modliła się, by Molly Mooney nigdy nie znalazła kupca.

Mimo ponurych przestróg Ruth Emilie nie bała się mieszkać sama i nikt nie widział w tym nic niestosownego. W porównaniu z niektórymi nędznymi domami w mieście oraz surowymi warunkami w obozach, które musieli znosić nowo przybyli, jej domek był wygodny. Manningtree, który przyjechał obejrzeć jej nowe mieszkanie, powiedział, że żony drwali mieszkają samotnie głębooko w lasach, tygodniami pozbawione opieki mężów, Emilie więc powtórzyła to siostrze. Na próżno.

„Nie jesteś żoną poganiacza bydła ani drwala”, pisała Ruth. „Jesteś młodą damą, która naraża na szwank swoją reputację. Masz natychmiast wrócić do domu chlebobadców albo przenieść się do jakiegoś pensjonatu!”

Przysłała jej też do podpisania podanie o ziemię, wyjaśniając, że przy pomocy pana Bowlesa znalazła odpowiedni grunt niedaleko Brisbane, znany jako Eagle Farm, który natychmiast po uzyskaniu praw własności powinny sprzedać. Z tym punktem Emilie się nie zgadzała, na razie jednak wołała nie dyskutować, by bardziej nie denerwować siostry.

Pewnego wieczoru, gdy niosła wodę ze zbiornika do maleńkiej kuchni, usłyszała w pobliskich zaroślach jakiś szelest i zamarła, wspominając opowieści o dzikich Aborygenach, którzy wciąż wałęsali się w buszu wokół miasta. Jej oczom ukazał się wysoki mężczyzna, groźny i brzydki, ze zmierzwionymi włosami i gęstą brodą...

Chciała krzyknąć, lecz głos uwiązł jej w gardle; później myślała, że bardzo dobrze się stało, bo ową zjawą był pan Willoughby!

— Niech się panienka nie boi, panno Emilie — powiedział cicho. — Wyglądam okropnie, wiem...

— O mój Boże! To pan? Wyglądam strasznie, to prawda. Dobrze się pan czuje?

— Tak — odparł, nieśmiało stojąc w miejscu.

— Lepiej niech pan wejdzie do środka.

Wziął od niej ceber i poszedł z nią do kuchni.

W świetle lampy Emilie zobaczyła, że urosły mu włosy i ma teraz rudawą kręconą brodę, ale jego błękitne oczy były nadal przejrzyste. Prawdę mówiąc, wyglądał zaskakująco dobrze.

— Nigdy bym pana nie poznała.

Roześmiał się tym samym co dawniej zaraźliwym śmiechem.

— I o to chodzi. Nie potrzebuję, żeby ludzie mnie poznawali.

Emilie stała trzepocząc nerwowo dłońmi, nie wiedząc, co dalej robić.

— Jest pan głodny? — zapytała w nadziei, że przytaknie, dzięki czemu będzie mogła się czymś zająć. Stali blisko siebie w niewielkiej przestrzeni, a on był taki wielki, że brakowało jej tchu.

— Jeśli panienka może mnie czymś poczęstować.

— Oczywiście. Zaraz nastawię czajnik. Już jadłam, ale mam zimną jagnięcinę, chleb i pickle, czy to wystarczy? Bo tylko to mogę zaproponować. — Zachichotała niemądrze. — Obawiam się, że zaopatrywanie spiżarni nie idzie mi jeszcze zbyt dobrze.

— Wystarczy, panno Emilie. Ja nastawię czajnik. Ogień trzeba trochę poprawić.

Podczas gdy układał w palenisku nazbierane przez nią gałązki, Emilie wyjęła mięso i masło z drucianego pojemnika. Nagle uderzyła ją pewna myśl...

— A skąd pan wiedział, że tu jestem?

— Śledziłem panienkę — uśmiechnął się Mai. — Czekałem przed domem i liczyłem, że panienka wyjdzie, i zastanawiałem się, jak się z panienką skontaktuję, jeśli panienka jednak nie wyjdzie, a tu patrzę, maszeruje panienka przez bramę i skręca na drogę tak szybko, że nie mogłem za panienką pobiec. W każdym razie nie teraz, kiedy się ukrywam — dodał przepraszająco. — Więc wskoczyłem na konia i spokojnie pokłusowałem za panienką.

— Jechał pan przez miasto? Przecież mogli pana złapać!

— Robiło się ciemno. Trzymałem głowę nisko. Pełno tu takich traperów jak ja...

— To straszne! Niech pan nigdy więcej tego nie robi.

— Jasne. A potem panienka tu weszła i poczekałem jeszcze kilka godzin. Myślałem, że może panienka kogoś odwiedza. Kiedy panienka nie wychodziła, zawróciłem i przyjechałem od strony rzeki. Nie szpiegowałem panienki, niech panienka tak nie myśli. — Drewno z trzaskiem zajęło się ogniem i Mai zamknął drzwiczki pieca. — Chciałem zobaczyć, jak panienka sobie radzi. Przeprowadziła się tu panienka? Naprawdę mieszka panienka tutaj?

Słuchając jego radosnych okrzyków, gdy usłyszał o przeprowadzce, Emilie odnosiła wrażenie, że Mai nie ma żadnych żmartwień. Jakby najważniejszą sprawą w jego życiu było jej maleńkie zwycięstwo. Pokroiła chleb, prawie zła na Małą, że tak bagatelizuje własne przerażające położenie.

Posadziła go przy stole, dała mu kanapki, ciasto pomarańczowe i czarną herbatę. Uśmiechnął się zadowolony.

— Ale to pyszne! Chyba najlepsze pomarańczowe ciasto, jakie jadłem. Jest panienka dobrą kucharką.

— Nie jestem. Ciasto upiekła Kate, kucharka w domu moich pracodawców.

— No to ona jest dobrą kucharką. Ale niech mi panienka powie, skąd wziął się ten domek.

Emilie opowiedziała pokrótce, uważała bowiem, że są ważniejsze kwestie do przedyskutowania.

— Ale co u pana, panie Willoughby?

— Mai.

— Dobrze, Mai — powtórzyła ze zniecierpliwieniem.

— Gdzie byłeś?

Pociągnął łyk herbaty i usiadł wygodnie.

— Hm... ruszyłem w kierunku wybrzeża, bo pomyślałem, że będę mógł się tam ukryć w buszu, dopóki nie zapuszczą brody. Potem spotkałem kilku Aborygenów. Wpadli na pomysł, żeby mnie obrabować, ale byłem kiepskim łupem. Nie miałem żadnych zapasów, jedzenia, nawet broni, więc zmarnowali na mnie czas. Ale lubili dobrze się zabawić, a ja miałem swój bicz. Nauczyłem ich, jak z niego strzelać, i uznali, że całkiem sympatyczny ze mnie facet. Zwłaszcza jak im powiedziałem, że się ukrywam. To ich rozśmieszyło. Dla nich to był świetny żart, dla mnie nie. Wkrótce przekonałem się, że w tamtej okolicy jest więcej osadników, niż się spodziewałem, a moi nowi przyjaciele przyjechali tam w interesach. Napadali na białych i zabierali co się da.

— Jak to? — zdziwiła się Emilie. — To nie byli miejscowi czarni?

— Nie. Przywędrowali z Wyspy Frasera, położonej w zatoce. Na pewno widziałas ją ze statku, kiedy płynęliście przez zatokę.

— Tak. Wiele o niej słyszałam. Rozbił się tam statek. — Emilie zadrżała. — Tych, którzy ocaleli, zamordowali czarni, z życiem uszła tylko żona kapitana, pani Fraser. Mieszkała tam w straszliwych warunkach, dopóki nie udało jej się uciec.

— Tak. Była sławna. Ale to się zdarzyło wiele lat temu.

— Tylko że dzicy czarni nadal tam żyją. Ludzie powiadają, że są kanibalami.

— Nic o tym nie wiem. Na razie nie zjedli misjonarzy. Tak czy owak, moim chłopcom nie bardzo udawały się napady, więc bez mojej wiedzy pewnej nocy zaatakowali owczarza...

— Zabili go?

— Nie pytałem. Obrabowali jego chatę i zarżnęli kilka owiec. Zastałem ich przy ładowaniu łupów do łodzi. Sama wiesz, jaką wrzawę musiało wywołać to w okolicy. Nie chciałem się znowu

pakować w kłopoty, więc nie pozostało mi nic innego, jak wskoczyć do łodzi i popłynąć z nimi.

— I przez cały ten czas byłeś na Wyspie Frasera?

— Tak. To wspaniałe miejsce. Kiedyś ci je pokażę.

— Nie wydaje mi się, by to było możliwe w najbliższej przyszłości — odparła Emilie surowo.

— Nie, chyba nie. Możemy usiąść na werandzie? Jest z niej piękny widok na rzekę. Ta pani Mooney musi być miłą kobietą.

Kiedy usadowili się na płóciennych fotelach, jakby Mai był zwykłym gościem, Emilie wciąż zła na niego, że mówi o tych sprawach, jakby to były błahostki, doszła do wniosku, że naprawdę sympatyczny z niego człowiek, choć ogromnie lekkomyślny. Więcej, całkiem pozbawiony rozsądku. I bała się, że jedno z Dresslerów może złożyć jej wizytę, co często robili, przynosząc w prezencie jajka, mleko albo warzywa. Mai tymczasem gawędził radośnie o Wyspie Frasera.

— W czasie moich wędrówek widziałem w tym kraju piękne miejsca, panno Emilie, ale ta wyspa wszystkie bije na głowę.

— Nie bałeś się, że cię tam złapią?

— Nie, jest wielka, pewnie ma z sześćdziesiąt mil długości. Mieszkają tam tylko misjonarze i paru drwali.

— I czarni.

— O tak, setki czarnych. Ale powinnaś zobaczyć wyspę. Jest tam jezioro, błękitne i czyste jak kryształ, widać wyraźnie piaszczyste dno. I cudowne zatoczki. Przy jednej rosną orchidee, piasek jest biały, a morze wygląda jak klejnot. Dałem jej nazwę: Zatoka Orchidei. — Marzycielskim wzrokiem wpatrywał się w łagodny nurt rzeki. — Tutaj jest bardzo ładnie, ale brzegi są błotniste. A Zatoka Orchidei jest czysta, jasna i czysta, wiesz, o co mi chodzi?

Emilie pokiwała głową. Chyba potrafiła to sobie wyobrazić, choć mało dotąd widziała plaż.

Odwrócił się ku niej z nagłą powagą na twarzy.

— Od dzieciństwa jestem w drodze. Najpierw z tatką, potem sam. Nigdy nie myślałem, żeby się gdzieś osiedlić, ale jeśli to zrobię, o ile będę miał taką okazję, bo na razie nic na to nie wskazuje, tam będzie mój dom. I o tobie też nie zapomnę, panno Emilie. Jeśli kiedykolwiek będzie to w mojej mocy, zabiorę cię do Zatoki Orchidei. — Chwilę milczał, potem dodał przeproszająco: — Przykro mi, za dużo mówię. Ale tak się cieszę, że mogę

wreszcie z kimś porozmawiać. Czarni nie znają dobrze angielskiego.

— Dlaczego tam nie zostałeś, Mai? Byłbyś tam bezpieczny.

— Nie na długo. Wieści szybko się rozchodzą. Biali mieszkający z czarnymi? Zadawano by pytania. Poza tym broda i włosy mi urosły, zmieniły wygląd. Nigdy nie cierpiałem zarostu, a teraz muszę go nosić.

Emilie westchnęła. Z niemożliwością graniczyło utrzymanie jego myśli przy poważnych kwestiach.

— Twoje ubranie nie wskazuje na to, że mieszkałeś w buszu — zauważyła.

— Pewnie nie. Kiedy czarni wysadzili mnie na stały ląd, nosiłem łachmany, więc pożyczyłem rzeczy, które zrabowali owczarzowi. — Z satysfakcją spojrzął na kraciatą koszulę i spodnie.

— Ukradłeś je?

— Czasy są ciężkie — wyszczerzył wesoło zęby. — Ubranie pasuje, ale buty są za wielkie. I nie mam skarpetek.

Siedzieli i rozmawiali, a Emilie dziwiła się jego spokojowi. Wreszcie musiała sprowadzić go na ziemię.

— W gazetach przestali o tobie pisać, ale za twoją głowę jest nagroda. Pięćdziesiąt funtów.

Wzruszył ramionami.

— Spodziewałem się tego.

— I to cię nie martwi?

— A jaki miałoby to sens? Muszę tylko pilnować, żeby ich wyprzedzić. Mogło być gorzej. Tamtego dnia zabito trzech ludzi. Trzech porządnych ludzi. Złoto nieważne. Nie zapomniałem o tych ludziach i nie zapomnę. Ktoś musi za ich śmierć zapłacić. I to nie będę ja.

Głos miał surowy i Emilie uświadomiła sobie, że przybrał nonszalancką pozę ze względu na nią, że za tą młodzieńczą postawą kryje się zapalczywy duch wojownika.

Mai wstał. Rozprostował się, a potem wyciągnął ku niej rękę, pomagając jej podnieść się z fotela.

— Muszę już iść. Ale od tak dawna o tobie myślę, że chciałbym cię pocałować. Pozwolisz?

Emilie wcale się nie opierała. Już wcześniej zastanawiała się, jak by to było pocałować go, znaleźć się w jego objęciach, ale wtedy on przeprosił za brodę i to było dla niej za wiele. Jak długo

jeszcze uda mu się pozostać przy życiu, skoro ma cały świat przeciwko sobie? Zakłopotaa ją własna reakcja, strumień gorących łez, ale on ją całował i pocieszał, choć przecież powinno być odwrotnie.

— Nie trzeba mi było tu przychodzić i cię denerwować — mruknął, lecz ona całowała go namiętnie, dziwiąc się, że usta ma miękkie i delikatne. Przytulił ją do siebie mocno, miała wrażenie, że jest dla niej tarczą. A potem mówił, jaka jest piękna, jak bardzo ją kocha. Stali na werandzie domku, wtuleni w siebie. Emilie Tissington, rozpłomieniona, zapomniała o wszystkich swoich i jego troskach.

— Musisz już iść? — szepnęła, gdy wreszcie wypuścił ją z objęć.

Mai spojrział na nią smutno.

— Jeśli teraz nie pójde, to znajdziemy się w twojej sypialni, Emilie, a nie wiem, czy na pewno tego chcesz.

Emilie trzymała go, bojąc się o niego.

— Nie możesz zostać jeszcze chwilę?

Ujął ją pod ramię i wprowadził do domu, zamykając drzwi. Znowu wziął ją w objęcia i zaczął całować w usta, oczy, policzki, a Emilie wiedziała, że naprawdę odchodzi, i buntowała się przeciwko temu.

— Jestem dla ciebie nazbyt godna szacunku? — zapytała wyzywająco. — Za bardzo jestem panną Emilie? Cud, że w ogóle mnie pocałowałeś, choć wiesz, jak bardzo mnie obchodzisz.

Puścił jej słowa mimo uszu. Po prostu wziął z krzesła ciepłą kamizelkę z owczej skóry odwróconej futerką do wewnątrz. Dostrzegł, że Emilie jej się przygląda.

— Sam ją uszyłem — powiedział wesoło. — Muszę iść, Emilie. — Rozejrzył się dookoła. — Lubisz ten dom?

— Tak. Nic więcej nie potrzebuję.

— I wynajmujesz, dopóki właścicielka go nie sprzeda.

Emilie zaskoczyło, że to zapamiętał.

— Tak.

— A wtedy gdzie się podziejesz? Mówiłaś, że miałaś kłopoty ze znalezieniem pokoju.

— Nie wiem. — Była nadąsana. Czuła się odrzucona.

— Więc pierwsza złóż ofertę. Kup ten dom. To **dobre** miejsce. Nie stracisz na nim, nawet jeśli dom jest trochę dziwny, stoi przodem do tyłu.



— Za co?

— A co z pieniędzmi, które ci dałem? Wszystkie wydałeś?

— W jego głosie nie było złości, tylko ciekawość, jakby nie miał pojęcia, co też damy robią z pieniędzmi. Co przypuszczalnie było prawdą.

— Nadal je mam. Nie mogłam nigdzie ich ukryć, więc zdeponowałam je w banku. To twoje pieniądze.

— Jezu! Chyba nie podałeś im mojego nazwiska?

— Nie, przepraszam. Musiałam podać własne.

— Och, dzięki Bogu. Za kogo ty mnie bierzesz? Dałem ci je. Są twoje. Wykorzystaj je.

Emilie przypomniała sobie następny problem.

— Moja siostra potrzebuje pomocy. Zgodzisz się, żebym posłała jej pewną sumę?

Znowu porwał ją w objęcia.

— Zupełnie nie znasz życia, co, Emilie? Zrobisz, jak chcesz. Może minąć sporo czasu, zanim znowu się z tobą zobaczę. Dbaj o siebie. Tylko na tym mi zależy.

CMOKNĄŁ JĄ W POLICZEK I WYSZEDŁ PRZEZ KUCHNIĘ. Bez pożegnania. Nie zdążyła nawet zaprotestować ani życzyć mu... czego? Chyba bezpiecznej podróży, gdziekolwiek się wybierał. Chciała go o to zapytać. Chciała zapytać go o wiele różnych rzeczy, ale zniknął, a ona stała, wpatrując się w ciemność. Nigdy w życiu nie czuła się tak samotna.

Wyszła przed dom i siedziała na werandzie, dopóki brzask nie rozjaśnił smugami światła nieba na wschodzie. Wtedy uświadomiła sobie, że zaraz zacznie się kolejny zwykły dzień. Kolejny zwykły dzień w życiu spokojnej guwernantki.

Dla Allyną Carnegiego to był kolejny długi i nużący dzień, choć pogoda wyraźnie się poprawiła, noce stały się chłodniejsze, a we dnie błękitnego nieba nie znaczyła ani jedna chmurka. Tak przynajmniej mówili ludzie, których spotykał. Byłego komisarza, bohatera zasadzki, pogoda nie mogła mniej obchodzić; zachowałyby taką samą obojętność, gdyby spadł śnieg. Zbyt był zajęty przemierzaniem ulic oraz odwiedzaniem hoteli i pubów w nadziei na spotkanie ze współnikiem.

Przez dłuższy okres był znajomą postacią na nabrzeżu, z udanym zainteresowaniem przypatrując się statkom z oszołomionymi emigrantami z Wielkiej Brytanii i Niemiec oraz tragarzom ładują-

cym niekończące się ilości wełny, łożu i drewna na rejs powrotny, ale przez cały czas rozglądając się za Baldym Perrym, za tym twardym zbirem o podłej twarzy, który powinien tu pracować, i nieustannie zwalczając pokusę, by wypytać o niego.

Dla Baldy'ego prostą sprawą byłoby wskoczyć na jeden z tych statków i zniknąć, Carnegie wiedział o tym, choć odrzucał od siebie tę myśl, wówczas bowiem musiałyby stawić czoło rozpacy, która czyhała jak sęp, czekając na okazję do ataku. Anonimowy list denuncjujący Baldy'ego jako mordercę zmusiłby tego głupca do ukrywania się do końca życia. W jakiś sposób komisarz wiedział, że to była ostatnia rzecz, której ten bandyta by sobie życzył. Wiecznie opowiadał o wyjeździe ze złotem do Tasmanii. Carnegie chodził w kółko, aż głowa zaczynała mu pękać, a nerwy napinały się jak struny.

Powrócił więc do zwyczaju przejażdżek, by miejscowi przywykli do jego widoku na końskim grzbiecie, czasami nawet uprzejmie gawędził z przewoźnikami, którzy promem przeprawiali pasażerów i towary na drugi brzeg rzeki, stanowiący jego cel. Wiedział teraz, że musi sprawdzić to drzewo, przekonać się raz na zawsze, czy wspólnik uciekł ze złotem.

Tymczasem gratulując sobie przezorności, dołożył starań, by nawiązać znajomość z plantatorami trzciny cukrowej, którzy swoje uprawy mieli nad rzeką, a zatrudniali tubylców, i oczywiście zaproszono go, by na własne oczy obejrzał te interesujące miejsca.

W końcu podjął decyzję. Wyruszy nad rzekę, przewoźnikom napomknie o plantacjach, a potem nadłoży drogi i uda się do kryjówki. Jeśli złoto tam będzie, opróżni skórzane sakwy przy siodle i napełni je skarbem. Brawurowe, ale praktyczne.

Allyn zdawał sobie sprawę, że żaden z tych wybiegów nie jest konieczny, lecz strach i poczucie winy mocno trzymały go w cuglach, niemal odcinając dopływ powietrza. Co noc rzucał się na posłaniu, próbując zasnąć, i wykazywał coraz większą pomysłowość w wyszukiwaniu wiarygodnych powodów do przeprawy na drugi brzeg rzeki, choć spokojniejsza część jego mózgu przekonywała, że nikogo nie obchodzą jego poczynania i wędrówki.

W wigilię tej przeprawy siedział przy oknie ze szklaneczką brandy i miał nadzieję, że Baldy wreszcie się pojawi. Nie robiłby mu wyrzutów, że tak zwlekał z wizytą, najmniejszych wyrzutów;

po prostu podzieliliby złoto, banknoty i monety z bankowych pudeł, i byłoby po wszystkim. Nikogo w domu nie było. Mogliby usiąść w kuchni, podzielić szybko łup i tyle. Dobry Boże, modlił się Carnegie. Niech to się już skończy.

Właśnie dolewał brandy do szklaneczki, gdy skrzypnęła furtka. Zapomniał, że wspólnik miał się wśliznąć do jego obejścia, nie wchodzić przez furtkę; nie pamiętał szczegółów umowy, i nie dziwota, wzięwszy pod uwagę wszystkie te troski, nerwy i alkohol, bez którego nie dałby rady przetrwać kolejnych dni, ale teraz to było nieważne. Gość się pojawił. Nareszcie!

Pobiegł do drzwi, lecz za progiem zobaczył nieznanego. Był to potężnie zbudowany mężczyzna w czarnym mundurze, jakiego komisarz jeszcze nie widział.

— Pan Carnegie?

— Słucham?

— Jestem komendantem policji stanu Queensland, moje nazwisko Jasper Kemp. Czy mógłbym z panem zamienić słowo?

Allyn miał wrażenie, że traci panowanie nad kiskkami, zebrał się jednak w sobie.

— Obawiam się — odparł z godnością — że nie jestem przygotowany na przyjmowanie gości, sir. Moja służąca na przychodne już wyszła.

— Nie zabiorę panu dużo czasu, panie Carnegie. Chcę się tylko dowiedzieć, jak radzi pan sobie po tych strasznych przeżyciach. Wcześniej złożyłbym panu wizytę, ale w ostatnich dniach byłem bardzo zajęty.

— Och, rozumiem. Ależ proszę wejść, bardzo proszę. Wcześniej się kładę, sir, piłem właśnie szklaneczkę na dobranoc. Może dotrzyma mi pan towarzystwa.

— Nie powiem „nie” — uśmiechnął się Kemp. — Człowiekowi z moją pozycją trudno spokojnie wypić drinka, nie dając przy tym złego przykładu miejscowym.

Weszli do małego salonu. Carnegie zebrał siły i przejął inicjatywę w rozmowie. Powitał komendanta i zasypał go pytaniami na temat śledztwa, które jego zdaniem od początku prowadzono źle. On, podobnie jak inni mieszkańcy Maryborough, uważa, że policja nie robi wszystkiego, by złapać tego bandytę Willoughby'ego i jego pomocników.

Kemp pochwalił doskonałą brandy, Carnegie zaś mógł z konfidencjonalnym uśmiechem skierować go do składu celnego,

gdzie często wystawiano na aukcje skonfiskowane towary i można było kupić wyborne alkohole za przyzwoitą cenę.

Rozmawiali o mieście i porcie, o tym, że Maryborough za kilka lat uzyska prawa miejskie, jeśli będzie się rozwijało w obecnym tempie. Kemp, którego Allyn uznał za interesującego gawędziarza, nie stanowiącego najmniejszego zagrożenia dla dżentelmena, wyraźnie był zaskoczony.

— Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, że to miasteczko jest taką kipiącą życiem metropolią. Chyba spodziewałem się baraków nad rzeką, a tu zobaczyłem zagospodarowany teren w malowniczej okolicy. Problem polega na prowadzeniu sprawy z Brisbane, które przecież leży daleko na południe. Kiedy zobaczyłem, z czym musi radzić sobie biedny sierżant Pollock, wysiałem depeszę, by niezwłocznie przystali tutaj sześciu konstabli.

Carnegie powstrzymał drżenie.

— Cieszę się bardzo, że to słyszę. A jak się miewa sierżant Pollock?

— Dobrze, dziękuję. Ale jak pan wie, na tym samym odcinku drogi z Gympie dokonano dwu następnych napadów. Sprawcami trzeciego byli Aborygeni, którzy ukradli jedzenie. Opinia publiczna bardzo na nas naciska, ludzie chcą wiedzieć, w jaki sposób zamierzamy powstrzymać ataki bandytów, poza przeszukaniem gór i wyłapaniem ukrywających się tam przestępców.

— Może pan sprowadzić wojsko.

Kemp westchnął.

— Obawiam się, że dla rządu to nie jest sprawa militarna.

— Czytałem, że bandyta McPherson napadł na dyliżans pocztowy na drodze do Gympie, co oznacza, że nadal przebywa w okolicy. Nie potrafię pojąć, dlaczego ten morderca jeszcze nie znalazł się pod kluczem. Gra na nosie przedstawicielom prawa. Ma pan ochotę na jeszcze jedną brandy?

— Chętnie sobie łyknę.

Carnegie ukrył pogardliwy grymas. Trudno to uznać za odpowiedź dżentelmena. Kemp, człowiek sympatyczny, który bez wątplenia na obecną pozycję zapracował, był jednak następnym guzdrałą z niższej klasy. Ale brandy zmiękczyła Allyną i paternalistyczne odczucia budził w nim Kemp, nowy kumpel w zbiorowisku wyrzutków, próbujący znaleźć w tym wszystkim jakiś sens.

— To dość dziwne — mówił Kemp. — Pański opis pasuje do McPhersona jak ulał. To nasz człowiek, bez dwóch zdań, czy

raczej jeden z naszych ludzi, wspólnik Willoughby'ego, ale dlaczego miałyby napadać na dyliżans pocztowy po rabunku, który dał mu ponad osiem tysięcy funtów w złocie i gotówce? No wie pan, czyżby był kompletnym głupcem?

— Ktoś by powiedział, że umysł kryminalisty nie wykazuje takiej właściwości jak inteligencja.

— To prawda. Tylko że ten ostatni napad miał miejsce po tamtym okropnym ataku, w trakcie którego został pan ranny. A przy okazji, jak pańska ręka?

— Okaleczona. Nigdy nie będę mógł jej wyprostować. Dranie. Ciągłe mnie boli, a ponieważ nie potrafię jej wygodnie ułożyć, nie spiam najlepiej.

— Z przykrością to słyszę. Ale jak mówiłem... McPherson napadł na listonosza na odludnej drodze. Przejrzał wszystkie listy, zabierając z nich każdą, nawet najmniejszą sumę, oddał listonoszowi podartą korespondencję i poszedł w swoją stronę. Nie potrzebował żalosnych zysków z tego napadu i nie próbował ukryć swojej tożsamości. Co pan o tym sądzi?

— Dokładnie to, co piszą w gazetach. Że lubi robić głupców z policji. Niech pan jednak nie zapomina, że zastrzelił człowieka w hotelu Carrington nad rzeką Houghton...

— Tak, ale to było w czasie kłótni. W niczym nie przypominało napadu, w czasie którego został pan ranny. To zupełnie niepodobne do McPhersona.

— Zapomina pan, że pojmano go i uciekł, więc każdy doskonale wie, jak on wygląda. Ten człowiek to śmiałek, na nic nie zważa.

— I wciąż pan uważa, że to był on.

Carnegie się zawahał. Może powinien przyznać, że mógł się mylić. Ale nie. Musi tutejszą policję oraz tego durnia kierować na jasno określony szlak.

— Tak. Widziałem. To był on.

— Dziękuję, to dla mnie szalenie pomocne. McPherson znany jest ze swoich błazeństw. Może po prostu się popisuje. Ale dzięki temu wiemy przynajmniej, że wciąż gdzieś tu jest. A co z Willoughbym? Znał go pan?

— Tak. Wydawał się miłym chłopcem. Skąd miałem wie-dzieć, że spiknął się z bandytą? Pollock i ja zadaliśmy sobie wiele trudu, a pomagał nam w tym biedny Taylor, żeby żaden strażnik nie znał pozostałych, bo dzięki temu mieliśmy pewność unik-

nięcia wewnętrznej konspiracji, nie istniała szansa, że nas napadną.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Rozumiem, że to był plan Pollocka, nie pański, by eskortować transport na ostatniej części szlaku z Gympie?

— Istotnie.

Kemp potrzywał brandy na języku.

— Przy innych okazjach okazał się skuteczny. Może o raz za dużo.

— Nie może pan winić Pollocka. — Allyn miał nadzieję, że teraz dowódca zacznie się zastanawiać nad swoim sierżantem.

— Nie. Za to Willoughby... według Pollocka ludzie mówili o nim bardzo dobrze. Z drugiej strony, jak wynika z zapisków Taylora, kłamał na swój temat. Sprawdziliśmy podane przez niego farmy. Nigdy nie pracował tam jako postrzygacz. Był raczej nicponiem, znanym pod nazwiskiem Sonny Willoughby; nie miał czystych rąk, ale też trudno uznać go za kryminalistę. Włóczył się, szuler doskonały, znany dobrze na jarmarkach.

— Więc sam pan widzi. Najwyraźniej wpadł w złe towarzystwo.

Kemp znowu pokiwał głową.

— To możliwe. Ale moi oficerowie rozmawiali z ludźmi z jarmarków i Cyganami w Nowej Południowej Walii, skąd Willoughby pochodzi. Nikt nie powiedział o nim złego słowa. W jednym raporcie znalazło się stwierdzenie, że był bardziej cygański niż Cyganie. Taki typ rzadko zmienia się w mordercę. Rozumie pan mój problem?

Allyn uniósł się słusznym oburzeniem.

— Rozumiem tylko, że policja nie potrafi pojmać tych morderców. Widzę siebie leżącego twarzą do ziemi, krwawiącego, z roztrzaskanym ramieniem, gotowego raczej przełknąć własne rzygowiny, niż przyznać, że jestem żywy. Nie wiedziałem, kto zginał, a kto nie, po strzałach nie potrafiłem tego stwierdzić. Zdołałem na tyle wykręcić głowę, by zobaczyć Willoughby'ego i McPhersona, ale nie śmiałem obrócić się w drugą stronę, żeby zobaczyć, ilu jeszcze ich jest, bo w każdej chwili spodziewałem się umrzeć...

— Proszę się uspokoić. Przykro mi, nie chciałem, żeby znowu pan przez to przechodził. Rzecz w tym, że lektura raportu nigdy nie daje człowiekowi pełnego obrazu. Rozumie pan, dla-

czego tak ważną sprawą było, żebym z panem porozmawiał, panie Camegie?

— Nie rozumiem. O sprawie zapomniano. Złoto zniknęło. Trzej ludzie nie żyją. I nikogo nie obchodzi, co się ze mną stało. Jestem zbyt roztrzęsiony, żeby pracować. Musiałem zrezygnować z funkcji komisarza...

— Pańską żonę obchodzi, panie Camegie.

Allyn wyprostował się gwałtownie.

— Słucham?

— Sądziłem, że do tego czasu wrócił pan już do Brisbane, więc odwiedziłem pański dom. Pani Camegie powiedziała mi, że wciąż przebywa pan w Maryborough, i bardzo się o pana martwiła. Była zdenerwowana. Uważa, że powinien pan wrócić do domu.

— I wrócę. Kiedy to będzie możliwe — wymamrotał Allyn.

— Co pana tu zatrzymuje? Naprawdę powinien pan jechać. Ma pan coś do zrobienia?

Allyn chciał powiedzieć, że to jego sprawa, gdzie przebywa, i nie powinno to interesować wścibskich policjantów, niezależnie od rangi. Co ten facet sobie wyobraża? Że kim niby jest? Zamiast tego jednak pokiwał głową.

— Wrócę już niedługo. Miałem nadzieję doczekać końca sprawy, najwyraźniej jednak zadanie to przekracza zdolności policji. Nie sądzę, by moja żona, która pochodzi ze znakomitej rodziny, uznała za znośne warunki panujące w tym mieście, a zwłaszcza w moim tymczasowym lokum. Nawet by mi się nie śniło sprowadzać ją tutaj.

Odczuł ulgę, że rozstali się po przyjacielsku, i nawet zgodził się nazajutrz zjeść lunch z komendantem Kempem, choć zepsuło to staranny plan przeprawy promem na drugi brzeg rzeki, gdzie rośło tamto drzewo. Lecz jeszcze jeden dzień nie miał znaczenia. Jego wspólnik dostał następną szansę, by się zmaterializować. Allyn już się modlił, żeby Baldy wykazał rozwagę i trzymał się w cieniu na wypadek, gdyby ten głupiec z nadętymi teoriami o osobowościach kryminalnych zdecydował się złożyć mu ponownie wizytę. Odprowadził Kempa do furtki, zgadzając się, że pogoda, ta przekłeta pogoda, istotnie jest jak balsam.

— A przy okazji — zapytał Kemp — zna pan niejakiego Clive'a Hilliera?

— Nie. Dlaczego miałbym znać?

- Myślałem, że może go pan poznać. Był jakiś czas górnikiem na polach złotonośnych w Gympie.
- Nigdy o nim nie słyszałem.

Clive przybył z pól w towarzystwie trzydziestu ludzi, którzy w kwestii obrony polegali na własnych strzelbach, a nie na skromnych wysiłkach policji. Co nie znaczy, że miał czego bronić poza własną osobą. Ilekroć podejmował decyzję o wyjeździe, pojawiał się nowy przyjaciel, tak jak wtedy Mai, i Clive wracał do pracy, przekopując porzucone działki. Znajdował trochę kruszcu, choć niewart był włożonego weń wysiłku. Żaden z nowych współników nie miał szczęścia Mała.

I to była kwestia dyskusyjna, rozważał Clive. Szczęście opuściło Mała. Znalazł się nad przepaścią, biedaczysko.

Jednakże Clive wciąż miał kilka funtów, dość, by się utrzymać przez jakiś czas, kiedy więc jego kompani jechali wesoło główną ulicą Maryborough i zastanawiali się, który pub powinni zaszczyścić swoją obecnością, pozostał z nimi. Wkrótce też w Saddlers Arm odbyła się huczna impreza.

Kiedy dwa dni później wytrzeźwiał, najpierw wynajął pokój w obskurnym domu, później odpoczął w chińskiej łaźni, odczekał swoje w długiej kolejce do fryzjera oraz kupił ubranie z białego drelichu, cienki krawat i kapelusz panama, a dalej przy tej samej ulicy potargował się o cenę eleganckich butów do konnej jazdy. Wreszcie młody Anglik poczuł, że znowu jest sobą, i wyruszył na zwiedzanie miasta. Wszędzie rozpytywał o Fleur.

Stwierdził, że to wiejskie miasteczko udające port jest bardzo przyjemnym miejscem, choć z drugiej strony po błocie i kurzu na polach złotonośnych pewnie każde miasteczko takie by się wydawało. Cóż to była za ulga znaleźć się znowu pośród wytworów cywilizacji, schronić się przed słońcem i jadać przyzwoite posiłki w czystych lokalach! Clive zaczynał żałować wyboru pokoju, lecz zwyciężył rozsądek. Jego fundusze nie pozwalały na zatrzymywanie się w bardziej eleganckich hotelach, do których w normalnej sytuacji od razu by się skierował. Niestety, nigdzie nie było śladu Fleur. Spotkał co prawda w barach ludzi, którzy o niej słyszeli, nie potrafili jednak nic mu powiedzieć poza tym, że przypuszczalnie wypłynęła ze „staruszkim”.

Rozczarowany Clive już miał się udać do biura okrętowego, by zasięgnąć informacji o statkach pływających do Townsville,



skąd pieszo mógł dotrzeć na najnowsze pole złotonośne w Charters Towers. Według miejscowych gazet tamtejsze tereny kryły potężne złoża, tak więc ciągle był czas. Potem jednak Clive przypomniał sobie, że przyrzekł sierżantowi Pollockowi, iż powiadomi go o miejscu swego pobytu, i niechętnie skierował się na posterunek policji.

Nie zastał Pollocka, kiedy wszakże przedstawił powody swojej wizyty, konstabl gwałtownie zerwał się od biurka i po chwili wrócił ni mniej, ni więcej, tylko z komendantem policji, który oznajmił, że przyjechał z wizytą z Brisbane i chętnie porozmawia z Clive'em.

— To jeszcze lepiej — odparł Anglik. — Nie ma to jak zaczynać od samej góry, sir.

— Do pańskich usług. — Komendant uśmiechnął się sympatycznie. — Proszę wejść i usiąść. Nie zabiorę panu dużo czasu.

Clive zajął miejsce na twardym krześle naprzeciwko Kempa, który nie śpiesząc się przeglądał jakieś akta, co pewien czas prosząc gościa, by wybaczył tę zwłokę. W końcu oderwał wzrok od papierów.

— Z notatek sierżanta Pollocka widzę, że wierzy pan, iż były pański współnik, pan Willoughby, jest niewinny?

— Tak jest. Ale Pollock miał tupet sugerować, że być może mnie to nie dotyczy. Że byłem w zмовie z Malem. Czy to także umieścił w raporcie?

— Sierżant Pollock musi patrzeć na tę poważną sprawę pod każdym kątem, panie Hillier.

— Doprawdy? A czy wziął pod uwagę Carnegiego?

Kemp nadal ciepło się uśmiechał.

— Pan Carnegie był ofiarą tego przestępstwa, o ile sobie przypominam. Dlaczego pan to powiedział?

Clive wiedział, że nie powinien wymieniać nazwiska Xiu, skoro ten w jakiś sposób kontaktował się z Malem. Nie miał zamiaru wysłać policji, by dręczyła Chińczyka. Od czasu spotkania z nim przeprowadził własne dochodzenie i odkrył, że Chińczycy doskonale grali w karty, a także udzielali pożyczek, aczkolwiek bezwzględnie egzekwowali długi. Clive zaczynał się zastanawiać, czy Carnegie także nie grał i czy nie pożyczał od Xiu. Tej drugiej kwestii w żaden sposób nie potrafił ustalić, choć szybko się dowiedział, że Carnegie istotnie grał o wysokie stawki.

Postanowił zaryzykować.

— A jeśli sam Carnegie potrzebował pieniędzy?

— Na co?

— A na co ludziom potrzebne pieniądze? Żeby spłacić długi oczywiście. Długi karciane.

— Myśli pan, że pan Carnegie miał długi karciane?

— Słyszałem, że grał o wysokie stawki. Czy Pollock to sprawdził?

— Ucieszy się pan na wieść, że sierżant istotnie zajął się tą kwestią i nie był w stanie znaleźć nikogo na polach złotonośnych ani w tym mieście, komu pan Carnegie winien byłby choćby pensa.

Cholera! Nawet jeśli Pollock zwrócił się do Xiu, to nie wydobył z niego żadnej informacji. Clive nie wiedział, co robić. Czy powinien wspomnieć o Chińczyku? Z drugiej zaś strony domyślał się tylko znaczenia niejasnych uwag rzucanych przez Xiu.

— I co z tego? — burknął. — Nadal twierdzę, że Carnegie maczał w tym palce. Inni na polach także tak mówią.

— Doprawdy? Nie potrafię znaleźć wzmianki o tym w raportach. Kto dokładnie wysunął takie oskarżenie?

— Nie pamiętam, ludzie tak gadali. Tak czy owak, z całym szacunkiem, panie komendancie, spełniłem swój obowiązek. Zgodnie z instrukcjami Pollocka zgłosiłem się na posterunek, jako że wyruszam w drogę. W najbliższym czasie zamierzam jechać do Townsville.

— Wybiera się pan do Charters Towers?

— O ile mi wolno. Dam panu znać, którym statkiem popłynę.

— Tak, proszę to uczynić.

— Więc nadal jestem podejrzany. A na Willoughby'ego nie macie nic poza oskarżeniem Carnegiego.

— To zeznanie naocznego świadka, panie Hillier.

Clive wstał i odsunął krzesło.

— W takim razie chyba się przejdę i osobiście zamienię słówko z Carnegie. Słyszałem, że jest w mieście.

To Kempa poruszyło. Zdecydowanym ruchem zamknął teczkę.

— Wolałbym, żeby pan tego nie robił, sir.

— Dlaczego nie? Przecież go nie zaatakuję. Chcę tylko z nim pogadać, skoro wy uwzięliście się na niewinnego człowieka. A jeśli Carnegie popełnił błąd? — Clive stwierdził, że powtarza słowa Xiu. — Czasami błędy nie są tym, na co wyglądają.

— Co dokładnie miało to znaczyć?

Clive nie był pewny, ale postarał się wytłumaczyć.

— Może to był świadomy błąd. Żeby skierować was na fałszywy trop. Pomyślał pan o tym?

Kemp wstał, by odprowadzić go do drzwi.

— Być może powinniśmy jeszcze raz porozmawiać, nim pan stąd wyjedzie, panie Hillier. Jednakże pod żadnym pozorem nie może pan omawiać tej sprawy z panem Carnegiem. — Głós komendanta stwardniał. — Niech pan się trzyma z daleka od niego.

Kiedy Anglik wyszedł, Kemp z powrotem usiadł za biurkiem, by sporządzić kilka notatek. Uznał Hilliera za bardzo interesującego człowieka. Wspomniał własną wizytę w domu Carnegiego w Brisbane, gdzie zastał jego żonę we łzach. Rozpaczała, że mąż nie wraca do domu i trudno jej radzić sobie z tą sytuacją.

— Zwłaszcza przy wszystkich naszych troskach — łkała.

Jako człowiek z gruntu dobry, Kemp cierpliwie jej słuchał i współczującymi słowami pomagał zrzucić z serca ciężar. Dowiedział się, że państwo Carnegie siedzą po uszy w długach, że dom trzeba będzie sprzedać i tak dalej.

— A teraz, kiedy mąż zmuszony został do rezygnacji z płatnej posady, nie mamy żadnych dochodów. Wiem, że powinnam współczuć rodzinom biedaków, których zastrzelono w tym strasznym napadzie, ale bandyci nas także doprowadzili do ruiny!

Dziwne, że Carnegie wydawał się nie przejmować swoją sytuacją finansową, leniuchując w Maryborough, podczas gdy powinien być przy żonie. O nie, jeśli ktokolwiek miałyby omawiać tę sprawę z byłym komisarzem, to na pewno nie Hillier. Mógłby spłoszyć królika, a wtedy nikt nic nie zyska. Dlaczego Carnegie nie wyjeżdża z Maryborough?

Kemp podrapał się po głowie, sam sobie odpowiadając na to pytanie. Bo nie ma sił, by stawić czoło problemom czekającym w domu. Po prostu zwleka. Ale w takim razie po co te wszystkie opowieści o udziałach w kopalniach złota?

Komendant głośno się roześmiał. Niewykłuczone, że to poza, żałosna próba zachowania godności, rzecz całkiem normalna. Gdyby tylko Willoughby nie uciekł. Pod groźbą kary śmierci wydałby swoich współników w tej przerażającej zbrodni.

Kemp wrócił do swojego raportu. Od tej chwili co miesiąc policyjna eskorta będzie konwojować transporty złota z Gympie

do Maryborough, a w drodze do Brisbane zastąpią ją prywatni ochroniarze. Kemp żałował, że nie może awansować Pollocka, jednakże na przeszkodzie stała ucieczka Willoughby'ego. Sporo wody w rzece upłynie, nim sierżantowi to zapomną. Chyba że złapie bandytę, ale to mało prawdopodobne. Zbir pewnie jest już daleko poza granicami okręgu.

Mieszkanie poza domem państwa Manningtree dało Emilie nową energię. Przyjemność sprawiał jej spacer wczesnym raniem, zaczynała rozpoznawać drzewa rosnące wzdłuż drogi i starała się identyfikować inne. Postanowiła, że wróci do rysowania, biorąc niektóre jako modele.

Najczęściej dzieci czekały na nią przy bramie, tryskając entuzjazmem, co Emilie wykorzystywała w klasie, wiedziała bowiem, że urok nowości szybko zblaknie. Dla zabawy ze śpiewem maszerowała z nimi przez ogród, później, kiedy jeszcze nie zdążyły się rozbrykać, zlecała im pisanie wypracowań, na koniec pozostawiając ćwiczenia ortograficzne i arytmetykę. Była bardzo zajęta, ucząc trójkę dzieci na trzech różnych poziomach, ale wszystkie pilnie przykładały się do pracy.

Niekiedy klasę odwiedzał Bert Manningtree. Sypiąc swymi zwykłymi żartami i mrugając porozumiewawczo, pytał, czy uczniowie dobrze się sprawują, i cieszył się, słysząc chóralne „tak”, bez względu na to, czy była to prawda. Emilie jego wizyty nie przeszkadzały, inną sprawą natomiast było, kiedy z rzadka pojawiała się jego żona. Przyprawiała ze sobą przyjaciółki; stały i przyglądały się lekcjom, mówiąc guwernantce, żeby ignorowała ich obecność, chichotały i dzieliły się wspomnieniami z własnych szkolnych lat. Panna Tissington żałowała, że nie może im zwrócić uwagi, iż rozmowy w klasie w dalszym ciągu są zabronione. Wiedziała, że pani Manningtree popisuje się faktem posiadania guwernantki, który dla niej jest oznaką statusu rodzinny, cierpiała więc w milczeniu, czując się głupio, jakby występowała na scenie.

Niedługo po wyprowadzce do klasy znowu przyszła pani Manningtree z dwiema przyjaciółkami. Gawędziły donośnym szeptem, podczas gdy Emilie uczyła małą Rosie dodawania na kolorowych klockach. Słyszała, że kobiety mówią o niej, i udawała, że nie zwraca na to uwagi.

— Więc już tu nie mieszka? — zapytała jedna.

— Nie — odparła pani Manningtree. — Naprawdę potrzebny mi ten pokój. Nie mogę ważnych gości takich jak hrabina umieszczać na dachu. Namawiam Bertę, żeby dobudował skrzydło gościnne, co nie znaczy, że brakuje nam przestrzeni.

— A gdzie ona mieszka?

— Nie uwierzycie — zachichotała pani Manningtree. — Wprowadziła się do chaty Paddy'ego Mooney a nad rzeką. Warunki o wiele gorsze niż u mnie. Jeszcze chwila, a zaczniesz brać od ludzi pranie.

— I nie przeszkadza jej to? — szepnęła przyjaciółka.

— Najwyraźniej nie. Czysz jest niski.

Kiedy kobiety wychodziły, Emilie kazała dzieciom wstać i życzyć im dobrego dnia, po czym spróbowała skoncentrować się na pracy. Choć podsłuchane uwagi były dla niej obraźliwe, wcale się nie zdenerwowała, wręcz przeciwnie, uznała je za interesujące. Molly Mooney miała rację. Tych ludzi nie obchodzi, że samotna kobieta mieszka sama, co w domu wywołałoby burzę plotek. Oni tylko się dziwią, że guwernantka z jej pochodzeniem zgodziła się zamieszkać w zwykłej chacie.

— Zresztą to wcale nie jest chata — mruknęła — tylko porządny domek.

— Co? — zapytała Rosie.

— Nieważne. Jeśli zabiorę te pięć klocków, to ile zostanie?

— Pięć!

— Doskonale, dobra z ciebie dziewczynka. Jimmy, przestań się gapić. Skończyłeś słupki?

— Jeszcze nie, panienko.

— Więc się pośpiesz, bo inaczej Rosie cię przegoni.

Uśmiechnął się i schylił głowę skrobiąc po tabliczce.

Niski czynsz? zadumała się Emilie. Zobaczmy. Mai powiedział, żeby kupiła ten dom. Stał na pięknej działce z widokiem na rzekę, czego państwo Manningtree nie mieli. Emilie postanowiła: kupi go.

Falą wróciły myśli o Malu, lecz je od siebie odpędziła. Dzieci mają prawo do jej całkowitej uwagi.

Wieczorem, gdy wychodziła przez bramę, zobaczyła nadjeżdżającego dwukółką Bertę Manningtree.

— Chcesz, żebym cię podwiózł do domu, panienko?

— Nie, sir, dziękuję. Nie chciałabym sprawić panu kłopotu.

## ZATOKA ORCHIDEI

— To żaden kłopot. Wskakuj! — Nawrócił i ruszył zwykłym tempem. Powóz turkotał i podskakiwał na wybojach i dziurach, jakby trzeba je było atakować, a nie omijać.

— Wie pan, gdzie mieszkam? — zapytała Emilie.

— Jasne. Sporo miłych chwil spędziłem tam z Paddym. Łowiliśmy ryby, smażyliśmy i popijaliśmy kilkoma kufelkami.

— To bardzo przyjemny domek — powiedziała obronnie.

— Molly już tego dopilnowała. Nigdy by nie pozwoliła, żeby domek Paddy'ego popadł w ruinę.

— Chce go sprzedać.

— Naprawdę? A to niespodzianka.

— Jest zbyt zajęta, żeby z niego korzystać, choć chyba też za wiele wspomnień się z nim wiąże.

— To racja. Byli bardzo do siebie przywiązani, Paddy i Molly. Przez całe życie zakochani. — Wstrzymał konia. — Proszę, panienko, jesteśmy na miejscu. Prr! Stój, James. Na pewno dobrze ci się tu mieszka?

— O tak. — Emilie dostrzegła okazję do własnej intrygi. Jeśli kupi ten dom, pani Manningtree szybko się o tym dowie, a choć nikt nie mógł przewidzieć jej reakcji, Emilie spodziewała się mściwości wywołanej taką niespodzianką. Najlepiej będzie, jeśli sama zrobi pierwszy krok. Pani Manningtree może i prowadzi dom, ale prawdziwym szefem jest Bert. On trzyma w rękę sakiewkę.

— Mogę pana o coś zapytać, panie Manningtree?

Usiadł prosto, nie wypuszczając z rąk cugli. Koń tymczasem prychnął i dyszał z wysiłku.

— Pewnie, że możesz. W domu wszystko w porządku?

— O tak, w najlepszym. Ale skoro pani Mooney sprzedaje tę chatę, a ja nie mogłam nigdzie indziej znaleźć odpowiedniego mieszkania do wynajęcia...

— Powiedziałem o tym Violet. Ostrzegłem, że może cię stracić, jeśli taką miłą dziewczynę jak ty zmusi do zamieszkania w jednej z tych zapchlonych nor, które tutaj uchodzą za pensjonaty...

— Nie w tym rzecz. Przyszło mi tylko do głowy, że skoro dom i ziemia są na sprzedaż, to może powinnam je kupić. Jak pan myśli?

Manningtree zmarszczył brwi. Zdziwił się.

— Co? Chcesz to kupić?

<,  
,,

— Cóż, potrzebny mi dom, a ten jest ślicznie położony.

— Kupić? — powtórzył. W ten parny wieczór wydawał odór potu i trocin, ale Emilie nauczyła się już szanować rezultaty uczciwej pracy, choć w przeszłości Tissingtonówny nie zniżyłyby się do rozmów z parobkiem. Ten człowiek ciężko pracował. Wyjeżdżał do tartaku o świcie i nie wracał do domu przed zachodem słońca.

— A skąd weźmiesz pieniądze? — zapytał. — Chcesz zaciągnąć pożyczkę?

Emilie uśmiechnęła się słodko.

— Och nie, sir. Mam trochę pieniędzy. Widzi pan, ojciec dał nam, mnie i siostrze, po drobnej sumce na czarną godzinę... — Kłamstwo przyszło jej łatwo. Kłamstwo, którego wobec Ruth nie mogła użyć. Będzie musiała wymyślić inne. Bóg wie, jak wytłumaczy to siostrze.

Bert Manningtree roześmiał się.

— Ha, jedno muszę ci przyznać, dziewczyno, jesteś sprytna. I dlaczego nie miałabyś być, z twoim wykształceniem? To samo ciągle powtarzam Violet. Nasze dzieci będą potrzebowały porządnego wykształcenia, w przeciwnym wypadku moją gotówkę szybko roztrwonią.

Emilie już wcześniej słyszała ten wykład, kiwnęła więc głową.

— Byłabym wdzięczna za radę, sir — rzekła, choć dobrze wiedziała, jaka padnie odpowiedź. — Pan zna to miasto. Czy pana zdaniem byłoby to stosowne?

— Co rozumiesz przez stosowne? — Zająknął się na ostatnim słowie.

— Czy to słuszna rzecz.

O mój Boże, pomyślała, ależ się robię chytra...

— Dlaczego nie? — odparł ostro. — Po mojemu to sprytnie. Cholernie sprytnie. Nie możesz na tym stracić. To miejsce rozwija się z szybkością pocisku, nim zdążysz splunąć, będzie miało prawa miejskie. Dlatego kupuję grunty w środku Kent Street, sporo mnie teraz kosztują, ale poczekaj. Z innymi inwestycjami będę wart fortunę, kiedy przejdę na emeryturę.

— Dziękuję, panie Manningtree. — Emilie zebrała suknię, by wysiąść z dwukółki.

— Poczekaj. — Jej doradca przygryzał wargę. Transakcja ogromnie go zainteresowała. — Ile ona chce?

Emilie na powrót usiadła.

— Och, nie mam pojęcia!

— Nie wiesz? Ale chcesz kupować? Boże, kobiety! Zastanówmy się. Co tutaj mamy? Pół akra, o ile dobrze pamiętam, co mówił Paddy. No i dom. Nie jest taki surowy, na jaki wygląda. I masz zbiornik na wodę, jeden z najlepszych. Starczy ci do końca życia.

Nie przeszkadzała, gdy kontynuował to wylizanie. Wreszcie doszedł do konkluzji.

— Założę się, że będzie chciała od dziesięciu do piętnastu funtów. Zaproponuj osiem. Możesz trochę podwyższyć, ale powiesz, że trzeba wykarczować busz wokół domu i zrobić porządną ścieżkę od furtki do wejścia. Podczas deszczów złamiesz sobie kark ślizgając się w dół. I jeszcze daszek nad frontowymi drzwiami, choć tak jak widział to ten cholerny Paddy, wcale nie są frontowe. Ale z tej strony na takie wyglądają. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Emilie była przerażona.

— Sama nie wiem. Pani Mooney była dla mnie bardzo miła, nie mogłabym...

— Nie przejmuj się Molly. To twarda sztuka. I grosza też jej nie brakuje. Na pewno masz gotówkę?

— Tak, proszę pana.

— W takim razie zostaw to mnie. Ja to z Molly załatwię. Doprowadzę sprawę do końca, nim pojawi się ktoś inny.

— Mam nadzieję, że pani Mooney nie będzie zła.

— Tym sobie głowy nie zaprzataj. Cieszę się, że mogę to dla ciebie zrobić.

— To bardzo uprzejme z pana strony, panie Manningtree.

Zsunął kapelusz na tył głowy i uśmiechnął się szeroko.

— Cała przyjemność po mojej stronie, panienko, bo dla mnie jeszcze coś to znaczy.

— Przepraszam, ale nie rozumiem.

— To znaczy, że zostajesz, prawda? A biorąc pod uwagę dobro moich dzieciaków, nic lepszego nie możesz mi powiedzieć. Może nie umiem dobrze mówić, panienko, ale wiem, że bardzo się starasz, a one cię kochają. To dla mnie najważniejsze. A teraz wyskakuj i biegnij do domu, nim zrobi się ciemno. Jutro pogadam z Molly.



Dobito targu. Emilie została dumną posiadaczką działki numer 759 na końcu Ferny Lane w parafii Maryborough i bardziej była z tego powodu zdenerwowana niż podniecona, wiedziała bowiem, że nie będzie mogła zaprosić do siebie Ruth, chyba że powie jej prawdę o tym, skąd wzięły się środki na zakup, a to było wykluczone.

— Ojejku — westchnęła. — Ale wszystko się skomplikowało!

Manningtree wynegocjował cenę w wysokości dziewięciu funtów oraz przeprowadzenie żądanych poprawek, a pani Mooney wcale się nie obraziła. Wręcz przeciwnie, cieszyła się, że „chatka Paddy'ego, przeszła na własność młodej damy, która potrafi docenić jej zalety, tak więc wszyscy byli szczęśliwi z wyjątkiem naturalnie pani Manningtree, rzucającej kostyczne uwagi o ludziach „wynoszących się ponad swój stan”, czego zresztą należało oczekiwać. Emilie zdumiewało, że tak łatwo radzi sobie ze złośliwościami i ordynarnością tej kobiety, choć w przeszłości wyprowadzało ją to z równowagi, wręcz prowokowało do gniewnych reakcji. Teraz puszczała słowa chlebodawczyni mimo uszu i czuła większą pewność siebie. Nic dziwnego, oto bowiem zmuszona została sama o siebie zadbać, a spóźniona refleksja skłoniła ją do zmiany swojej postawy. Ona i Ruth były zbyt sztywne, za bardzo trzymały się na dystans, by porozumieć się z ludźmi w tym kraju, a w każdym razie w tym mieście. Tutaj trzeba się ugiąć, być bardziej towarzyskim. Emilie przypuszczała, że siostra doszła do tego samego wniosku.

I właśnie o tej kwestii brutalnie jej przypomniano, kiedy postawny mężczyzna zatrzymał ją na ulicy przed hotelem Prince of Wales.

— Oczom nie wierzę! Przecież to panna Tissington! Jak miło znou panią widzieć.

Emilie zamrugała nie potrafiąc umiejscowić tego człowieka; podejrzewała, że to przypuszczalnie jeden z gości państwa Manningtree...

— Kemp — przedstawił się nieznajomy. — Jasper Kemp. Nie pamięta mnie pani? Razem z żoną mieszkaliśmy w pensjonacie Belleview w tym samym czasie co pani i siostra.

Poczuła, że policzki zalewa jej rumieniec. Pamiętała tę parę, pamiętała też, jak z Ruth ostro traktowały jego żonę, chociaż ta zwracała się do nich uprzejmie. Co myśły sobie myślały?

zmarławiła się teraz w duchu. Ci ludzie musieli uznać nas za niewiarygodnie niegrzeczne.

Zakłopotana pośpieszyła z odpowiedzią, by jakoś to naprawić.

— Pan Kemp, o tak, oczywiście, że pamiętam. Jak miło znowu pana widzieć! Dobrze się pan miewa? Śliczny dzień dzisiaj, prawda? A jak się miewa pani Kemp? Czy jest tu z panem...

Uśmiechnął się.

— Miewam się doskonale, dziękuję. I nie, pani Kemp tu nie ma. Przyjechałem w interesach. A pani? Mieszka pani tutaj?

— Tak. — Emilie już się uspokoiła. — Tak. U miejscowej rodziny mam posadę guwernantki.

— To świetnie. Lubi pani swoją pracę?

— Lubię, i to bardzo. Dzieci są naprawdę grzeczne.

— I mają szczęście, że uczy je taka wspaniała nauczycielka.

— Rozejrzał się dokoła, po mężczyznach idących ulicą, po rzędach koni przywiązanych do barierek, po wozach ciągniętych przez woły na nabrzeże. — Sądziłbym, że to miejsce jest dla pani zbyt dzikie i za dużo tu owiec.

— Tak było, kiedy tu przyjechałam — odparła Emilie z uśmiechem. — Wszyscy ci nieznajomi mnie przerażali, ale człowiek się przyzwyczaja...

W tej samej chwili z hotelu wyszła pani Mooney.

— A, Emilie, widzę, że już poznałaś komendanta.

— Jesteśmy starymi przyjaciółmi, pani Mooney — wyjaśnił Kemp. — Ja i żona spotkaliśmy tę młodą damę w Brisbane. A jak się miewa pani siostra, panno Tissington?

— Prawdę mówiąc, właśnie wróciła do Brisbane. Znowu mieszka w Bellevue. Dziękuję, miewa się dobrze.

Do świadomości Emilie dotarło słowo „komendant” i przypomniała sobie, że ten człowiek jest policjantem. Dobry Boże, w dodatku wysokim rangą.

Pani Mooney miała wielką ochotę na pogawędkę, lecz Emilie oboje przeprosiła tłumacząc się pilnymi sprawami. Pożegnała się z panią Mooney, po czym rzekła do Kempa:

— Miło było znowu pana spotkać. Mam nadzieję, że wizyta w mieście okazała się udana. Na mnie naprawdę już czas.

Ruszyła ulicą walcząc z pokusą, by pobiec, uciec od tego człowieka, od prawa. Wyrzuty sumienia pchały ją niczym porwany wiatr. Dopiero kiedy była od nich daleko, przystanąła i oparła się o płot. Serce dudniło jej w piersiach. Wiedziała, że to czysta

głupota tak się denerwować w obecności policjanta, ale po prostu nie potrafiła zapanować nad własną reakcją.

Obecnie Emilie nosiła szeroki słomkowy kapelusz, ozdobiony granatowymi i białymi wstążkami pasującymi do stroju, który zawsze wkładała do pracy: białej bluzki i granatowej spódnicy. Poprawiła go teraz i ruszyła naprzód. Spotkanie z Kempem przypomniało jej o Malu, a teraz nie chciała o nim myśleć. Ledwo udało jej się wyrzucić z pamięci wspomnienia o własnym zachowaniu tamtej nocy. O wstydzie. Przecież wprost zaprosiła go do łóżka! Co on musi o niej myśleć? Tym razem płomienny rumieniec zabarwił jej policzki. Ale Mai wykazał większy rozsądek. Emilie zawsze wierzyła, że tylko mężczyźni dają się ponieść namiętności...

— Cóż, myliłaś się — mruknęła maszerując z pochyloną głową. — Choć prawdziwe damy tak nie postępują.

Tamte pieszczoty jednak były prawdziwą rozkoszą. Wciąż czuła uścisk jego silnych ramion i dotyk ust.

Ostrożnie powędrowała myślami do sypialni, jakby była tam tylko gościem. A gdyby Mai został? I gdyby uniesiony namiętnością dzielił z nią łóżko — czy rzeczywiście pozwoliłaby mu na to? Zgodziłaby się z nim kochać? Próbowała sobie powiedzieć, że chyba nie, z drugiej zaś strony... sama tego pragnęła, zaprzeczenia nic tu nie dadzą. Przebywanie z Mallem w romantycznym odosobnieniu było ekscytujące, poczuła wówczas takie podniecenie, że samo myślenie o tym było kłopotliwe.

Czy jednak była to miłość? A może serdecznie mu współczuła, pragnęła go pocieszyć i zostać przez niego pocieszoną i nie potrafiła właściwie ocenić własnych odczuć? Budził w niej silne emocje, a przecież nie był mężczyzną, który powinien ją pociągać. Z całą pewnością nie. Ruth, nawet w najbardziej przychylnym nastroju, nigdy by go nie zaakceptowała. Ale był miły i nie ulegało wątpliwości, że bardzo ją lubi...

Emilie w porze lunchu poszła do miasta kupić nowe buty, uciekając jednak przed Kempem, skręciła w znajomą trasę powrotną do domu i zupełnie zapomniała o swoich planach.

Wzruszyła ramionami: załatwi to innym razem. Idąc podjazdem zauważyła, że niektóre drzewa okryły się śnieżnobiałym kwieciami, mimo iż była teraz tak zwana zima. Ogród państwa Manningtree wyglądał wspaniale w ten ciepły słoneczny dzień.

Na frontowym ganku stała pani Manningtree. Dla niej była to zima, bez dwóch zdań, na suknię z brązowej serży zarzuciła jaskrawy wełniany szal. Gestem wezwała do siebie Emilie, która zaraz ją się zastanawiać, co złego zrobiła tym razem.

Jednakże chlebobdawczynie rozplywała się w uśmiechach. Cóż za odmiana.

— Ma pani gościa, panno Tissington. Czeką w salonie.

Ponieważ Emilie przez całą drogę rozmyślała o Malu, był jedynym gościem, jakiego mogła sobie wyobrazić. Była wstrząśnięta, w głowie jej się kręciło. Chyba nie jest na tyle szalony, żeby tutaj przychodzić!

— Tędy! — syknęła pani Manningtree dając do zrozumienia, że Emilie wolno wejść przez frontowe drzwi. Zdumiona i bardzo, bardzo zdenerwowana, Emilie weszła na schody i ruszyła w kierunku salonu.

Czekając na pojawienie się guwernantki, Clive cierpiał męki w towarzystwie tej okropnej kobiety, pani Manningtree, której lawina pytań zmuszała jego wyobraźnię do pracy, bo przecież nie mógł powiedzieć, że o wizytę u panny Tissington prosił go jej przyjaciel bandyta.

— Jest pan Anglikiem, panie Hillier? Zna pan pannę Tissington z domu?

Dla wielu mieszkańców kolonii domem była Anglia, choć nigdy tam nie byli.

— Niestety nie, dotąd się nie spotkaliśmy. Jestem przyjacielem rodziny.

— Panna Tissington nigdy nie opowiada o rodzinie, wspomina tylko siostrę. Która też jest guwernantką.

— A tak, istotnie. Ludzie dobrze mówią o obu paniach.

— Czym zajmuje się ich ojciec?

— Jest na emeryturze — odparł Clive niefrasobliwie. — Przewdziwy dżentelmen. Ale brakuje mu polowań. Spadł z konia.

— Doprawdy? A co młodego dżentelmena takiego jak pan sprowadziło w nasze strony, panie Hillier?

Tutaj wreszcie stapał po twardym gruncie.

— Przyjechałem się rozejrzeć i postanowiłem spróbować szczęścia na polach złotoonośnych...

Kiedy ten temat uległ wyczerpaniu i Clive zaczął się zastanawiać nad odejściem, musiał jeszcze wysłuchać sentymental-

nych opowieści o jakiejś hrabinie, która niedawno złożyła wizytę pani Manningtree.

— Zna pan hrabinę?

— Obawiam się, że nie — odparł, z nadzieją spoglądając na drzwi.

— Jaka szkoda, że się pan z nią rozminął. Czarująca dama. Moja najbliższa przyjaciółka. Rozważam wyjazd do Londynu w najbliższej przyszłości. A skąd dokładnie pan pochodzi?

— Z Reading.

— Ach tak. Czy to blisko Nottingham? Bo tam mieszka hrabina.

— Nottingham jest bardziej na północ...

I tak trwała ta rozmowa o niczym, dopóki pani domu nie zobaczyła nadchodzącej podjazdem panny Tissington.

— Oto i ona. Zaraz ją do pana przyprowadzę.

Clive czekał i zastanawiał się, po co w ogóle zaprzęta sobie głowę tymi ludźmi i co właściwie ma powiedzieć guwernantce. Kiedy wszakże weszła, wyglądając tak słodko i nieśmiało, zmienił zdanie. Panna Tissington była urocza. Ciemnowłosa, niezbyt wysoka, ale zgrabna. Skórę miała kremową i bez skazy, oczy cudowne, wielkie, niebieskie. Nic dziwnego, że Mai tak się zadurzył. Ale jakim cudem Mai, człowiek z buszu, zdołał zdobyć taką dziewczynę?

Jej chlebodawczyni stała w progu, Clive więc szybko powiedział:

— Panno Tissington, jestem Clive Hillier...

Ostrożnie kiwnęła głową.

— Jak pan się miewa, panie Hillier?

— Pani mnie nie zna, ale jestem przyjacielem rodziny. Prosim, żebym panią odwiedził.

Sprawiła wrażenie zdezorientowanej, co Clive'a nie zdziwiło. Równie dobrze poza siostrą mogła nie mieć żadnej rodziny. Pani Manningtree wciąż tu była i nie mógł niczego wyjaśnić.

— Taki dzisiaj piękny dzień — powiedział robiąc krok w stronę guwernantki. — Czy miałaby pani ochotę na spacer?

— Jak pan sobie życzy — odparła sztywno.

Clive zwrócił się do pani Manningtree:

— Pani ogrody są zachwycające, madame.

Cofnęła się dziękując za komplement. Nie miała wyboru, mogła tylko patrzeć, jak oboje wychodzą z domu.

— Przepraszam, panno Tissington — rzekł Clive, gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu gospodyni. — Nie znam pani rodziny, ale musiałem coś wymyślić. Jestem przyjacielem Mała. Mała Willoughby'ego.

— Rozumiem. — Jego słowa przyjęła obojętnie.

— Dostałem od niego list. Prosił, żebym panią odwiedził.

— W jakim celu?

— Podejrzewał, że pani jest tutaj nieszczęśliwa.

— To nieprawda.

— Cieszę się, że to słyszę. — Clive westchnął. — Proszę posłuchać, jestem tylko posłańcem. Myślał, że chyba jest pani nieszczęśliwa, że przyjemność sprawi pani czyjeś towarzystwo.

— I przysłał pana, panie Hillier? A kim pan jest?

— Byłem jego współnikiem na polach złotonośnych. Szło nam całkiem dobrze, ale później Mała to znudziło i postanowił wyjechać. Do miasta przybył z konwojem złota. Zakładam, że pani wie, co potem się wydarzyło?

— Tak, wiem.

Trudny był z niej orzech do zgryzienia.

— Proszę mi wybaczyć — mruknął. — Czy mam rozumieć, że nie uważa się już pani za jego przyjaciółkę? O ile w ogóle kiedykolwiek nią pani była.

Spodziewał się z jej strony obrony przed oskarżeniem, że opuszcza przyjaciół w biedzie, oporów przed przyznaniem się do bliskiej znajomości z człowiekiem ściganym przez prawo, ona wszakże spojrzała na niego, dumnie zadzierając brodę.

— A pan, panie Hillier? Jest pan nadal jego przyjacielem czy tylko ciekawskim posłańcem?

— I jedno, i drugie — odparł stanowczo. — Ani przez chwilę nie wierzyłem, że Mai brał udział w tym przestępstwie, i znalazłem to policji.

— Ja też w to nie wierzę — powiedziała cicho. Uzgodniwszy swoje stanowiska, szli dalej.

— Miała pani wiadomości od niego?

Emilie nie zamierzała zwierzać się nieznanemu. Spotkanie z Małem było sprawą osobistą.

— Nie pisze do mnie, panie Hillier. I wolałabym, żeby tego nie robił. Jestem zaskoczona, że podjął ryzyko napisania do pana.

— List przekazali mi przyjaciele.

— Nie będę pytać skąd.

- Clive wzruszył ramionami.
- Nie napisał. To był krótki list. Zniszczyłem go na wypadek, gdyby policja przeszukała mój namiot. Czuję ich oddech na karku, bo byłem współnikiem Mała. A panią niepokoił?
- A dlaczego mieliby to robić? — zapytała zimno. — Pan jest jedyną osobą, która wie, że jesteśmy przyjaciółmi. Poznałam go w Brisbane i od tamtej pory pozostawaliśmy w kontakcie.
- Ale do pani nie pisze?
- Już mówiłam.
- Wiem. Z mojej strony to był raczej smutny komentarz na temat jego położenia. Biedny Mai. Bóg wie, co się z nim stanie.
- Czy mógłby pan jakoś mu pomóc?
- Poza złożeniem oświadczenia na policji nawet nie wiedziałbym, od czego zacząć.
- Chyba nie — mruknęła Emilie ponuro.
- Podjazdem biegł za nimi chłopiec.
- Panno Tissington! — wołał. — Mama powiedziała, że musi pani wracać do lekcji. Jest po drugiej.
- Tak, już idę, Jimmy. — Zwróciła się do Clive'a: — Przykro mi, panie Hillier, czas na mnie.
- Nie możemy tak się rozstawać — odparł wesoło. — Nie omówiliśmy jeszcze wszystkich spraw rodzinnych.
- Jakich spraw?
- Mrugnął znacząco.
- Będą urażeni, jeśli nie pozwoli mi pani przekazać sobie wieści z domu. O tym, że pani ojciec już nie poluje, i całej reszty. Nim pani przyszała, ucieliśmy sobie z panią Manningtree zajmującą pogawędkę. O której pani kończy?
- O siódmej — wtrącił Jimmy zadowolony, że może być pomocny.
- Doskonale. Przyjdę po panią o siódmej, panno Tissington. Rodzina bardzo się ucieszy, że panią znalazłem. Dobrego dnia, młodzieńcze — dodał klepiąc chłopca po głowie, po czym ruszył w stronę bramy.
- To pani narzeczony? — zapytał Jimmy.
- Ależ nie. Dopiero poznałam tego dżentelmena.
- Mama mówi, że to szlachcic.
- Emilie roześmiała się. Co dalej? Tytuł dla pana Hilliera, żeby zrobić wrażenie na Violet Manningtree? Jeszcze jedno kłamstwo w całej ich litanii, w którą ostatnio się zaplątała.

Jeśli nie narzeczony, to na pewno wielbiciel. Choć Emilie odmawiała rozmów na ten temat, taka była opinia wszystkich domowników, bo pan Hillier wiecznie tkwił na progu, czekając na guwernantkę. A pani Manningtree była zachwycona. Okazało się wprawdzie, że Clive nie ma tytułu, ale jego ojciec jest pułkownikiem, i to Violet wystarczało. Wymyślała zajęcia, żeby opóźnić wyjście Emilie i móc spędzić czas w salonie z panem Hillierem, gdzie częstowała go szklaneczką whisky albo sherry. A Emilie, mającej za przyjaciela eleganckiego dżentelmena, nie zabraniano już wchodzić do domu przez frontowe drzwi, którą to odmianę personel kuchenny przyjął atakiem śmiechu.

— Panienska to naprawdę drapie się w górę — żartowała Kate.

Choć nie wielbiciel w ścisłym tego słowa znaczeniu, Clive był zauroczony panną Tissington. Przekonał się, że musi dokładać starań, by na jej twarzy wywołać uśmiech, by przełamać rezerwę, skłonić ją do mówienia o obecnej posadzie i swojej rodzinie, lecz z drugiej strony wiele ich łączyło. Oboje przyjechali z Anglii, byli wykształceni i mogli dzielić się wrażeniami wspominając szok kulturowy, jakiego doświadczyli w tym obcym kraju.

Na początek kilka razy odprowadził ją do małej chatki nad rzeką. Później namówił na kolację w mieście, choć zgodziła się pójść tylko do hotelu Prince of Wales, bo znała jego właścicielkę, panią Mooney. W niedzielne popołudnie zabrał ją na koncert orkiestry przy Wharf Street i najwyraźniej jej się podobało. Zresztą trudno powiedzieć. Nigdy niczym się nie entuzjazmowała.

Do diabła, dziwił się Clive, jakim cudem Mai Willoughby zdołał się zbliżyć do niej na tyle, że uznała go za przyjaciela? Panna Tissington była prawdziwą tajemnicą. Wyzwaniem.

Tymczasem opowieści o niebezpiecznych warunkach panujących na północnych polach złotonośnych dotarły do miasta i Clive, człowiek wybredny, szybko trafił ochotę na wyjazd. Kiedy zaproponowano mu pracę kierownika składu celnego przy Wharf Street, przyjął ją z wdzięcznością — decyzję podjęto za niego. Miał zajęcie, gdy zastanawiał się nad następnym ruchem. Gdy cieszył się towarzystwem Emilie Tissington. Trafił na prawdziwy skarb w tym subtropikalnym miasteczku na rubieżach. Biedna Emilie. Pochodziła ze świata, w którym przejawem złych manier było ściąganie na siebie uwagi otoczenia, lecz to właśnie



jej schludność, zachowanie damy sprawiały, że wszystkie głowy w mieście odwracały się za nią, choć zupełnie nie uświadamiała sobie zainteresowania, jakie powszechnie budzi.

Ale jak Mai do tego wszystkiego pasuje? Nie pasuje wcale, po namyśle do takiego wniosku doszedł Clive. Emilie wprawdzie przyznała, że to jej przyjaciel, wierzyła w jego niewinność, ale wydawało się, że na tym koniec. Nigdy nie wspominała jego imienia, w każdym razie nie z własnej woli. A kiedy Clive o nim mówił zastanawiając się, gdzie teraz jest Mai i jak się miewa, bo chciał, żeby z czymś się zdradziła, zrećcznie zmieniała temat. Dla Clive'a stało się jasne, że Mai przesadnie opisał znajomość z Emilie. Typowe jednostronne zadurzenie, Mai na myśl o niej robił cielece oczy — i dlaczego miałby nie robić? — podczas gdy dla niej był tylko przyjacielem, może nawet znajomym. I to miało sens.

W końcu, mówił sobie Clive, ja jestem bardziej w jej typie.

Emilie też tak myślała. Pochlebiało jej zainteresowanie Clive'a i cieszyła się, że ma przy sobie dżentelmena, z którym może wychodzić. Przynajmniej jego Ruth by zaaprobowała, tak jak uczynili to państwo Manningtree. Zaprosili go nawet na kolację i pozwolili, by dołączyła do nich Emilie. Oczywiście doszło do rzeczy nieuniknionej. Musiała zagrać na pianinie. To ją zirytowało, choć Clive uważał, że bez powodu.

— Przyjemny wieczór — powiedział. — Wyśmienite jedzenie, żona wprawdzie to nudziara, ale stary Bert jest w porządku. Kiedy weszłaś między wrony, moja droga, musisz krakać jak i one. A grasz bardzo dobrze.

Odąd został kierownikiem składu, Clive zamieszkał w Bush Inn, kolejnym znanym hotelu, który przyjmował wyłącznie mężczyzn, i zaprosił tam Emilie na kolację. Nie bardzo jej ten pomysł odpowiadał, ale zaufała jego osądowi. Spędzili miło wieczór, później odprowadził ją do domu.

Nie po raz pierwszy szedł z nią do bramy, po raz pierwszy jednak cmoknął ją w policzek na pożegnanie, co Emilie wydało się gestem bardzo sympatycznym i słodkim. Zaczynała przywiązywać się do Clive'a — był dżentelmem i mogła na nim polegać. Miłą odmianą było mieć go przy sobie, ulgę przynosiła świadomość, że bez dyskusji rozumie jej położenie. Mieszkając sama, nie mogła zaprosić go do domu; oboje wiedzieli, że trzeba przestrzegać względów przyzwoitości.

Kiedy wszakże zamknęła za sobą drzwi i zapaliła lampy, zadrżała jak od chłodu. Zawsze istniała możliwość, że będzie czekał na nią Mai, a to wymagałoby wyjaśnień, bez których doskonale mogła się obejść. Nie zapomniała o nim. Wciąż się o niego martwiła, lubiła go, ale wydawał się znikać z jej życia. Jak powiedział Clive, w żaden sposób nie mogli mu pomóc, nie wiedzieliby, od czego zacząć. Mai był na wolności, ale gdzie dokładnie? Wydawało się nie w porządku, że ona i jego przyjaciel mogą cieszyć się życiem, podczas gdy biedny Mai walczy o przetrwanie. Było to nielojalnością wobec niego.

Emilie poszła spać przygnębiona, marząc nie o Clivie, z którym spędziła radosny wieczór, lecz o Malu Willoughbym i jego pożegnalnych pocałunkach.

Emilie nie potrafiła się zmusić, by powiadomić Ruth, że jest właścicielką chaty. Było na to za wcześnie. Ruth dopiero co pogodziła się z faktem, że siostra zamierza pozostać w „wynajętym” mieszkaniu, choć nie przyszło jej to łatwo. W listach od niej wciąż pełno było wzmianek o konieczności dbania o reputację, niezależnie od swobodnych manier miejscowej ludności. Emilie musiała się uśmiechnąć — nowo nabyta wolność dała jej okazję do zwiedzania miasta. Już jej nie przerażała obecność czarnych ani potężnych mężczyzn w butach z ostrogami, którzy pstrykali w kapelusz, gdy ją mijali. A co do swobodnych manier, Ruth dostałaby ataku waporów, gdyby się dowiedziała, że w tym mieście tyle samo jest domów rozpusty co hoteli. I że jej młodszą siostrą zdaje sobie sprawę z ich istnienia.

Na początku mijała te domy spiesznym krokiem, by uniknąć spojrzeń hałaśliwych i wulgarnych kobiet przesiadujących na werandach, dopiero później po jednej z rzuconych szeptem uwag kucharki o wszystkich tych burdelach powstających w Maryborough ze wstrząsem uświadomiła sobie, kim te kobiety są. Teraz, jeśli tylko było to możliwe, starała się przechodzić na drugą stronę ulicy.

W każdym razie ostatnio Ruth wydawała się szczęśliwsza, mniej zajęta sprawami Emilie niż własnymi. Pojawiła się możliwość pracy w charakterze nauczycielki w Brisbane Ladies College i Ruth uważała, że doskonale się do niej nadaje. Odwiedziła przełożoną szkoły; rozmowa przebiegła bardzo dobrze. Ruth była pewna, że jej kandydatura zostanie zaaprobowana przez zarząd.

PATRICIA SHAW

Bardziej zajmujące były jednak ciągłe wzmianki o panu Bowlesie. Jej przyjacielu. Jej drogim przyjacielu. Takim uprzejmym i pomocnym. Wydawali się nierozłączni. I pan Bowles przesyłał ukłony dla siostry. Emilie cieszyła się ze względu na Ruth i pytała o szczegóły tej ekscytującej znajomości, choć doczekała się reprimendy za niestosowne osobiste uwagi. Ruth wyjaśniła, że pan Bowles lubi czytać jej listy, ostatni natomiast musiała przed nim ukryć, by uniknąć zakłopotania.

„W przyszłości postaraj się być bardziej powściągliwa, Emilie”, ganiła ją siostra.

Powściągliwa? Emilie westchnęła wychodząc rano z domu. Myślała o Malu, swoim przyjacielu bandycie. On nigdy nie dorówna idealnemu panu Bowlesowi.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

W wigilię wyjazdu Kempa do Brisbane na głównej ulicy Maryborough, tuż przed urzędem pocztowym, doszło do wydarzenia, które odnowiło powszechny gniew i oburzenie z powodu morderstw w Blackwater Creek. Były komisarz do spraw złota miał atak serca i spadł z konia. Gdyby na ratunek nie skoczył mu zwinny młodzieniec, Carnegie znalazłby się pod kołami wozu wyładowanego po brzegi drewnem.

Wypadek wzbudził wielką sympatię do człowieka, który zdaniem wszystkich już i tak dość wycierpiał i był powszechnie omawiany na rogach ulic i w pubach przez dobrych obywateli Maryborough. Już po kilku godzinach tłum zebrał się przed posterunkiem policji, żądając podjęcia działań i postawienia sprawców przed obliczem sprawiedliwości. Protestujący twierdzili, że przez napady dokonywane przez zbirów i włóczące się wolno bandy czarnych nie czują się bezpieczni we własnych łózkach, a także oskarżali policję o beczynność i niekompetencję.

Pollock cieszył się, że Kemp przebywa w mieście. Był jego przełożonym i to on powinien przemówić do tłumu, podając najlepsze wymówki, jakie tylko przyjdą mu do głowy, prawda bowiem była taka, że nie mieli najmniejszego pojęcia, gdzie mogą obecnie przebywać dwaj poszukiwani, Willoughby i McPherson. Kemp sprawił się doskonale, jego ranga budziła zaufanie, gdy obiecywał przyjazd nowych policjantów i z tajemniczą nutą w głosie informował, że śledztwo posuwa się naprzód...

Mimo to nazajutrz wsiadł na statek płynący do Brisbane.

Nim statek odbił od nabrzeża, obaj udali się do kajuty Kempa, by przestudiować lokalną gazetę, w której na policji nie zo-

stawiono suchej nitki. Pollocka ta lektura przygnębiła, on bowiem nie wyjeżdżał.

Kemp odepchnął gazetę. Zaczynał myśleć jak polityk.

— Ha, można się było tego spodziewać, prawda? — zauważył.

— Czego mianowicie?

— Że nam dopieką. To ich praca. Niech się pan tym nie przejmuję.

Dobrze mu tak mówić, pomyślał Pollock, choć na głos nie mógł tego powiedzieć, powrócił więc do sprawy, która obu martwiła.

— Co zrobimy z Carnegiem?

— Miejmy nadzieję, że będzie żył. Jest świadkiem.

— Dlaczego wciąż tu jest?

— Bo jego wierzyciele są w Brisbane, tak mi się wydaje. Chciałem go namówić, żeby jechał ze mną, ale się nie zgodził.

— I nadal trzyma się swojej wersji?

— Co do słowa.

— Wierzy mu pan?

— Jestem skłonny mu wierzyć. To nie przestępstwo być splukanym.

— Chyba nie.

Sfrustrowani pograżyli się w milczeniu, słuchając miękkich uderzeń fal o burty i cichych głosów innych pasażerów wsiadających na statek.

— Lepiej niech pan już idzie — powiedział Kemp — bo odpłynie pan ze mną.

— Tak, wiem. Jest pewna sprawa, którą usiłowałem sobie przypomnieć, choć teraz wydaje się niewarta wzmianki.

— A o co chodzi?

— Nie zamieściłem tego w raporcie, bo wtedy o tym zapomniałem, ale pamiętam, jak Willoughby krzyczał, że Taylor nienawidził Carnegiego. Coś w tym rodzaju...

— No i?

— Cóż, Carnegie twierdził, że śmierć Taylora była dla niego strasznym szokiem. Ciągłe to powtarza. Utrzymuje, że byli najlepszymi przyjaciółmi.

— Tak, mnie też o tym mówił. Ale niech pan pamięta, że nagła śmierć może wymazać wszelkie pretensje. — Kemp podniósł się z koi, by odprowadzić Pollocka. /

## ZATOKA ORCHIDEI

— Wiem, dlaczego jednak Willoughby miałby zwracać uwagę na równie trywialną rzecz, i to w takim czasie? Widziałem, jak się zdziwił, kiedy Carnegie powiedział, że Taylor był jego przyjacielem. To było szczere zdziwienie.

Kemp pokręcił głową.

— Mimo to reakcja Carnegiego jest naturalna. Miał pan sporo czasu do przemyślenia tej sprawy i gdzie umieścićby pan w niej Willoughby'ego?

— Trudno powiedzieć. Poznałem go. Jechałem z nim. To sympatyczny chłopak, ale wielu przestępców takich jest. Nie wziąłbym go za mordercę, gdyby Carnegie go nie wskazał.

— Nie udowodniliśmy, że zabił. Był tylko jednym z dwóch, którzy dokonali napadu.

— Prawda. I jeszcze jedno. Nie udało mi się dowiedzieć, co robił Willoughby pomiędzy przyjazdem do miasta i skontaktowaniem się ze mną a naszym wyjazdem na miejsce, gdzie czekał transport złota. Rozpytywałem się, ale nikt go nie widział. Spóźnił się, kiedy wrócił na posterunek.

— Chce pan powiedzieć, że mógł spotkać się w mieście z jakimś członkiem bandy? Mało prawdopodobne. Po takim napadzie raczej ruszyli w góry.

Pollock kiwnął głową.

— Tak, ma pan rację. To niemożliwe. Po prostu nie lubię luk, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

— Rozumiem.

Statek płynął w górę rzeki, Kemp zaś stał przy relingu, wystawiając twarz na łagodną bryzę. Nurt rzeki prowadził między namorzynami i gęstym lasem, który w niczym nie zdradzał toczącego się za nim życia. Z punktu obserwacyjnego Kempa ład wydawał się nie zamieszany. Późnym popołudniem przepłynęli szeroką zatokę, minęli kolorowe skały i wybrzeże sławnej Wyspy Fräsera, po czym znaleźli się na otwartym oceanie i skierowali na zachód.

Kemp jadł kolację z kapitanem, po raz kolejny słuchając fascynującej opowieści o przygodach pani Fraser, która uszła cało z katastrofy morskiej, i o pięknie samej wyspy. Kapitan tam był, należał do grupy szukającej innych ocalałych po ucieczce pani Fraser, która wiele lat przeżyła wśród czarnych. Kemp żałował, że nie skorzystał z okazji i nie odwiedził tego miejsca, by na własne

oczy zobaczyć kryształowo czyste błękitne jezioro, o którym wszyscy mówili, miał jednak ważniejsze sprawy na głowie. Zadowolił się wyborną whisky kapitana i słuchał uważnie.

Rankiem wszakże, kiedy spacerował po pokładzie, rozmyślał o Taylorze. O urzędniku z nieskazitelnymi referencjami. O człowieku, który zwiedzony powierzchownością i słowami Willoughby'ego przyjął go na konwojenta po rekomendacji Carnegiego. O człowieku, przypomniał sobie, który prowadził staranne zapiski i rejestry. Który w Brisbane miał żonę. Teraz jest wdową, poprawił się w myślach.

Ocean był lekko wzburzony, ożywczy, jako że wiał lekki wiatr, a nieba nie znaczyła ani jedna chmurka. Nieliczni pasażerowie byli sympatyczni, a kapitan stanowił doskonałe towarzystwo, mimo to Kemp chciał już jak najszybciej wrócić do Brisbane. Modlił się, żeby Taylor pozostawał w dobrych stosunkach z żoną, bo przy jego pedanterii na pewno by do niej pisał, informując o swym pobycie na polach złotonośnych. Może nawet wspomniał o Carnegiem.

Tej nocy Jasper Kemp położył się spać z ostrożną refleksją: „Ha, to niewykluczone”. Sprawie chyba warto poświęcić chwilę.

Mimo iż Allyn był przytomny, oczy na wszelki wypadek miał zamknięte. Leżał na łóżku tak twardym jak półka w kostnicy. I równie zimnym. Przydałby mu się jeszcze jeden koc, ale nie chciał o nic prosić. Cierpienie było jego życiem. Jego przeznaczeniem. Co znaczy kilka godzin bólu dla człowieka skazanego, przekłętego? Przy najmniejszym ruchu w głowie mu pulsowało, bolała go każda cząstka ciała. Umierał, był w agonii, ale nikogo to nie obchodziło. Wiedział, że jest w nędznym szpitalu w buszu, ohydny miejscu, w którym cuchnęło metanolem i fenolem, odorami „przed i po”, jak mawiała jego matka, gdy ostatnie dni spędzała w podobnej jak ta wiejskiej lecznicy. Pierwszy był po to, by przywracać do życia, drugi zaś do dezynfekcji, kiedy dusza opuściła już ciało.

No cóż, rozmyślał Allyn, nie mogę się wprost doczekać, kiedy moja dusza uleci. Z radością powitam wyzwolenie z cierpienia, od tych rzeczowych głosów, które rozmawiają przy mnie, jakbym już był trupem.

„Atak serca”, powtarzali nonszalancko, jakby serce było fortem, na który wrogowie wypuścili tylko kilka strzał, jtkbby

ataki serca były rzeczą trywialną, powszechną i wcale nie śmiertelną.

„O mało go nie zabił”, usłyszał Allyn i potwierdził w duchu, bo nie chciał ruszyć głową, by uniknąć bolesnego dudnienia, kiedy weszli do pokoju, potrącili łóżko, podczas gdy jego serce trzepotało się w piersiach, bliskie końca. Biedne serce, co z oczu, to z pamięci.

Przez całe życie poddawane było ciężkim próbom. Tyle wysiłku, tyle porażek, cud, że tak długo wytrzymało. Łzy napłynęły Allynowi do oczu, kiedy wspomniął swą ostatnią, końcową próbę. Starał się o tym nie myśleć, lecz sprawa była zbyt świeża. Zobaczył siebie wsiadającego na prom z koniem, pokonującego rzekę, odczuwającego ulgę, że nie trzeba celu tej przeprawy tłumaczyć przewoźnikowi, który o nic go nie zapytał. Dla niego był tylko kolejnym pasażerem. Zirytował się, gdy sobie uświadomił, że mógł wcześniej odbyć tę podróż.

Ruszył drogą w kierunku plantacji, wesoło machając dłonią, choć serce waliło mu jak młotem. Dość szybko skręcił na polną ścieżkę prowadzącą nad rzekę. Samotną ścieżkę, używaną prawie wyłącznie przez rybaków lub ludzi wchodzących na plantację tylną furtką, wiadomo bowiem było, że często zalewa ją woda, a poza tym kończyła się przy stromym wzniesieniu. Ślepa uliczka. Perry nie mógł pomylić drzewa. Rosło po lewej, rozłożyste figowiec z konarami sięgającymi nad błotniste wody rzeki. I każdy oprócz ślepca dostrzegłby znaki, które Carnegie osobiście wyrzył na pniu: VVV. Nic nie znaczyły. Nie zainteresowałyby nikogo poza Perrym. Niewinne litery wyróżnione dla zabicia czasu. Łup z napadu miał zostać wepchnięty do zagłębienia utworzonego przez splątane, wystające ponad ziemię korzenie.

Allyn rozejrzał się dokoła i zadrżał. Wyczuwał niebezpieczeństwo kryjące się w tym odizolowanym miejscu, lecz z wysiłkiem stłumił strach, bo wiedział, że jego źródłem jest to, co miał za chwilę zrobić. Strach, że zostanie przyłapany na odzyskiwaniu łupu. Strach, że Perry go okradł, wziął wszystko i uciekł.

Konia zostawił na wzgórzu, sam zaś zsunął się po błotnistym zboczu w kierunku drzewa. Kiedy był tu ostatnim razem, brzegi były suchsze, na splekanym i spieczonym błocie łatwiej stawiąco się stopy, dziś jednak musiał poradzić sobie ze śliskim gruntem. Miał nadzieję, że Perry umieścił worki w zagłębieniu ponad poziomem wody, bo rozpoczynając poszukiwania martwił się, że banknoty mogły ulec zniszczeniu.



Drzewo u podstawy miało wiele jardów średnicy, a otaczały je poplątane, wyciągnięte ku górze korzenie. Kiedy Allyn sprawdził pierwsze zagłębienie, serce mu się ścisnęło: nic. Obszedł całe drzewo, nie pomijając najmniejszej dziupli. Nadzieja blakła, jej miejsce zajęła rozpacz. Po raz drugi okrążył pień, potykając się o śliskie korzenie, modląc się i przeklinając; zaczął nawet szukać wyżej, pomiędzy twardymi, okrytymi listowiem gałęziami, lecz na próżno. Ani śladu worków.

Wreszcie się wyprostował. Syczał na drzewo, obrzucał Perry'ego każdą obelgą, jaką tylko potrafił sobie przypomnieć, a potem, biorąc pod uwagę głupotę współnika, sprawdził inne drzewa na wypadek, gdyby ten dureń się pomylił. Tylko Perry mógł popełnić taki błąd. Jednakże nad rzeką rosły setki drzew. Jeśli ukrył łup w jednym z nich, na pewno wykazał dość rozsądku, by wyryc na nim uzgodniony znak trzech V, widoczny z daleka na figowcu. Allyn kopał w pnie innych drzew ryzykując złamanie nogi, ale wiedział, że nie znajdzie skarbu, wiedział bez cienia wątpliwości, że dalsze poszukiwania to strata czasu. Baldy Perry go oszukał. Dla Allynajednak nie było to niespodzianką, ogarnęło go natomiast straszliwe, przynębiające poczucie klęski.

Ostrzegł go koń, który cierpliwie czekał na ścieżce, luźno przywiązany do drzewa lejcamy. Nagle prychnął i kopytami uderzył w ziemię, wyraźnie czymś spłoszony. Allyn mimowolnie spojrział na ścieżkę spodziewając się towarzystwa.

Nikt nie mógł go przyłapać na myszkowaniu bez uzasadnionego powodu w tej części lasu, szybko więc zaczął się wspinać po trawiastym zboczu, ślizgając się i przytrzymując darniny.

Koń jednak nie był tylko spłoszony. Sprawiał wrażenie oszalałego, kiedy szarpał się rozdymając chrapy. Allyn w jego oczach dostrzegł przerażenie. Obejrzał się na rzekę i zrozumiał: ogromny krokodyl, długi na co najmniej dwadzieścia stóp, wyszedł już z wody, kierując się w jego stronę.

— O Jezu! — wrzasnął. — O Jezu!

Strach dodał mu skrzydeł. Wbiegł na górę po zboczu, orientując się doskonale, jak szybko potrafią poruszać się krokodyle, nie odważając się oglądać za siebie, dopóki nie znalazł się na ścieżce, nad nią, daleko od konia, który teraz rżał i stawał dęba. Zwierzę zerwało lejce i uciekło w bezpieczne miejsce w dole ścieżki, gdzie zatrzymało się drząc na całym ciele.

Allyn zobaczył, że potwór stanął, potężnym pyskiem ze złowrogimi zębami grożąc otoczeniu i wyczekująco patrząc zimnymi oczami. Potem wielkie cielsko na tłustych łapach odwróciło się. Krokodyl, któremu ofiara się wymknęła, bezszelustnie zsunął się do wody. Nawet wtedy, chociaż był już bezpieczny, zahipnotyzowany tym widokiem Allyn bał się poruszyć. Serce waliło mu tak bardzo, jakby chciało wskoczyć do gardła, miał wrażenie, że zaraz się udusi. Potwór nie odszedł, na wpół zanurzył się w płytcźnie, gruzłowaty łeb i oczy wciąż były widoczne. Allyn zastanawiał się gorączkowo, czy on lub któryś z jego pobratymców nie dorwał Perry'ego. Te bestie bez trudu pożerały człowieka. Potrafiły — i często to robiły — pożreć też i konia. Jego wierzchowiec dobrze znał niebezpieczeństwo.

Wszyscy wiedzieli, że w rzekach na północy aż roi się od krokodyli. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Bo przy poprzedniej wizycie głowę miał zaprzątniętą planami, a poza tym poziom wody w rzece był niższy.

— O Boże — jęknął; poczuł żółć na myśl, jak mało brakowało. Ten potwór by go zabił. Zawłókłby do rzeki, obrócił twarzą w dół, by go utopić i pożreć, i nikt nigdy by się nie dowiedział, jaki straszny koniec spotkał Allyna Camegiego. Zwymiotował w ostrą trawę.

Koń już się uspokoił, otuchy dodała mu obecność pana, i rwał się do odjazdu, choć Allyn mógł nim kierować tylko poławajców, czego zresztą nikt na zatłoczonym promie do Maryborough nawet nie zauważył. Przewoźnicy mieli na głowie około dwudziestu wyspiarzy, którzy uciekli z plantacji w proteście przeciwko złemu traktowaniu i wsiedli na prom odmawiając zapłaty i domagając się, by zawieziono ich do miasta.

Allyn taki był roztrzęsiony, że wcale by go nie obeszło, gdyby ktoś coś dostrzegł. Przykucnął obok konia, swojego jedynego przyjaciela na tym świecie, jak stary buszmen, jak włóczęga bez przyszłości i bez wartej wzmianki przeszłości.

Po powrocie do miasta nie wiedział, dokąd się udać, siedział na koniu i pozwalał mu wędrować znajomymi ulicami. Zwierzę otrząsnęło się po przejściach nad rzeką, jego pan nie. Nie wiedząc o tym, minął swój dom, koń więc przejął dowodzenie, kierując się ku stajniom Graubera, gdzie czekał go własny boks i dobra strawa, kiedy nagle jeździec spadł, a przecież szli wolnym stępem.

Lekarz klepał go po ramieniu. Ten lekarz, ten przeklęty znachor, który nadawał się tylko na weterynarza, klepał go po ramieniu.

— Panie Carnegie, jak pan się czuje?

Allyna zirytowało to natręctwo. Czy nie pozwolą człowiekowi umrzeć w spokoju?

— Jak pan się czuje?

Musiał odpowiedzieć, jeśli chciał się pozbyć tego głupca.

— A według pana jak niby się czuję? — mruknął gniewnie, z trudem zbierając siły. — Miałem atak serca, który o mało mnie nie zabił i... — głośno nabrał powietrza, by móc dokończyć — ...moje płuca odmówiły posłuszeństwa. Niech mnie pan zostawi w spokoju.

— Nie, tego nie mogę zrobić. Miał pan łagodny atak serca, ale to pana nie zabije. Choć upadek z konia prosto pod koła wozu o mało tego nie dokonał.

— Upadek z konia? — Teraz Allyn nie miał trudności z mówieniem.

— Tak. Ostatnio niezłe się panu dostaje. Siniak na głowie, pęknięte zebro i kilka stłuczeń, ale nic panu nie będzie. Wyjdzie pan po kilku dniach. — Lekarz się roześmiał. — Tylko dobrzy umierają młodo.

— A cóż to znowu miało znaczyć?

— Przecież żartuję. Teraz niech pan odpocznie i coś zje. Jutro też do pana przyjdę.

Nigdy przedtem w całym swoim życiu pomimo trudnych prób i udręk, jakich doświadczał, pomimo wspaniałych planów rozpadających się w pył, Allyn Carnegie nie pragnął, by jutro nie nadeszło. Teraz wszakże modlił się o to. Życzył sobie śmierci, lecz jak zwykle nawet w tym ponosił klęskę.

Mai, który niezupełnie opuścił okręg, wciąż był w drodze, zapuszczając się coraz wyżej w góry wznoszące się za polami w Gypcie. W tym samym czasie Pollock wracał do Maryborough z więźniem, fałszerzem, który przez długie miesiące wprowadzał ogromny zamęt, płacąc podrabianymi suwerenami w zatłoczonych hotelach i tawernach.

Przez wiele dni Mai jechał nieustrudzenie, kierując się na północny zachód stanu, gdzie ludzie mieszkający na odosobnionych farmach lub w chatach drwali nigdy nie mieli nic przeciwko

towarzystwu przyjacielskich wędrowców. Wszedł w rolę poszukiwacza, nie złota tym razem, lecz gruntów, wiedział bowiem, że wieśniacy niczego bardziej nie lubią od rozwodzenia się nad zwycięstwami i porażkami, jakie czekają człowieka usiłującego ujarzmić busz. A nade wszystko był przyjaznym wędrowcem, o szczerzej twarzy i miłych manierach, zawsze uśmiechniętym i skorym do pomocy, w zamian za swoje usługi przyjmującym tylko poczęstunek.

Kopał studnie, pomagał w uciążliwym usuwaniu potężnych korzeni drzew z wykarczowanych pól, piłował drewno, zbierał opał dla kobiet, a co najważniejsze, nie pił i odmawiał, gdy uprzejmie proponowano mu szklaneczkę rumu lub whisky. Dla tych ludzi, z trudem utrzymujących się przy życiu w pozbawionych wszelkich wygod chatach, alkohol był rzeczą cenną i pochwalali powściągliwość Mała. Przy ognisku i herbacie z kociołka zawsze jakoś udało mu się wspomnieć nazwisko McPhersona i uważnie obserwował reakcje. Większość słyszała o Szkocie, który stał się częścią miejscowego folkloru, poza tym jednak bandyta nie budził większego zainteresowania i Mai jechał dalej.

Poszukiwania zabierały czas i były przygnębiające. Ponieważ często musiał się zatrzymywać, jechał na północ już od ponad trzech tygodni, choć w linii prostej pokonał zaledwie kilkaset mil. Dziwił się, że McPherson przejechał pięciokrotnie większy dystans, by dostać się do Bowen, miasta na północy. Choć z drugiej strony w przeciwieństwie do Mała Szkot nie miał zadania do spełnienia. Trzymał się tylko z daleka od przedstawicieli prawa, jak powinien czynić Mai. Lecz musiał znaleźć McPhersona. Nic innego nie potrafił wymyślić, bo jeśli McPherson mu nie pomoże, będzie się musiał ukrywać do końca życia. Albo do dnia, w którym go złapią, pomyślał ponuro.

Pewnej nocy, gdy był już niemal gotów zaniechać beznadziejnych poszukiwań i udać się w jedyne miejsce, które jego zdaniem zapewniało mu bezpieczną kryjówkę, czyli na farmę wuja na zachodnim krańcu Nowej Południowej Walii, wpadło mu do głowy, że McPherson jednak musiał podróżować w taki sam sposób jak on. On także potrzebował pomocy, nie tylko dla siebie, ale i swojego wierzchowca. Koń Mała już zgubił dwie podkowy. Biali nie potrafili przeżyć na własną rękę w tym surowym kraju, żywiąc się wyłącznie tym, co upolowali i nzebierali w buszu, a w tym względzie na tutejszych Aborygenów nie mogli liczyć.

Kto więc mu pomagał? Musiał gdzieś mieć przyjaciół. O ile w ogóle był w tej okolicy, myślał Mai z przygnębieniem.

Ponieważ wieczorem suchy gorący wiatr niósł nieomylny zapach płonącego buszu, Mai postanowił nie rozpalać ogniska, od którego łatwo mogła zająć się okolica, i poprzestał na puszcze fasoli i jabłku, które od wielu dni chował niczym skarb.

Rankiem wspiał się na wzniesienie i wyteżył wzrok. Dym kłębiący się nad odległymi wzgórzami powiedział mu, że niebezpieczeństwo jest daleko. A potem Mai dostrzegł inną smugę dymu wijącą się z chaty niemal ukrytej głęboko w dolinie. Zniechęcony wzruszył ramionami i postanowił, że równie dobrze może tam się zatrzymać.

Tym razem wszakże nie powitano go serdecznie. Zmęczona kobieta, domyślał się, że po trzydziestce, powitała go w progu ze strzelbą w dłoni i dziewczynką czepiającą się jej spódnicy.

— Czego chcesz?! — krzyknęła.

Mai uniósł ręce.

— Bez obaw, proszę pani. Nie jestem uzbrojony.

— Pytałam, czego chcesz.

— Po prostu przejeżdżałem. W drodze na północ.

— To jedź dalej.

Westchnął ciężko.

— Miałem nadzieję, że mogłaby pani użyczyć nam trochę wody. Mój wierzchowiec kona z pragnienia.

Zawahała się i Mai uśmiechnął się pod nosem. Człowiekowi pozwolą umrzeć z pragnienia, koniowi nie.

— W dole zbocza jest strumień.

— Ale jeśli jest na waszej posiadłości, to naruszę pani własność.

— Co?

— Przepraszam panią bardzo, nie chcę wkraczać na cudzy teren. Nie mam złych zamiarów. Wiedziała pani, że w górach jest pożar?

— O tej porze roku w górach zawsze są pożary.

— Tak przypuszczałem. Byłbym wdzięczny, gdyby nie celowała pani do mnie z broni. To mnie denerwuje. Przybywam z farmy Jake'a Raymonda i jadę do Rockhampton.

— To sporo zboczyłeś z kursu...

— Mogę zsiąść? Myślę, że straszmy pani córeczkę.

Dziewczynka istotnie wyglądała na przerażoną, więc kobieta pozwoliła zsiąść mu z konia.

- Ale trzymaj się z daleka. Jak masz na imię?
- Mai. — Gdyby się upierała, nazwisko podałyby fałszywe.
- Jesteś drwalem?
- Nie.

Musiał użyć słodkich słówek, w końcu jednak zdołał przekonać kobietę, że nie jest wrogiem, i pozwoliła mu zaprowadzić konia do poidła.

— Czemu tak bardzo boi się pani drwali? — zapytał. Odwróciła się ku niemu, wciąż ze strzelbą w dłoni.

— Bo to pijani dranie. Przechodzili tędy dwa dni temu i potraktowali mój dom jak tawernę. Krzyczeli i urządzali burdy...

— Zrobili pani krzywdę? — zatroskał się szczerze.

— Nie mieli okazji. — Ostrożnie odłożyła broń, Mai więc domyślił się, że jest nabita. — Ja i mała spałyśmy w stodole ze strzelbą wycelowaną we wrota. Gdyby któryś wszedł, dostałby to, na co zasłużył. Narobili mi w domu bałaganu i odjechali. Nawet nie przeprosili. Dotąd po nich sprzątam... dranie.

Taka była wobec niego podejrzliwa, że nie ośmielił się zapytać o jej męża. W końcu jednak złagodniała, poczęstowała go nawet herbata i odgrzanym gulaszem.

Pani Foley, tak przedstawiła się kobieta, mała Angela i Mai siedzieli przy zbitym z desek stole pod daszkiem, na którym wiła się purpurowa wisteria. Zachęcona postawą gościa pani Foley okazała się równie chętna do pogawędki jak wszystkie inne napotkane przez Mała gospodynie. Z entuzjazmem mówiła o pięknie tej spokojnej okolicy, po czym dumnie oświadczyła, że kupili ponad osiemdziesiąt akrów... „za tyle co nic”.

— Tutaj można uprawiać wszystko, to dobra ziemia. O wiele trudniej jest usunąć to, co samo chce rosnąć. W swoim czasie będziemy tu mieli wielkie sady, zapamiętaj moje słowa. — Choć siedzieli w cieniu, nic nie chroniło ich przed wiatrem, który szalejąc po polanie, zerwał pani Foley kapelusz z głowy i rzucił na płot chroniący długą grządkę z truskawkami. Mai pobiegł po niego, po czym wrócił do rozmowy o tym, jak samotne prowadzą tutaj życie. W odpowiedzi roześmiała się głośno.

— Nigdy nie jesteśmy samotne, za wiele do roboty. Ci przekłęci drwale to jedyny nasz kłopot. Mój mąż zawarł pokój z czarnymi, kiedy się tu sprowadziliśmy, więc nas nie nękają. Przeciwnie, czasami zabierają męża na polowanie i dobrze traktują naszą Angelę. Kilka miesięcy temu poszła sobie i zabłądziła,

o mało zmysłów nie postradaliśmy z niepokoju, ale czarni przyprowadzili ją z powrotem. Mogłabym ich wszystkich wycłouwać.

Dziewczynka się skrzywiła.

— Nie zabłądziłam. Po prostu się rozglądałam.

— Jasne — uśmiechnęła się matka.

W trakcie rozmowy o sąsiadach i gościach pani Foley uważała, by żadnym słówkiem nie zdradzić miejsca pobytu męża, jakby chciała dać do zrozumienia, że jest gdzieś niedaleko, aczkolwiek Mai domyślał się, że na jakiś czas wyjechał, aby pomóc sąsiadowi w ciężkiej pracy, co często zdarzało się w tych rzadko zaludnionych okolicach. Albo też odwozi zbiory do punktu skupu. W przeciwnym wypadku sam rozprawiłby się z drwalami.

Skoro jednak rozmawiali o gościach, wplótł nazwisko McPhersona w uwagę, że podobno bandyci lubią te okolice. Pani Foley natychmiast się nastroszyła.

— A co ci do tego?

— Nic, tylko nie chciałbym wpaść na jednego z nich w ciemną noc.

Jednakże ta odpowiedź nie przyniosła spodziewanego skutku.

— Jesteś z policji albo co? — zapytała. Znowu była podejrziwa.

— Ja? Bez obaw. Prawdę mówiąc, spotkałem raz McPhersona. W Brisbane. Dobrze mi się z nim gadało. Ale przed innymi miałbym się na baczności.

— Dlaczego? Nic do ciebie nie mają.

Mai się uśmiechnął.

— Chce pani powiedzieć, że nie mam nic, co warto by rabować. Chyba nie. Ale lepiej już się będę zbierał.

Nie zaprzeczyła.

— Możesz wziąć trochę wody ze zbiornika, jeśli chcesz. Ja i Angela mamy teraz robotę.

Tak odprawiony, napełnił bukłak pod jej czujnym wzrokiem, podziękował za gościnę i wskoczył na siodło.

Bardziej dla żartów niż z nadziei na przełom, pożegnawszy się, zawołał jeszcze wesoło:

— Jeśli kiedykolwiek zobaczy pani McPhersona, proszę go ode mnie pozdrowić!

Jadąc szlakiem, machaniem odpędzał gorący wiatr z twarzy, żeby zaczerpnąć choć łyk świeżego powietrza, bo kraśny odór

palących się eukaliptusów, niesiony z dymem od gór, był niezwykle intensywny.

Jakaś milę dalej trafił na wąski strumień. Przeprowadził się na drugi brzeg i spojrzął na szlak, który wił się przez busz ku stromym wzgórzom. Zapomniał spytać pani Foley, dokąd wiedzie ta droga. Nie żeby miało to jakieś znaczenie, wcześniej czy później i tak się dowie. Kolejna farma, samotny zajazd, obozowisko drwali. Rozważał, czy ruszyć w górę czy w pierw ochłodzić się w strumieniu, kiedy usłyszał znajomy trzask płonącego buszu, tak donośny, że pożar musiał być blisko. Rozejrzył się, ale z dna doliny nic nie potrafił zobaczyć. Drzewa ciągnące się po horyzont stały zielone i nieruchome, nic nie świadczyło o ogniu, nawet w poszyciu, choć żywioł bez wątpienia był blisko, być może po drugiej stronie wzgórza.

Mai nie należał do tych, co podziwiają widoki. Nie musiał wspinać się na wzgórze, by zobaczyć następny pożar buszu; nic nie dało się na nie poradzić, trzeba było czekać, aż same się wypalą. Stwierdził, że lepiej się wycofać, zawrócić więc konia i właśnie przeprowadzał go przez kamienisty strumień, kiedy usłyszał głośny trzask, jakby wielki silnik wypuścił parę...

— Jezu! — krzyknął. — No i masz ten swój przeklęty pożar.

Wiatr nawiewał dym na korony drzew, liście szamotały się bezładnie, a zaraz potem ogień przekroczył szczyt. Horyzont wyglądał jak postać z płonącymi włosami. Mai wyczekał na tyle, by przekonać się, że to piekło, że jeden wielki płomień objął wzgórze, gwałtownie postępując w wyschniętą jak pieprz dolinę, popędzany przez wiatr.

Spiął konia do galopu i popędził na szlak prowadzący do domu Foleyów, uświadamiając sobie, że ogień posuwa się równie prędko jak on.

Wiedziała. Była przed domem, oblewając cebrami wody drewniane ściany, podczas gdy Angela napełniała je tak szybko, jak potrafiła.

— Nie ma na to czasu! — krzyknął. Już otaczała ich chmura ciężkiego dymu. — Wsiadaj na konia!

Chciał złapać Angelę, lecz jej matka wrzasnęła:

— Zostaw ją w spokoju. Chodź i pomóż mi!

Przerażona dziewczynka uciekła do matki.

Mai zeskoczył z konia i chwycił kobietę za rękę.



— Zostaw to, ogień się zbliża. Jest za wielki. Tutaj nie masz szans.

Krzyczała na niego, żeby ją puścił, że ona nie porzuci swojego domu, ale wtedy zobaczył, że pożar, przypuszczalnie zaproszony przez iskry, wybuchł w buszu na tyłach budynku, wysokie płomienie w jednej chwili połknęły pole kukurydzy.

Przerażony koń stanął dęba i Mai musiał siłą trzymać go w miejscu, równocześnie odciągając od chaty kobietę, by wreszcie zaniechała beznadziejnych wysiłków.

Teraz upała była już intensywny. Mai wskoczył na siodło, w końcu zmuszając panią Foley, by usiadła za nim. Dziękował Bogu, że jest drobną, kościstą kobietą, bo bez trudu podniósł ją z ziemi. Przed sobą miał Angelę. Tymczasem ogień był już w zasięgu wzroku. Wierchowiec nie potrzebował ponagleń: ruszył z miejsca tak gwałtownie, że o mało ich nie zrzucił, utrzymali się jednak w siodle, pędząc szlakiem. Szybko jednak przekonali się, że ogień zagroził im drogę, otoczył ze wszystkich stron.

— Zakryjcie głowy! — krzyknął Mai wstrzymując konia. — Musimy się przedrzeć!

— To niemożliwe! — pisnęła kobieta.

Mai ściągnął koszulę i zarzucił koniowi na łeb. Nim zwierzę miało szansę się cofnąć, kopnięciem ponaglił je do biegu. Koń skoczył, próbując się uwolnić od zasłony na oczach, i przeszedł przez ogień w sekundę. Po drugiej stronie zobaczyli poczerniałe pola i drzewa przypominające strachy na wróble. Za nimi szalały płomienie.

Mai swym ciałem osłonił Angelę i dziewczynce nic się nie stało, lecz sam włosy miał spalone, a pani Foley gorączkowo wygarniała ogień z głowy i ubrania. Na nim także gasiła płomienie, dopiero kiedy koń, próbując zrzucić koszulę z oczu, przystanął, Mai uświadomił sobie, że pani Foley go bije.

— Po co to zrobiłeś? — łkała, wciąż uderzając pięściami w jego plecy. — Mogłeś nas zabić. Mogłeś zabić Angelę.

— Już wszystko dobrze — odparł uspokajająco. — Możesz zsiąść z konia.

Szli potem nieszczęśliwi drogą, prowadząc konia, starając się nie patrzeć na spalone ścierwa małych zwierząt, które zaścielały ziemię i zwisały upiornymi poczerniałymi kształtami z ogołocionych, zranionych eukaliptusów. Przynajmniej drzewa wrócą do życia, rozmyślał Mai, choć założył się, że jej dom i uprawy nie.

Milczenie przerwała Angela.

— Dokąd idziemy? — zapytała wciąż drżącym z przerażenia głosem.

— Nie wiem — odparł Mai. — Pójdziemy, dopóki nie minimy wypalonego pasa, a potem zobaczymy.

Dym z wolna rzednął, nic wszakże nie mogło pocieszyć kobiety w jej nieszczęściu. Mai widział łzy spływające po jej ponurej twarzy i wziął ją pod ramię, by pomóc wyminąć poczerńnięte stopy popiołu rozrzucone na szlaku, szybko jednak uwolniła się z jego uścisku. Pozwolił jej na to, będzie musiała po swojemu uporać się z tragedią.

Dał Angeli wody z bukłaka i sadzał ją z powrotem na konia, kiedy galopem zbliżyli się do nich trzej jeźdźcy. Wszyscy byli buszmenami z gęstymi brodami, a poczerńnięte twarze i ubrania świadczyły, że w innym miejscu walczyli z ogniem.

Jeden z nich, bez wątpienia mąż pani Foley, zeskoczył z konia i objął ją mocno.

— Dzięki Bogu nic ci się nie stało. I Angeli. Dzięki Bogu.

— Wszystko spłonęło — szlochała kobieta. — Ogień przyszedł tak szybko. Nic nie mogłam zrobić. Przepraszam.

— No, no, daj spokój. Wszystko dobrze. Nic na to nie można poradzić. To bez znaczenia, ważne jest tylko to, że wam obu nic się nie stało.

Pozostali mężczyźni także zsiadli, by ją pocieszyć, Foley tymczasem podbiegł do córki, zmuszając się do niewesołego uśmiechu.

— Popatrz tylko na siebie, siedzisz na wielkim koniu, a tatuś tak się o ciebie martwił.

— Przejechaliśmy przez ogień — powiedziała dziewczynka. — Było bardzo gorąco. Myślałam, że się spalimy, ale nie. Ten pan nam kazał. Mama nie chciała jechać.

Foley skłonił się Malowi.

— Dziękuję, kolego. Jestem twoim dłużnikiem. Nie mogłem wrócić na czas.

— Ogień szybko się rozprzestrzenił — odparł Mai. — Wybuchnął na tych wzgórzach, a widziałeś go dopiero wtedy, kiedy było za późno. Nic nie dało się zrobić.

Cała grupa jechała ponuro szlakiem, który prowadził na wschód. Kiedy znaleźli się na szczycie wzniesienia, Mai popa-

trzył przed siebie ze zdumieniem. Zbocze z drugiej strony było nietknięte, nozdrza wypełnił im słodki zapach buszu, wydał się niemal zbyt mocny po wilgotnym i kwaśnym odorze dymu. Mężczyźni obejrzeni się na zniszczenia za sobą, pokręcili głowami i ruszyli dalej.

Po kilku milach zostawili za sobą busz i znaleźli się na plantacji bananów. Mai w duchu szedł o zakład, że właściciel dziękuje swej szczęśliwej gwiazdzie.

Jak się okazało, właściciel był wśród nich. Nazywali go Ward. To imię czy nazwisko? zastanawiał się Mai. Zresztą nieważne, stwierdził po chwili. Ward poprowadził ich aleją pomiędzy wysokimi strzępiastymi bananowcami do domu. Na ich powitanie wybiegła jego żona, z wielką ulgą rozpościerając ramiona na widok pani Foley i Angeli.

Po niezbędnych wyjaśnieniach Ward ogłosił, że wszystkim należy się po drinku, mężczyźni zgromadzili się więc koło zbiornika na wodę, w dłoniach dźmierząc kubki z rumem.

— Jeśli można — powiedział Mai — wolałbym wodę. Nie lubię rumu.

Gospodarz był zszokowany.

— Woda jest wykluczona, Mai. Napij się rumu, od niego przybędzie ci mięsa na kościach.

— Nie pijam — wyjaśnił Mai. — Smak niezbyt mi podchodzi. Woda wystarczy. Okropnie jestem spragniony.

Żaden z nich nie zmył z siebie sady, bo szklaneczka przy zbiorniku była najważniejsza, to przy niej omawiali wypadki dnia. Mai wiedział, że kobiety pewnie zajmują się w kuchni parzeniem herbaty, marzył o filizance aromatycznego napoju, lecz w tym towarzystwie takie życzenie nie zostałoby dobrze przyjęte, choć ogłosili go bohaterem. Drugi z mężczyzn, którego nazywali Billem, do tej pory niewiele się odzywał, teraz wszakże łyknął rumu, otarł dłonią wąsy i spojrzał uważnie na Mała.

— Mówiłeś, że jak się nazywasz?

— Mai.

— Do diabła, zastanawiałem się, gdzie cię przedtem widziałem. Teraz wiem. Jesteś tym delikacikiem, co nie pije. I przypomniałem sobie twoje nazwisko, przeklęty gnojku!

Cichy głos przeszedł w znajomy ryk i Mai wiedział, że odnalazł tego, kogo szukał, choć już zdążył go zdenerwować.

Szkot skoczył i złapał Mała za koszulę.

I

## ZATOKA ORCHIDEI

— Nazywasz się Ned Turner, no nie? Cholerny kutwa. Dałeś mi zegarek za konia, ale nie powiedziałeś, że jest na nim wygrawerowane nazwisko. Musiałem go wyrzucić.

Mai gniewnie go odepchnął.

— To był mój koń. Ty pierwszy go ukradłeś.

— Nazywasz mnie koniokrądem?

— Nazywam cię McPherson i też nie masz na imię Bill.

Pozostali mężczyźni stali obok, uśmiechając się łagodnie. Ward wciąż trzymał kubek z wodą, który napełnił dla Mała, Matt Foley zaś opierał się o ogrodzenie, zaciekawiony, acz obojętny.

— Nieważne, jak mam na imię. Po co się tu kręcisz, Turner?

— Szukam ciebie. Od ponad miesiąca jestem w drodze i wszędzie cię szukam.

— Naprawdę? — McPherson spojrzał na kompanów i zachotał. — Słyszeliście? Musimy uważać, bo mnie w pojedynkę zwiąże i odda policji za nagrodę. Jak myślicie, mam z nim iść?

— Tak — roześmiał się Foley, choć teraz w jego głosie zabrzmiały groźne nutki, pozycja Mała jako bohatera wyraźnie się chwiała. — Jedź z nim. Może będziecie mogli podzielić się nagrodą.

— A może od razu rozwalę mu łeb. Tu nikt nie będzie za nim tęsknił.

— Chyba że jest w zмовie z łapsami — ostrzegł Matt. Tak w buszu nazywano policjantów.

Mai odsunął się od trójki kompanów.

— Spokojnie. Wszystkoście pomylili. Nie nazywam się Ned Turner.

— Niech mnie piekło pochłonie, jeśli nie — warknął McPherson.

— Ano nie. Jestem Mai Willoughby.

— Jasne, w tym tygodniu!

Mai zwrócił się do Szkota:

— Może byś się zamknął i posłuchał, co mówię. Nie czytasz gazet? Mai Willoughby!

— A co gazety mają z tym wspólnego? — burknął McPherson, zaraz wszakże drgnął, jakby coś go ugryzło. — Jezu Chryste! Willoughby! Ten z napadu na drodze z Gympie? W który mnie wplątałeś? Zabiję cię, ty draniu! — Aż się zapluwał z wściekłości.

— Nie miałem z tym nic wspólnego. Razem z Mattem byłem wtedy w Bundabergu, no nie?

Matt pokiwał głową i wtedy też Mai zaczął pojmować, dlaczego pani Foley nie podała powodu nieobecności męża. Przypuszczalnie był na robocie ze Szkotem. Sądząc po ich spokoju, gdy wymienił nazwisko „McPherson”, wszyscy zaplątani byli w przestępstwa, a ich farmy stanowiły idealne kryjówki. Mai przypomniał sobie łyzy pani Foley po stracie domu i upraw i odpowiedź Matta.

— Nie szkodzi, kochana, zaczniemy od nowa.

— Z czym? Jesteśmy zrujnowani.

— Nieprawda. — Foley mrugnął znacząco do Warda. Malowi wydało się wtedy, że Foley daje kamratowi do zrozumienia, iż musiał skłamać, teraz wszakże wiedział, że jest inaczej. Podobnie jak pani Foley, która zaraz ucichła. Kilka napadów postawi ich na nogi, podczas gdy dzięki farmom będą mogli uchodzić za porządných obywateli, którzy walczą z żywiołami głęboko w buszu, setki mil od miast na wybrzeżu.

— Nigdy nie myślałem, że tam byłeś — powiedział cicho. — Mógłbym zapalić?

Ward sięgnął do woreczka, zrolował papierosa i ująwszy go w dwa palce, podał Malowi. Dobroć, wdzięczność zniknęły z oczu tych mężczyzn, teraz widział jedynie twarde, bezwzględne twarze. Romantyczne opowieści o ich dokonaniach były li tylko legendami, o czym mogli zaświadczyć obrabowani przez nich ludzie. Mai wiedział, że musi mówić szybko. Kiwnął do McPhersona.

— Jeśli cię tam nie było, to kto był?

— Skąd mam do diabła wiedzieć? Ty mi powiedz. Ty tam byłeś.

Mai zaciągnął się papierosem.

— W tym cały kłopot. Mnie też tam nie było.

McPherson prychnął gniewnie.

— Nie próbuj nas przechytrzyć, synku. Byłeś w tym jak dwa a dwa cztery, a skoro przebyłeś taki kawał drogi, żeby mnie też w to wciągnąć, nie odjedziesz, póki nie usłyszymy, kto używał mojego imienia nadaremno, jeśli mnie rozumiesz. Z chęcią usłyszymy jakieś nazwiska.

— Dobrze, podam je wam. Ale najpierw musicie mnie wysłuchać. Opowiem, co się wydarzyło, od samego początku. Czy mogę prosić o wodę?

Wypił wodę, oddał kubek, po czym kucając opowiedział całą historię, poczynając od pół złotonośnych, na swojej ucieczce skończywszy, gładko omijając zirytowane pytania mężczyzn.

— I to tyle — rzekł wreszcie. — To właśnie się wydarzyło..

— A potem co? — zapytał Ward.

— No... potem się ukrywałem i...

— Pieprzyć cię. Co ze złotem? Kto je ma?

Mai otworzył szeroko oczy. Dla nich to pytanie było oczywiście, dla niego — najmniej spodziewane.

— A skąd mam wiedzieć?

— Po co opowiadałeś te wszystkie bzdury, jeśli nie wiesz, kto ma złoto? — warknął McPherson.

— Nie wiem — odparł Mai niespokojnie. — Pomyślałem tylko, że powinienem z tobą pogadać. Ciebie oskarżają tak samo jak mnie, a nie uważam, że brałeś w tym udział.

— Kogo obchodzi, co uważasz? Jesteś tylko drobnym oszustem.

— Mnie obchodzi, i to cholernie — odpalił Mai. — Chodź o moją szyję, tak samo jak o twoją. Musimy oczyścić nasze nazwiska.

— Jasne! Masz rację, chłopcze. Pojedziemy do Maryborough, osobiście im to powiemy, a potem pójdziemy do pubu i postawię ci nalewkę z malin.

Mai zwrócił się do Warda:

— Zrób coś, żeby przejrzął na oczy. To nie był zwykły napad, zamordowano trzech ludzi. Jeśli nas złapią, będzie po nas. Żaden sąd na świecie nas nie uniewinni.

— Mówisz, że przez cały ten czas się ukrywasz — wtrącił podejrzliwie Foley. — Skąd jesteś taki diabelnie sprytny? Jak dla nas, to jesteś cholernym kapusiem, który dla policji śledzi naszego kumpla. Jak dla nas, nie jesteś Willoughby. Nigdy nie widzieliśmy twojego zdjęcia w gazecie. Jimmy twierdzi, że nazywałeś się Turner.

Mai pokręcił głową. Nie lubił żadnego z tych mężczyzn, ale był na nich skazany. I na Billa, który nazywał się James McPherson, dla przyjaciół Jimmy.

— Zwędziłem ten przekłety zegarek tamtej grubej rybie i nie miałem zamiaru nikomu podawać swojego prawdziwego nazwiska. Dajcie mi spokój. Nazywam się Mallachi Willoughby i pochodzę z zachodnich krańców Nowej Południowej Walii. I nie

podoba mi się, że muszę się ukrywać z powodu czegoś, czego nie zrobiłem. Możecie mi wierzyć albo nie.

Napił się wody, podczas gdy oni napełnili kubki rumem i zupełnie na niego nie zważając, rozmawiali ze sobą.

— Dobrze — odezwał się wreszcie Foley. — Powiedz nam jeszcze jedno. Jeśli się ukrywasz, to kto ci pomógł? Jak ci się udało umknąć łapsom?

— Nikt mi nie pomagał. Nie znam nikogo w tym okręgu. Nie mogłem wracać na pola złotonośne, a ponieważ pomyślałem, że policja będzie się spodziewać, że ruszę w góry, wybrałem inny kierunek. Wschód.

— Jaki wschód? — Warknął McPherson. — Wpadłbyś do morza.

— Owszem — uśmiechnął się Mai. — I wpadłem. Więcej morza w życiu nie widziałem. Wybrałem się na Wyspę Frasera.

— Popłynąłeś wpław, jak przypuszczam? — zapytał Foley ostro.

— Nie, łodzią. Skumałem się z czarnymi i oni mnie tam zawieźli. Musiałem zapuścić brodę.

— O Chryste, faktycznie — mruknął McPherson. — Pod tym puchem ma twarz aniołka. Powinniśmy go ogolić.

— To się stąd nie ruszę, póki broda mi nie odrośnie. Możecie dać mi pracę na waszej plantacji.

— Od tego mamy czarnuchów — powiedział Ward. — Mówiłeś, że ten Carnegie dał ci pracę. O co w tym chodzi? Jeśli nie brałeś udziału w napadzie, po co wskazał ciebie? Według tego, co pisali w gazetach, widział dwóch ludzi na miejscu przestępstwa. Jednym był Jimmy, drugim ty. Dlaczego ty? Ufał ci. Dał ci pracę konwojenta. Czemu miałby cię wskazać?

Mai westchnął z ulgą: chyba uwierzyli, że nazywa się Wiloughby.

— Próbowiałem sam do tego dojść. Czemu uwziął się na mnie? Drań.

— Albo na mnie — wtrącił McPherson zapalając fajkę. Pociągnął kilka razy i spojrzał na Warda. — Chyba że nie było kogo wskazywać.

— Co to znaczy?

— To samo, co ja myślę — powiedział Mai.

McPherson spojrzał na niego groźnie.

— Zamknij się, synku, i nie przeszkadzaj mi w myśleniu. Ten Carnegie powiada, że widział dwóch bandytów. Dlaczego dwóch? Bo robota była za poważna dla jednego. Mówi, że na drodze mogło być ich więcej, ale nikogo innego nie widział. Prawdopodobnie ci inni nie istnieją. Jaka banda zostawiłaby na drodze kumpli siedzących na koniach jak jakieś damy dworu, skoro trzeba było działać szybko?

— Nie wygląda to za rozsądnie — przyznał Mai.

— Dobrze. Więc tylko dwóch ludzi brało udział w tej robocie. Łajdak opisał mnie i tego tu synka. Dlaczego? Bo ja jestem sławny, a jego można było ująć na miejscu.

— Przez łgarstwa Carnegiego.

— Zgodnie z jego planem — poprawił McPherson. — Po mojemu sam w to wszedłeś, naiwniaku.

— Nigdzie nie wchodziłem. Jechałem do Maryborough po eskortę policyjną.

McPherson wyprostował się z uśmiechem.

— I cholerna szkoda, że o tym nie wiedzieliśmy. Mogliśmy napaść na dylizans, wziąć złoto i nikogo nie musielibyśmy zabić.

Żona Warda zawołała ich na kolację.

— Zaraz! — krzyknął do niej Ward, po czym zwrócił się do McPhersona: — Więc jak to wygląda?

— Carnegie kłamie, to znaczy, że brał w tym udział. Ale kto był jego współnikiem? Dwaj ludzie, powiada. Zdradził się jak nic. On i ktoś jeszcze. Kto? Musimy dorwać drania.

Mai był podniecony. On także wyciągnął taki sam wniosek, nie śmiał jednak przeszkadzać Szkotowi i jego kumplom. Nie ulegało wątpliwości, że czytali gazety, choć wcześniej temu zaprzeczali, a McPhersona oskarżenia niepokoiły. Rozmawiali o sprawie w obecności żon, które krzątały się podając im zupę i gęsty gulasz. Na razie zapomniano o pożarze.

— Więc kto ma złoto — zapytał w końcu Foley. — Według gazet kumpel Mała, Carnegie, nadal jest w Maryborough.

— To nie jest mój kumpel. Wydawał mi się podejrzany od chwili, kiedy mnie oskarżył, ale czemu taka gruba ryba jak on miałyby się wplątywać w rabunek i morderstwo? I skąd wiecie, że jest w Maryborough?

McPherson westchnął. Kiwnął głową, dziękując kobietom, które wstały od stołu, żeby podać mężczyznom herbatę.



— Z powodu złota, żółtodziobie! Nikt nie jest odporny, ani bogacz, ani dziecko. W gazetach pisali, że niedawno w Maryborough było zamieszanie, dobrzy obywatele skarżyli się, że nikogo jeszcze nie powiesili. A twój pan Carnegie miał atak serca i spadł z konia. Nie umiesz czytać?

— Jestem zdany na siebie — odpalił Mai. — Nie mam kryjówek ani ludzi, co by mi kupowali gazety. I niedobrze mi od całej tej gadaniny. Co możemy zrobić? Wam się wydaje, że jesteście ode mnie sprytniejsi, ale chcą złapać nas, mnie i ciebie, McPherson. Jeśli ja mogę cię znaleźć, oni też. I wcześniej czy później mnie dopadną. Mamy mało czasu. Przyszedłem do ciebie po pomoc, a ty tylko gadasz.

Bandyci zaprawili czarną herbatę rumem. Mai dolał sobie mleka.

— Musimy się zastanowić — powiedział Ward. — Moja pani zrobiła ci posłanie w stajni, Mai. Idź tam i prześpij się. Kobiety zajęły się twoim koniem.

Słyszac tę odprawę Mai wstał. Do stajni odprowadził go Foley.

— Nie zapuszczaj się poza stajnię. Aborygeni i zarządca mieszkają dalej przy szlaku, nie muszą cię widzieć. I dziękuję, żeś zaopiekował się moją panią i małą. Przepraszam, że tak ostro cię potraktowaliśmy, ale... — Wzruszył ramionami. — Sam wiesz, czasy są ciężkie.

W stajni było ciepło, posłanie słodko pachniało czystą słomą. Sześć zadowolonych koni stanowiło miłe kojące towarzystwo. Mai spał jak nowo narodzony.

Rano obudziła go pani Foley. Podziękowała mu i przeprosiła za swoje nieprzyjemne zachowanie na drodze.

— Miałam nadzieję, że dzięki tej farmie Matt porzuci tamto zajęcie, a teraz nic z tego — lamentowała. — Wszystko znowu zaczyna się od początku. Wygląda, że nie będzie temu końca.

Mai wymamrotał podziękowania za gościnę, ale pani Foley jeszcze nie skończyła.

— A ty co z nimi robisz? Oni to stare wygi, ale ty jesteś młody. Na Boga, co na to powiedziałyby twoja matka?

— Moja matka od dawna nie żyje, pani Foley...

— Niech Bóg ma w opiece jej duszę, kiedy na ciebie patrzy z góry.

— Nie maczałem palców w tamtym napadzie.

— Może nie, ale mam uszy i czy nie słyszałam, jak Jimmy mówił, że ukradłeś zegarek? Nie widzisz, jak to wygląda? Zacząłeś od drobiazgu, a teraz po czubek głowy siedzisz w tarapatach...

Nie miało sensu sprzeczać się z nią; skoro raz zaczęła, musiała powiedzieć wszystko, co leżało jej na sercu.

— Najlepiej zrobisz, jak stąd wyjedziesz. Już mówią o następnym napadzie, żeby pomóc mnie i Mattowi. Zawsze jest następny. — Westchnęła ciężko. — Zawsze znajduje się powód i nie widać końca. Oprócz jednego, o którym nawet nie chcę myśleć. Więc ruszaj stąd, póki możesz, to nie jest miejsce dla takich jak ty. A teraz wstawaj i chodź na owsiankę.

Miała rację. Kiedy Mai z wielkiej misy nabierał łyżką owsiankę z dodatkiem melasy i śmietany, trójka przyjaciół już omawiała możliwość napadu na dylżans wiozący wypłaty dla robotników kolejowych gdzieś na północy; ku jego przerażeniu uwzględniali go w swoich planach, traktując jako członka bandy.

— Wszystko bardzo dobrze — Mai skorzystał z pierwszej okazji wtrącenia słowa — ale na razie najważniejszym problemem jesteśmy ja i pan McPherson. — Zobaczył, że się uśmiechnęli ironicznie, gdy z szacunkiem zwrócił się do Szkota, ale doświadczenia z przeszłości nauczyły go, że te drobne pokorne gesty zdobywają sympatię ludzi, wywołują uśmiechy. Dzięki nim zyskuje przewagę.

I tak też było teraz.

— Dobrze o tym wiemy, synku — powiedział Ward uprzejmie. — Znaleźliście się w niewesołym położeniu. Nie możemy nic dla was zrobić poza ukryciem was tutaj, ale Jimmy ma pomysł.

— Możesz iść o zakład, że mam — burknął McPherson. — I to więcej niż tylko jeden cholerny pomysł. Po pierwsze musimy jechać do Maryborough i wydusić prawdę z tego przekłętą Carnegiego.

Mai nie krył zdumienia.

— No i tu możesz na mnie liczyć. Na pewno nie wybiorę się do Maryborough.

— Poczekaj i daj mi skończyć. Po drugie oskarżają nas o ten napad, więc jeśli znajdziemy złoto, będzie należało do nas.

— Marna szansa — mruknął Mai.

- A po trzecie napiszę list do „Maryborough Chronicle”...
- On pisze dobre listy — wtrącił Matt.
- I co im powiesz? — zapytał Mai.
- Prawdę. Że ty i ja jesteśmy niewinni. Że Carnegie jest kłamcą. To bezpieczniejsze niż wyjazd do miasta.

— A potem co?

— Poczekamy i przekonamy się.

Najwyraźniej wszyscy trzej uważali to za doskonały pomysł, Mai natomiast nie widział w tym sensu.

— A jaką korzyść przyniesie taki list?

— Popatrz na to z tej strony — tłumaczył Matt Foley. — Jeśli ty albo ja napisalibyśmy list, od razu trafiłby do kosza. Ale nasz Jimmy jest sławny. List od niego trafi na pierwszą stronę.

— Dlaczego?

— Bo tak działają gazety. Muszą z czegoś żyć, jak my wszyscy. List od Jimmy'ego będzie sensacją.

— Skąd wiesz? — Malowi wszystkie trzy pomysły wydały się dość głupie, ale sam własnych nie miał. Szukał McPhersona dla towarzystwa, może i pociechy, niemądrze wierzył, że Szkot jakimś cudem wyplącze go z tego bałaganu, teraz wszakże wiedział, że nie znajdzie tu rozwiązania. Może trzeba spróbować wyjechać z kraju.

— W dawnych czasach Matt pracował w gazecie w Dublinie — wyjaśnił Ward.

Pani Foley, która przechodziła obok stołu, wtrąciła swoje trzy grosze.

— Szkoda, że nadal tam nie pracuje! — rzuciła ostro.

Foley zwrócił się do niej.

— A ty co znowu pleciesz, kobieto? Dawno już bym dyndał na stryczku za pisanie prawdy o Irlandii. To by ci bardziej odpowiadało? Wolałabyś tam przymierać głodem? A może z radością byś się mnie pozbyła, bo wtedy mogłabyś wyjść za Dinny'ego Murnane'a, który duszę by oddał dla pieniędzy?

Ze złością trzepnęła go ścierką i rozmowa zmieniła się w małżeńską kłótnię. Nie chcąc być świadkiem awantury, Mai wyszedł przed dom. Przyglądał się plantacji bananów, która sięgała zboczy okolicznych wzgórz, okrywając je bujną zieleńią, i w myślach układał powody do wyjazdu. Zgadzał się z panią Foley. Już i tak dość miał problemów, żeby jeszcze zadawać się z tymi ludźmi. Wiszące nad głową oskarżenie było dostatecznie

poważne, nie musiał szukać nowych. Decyzja jednak wprawiła go w przygnębienie. Czekala go samotna droga.

McPherson wcale nie był zadowolony, kiedy Mai oznajmił, że wyjeżdża.

— A dokąd niby pojedziesz? — rzucił podejrzliwie. — Wpadłeś na pomysł, żeby oddać się w ręce łapsów, co? Przehandlować Jimmy'ego McPhersona za własną skórę, tak? — Wstał uderzając pięścią w stół. — Nigdzie się stąd nie ruszysz.

Mai jednak nie przestraszył się krzyków Szkota. Sławny bandyta nie robił już na nim wrażenia. Poza tym w pobliżu kręciła się pani Foley z taką miną, jakby gotowa była jemu także przyłożyć ścierką, jeśli zmieni zdanie.

— Spokojnie — powiedział głośno. — Dobrze wiesz, że nie zbliżę się do policji. W tych stronach jestem obcy. Lepiej, jeśli nigdzie nie będę się zatrzymywał. Chyba nie chcecie, żeby miejscowi zaczęli się zastanawiać, kim jestem.

— Do diabła z nimi! Mamy dla ciebie robotę. To, że jesteś obcy, akurat bardzo się przyda.

— Nie wezmę udziału w tym napadzie, jeśli o to ci chodzi.

— Zrobisz, co ci każemy.

— A jak nie, to co? Wyświadczyć mi przysługę i rusz głową. Nie pasuję tutaj i kropka. Zaryzykuję na własną rękę.

— Dobra, spryciarzu. Dokąd pojedziesz?

— To moja sprawa. Jeśli o czymś się dowiem, dam ci znać.

— A co ze złotem? — przerwał im Ward. — Nie wiemy, kto je ma. Jedno jest pewne, policja łupu nie dorwała, więc istnieje możliwość, że wciąż jest u tego Carnegiego.

— Jeśli w ogóle je ma — odparł Mai.

McPherson gniewnym krokiem podszedł do kominka.

— Zgodziliśmy się, że tak — oznajmił wojowniczo.

— Myśleliśmy tylko, że może je mieć — poprawił go Mai. — I co z tego? Mnie nie zależy na złocie. Ja chcę oczyścić swoje nazwisko, a Carnegie na pewno mi nie pomoże.

— Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać — uśmiechnął się Ward. — Musimy go zapytać.

A ci znowu wyskakują z tymi zwariowanymi pomysłami, pomyślał Mai z pogardą. W ogóle nie powinienem był tu przychodzić. Jeśli zaczną szukać złota, nigdy nie uwolnię się od oskarżeń.

Zwrócił się do McPhersona:

— Zostawcie to. Tkniesz złoto i jak amen w pacierzu zawiśniesz. Przypiszą ci rabunek i morderstwa.

Mai widział, że McPherson aż nazbyt dobrze zdaje sobie sprawę z konsekwencji. Wyglądał na przygnębionego, ale nie zamierzał pozwolić, żeby Mai miał ostatnie słowo.

— Sam o sobie decyduję. Nie potrzebuję, żółtodziobie, żebyś mi mówił, co mam robić.

— W takim razie ruszam w drogę. I wszystkim życzę szczęścia.

W kuchennych drzwiach stanęła pani Foley.

— Chodź tu! — zawołała do Angeli. — I pożegnaj się z panem, który uratował nas z pożaru. Musi już jechać. — Po tych słowach odwróciła się do męża i stanowczo oznajmiła: — Słyszałeś, on musi jechać. Odprowadź go. Przynajmniej tyle możesz zrobić.

Zycie, ten nieznośny stan, było teraz monotonne. Allynowi powiedziano, że w pełni odzyskał zdrowie po omdleniu, bo tak ostatecznie zdiagnozowano ów rzekomy atak serca, a ból, którego doświadczył, był skutkiem upadku z konia. Lekarze się mylili, Allyn nie miał cienia wątpliwości. Czego jednak spodziewać się po tych znachorach? Cud, że ktokolwiek opuszcza ten podły szpital żywy. Był bliski śmierci, oni jednak tego nie zauważyli, plotąc od rzeczy o maściach i miksturach, dostrzegając tylko zewnętrzne obrażenia.

Tak czy owak, Carnegie wyzdrowiał, co było dlań rozczarowaniem. Kilku z miejscowych dygnitarzy, w tym burmistrz, znaleźli drogę do jego łóżka, okazywali mu współczucie, razem z nim płakali nad jego nieszczęściem, a osłabiony Allyn uważał, że koniec wypadłby w stosownym momencie. Sława bohatera stanowiłaby gwarancję wspaniałego pogrzebu. Teraz wszakże wrócił do swojego domu, który serdecznie znienawidził, bez grosza, samotny, zbyt przerażony, żeby wykonać jakiś ruch. Stracił złoto i gotówkę z napadu; ten drań Perry go oszukał. Teraz będzie musiał się z tym pogodzić. Nie mógł natomiast jechać do Brisbane, gdzie jak twierdziła jego płaczliwa żona, wierzycciele wciąż stukają do drzwi. Po raz kolejny zagroziła, że wróci do ojca, a on bardzo chciał, by wreszcie swoje groźby zrealizowała.

Ze znużeniem wyszedł na ganek i usiadł w porannym słońcu, by czekać na przyjście służącej, która z dnia na dzień zjawiała się

później. Umierał z głodu — o tej porze już dawno powinien być po śniadaniu.

Kiedy wreszcie usłyszał, jak krząta się po domu, uderzył w ścianę łaską.

— Już idę, sir! — wrzasnęła w odpowiedzi. Carnegie westchnął. Ta kobieta była beznadziejnym flejtuchem, ale znalezienie kogoś na jej miejsce wiązałoby się z nazbyt wieloma kłopotami w tej nędznej mieścinie.

Znowu walnął łaską.

— Gdzie moja gazeta?! — krzyknął.

Służąca nie śpieszyła się, w końcu jednak przysłała i rzuciła mu gazetę na kolana.

— Chce pan bekonu, sir?

— Zawsze jadam bekon. Chrupiący, nie spalony.

Choć niezbyt był zainteresowany „Maryborough Chronicie”, Allyn przeczytał wszystko, łącznie z cenami drobiu i świń, by jakoś zapełnić czas.

Dopiero kiedy rzucił spojrzeniem na pierwszą stronę, zupełnie stracił apetyt i o mało nie dostał prawdziwego ataku serca.

Walter Agnes White był drobnym przygarbionym mężczyzną z rzednącą czupryną. Nosił okulary w drucianych oprawkach, by dodać blasku chytrym zielonym oczom, wiecznie rozbieranym, wszystko dostrzegającym. W Maryborough powiadano, że White ma także wielkie kłapiące uszy, ale to nie była prawda. Uszy miał małe i ładnie uformowane. To złudzenie wywoływała jego zdolność do wyłapania każdej plotki czy pogłoski i przenoszenia jej na papier, był bowiem redaktorem „Chronicie”. Styl miał kwiecisty i rozwlekły, a zarazem pióro ostre i złośliwe; Walt nie oszczędzał nikogo. Pierwszą stronę zawsze poświęcał na poważne nowiny, choć powszechnie czytano kolumnę pod tytułem „Tematy miejskie”, ponieważ zawierała jadowite plotki i pomówienia. Niektórzy za zamkniętymi drzwiami szeptali, że każdy młodzienciek zmuszony do stawiania czoła światu z imieniem matki będzie przewrażliwiony, i to przynajmniej okazało się prawdą. Imię „Agnes” było dla Walta jak bicz boży, zmieniło jego życie w udrękę. Nie miał pomysłu ani siły, by samemu się bronić, ponuro więc oddał się studiom, wprawiając tym w zachwyty starszych wiekiem rodziców.

Imię towarzyszyło mu, gdy uczył się fachu w dzienniku w Brisbane, a także później, gdy został reporterem i koledzy niemiłosiernie z niego kpili.

Wyzwolenie przyszło wraz ze śmiercią ojca. Niewielu się orientowało, że stary Jeremy White, stolarz, był człowiekiem majątnym dzięki latom inwestowania w akcje, które zawsze go fascynowały, dlatego też dla wszystkich było zaskoczeniem, gdy „Agnes” włożył kapelusz i bez słowa i oglądania się za siebie opuścił redakcję.

Po starannym przestudiowaniu perspektyw Walt wykorzystał spadek na zbudowanie sobie ładnego domu w Maryborough, porcie z wielką przyszłością, oraz zakup wydawnictwa „Maryborough Chronicle”, którego został redaktorem. Teraz nikt nigdy nie będzie nazywał go Agnes. Nikt się nie ośmieli.

Redaktor mówił o sobie jako o badaczu opinii, choć w istocie był tej opinii władcą. Przy każdej okazji atakował przedstawicieli władzy i przyczyniał się do rozwoju kariery garstki swych ulubieńców, acz ci ostatni nigdy nie wiedzieli, kiedy wypadną z łask.

Surowo ganił plantatorów za próżniacze i rozpustne życie, za złe traktowanie czarnych robotników, a równocześnie domagał się, by kolorowych wszelkich ras usunąć z miasta. Perorował gniewnie o głodnych władzy posiadaczach ziemskich, którzy mimo że dzierżą niezmiarzone grunta, czerpią z „kasy państwowej”, atakował członków rady miejskiej za niekompetencję i niemożność zapewnienia dobrych dróg oraz usług, ignorując przy tym oczywisty fakt, że dysponują oni niskimi funduszami.

Najwięcej wszakże jadu rezerwował dla policji, dla braku prawa i porządku w mieście i okręgu. Zasadzka i morderstwa w Blackwater Creek umożliwiły mu kontynuowanie tego tematu, dając okazję do oskarżania sierżanta Pollocka i jego ludzi o złe prowadzenie śledztwa od samego początku. To Walt ze stosownymi fanfarami wyznaczył pięćdziesiąt funtów nagrody za ujęcie bandyty Mała Willoughby'ego, skoro policja już dawała nagrodę za jego współnika Jamesa McPhersona, żywego lub martwego. A kiedy komendant Kemp wyjechał z miasta, nie zadawszy sobie trudu, by odwiedzić redaktora, który uważał siebie za najważniejszego człowieka w okręgu, Walt wystąpił z petycją o jego odwołanie.

Przez cały ten czas stał po stronie Allyna Carnegiego; lamentował, że życie i kariera tego człowieka zostały zrujnowane przez okrutną zbrodnię, nawoływał, by Carnegie zastąpił burmistrza, który — jak pisał — jest leniwy i niekompetentny, zajęty wyłącznie napychaniem sobie kieszeni. Waltowi wcale nie przeszkadzało, że Carnegie przy kilku okazjach odrzucił tę propozycję. Nie o to chodziło. Waltowi zależało wyłącznie na usunięciu burmistrza, który gazetę nazywał ordynarnym brukowcem, a jego samego łowcą skandali.

Pomimo wszystko Walt był zadowolony z gazety i jej rosnącej popularności, zarabiał bowiem tyle, że zaczął rozważać sprzedaż i wykonanie następnego kroku: zakup dziennika w Brisbane.

Pewnego spokojnego dnia, kiedy ostro beształ podwładnych za brak prawdziwych nowin, przyszedł list. Ześlany z nieba, tak oznajmił Walt swemu starszemu reporterowi, który gapił się na szefa tańczącego i powiewającego kopertą, jakby to był stufuntowy banknot.

— A niech mnie, a niech mnie, a niech mnie! — wołał. — Poczekaj, aż to przeczytają. Tylko poczekaj! Zrób miejsce na pierwszej stronie. Nic mnie nie obchodzi, że jest późno. To złoto. Szczere złoto!

— Co to jest, Walcie? — zapytał reporter.

— Co to jest? Zaraz ci powiem. To list od samego McPhersona. Prawdziwy, żadne fałszerstwo. Ręczę głową. — Oczyścił biurko i wygładził kartkę. — Popatrz.

Reporter przyjrzał się starannemu pismu.

— To faktycznie od niego. Widywałem jego listy.

— Ale nigdy takiego. I nie do mnie!

— Lepiej uważaj. Jeśli opublikujesz ten tekst, mogą cię pozwać do sądu o zniesławienie. Carnegie nie będzie zadowolony.

— To nie mój problem.

— Ale to twój kumpel.

— Nikt nie stoi ponad prawem — oznajmił Walt nabożnie, oczyma wyobraźni widząc chętnych do nabycia gazety.

— Weź pod uwagę, że McPherson może próbuje ratować skórę i w liście napisał same łgarstwa.

— To nadal jest wiadomość. Moim obowiązkiem jest przekazywanie wiadomości. Ludzie sami zdecydują, czy w to uwierzą czy nie. — Walt wybuchnął śmiechem. Wiedział, że jego naiwni czytelnicy na pewno w to uwierzą; wierzyli we wszystko, co



PATRICIA SHAW

wydrukowane. Wiedział też, że list zdezorientuje policjantów, dzięki czemu przez długie tygodnie będzie mógł ciągnąć ten temat.

Carnegie wiele razy przebiegał wzrokiem po słowach na pierwszej stronie „Maryborough Chronicle”. Serce mu waliło, oczy przesłaniała mgła...

#### BANDYTA ZWRACA SIĘ Z APELEM DO „CHRONICLE”

Szanowny Panie,

piszę z prośbą o sprawiedliwość. Oskarżają mnie o dokonanie rabunku złota i strzelaninę w Blackwater Creek. Nigdy nie twierdziłem, że pod każdym względem jestem ideałem cnót obywatelskich, ale z tym przestępstwem nie mam nic wspólnego, daję na to moje słowo. Nigdy na oczy nie widziałem tego złota i to samo dotyczy Willoughby'ego. Jest tak samo jak ja niewinny. Ludzie, co mnie znają, wiedzą, że nie pozwolę, żeby policja zwaliła na mnie winę, bo nie potrafi rozwiązać sprawy tej zbrodni. Nie wiem, kto to zrobił, i Willoughby też nie wie, ale po naszymu Carnegie wie więcej, niż mówi. Rozpytywałem tu i tam i nigdzie nie słyszałem o żadnych bandytach, którzy maczali by w tym palce. Powiadam, że to zrobił ktoś od złota, i będę się tego trzymał. Niewinnych się prześladowuje, a policja spoczęła na laurach.

Z wyrazami szacunku

Wasz sługa — niewinny

James McPherson.

Podczas gdy Allyn Carnegie, zapomniawszy całkiem o śniadaniu, gorączkowo się pakował, zamierzając opuścić Maryborough pierwszym dostępnym środkiem transportu, bez znaczenia, czy będzie to statek czy dylizans, w mieście huczało. Walt miał rację. Czytelnicy w przeważającej większości uwierzyli w list McPhersona, a przynajmniej w jego niewinność, ponieważ tego chcieli. Był popularnym bandytą, jego wyczyny stały się częścią miejscowego folkloru, odczuli więc wielką ulgę czytając słowa, które sam napisał: że nie on popełnił te straszliwe zbrodnie, co wstrząsnęły miastem.

Ludzie gromadzili się przed redakcją, by na własne oczy zobaczyć list. Jak zawsze spełniając oczekiwania, Walt wystawił

go w szklanej gablocie koło schodów, zwykle zarezerwowanej dla rządowych proklamacji, by w ten sposób uniknąć zniszczenia ważnego przesłania. Prztelegrafował także pełny tekst do „Brisbane Couriera”; odpowiedzieli natychmiast. Wiedział, że teraz jego artykuł pojawia się na pierwszych stronach gazet w całym kraju, ponieważ postanowił poprzeć sprawę McPhersona, a tym samym i Willoughby'ego. Kiedy na nowo pisał historię zasadzki i zaangażowanych w nią ludzi dla czytelników w całej Australii, uświadomił sobie, że niewinność Willoughby'ego — jeśli istotnie był niewinny — zaoszczędzi mu tych pięćdziesięciu funtów, które lekkomyślnie i zaiste nazbyt wielkopańsko przeznaczył na nagrodę.

Gdyby McPherson wiedział, że jego list spotkał się z zainteresowaniem w całym kraju, byłby zachwycony, ale niestety przebywał z dala od cywilizacji. Ponieważ był doskonale znany, stał na czujce, podczas gdy jego kumple rabowali niewielki bank oddalony o dwieście mil od miejsca pożaru.

Sierżant Pollock wpadł do gabinetu Walta i z trzaskiem rzucił gazetę na biurko.

— Co sobie wyobrażasz publikując ten list? Powinieneś być natychmiast mi go przynieść.

— Dlaczego? Przecież czytasz go teraz, jak wszyscy inni w tym mieście.

— Czy było coś jeszcze? Coś, co mogłoby zdradzić miejsce jego pobytu?

— Nie, tylko koperta ze stemplem z Brisbane. Ale nie sądzę, że jest w Brisbane. Ty chyba tak.

— Nie mam pojęcia, gdzie ten drań przebywa, a jeśli ty masz, twoim obowiązkiem jest poinformować mnie o tym.

— Ja też nie wiem. Powinieneś być zadowolony. Napisał do mnie, pamiętasz, nie do miejscowej policji, bo chciał, żeby sprawiedliwie go potraktowano. Bał się, że zniszczycie list, żeby ukryć własne błędy. Myślę, że McPherson ma rację. Całkiem możliwe, żeście obaj z Carnegiem wskazali jego, żeby wyratować się z opresji.

Pollock był rozgniewany. Zapomniał o przeczności, którą ostatnimi czasy doradzali mu przełożeni.

— Ty przekłety głupcze, jeszcze nie skończyliśmy z Carnegiem. Na razie nic na niego nie mamy, ale go bacznie

obserwujemy. A ty go ostrzegłeś drukując domysły, i to w dodatku tego cholernego bandyty!

— Naprawdę? — mruknął Walt czyszcząc okulary. — Opowiedz mi więcej. Nigdy przedtem o tym nie wspominałeś.

— Bo nie ma nic do opowiadania — warknął Pollock. — Tylko nieprzyjemne wrażenie związane z całą tą sprawą.

— Wobec McPhersona?

— Nie, wobec Willoughby'ego. Jakoś do tego nie pasuje.

— A mimo to będziecie go ścigać aż do śmierci.

— Próbujemy go znaleźć.

— A mnie się wydaje, że nie masz pojęcia, co robisz, Pollock. Z tego, co słyszę, w tym mieście na pewno nie doczekasz się awansu. Dlaczego nie zrezygnujesz i nie przeniesiesz się do jakiejś zapadłej mieściny, odpowiedniej do twoich zdolności?

Kiedy Pollock prawie biegiem opuścił gabinet, Walt smakował tę dodatkową informację żując ołówkę. Kto by przypuścił, że policja przez cały czas podejrzewa Carnegiego? Niech Bóg błogosławi McPhersona, że odsłonił tę część tajemnicy. Teraz Walt musi się zastanowić, jak najlepiej wykorzystać tę nowinę. Chyba napisze artykuł wstępny, w którym zacytuje sierżanta i potępi policję za ukrywanie prawdy o zasadzce przed zwykłymi obywatelami. Jedno prawo dla bogatych, drugie dla biednych. I tak dalej. Ale miał na to cały dzień — teraz sensacją był list.

Pollock nie zastał Carnegiego w domu.

— Jedzie do Brisbane zobaczyć się z żoną — oznajmiła służąca — ale wróci w przyszłym tygodniu.

— Niech mnie diabli, jak wróci — mruknął sierżant odwiązując konia od furtki.

Znalazł Carnegiego na nabrzeżu, gdzie przygotowywał się do wejścia na pokład parowca „Tralee” płynącego do Sydney. Sierżant wiedział, że nie może pozwolić sobie na nieostrożny krok.

— Dzień dobry, panie Carnegie. Opuszcza nas pan?

Carnegie nie był w nastroju do towarzyskich przejęmości.

— Cholernie dobrze pan wie, że wyjeżdżam po tych pomówieniach zamieszczonych w „Chronicie”. Pozwę Walta White'a i wyduszę z niego ostatni grosz.

— Czy mogę zauważyć, że to nie wygląda dobrze? Że pan teraz wyjeżdża.

— A kogo to obchodzi? W tym mieście nie spotkało mnie nic poza cierpieniami. Wracam do domu.

— Ale ten statek omija Brisbane. Czy nie lepiej poczekać na rejs do Brisbane?

— Z Sydney łatwiej dostanę się do domu.

Tak, a jeszcze łatwiej możesz wyjechać stamtąd do rozmaitych portów na Pacyfiku, pomyślał Pollock. I zniknąć w Nowej Zelandii albo którejś Ameryce.

Próbował przemówić Carnegiemu do rozsądku.

— Nie postępuje pan słusznie. Nie powinien pan uciekać tylko dlatego, że bandyta w rodzaju McPhersona publikuje swoje brednie. Pan także ma prawo do wyrażenia własnego stanowiska.

— Akurat. Jeśli ludzie mu uwierzą, to mogą mnie zlinczować. Byłem ofiarą tego napadu, nikt jakoś o tym nie pamięta. Z miasta wypędza mnie ten szczur White. To łowca sensacji, pan wie o tym tak samo dobrze jak ja. Jaki mam inny wybór poza wyjazdem?

— Myślałem, że na razie mógłby pan zamieszkać ze mną i panią Pollock. Ta wrzawa ucichnie, a nim to się stanie, będzie pan dobrze chroniony.

Carnegie wziął kufy i pomaszerował w kierunku trapu.

— Sierżancie Pollock, wyjeżdżam. Nie może mnie pan zatrzymać, chyba że mnie pan zaaresztuje. A w takim wypadku mam prawo poznać powody.

Sierżant nic więcej nie mógł zrobić. Patrzył, jak Carnegie wraz z kolejką przesuwa się po trapie, a potem znika na statku. Kiedy odwrócił się, by odejść, zaczął go reporter z „Chronicie”.

— Jesteś słaby jak szczeniak, Pollock. Mój szef z radością usłyszy, jak to odprowadziłeś Carnegiego. Wy, chłopaki, trzymacie ze sobą sztamę, co?

Czasami popołudniem Emilie zabierała dzieci na spacer po rozległych ogrodach, by zaobserwować niemal niedostrzegalne zmiany pór roku. Jak napisała Ruth w jednym z listów, początkowo bardzo ją bawiło, że dzieci uczą ją nazw różnych roślin, teraz jednak pogłębiła swoją wiedzę i zaczęła prowadzić w tej grze. Potrafiła zauważyć zimowe rośliny zajmujące miejsce letnich, gumowce okrywające się nowym kwieciami, zniknięcie maleńkich kolibrów i strzyżyków, a pojawienie się takich ptaków jak dławiki i wilgi, które dla niej były niezwykle egzotyczne, choć dzieci uważały je za pospolite.

Niestety, ten list był pomyłką. Ruth zganiła ją w ostrych słowach za niepoważne podejście do profesji, podkreślając, że uczenie to nie gra i nic zabawnego nie ma w przyznaniu, że dzieci znają jakiś przedmiot lepiej niż ona.

W czasie spaceru Jimmy rzucił się do drzew frangipani wołając piskliwie, że straciły wielkie liście. Alice skwitowała to śmiechem.

— Mówiłeś to w zeszłym tygodniu. Już o tym wiemy.

— Nic nie szkodzi — powiedziała Emilie. — Ważne jest, by zwracać uwagę.

Poszli dalej.

Emilie żałowała, że Ruth jest taka surowa. Czasami nawet odsyłała listy Emilie z poprawionymi błędami ortograficznymi, co Emilie bardzo irytowało, choć nigdy tego nie skomentowała. Ze smutkiem stwierdzała, że oddalają się od siebie, ostatnio tak niewiele miały ze sobą wspólnego. Ruth uczyła francuskiego i angielskiego w Brisbane Ladies College i była dumna, że wybrano ją spośród wielu starających się o tę posadę. Tak się tym pyszniła, że obecnie uważała funkcję guwernantki za niestosowną i nieustannie nalegała, by Emilie zrezygnowała z tej „poniżającej” posady i wróciła do pensjonatu Belleview w Brisbane, gdzie będzie mogła podjąć porządną pracę.

Wciąż przerażona, że Emilie mieszka sama, Ruth domagała się, by siostra wróciła do domu państwa Manningtree, gdzie przynajmniej jej reputacja nie dozna uszczerbku.

Aby ją ułagodzić, Emilie przesłała pięćdziesiąt funtów, które „zaoszczędziła”, na poczet spłaty długu zaciągniętego w Towarzystwie Emigracji w Londynie. Ucieszyła się, że siostra nie kwestionuje wysokości sumy ani nawet nie gratuluje jej oszczędności. Mimo to obwiniła siebie za ten rozłam, obwiniła tajemnice, które musiała mieć przed Ruth, ponieważ ta byłaby zaszokowana i zła, gdyby się dowiedziała o znajomości Emilie z Malem Willoughbym oraz o otrzymanych od niego pieniądzach. Zadrzała na samą myśl o tym.

— Niech pani patrzy! Orchidea! — zawołała Alice. Emilie podniosła Rosie, by dziewczynka także mogła obejrzeć wspaniały biały kwiat z fioletowymi brzegami przyczepiony do pnia drzewa.

— Jaki to rodzaj, panienko? — zaciekawił się Jimmy.

— Nie wiem, niestety. Będę musiała sprawdzić w książce. One wszystkie mają nazwy, ale trzeba być bardzo mądrym, żeby je znać.

— Ale panienska jest mądra — stanowczo oznajmiła Rosie.

— Nie aż tak — odparła Emilie z uśmiechem. Kwiat przypominał jej o Malu i o tamtym miejscu na wyspie, które zauroczyło go bogactwem orchidei. Zastanawiała się, gdzie Mai jest teraz, czy przypadkiem nie uciekł do tego raj, skoro policji jeszcze nie udało się go złapać. Biedny człowiek.

Wróciła myślami do Ruth. Niejaką ulgę w wyrzutach sumienia przyniosła możliwość poinformowania siostry, że ona także ma wielbiciela. Ruth ciągle rozpisywała się o swoim przyjacielu Danielu Bowlesie, sekretarzu prokuratora generalnego, z którym najwyraźniej była bardzo blisko. W tym samym czasie Emilie przywiązała się do Clive'a Hilliera, człowieka czarującego i bardzo uważnego. Miała nadzieję, że Ruth zaaprobowałaby Clive'a. To byłoby coś.

Prawdę mówiąc, Emilie była więcej niż przywiązana do Clive'a. Tak jej na nim zależało, że kiedy kilka razy musiał w interesach wyjechać z miasta, tęskniła i niespokojnie oczekiwała jego powrotu. Żadne nie wspominało o Malu. Clive nie widział powodu, skoro Emilie oznajmiła, że Mai to jej znajomy; Emilie nawet Clive'owi nie ośmieliła się wyznać, że Mai odwiedził ją w domu. Ten krótki czas spędzony z nim wydawał jej się teraz snem, całkowicie przytłumiły go codzienne kontakty z Clive'em i jego zaloty, które naprawdę jej pochlebiały. Wszyscy w mieście wiedzieli, że razem wychodzą, i często zapraszano ich jako parę. Emilie myślała, że miło się złożyło, iż obie z Ruth mają wreszcie życie towarzyskie i przyjemnie spędzają czas. W trakcie owych przerażających pierwszych dni w koloniach nawet sobie nie mogły tego wyobrazić.

— Idzie pan Hillier! — zawołała Alice, gdy z ogrodu wyszli na podjazd.

— Gdzie? — zapytała Emilie zaskoczona. Była dopiero czwarta, a Clive nigdy nie pojawiał się przed siódmą.

— Wchodzi przez bramę.

Wysłała dzieci przodem, sama zaś ruszyła mu naprzeciw.

— Co sprowadza cię o tej porze?

— Musiałem ci to pokazać. Cały dzień byłem zajęty sprawdaniem i ustalaniem kosztów diabelskiego napoju, więc dopiero teraz to zobaczyłem. — Cmoknął ją w policzek, jak obecnie zawsze ją witał, i wręczył gazetę. — Czytałaś?

Pokręciła głową, przebiegając wzrokiem artykuł.

— Ten człowiek twierdzi, że jest niewinny, tak samo jak Mai — rzekła wreszcie oszołomiona.

— Wiem, ale trudno to uznać za rekomendację, skoro słowa te pochodzą od bandyty takiego jak McPherson. Choć mogą zmusić policję do przemyślenia całej sprawy. Mówiłem im, że powinni dokładniej sprawdzić Carnegiego, a teraz opuścił miasto. Wypłynął dzisiaj rano.

Emilie studiowała drugą stronę.

— Wygląda na to, że redaktor wierzy w list. Pisze nawet, że policja zmarnowała czas ścigając niewłaściwych ludzi. Potwierdza wręcz, że Mai jest niewinny. To cudownie.

— Nie zwracałbym na niego większej uwagi. Walt White za cel swego życia uważa gnębienie policji. I każdej innej władzy, skoro o tym mowa. Może zmienić zdanie, gdy powieje inny wiatr.

— Ale to musi pomóc sprawie Mała.

— Emilie, on jeszcze nie ma sprawy.

Najeżyła się.

— Mówisz tak, jakbyś nie chciał uwierzyć temu McPtersonowi.

— Ależ chcę! Mówię tylko, że list jest interesujący, choć o niczym nie świadczy. Malowi nie pomoże, za to sprawi, że Carnegie będzie trząsał portkami.

— To jakiś początek. Ktoś musi odkryć prawdę, nim złapią Mała. To takie niesprawiedliwe.

Clive westchnął. Zaczynał żałować swej pochopnej decyzji, by przybiec tu z gazetą.

— Musisz pamiętać, że Mai po części sam się w to wpakował. Gdyby nie uciekł wtedy policjantom, miałby okazję przedstawić im swój punkt widzenia. A tak wywołał wrażenie, że jest winny.

— Jak możesz tak mówić? Nie miał wyboru! Mogli go powiesić. Nie było cię tu. Wszyscy się zgadzali, że trzeba od razu go powiesić. Było mi niedobrze, jak tego słuchałam.

— Na Boga, Emilie, nie denerwuj się. Nic nie możemy zrobić. Muszę teraz wracać, ale mam dla ciebie niespodziankę. Kupiłem gig. Porządny, ze skózanymi obiciami i solidnym dachem...

— Jak to miło — powiedziała bez większego entuzjazmu, myśli wciąż mając zaprzątnięte problemami Mała.

— Bardzo. Co ty na to, żebym przyjechał po ciebie wieczorem? Zrobimy sobie spacer po mieście, nim odwiozę cię do domu.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Dziękuję, Clivie. Byłoby przyjemnie.

— Lepiej niż przyjemnie — uśmiechnął się. — Moja pani nie będzie już chodzić pieszo do domu, tylko podróżować z klasą. No, powiedz, że jesteś zadowolona.

— Oczywiście, że jestem. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę ten twój pojazd, Clivie, ale teraz muszę już iść...

Pojazd istotnie był wygodny, a także niezwykle elegancki i wprowadził Emilie w o wiele lepszy nastrój, kiedy krążyli po mieście, już migoczącym światłami, a potem skręcili ku jej domowi. Pomimo wcześniejszej różnicy zdań Emilie wyglądała na bardzo szczęśliwą i Clive był zachwycony. Zawsze podejrzewał, że dość lubiła Mała, choć nigdy nie przyznała tego na głos. Tego popołudnia wszakże zazdrość sprawiła, że zmienił nastawienie i zamiast stać po stronie przyjaciela, zaczął go krytykować. To był błąd. Emilie to się nie spodobało.

Z drugiej strony, pocieszał się w duchu, zatrzymując gig pod furtką, Mai nie stanowił żadnej konkurencji. Na litość boską, był tylko buszmenem, zupełnie nie w stylu Emilie. I w dodatku poszukiwanym przez policję. Chociaż w jej oczach mógł być postacią romantyczną, jak często niemądre kobiety traktowały bandytów, zbyt wiele miała rozsądku, za bardzo przestrzegała zasad, by zaangażować się w związek z takim typem. Clive uznał, że najwyższy czas na romans. Gig był wymarzonym miejscem do pieszczot; nie będzie musiał więcej zadowalać się szybkim pocałunkiem przy furtce przed samotnym marszem do domu...

— Jesteś na miejscu — oznajmił wesoło. — No i powiedz, czy to nie najlepszy powóz w mieście.

— O tak, Clivie. Naprawdę.

Objął ją.

— Więc lepiej ładnie mi podziękuj, zanim sobie pójdiesz.

Chwilę później tulili się do siebie i namiętnie całowali. Clive gratulował sobie zakupu, ponieważ w gigu po raz pierwszy byli naprawdę sam na sam. Po raz pierwszy miał okazję swobodnie się do niej zalecać. Kiedy wszakże zaczął pieścić ją śmieiej, uznała, że na nią już pora, a on nie mógł jej zatrzymywać. Na razie, powiedział sobie, na razie. Był rozpalony i rozpaczliwie jej pragnął. Myślał nawet o możliwości małżeństwa. Mało prawdopodobne, by znalazł tutaj drugą dziewczynę tak słodką i uroczą jak Emilie.



Clive był ambitny. Porzucił plany wyjazdu na pola złoto-nośne, gdzie w najlepszym razie trafiłyby na marną grudkę kruszcu; zbyt wiele okazji otwierało się w tym szybko rozwijającym się porcie dla człowieka, który nie miał zamiaru zadowolić się niską płacą. Ludzie wciąż kupowali ubrania w sklepie albo zamawiali pocztą z katalogów. Clive oczyma wyobraźni widział magazyn dla panów, w którym można kupić przyzwoite ubrania na dzień i wieczór. Chociaż w mieście mało było jeszcze dobrze urodzonych ludzi, to pieniędzy nie brakowało i trzeba je było na coś wydać.

Takie to myśli krążyły mu po głowie, gdy znowu się zaczął zalecać do Emilie, uważając teraz, by jej nie zdenerwować zbytnią śmiałością. W końcu musieli się rozstać, pomógł jej więc wysiąść z powozu.

— Dobranoc, moja kochana — powiedział rycersko, otwierając przed nią furtkę. Emilie nerwowo poprawiła kapelusz.

— I po co? — roześmiał się Clive. — Nikt cię tutaj nie zobaczy.

— Wiem, mój drogi. To z przyzwyczajenia.

— Kiedy więc zaprosisz mnie na kolację? Nigdy nie widziałem nawet wnętrza twojej posiadłości.

— Clive... — Położyła dłoń na jego ramieniu. — Znasz moją sytuację. Nie mogę sobie pozwolić na plotki.

— A kto będzie plotkował? Kto się o tym dowie? Zresztą już i tak chyba gadają. Prawie co wieczór odprowadzam cię do domu, Emilie, a ty najwyraźniej nie uświadamiasz sobie, jak bardzo cię kocham. Traktujesz mnie jak dalekiego znajomego.

Po raz pierwszy powiedział jej, że ją kocha. Sam nie był pewny, czy to prawda, jego słowa wszakże wywarły na niej piorunujący skutek.

— Co powiedziałaś?

— Że cię kocham. Ale ty na pewno o tym wiesz.

— Nie wiedziałam. Naprawdę nie wiem, co myślałam...

— Czy to oznacza, że marnuję swój czas? No wiesz, nie jestem ważną osobą, ale miałem nadzieję, że ci na mnie zależy, Emilie...

— Och, Clivie, zależy. Nie chciałam tylko zostać... hm...

— Zraniona.

— Chyba tak — szepnęła odwracając się od niego. — No wiesz, ty jesteś taki pewny siebie, a ja jestem tylko...

## ZATOKA ORCHIDEI

— Emilie Tissington — roześmiał się Clive. — Moja kochana Emilie. Ha, skoro nie chcesz zaprosić mnie na kolację, to co powiesz o lunchu w niedzielę? W biały dzień. Chyba możesz zaprosić mnie na lunch.

— Oczywiście, że mogę.

Wyczuwał, że po tej decyzji ogarnęła ją radość. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował.

— Jestem zaszczycony.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ulewnie deszcze powstrzymały szalejące pożary, choć równocześnie pozostawiły ziemię przesiąkniętą popiołami; nad pogorzelskim domu Foleyów wciąż unosił się ciężki odór spalenizny. Zarządca plantacji Warda musiał kilku swoich Aborygenów wysłać do oczyszczania miejsca pod budowę. Szef i jego kumple wyjechali gdzieś we własnych sprawach, o których wolał nie wiedzieć. Miał swoje przypuszczenia, ale zatrzymywał je dla siebie. Ward w całości powierzył mu wszystkie sprawy związane z plantacją; lubił tę pracę i dostawał hojne wynagrodzenie — nie wątpił, że w części zawdzięczał to swojemu brakowi ciekawości.

Mimo to był zadowolony, kiedy trzech znużeni mężczyźni wrpčili prowadząc luzaki, co oznaczało, że podróżowali daleko i szybko, bo miał już po uszy ciąglego wtrącania się pani Foley. Przychodziła codziennie, by nadzorować nadzorcę, upewniać się, że fundamenty są suche, domagać się przygotowania większego fragmentu zbocza, ponieważ chciała rozbudować dom, odmawiając wykorzystania starego ceglanego komina... jej rozkazom nie było końca. Zarządca cieszył się, że może tę sprawę oddać Mattowi Foleyowi, zostawiając mu sześciu najlepszych robotników.

Prace budowlane nie interesowały Jamesa McPhersona. Przebywał w domu Warda, najczęściej spał, a kiedy nie spał, niecierpliwie wyczekiwał wieści o liście, który z takim staraniem napisał. Jedyne z powodu nalegań Warda umieścił w nim nazwisko Willoughby'ego i wciąż go to irytowało, choć teraz było już za późno.

Był dobrze ukryty, gdy przybył listonosz z wyrazami współczucia i korespondencją dla Foleyów oraz pocztą dla plantacji. McPhersonowi wydawało się, że ten człowiek nigdy nie odejdzie. Stał i gawędził z Wardem, jakby obaj mieli mnóstwo wolnego czasu. Jednakże przywiózł egzemplarz „Maryborough Chronicle”, który przyjaciel przysłał na nazwisko Matta Foleya, załączając krótki list.

McPherson nie posiadał się z radości. List, który znał na pamięć, bo tyle razy go zmieniał i przepisywał, wydrukowano na pierwszej stronie, nie pomijając ani jednego słowa, nawet fragmentu dotyczącego Carnegiego, choć Ward sądził, że redaktor tego nie opublikuje w obawie przed procesem o zniesławienie.

— Mówiłem! — chełpił się McPherson. — Wiedziałem, że wydrukują. Jestem człowiekiem, z którym trzeba się liczyć, i na Boga, oni zdają sobie z tego sprawę! Ludzie nie pozwolą mnie teraz powiesić. I popatrz na drugą stronę, ten redaktor to porządny gość. Wie, że jestem niewinny, a odpowiedzialnością za cały bałagan obciąża łapsów!

Nalał sobie dobrej whisky, zabranej z gabinetu dyrektora małego banku, i siedział uśmiechając się pod wąsem. Smakował radość oglądania własnego nazwiska w druku, zresztą nie po raz pierwszy.

Ward przebiegł wzrokiem po notce od przyjaciela.

— Clancy powiada, że ludzie w Maryborough są pp twojej stronie, Jimmy. Mówią, że od razu wiedzieli, iż nie mogłeś tego zrobić. A Carnegie wyjechał z miasta jak spłoszony królik, na statek eskortowała go policja, co ludziom też się nie spodobało.

— Po co to zrobili, do diabła? — zezłościł się McPherson. — Podałem im Carnegiego jak na talerzu, dlaczego pozwolili mu wyjechać? No, chyba że są z nim w zмовie — dodał ponuro.

Ward pokiwał głową.

— Nie powinienes być się śpieszyć z wysyłaniem tego listu, tylko pozwolic, żebyśmy z Mattem pojechali do Maryborough i zamienili słówko z tym Carnegiem. Wydusilibyśmy prawdę z drania i dowiedzieli się, gdzie jest złoto, o ile już go nie wydał.

McPherson złapał kartkę.

— Musimy się dowiedziec, gdzie wyjechał.

— Za późno. Teraz może już być w drodze do Chin. Gdziekolwiek jest, nie możemy go dosięgnąć.

Kiedy parowiec „Tralee” odbił od nabrzeża, Pollock pośpieszył do swojego biura, by napisać długi telegram do komendanta Kempa w Brisbane. Streścił w nim list McPhersona, darował sobie jednak komentarze Walta, uznając je za bez znaczenia. Poinformował też, że pomimo jego nalegań, by pozostał w Maryborough, Carnegie popłynął do Sydney, skąd rzekomo miał wrócić do Brisbane. Sierżant podkreślił, że na razie nie ma żadnych prawnych podstaw, by tego dżentelmena aresztować.

Otrzymawszy telegram Kemp także przystąpił do działania. Łagodnie usposobiony komendant żywił mniejszy szacunek do litery prawa niż sierżant. Chociaż nie przywiązywał wagi do żalonych skarg znanego bandyty, który twierdził, że jest niewinny, nie dostarczając przy tym najmniejszego dowodu przemawiającego na jego korzyść, to wyjazdu Carnegiego nie myślał bagatelizować. Istniała bowiem możliwość, że w tłocznym porcie w Sydney były komisarz wskoczy na inny statek i zniknie na zawsze, choćby po to, by uciec przed wierzycielami, a Kemp nie miał zamiaru spuszczać go z oka, dopóki śledztwo nie zostanie zamknięte.

Zatelegrafował do komendanta w Sydney z prośbą, by przy użyciu stosownych środków upewniono się, iż pan Allyn Carnegie, ważny świadek przestępstwa, dotarł do Brisbane.

Policja z Sydney była jeszcze mniej uprzejma.

Carnegie przeżył szok, gdy na oczach wszystkich pasażerów dwaj postawni policjanci sprowadzali go z pokładu „Tralee”.

Zażądał wyjaśnień.

— Dlaczego mnie zabieracie? Wiecie, kim jestem? Mam wysoko postawionych przyjaciół. Domagam się widzenia z waszymi przełożonymi!

Policjanci, głusi na jego prośby i groźby, zabrali bagaż i zaprowadzili go na stację dylżansów Cobb and Co.

— Co to ma być? — krzyczał. — Musicie natychmiast mi wyjaśnić! Jak śmiecie aresztować mnie bez podania uzasadnionych powodów? Pozałujecie tego, możecie mi wierzyć. Życzę sobie natychmiast pójść do hotelu, słyszycie? Przyzwoitego hotelu.

Policjant wzruszył ramionami.

— Jak mi się wydaje, jest pan w drodze do rodzinnego Brisbane, czy tak?

— Tak, ale kiedy uznam to za stosowne. A teraz zabierajcie się stąd, przeklećci idioci.

— Jesteśmy tu, żeby panu pomóc, panie Carnegie. Dyliżans wkrótce odjeżdża. Konstabl Shelley ładuje pański bagaż.

Wciąż wściekły Allyn odnalazł jednak wewnętrzny spokój. Przynajmniej się ich pozbędzie, a podróż do Brisbane jest długa, z wieloma postojami. Mogą go wsadzić do dyliżansu, ale on wysiądzie, gdzie będzie mu się podobało. Brisbane to ostatnie miejsce, jakie pragnął oglądać, bo tam wierzyciele będą pukać do drzwi, a ten podstępny Kemp nie da mu spokoju zadając ciągle pytania.

— Możecie być pewni, że poinformuję o tym oburzającym traktowaniu w chwili, gdy znajdę się w Brisbane — warknął.

— Nie potrzebuję waszej pomocy, jak to nazywacie. Teraz możecie odejść, ale wierzcie mi, jeszcze o mnie usłyszycie.

Kiedy pozwolono mu wsiąść do dyliżansu, zajął miejsce przy oknie z całą godnością, na jaką było go stać, choć doznał wstrząsu, gdy zobaczył, że policjanci wcale nie zamierzają się żegnać.

— Co to znaczy? — zapytał ostro.

— Nie powiedziałem? — uśmiechnął się szeroko policjant.

— My też jedziemy do Brisbane.

Spory dyliżans, zaprzęzony w cztery wspaniałe konie, które wymieniano na każdym postoju, mógł na otwartych przestrzeniach osiągać wielką prędkość, mimo to podróż zajęła ponad tydzień i wszyscy pasażerowie, nie wyłączając Carnegiego, ucieszyli się na widok Brisbane.

Zesztywniały i obolały po długim bezruchu, Carnegie wysiadł, przeciągnął się z trzaskiem i ignorując eskortę wezwał tragarza.

Podążył za nim ze stacji na ulicę, gdzie czekały dorożki, a tam powitał go Kemp w pełnym umundurowaniu.

— Pomyślałem, że zamienimy słowo, nim pojedzie pan do domu, panie Carnegie — powiedział poważnie.

— Z całą pewnością nie. Jestem wyczerpany i znużony. Idę prosto do siebie.

— Doskonale. Tam też możemy porozmawiać.

Dom Carnegiech w Brisbane był piętrowym budynkiem z piaskowca i zasługiwałyby na miano eleganckiego, gdyby nie wielki napis „Na sprzedaż”, który szpecił frontową werandę. Allyn zdarłby go, ale dzięki niemu zyskiwał okazję, by lamentować nad swą sytuacją finansową.

W dorożce dowiedział się od Kempa, że został ogłoszony bankrutem, a pani Carnegie, by uniknąć upokorzeń ze strony wierzycieli żądających zapłaty, poszukała schronienia pod dachem ojca, niewiele więc mogło go jeszcze dotknąć. Niewykluczone, że ze sprzedaży domu zostanie mu trochę grosza, na razie wszakże szczerze narzekania z powodu tych nieszczęsnych wypadków stanowiły doskonałą przykrywkę dla bardzo prawdziwego strachu przed kolejnymi przesłuchaniami, które czekały go po tym, jak ta przeklęta gazeta wskrzesiła historię o zasadzce.

Niecierpliwie zaprowadził Kempa do salonu, nie zaproponował mu żadnego poczęstunku, po czym rzucił się na fotel, przedstawiając obraz znużenia i rozpaczy.

— Dobrze. Widział pan, w jakim jestem strasznym stanie, panie Kemp. Co jeszcze może mi pan zrobić?

— Chciałem ponownie omówić szczegóły tamtego napadu.

— Po raz setny. W nadziei, że wszystko mi się pomiesza i popełnię błąd.

Ostro odpowiadając na te same co przedtem pytania, zdjął buty i skarpetki, ale Kemp zignorował afront.

— Mówił pan, że słyszał, jak bandyci odjeżdżają. Czy to mogli być tylko dwaj jeźdźcy?

— Tak.

— Jak mi się wydaje, wcześniej mówił pan, że na drodze mogło być ich więcej.

— Mogło. Nie wiem.

— Ale z całą pewnością widział pan i słyszał, jak odjeżdżają?

— Tak.

— Pytam o to, ponieważ sierżant Pollock ma więcej ludzi o pomocy. Przeszukali teren waszego obozowiska, a także pobliskie brzegi Blackwater Creek...

— No i co?

— Zauważyli sporo uschniętych roślin na brzegu strumienia, które jakiś czas temu zostały zdeptane.

— A co to ma wspólnego ze sprawą? Każdy mógł się tam kręcić, na przykład rybacy.

— Istotnie, ale Pollock zadał sobie trud przepłynięcia się na drugi brzeg strumienia i znalazł tam małą łódkę zatopioną w błocie.

Allyn skrzywił się pozorując nudę, choć w brzuchu czuł nerwowe mrowienie. Żałował, że nie wyjął whisky, przydałaby mu się szklaneczka. Dwie szklaneczki.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Interesujące jest to, że dno łodzi zostało przedziurawione, jakby ktoś specjalnie ją zatopił. Ciekawe, kto to zrobił.

— A kogo obchodzi jakaś stara, zniszczona łódka?

— Ano właśnie. Łódka wcale nie była stara. Wręcz przeciwnie, była całkiem nowa. Dlaczego ktoś miałby zatapiać dobrą łódkę, jak pan myśli?

— Na litość boską! Skąd mam do diabła wiedzieć? Moim zdaniem to przekłete czarnuchy, niszczą wszystko, czego nie mogą zjeść, żeby szefom pokazać, co o nich myślą.

— Tak. Wzięliśmy pod uwagę akt wandalizmu, ale śmieszna rzecz, u nikogo z mieszkających na tym brzegu rzeki nie brakuje łódki.

Allyn oparł się wygodnie i zamknął oczy.

— Jest pan piekielnie sprytny, panie Kemp, ale do diabła, co mnie obchodzi jakaś przekłeta łódka?

Kemp pochylił się wsuwając dłonie między kolana.

— Niech pan spojrzy na całe zdarzenie z innej strony. A jeśli bandyci wybrali to miejsce na napad, żeby uciec z łupem łódką? Przeprawili się na drugi brzeg, zatopili łódkę i wskoczyli na czekające konie. Nikt by ich tam nie szukał. Mogli sobie spokojnie odjechać w zachód słońca.

Allyn kiwnął głową, wyraźnie zainteresowany.

— To mogło tak być. Mało prawdopodobne, jak sądzę, ale możliwe.

( — Właśnie. Jednakże widział pan Willoughby'ego i McPhersona i słyszał, jak odjeżdżają, w dodatku osobno, skoro Willoughby musiał stawić się w mieście. Powiedział pan, że jechali w dwóch różnych kierunkach?

— Tak, oczywiście. Tak mówiłem.

— W takim razie musiał być trzeci. Człowiek w łódce.

— Na Jowisza, chyba ma pan rację.

— Ale nie słyszał pan żadnego innego głosu?

— Gdybym słyszał, powiedziałbym o tym.

Kemp westchnął.

— Szkoda, bo to by miało sens. Widzi pan, wiemy, że ze strzelby Willoughby'ego nie strzelano, co oznacza, że McPherson zabił całą trójkę, strażników i Taylora. Tylko że nie cieszy się sławą dobrego strzelca.

— W takim razie jeden z bandytów na drodze musiał to zrobić.



— A to znaczy, że mamy bandę złożoną co najmniej z czterech osób. A może pięciu. Niewykluczone, że sześciu, jeśli dodać kolejnego na drugim brzegu rzeki. Nie mieli czym się dzielić. Rzecz niewarta trzech morderstw dla żadnego szanującego się bandyty. Pojedynczy człowiek lepiej wyjdzie na wypłacie.

Carnegie wyjął chusteczkę i wydmuchał nos.

— Od wszystkich tych pańskich teorii rozbolała mnie głowa. Nie rozumiem, dlaczego mi je pan opowiada. Byłem jedną z ofiar i od tamtego dnia nie wróciłem do zdrowia. Mam dość własnych zmartwień, panie Kemp, żebym jeszcze odwalał za pana robotę. I niech pan nie zapomina, zamierzam poskarżyć się premierowi na to, jak mnie potraktowaliście. — Dźwignął się z fotela. — A teraz wybaczy pan, ale uważam, że mam prawo do odpoczynku po tej koszarnej podróży dylizansem.

Kiedy wreszcie uwolnił się od Kempa, nalał sobie whisky i na powrót opadł na fotel. Po kilku łykach poczuł się lepiej, zadowolony, że znowu może się cieszyć wygodami własnego domu. Przestał martwić się Perrym i złotem, stracił nadzieję na odzyskanie swojej części, dopóki jednak będzie się trzymał swojej wersji, Kemp nie zdoła go tknąć, na niczym przyspilić. Teoria o łódce jest bliska prawdy, ale co z tego? Nie są w stanie powiązać go z łódką. Nie odjechał w zachód słońca, jak wyraził się Kemp; pozostał tam, gdzie miał być.

McPherson i Willoughby mogą sobie pleść, co im ślina na język przyniesie. Wciąż są głównymi podejrzanymi. Kemp odkrył jedynie, że mieli współnika w przestępstwie, podczas gdy prawdziwy współnik, Baldy Perry, dawno gdzieś zniknął.

Co do bankructwa, było szczęśliwym zrządzeniem losu, a nie utrapieniem. Jego wierzyciele będą się musieli zadowolić kilkoma pensami za funta, on natomiast miał kilka setek schowanych na czarną godzinę pod podłogą w tym domu.

— Rób, co chcesz, Kemp — prychnął unosząc szklaneczkę. — Więcej ze mnie nie wydobędziesz.

Kemp, który wrócił do biura, żeby napisać raport, skłonny był się z tym zgodzić. Chociaż bardzo mu nie odpowiadało, że musi podążać śladem wskazanym przez tego przekłętą McPhersona, skłaniał się ku przekonaniu, że Carnegie istotnie jest w sprawę zamieszany.

Popatrzył na wiszące na ścianie zdjęcie królowej.

ZATOKA ORCHIDEI

— Jeśli mogę tak to ująć, szanowna pani — powiedział — diabelnie twardy z niego orzech do zgryzienia.

Pollock uwijał się jak w ukropie. Kazał łódkę umyć i załadować na pokład jachtu, który przetransportował ją do portu w Maryborough. Stamtąd przeniesiono ją na wóz i obwieziono po wielkich i małych warsztatach skutniczych w mieście.

W końcu Karl Grossmann, niemiecki emigrant, szybko zdobywający uznanie jako zręczny skutnik, choć wciąż jeszcze pracował w małym warsztacie, rozpoznał dzieło swoich rąk. Był przerażony, że znaleziono je na dnie rzeki.

— *Herr Gott!* — wykrzyknął. — Co się stało z moja łódź? — Uderzył pięścią w kil. — Patrzy! Solidne! Najlepsze drewno. Ktoś je złamać.

— Tak, kolego. Celowo ją zatopili, nie sądzisz? — podpytywał Pollock.

— Od środka zrobili dziurę! Cholerni głupcy!

— Pamiętasz, komu ją sprzedałeś?

— Jasne. Wielki facet. Rybak, tak mówi.

— Anglik?

— Nie, Australijczyk.

— Chodziło mi o to, czy był Aborygenem, wyspiarzem albo Chińczykiem?

— Nie. Tak jak mówiłem. Jeden z was.

— Jak wyglądał?

Karl wzruszył ramionami.

— Jak mówiłem. Wielki facet. Rybak. Świńskie oczka. Krzaczasta broda.

— Włosy jakiego koloru?

— Nie wiem. Na głowie miał wełniana czapka, jak noszą rybacy. Z pomponem.

— Zapłacił gotówką?

— Wszyscy płacą gotówką, nic na borg.

— Spuściłeś mu łódź na rzekę?

— Tak. Pokazałem mu, pływała jak korek. **W dole tej tam drogi.**

— Ktoś jeszcze widział, jak kupuje łódź?

— A kto miał widzieć? On mi płaci, ja spuszcza **łódź. Jest jego.** Ja wracam do roboty. Wiem, że nie zatonie.

— Kiedy ją sprzedałeś?

— A, to musimy sprawdzić. Proszę do środka, sierzancie. Szklaneczkę cydru? Bardzo dobry. A może wiesz, skąd wziąć więcej butelek, to moglibyśmy go sprzedawać.

— Porozmawiaj z Clive'em Hillierem w składzie celnym na Wharf Street. Przypuszczalnie ci pomoże.

— Tak? Napiszesz mi jego nazwisko?

— Oczywiście.

Pollock zapisał nazwisko w notesie, wyrwał kartkę i podał Karłowi w zamian za szklanekę wyśmienitego cydru, po czym ruszył na podwórko obejrzeć łodzie i powozy w budowie, choć znał się na tym jak kura na pieprzu.

Kiedy Karl wrócił z opasłą księgą i palcem wskazał stosowny zapis, Pollock pokręcił głową.

— To po niemiecku. Musisz przetłumaczyć.

— A tak. Nie piszę dobrze po angielsku. Data to czternastego marca. Zapłacił siedem szylingów.

Czternastego marca? Na trzy tygodnie przez napadem. Pollocka ogarnęło podniecenie.

— A nazwisko? Podał nazwisko?

— Tak. Przeliterował mi je.

Pollock ze zdumieniem wpatrywał się w pajęczę pismo.

— McPherson? J. McPherson?

— *Ja*. Tak jest. Pan McPherson..Tak się nazywał.

Sierzant nie wierzył własnym oczom. Czyżby McPherson był wtedy w mieście? I czy podjąłby aż takie ryzyko? Ten bandyta miał tupet, ale czy podjąłby aż takie ryzyko?

— Jeszcze jedno, Karl. Czy ten gość nosił rudą brodę?

— Nie, nie, nie. Pamiętam go. Wielki twardy rybak. Miał brodę jak ja. Jasną. Nordycką, jak wy mówicie, co chyba znaczy północną. Jasną, ale nie siwą. Po prostu jasną. Powiedziałem mu, że musi ją przystrzyć. Żeby była bardziej gęsta.

Pollock wyciągnął rękę.

— Dziękuję, Karl, naprawdę nam pomogłeś. I dzięki za jabłecznik. Pogratuluj żonie, jest wyborny.

— A co z łodzią? Co z nią teraz zrobicie?

— Zatrzymamy na jakiś czas, a jak sprawę zamkniemy, możesz ją wziąć.

— Ile muszę zapłacić?

— Nic. Możesz ją wziąć.

Kilka tygodni później Pollock, który rozpoczął z wielkim entuzjazmem, nadal tkwił w miejscu. Żaden z przesłuchiwanym przez niego rybaków nie wiedział nic o łodzi ani jej właścicielu, a jego rysopis nic im nie mówił. Wszystko, co mógł przekazać oficerowi, którego wyznaczono na dowódcę jego posterunku, to pewność, że łódź użyta została w napadzie przez kogoś, kto podawał się za McPhersona, jednakże na przełożonym nie zrobiło to wrażenia. Jego zdaniem w całej teorii więcej było dziur niż w tej nieszczęsnej łodzi, a najlepszym prawdziwym śladem, jakim obecnie dysponowali, był dowód na współpracę McPhersona z Willoughbym, bo w przeciwnym razie po co Szkot wymieniałby jego nazwisko w swoim liście?

— Nie ulega wątpliwości, że są przyjaciółmi — oznajmił.  
— Gdzie się razem zaszyli. Weźmiesz konstabla Lacey'a i ruszysz w góry. Nie obchodzi mnie, jak długo to potrwa ani czy będziecie musieli dotrzeć aż do Bowen, gdzie wielokrotnie widywano McPhersona, musicie go znaleźć. Bierz kwity, proponuj nagrody, łapówki, ale nie wracaj bez nich. Albo jednego. Będziemy mieć jednego, doprowadzi nas do drugiego.

— A co z łodzią? Ktoś musiał widzieć rybaka w tej łodzi, moglibyśmy przynajmniej spróbować ustalić jego tożsamość, nim całkiem odrzucimy ten trop.

— Już go odrzuciliśmy. Pobierz fundusze i zapasy, a także dodatkowego konia, jeśli trzeba, ale jedź i znajdź ich. A przy okazji, chciałem powiedzieć, że mi przykro, iż się musiałeś wyprowadzić z policyjnego lokum. To nie była moja decyzja. Mam nadzieję, że wygodnie wam się mieszka w tamtym domu.

— Nie jest zły — mruknął Pollock. Nie zamierzał przyznawać, że jego żona nie posiada się z radości, mieszkając poza posterunkiem, gdzie tak często budzono ich w środku nocy różnymi skargami. Nie cieszył się z powodu niemal beznadziejnego zadania zlokalizowania McPhersona i Willoughby'ego, istniało bowiem prawdopodobieństwo, że dawno opuścili już stan, mimo to wieczorem usiadł z Mikiem Laceyem i opracował plan. Postanowili odwiedzić tyle wiejskich i przybrzeżnych posterunków policji, ile się da, by prosić o pomoc w przeszukiwaniu okręgów, sprawdzaniu obcych i przypominaniu mieszkańcom, że za obu bandytów wyznaczono nagrody. Rano wyruszyli w góry, jadąc na północ.

Dla Mała Willoughby'ego było to pomyślne zrządzenie losu, jako że podróżował w przeciwnym kierunku. Nie opuszczając gór minął Maryborough i Gympie i jechał na południe. Teren był trudny. Ojciec zawsze powtarzał, że ten smyk ma kompas w głowie, który teraz też dobrze mu służył, bo nie zbaczął z trasy wiodącej do celu. Kiedy znalazł się na otwartych równinach, był o ponad sto mil na północny zachód od Brisbane. Nie śpieszył się, nie chciał bowiem nadmiernie zmęczyć konia. Parokroć dołączał do innych ludzi podróżujących samotnymi szlakami, poganiaczy, woźniców, poszukiwaczy złota, i siadał z nimi przy ognisku, bo wiedział, że te małomówne typy nie mają nic przeciwko towarzystwu od czasu do czasu, trzymał się za to z dala od farm i wiosek. Nie czuł potrzeby zdobywania informacji.

Kiedy znalazł się nad brzegiem wielkiej rzeki Condamine, uśmiechnął się z satysfakcją i ruszył w górę jej biegu. Stojący przy skrzyżowaniu dróg na absolutnym pustkowiu znak powiedział mu, że do miasteczka Chinchilla zostało jeszcze sześćdziesiąt mil, on wszakże musiał pokonać jedynie połowę tej odległości. Kiedy słońce wędrowało ku horyzontowi po południowym niebie i stada papug kierowały się do domu, Mai skrzył w wąską drogę, którą tak dobrze pamiętał. Na jej końcu stanął przed furką farmy wuja.

Mai rozejrzał się dookoła. Wyschnięte łąki wołały o deszcz. Kiedy był tu ostatnim razem, wiele lat temu, małe gospodarstwo zachwycało bujną zielenią. Poza tym jednak nic się nie zmieniło. Dom jak przedtem chylił się ku upadkowi, poszarzałe drewniane mury domagały się farby, w oknie brakowało szyby, po podwórzu walały się śmieci, pod drzewem wciąż smętnie leżał zardzewiały pług, na którym Mai w dzieciństwie przeciął sobie nogę. Wuj Silver, nazywany tak od srebrnych włosów, był bratem zmarłej matki Mała i nigdy nie odznaczał się skłonnością do schludności ani ciężkiej pracy, skoro już o tym mowa. Dochody z farmy mlecznej ledwo starczały na życie Silverowi i jego żonie.

Na widok Mała wybiegły z ujadaniem kościste psy, a na progu domu pojawił się Silver, odziany we flanelową koszulę bez rękawów, workowate spodnie na szelkach i zniszczone buty; strój ten tatko Mała nazywał jego uniformem.

— Czego chcesz? — zapytał chrapliwie.

— Myślałem, że poczęstujesz mnie herbatą — uśmiechnął się Mai.

Silver wyjęty z załzawione oczy.

ZATOKA ORCHIDEI

— Na miłość boską, czy to ty, Sonny? Nie poznałem cię pod tą krzaczastą brodą. A niech mnie! Skąd się tu wzięłeś?

— Jestem przejazdem, wuju. Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, co u was.

— Bardzo dobrze. Wejdz, Sonny. Nie mam już żony. Odeszła ostatniej zimy.

Mai zeskoczył z konia.

— Przykro mi to słyszeć. Zawsze lubiłem ciocię Dot.

— Prawda, pamiętam. Ale nabawiła się okropnego zapalenia płuc z komplikacjami, tak mówił doktor. Nie mogła oddychać. W końcu śmierć okazała się dla biedaczki wybawieniem, tyle ci powiem.

— Ach, to niedobrze. Mogę najpierw zająć się koniem? Mieliliśmy dzisiaj trudną drogę...

— Jasne. Zaprowadź go za dom. Jedziesz z daleka, co?

Mai kiwnął głową.

— Można tak to ująć.

Dwa dni później Mai odpracowywał utrzymanie w swój zwykły sposób. SiWer narzekał na reumatyzm i z chęcią przekazał dojenie krów siostrzeńcowi, podobnie zresztą jak gotowanie, na co Mai zgodził się od razu. Pierwszego wieczoru skosztował gulaszu Silvera i nie śpieszył się, by to powtórzyć.

Aby wypełnić resztę dnia, zajął się pieleniem zarośniętego ogrodu warzywnego, który niegdyś był dumą i radością ciotki. Udało mu się odkopać parę grządek ziemniaków i rzepy, które pozostawione same sobie jakoś przetrwały, przygotował też ziemię pod nowe sadzonki. Wieczorami siadywał z wujem przy piecu, zabawiając go starymi karcianymi sztuczkami.

Wreszcie poczuł, że starzec ma prawo poznać prawdziwe powody jego nagłej wizyty.

— Nie zostanę długo — zaczął. — Muszę być w ruchu, ale dobrze jest odpocząć przez parę dni. Chodzi o to, że...

Pykając z fajki Silver uważnie słuchał Mała, kiedy ten wyjaśniał, dlaczego musi uciekać.

— Tak to wygląda — zakończył. — Jeden wielki przekłety bałagan, a ja siedzę w samym jego środku.

Wuj postukał fajką o kamienne palenisko i westchnął.

— Zastanawiałem się, kiedy zdecydujesz się o tym napomknąć,

l' «

- Wiesz?
- Do diabła, pewnie, że wiem. To nie jest koniec świata. Jeżdżę do Chinchilli po zapasy i gazetę. Jesteś sławny, Sonny, nawet tutaj. Na posterunku wystawili list gończy z twoim nazwiskiem wypisanym wielkimi literami i pięćdziesięcioletnią nagrodą.
- Policja była u ciebie?
- Bez obaw. Po co mieliby do mnie przychodzić? Jestem Silver Jeffries, nie Willoughby. To nie ma ze mną nic wspólnego.
- Uff! — odetchnął Mai. — Nie chciałbym przysparzać ci kłopotów.
- To dla mnie żaden kłopot, że tu jesteś, Sonny. Ale co zrobisz, jak stąd wyjedziesz?
- Nie mam pojęcia. Pojadę dalej na południe. Myślałem nawet o przeprawieniu się do Australii Zachodniej. Tam nigdy by mnie nie znaleźli.
- Zapomnij o tym. W pojedynkę nie pokonasz pustyni. Potrzeba do tego zaprzęgu wielbłądów. Umarłbyś na szlaku.
- Silver poprawił ogień w palenisku. — Myślałeś, żeby się zgłosić na policję?
- Nie.
- Dlaczego? Tak byłoby bezpieczniej. Z takimi oskarżeniami można na miejscu cię zastrzelić.
- Nie.
- Sonny, powinieneś się nad tym zastanowić. Nie możesz wiecznie uciekać. Jesteś daleko od tych zbirów z północy. Jeśli tutaj oddasz się w ręce władz, masz szansę na prawnika, przyzwoity proces. Możesz ich przekonać, że jesteś niewinny. Wstań się za tobą, dobry z ciebie chłopak. Twoja siostra też to zrobi. Dostałem od niej list, okropnie się o ciebie martwi.
- Czy policja u niej była?
- Tak. Kręcą się koło wszystkich, co cię znają, więc nie możesz tam jechać.
- Nie pojadę. Spodziewałem się tego. — Mai opróżnił woreczek z tytoniem i skręcił sobie papierosa.
- Więcej tytoniu nie masz? — zapytał Silver.
- Nie, ale mogę bez niego przeżyć.
- Nie możesz. Jutro jadę do miasta po zapasy, przywiozę ci. Chcesz coś jeszcze?
- Tylko zapałki i herbatę — odparł Mai z ociąganiem.
- Niczego mi nie trzeba. Pilnuję, żeby sakwa była lekka.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Przykro mi z powodu tej sytuacji, Sonny. Posłuchaj, jak mnie nie będzie, zastanów się nad tym, co mówiłem. Wiem, że przez całe życie wędrujesz, ale to co innego. Będzie lepiej dla ciebie, jeśli sam się zgłosisz. Nie jesteś prawdziwym bandytą. Oni mają kumpli i gangi do pomocy, a i tak ich łapia...

— Nie musisz mi o nich mówić. Spotkałem ich i nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Wpakowaliby mnie w gorsze tarapaty.

— Kogo spotkałeś? — zaciekał się SiWer.

— Nie musisz wiedzieć, wuju. To banda szaleńców.

— A gdzie w ogóle byłeś przez cały ten czas?

— W górach — odparł Mai niejasno. Nie potrafił się zmusić, by SiWerowi opowiedzieć o cudownej Wyspie Frasera i swojej plaży nad Zatoką Orchidei. Tamten okres i chwile spędzone z Emilie stały się dla niego bezcenne, stanowiły broń przeciw rozpacz. Nieustannie o tym marzył, wieczorami przed snem układał plany, jak zabrać tam Emilie. Najpierw łodzią do misji anglikańskiej na wyspie, potem pożycząby konie, bo nad ocean jest daleko, i galopowałyby z nią, i obserwował jej reakcje na widok plaży z nieskazitelnie białym piaskiem i cudownie zielonego lasu deszczowego z orchideami... kwiaty wystawione na pokaz jak klejnoty... Czasami zasypiał w połowie tej długiej, romantycznej idylli... Ale jakie to miało znaczenie?

SiWer drzemał w starym zniszczonym fotelu, Mai więc cicho wyszedł, by położyć się spać. Noce tutaj były zimniejsze i zastanawiał się, czy przed wyjazdem nie mógłby wycyganąć od wuja kilka dodatkowych koców.

Kiedy nazajutrz rano SiWer wszedł na furmankę i odjechał w kierunku miasta, Mai skończył doić krowy, wypuścił je na pastwisko, po czym zaniósł ciężkie konwie do furki, skąd zabierał je mleczarz. Ze smutkiem zauważył, że gospodarstwo jest biedne. SiWer wcale się nim nie interesował. Miał tylko kilkanaście krów i żadnych cielaków, przez co w oborze rdzewiał oddzielnacz. Próżnowała także drewniana maselnica, w której ciocia Dot wyrabiała masło i sery na sprzedaż. Żałował, że nie może zostać dłużej i pomóc doprowadzić farmę do porządku, ale to nie wchodziło w grę. Wcześniej czy później zaczęto by się zastanawiać, kto też tak ulepszył gospodarstwo starego SiWera, a Mai nie mógł pozwolić, żeby ten dobroduszny staruszek został oskarżony o ukrywanie zbiega.



Roześmiał się, kiedy wuj wreszcie wrócił do domu. Z kozła zsiadł w wesołym nastroju, wymachując pustą butelką, ale przynajmniej kupił herbatę, mąkę, cukier, połówkę wołu i tytoń, nim się upił. Mai zaprowadził go do kuchni, a potem wrócił, by wyładować wóz i odprząc konia. Silver przywiózł też kilka gazet. Nie było w nich nic o bandytach i Mai z radością zagłębił się w lekturze, podczas gdy wuj chrapał w fotelu.

Kiedy go obudził, zjedli pieczoną wołowinę i warzywa. Mai zaproponował partyjkę, ale Silver nie miał ochoty na karty, co było zrozumiałe, jak oświadczył z uśmiechem. Obaj poszli spać zadowoleni.

W środku nocy Mai usłyszał ujadanie psów, ale złożył to na karb księżycy, a może włóczącego się dingo, i znowu zasnął.

Kiedy się obudził, przez korony drzew przedzierają się słabe promienie wczesnego słońca, a nad nim stało dwóch mężczyzn z wycelowanymi w niego lufami strzelb. Za nimi kręcił się Silver, błądy i zaniepokojony.

— Wstawaj, Willoughby! — polecił jeden z mężczyzn. — Ubieraj się. Ale rób to powoli.

Cofnęli się, wciąż trzymając go na muszce, podczas gdy Mai się ubierał. Wiedząc, że czeka go zimna cela, nie śpieszył się, wkładając baranią kamizelkę na flanelową koszulę i spodnie.

— Jesteś aresztowany — dodał mężczyzna. Mai westchnął z rezygnacją. To nie była niespodzianka.

Kiedy wyprowadzali go z podwórza, pojawił się Silver, trzymając za uzdę konia Mała.

— Przykro mi, Sonny — powiedziała. — Tak będzie lepiej.

Mai spojrzął na niego zdumiony.

— Wydałeś mnie?

— Tak będzie lepiej — mruknął Silver.

— Dla kogo, Silver? — zapytał sierżant nazwiskiem Moloney, jak później dowiedział się Mai, i wcale nie taki zły człowiek. Splunął Silverowi pod nogi. — Dostaniesz swoją nagrodę.

Mai ze smutkiem zwrócił się do wuja:

— Myślałem, że mi wierzysz.

— Wierzę, Sonny, naprawdę wierzę.

— Więc dlaczego?

— Wskakuj na siodło, synu — polecił Moloney. — Bo dla tego drania jesteś wart pieniądze, oto dlaczego. Powiada, że jest twoim wujem. Szkoda, że nie znasz go tak dobrze jak my. Stary

Silver sprzedałby własną duszę za sześciopensówkę. Już zamówił ucztę w sklepie na poczet tych pięćdziesięciu funtów za ciebie. Chcesz mu coś powiedzieć, nim ruszymy?

— Nie. — Mai zawrócił konia i ustawił się za konstabłem. Procesję zamykał sierżant Moloney, który rozmyślnie zostawił furtkę otwartą.

Moloney nie miał zamiaru popełniać tego samego błędu co Pollock. Kiedy znaleźli się na drodze, rozkazał więźniowi zsiąść, zrewidował go dokładnie i zabrał bicz, po czym polecił mu wrócić na siodło.

— Twoja rodzina nazywa cię Sonny? — zapytał, lecz Mai tylko kiwnął głową.

Przywiązano go do konia, konstabl ujął lejce i poprowadził więźnia do Chinchilli.

Moloney, który jechał obok, zauważył, że pomimo więzów Willoughby dobrze trzyma się w siodle, nawet kiedy sierżant ponaglił konie do galopu, by jak najszybciej pokonać trzydziestomilową drogę. To prawdziwy buszmen, rozmyślał sierżant. Jego wuj mówił, że Willoughby liczy sobie dwadzieścia dwa lata, ale wyglądał na młodszego. Choć Silver miałby szczęście, gdyby udało mu się dodać dziesięć do dziesięciu. Ale nie w przypadku nagrody. Z niej nie podaruje ani centa.

Sierżant próbował nawiązać rozmowę z więźniem, kiedy musieli zwolnić tempo w górach, lecz Willoughby odpowiadał półśłówkami i odwracał głowę, jakby krajobraz bardziej go interesował.

Do miasta wjechali boczną drogą i przez łąki dotarli na posterunek, gdzie zamknęli więźnia w areszcie składającym się z jednej celi. Dopiero potem Moloney z uczuciem potężnej ulgi poszedł na pocztę, by wysłać do komendy gównej w Brisbane wiadomość, że pojmał bandytę Willoughby'ego.

W ciągu kilku minut wieść rozeszła się po mieście i podnieceni ciekawscy pobiegli na posterunek, by ją potwierdzić, a może też zerknąć na sławnego bandytę.

— To umieści Chinchillę na mapie! — entuzjastowali się próbując z sierżanta wydobyć jak najwięcej informacji. Doznali rozczarowania, gdy usłyszeli, że obyło się bez strzelaniny, że Willoughby poddał się od razu. Sierżant zostawił konstabla, by

odpowiadał na pytania, sam zaś poszedł na tylny dziedziniec do więźnia.

— Wszystko w porządku?

— Tak, sir.

— Przynieść ci coś?

— Chętnie bym coś zjadł. I ogolił się. — Mai zdobył się na słaby uśmiech. — Wygląda na to, że już nie potrzebuję tej choleralnej brody.

— Jasne.

Podczas gdy żona Moloneya szykowała śniadanie dla mężczyzn, włączając w to aresztanta, reporterowi z miejscowej gazety udało się przemknąć na tylny dziedziniec i zerknąć na więźnia, który rzeczywiście wyglądał na gwałtownika z tą krzaczastą brodą i niebieskimi oczami. Był potężny, prawdziwy żywy bandyta! Reporter pobiegł do miasta, by poszukać jedyne go fotografa, który specjalizował się w portretach rodzinnych, jako że w redakcji dziennika „Chinchilla Leader” niestety nie korzystano jeszcze ze zdjęć.

Zanim obaj wrócili, a trochę to trwało, fotograf bowiem długo zastanawiał się nad doбором odpowiedniego sprzętu do tak ważnego portretu, fryzjer zdążył już zrobić swoje i zamiast groźnego typu zobaczyli młodzieńca o twarzy dziecka, który z lśniąca cerą, niewinnymi błękitnymi oczami i miękkimi jasnymi włosami bardziej wyglądał na pieszczoszka mamusi.

Po kłótni z Moloneyem, w trakcie której reporter domagał się prawa zrobienia zdjęcia więźniowi argumentując, że chodzi tu o reputację miasta i miejscowa prasa powinna uczynić to pierwsza, nim pojawią się przedstawiciele innych redakcji, dziennikarz dopiął swego. Sierżant ustąpił. Zgodził się nawet stanąć obok Willoughby'ego. W końcu nie codziennie policjantowi udaje się uprzedzić kolegów z dwóch stanów w pojmaniu takiego podejrzanego.

Tymczasem reporter, skrobiąc w notatniku, dokonywał zmian w opowieści. Słyszał, jak Moloney nazywa więźnia „Sonny”, co bardziej do niego pasowało i było znacznie ciekawsze od zwykłego „Mała”. I tak od tej pory sławny bandyta znany był jako Sonny, chłopak o dziecięcej buźce, który nie odpowiadał na żadne pytania, powtarzał tylko: „Jestem niewinny. Nigdy w życiu nikomu nie zrobiłem krzywdy”.

Reporter nazwiskiem Jesse Fields miał dziwne wrażenie, że Moloney mu wierzy, aczkolwiek policjant nigdy by tego nie

przyznał. W tym dzieciaku było coś, co przypominało Fieldsowi młodszego brata, który umarł po upadku z konia. Wrócił do redakcji, napisał artykuł o aresztowaniu dla swojej gazety, a także przesłał telegrafem pełny tekst do dzienników „Brisbane Courier” i „Sydney Morning Herald”.

Później wrócił do starych wydań, żeby odświeżyć sobie nieliczne informacje, które miał o tym napadzie i morderstwach. Zauważył, że z broni Willoughby’ego nie strzelano, co oczywiście nie było żadnym dowodem. Mógł skorzystać z broni dostarczonej przez współnika lub współników. Sprawa wywołała ogromne zainteresowanie, wielu polityków wypowiadało się o niej żądając pojmania sprawców, Jesse wszakże pominął ich opinie i zajął się najnowszą relacją, dotyczącą listu, który bandyta James McPherson napisał do jakiejś gazety w Maryborough. Twierdził w nim, że obaj, on i Willoughby, są niewinni. Wydawca Jesse Fieldsa nie zaprzętał sobie głowy pełnym tekstem listu, tak samo zresztą jak i Jesse. Po prostu przedrukowali komentarz z gazety z Brisbane, gdzie potraktowano to jako interesujący drobiazg, którego nie należy brać zbyt poważnie.

Mołoney nie mógł zwlekać z wykonaniem rozkazów. Komendant główny policji, niejaki Jasper Kemp, przysłał mu depesze, w której nakazywał niezwłocznie przyprowadzić więźnia do Brisbane. Czekająca ich zatem długa droga, licząca ponad sto pięćdziesiąt mil, a towarzyszyć im mieli dodatkowi policjanci z miasta Miles.

— No to po sprawie — westchnął właściciel i wydawca „Leadersa”, gdy dwa dni później razem z Jesse Fieldsem patrzyli, jak konwój wyjeżdża z miasta. — Przynajmniej Chinchilla miała swoje pięć minut.

— W żadnym razie. To jeszcze nie koniec — odparł Jesse. — Wciąż mamy w tym udział.

— A, daj temu pokój, Jesse. Nie spałem pół nocy słuchając, jak się bez końca rozwodzisz o napadzie. I co z tego, że smarkacz powiedział, że w życiu nikogo nie skrzywdził? Przecież tam był. I nie stał z założonymi rękami.

— Więc gdzie jest złoto? A pieniądze z banku? Willoughby gonił resztkami. Siodło miał cienkie jak papier. Gdyby miał forszę, poprosiłby Silvera, żeby mu kupił nową uprzęż.

— A kto by zaufał SiWerowi?

— On ufał! Chłopak nie mógł uwierzyć, że Silver go sprzedał, tak mówił Mołoney. Jego zdaniem więcej by z Willoughby’ego wydobył, gdyby nie był taki zaszokowany.

— No i nie wydobył. Będziemy pisać o sprawie, wszyscy tutaj chcą wiedzieć, co dalej się wydarzy, ale swoje zrobiliśmy.

— Akurat. Pogadam z Silverem. Nie rozumiesz? Chłopak u niego mieszkał, musiał coś mówić. A kilka funciaków rozwiąże staremu język. McPherson musi znać Willoughby'ego, w przeciwnym wypadku by go nie bronił. Idę o zakład, że chłopak wie, gdzie jest wielka ryba, i mógł powiedzieć o tym wujowi.

Silver lamentował i biadolił.

— Tak będzie najlepiej, powtarzałem to Sonny'emu. Mówiłem, żeby sam się zgłosił. Nie chciałem, żeby zastrzelili go jak psa. To dobry dzieciak. Patrz pan, jak u mnie pracował. Robił porządki, pozbył się tego pługa, co tu leżał, nawet doił krowy. — Staremu usta się nie zamykały.

Jesse pozwolił mu mówić, starannie unikając kłopotliwego tematu nagrody, aż wreszcie udało mu się wspomnieć, że Willoughby utrzymuje, iż jest niewinny.

— Co się stało? — zapytał. — Tak po prostu złożył panu rodzinną wizytę, bo jest pan jego wujem?

— Taa, właśnie tak. Przyjechał niespodziewanie. Nie poznałem go z tym zarostem na całej twarzy.

— I nie powiedział panu, w co jest zamieszany?

— Niewiele. Chociaż ja wiedziałem. Nie jestem ślepy, rozumie pan. I umiem czytać. Wiedziałem, że mój krewniak, bliski krewniak, zaplątany był w ten wielki rabunek złota.

— Wygląda na to, że zabrąłem w ślepą uliczkę — stwierdził Jesse. — Zależało mi na prawdziwej historii tego napadu, chciałem zapłacić za to parę funtów, ale coś mi się wydaje, że Willoughby przy panu też trzymał gębę na kłódkę jak przy Moloneyu i wszystkich w mieście.

Silver zerwał się od kuchennego stołu, przy którym pił whisky na koszt Fieldsa, gotowy do zmiany zdania.

— Co to znaczy, że mi nie mówił? Jestem jego wujem, no nie? Nie śpieszył się, ale musiał coś mi powiedzieć. Jasne, że opowiedział o napadzie.

— Co? — zapytał Jesse szyderczo. — Ze był niewinnym gapiem?

— Dużo tam pan wie — burknął Silver. — Masz pan jeszcze trochę tego napitku? Ten cholerny młokos nie pije. Jego tatuś chlał

kwartami, ale Sonny nie tknie alkoholu. Nawet nie przywiózł buteleczki dla starego wuja.

Jesse zastanawiał się nad tym, gdy szedł, by z sakwy przy siodle wyjąć kwaterkę rumu. Willoughby przez wiele miesięcy umykał zmasowanemu policyjnemu pościgowi, nikt nigdzie nawet z daleka go nie widział. Może to, że jako abstynent zapomniał przywieźć Silverowi alkohol w prezencie, było jego pierwszym błędem. Bo Silver jaśniejącym wzrokiem patrzył na gościa.

— Napijemy się po kieliszeczku tego rumu — rzekł Jesse dając wyraźnie do zrozumienia, że resztę zabiera ze sobą. — Potem czas na mnie.

— Dużo tam pan wie — powtórzył Silver smakując pierwszy łyk. — Sonny wszystko mi powiedział, od początku do końca. Jestem jedynym człowiekiem na całym świecie, który wie, co naprawdę się wydarzyło. A wie pan czemu? Bo Sonny mi powiedział. Uważał, że skoro byłem taki dobry, żeby go przyjąć pod swój dach, to mam do tego prawo. Tak powiedział: mam prawo. I co pan o tym myśli?

Silver wojowniczo wysunął szczękę, a Jesse pokiwał głową niezdecydowanie, myśląc przy tym, że najchętniej udusiłby starego drania.

— Daj spokój, Silver. Przyszedłem do ciebie, bo chcę poznać przeszłość Willoughby'ego, dowiedzieć się czegoś o jego rodzinie. Cokolwiek ci powiedział o napadzie, to musiał być stek kłamstw, skoro nadal udaje, że jest porządnym chłopakiem. Innego wyjścia nie ma.

Silver nie krył urazy.

— Naprawdę? No to niech pan posłucha. Sonny siedział dokładnie na tym krześle. Przeprosił, że sprowadził na mój próg kłopoty, i opowiedział, co się stało, najszczerzą prawdę. Przyjąłem go, bo tak było najlepiej, no i dla nagrody, rozumie pan. Ha, równie dobrze mógł ją dostać ktoś inny...

Jesse wyjął notatnik.

— Co ci powiedział, Silver? Nie będzie pieniędzy ani rumu, dopóki wszystkiego mi nie powtórzysz. I daruj sobie ozdobniki.

— Chryste! Czemu miałbym nie mówić prawdy, i to z pierwszej ręki? Nie mam nic do ukrycia. O nic nie można mnie obwiniać. To szło tak... Sonny był na polach złotonośnych i dobrze mu się tam wiodło. Zawsze miał szczęście, ten nasz Sonny, zawsze udawało mu się wyciągnąć dolara...

Najlepiej jak potrafił, Silver powtórzył zaskoczonemu reporterowi historię zasadzki, którą usłyszał z ust samego Mała Willoughby'ego. Jesse był tak nią podekscytowany i zaintrygowany, że musiał przerywać staremu, by dokładnie wszystko zanotować. Wiedział, że nie tylko zdobył temat na świetny artykuł, ale ma w ręku prawdziwą sensację, nagroził więc Silvera kolejną porcją rumu, by ten nie wypadł z rytmu. Nie wątpił, że stary nigdy nie byłby w stanie wymyślić historii, która brzmiała tak prosto i prawdziwie jak ta. Willoughby'ego nawet tam nie było. Zgodnie z rozkazami pojechał do Maryborough, by poinformować policję, że transport złota jest w drodze i że konieczna jest policyjna eskorta na najbardziej niebezpieczną część podróży. Taki plan ustalili komisarz i sierżant policji w Maryborough, ponieważ daty transportów wyznaczano na chybił trafił.

Kiedy stary skończył, Jesse miał pytania.

— A co z McPhersonem? Czy o nim coś mówić?

Silver poskrobał się po głowie, tęsknie zerkając na butelkę rumu.

— Nic. Powiedział, że spotkał jakichś bandytów, ale ich nie polubił.

— Nie polubił? — roześmiał się Jesse. — A miał ich lubić?

To uraziło Silvera.

— Nie zna pan Sonny'ego. Musiał ich spotkać, ale mu się nie spodobali. Uważał, że to łachudry.

— Jakich bandytów?

— A skąd mam wiedzieć? Nie powiedział.

Jesse wyprostował się.

— Bardzo mi pomogłeś, Silver, i zapłacę ci. Proszę, oto dwa funty. Ale Sonny to płotka. Potrzebuję informacji o McPhersonie. Podwoję stawkę za McPhersona.

Zobaczył ból, z jakim Silver spoglądał na pieniądze, ale nawet Silver nie potrafił wymyślić historii o McPhersonie.

— Sonny nigdy słowem nie wspomniał o McPhersonie. Był zdany tylko na siebie, nikt mu nie pomagał. Zdany tylko na siebie. Bez nikogo. Wiedziałem, że długo tak nie wytrzyma. I dlatego wydałem go policji — jęczał stary. — To była kwestia czasu.

— Dobrze. Jeszcze jedno. Musiał mieć kryjówkę. Gdzie był? Gdybyśmy wiedzieli, byłibyśmy bliżej wytropienia McPhersona.

— Szczerze, stary, nie wiem. Powiedziałbym, gdybym wiedział.

— Nie wątpię. A teraz zacznijmy od początku. Opowiedz mi o Sonnym i jego rodzinie. Gdzie się wychował?

— Po mojemu Sonny wychował się w drodze — zachichotał Silver. — Wędrował ze swoim staruszkiem od małego. Niewiele tu do gadania. Jego tata był pijakiem, choć Sonny nigdy złęgo słowa nie dał na niego powiedzieć...

Krok po kroku Jesse zdołał odkryć tyle informacji, że mógł naszkicować charakter młodego Willoughby'ego.

— A przyjaciele? Kim byli jego przyjaciele?

Silver wzruszył ramionami.

— Gość taki jak Sonny ma mnóstwo przyjaciół na jarmarkach i takich tam rzeczach. Wszyscy go lubili, ale on był samotnikiem.

— Niezależny?

— Taa, to dobre słowo. Nigdy nikogo o nic nie prosił. Dlatego mi tu pomagał...

I to tyle, pomyślał Jesse. Rozmowa skończona. Spakował się, zostawił pieniądze i rum na stole, po czym pożegnał się z wujem Silverem.

W drodze powrotnej do Chinchilli układał artykuł, który na pewno trafi do najważniejszych dzienników, nie tylko lokalnego, i zastanawiał się nad tytułem. A może coś w rodzaju: „Życie i czasy Sonny'ego Willoughby'ego”. Prawdziwa sensacja. I na tym nie koniec.

Brisbane spowijała całunem gęsta ulewa, gdy cienie w ciemnych płaszczech przemierzały w równym tempie ulice, zdążając na posterunek policji. Kiedy w stajniach zsiadli z koni, Willoughby zwrócił się do sierżanta Moloneya.

— Czy mogę prosić pana o przysługę?

— Jasne, że możesz.

— Zaopiekuje się pan moim koniem?

Moloney postarał się przybrać wesoły ton.

— Chcesz, żebym zajął się nim pod twoją nieobecność?

— To zależy, jak sprawy się ułożą. Jeśli się po niego nie zgłoszę, może go pan zatrzymać. Striker to dobry koń, sprytny. Nie chciałbym, żeby ktoś sobie go wzięł.

Moloney kiwnął głową, dostrzegając, że inni policjanci odwracają się ze smutkiem, słysząc te słowa.

— Będzie mu u mnie dobrze, Sonny.

W pensjonacie Bellevue zapanowało wielkie podniecenie. Nauczycielka i dżentelmen, który był sekretarzem ministra, poinform-



mowali panią Mediów o zaręczynach. Właścicielka natychmiast podzieliła się nowiną ze swoimi gośćmi. Zaproponowała nawet pannie Tissington, że można by urządzić herbatkę, co niewiele by kosztowało, ale para odmówiła. Woleli zachować prywatność.

Ruth uważała, że Daniel ładnie to ujął, mówiąc o chronieniu prywatności, ale z drugiej strony obracał się w kręgach ludzi wysoko postawionych, gdzie dyplomacja, jak często powtarzał, była sposobem życia. Dzięki jego interesującym obserwacjom wiedziała teraz, że parlamentarzyści to ludzie niezwykle trudni w kontaktach. Przyznając, że takt nie jest jedną z jej cnót, Ruth podziwiała głęboko Daniela za tę odpowiedź. Sama na wulgarną propozycję pani Mediów zareagowałaby krótkim „nie”; nie życzyła sobie bliższych niż niezbędne związków z obcymi i plotkarzami, którzy zaludniali ten pensjonat. W gruncie rzeczy Ruth skłaniała się do przekonania, że wścibstwo i tanie uwagi tych właśnie ludzi zmusiły Daniela do oświadczeń.

Od wielu tygodni spędzali z Danielem mnóstwo czasu razem, zajmując się kwestią nabycia dwóch działek należnych emigrantkom, i to wywołało plotki, ludzie bowiem często widywali wychodzącą razem parę. Wreszcie Daniel zauważył dość rozbawionym tonem, że plotkarze chyba myślą, iż mają romans.

Nawet teraz Ruth zarumieniła się na myśl o tak strasznie nieprawdziwym podejrzeniu.

— Och, z pewnością nie! — wykrzyknęła wtedy, zastanawiając się gorączkowo, jak położyć kres takim pogłóskom.

Daniel wszakże pozostał nieporuszony.

— Możemy zamknąć im usta tylko w jeden sposób: ogłaszając nasze zaręczyny, jeśli zdecydujesz się uczynić mi ten honor, Ruth.

Była oszołomiona. Zdumiona.

— Boże wielki — wyjąkała. — Sama nie wiem. Do licha, Danielu. Czy ty prosisz mnie o rękę?

— Przepraszam, zamierzałem ci się oświadczyć w bardziej godny sposób, a na pewno nie w parku. To mi się wymknęło. Ale dobrze nam ze sobą i jak wiesz, kariera jest dla mnie nad wyraz ważna. Nie zamierzam wiecznie być sekretarzem. — Uśmiechnął się. — No, chyba że zostanę sekretarzem stanu. To taki żarcik. I będę potrzebował damy u swego boku, odpowiedniej damy, rozumiesz. Naturalnie wiem, że musisz się nad tym zastanowić, i cierpliwie poczekam na odpowiedź.

Ruth jego słowa niezmiernie pochlebiły. Doskonale rozumiała, co miał na myśli, mówiąc o „odpowiedniej damie”, i uważała, że idealnie się do tej roli nadaje. Człowiek z jego pozycją będzie potrzebował żony, która umie mówić po angielsku bez prostackiego akcentu, tak powszechnego w tym mieście, choć przecież była to stolica stanu. Podjęcie decyzji zajęło jej dwadzieścia cztery godziny, po którym to czasie przyjęła oświadczyny ku radości narzeczonego. Pierwszy ukradkowy pocałunek wymienili na ciemnym ganku Belview, kiedy chronili się tam przed deszczem.

Odczuła ulgę, że Daniel nie wprawia jej w zakłopotanie kliwymi słówkami o miłości, ponieważ ich związek opierał się na solidniejszych fundamentach wzajemnego szacunku. Intymność, o której myślała ze strachem, przyjdzie w odpowiednim czasie.

Aby uczcić tę okazję, Daniel zabrał ją na kolację do cieszącego się renomą hotelu Royal Arms przy Queen Street. Ruth obawiała się, że to bardzo drogi lokal, jednakże Daniel odparł jej zastrzeżenia stwierdzeniem, że rzeczą niezwykle istotną jest, by widywano ich w odpowiednich miejscach. Zamówił wino i Ruth zgadzała się, że jest wyśmienite, choć była przeciwna drugiej butelce, jako że sama piła niewiele. Ku jej przerażeniu Daniel potraktował ją niegrzecznie.

— W takich miejscach nie liczy się groszy — syknął.

Nie chciała mówić, że to nie grosze ją niepokoją, lecz niefrasobliwość Daniela, wyraźnie już wstawionego. Nim skończył drugą butelkę nalegając, by Ruth wypła chociaż kieliszek, był całkiem pijany i jak na jej gust mówił o wiele za głośno.

Jednakże nazajutrz przeprosił. Tłumaczył się, że poniosła go radość i podniecenie związane z tą doniosłą okazją, i naturalnie Ruth mu wybaczyła. Stwierdziła, że dręczony wyrzutami sumienia jest po prostu słodki.

Kiedy tego dnia Daniel poszedł do pracy, towarzyszył mu, jak sam z obrzydzeniem go nazwał, „doniosły” kac, dlatego poczuł ulgę na wieść, że minister wyjechał w sprawach służbowych. Stopniowo jego samopoczucie się poprawiało, tak że po południu opuszczał biuro niezmiernie z siebie zadowolony.

Załatwianie niekończącej się papierkowej pracy związanej z przejęciem na własność ziemi przez Ruth i jej młodszą upartą siostrę było zajęciem długotrwałym i irytującym. Daniel i Ruth kilkakrotnie odwiedzili Eagle Farm, nim znaleźli i wybrali dwie przyległe do siebie dwudziestoakrowe działki. Były to tereny rolnicze,

płaskie i mało atrakcyjne, idealne pod uprawy, jak z entuzjazmem powiedział im agent, lecz Daniel, który miał swoje informacje, wiedział, że okolica ta, niezbyt odległa od rzeki, wkrótce będzie przedmieściem rozwijającego się szybko miasta i portu Brisbane, a możliwość zdobycia czterdziestu akrów bez ponoszenia żadnych kosztów była prawdziwym darem z nieba.

Oczywiście pojawiły się zwykłe komplikacje, bo urzędnicy w rządowych departamentach rzucali im pod nogi wszelkie możliwe kłody. Na początku sprzeciwiali się podaniu o ziemię wyostowanemu przez kobiety, w dodatku samotne, lecz Daniel mógł przedstawić dowody, że przydziałów nie zarezerwowano wyłącznie dla mężczyzn. Później pojawiła się poważniejsza przeszkoda. Uznano, że okręg Eagle Farm staje się zbyt drogi, żeby rozdzielać go za darmo, i poradzono im, by poszukali dalej, gdzie rząd chętnie widział nowych osadników.

Ruth była rozczarowana, aczkolwiek rozumiała logikę takiego myślenia. Dla niej przydział tak wielkich gruntów był niewiarygodną szczodrością i odbiorcy powinni być wdzięczni, bez względu na to, gdzie ich ziemia się znajduje.

Daniel patrzył na to inaczej. Zależało mu na Eagle Farm. Po ostrożnych rozpytywaniach zdołał znaleźć urzędnika, który antydatował podania siostr Tissington w zamian za dwa funty przekazane pod stołem. Wiedział, że Ruth nigdy nie zgodzi się na zapłacenie łapówki, i z całą pewnością nie zamierzał z własnej kieszeni wyłożyć takiej sumy, uzyskał więc pieniądze od niej, przedstawiając proste wyjaśnienie:

— Wasze podania o przydział ziemi w Eagle Farm zostały przyjęte, ale ponieważ złożyłyście je późno, trzeba uiścić dodatkową opłatę w wysokości funta za działkę. Pomyślałem, że lepiej zapłacić, niż szukać gruntów w dalszych okolicach, które uniemożliwiłyby ci pracę w Brisbane.

Ruth chętnie się zgodziła, choć do tej pory nie myślała o zamieszkaniu w Eagle Farm; pierwotny pomysł zakładała sprzedaż obu działek.

— Jak mogłabym tam mieszkać, Danielu? Przecież nie ma tam domu, a mnie nie stać na budowę.

— Wręcz przeciwnie. Szybko znajdziesz kupca na ziemię Emilie i będziesz miała aż nadto pieniędzy na zbudowanie porządnego domu na swojej działce.

— Emilie może się nie zgodzić. Sprzeciwiała się sprzedaży.

— Tak mówisz, ale Emilie musi patrzeć w przyszłość. Pomyśl, jeśli będziesz miała własny dom, to twoja siostra także będzie go miała. Wiesz aż za dobrze, jak niepewne jest życie guwernantki. Emilie byłaby w o wiele lepszej sytuacji, gdyby znalazła sobie pracę w college'u, tak jak ty zrobiłaś, i w ten sposób uniezależniła się od chlebodawców.

— To prawda. Dom byłby wspólną własnością, skoro zostałyby zbudowane za pieniądze uzyskane ze sprzedaży jej ziemi...

— Na twojej działce.

— Tak. To doskonały pomysł. Jestem ci szczerze wdzięczna, Danielu. Sama nigdy bym na to nie wpadła.

Tymczasem Ruth miała inne zmartwienie. Dodała dwadzieścia funtów do pięćdziesięciu, które otrzymała od siostry, i powinna teraz przesłać je do Londynu jako część spłaty długu udzielonego im przez Towarzystwo, niepokoiła się jednak, że pieniądze mogą nie dotrzeć do adresata, powszechnie bowiem wiadomo było, jak niesolidna jest poczta.

— To taka wielka suma — mówiła z obawą. — Wpadłabym w rozpacz, gdyby zniknęła po drodze. Już czuję się okropnie, bo Emilie zdołała zaoszczędzić więcej niż ja, pomyśl więc, jak bym się czuła, gdyby rata nie dotarła do Towarzystwa. Nigdy nie mogłybyśmy jej ponowić.

— Zostaw to mnie. Wyślę pieniądze pocztą dyplomatyczną. Tą drogą unikniemy problemów, chyba że statek zatonie...

— Och, Danielu, nie żartuj na taki temat.

— Przepraszam. Musisz tylko zaadresować list i dobrze zapieczętować. Dołączę go do dokumentów rządowych. Ministerstwo do spraw kolonii przekaze kopertę twojemu Towarzystwu.

— Cudownie. To dla mnie wielka ulga.

Daniel miał szczerą intencję wysłania pieniędzy Ruth, mało wszakże wiedział o operacjach związanych z pocztą dyplomatyczną, choć był przekonany o jej istnieniu. Kiedy rozważał ten problem, zastanowił się też nad Towarzystwem. Ruth dopiero niedawno powiedziała mu o sponsorze i wtedy nie zwrócił na to większej uwagi, choć teraz, mając w biurku jej list i pieniądze, zaczął powątpiewać w wiarygodność Towarzystwa. Bo co właściwie jego członkowie zrobili dla sióstr? Zapłacili za przejazd, i tyle. A potem kompletnie zawiedli. Nie zapewnili obiecanych posad, nie udzielili żadnego wsparcia. Nie zasługiwali na lojalność Ruth. Ani na jej pieniądze.

Dzień po ogłoszeniu zaręczyn Daniel, już jako narzeczony Ruth, podjął decyzję. Wyjął list z szuflady biurka, spalił go, a pieniądze zatrzymał. Część przeznaczył na kolację w hotelu Royal Arms. Ponieważ wkrótce miał zostać głową tej rodziny, robił tylko to, co uważał za najlepsze. Nie mogli sobie pozwolić na rozdawanie pieniędzy, zwłaszcza że nie miał żadnych oszczędności, a jego wynagrodzenie przewyższało pensję Ruth tylko o dziewięć szylingów za dwa tygodnie. Była doskonale ułożoną młodą kobietą; w głowie by jej nie powstało dopytywać się o jego sytuację finansową, a na szczęście nie było pod ręką troskliwego ojczulka, który by tę kwestię poruszył, tak więc Danielowi zostało to oszczędzone.

Była jednak Emilie. Nie ulegało wątpliwości, że to niemądra młoda romantyczka, na wieść o ich zaręczynach zareagowała entuzjastycznie, wylewnie gratulując obojgu i przesyłając serdeczne pozdrowienia dla pana Bowlesa, który wkrótce zostanie jej drogim szwagrem. Nieśmiało powiadomiła też siostrę, że ona i jej angielski dżentelmen, pan Hillier, w najbliższym czasie zapewne dojdą do porozumienia, jako że połączyło ich głębokie przywiązanie.

Ruth jako starsza siostra bardzo się tym martwiła. Domagała się szczegółowych informacji o Hillierze i jego sytuacji oraz wyrażała nadzieję, że Emilie przyjedzie ze swym przyjacielem do Brisbane, nim podejmie ostateczną decyzję.

— Jest dość lekkomyślna — powiedziała Danielowi. — Bóg wie, kim jest ten człowiek. Pisze, że prowadzi skład, coś w rodzaju składu celnego, jak przypuszczam, ale taka posada wydaje się mało odpowiednia dla dżentelmena.

Daniel zgadzał się z nią. Nie chciał, by jeszcze inny mężczyzna wtrącał się teraz w sprawy sióstr Tissington.

— Powiedz siostrze, żeby była bardzo ostrożna. Te miasta na północy ściągają podejrzane typy wszelkiej maści. Roi się tam od bandytów i oszustów. Osobiście musiałem nalegać, by komendant Kemp pojechał do Maryborough przeprowadzić śledztwo w sprawie poważnego przestępstwa. Zaraz po przyjeździe zażądał wzmocnienia miejscowej policji. Jestem zaskoczony, że pozwalasz siostrze tam pozostawać.

— A co mogę zrobić? — martwiła się Ruth. — Twierdzi, że ma się bardzo dobrze.

— Może i tak, o ile nie zwiąże się z tym gościem, zanim będziemy mieć okazję dokładnie mu się przyjrzeć. A co mówi o ziemi?

## ZATOKA ORCHIDEI

— Podpisała wszystkie dokumenty i jest teraz właścicielką działki, dzięki twojej pomocy, którą przyjęła z wdzięcznością, ale zdecydowanie odmawia zgody na sprzedaż.

— A przekazałaś jej, że sprzedaż działki będzie dla was obu doskonałym wyjściem, bo dzięki niej zbudujecie dom?

Ruth westchnęła.

— Ona to rozumie, ale jej zdaniem nie powinnyśmy sprzedawać żadnej działki. Powiada, że za kilka lat będą o wiele więcej warte. Ja po prostu nie pojmuję jej toku myślenia. Biedna Emilie, ledwo wiąże koniec z końcem, oszczędzając każdą półpensówkę. Myślę, że aż nazbyt dobrze nauczyłam ją gospodarności.

— W takim razie trzeba ją powiadomić, że zgodnie z prawem każdy, kto przyjmuje przydział, musi w określonym czasie dokonać ulepszeń na swojej ziemi. Co oznacza ogrodzenie, irygację albo nawet dom. Skąd weźmie na to pieniądze? Alternatywą jest szybka sprzedaż i przekazanie tego obowiązku kupcowi. Wiesz, są inspektorzy, którzy to sprawdzają.

— Tak, pamiętam, że mi o tym mówiłeś, i każde słowo powtórzyłam Emilie, ale ona upiera się, że nie ma powodów do pośpiechu. Obawiam się, że nie sprzeda, i to jest jej decyzja, ale mnie, Danielu, nic przed tym nie powstrzyma.

— Och, świetnie — powiedział z gniewem, stając przy oknie małego saloniku w Belleview. — W takim razie wszystkie twoje pieniądze pójną na czynsz w tym pensjonacie. Masz szansę na własny dom, powinnaś ją wykorzystać. Za wszelką cenę.

— Ale jak?

Daniel wzruszył ramionami.

— Nie chcę się wtrącać w twoje sprawy, moja droga, ale na twoim miejscu zaproponowałbym jej inne wyjście. Twoja siostra może niewiele wydaje na życie w tej zapadłej mieścinie, ale w stolicy stanu nie istnieje nic takiego jak niski czynsz, a czynsz tutaj to pieniądze wyrzucone w błoto. Może więc zaproponuj jej, że sprzedasz swoją działkę i za te pieniądze zbudujesz dom na jej ziemi? Dom, który zawsze byłby domem także dla niej. No wiesz, dom na dwudziestu akrach trudno nawet zauważyć.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Chociaż dopiero zbliżało się południe, Bert Manningtree zajął do klasy, żeby zamienić słowo z guwernantką.

— Chyba lepiej będzie, jak na dzisiaj skończysz, panienko. Z każdą chwilą pada coraz bardziej. Wracaj do domu, póki możesz. — Dzieci krzyknęły radośnie, co ojciec skwitował uśmiechem. — Macie szczęście, co? — Znowu zwrócił się do Emilie. — Za wcześniej na monsuny, ale mnie na to wygląda. Taki deszcz może lać przez wiele dni.

Jego słowa zaniepokoiły Alice.

— A czy pójdziemy na lunch u panienki?

— Dzisiaj dopiero jest piątek — odparła Emilie. — Zobaczmy, jaka pogoda będzie w niedzielę. Zaprosiłam dzieci do siebie na lunch w niedzielę, sir. Pani Mooney zgodziła się zawieźć je i odwiedzić. Chyba do tego czasu się przejaśni?

Bert pokręcił głową.

— Nie stawiabym na to, ale bardzo miło z twojej strony, że je zaprosiłaś. Dzieci, musicie poczekać.

— Nic nie szkodzi — wtrąciła Emilie, widząc rozczarowanie w oczach swoich podopiecznych. — Jeśli nie w tę niedzielę, to w następną.

— Paul Dressler jest u mnie — powiedział jej Manningtree. — Jako dobry sąsiad zaproponował, że podrzuci cię do domu swoim gigiem, więc biegnij, panienko. Ja tu zostanę i posłucham naszych uczonych.

Dressler był czarującym człowiekiem. Od razu się zgodził, gdy Emilie poprosiła, by podjechał pod pocztę, bo chciałyby wysłać list. Była już zmęczona dyskusją z Ruth o ziemi i wciąż miała wyrzuty

sumienia, że okłamała siostrę w sprawie swoich tak zwanych oszczędności i ukryła przed nią fakt, iż jest właścicielką chaty. Ruth chciała sprzedać swoją działkę, niech więc to zrobi, zwłaszcza że uzyskane w ten sposób pieniądze zamierza wykorzystać na budowę domu na ziemi Emilie, której ten pomysł bardzo przypadł do gustu, gdy miała czas się nad tym zastanowić. Teraz nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy plany.

Jeśli zaś chodzi o niedzielę, to oprócz Clive'a, którego zaprosiła, bo na to nalegał, Emilie wystosowała też zaproszenia do pani Mooney i dzieci, by zachować względy przyzwoitości. Clive przejrzy jej gierki, ale nic nie będzie mógł na to poradzić. Kiedy przyjdzie, oni już będą. Choć sądząc ze słów najpierw Berta Manningtree, a teraz Dresslera, zaczynała powątpiewać, czy ktokolwiek ją odwiedzi, i w pewnym sensie odczuła ulgę. Lubiła być w chacie sama w niedzielę, swój jedyny wolny dzień.

Mimo iż miała na sobie długi płaszcz z tweedu, była mokra od stóp do głów, gdy wróciła do gigu. Wskoczyła do środka, a kiedy ruszyli, przez ulewny deszcz ledwo widząc drogę, Dressler położył jej na kolanach wilgotną gazetę.

— Będziesz musiała ją wysuszyć przy ogniu, zanim zabierzesz się do czytania, panienko — powiedziała, popędzając konia ulicami już zalany wodą.

Wreszcie zatrzymali się przy furtce chaty.

— Jeśli ta pogoda cię niepokoi, panienko, to przyjdź do nas, słyszysz?

— Dziękuję, panie Dressler, ale na pewno nic mi nie będzie.

— Nie ma powodu do obaw. Będę obserwował rzekę. Może wysoko wezbrać, ale dlatego Paddy wybudował domek w tym miejscu, choć zawsze warto pilnować.

Emilie z mocnym postanowieniem kupna porządnej parasolki ostrożnie zeszła do chaty; schody prowadzące w dół zbocza już zmieniły się w śliską kaskadę i woda niszczyła jej buty. Kiedy otworzyła drzwi, buchnęło na nią ciepło. Ponieważ rano padało, pozamykała wszystkie okna i teraz w domu było wilgotno.

— A niech to — powiedziała do siebie, uwalniając się z namokniętego płaszcza. — Nigdy nie przyzwyczaję się do tego klimatu! Jak może być tak gorąco, a równocześnie lać jak z cebra?

Mimo to zdecydowała, że rozpali w kominku, by wysuszyć ubrania, ale drewno także namokło i jej próby okazały się nadaremne, przebrała się więc i poszła do kuchni, gdzie podpałka



była sucha. Chociaż było dopiero wczesne popołudnie, w domku panował ponury półmrok. Nie widziała nawet rzeki i nie miała pojęcia, czy woda wzbiera czy nie.

Mając poczucie zamknięcia, rzadkie doświadczenie w chacie, Emilie zaparzyła herbatę i z puszki wyjęła herbatniki. Żuła je bez przekonania, bo były suche i niezbyt smaczne, choć piekąc je stosowała się ściśle do przepisu Kate.

— Chyba jednak nie tak ściśle, jak powinnam — mruknęła. Nie mając nic innego do roboty, postanowiła wysuszyć gazetę, którą porzuciła gdzieś w domu.

Zmuszona do pomysłowości, jako że teraz sama musiała o siebie zadbać, Emilie z rozbawieniem stwierdziła, że „kolonialna” kuchnia całkiem jej odpowiada. Podczas gdy Kate nieustannie krzątała się po kuchni, szykując różne potrawy, Emilie wołała piec i gotować na blasze, bo tak było szybciej i łatwiej, piekarnik używając tylko do ogrzewania. Z ironicznym uśmiechem wykorzystała teraz piekarnik do wysuszenia gazety. Zadowolona z siebie, wyjęła sześć bardzo suchych, trzeszczących płacht i poukładała zgodnie z numeracją.

Nagłówek na pierwszej stronie wstrząsnął nią. **SONNY WIL-LOUGHBY POJMANY**

Sonny? Kto to jest Sonny? Czy to Mai?

Artykuł nie pozostawiał wątpliwości, że to Mała ujęto w miasteczku Chinchilla na południu Queenslandu, a następnie przewieziono do więzienia w Brisbane.

Emilie oczyma pełnymi łez czytała każde okrutne słowo. Chełpliwe, straszne. Nawet nie wspomnieli, że może być niewinny, zamieścili tylko relację o napadzie, morderstwach, rabunku złota i udziale Mała w tej ohydnej zbrodni.

Na następnej stronie było jeszcze więcej. Przerazające sprawozdanie z jego ujęcia na samotnej farmie nad rzeką Condamine, gdziekolwiek to było. Bandyta — bandyta? — został zaskoczony przez policję we śnie na skutek informacji przekazanej przez jego wuja, który dzięki temu zyskał prawo do nagrody. Wypłaconej naturalnie przez właściciela „Chronicie”, od ponad roku w imieniu mieszkańców Maryborough domagającego się intensywniejszych działań władz na rzecz wzmocnienia prawa i porządku.

Emilie go nienawdziła. Tak samo jak wuja Mała. Jak mogli to zrobić niewinnemu człowiekowi? A w dodatku wuj zdradził wszystkim, jak w rodzinie zwracano się do Mała. Sonny. Czy dla tego okropnego człowieka nie ma żadnej świętości?

Ze szczególnym przejęciem czytała scenę, w której opisywano, jak Mała wyprowadzano z miasta pod silną eskortą, a mieszkańcy wykrzykiwali pod jego adresem obelgi. Emilie czuła jego cierpienie, jego drogę krzyżową, jakby sama to przeżyła. Upokorzenie musiało być druzgocące.

A potem przeczytała, że więzień nie miał nic do powiedzenia, zupełnie nic, i znowu wybuchnęła płaczem.

Przez całe popołudnie i wieczór czekała. Była przekonana, że pomimo deszczu Clive przyjdzie, żeby jej powiedzieć o tym artykule na wypadek, gdyby gazeta nie wpadła w jej ręce. Żeby razem współczuć Malowi. Był ich przyjacielem, którego zamknięto w więzieniu za nie popełnione zbrodnie. Clive na pewno przyjdzie. W takiej sytuacji względy przyzwoitości zupełnie się nie licząły.

Emilie zasnęła na kanapie, kompletnie ubrana, nie chciała bowiem przyjmować Clive'a w koszuli nocnej.

W sobotę deszcz nadal padał, jakby nigdy nie miał przestać, a jedyną osobą, która odwiedziła Emilie, była pani Dressler, beztrosko obojętna wobec „tej kapki wody”, przynosząc wyśmienite białe kiełbaski i sernik.

Niedziela upłynęła podobnie. Gazeta nie wychodziła w weekendy, Emilie więc nie miała żadnych nowych wiadomości o Malu. Łało jak z cebra, dach zaczął przeciekać, woda podpływała pod frontowe drzwi, przypominając dobitnie, że domek w zamierzeniach miał służyć tylko jako schronienie dla wędkarza. Emilie powycierała podłogi, potem odważyła się wyjść na dwór, okryta płótnem, które wcześniej znalazła w składziku. Zobaczyła, że rzeka istotnie zalała część ogrodu, na razie jednak nie było powodów do niepokoju. Pani Mooney przysłała barmana, by się upewnić, że Emilie nie oczekuje jej ani dzieci na lunchu. Po jego odejściu, niezdolna skupić się na żadnym zajęciu, mogła tylko krążyć po pokoju, żałując Mała, pragnąc, by Clive przyszedł i ją pocieszył, nienawidząc tego miasta, tego kraju, za okrucieństwo, obrzydliwą pogodę, niesprawiedliwość.

A potem zjawił się Clive. O ósmej wieczorem, kiedy deszcz słabł, przyszedł Clive i Emilie rzuciła mu się w ramiona.

— O mój drogi! — szlochała. — Gdzieś ty był? Odchodziłam od zmysłów ze zmartwienia.

— Dobry Boże, Emilie! — wykrzyknął zdumiony. — Naprawdę spodziewałaś się mnie na lunchu? Nie narażałbym cię na takie kłopoty przy tej pogodzie. Uważaj, kochanie, bo całkiem się przemoczysz. Pozwól mi zdjąć te mokre ubrania.

Rzucił płaszcz i kapelusz na sofę.

— Mój tata opowiadał o deszczach w Indiach, ale założę się, że widząc tutejszą pogodę, brałby od razu nogi za pas. Jest obrzydliwa, prawda? A teraz mnie obejmij i powiedz, że się na mnie nie gniewasz.

Za jej uścisk zrewanżował się długim namiętym pocałunkiem i Emilie poczuła od niego alkohol. Trudno jej było oderwać się od niego, ale musiała okazać stanowczość.

— Nie teraz, Clivie, bardzo proszę. Chciałam z tobą porozmawiać.

— O czym? — Wciąż przytulał ją do siebie i całował w kark. — Tęskniłaś za mną? Byłem cholernie zajęty, nie miałem dla siebie nawet chwili...

— Bądź cicho, Clivie, i słuchaj. — Emilie odsunęła się od niego. — Nie czytałeś gazety z piątku?

Uśmiechając się, z namysłem potarł brodę.

— Piątek? A co się stało w piątek?

— Schwytali Mała!

— Boże, no tak. Biedny stary Mai. Ale to była kwestia czasu, on też o tym wiedział.

— Jest niewinny.

— I teraz ma okazję tego dowieść. — Clive zaczął krząć po pokoju. — Ten dom jest większy, niż wydaje się na zewnątrz. I bardzo tu przytulnie w deszczowy wieczór. — Usiadł w wielkim fotelu i poklepał się po kolanach. — Usiądź tutaj i opowiedz, co robiłaś przez weekend.

Emilie, ogarnięta desperacją, nie ruszyła się z miejsca.

— Mai zupełnie cię nie obchodzi? Przez cały weekend czekałam, żeby cię zapytać, co możemy zrobić.

— My? Emilie, bardzo mu współczuję, uwierz mi. Ale nikt nie może nic zrobić. Wszystko w rękach policji.

— Powinni zaarrestować pana Carnegiego.

— Z tego, co wiem, to niewykłuczone. Pollock powiedział, że Kemp przesłuchał go w Brisbane i dopilnował, żeby Carnegie nigdzie nie wyjechał, ale nie mogą go aresztować. Nic na niego nie mają.

— Coś musi być.

— A możemy pogadać o czymś innym? Ta rozmowa jest daremna.

— Ja jej tak nie odbieram — warknęła. — To nasz przyjaciel. Nie możemy siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż go powieszają. Jest niewinny.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Och, na litość boską! Przecież od razu go nie powieszają. Muszą postawić mu oficjalne zarzuty, pójdzie do więzienia, a potem odbędzie się rozprawa...

— Ale nie powinien siedzieć w więzieniu! To okropne.

— Emilie wylewała swoje niepokoje i żądała od Clive'a, by coś zrobił, choć sama żadnej konstruktywnej propozycji nie miała, aż wreszcie stracił cierpliwość.

Skoczył na równe nogi, złapał płaszcz i kapelusz, po czym zwrócił się do niej:

— Przyjdę innym razem, kiedy wróci ci rozsądek. Nie pozwolę, żebyś obwiniała mnie o jego nieszczęścia.

— Nie obwiniam, tylko że martwiłam się przez cały weekend. Miałam nadzieję, że odwiedzisz mnie, kiedy przeczytasz gazetę...

— A ja ci powiedziałem, że byłem zajęty. Świat nie kręci się wokół Mała Willoughby'ego, choć ty najwyraźniej tak myślisz. Ledwo go znasz, Emilie. Zachowujesz się jak głupiutka pensjonarka.

Nie chciała, by odchodził.

— Przepraszam, Clivie, ale to takie niesprawiedliwe i... więcej, to tragiczne!

— Cóż, więc zostawiam cię z twoją tragedią. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

Kiedy zatrzaskał za sobą drzwi, Emilie znowu wybuchnęła płaczem. Uświadomiła sobie, że nawet nie zaproponowała Clive'owi herbaty ani kawy, nie zapytała, czy jadł kolację, i było jej z tego powodu ogromnie przykro. Jak mogła zachować się tak bezmyślnie? Tak nieuprzejmie? To była jego pierwsza wizyta w jej domu i okazała się katastrofą. Clive przypuszczalnie nigdy więcej się do niej nie odezwie.

Zmęczona, przybita i rozpaczliwie samotna, zwinęła się na łóżku, przytulając do siebie poduszkę. Pragnęła kojącym snem zakończyć ten żaloszny weekend.

Nie miała pojęcia, że inny człowiek błyskawicznie zareagował na wieść o zaarrestowaniu Willoughby'ego.

— Pewne jak diabli, że będzie gadał — zwrócił się McPherson do Warda. — Muszę się stąd zabierać.

— Słusznie. Ani się obejrzymy, a w gazetach będzie jego zdjęcie i ludzie mogą go rozpoznać. Mówił, że przez dłuższy okres wędrował przez te góry, nim wpadł na ciebie. O nas się nie martw, powiemy, że w życiu go nie widzieliśmy. I nigdy o nim nie słyszeliśmy.

McPherson nie martwił się Wardem ani Foleyami. Sami mogą się o siebie zatroszczyć. Wybrał dobrego konia i zabrał się do pakowania.

— Ci dranie mnie nie dostaną. Pojadę tak daleko na północ, że zabraknie im pary.

Sierżant Pollock usłyszał tę wiadomość, gdy dotarł do Bundabergu, miasteczka na wybrzeżu oddalonego od Maryborough tylko o pięćdziesiąt mil na północ.

Konstabl Lacey odczuł ulgę.

— Możemy wracać do domu, szefie?

— Nie wiem — odparł Pollock kwaśno. Czuł się jak głupiec, że wyruszył w pogoń za Willoughbym na północ, podczas gdy drań przebywał setki mil dalej, na południu. Mógł się pożegnać z nadzieją na awans za ujęcie Willoughby'ego. I nie ulegało wątpliwości, że ci dwaj bandyci, McPherson i Willoughby, nie podróżowali razem. Jeden udał się na południe. A drugi dokąd? Na północ? To możliwe, choć mógł też ruszyć na zachód. Tysiąc mil w każdym z tych kierunków. Beznadziejna sprawa.

Chociaż rozpoczęli przeszukiwanie wzgórz, odwiedzając każdą farmę i najbardziej oddaloną osadę w towarzystwie kilku miejscowych policjantów, którzy krzywili się na swoje zadanie, nigdzie nie natrafili na najmniejszy ślad świadczący, że McPherson przebywał w tych okolicach.

Pollock utopił swoje smutki w karczynie, na wpół ukrytej pośród palm z liśćmi błyszczącymi po niedawnych deszczach. Była kryta słomą, zamiast podłogi miała klepisko, co wcale nie przeszkadzało kilku innym gościom, z których żaden nie nosił butów. Byli to twardzi mężczyźni o ogorzałej twarzy i zimnych, zmęczonych oczach; obecność umundurowanego policjanta wcale nie robiła na nich wrażenia, ale Pollocka za grosz to nie obchodziło. Ignorował gniewne spojrzenia i przykre uwagi, przy zatłuszczonym kontuarze kończąc trzecie ciepłe piwo i czekając na konstabla Lacey'a.

Zdecydował, że wracają do domu. W Maryborough i okolicach dość mieli roboty, żeby marnować czas na szukanie McPhersona, skoro bandyta był nieuchwytny jak błędny ogień. I lepiej zrobić, jeśli nie powiadomią przełożonego, który był na tyle szalony, że wydał im rozkaz wyjazdu. I który nie miał pojęcia o rozległości tego przekłętego stanu.

Ponieważ gliniarz nie reagował na komentarze mężczyzn, jakiś rudzielec zwrócił się do Pollocka bezpośrednio:

— Hej, panie, szukasz pan Willoughby'ego? A sprawdziłeś w sraczu? Może tam siedzi.

Dowcipne słowa nagrodzono wybuchem śmiechu, ale Pollock patrzył przed siebie, uświadamiając sobie, że wymyślne butelki stojące na półce za barem nie były niczym innym jak dekoracją i zawierały przypuszczalnie herbatę. Zmusił się do sympatycznego uśmiechu.

— Willoughby'ego pojmano. Ktoś z was zna McPhersona?

Zapadła nagła cisza, po której nastąpił mniej szczerzy śmiech, a kiedy do baru wszedł Lacey, mężczyźni stracili zainteresowanie nowo przybyłym.

— Znalazłem dla nas prycze — odezwał się konstabl. — Na łodzi. Za to bez pcheł.

— To będzie niejaka odmiana — mruknął Pollock, gestem dając znak barmanowi, żeby obsłużył jego kolegę.

— I to nie wszystko — szepnął Lacey. — Jeden drobny facecik powiedział mi, że McPherson ma kumpli w Bowen.

— I co z tego?

— No, jak myślisz, powinniśmy tam jechać?

— Chryste, Mike! To pięćset mil jak nic. Chciałem dorwać Willoughby'ego, nie udało się. Nie szukam McPhersona. Nie wiemy nawet na pewno, czy był w Blackwater Creek.

— Wierzysz w ten list?

— I tak, i nie. Opuszczamy to gniazdo moskitów i jedziemy do domu. Zaraz po powrocie wyślesz depezę do policji w Bowen, żeby mieli oczy otwarte. Ty zdobyłeś tę informację.

— Dzięki, szefie — powiedział Lacey zadowolony. — Wcale nie uśmiechała mi się taka wędrówka. Myślałem tylko, że powinienem o tym wspomnieć. — Wychylił kufel kilkoma łykami i oparł się o kontuar. — Hej, któryś z was wie, gdzie można tu coś zjeść?

Zebrani w barze złagodnieli. Bundaberg był dopiero początkiem miasta — bez policji, bez kawiarni, ot, skupisko prowizorycznych budynków wzniesionych na polanach wykarczowanego lasu deszczowego, jednym słowem: przyczółek na wybrzeżu dla plantacji trzciny cukrowej.

— Gotujemy na ogniskach — powiedział jeden z mężczyzn niechętnie. — Przynieście własny napitek.

Następny dzień zastał Pollocka na kołyszącej się łagodnie łodzi; sierżant czuł się wyjątkowo dobrze, zważywszy, ile alkoholu wypił,

ale z drugiej strony zjadł wyśmienitą kolację. Świeża ryba zawinięta w liście palmowe i upieczona w ognisku, mięso z rusztu, gotowane ziemniaki i kukurydza... To była prawdziwa uczta. Po tamtym wieczorze zachował miłe wspomnienia z Bundabergu. Podobnie jak Mikę Lacey, który pamiętał, że musi zatelegrafować do policji Bowen, innego cukrowego miasta.

Po tym okropnym weekendzie Emilie cieszyła się, że może wyjść z domu, i z niecierpliwością wyczekiwała, kiedy znowu znajdzie się w bezpiecznych ścianach klasy. Co będzie także miłą odmianą, przyznała smutno, idąc energicznym krokiem do domu państwa Manningtree. Słońce znowu świeciło jasno, bez wyrzutów sumienia za kilkudniową nieobecność, z bujnych zarośli unosiła się para. Zapowiadał się kolejny monotonnie upalny dzień. Czasami Emilie tęskniła za chłodem, prawdziwym chłodem, z buzującym ogniem, wełnianymi swetrami, skarpetami i szalami... Westchnęła ciężko.

W kuchni Kate i Nellie mówiły tylko o pojmaniu bandyty, podczas gdy dzieci kończyły śniadanie. Uciszyło je nagłe pojawienie się pani Manningtree, która była w doskonałym nastroju, nawet gawędziła z Emilie o weekendzie.

- Co za szkoda, że musiały pani odłożyć lunch z dziećmi.
- O tak, przykro mi, że się rozczarowały, ale jeśli pani się zgodzi, madame, spotkamy się w następną niedzielę.
- Ależ naturalnie. Co więc pani robiła przez cały weekend?
- Niewiele. Zwykle zajmuję się ogrodem.
- Panie na wysokościach, jeśli zostanie tu pani, będzie pani musiała przyzwycząić się do opadów. Pora deszczowa jeszcze się nie zaczęła. My nie pozwalamy, żeby deszcze psuły nam życie towarzyskie.

Podczas gdy pani domu dalej paplała o wyjątkowo zajęтым weekendzie, o tańcach w Sali Masonów w piątkowy wieczór i przyjęciu urodzinowym burmistrza, Emilie zaczęła się zastanawiać, czy nie jest to kara za odwołanie lunchu. Nellie wyczuwając, że coś jest nie tak, zniknęła gdzieś w domu, a Kate powędrowała do spizarki, daleko poza linię ognia, choć pozostając w zasięgu wzroku.

- Mieliliśmy naprawdę wspaniały weekend. Deszczowy, przynajmniej, ale to tylko dodało zabawie uroku. Po prostu wszyscy pojawili się na przyjęciu u burmistrza. Byłam zaskoczona, że pani tam nie ma. To był gest poparcia dla niego, a jak pani wie, burmistrz jest

## ZATOKA ORCHIDEI

naszym drogim przyjacielem. Pan Hillier tam był, powiedziałabym, że odniósł sukces.

— To miło — odparła Emilie obojętnie, teraz już wszystko rozumiejąc.

— Zaciekawiła mnie towarzysząca mu dama. No wie pani, skoro ma być pani narzeczonym, tak przynajmniej wszyscy sądzą...

— Pan Hillier jest moim bliskim znajomym.

— Naturalnie. Ale nie może pani obwiniać mnie o ciekawość, musiałam zapytać. Może ją pani zna, wysoka rudowłosa dziewczyna, dość ładna w krzykliwy sposób.

— Nie, nie znam jej.

— Och, jest pani pewna? Na imię ma Fleur albo coś w tym rodzaju.

Emilie pokręciła głową.

— Nie, ale bardzo się cieszę, że miała pani taki udany weekend, madame. A teraz wybacz pani, ale naprawdę muszę zająć się dziećmi.

Kim jest Fleur?

Chociaż Emilie nie dała swojej chlebodawczyni tej satysfakcji, by okazać zdenerwowanie, w środku gotowała się ze złości. Clive ją okłamał. Był zajęty przez cały weekend? Najwyraźniej tak, ale nie w pracy, jak sugerował. A potem miał tupet wytykać jej troskę o Mała, podczas gdy sam towarzyszył innej. I wyszedł w pośpiechu. Przez cały dzień rozczarowanie nie pozwalało jej się skoncentrować. Nie podobało jej się określenie „narzeczony”, ale prawdą było, że uważała Clive'a za kogoś więcej niż przyjaciela, i słowa pani Manningtree bardzo ją zraniły. Miała nadzieję, że Clive przedstawi jakieś proste wytłumaczenie. Może ta dziewczyna jest jego krewną? Ale dlaczego w takim razie nigdy o niej nie wspomniał?

Kim jest Fleur?

Pracowała jako barmanka w Brisbane, kiedy poznała układowego Anglika. Jechał na pola złotonośne w Gympie, ale zadurzył się w niej i opóźnił wyjazd. Wreszcie Fleur zaproponowała, że będzie mu towarzyszyć.

— Na Boga, nie! — odparł zaskoczony. — Z tego, co słyszę, warunki na polach są bardzo surowe. W żadnym razie nie możesz ze mną jechać.



— Dlaczego nie? Mnóstwo kobiet się tam wybiera. Umieć jeździć konno i jestem dobrą kucharką. Założę się, że ty nie.

— Mimo to...

— Nie możesz pracować sam — powiedziała szybko. — Potrzebna ci pomoc. Musisz się zgodzić! To będzie świetna zabawa. I wyobraź sobie, że znajdziemy złoto! Proszę, Clivie, zgódź się.

Nie trzeba go było długo przekonywać, wspominała Fleur z uśmiechem. I na początku rzeczywiście oboje świetnie się bawili.

Zeszli na ziemię po kilku tygodniach mieszkania w zakurczonym, pełnym pcheł obozowisku, otoczeni przez ciągły hałas i szcęk narzędzi w ciągu dnia, nocami zaś chroniący się przed bójkami pijaków i odgłosami radości. Oboje ciężko pracowali. Fleur dotrzymała obietnicy, uzupełniała zapasy, gotowała nad ogniskiem i pomagała Clive'owi przy kopaniu, szybko jednak serdecznie zaczęła mieć dość tego wszystkiego. Zwłaszcza że prawie nic nie znajdowali, choć innym wiodło się o wiele lepiej.

Zabawa zmieniała się w harówkę. Fleur zadrzała wspominając ten okropny okres. Często się kłócili, Fleur oskarżała Clive'a, że nie potrafi znaleźć złota, mówiła mu, że jest beznadziejny, na co on podwajał wysiłki i wieczorami padał na pryczę. Ogarnęła go obsesja złota, nie stanowił żadnego towarzystwa. Był skończonym nudziarzem.

Fleur sama zadbała o swoje rozrywki. Wymykała się z namiotu i dołączała do tłumów w karczmach, co powodowało jeszcze bardziej zażarte kłótnie, bo Clive zwykle ją przyłapywał.

W tym czasie Fleur szukała sposobu ucieczki z tego miejsca. Nie miało sensu wyjeżdżać bez grosza, skoro tyle złota odkopywano w Gympie, zaplanowała więc starannie swój następny krok. Było za późno, żeby przyłączyć się do kopacza, który już znalazł złoto. Natychmiast wyjeżdżał, często z ulubioną dziwką wiszącą mu na ramieniu — nie, Fleur musiała postawić na najbardziej prawdopodobnego zwycięzcę.

Odnosiła wrażenie, że ten mężczyzna jest wyjątkowym górnikiem, który wie, co robi, więc ilekroć mijała jego działkę, przystawała i gawędziła z nim, co czyniła tak często, jak tylko się dało. Stanowi pochlebiała uwaga „ślicznej panienki”, jak ją nazywał, Fleur zaś nigdy nie wspominała o nim przy Clivie. Co nie znaczyło, że jej przystojny współnik uznałby za rywala sześćdziesięcioletniego górnika z białą brodą.

## ZATOKA ORCHIDEI

Kiedy rozeszła się wieść, że Colman znalazł złoto, Fleur znalazła pretekst, by pójść do sklepu. Nadłożyła drogi i udała się na działkę Staną z gratulacjami.

— Dobra z ciebie dziewczyna — powiedział. — Bardzo to miłe z twojej strony. Rzeczywiście znalazłem złoto i jak tylko wybiorę żyłę do końca, wyjeżdżam stąd. Kruszczu wystarczy mi do końca życia.

Fleur westchnęła.

— Żałuję, że nie mogę pojechać z tobą. Wiesz, on mnie bije.

Kłamstwo odniosło właściwy skutek...

— Kto? — pytał Stan wstrząśnięty. — Hillier? Wygarbuję mu skórę.

— Dzięki, ale to mi nie pomoże. Jestem do niego przywiązana. Nie stać mnie na wyjazd.

Stan mrugnął porozumiewawczo.

— Nie bądź taka pewna. Wytrzymaj jeszcze trochę, aż dam ci znak, a wtedy oboje znikniemy. Będzie ci ze mną dobrze, tego możesz być pewna. No i co powiesz?

— Nie chciałabym ci się narzucać, Stanie.

— Wcale byś się nie narzucała. Byłbym dumny, gdyby taka dziewczuszka jak ty pojechała ze mną.

Fleur wycisnęła pocałunek na brodatej twarzy.

— Prawdziwy z ciebie dżentelmen, Stanie. Byłabym taka wdzięczna...

Pojechali do Maryborough, a stamtąd do Brisbane. Dopóki wystarczyło pieniędzy, bawili się świetnie, mieszkali w najlepszych hotelach jako państwo Colmanowie, kupowali wszystko, na co mieli ochotę, od modnych ubrań począwszy, a na skrzyniach szampa skończywszy. Prowadzili wystawne życie, często przyjmując starych i nowych przyjaciół w wytwornym stylu.

Kiedy wreszcie gotówka wyschła, Stan niczego nie żałował.

— To był najlepszy okres w moim życiu, Fleur. Teraz ruszam na nowe pola złotoności. Chcesz pojechać ze mną?

— Bez obaw! — roześmiała się. — Po dziurki w nosie mam tego brudu i kurzu.

Rozstali się w zgodzie, a co więcej, Stan nie zostawił jej zupełnie bez grosza. Nigdy nie wpadło mu do głowy, żeby prosić Fleur o zwrot tych funtów, które wtykał do jej portmonetki z regularnością nałogowca, bo to po prostu nie leżało w jego naturze. I wciąż miała trochę kosztownej biżuterii oraz kufry pełne modnych strojów.

Jednakże stary przyjaciel wyświadczył jeszcze większą przysługę byłej barmance: wprowadził ją w wytworne towarzystwo i teraz nie było już powrotu do nędzy. Nigdy.

Wkrótce też znalazła innego dżentelmena, równie szczodrego i dziesięć lat młodszego od Stana, który zapewniał jej wygodę w hotelowym apartamencie. Był żonaty i miał gromadkę dzieci, co Fleur bardzo odpowiadało. Nie chciała, żeby ciągle się koło niej kręcił, musiała poczynić plany.

Wreszcie postanowiła, że kupi hotel. Albo, jak nalegała jej najlepsza przyjaciółka Madeleine, która miała niejaki doświadczenie w tym interesie, burdel. Wysokiej klasy burdel. Do tego czasu bogaty dobroczyńca był już tak zadurzony w rudowłosej i temperamentnej utrzymance, że chętnie zgodził się ją wesprzeć, zwłaszcza kiedy wspomniała, iż szybko rozwijające się miasto w rodzaju Maryborough będzie doskonałe na początek. Pracował w branży okrętowej i jak domyślała się Fleur, idealnym wyjściem dla niego była kochanka w innym mieście, które mógł odwiedzać bez konieczności wymyślania pretekstów.

Obie panie, Fleur i Madeleine, przybyły do portu Maryborough w mokre piątkowe popołudnie. Przedzierając się przez strugi deszczu do hotelu Prince of Wales, Madeleine od pierwszego spojrzenia znieubiła to miasto. Już była przeziębiona, a teraz położyła się do łóżka przekonana, że złapała zapalenie płuc.

Fleur ulepiona była z twardszej gliny. Pokojówce kazała wysuszyć i wyprasować zamoczone ubrania, wytarła włosy ręcznikiem, ułożyła je za pomocą pomady i upięła w elegancką fryzurę, którą nauczyła się robić w Brisbane. Wybrała kosztowną suknię z tafty w zielono-czarne paski z nisko wyciętym stanikiem, a w uszy wpięła szmaragdowe kolczyki.

— Jeśli idziesz na dół, powinnaś włożyć kapelusz — prychnęła Madeleine obserwując poczynania przyjaciółki. — Tak się robi, a tobie kapeluszy akurat nie brakuje.

— A kogo to obchodzi? Nie wyjdę na dwór przy tej pogodzie. Niech się gapią. Sama ustalam dla siebie reguły.

Spłynęła po schodach, pewna siebie i świadoma spojrzeń, które panie rzucały jej spod rond wielkich kapeluszy, gdy przechodziła przez hol, zaglądając do salonu i zatłoczonej sali jadalnej.

Podbiegła do niej kelnerka z pytaniem, czy życzy sobie usiąść przy stoliku i tam czekać na towarzystwo, które najwyraźniej jeszcze

się nie pojawiło. Damy nie jadały kolacji samotnie, to było nie do pomyślenia nawet w Maryborough. W każdym razie w tym hotelu.

— Niedługo przyjdzie — odparła Fleur władczo. — Przypuszczam, że winę za to ponosi deszcz. Za kilka minut wrócę tutaj.

— O tak, madame. Wszyscy dzisiaj się spóźniają. Ale jeśli pani sobie życzy, może pani poczekać w środku.

Fleur dała wyraźnie do zrozumienia, że nie przeszkadza jej samotna kolacja, po czym wróciła do holu, gdzie z podziwem przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze z pozłacaną ramą, które wisiało nad przywiedłą palmą. Mogła teraz utrzymywać, że zostawiono ją na lodzie z powodu pogody, i spokojnie obserwować innych gości. Uznała, że kobiety, które do tej pory widziała, zaniedbane i mało eleganckie, nie stanowią dla niej żadnej konkurencji, a kto wie, może trafi się jakiś chętny dzentelmen. Fleur nie należała do tych, co wydają własne pieniądze, chyba że nie było innej alternatywy.

Alternatywa pojawiła się w progu sali bilardowej i rudowłosa dama ruszyła, by ją powitać.

— Boże wielki, Clive! Kto by pomyślał, że cię tu spotkam?

Gapił się na nią szeroko otwartymi oczyma.

— Fleur! Do licha, ledwo cię poznałem.

Uśmiechnęła się z dumą.

— Spora odmiana w porównaniu z tymi brudnymi polami złotonośnymi, nie uważasz?

— Istotnie — odparł z wymuszonym uśmiechem. — Wyglądasz doskonale.

— Ty też, mój drogi. — Ujęła go pod ramię. — Miło znowu cię widzieć. Musisz postawić mi drinka i opowiedzieć, co u ciebie.

Clive rozejrzał się dokoła.

— Naprawdę czas na mnie...

Fleur wszakże nie miała zamiaru pozwolić, by się wymknął.

— To wykluczone! — wydeła grymaśnie usta. — Musisz wszystko mi opowiedzieć. Przecież chyba możesz poświęcić mi chwilę. Zatrzymałam się w tym hotelu i jestem piekielnie znudzona.

Uniósł brew.

— Sama?

— Nie, z przyjaciółką. Jest chora. — Roześmiała się. — Wiesz, nie sprawdziły się twoje kosmate podejrzenia. Gdzie możemy się napić?

— Naprawdę nie wiem, Fleur. W tutejszych hotelach nie prowadzą saloników dla pań.

— Nie szkodzi, zawsze jest sala jadalna. Chodźmy, wilgotno w tym holu.

— Dobrze — zgodził się Clive bez entuzjazmu.

Fleur była zachwycona.

— Cudownie. Pogadamy sobie od serca.

Clive'owi w gruncie rzeczy nie przeszkadzało, że Fleur zmusiła go do towarzyszenia jej przy kolacji. Był zaintrygowany tą przemianą z wiejskiej dziewczyny w uosobienie szyku. Co prawda jak na jego gust była ubrana zbyt strojnie i wyglądała dość wulgarnie, choć suknia ukazywała, że wszystko ma na swoim miejscu, pełny biust, który tak dobrze pamiętał, niemal wylewał się z dekoltu. Była tak samo jak przedtem śmiała i odzyskała to swoje nieokiełznane poczucie humoru, które go w niej pociągało na początku znajomości, lecz szybko zostało pokonane przez surowe warunki panujące na polach złotonośnych.

Słuchając, jak ze śmiechem i bez skrępowania opowiada anegdotki ze swych podróży ze starym Stanem Colmanem, z zaskoczeniem stwierdził, że nie czuje do niej urazy za porzucenie. Wtedy był zraniony i zły, przypuszczał jednak, że był to raczej cios dla jego dumy, a nie serca.

Kiedy wszakże uświadomił sobie, że Fleur pozostaje pod wrażeniem, iż jest prosperującym biznesmenem, wspomniawszy bowiem mgliście o planach zainwestowania w mieście, ta sama duma powstrzymała go od skorygowania jej podejrzeń. Mała rekompensata za zrobienie z niego głupca.

W doskonałej komitywie ze smakiem zjedli kolację i cieszyli się trzecią butelką wina, zamówioną przez Fleur, kiedy przy stoliku pojawił się Walt White. Choć zwracał się do Clive'a, nie mógł oderwać wzroku od Fleur.

— Tu jesteś, stary! Musisz, Clivie, wyświadczyć nam przysługę. Jak wiesz, jutro jest wielkie przyjęcie. W ramach poparcia dla burmistrza. Niedługo wybory. — Uśmiechnął się przypochebnie do Fleur. — Muszę wyznać, droga pani, że marny z niego burmistrz, ale lepszy niż jego rywal. Clivie, stary druhu, przygotowaliśmy wspaniałe przemówienie i wybraliśmy ciebie, żebyś je wygłosił.

Na Clivie nie zrobiło to wrażenia.

— O nie, tylko nie ja, Walterze. Znajdź kogoś innego.

ZATOKA ORCHIDEI

— Nikogo innego nie ma. — Walt znowu zwrócił się do Fleur: — Zgodzi się pani, że on ma cudowny głos, niezwykle melodyjny.

— O tak, bardzo angielski. Musisz to zrobić, Clivie.

— Oczywiście. Nie przyjmujemy odpowiedzi odmownej. I musi panią ze sobą przyprowadzić. Zostanie pani królową balu.

— Bal! Czyli będą tańce? Cudownie! Z przyjemnością przyjdziemy. Dziękuję, panie...?

— White — niechętnie mruknął Clive. Rozmyślnie nie przedstawił ich sobie.

— Więc sprawa załatwiona — oznajmił Walt triumfalnie. — Posadzę ciebie i tę piękną damę przy moim stoliku. — Stuknął obcasami i skłonił się Fleur. — *Adieu, milady.*

I szybko odszedł.

— Skończony dureń! — wycodził Clive przez zęby.

— Nie mów tak, jest bardzo miły. I najwyraźniej odczytanie mowy jest dla ciebie zaszczytem. Nie mogę się doczekać tego balu. Będzie świetna zabawa.

Clive jęknął.

— Słuchaj, Fleur, muszę już iść.

— Tak wcześnie?

— Tak, jutro mam sporo zajęć.

— Może wpadniesz do mojego pokoju na strzebiennego?

— Nie. W żadnym razie nie chciałbym przeszkadzać twojej przyjaciółce.

— Nie będzie miała nic przeciwko temu.

— Nie. Dajże spokój, czas iść.

— Och, dobrze. Muszę przecieżyć się wyspać przed jutrzejszym wieczorem. Nie zapomnisz, prawda?

— Chyba nie.

Kiedy wstawali od stolika, cmoknęła go w policzek.

— Dobranoc. Naprawdę jesteś słodki.

Następnego dnia Fleur z przyzwyczajenia wstała wcześnie, choć z powodu deszczu nadal nie mogła opuścić hotelu. Długo siedziała przy śniadaniu, gawędząc z nowo poznanym czarującym Francuzem, który powiedział jej, że jest plantatorem. Później ukradkiem weszła do baru, nie po to, żeby się napić, lecz w poszukiwaniu informacji.

Barmanka, która polerowała szklanki, ze zdumieniem spojrzała na wchodzącą damę.

— Przykro mi, madame, jeszcze nie otworzyliśmy. I... nie możemy obsługiwać tutaj pań — dodała szeptem.

— Wiem — roześmiała się Fleur. — Zatrzymałam się w tym hotelu i tak sobie chodzę, żeby jakoś zabić czas. Bardzo przyjemny ten bar, prawda? Całkiem spory.

Rozmawiając z gadatliwą barmanką o hotelu i mieście, wspomniała nazwisko Clive'a Hilliera.

— Pani go zna? — zapytała barmanka.

— O tak. — Fleur nigdy nie ukrywała swojej przeszłości. Jeśli o nią chodzi, ludzie mogą sobie myśleć, co im się podoba. Sama ustanawia dla siebie reguły, jak często powtarzała. — Byłam z Clive'em na polach złotonośnych w Gypmie.

— Naprawdę? — Kobieta nie kryła zaskoczenia. A potem szeroko otworzyła oczy. — Wielki Boże, ty jesteś Fleur! Pracowałam w knajpie Salty'ego. Nie poznałabym cię!

— Miałam szczęście — uśmiechnęła się Fleur.

— To świetnie. Chcesz czegoś łyknąć?

— Nie odmówiłabym kropelki brandy. Postawiłaby mnie na nogi, bo wczoraj wypiłam za dużo wina.

Szybko osuszyła szklaneczkę, by nie sprawiać barmance kłopotów.

— Opowiedz mi o Clivie. Jak sobie radzi?

— Jest szefem składu celnego.

— Pracuje tam?

— Tak, i to od jakiegoś czasu. Ma stałą dziewczynę. Nauczycielkę. Bardzo miła. Przyjaciółka pani Mooney.

— Ha, powinna umieć trzymać go w ryzach.

— Na to wygląda. Wszystkie chłopcy są takie same.

— Możesz to powtórzyć. Kim jest ten Francuz?

— Pan Devereaux? Fajny, no nie? Rozdaje wszystkim napiwki, jakby pieniądze wychodziły z mody. Ma wielką plantację trzciny cukrowej na drugim brzegu rzeki...

Do sali wszedł barman ze szcztoką i wiadrem.

— Spóźniłeś się — warknęła na niego dziewczyna.

Fleur pożegnała się; wiedziała, że czas się zbierać.

Zastanawiała się nad Clive'em. Doskonale sobie radzisz, co? Myślisz o inwestycjach? No, nie sędzę.

Salę jadalną powiększono, otwierając drzwi do sąsiedniego pomieszczenia udekorowanego palmami i barwnymi chińskimi

lampionami, w którym odbywać miały się tańce. Zespół składający się z pianisty, dwóch skrzypków i perkusisty powitał muzyką pierwszych gości. Clive dotrzymał słowa i towarzyszył Fleur na balu, choć był ponury i zły, bez entuzjazmu spełniając swe obowiązki w ten upalny i parny wieczór. Fleur wcale się tym nie przejęła, bo wyglądał bardzo atrakcyjnie w ciemnym ubraniu, koszuli z wykrochmalonym kołnierzem i muszce. Idealny towarzysz dla damy, która od chwili gdy przekroczyli próg, znalazła się w centrum zainteresowania zebranych. Szybkie spojrzenie powiedziało jej, że żadna z obecnych tu zaniedbanych kobiet nie może z nią rywalizować. Na tę okazję wybrała swoją ulubioną suknię i cieszyła się bardzo, że ma sposobność w niej się pokazać. Madeleine, która nie obraziła się, że jej nie zaproszono, ułożyła włosy przyjaciółki w kaskadę loków spływających z czubka głowy i okalających twarz. Odsłaniająca ramiona suknia balowa uszyta była z różowej satyny i miała marszczoną spódnicę lamowaną srebrem. Fleur do kompletu włożyła perłowe kolczyki.

Od razu podbiegł do nich White.

— Moja droga, wygląda pani wspaniale. Wszystkich nas pani zaćmi! Proszę ze mną. Clive'a też nie możemy spuścić z oka.

Clive'owi cała ta impreza wydała się idiotyzmem, ludzie w strojach cuchnących wilgocią i środkami przeciw molom tłoczyli się w sali, chętnie łąpiąc darmowe drinki. A Fleur pomimo komplementów Walta wyglądała śmiesznie.

Szeptem powiedziała mu, że suknia kosztowała fortunę, ale z uprzejmości zignorował tę uwagę.

Wieczór ciągnął się niemiłosiernie. Pani Mooney potraktowała go niemile. Pani Manningtree specjalnie podeszła, by porozmawiać z Fleur, i Clive, niepokojąc się o Emilie, poszukał schronienia w whisky.

Kiedy werbel zapowiedział przemówienia, Clive odczytał najeżoną pochlebstwami i wielkimi słowami mowę, której nikt nie słuchał, co wcale go nie martwiło. Napił się szampana, za wiele szampana, z rozczulonym burmistrzem, po czym wrócił do stolika, gdzie zastał Fleur śpiewającą ballady ze starymi i nowymi znajomymi, bo muzycy najwyraźniej zapomnieli o swoich obowiązkach.

Pijany i przygnębiony szepnął do Fleur, że wychodzi.

— Nie możesz, jest za wcześnie! — roześmiała się w odpowiedzi.



— Idę, Fleur, nie trzeba przecież odprowadzać cię do domu.  
 — No dobrze — westchnęła. — Ale moja przyjaciółka Madeleine czuje się lepiej. Może jutro pokażabyś nam miasto? Biedna Madeleine nosa z pokoju nie wyściubiła.

— Nie mogę. Pracuję.

Na to słowa Fleur i jej przyjaciele wybuchnęli gromkim śmiechem.

— Jutro jest niedziela, Clivie! — przypomniała mu. — No, bądź taki dobry. Pobyt Madeleine w tym mieście jest naprawdę okropny.

— Oczywiście, że się zgodzi — wtrącił Walt White. — Clivie, nie możesz zawieść dam.

— W porządku — powiedział Clive. Innego wyboru nie miał.

Podczas tego wieczoru Fleur udało się złapać wzrok Francuza, pana Devereaux, który wzniosł w jej kierunku kieliszek, kiedy wszakże po wyjściu Clive'a zaczęła się za nim rozglądać, niestety, jego też już nie było.

Zaloty Walta White'a stały się nudne — obmacywał ją i miał brzydki oddech. Był strasznie zrozumiwały, powtarzał, jaką jest ważną osobą w mieście, a kiedy szepnął jej do ucha bardzo jednoznaczną propozycję, dawna Fleur powróciła.

— Spadaj, ty przeklęty stary głupcze!

Upokorzony Walt nie doczekał końca przyjęcia; wyszedł przysięgając zemstę. Jednakże nie wspomni o Fleur w gazecie. Ani słówkiem. W zamroczonej głowie już układał na nowo następną kolumnę towarzyską, nie zapominając przy tym, że burmistrza, który dał się ponieść „uczuciom”, trzeba było odprowadzić do domu.

W niedzielę rano Clive obudził się z kamiennego snu. Alkoholowego kamiennego snu, przypomniał sobie, ale czuł się dobrze i był z siebie zadowolony, bo na tyle wcześniej wzięt nogi za pas, że teraz nie musiał cierpieć skutków tanich napitków, które już zaczynały krążyć wśród uczestników przyjęcia. Chętnie jeszcze by pospał, jednakże plany rozładunku statków nie uwzględniwały świąt i miał pracę do wykonania.

Złapał ręcznik, wciągnął białe drelichowe spodnie, które ułożył pod materacem, żeby się wyprasowały, i ruszył na korytarz. Minał obskurną łazienkę, kierując się do „prysznicza”, ogrodzonej żelaznym płotem konstrukcji na podwórku. Woda była ciepła i płynęła ze zbiornika z siłą kaskady. Clive stojąc pod strumieniem wybuchnął śmiechem, wspominając poprzedni wieczór, to niezwykle

wydarzenie towarzyskie! Niesamowite, doprawdy, że tak wielu ludzi rozplętywało się w zachwytach nad Fleur. Dziwił się ich naiwności.

— Musiałem dobrze się bawić — mruknął do siebie. — Wypiłem tyle, że można by zatopić statek.

Deszcz złagodniał, przeszedł w lekką mgiełkę, za to upał przybierał na sile, gdy Clive ruszył ulicą, kawałkiem ceraty okrywając ramiona. O tak wczesnej porze nie spotkał nikogo poza czarnymi, którzy zbierali łajno na taczki, co było ich codziennym obowiązkiem w Maryborough; ponieważ jednak poruszając odchody koni, wołów i kóz, które swobodnie wałęsały się po mieście, wzbudzili słodko-mdłący odór, Clive minął ich niemal biegiem.

Na nabrzeżu panował ruch, ładowano towary i wprowadzano pasażerów na pokłady statków. Zadaniem Clive'a było pilnowanie, czy w ostatniej chwili ktoś nie próbuje wynieść ukradkiem alkoholu, by w ten sposób uniknąć cła. Stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, przyjął od kapitana barki „Virginia” zaproszenie na śniadanie i obowiązkowy kieliszek rumu.

Dzień nabierał właściwych kształtów; Clive utworzył skład i schował się w swoim biurze, by przejrzeć gazety z różnych stanów, które zebrał na statkach.

A potem przypomniał sobie, że obiecał pokazać miasto Fleur i jej przyjaciółce. To go zirytowało, choć ów obowiązek wcale nie był trudny. Poza tym ciekawiło go, co te dwie knują. Fleur powiedziała, że myślą o kupnie hotelu. Mało prawdopodobne w przypadku Fleur, jednakże nie znał jej przyjaciółki. To może nie byłby zły pomysł wybić im taki zamiar z głowy.

Tym razem zameldował się pod hotelem w swoim gigu. Panie już na niego czekały. Fleur nie okazywała najmniejszych oznak znużenia po poprzednim wieczorze i w dodatku wyglądała ładnie w brązowym kostiumie i dopasowanym do niego eleganckim kapelusiku.

Gawędząc wesoło, przedstawiła swoją przyjaciółkę „drogiemu Clive'owi”. Jedno spojrzenie na Madeleine, starszą od Fleur, jasnowłosą i rozmemłaną, powiedziało Clive'owi, że przyjaciółki nie szukają hotelu, ale raczej lokalu na kolejny burdel.

Kiedy jechali przez miasto, Madeleine narzekała na pogodę, upał, okropny hotel. A Clive zgadzał się z nią w każdym punkcie.

— Miasto niezbyt ciekawe — przyznał — i już za dużo w nim hoteli. Ludzie mają mało pieniędzy, odkąd skończyło się

złoto. Ryzykując obrazę waszych wrażliwych uszu, drogie panie, powiem też, że za dużo tu burdeli. Chociaż rada miejska robi wszystko, by ograniczyć powstawanie takich lokali.

Nim wrócili do hotelu, Madeleine straciła całe zainteresowanie Maryborough, za to Fleur wciąż chciała tu zostać.

O nie, nie zostaniesz, pomyślał Clive, jeśli będę miał coś do powiedzenia w tej sprawie. Fleur była zachwycona, wręcz jej pochlebilo, kiedy zaproponował, że wieczorem znowu ją odwiedzi.

— Do wieczora! — zaszcebiotała wesoło, wchodząc po stopniach do hotelu i popychając Madeleine przed sobą.

— On nie jest głupcem — stwierdziła Madeleine z gniewem. — Wie, co chcemy zrobić, Fleur. A jak sama powiedziałaś, nie ma grosza przy duszy.

— Nigdy nic nie wiadomo — zaoponowała Fleur. — Chyba jest popularny. Może pociągnąć za odpowiednie sznurki.

— Bzdura. Słyszałaś, co mówił. Mało tu pieniędzy, tylko farmerzy i ludzie z buszu. Skąpiradła. Nie wiem, jak dałam się w to wplątać. Co za okropne przekłete miasto!

— Może jednak nie. Skoro czujesz się lepiej, zjedź ze mną na lunch. Jedzenie jest dobre, to już coś.

Personel ciężko pracował pod kierownictwem pani Mooney, doprowadzając salę jadalną do porządku, i wszystkie sprzęty znalazły się już na swoich miejscach, kiedy obie panie stanęły w drzwiach. Za nimi pojawił się Devereaux, który nalegał, by dotrzymały mu towarzystwa w tę ponurą niedzielę.

Dowiedziały się, że jest wdowcem, że posiada plantacje trzciny culcrowej w tej okolicy oraz na Fidżi. Był wesołym człowiekiem i zalecał się do Fleur, która go bawiła. Okazał rozczarowanie, kiedy usłyszał, że panie postanowiły wrócić do Brisbane.

— Ach, to wykluczone! Musicie odwiedzić moją plantację. Zapewniam, że w moim domu mam wszelkie wygody. Sporo tam interesujących rzeczy do obejrzenia, a ja troskliwie się wami zaopiekuje.

Fleur trzeba było namawiać. Wszystko, co znajdowało się poza granicami miasta, było dla niej buszem, a buszu miała po dziurki w nosie. Nie chciała urazić pana Devereaux, próbowała więc dać Madeleine do zrozumienia, że to nie jest dobry pomysł,

naciskając jej stopę, ale przyjaciółka na propozycję zareagowała z entuzjazmem.

— Z radością przyjmie pańskie zaproszenie, panie Devereaux — stwierdziła stanowczo.

Okazało się, że przyjechał do Maryborough po robotników, jednakże statek wiozący wyspiarzy z Morza Południowego najwyraźniej się spóźnił i Devereaux po południu wracał do domu.

— Drogie panie, kiedy zechcecie, przyślę po was powóz.

To zapoczątkowało dyskusję o terminie wizyty, aż wreszcie Madeleine oznajmiła, że dla niej każda pora byłaby odpowiednia. Fleur, pozostająca w mniejszości, koniec końców dała się przekonać, że równie dobrze mogą pojechać tam jeszcze tego popołudnia.

Kiedy się pakowały, Fleur była zła.

— Po co to zrobiłaś? Nie chcę jechać na jakąś przeklętą farmę.

— A czy to ważne? Podobasz mi się, Fleur. Nie mamy nic innego do roboty. No chyba że chodzi ci o Hilliera.

— Nie!

— To dobrze. Ale będzie śmiesznie, jak przyjdzie tu wieczorem do ciebie i przekona się, że ptaszek wyfrunął. Znowu.

To rozjaśniło dzień dla Fleur.

Powóz pana Devereaux z czarnym woźnicą na koźle był wygodny i dobrze chronił przed nieprzyjemną pogodą. Na promie okazano im szczególne staranie; gdy wysiedli na drugim brzegu rzeki, Fleur z jaśniejących twarzy przewoźników odgadła, że jej nowy przyjaciel musiał sownie ich wynagrodzić.

Ruszyli błotnistym szlakiem przez rozległe pola poczerniałych rżysk, ogołoconych i przygnębiających jak pole po bitwie. Fleur ponuro patrzyła na ciemnoskórych robotników, posuwających się przez ten mroczny krajobraz niczym hieny cementarne.

Zadrzała. Nienawidziła tego miejsca. Nadawało się wyłącznie dla czarnych i setek gadatliwych kruków, które bystrym okiem przepatrywały okolicę.

A potem Madeleine musiała zadać głupie pytanie.

— Czy tu był pożar buszu, panie Devereaux?

Zirytowana Fleur głośno westchnęła, ale Francuz był cierpliwy. Wyjaśnił, że spalili pola trzciny przed jej ścieciem, po czym przeszedł do omówienia powodów takiego postępowania oraz

kolejnych etapów wzrostu rośliny. Fleur myślała, że zemdleje z duchoty i strasznej nudy.

Przy pierwszej bramie serce jej się ścisnęło. Wiedziała! Dlaczego Madeleine jej nie słuchała? Dom, który ukazał się ich oczom, był typowym wiejskim budynkiem w buszu, schludniejszym niż większość, ale wciąż była to okropna wiejska chata...

— To dom mojego zarządcy — powiedział Devereaux, gdy woźnica zamknął bramę i wrócił na kozioł.

Co najmniej milę dalej droga zakręcała i tym razem nie mogło być żadnej pomyłki. Podniecona Madeleine szturchnęła Fleur. To był wielki dom, pomalowany na biało, z wysokimi czarnymi okiennicami, w każdym calu tak elegancki jak jego właściciel. Otaczał go wspaniale zaprojektowany ogród z równo przyciętymi żywopłotami, rabatami i fontannami, dodający okolicy spokojnego uroku.

— Jest przepiękny! — wykrzyknęła Madeleine, a Fleur dołądała wysiłeków, by się otwarcie nie gapić.

— Cieszę się, że się wam podoba — powiedział gospodarz, gdy powóz z chrzęstem potoczył się po wyżwirowanym podjeździe i z domu na ich powitanie wybiegli kolorowi służący z parasolkami.

Kilka tygodni później cała trójka wróciła do Maryborough, by wsiąść na pokład statku płynącego do Brisbane. Tam Madeleine miała pożegnać Fleur i pana Devereaux, którzy wybierali się do Suwy na Fidżi, by odwiedzić drugą plantację trzciny cukrowej.

W niedzielny wieczór Clive znowu ruszył do hotelu Prince of Wales. Tym razem zamierzał poważnie porozmawiać z Fleur. Nie będzie niemiły, ale wyraźnie jej powie, że prowadzi w tym mieście własne życie i niezależnie od tego, czy ona tu zostanie czy nie, oboje pójda swoimi drogami. Niech Fleur się nie spodziewa, że będą czymś więcej niż zwykłymi znajomymi. Przez cały weekend ze strachem myślał, że wpadnie na Emilie z Fleur wiszącą mu u ramienia. Choć było to mało prawdopodobne — Emilie nie bywała w hotelach i na pewno nie wyszła z domu w ten deszczowy poranek. W połowie tylko pamiętając wypadki tamtego pijanego wieczoru w zatłoczonej ponad miarę sali jadalnej, kompletnie zapomniał o pani Manningtree. Dla niego ta żalosna kobieta w ogóle nie istniała.

Co więcej, będzie wobec Fleur stanowczy. Jeśli ona i jej osobliwa przyjaciółka wpadły na pomysł założenia kolejnego burdelu w mieście — tak właśnie powie, nie będzie owijał w bawełnę — to niech lepiej drugi raz się nad tym zastanowią. Ostrzeżenie, groźba — nieważne, jak to przyjmą.

Być może nawet udzieli jej rady jako biznesmen, skoro wspomniał o inwestowaniu w mieście, choć niczego nie precyzował. Zwęczenie mu pomysłu byłoby w stylu Fleur. Obie najwyraźniej mają fundusze. Poradzi im, żeby ze swoją branżą raczej wróciły do Brisbane albo na sławne pola złotonośne w Charters Towers.

Musi pozbyć się Fleur. Jest zbyt nieprzewidywalna, za bardzo lubi się czepiać, żeby miała pozostać w Maryborough i sprawiać mu kłopoty.

Clive przeżył wstrząs, kiedy pani Mooney poinformowała go, że panie wyjechały. Opuściły miasto.

— A dokąd pojechały? — zapytał z niedowierzaniem.

— Nie mam pojęcia, Clive — odparła chłodno, błędnie rozumiejąc jego motywy. — Może odpłynęły statkiem.

— Nie dzisiaj.

— W takim razie pojechały dylżansem. O ile dobrze pamiętam, jedna cierpiała na chorobę morską.

Pani Mooney z uciechą patrzyła, jak rozczarowany (bo tak sądziła) Hillier idzie do baru. Jak on śmie oszukiwać Emilie zadając się z tą latawicą! Uśmiechnęła się pod nosem: wcale go nie okłamała. Odjechały dylżansem, tylko że prywatnym. A była to sprawka pana Devereaux.

Clive z ulgą uniósł do ust szklaneczkę whisky. Wyjechały! Dzięki Bogu!

W barze było także kilku najznamienitszych rajców, którzy dochodzili do siebie po szaleństwach wieczoru. Chwilę z nimi rozmawiał, potem uznał, że powinien odwiedzić Emilie. W końcu wcale nie było jeszcze tak późno.

Wizyta jednak okazała się błędem. Straconym czasem. Cały weekend był marnowaniem czasu od początku do końca. Najpierw Fleur i jej żądania, a teraz Emilie z tą swoją fiksją na punkcie kłopotów Mała — a może na punkcie samego Mała. Trudno to było stwierdzić. Na razie Clive miał kobiet po dziurki w nosie.

Nie przyszedł po nią w poniedziałek, chociaż Emilie, by dać mu czas, dłużej niż zwykle ociagała się z dziećmi przy kolacji. Dręczyło ją wiele spraw, chciała z nim porozmawiać, uporządkować jakoś wszystkie swoje niepokoje.

Kucharkę jej podstępny nie oszukały.

— Idź do domu, panienko Emilie. Ten twój pan Hillier pewnie jest dzisiaj zajęty. Wiesz, że statki rozładowywane są przez cały czas, a on musi tam być, żeby nikt nie próbował żadnych sztuczek. Nie zwracaj uwagi na to, co pani o nim mówi. Jest zazdrosna i tyle. Sama miałaby na niego chętkę.

Nellie, która nie była uosobieniem taktu, odparła zaskoczona:

— Ale to prawda.

— Co jest prawdą? — Emilie zasłoniła dziewczynę, by nie przestraszyły ją grymasy Kate.

— Mówiłam Kate już wcześniej. W mieście spotkałam moją siostrę, wie panienka, tę, co pracuje jako pomywaczka u pani Mooney...

— I co powiedziała? — zapytała Emilie spokojnie.

— Czemu nie trzymasz buzi na kłódkę? — warknęła Kate, na co Nellie odparła obrażonym tonem:

— Dlaczego mam jej o tym nie mówić? Ja tam wolałabym wiedzieć, gdyby to był mój chłopak.

Emilie była przerażona, że słucho kuchennych plotek, nie na tyle jednak, by przewyciężyć wielką potrzebę usłyszenia więcej. Zebrała siły, by nie tracić panowania nad sobą.

— Był z nią, tą kobietą, przez cały weekend. Wczoraj wziął ją nawet swoim gigiem na przejażdżkę po mieście. Może panienka spytać, kogo chce. A co więcej, w pubie mówią, że ona żyła z nim na polach złotoonośnych, nim przyjechał do miasta. Żyła w grzechu!

— Przekłęci plotkarze! — powiedziała Kate z gniewem. — Zajmij się dziećmi. Pora do łóżka.

Nellie nie dała się zbić z tropu.

— To prawda. Ta kobieta, Fleur ma na imię, powiedziała o tym barmance Doris. Wcale się nie przejmowała.

— Założę się, że tak samo jak Doris — prychnęła Kate.

— Prawda — potwierdziła Nellie niewinnie. — Uważała to za świetny dowcip. Mówiła, że Fleur umie się bawić.

Emilie pobiegła po płaszcz i kapelusz, zostawiając Nellie i Kate, by dalej się kłóciły. Czuła się jak podsłuchiawczka, którą

słusznie ukarano za ten występki. Zanim wyszła, Kate podała jej gazetę.

— Chciałaś, żebym ci ją zatrzymała — powiedziała miło.  
— A to kawałek pieczeni na kolację. Twoja ulubiona. I niech ci ta gadanina nie psuje humoru.

— Nie będzie. A ty nie gniewaj się na Nellie. To ważne, żeby człowiek wiedział, z kim ma do czynienia.

Jej głos brzmiał spokojnie i pewnie.

— Tak trzymać — powiedziała Kate zadowolona. — Do zobaczenia jutro.

Długi artykuł wstępny w „Chronicie” pióra Walta White'a zawierał interesujący punkt widzenia na aresztowanie Mała i podtrzymywał wcześniejsze twierdzenia redaktora, zgodne z listem McPhersona, że obaj mężczyźni są niewinni, a równocześnie domagał się sprawiedliwości dla rodzin zamordowanych.

Emilie dokładnie przeczytała artykuł, choć wydał jej się dość chaotyczny, bardziej był tyradą przeciwko policji niż rzetelną próbą wyciągnięcia jakichkolwiek wniosków. Skrzywiła się. W gruncie rzeczy pisanina Walta do niczego nie prowadziła. Stanowiła zbiór opinii, jakby autor chciał zadowolić wszystkich — z wyjątkiem policji.

Żałowała, że brakuje jej odwagi, by spotkać się z tym człowiekiem w sprawie Mała, powiedzieć mu, że osobiście go poznała. Że Mai naprawdę jest niewinny. Nie śmiała jednak. Przyszło jej do głowy, że coś takiego mógłby zrobić Clive.

Clive.

Emilie czuła wyłącznie odrętwienie. Na myśl o nim. Na myśl o czymkolwiek. Zjadła zimną pieczeń. W ogrodzie państwa Manningtree, gdzie rosło mnóstwo melonowców z powykęcany-  
mi konarami, zerwała melon i teraz pocięła go na plastry. Miała zamiar zjeść tylko kilka, ale skończyło się na tym, że z roztargnieniem pochłonęła cały. Odłożyła nasiona, żeby później je zasiał, i przypomniała sobie, jak ogrodnik wyraził się przedstawił różnice pomiędzy drzewami męskimi a żeńskimi, a ona się zarumieniła notując w myślach, by nie mówić o tym dzieciom.

Ale były to najbardziej soczyste i słodkie owoce, w dodatku rosły przed domem. Podobnie jak banany, które zrywano w pękach. Na jednej gałęzi wisiało ich kilkanaście. Dla dziewczyny z Londynu był to cud.



Jeśli człowiek prowadził uporządkowane życie, rozmyślała Emilie, to dziwaczne miasto nie było wcale takim złym miejscem. Żywności nie brakowało i była tania. Tutejsze zimy w niczym nie przypominały tych, które pamiętała z domu, a letnie ubrania wychodziły taniej niż ciężkie okrycia. Nauczyła się radzić sobie z chlebobawcami — on jest sympatyczny, ją można ignorować — i dostrzegać pewien ład, obserwując przedstawicieli najróżniejszych nacji zaludniających Maryborough, nauczyła się także inaczej myśleć o pozornie brutalnych mężczyznach, którzy zawsze odnosili się do niej uprzejmie. Emilie wiedziała, że czas najwyższy zaprosić Kate i Nellie. Rzecz nie do pomyślenia w jej poprzednim życiu, teraz jednak absolutnie niezbędna jako wyraz uznania za ich dobroć. Były jej przyjaciółkami.

Ruth nie zrozumiała tego, ale Ruth miała własne życie. Smutne, że postanowiła osiedlić się w Brisbane. Emilie długo liczyła, że w końcu ich drogi się zejdą, Ruth najwyraźniej także w to wierzyła, skoro planowała wybudowanie wyteśknionego domu Tissingtonów na drugiej działce w Brisbane.

Emilie westchnęła. Czuła się lepiej. Bardziej pewna siebie. Wątpiła, czy spowodował to melon, wyraźnie jednak wracała do siebie. I miała ochotę walczyć z depresją, która ostatnio tak ją przytłoczyła. Rozsądek podpowiadał jej, że musi przestać rozczulać się nad sobą. Musi też przestać szlochać i wędnać jak cieplarniany kwiat z powodu Clive'a. Kocha? Nie kocha? To do ciebie nie pasuje, Emilie. Gdzie jest napisane, że atrakcyjny mężczyzna w rodzaju Clive'a nie ma innych przyjaciółek przeszłych lub obecnych? A czy ona wszystko mu powiedziała o Malu?

W obecnej chwili jej uczucia względem Mała czy Clive'a nie wydawały się sprawą najważniejszą. Clive powiedział, że Mai będzie miał swój dzień w sądzie. Żeby udowodnić swoją niewinność naturalnie.

Emilie niewiele wiedziała o sądach, ale orientowała się, że oskarżony musi wynająć sobie obrońcę. Kogo wynajmie Mai?

— Dobry Boże! — Rozejrzała się po domu, który kupiła za jego pieniądze, spojrzała na ciemną rzekę za ogrodem. Ci ludzie kosztują fortunę. Im są lepsi, tym więcej każą sobie płacić.

Kogo wynajmie Mai? I czy w ogóle ma jakieś pieniądze? Co dzieje się z tymi, których nie stać na adwokata, nawet z najgorszymi referencjami? Gdzie jest Clive? On by wiedział.

Emilie wyjęła pióro i papier, po czym zaczęła sporządzać listę pytań dotyczących adwokatów. Następnie spisała dowody, które jej zdaniem świadczyły o niewinności Mała. A także nazwiska ludzi, mogących potwierdzić jego dobry charakter. Na razie miała tylko trzy, łącznie z jego strasznym wujem, ale to był jakiś początek. Czując się pewnie nad kartką papieru, Emilie godzinami notowała uwagi i pomysły. Nawet gdyby się miała spóźnić do pracy, zamierzała rano pójść do Clive'a, choć tak fatalnie się zachował, i omówić z nim tę kwestię, ponieważ to on będzie musiał przedstawić jej miejscowego prawnika. Każą mu sprawdzić, czy Mai już wynajął obrońcę, bo jeśli nie... odpowiedź była oczywista. Emilie Tissington skorzysta z jego usług.

Ułożyła kartki w staranny stos i pościeliła łóżko. Kiedy szcztokowała włosy w lustrze nad niezgrabną komodą, która wraz z łóżkiem stanowiła całe umeblowanie „sypialni Paddy'ego”, do głowy wpadła jej inna myśl.

— Ale ty jesteś głupia! — powiedziała do swojego odbicia. — Pozwoliłaś, żeby twój mózg całkiem się rozleniwił! Zmądrzej, dziewczyno. Nie potrzebujesz Clive'a. Potrzebujesz Ruth i jej narzeczonego. Przecież tyle razy i z taką dumą ci powtarzała, że jej narzeczony jest sekretarzem prokuratora generalnego. Jeśli oni nie znają obrońcy z najlepszymi w świecie kwalifikacjami, to kto go zna? Odpowiedź cały czas masz przed nosem, ale jesteś za tępa, żeby ją dostrzec.

Tej nocy drzemała niespokojnie, w głowie za wiele miała planów, żeby zapaść w głęboki sen, mimo to obudziła się pełna energii, gotowa od razu wprowadzić swoje zamierzenia w czyn. Radośnie powitała dzień.

— Co? — wybuchnęła pani Manningtree, kiedy Emilie przedstawiła swoją sprawę chlebobdawcom jedzącym śniadanie.

— Jak wyjaśniałam — mówiła Emilie spokojnie, stojąc przy stole — to rzecz powszechnie przyjęta, że dzieci mają przerwę w nauce. Wakacje. Odkąd tu jestem, właściwie nie miały wolnego dnia.

— A ostatni weekend? Nie przyszała pani do pracy w sobotę rano.

— Dla nich to nie był prawdziwy odpoczynek.

— Chodzi o to, że pani chce zrobić sobie wakacje? Taka jest prawda, co?

— Jak już mówiłam, moja siostra się zaręczyła, a ponieważ poza nią nie mam w tym kraju krewnych, chciałabym ją odwiedzić i poznać przyszłego szwagra.

Emilie orientowała się, że dobre wrażenie wywarłoby nazwisko pracodawcy Bowlesa, nie potrafiła się jednak zmusić, żeby to zrobić, żeby zniżyć się do poziomu tej rozłoszczonej kobiety.

— Stwierdzam po prostu, że zwykle dzieci mają letnie i zimowe wakacje.

— Tylko praca i żadnej zabawy, o to chodzi? — zapytał Manningtree gryząc bekon.

— Tak, sir. I pomyślałam, że to może być odpowiednia pora.

— Nie widzę powodów, dlaczego by nie. Chodziłaś do szkoły, Violet. Nie miałaś wakacji?

— Tak, ale to inna sytuacja.

— Pod jakim względem?

W tym momencie Emilie została odprawiona. Musieli sprawę omówić po jej odejściu, bo później pani Manningtree pojawiła się w klasie z wiadomością, że guwernantka może wziąć trzy tygodnie wolnego, za który to okres nie dostanie zapłaty.

— Od dnia, kiedy znajdę miejsce na statku płynącym do Brisbane — powiedziała Emilie.

— Dobrze. Tak przypuszczałam. Czy pan Hillier jedzie z panią?

Emilie na tę złośliwą uwagę zareagowała udanym zdumieniem.

— Boże wielki, nie — odparła z uśmiechem.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Znalazłszy się w mrocznej celi razem z kilkoma starymi recydywistami, Mai wciąż milczał. Zbyt był oszołomiony. Nigdy tak naprawdę nie brał pod uwagę, że go złapią, nie wspominając już o skuciu w kajdany, wędrówce po różnych aresztach i słuchaniu obelg rozwścieczonych tłumów w miastach, przez które przejeżdżali. Nie wierzył, że do czegoś takiego może dojść. Do tego czasu powinni już byli znaleźć prawdziwych bandytów.

Potem jednak współwięźniowie zaczęli do niego gadać, dla zabicia czasu wyciągając z niego jego historię, i w końcu polubili Sonny'ego Willoughby'ego.

— Jak się sam nie będziesz bronił, brachu, to nikt za ciebie tego nie zrobi — ostrzegali. — Lepiej rusz tyłek i zacznij krzyczeć. Takie marudzenie ci nie pomoże.

— A kto mnie wysłucha?

— Mnóstwo ludzi. Dziennikarze wyciągają szyje, żeby usłyszeć, co mówisz, i wszystko by dali, żeby mieć więcej...

— Po co? Nikt mi nie uwierzy.

— Skąd wiesz? Musisz narobić hałasu.

Drugi z więźniów ssał pustą fajkę.

— Nie robi tego. Pobili go. Pokonali.

Mai nie chciał tego słuchać. Leżał na zapchlonej pryczy przez całą noc, dręcząc się z powodu tej obrazy. Czy rzeczywiście go pokonali?

— Niech mnie diabli, jeśli tak — mamrotał ciągle do siebie. Wątpił, czy będzie z tego jakaś korzyść, ale powinien spróbować.

Uśmiechnięty Sonny Willoughby stał się ulubieńcem prasy. Rozmawiał z każdym, kto chciał słuchać, z dziennikarzami,

policją, a zwłaszcza z surowymi mężczyznami z biura prokuratora, choć wiedział, że pracują nad jego oskarżeniem. Do więzienia w Brisbane codziennie przychodziły tłumy, by choć zerknąć na niego, niektórzy byli po jego stronie, inni przeciw, ale wszystkich pchała tu ciekawość. Panie przysyłały mu listy z wyrazami otuchy, a jeden dziennikarz imieniem Jesse z Chinchilli bywał niemal codziennie, zadając coraz więcej pytań.

Mai powiedział im wszystko, co wiedział, tyle razy, że mógł recytować swoją opowieść z pamięci. Zdecydowanie twierdził, że nie zna McPhersona ani żadnego z jego kamratów.

Tak jak poradził mu Jesse Fields, zażądał spotkania z Carnegie, chciał, by ten człowiek rzucił mu oskarżenie w twarz, lecz jego prośba spotkała się z odmową.

Widział swoje zdjęcia w gazetach, czytał artykuły, które niewiele miały wspólnego z tym, co mówił, i zdruzgotany odkrywał listy od czytelników domagających się, by natychmiast go powieszono.

— Wiedziałem, że nic z tego nie będzie — wyznał Fieldsowi.

— Nie będę więcej czytał tych przeklętych szmat, a strażnik powiedział, że nie muszę rozmawiać z nikim, jeśli nie chcę.

— Miał już dość całego tego cyrku.

— Więc nie czytaj. A dziennikarze zajmują się teraz innymi sprawami.

— Mój los jest przebrzmiałą wiadomością, co?

— Nie dla mnie, Sonny. Masz jakieś pieniądze?

— Po co? Nie każą mi płacić za pobyt tutaj.

— Na obrońcę. Albo lepiej adwokata. Będziesz potrzebował adwokata, żeby bronił cię w sądzie.

— Kiedy to będzie?

— Jeszcze trochę to potrwa. Muszą zebrać więcej faktów. Rzecz w tym, że nie strzelałeś...

— Jak mogłem strzelać? Przecież mnie tam nie było.

Jesse rysował na kartce kółka i przekreślał je równymi kreskami. W niedawnej rozmowie z prokuratorem oznajmił, że według wszelkiego prawdopodobieństwa chłopak nie kłamie.

— To tylko twoja opinia — odparł prokurator. — Ciebie też nabrał, Jesse. To zręczny oszust, kuglarz; potrafiłby sprzedać rzekę Brisbane tonącemu. I nie jest dzieckiem. Otrząskał się, przez lata utrzymując się dzięki swojemu sprytowi.

— Ale nigdy nie był w prawdziwych kłopotach.

ZATOKA ORCHIDEI

— Więc wpadł w złe towarzystwo.

— W rodzaju Carnegiego?

Jesse chciał tą uwagą oskarżyć człowieka, który podstępem zwabił Sonny'ego na scenę przestępstwa, ale ku jego zaskoczeniu prokurator przyjął ją poważnie.

— Przyglądamy się sprawie pod tym kątem. Carnegiego nie zdjęliśmy jeszcze z haczyka, ale nie chcę widzieć tego w druku.

— Carnegie i Willoughby? — zapytał Jesse zaskoczony.

— Możliwe, że intryga się nie udała.

— Ha, gdzie w takim razie jest złoto i pieniądze z banku?

— Zapytaj swojego przyjaciela Willoughby'ego. Mamy czas, przeczekamy go. Parę tygodni na Świętej Helenie rozwiąże mu język. Tam nikt nie będzie go głaskał po głowie.

Teraz Jesse, zapełniając ołówkiem wyrysowane kształty, spoj-rzał na Mała.

— Na pewno nie masz pieniędzy?

— Na pewno. A, poczekaj! Myślisz, że nagle wyciągnę gotówkę z napadu? Jezu! Jesteś tak samo głupi jak cała reszta.

— Nie jestem. Ale łupu nigdy nie odzyskano, a przez te morderstwa i rozgłos w prasie w całym kraju nie ma pasera, który by je przyjął.

— Od kiedy to? Złoto to złoto. Nie jest znaczone. Dorośnij, Jesse.

Dziennikarz westchnął.

— Byłeś na tych polach złotonośnych. Nie przychodzi ci do głowy, kto może je mieć?

— Nie. Ciągłe to powtarzam.

— A McPherson? Może on je ma.

— I zadał sobie trud, żeby pisać do gazety? Dawno byłby już w Chinach.

— Ale jeśli go nie znasz, to dlaczego twierdzi, że ty też jesteś niewinny?

Niebieskie oczy Mała patrzyły nieruchomo.

— Może wie więcej niż ja. Wyraźnie wskazał na Carnegiego.

Jesse się poddał. Postanowił jednak, że nazajutrz odwiedzi przerażające więzienie na Świętej Helenie, które miało być następnym miejscem pobytu Mała. Kilka szylingów wręczonych strażnikom za wszelkie informacje o Sonnym Willoughbym na pewno się okaże trafioną inwestycją. Lepiej uprzedzać fakty.

Nie wszystko naraz, rozmyślał Mai stoicko, kiedy po wejściu na pokład łodzi na nowo włożono mu łańcuchy na nogi. Słyszał dość od współwięźniów w Brisbane, żeby wiedzieć, że kolonia karna na Świętej Helenie to nie wakacje, co tutaj potwierdzały ponure twarze skazańców przykutych do wiosła. Kiwnął im głową na powitanie, ale zaraz kazano mu iść na rufę, gdzie siedział sam, odwrócony plecami do reszty.

— Skoczysz za burtę i pójdziesz na dno jak kamień — ostrzegł go jeden ze strażników, podczas gdy inni wybuchnęli śmiechem.

— I nie myśl sobie, że ktoś będzie cię ratował.

Puścił ich słowa mimo uszu. Był śliczny wiosenny dzień. Mai nigdy dotąd nie pływał po tej wielkiej rzece, uznał więc, że może zwiedzić okolice za darmo, zapominając na razie, co czeka go na końcu rejsu.

Kiedy zostawili za sobą port, zobaczył piękne rezydencje, także na wysokich klifach Kangaroo Point na drugim brzegu. Dalej ciągnęły się wykarczowane pola, później rzeka w drodze do morza wiała się przez gęsty busz. Czysty bogaty aromat był przyjemnością po kwaśnym powietrzu w celach i Mai poczuł przypływ energii. Był odprężony. Ryby z pluskiem przecinały wodę, ptaki zniżają lot, doświadczeni wioślarze prowadzili łódź razem z prądem. Wiele godzin później opuścili porośnięte namorzynami ujście rzeki i wypłynęli na otwarte morze.

Mai z rozmarzeniem wspominał dni spędzone na Wyspie Frasera, lasy deszczowe i wysokie sosny, i piękną Zatokę Orchidei, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze tam wróci. Kiedy w zasięgu ich wzroku pojawił się zarys wyspy, niemal przekonał siebie, że na Świętej Helenie będzie tak samo. Gdy łódź skręciła na wiatr, zaczął obliczać, jaka odległość dzieli wyspę od stałego lądu, i uznał, że pewnie z cztery mile. Nie tak daleko dla dobrego pływaka przy spokojnym morzu. Tylko że w tych wodach żyły rekiny. Musiał w to wierzyć. Baczenie się przyglądał, ale na razie żadnego nie dostrzegł, a ponieważ nie wiedział nic o tych przerażających potworach, domyślał się, że pewnie trzymają się dna. Ale chętnie któregoś by zobaczył.

Święta Helena jednak nie przypominała Wyspy Frasera. Była mała i płaska, a kiedy zbliżyli się do brzegu, zobaczyli wysokie ceglane ściany. Rozczarowany Mai uświadomił sobie, że to prawdziwe więzienie i nie kłamali ci, co mówili, iż niepodobna

się stąd wydostać; to istotnie była odizolowana kolonia dla najgorszych przestępców w całym stanie. Wciąż nie potrafił uwierzyć, że znalazł się w ich liczbie.

Łódź przybiła do brzegu i Mai spojrział tęsknie na kryształowo czyste zatoczki. Żałował, że nie może w nie skoczyć i pozbyć się smrodu więzienia, który nieustannie mu towarzyszył. Po jakimś zamieszaniu związanym z kajdanami więźniowie stanęli na brzegu porośniętym kłującą trawą.

Kiedy Łódź wciągnięto na pochylnię, strażnicy poprowadzili grupę skazańców w kierunku twierdzy, popychając ich i bijąc ciężkimi pałkami. Mai, który jedyny miał łańcuchy na nogach, potykał się ciągle i opóźniał resztę, co strażników widać bardzo rozłościło, bo przeklinali i kopali go po kostkach.

— Po co tak się śpieszyć? — mruknął do jednego z więźniów.

— Spóźnią się na obiad — odszepnął mężczyzna. — My już nasz mamy z głowy.

Przeszli przez bramę w ponury półmrok twierdzy i Mai zadrżał. Znowu się potknął, bo nie potrafił zapanować nad spętanymi nogami, reszta więc poszła przodem, zostawiając go z jednym strażnikiem, który raz po raz bił go pałką po plecach.

W długiej celi więźniowie stali przy zakratowanym oknie, przyglądając się powolnemu człapaniu nowo przybyłego. Wreszcie jeden zawołał:

— Hej, wiecie, kto to jest? To bandyta Willoughby, ten, który wziął całe złoto z tego napadu na północy.

Baldy Perry parsknął znacząco. Co za głupcy! Podszedł, by zerknąć na frajera Willoughby'ego, i zaraz pokręcił głową.

— To nie jest Willoughby. Nazywa się Ned Turner.

— Nie gadaj głupstw! To on!

— To nie jest Willoughby, mówię wam. Znam go, nazywa się Turner. Spotkałem go z McPhersonem. Kłócili się o konia.

Pozostali go wyśmiali.

— Nie zaczynaj znowu, Baldy. Ciągłe się chwalisz, że znasz McPhersona. Wygląda na to, że w ogóle nie rozróżniasz twarzy.

— Niech mnie diabli wezmą, jak nie rozróżniam. Ten facet nazywa się Turner. Poczekajcie, powie wam, że jestem kumplem McPhersona. Wtedy przestaniecie tak cholernie się wymądrzać.

\*



Emilie przyznawała przed sobą, że może to tylko pretekst, ale ponieważ nie widziała Clive'a od kilku dni, a ściśle mówiąc od tej kłótni w ostatnią niedzielę, uznała, że z jej strony grzecznością będzie powiadomić go o planach wyjazdu do Brisbane, tak więc zdenerwowana poszła do niego do pracy.

Clive'a jej widok zaskoczył, choć najwyraźniej nie był niezadowolony, co dodało jej pewności siebie.

— Moja droga! Co za przyjemność! Wejdz, proszę. — Wprowadził ją do wielkiego składu celnego z krótkim kontuarem, za którym na drewnianej ścianie wisiły rzędem tablice z listami przewozowymi. Kiedy szli przez obszerne pomieszczenie, gdzie stały masywne beczki z żółtymi pieczęciami, nowe buty Emilie piszczwały głośno na podłodze z ciemnych desek.

— Ładnie wyglądasz, Emilie — powiedział, otwierając drzwi do swojego biura na tyłach budynku. — Oto moja nora.

Jego gabinet był prosty, na umeblowanie składały się tylko stół, krzesło oraz ławy, zarzucone nieporządnie księgami rejestrowymi i innymi papierami, ale widok za oknem od razu zwrócił jej uwagę.

— Co za piękny krajobraz!

— Tak, rzeczywiście wspaniały. Jesteśmy tu dość wysoko, nad zakolem rzeki, i możemy patrzeć w obie strony. Rzeka Mary ślicznie się stąd prezentuje, nie sądzisz?

— O tak. — W końcu odwróciła się od okna. — Clivie, przyszłam, żeby ci powiedzieć, że mi przykro z powodu tej naszej głupiej sprzeczki...

— Moja droga, niech ci nie będzie przykro. Przez ostatnie kilka dni nie mogłem cię odwiedzić, bo byłem bardzo zajęty. Statki, które opóźnił sztorm, wreszcie przybiły do portu i nie miałem wolnej chwili.

Wolałaby, żeby nie mówił, iż był zajęty. Chociaż przyrzekła sobie, że będzie ignorowała plotki, poczuła irytację.

— Tak, słyszałam, jak bardzo byłeś zajęty.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Słyszałam, że miałeś też liczne towarzyskie zobowiązania.

— Ach, o to chodzi — odparł zniecierpliwiony. — Domyślam się, że rozmawiałaś z panią Mooney.

— Nie — zaprzeczyła Emilie sztywno.

— Ale z kimś rozmawiałaś, pozwól więc, że ci wyjaśnię.

— Mnie to naprawdę, Clivie, nie interesuje.

— W takim razie czemu w ogóle o tym wspominałaś? Prawda jest taka, że moja stara przyjaciółka przyjechała do miasta.

Znowu odwróciła się do okna.

— Podobno to była młoda przyjaciółka.

— Ech, łapiesz mnie za słówka! To stara przyjaciółka, była w mieście kilka dni ze znajomą, która trochę chorowała. Nie wpadło mi do głowy, że potrzebuję twojej zgody na spędzenie z nią czasu, ale jeśli poczułaś się urażona, to przepraszam.

Emilie żałowała, że w ogóle zaczęła tę rozmowę. Clive zawsze lepiej sobie radził ze słowami niż ona. Czują się przy nim zdezorientowana.

— Nie musisz przepraszać.

— Ale i tak to zrobię. Przykro mi, jeśli moje spotkanie ze starą przyjaciółką tak cię zdenerwowało. Chciałem ci o tym powiedzieć w niedzielę wieczorem, ale źle zaczęliśmy. — Zamknął drzwi i objął ją w pasie. — Powiedz, że mi przebaczasz, najdroższa. Za skarby świata nie chciałbym cię zranić.

Wtulił twarz w zagłębienie jej szyi i bliżej do siebie przyciągnął. Emilie nie potrafiła mu się oprzeć, zapomniała o wszystkich argumentach i postanowieniach, kiedy pocałował ją z taką czułością i żarem, że osłabła w jego ramionach.

Za drzwiami rozległy się jakieś głosy, Emilie więc szybko się odsunęła w obawie, że ktoś wejdzie, ale Clive tylko się roześmiał.

— To dostawcy.

Emilie, która poprawiała włosy, wsuwając je z powrotem pod kapelusz, oblała się rumieńcem.

— Nie, naprawdę muszę już iść. Chciałam ci tylko powiedzieć, że biorę urlop i na jakiś czas wyjeżdżam do Brisbane.

— Dlaczego?

Znowu się zarumieniła.

— Moja siostra się zaręczyła i chce, żebym poznała jej narzeczonego.

— To bardzo miłe. Przekaż, proszę, moje gratulacje. Szkoda, że nie mogę pojechać z tobą, ale na mój urlop muszą wyrazić zgodę przełożeni.

— Ja też bym chciała, żebyś pojechał — odparła cicho i naprawdę tak myślała. Wspaniale by było mieć go przy boku w Brisbane, choć jechała tam załatwić także pewną prywatną sprawę. Mogłaby przedstawić go Ruth, a poza tym niewykluczo-

ne, że gdyby byli we dwoje z dala od tego miasta, ich związek nabrałby innego charakteru. Bo kto wie, co mogłoby się wydarzyć w romantycznym towarzystwie zaręczonej pary?

Wyjeżdżała jednak sama z błogosławieństwem i pomocą Clive'a. Poczynił wszystkie ustalenia, znalazł dla niej pojedynczą kajutę na parowcu, zajął się bagażem i nawet przedstawił kapitanowi.

Odprowadził ją na nabrzeże i pocałował na oczach wszystkich.

Emilie nie wspomniała o drugim celu swej podróży, zresztą w całym tym zamęcie żadne o Malu nie mówiło. Ona jednak pamiętała, by pójść do banku i wypłacić wszystkie swoje pieniądze. Pieniądze Mała.

Clive nie lubił sobie przypominać, jak potraktował Emilie. Zachował się jak tyran. Skłamał, że przez cały weekend był zajęty, a ona o tym wiedziała. Skłamał, mówiąc o charakterze swojej znajomości z Fleur, i był prawie pewny, że o tym też wiedziała. Wolałby, żeby Emilie na niego krzyczała, oskarżyła o to, że nie można mu wierzyć, ukarała i przez to w jakiś sposób rozgrzeszyła. Lecz ona była zbyt nieśmiała, zbyt rozsądna, żeby urządzić awantury. Clive żałował, że wykorzystał powściągliwość Emilie, i obiecał sobie, że wszystko jej wynagrodzi.

Zastanawiał się, czy ta nagła podróż do Brisbane przypadkiem się z tym nie łączy. Czy Emilie rozmyśliła się od niego dystansuje. Miał nadzieję, że nie. Gdyby dała mu więcej czasu, mógłby z nią pojechać, poznać siostrę i jej narzeczonego. W końcu skąd ten pośpiech? pytał siebie zmartwiony.

Z powodu Fleur też było mu przykro. Przykro, że przez nią zrobił z siebie głupca. Ale jej widok był dla niego wielkim zaskoczeniem i musiał to przyznać, przyjemnością. Była latawicą, lecz bardzo pociągającą, a on ostatnimi czasy żył nader wstrzeмиęzliwie.

Wzruszył ramionami. Fleur potraktowała go tak samo źle jak on Emilie. W sumie fatalny weekend.

Mai napotkał kłopoty w zimnej łaźni, a ich sprawcą nie był strażnik, tylko inny więzień, niejaki Baldy Perry, który powitał go ciosem w plecy. Baldy walczył jak szalony, ponieważ udowodniono mu pomyłkę, co poważnie nadwężyło jego pozycję w więziennej społeczności.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Jak się nazywasz?

Mai gramolił się na nogi na śliskim zielonym betonie.

— Willoughby, ty przeklęty głupcze! — krzyknął. — A ty kim jesteś, do diabła?

— Kamratem McPhersona — warknął Baldy — i wiem, że nie jesteś Willoughby. Nazywasz się Turner.

Chociaż Mai zgadzał się, że nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby teraz być Willoughbym, musiał bronić się przed tym szaleńcem, a dla Baldy'ego skutki tego były prawdziwym szokiem. Był osłabiony przez pracę ponad siły, złe traktowanie i odżywianie, dotąd jednak przebywał wśród tak samo osłabionych ludzi. Ten więzień nie tylko był młodszy, ale nowy na wyspie i silny. Wstał z podłogi, po czym pięściami jak z żelaza zapędził Baldy'ego w kąt i bił dopóty, dopóki strażnicy za pomocą biczów i pałek nie zaprowadzili porządku.

Obaj mężczyźni spotkali się znowu nazajutrz rano przy trójkącie, gdzie wymierzono im karę sześćdziesięciu biczów.

Baldy'ego wyprowadzono pierwszego. Mai, wstrząśnięty surowością kary, powiedział do niego:

— Przepraszam, nie wiedziałem, że tak to się skończy.

Baldy go zignorował. Wrzasnął, gdy pejcz po raz pierwszy spadł na jego plecy, już poznaczone bliznami, ale potem, choć broczył krwią, zachował milczenie.

Mai nie był cicho. Kiedy baty rozrywały mu skórę, obrzucał obelgami swoich prześladowców, skarżył się na niesprawiedliwość, która go spotkała, na wuja Silvera, na gazety, które zrobiły z niego mordercę, na każdego, kto go zdradził. Te krzyki były formą ucieczki od bólu, od niewyobrażalnego cierpienia, jakie dotąd nawet nie mieściło mu się w głowie, podczas gdy umundurowani mężczyźni o zimnych twarzach, znudzeni, z obojętnością patrzyli, rozmawiali, palili. Krzyki Mała były też uwolnieniem od strachu, który w nim rósł od chwili, kiedy Polłock zamknął go w areszcie.

Kiedy więźniom rozkazano go rozwiązać i położyć na ziemi, a następnie posypać rany szczypiącą solą, musiał słuchać pompacyjnego naczelnika wygłaszającego nauki o dobrym zachowaniu. Na koniec splunął na niego.

Następne dwa tygodnie Willoughby spędził w karczerze, zbudowanym wewnątrz celi, tak by dochodziło tam powietrze, ale nie

światło. Chleb i wodę wsuwano przez szparę przy podłodze raz na dzień, około szóstej rano, tak wynikało z obliczeń Mała. Mogli odciąć mu światło, ale nie potrafili zagłuszyć dochodzących z dworu dźwięków.

Nie słyszał ludzkich głosów, domyślił się więc, że musi znajdować się daleko od budynków i miejsc pracy, na których wcześniej widział setki więźniów wykonujących rozmaite obowiązki. Większość z nich miała na nogach łańcuchy.

Na początku leżał na brzuchu na zimnych kamieniach, aby dać czas plecom na wyleczenie się, i nie miał nic do roboty poza myśleniem i słuchaniem. Wybierał to drugie. Uświadomił sobie, że chociaż ta wyspa jest piekłem na ziemi dla więźniów, dla ptaków jest rajem, a Mai znał je wszystkie. Kukabury zaczynały śpiewać przed świtem. Potem do chóru dołączał się głośny świergot małych ptaszek. Mewy wiecznie krzyczały szukając pożywienia. Sroki odzywały się rano, wydając czyste, radosne dźwięki. I tak to szło. Mai słyszał krakanie kruków, śpiew dzierzb i całej reszty; popołudniami zapadała cisza, wieczorem zaś zaczynał się prawdziwy jazgot, gdy wszystkie przygotowywały się do snu. On też wtedy kładł się spać; polegał na ptakach, ustalając rozkład dnia. Słyszac ich śpiew, zrywał się i w ciemności ćwiczył. Naśladował ich świergot i gwizdy. Skubał spleśniały chleb i oszczędzał wodę, a kiedy wypuszczono go z karceru, zataczał się, przebiegły jak ptasia matka, która chroni swoje gniazdo udając, że ma złamane skrzydło. Jego jednak nie złamali. Wiedział, że jeśli chce przeżyć w tym miejscu, musi wykorzystać cały swój spryt — to nie jest pora na popisywanie się. Wyglądał żałośnie, gdy wrzucili go w oślepiające światło zwykłej celi.

Szylingi zostały dobrze wydane, choć informacje nie wносиły nic nowego. Strażnik napisał list do Jesse Fieldsa, przedstawiając pobyt Willoughby'ego w więzieniu.

W ciągu pierwszego dnia więzień miał już kłopoty. Wdał się w bójkę z innym więźniem nazwiskiem Baldy Perry, w rezultacie czego obu wychłostano. Nowo przybyły ryczał jak świnia, a potem zachował się butnie i obraził naczelnika, za co wsadzono go do karceru. Po zwolnieniu był bardzo słaby, kilka razy na apelach się przewracał, więc przydzielono go do lekkiej pracy w mleczarni.

Sądząc po stylu, autor pewnie jest emerytowanym policjantem, pomyślał Jesse.

Osobiście przeprowadziłem śledztwo w sprawie tej bójki. Dowiedziałem się, że powodem był jakiś drobiazg, głupia kłótnia o to, kto zna lepiej McPhersona. Więźniowie zawsze twierdzą, że znają tego bandytę. Według Perry'ego pański człowiek podróżował kiedyś pod nazwiskiem Neda Turnera. Mam nadzieję, że te informacje okażą się wartościowe.

Wartościowe? dumiał Jesse. No tak, zapłacę ci, ale za co właściwie? Kto lepiej zna McPhersona? Czy Sonny jednak zna tego bandytę? Czy kłamał? Cholera jasna! Rozczarowanie o mało nie kazało Fieldsowi spakować się i wracać do domu. Czyżby Willoughby zrobił z niego głupca? I co z tym pseudonimem? Ned Turner. Jesse pokręcił głową, zastanawiając się, czy nie dał się zwieść temu zbirowi, który równie dobrze mógł być oszustem, jak twierdził prokurator.

Podczas gdy zmartwiony rozważał następny krok, nadeszły wieści, że McPherson wrócił do starych nawyków, w pierw obrabował dylizans pocztowy, a potem farmera. Świadkowie z przekonaniem twierdzili, że to był McPherson. Jesse Fields pobiegł na posterunek policji, żeby się dowiedzieć, gdzie te przestępstwa miały miejsce.

Plotki więzienne zniekształciły przyczynę bójki, bez względu jednak na wnioski, jakie wyciągnęło otoczenie, Mai wiedział, że musi uciszyć Perry'ego.

Kiedy tylko stało się to możliwe, poszedł poszukać Baldy'ego Perry'ego, żeby dać mu trochę sera, który ukradł z mleczarni. Przypominał już sobie Perry'ego, owego niezdarnego brutala, który był ze Szkotem w tamtym barze, teraz jednak musiał jakoś go zagadać. Nie mógł sobie pozwolić na to, by ktokolwiek łączył go z McPhersonem.

Baldy nie należał do tych, co na widok jedzenia okazują urazę, choć nadal ją czuł. W sekundzie połknął ser.

— Dalej twierdzą, że jesteś Ned Turner — burknął.

Mai uśmiechnął się.

— Każdy kiedyś potrzebuje innego nazwiska. Ale powiedz mi, gdzie je słyszałeś?

— Wiem dobrze, kim jesteś — odparł Baldy. — Nie pamiętasz, jak raz w Brisbane kłóciłeś się z moim kamratem **McPhersonem** o konia?

— Z McPhersonem?!

— Taa. I on zmusił cię, żebyś mu oddał zegarek.

— Jezu! Racja. Byłeś tam. Ale ten drugi, ten, co wziął mój zegarek i o mały nie zabrał mojego konia... Nie mów, że to był McPherson?

— Jasne, że tak, brachu.

— Boże wszechmogący! Nie byłbym taki sprytny, jakbym wiedział, że to McPherson. Nie mów!

Baldy był zadowolony; dobrze zapamiętał nazwisko, a co więcej, udowodnił bez cienia wątpliwości, że jest kamratem McPhersona, podczas gdy ten imbecyl nawet się nie zorientował, że ma przed sobą wielkiego człowieka. Świetny kawałek do opowiadania współwzięniom. Choć to nie było ważne — Baldy niedługo wychodził.

Chłopak był pod wrażeniem.

— Na wielu robotach z nim byłeś?

— Bardzo wielu — pochwalił się Baldy. — Posłuchaj, mógłbym parę rzeczy ci opowiedzieć. Ja z Jimem jestem blisko. Zarobiliśmy sporo. Jak stąd wyjdę, będę bogaty.

Mai o mały nie roześmiał się w głos, rozwiązał jednak dręczący go problem i chciał, żeby tak pozostało, pozwolił więc temu capowi gadać. Zdążył się już dowiedzieć, że Baldy znany jest jako straszny łgarz i nikt nigdy go nie słucha; nowy kumpel słuchał, bo w żadnym razie nie chciał sobie psuć układów z Baldym.

— Pewnego dnia będziesz musiał mi go przedstawić — powiedział, na co Baldy zarechotał.

— A niby kiedy? Przecież obu was czeka stryczek.

— Mnie nie. Nie było mnie tam nawet, kiedy to się zdarzyło, a McPherson powiada, że był daleko od Maryborough. Tak piszą w gazetach.

Musiał ugryźć się w język. McPherson powiedział mu to osobiście, a nie wiedział na pewno, czy w gazetach ta informacja się ukazała. Jednakże Baldy, z przyjemnością słuchając pochlebstw, nie zwrócił na to uwagi.

— Zapomnij o gazetach. Jim tam był. — Chytrze rozejrzał się dokoła. — Sam go widziałem.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Gdzie?

— W Maryborough, nie słuchasz czy co?

— Ja go tam nigdy nie widziałem.

— Ha, i nie dziwota, bo ty nie znasz go tak dobrze jak ja — roześmiał się Baldy. — Słuchaj, przyniesiesz mi więcej tego sera, a ja się tobą zaopiekuję. Jest tu paru nieprzyjemnych drabów, którym może wpaść w oko taki śliczny chłopaczek jak ty, jeśli łapiesz, o co mi chodzi.

Włosy zjeżyły się Malowi na głowie, gdy patrzył, jak Baldy idzie przez dziedziniec. Wciąż próbował poukładać to, co od niego usłyszał, gdy rozległo się bicie dzwonów, ogłaszające koniec półgodzinnego odpoczynku.

Ruszył do stołówki, gdzie cierpliwie czekał w kolejce, aż w jego blaszanym naczyniu znajdzie się zwykła breja, wziął skibę spleśniałego chleba i stojąc w tłumie, palcami wkładał jedzenie w usta. Skończywszy posiłek, ustawił się znowu w kolejce, by umyć tłustą blaszankę pod kranem. Jedzenie mu nie przeszkadzało, za to rozmowa niepokoiła.

Baldy był głupim łgarzem. Może sobie myśleć, że mówił sensownie, ale Mai sędził inaczej. Ucieszył się, gdy zapadła noc i położył się na pryczy, by wszystko gruntownie rozważyć. Do jego świadomości ledwo docierały przekleństwa i pomruki współtowarzyszy.

Baldy nie mógł widzieć McPhersona w Maryborough, bo go tam nie było. Czyli skłamał.

Dziwnie jednak, że bez drgnienia powieki przyjął twierdzenie Mała, iż ten nie był w Blackwater Creek; nie wyśmiał go, choć przecież Mała za tę zbrodnię aresztowano.

A potem powiedział, że Mai nie rozpoznałby McPhersona w mieście. Z drugiej strony uważano ich obu za współników; Baldy stwierdził nawet, że razem zawisną.

To było prawie tak, jakby Baldy doskonale się orientował, że Mai nie brał udziału w napadzie. A jeśli tak, to skąd o tym wiedział?

Baldy był w Maryborough w tamtym czasie.

Baldy powiedział, że jak wyjdzie, będzie bogatym człowiekiem. Czy to też było kłamstwo? Bo twierdzenie o wielkich łupach zdobytych wspólnie z McPhersonem na pewno miało się z prawdą. Mai osobiście się przekonał, że McPherson nie śmierdzi groszem.



Nie potrafił zasnąć, w głowie wciąż kołatały mu strzępy rozmowy. Baldy nie kwestionował tego, że Mai nie znał McPhersona, kiedy spotkali się w Brisbane. A jeśli wiedział, że Mai i Szkot mieli razem dokonać tego napadu, dlaczego wierzył Malowi, gdy ten twierdził, że nie ma pojęcia, jak McPherson wygląda?

Przez następnych kilka dni Mai nie szczędził starań, by jak najlepiej poznać przeszłość Baldy'ego Perry'ego. Nie było to trudne, ponieważ Baldy powszechnie budził głęboką antypatię. Już wcześniej siedział, za rabunek z bronią w ręku... a tym razem skazano go za pobicie człowieka w Maryborough.

— Prawie go okaleczył — mówili.

— Myślisz, że mógłby zabić człowieka? — zapytał Mai starego więźnia.

— Ten dureń zrobiłby wszystko, gdyby myślał, że ujdzie mu to na sucho. Dlaczego pytasz? Boisz się go, synu?

— Nie — odparł Mai zdecydowanie.

— A, tak. Przecież sprawiłeś mu tęgie lanie.

Jeden z więźniów miał jednak głęboki szacunek dla Baldy'ego.

— Znałem go w dawnych czasach, na zachodzie. Zawsze był draniem, ale miał celne oko. Dobrze się z takim wybrać na łowy.

Mai zdawał sobie sprawę, że to może być fałszywy trop, że desperacja prowadzi go nieistniejącym śladem, zniekształcając kłamstwa i przechwałki w taki sposób, by pasowały do jego fantazji.

Jednakże podejrzenia zagnieździły się w jego umyśle i nie potrafił ich odpędzić. Bał się obudzić czujność Baldy'ego, dlatego postanowił go unikać do czasu, kiedy będzie mógł zadać mu takie pytanie, które jednoznacznie powiąże go z morderstwami. Ale jak to pytanie miałoby brzmieć? Mai rozmyślał godzinami nad sposobem przytapania Baldy'ego, ale nic nie przychodziło mu do głowy. W końcu zaczął się zastanawiać, kto tu naprawdę jest głupi: on czy Perry.

Czasu miał coraz mniej, jako że Baldy'emu pozostał tylko miesiąc do zwolnienia. Mai poprosił o pozwolenie na wysłanie telegramu, ale strażnicy go wyśmiali.

— Wynoś się, ty kundlu. Co ty sobie myślisz, że jesteś lord Gówno?

Mai wszakże ponawiał swoje żądania, czym zarobił kilka razy na chłostę, nie rezygnował jednak, aż usłyszał o nim naczelnik więzienia, kapitan Croft, i z ciekawości wezwał go do siebie.

ZATOKA ORCHIDEI

— Co to za bzdury? Więźniowie nie mają przywileju wysyłania telegramów.

— Ale to pilna sprawa, sir. Byłbym panu niezmiernie wdzięczny.

— Doprawdy? Kto umarł?

— Nikt nie umarł, wielmożny panie. Chodzi tylko o jedną linijkę.

— Tak myślę. Telegramy kosztują. I jak brzmi ta niezwykle ważna linijka? Umiesz pisać?

— Tak, sir.

— Więc ją napisz. — Naczelnik przesunął ku niemu kartkę papieru i ołówek.

Mai skreślił szybko słowa: „Mam coś ważnego do powiedzenia. To pilne.”

— Rozumiem. I do kogo chcesz to wysłać? Do przyjaciółki?

— Nie, sir. — Mai dopisał nazwisko i adres. Croft nie krył zdziwienia.

— Jeśli to takie pilne, dlaczego mnie o tym nie powiesz?

— Proszę o wybaczenie, sir, ale nie mogę.

— Znowu arogancja? Mam stosowne środki na skorygowanie twojego zachowania.

— Nie, sir, w żadnym razie. Dostałem nauczkę.

— W takim wypadku możesz wrócić do ciężkich prac. Odmelduj się i poinformuj swojego strażnika. Zastanowię się nad tym.

Croft wpatrywał się w telegram. Co za tupet! pomyślał. Z drugiej strony kapitan z zainteresowaniem śledził doniesienia o tej sprawie i orientował się, że policja ma trudności z dopasowaniem wszystkich elementów. Wyglądało na to, że Willoughby dojrzał do zeznań, nie warto ryzykować kariery, rzucając mu kłody pod nogi. I przecież Croft nie miał nic do stracenia, nawet gdyby rewelacje więźnia okazały się stekiem bzdur. Lepiej zepchnąć odpowiedzialność na kogoś innego. Postanowił, że wyśle telegram na koszt odbiorcy.

Konstabl Lacey pokazał sierżantowi telegram i był na tyle uprzejmy, że nie powiedział: „A nie mówiłem?” Pollock siedział zgarbiony nad stosem papierów zalegających jego biurko. Po powrocie z przerwane go pościgu za bandytami został oddelegowany do sortowania teczek.

— Wygląda na to, że nagroda znowu podziąłała — stwierdził Lacey. — Ktoś wydał McPhersona w Bowen.

— A, rozumiem. Ciekawe, jak do tego doszło.

— Pewnie usłyszymy w swoim czasie, ale skoro mają ich obu, musi dojść do jakiegoś przełomu. Któryś w końcu się złamie. Willoughby trzyma się swojej historii, ale McPherson to twarda sztuka. Choć skoro znalazł się za kratkami, może nie być taki arogancki. Jak myślisz, gdzie go zabiorą?

— Lepiej niech mają oczy i uszy szeroko otwarte, już raz uciekł z aresztu. Jak dopisze nam szczęście, przywiozą go tutaj. Mamy sędziów i nowy budynek sądu. Proces powinien odbyć się tutaj, tak samo jak rozprawa Willoughby'ego, ale w tej kwestii politycy będą mieli coś do powiedzenia.

Znalazł jakiś pretekst, by uciec od nużącej pracy na posterunku, i poszedł do domu na herbatę.

— Czuję się cholernie głupio — powiedział żonie. — Ruszyłem w złym kierunku za Willoughbym. Miałem cynk, że McPherson jedzie do Bowen. Powinienem być z tego skorzystać.

— Ale dałeś znać policji w Bowen, że McPherson może być w okolicy.

— Nie ja, tylko Lacey. On za to dostanie awans, a ja będę siedział i szukał nie zapłaconych grzywien. Wiesz, chyba powinienem to rzucić. Zająć się czymś innym. Kupić farmę albo znaleźć sobie inną pracę.

Żona przyniosła mu rogaliki z masłem.

— Nie — zaoponowała. — Jesteś dobrym policjantem i lubisz swoją pracę.

— Lubiłem — powiedział smętnie. — Ale teraz myślę, że zabrnąłem w ślepą uliczkę, moja kochana.

Zjadł rogaliki. Wypił herbatę. Przez okno patrzył na sąsiada rybaka, który naprawiał sieci rozwieszzone na sznurze na bieliznę. Pomyślał o tamtej łodzi, całkiem nowej łodzi, którą wyciągnięto z rzeki, a która teraz leżała porzucona na dziedzińcu za posterunkiem, wywołując więcej irytacji niż zainteresowania. Nic na to nie można poradzić. Kolejny fałszywy trop.

Na posterunku wyczekiwał na niego Lacey.

— Jest tu telegram...

— Czytałem go. Złapali McPhersona.

— Nie, ten jest do ciebie. Od Willoughby'ego. Chce zeznawać.

Pollock złapał telegram.

r-

— Niech mnie diabli, jeśli chce! Co on teraz knuje?

— To już ty musisz odkryć. Pisze tak: „Mam coś ważnego do powiedzenia. To pilne.”

Pollock zwrócił się z prośbą, by w związku z tym telegramem zezwolono mu niezwłocznie wyruszyć do Brisbane, lecz przełożony zdecydowanie odmówił.

— W Brisbane nie narzekają na brak kompetentnych oficerów. Oni mogą się tym zająć. Poinformuję ich, że Willoughby jest gotów mówić.

— Mógł sam to zrobić, sir, ale poprosił o mnie. Znam go, znam sprawę. Uważam, że to ważne, bym ja go przesłuchał.

— Sierżancie Pollock, może i zna pan sprawę, ale w śledztwie nie zrobił pan żadnych postępów. Czy mam panu przypomnieć, kto temu bandycie pozwolił uciec? Odrzucam pańską prośbę.

Dla Pollocka była to kropla, która przepełniła dzban. Nie miał zamiaru dłużej tego znosić. Jak to się mówi, wóz albo przewóz. Klęska albo zwycięstwo.

— W takim razie, sir, informuję, że pominię pańskie rozkazy. Wyślę depezę do pana Kempa, że muszę pojechać do Brisbane w pilnej sprawie, i wyjaśnię powody.

— Niech pan tak zrobi, a zostanie pan bez pracy!

— Nie może mnie pan wyrzucić, sir. Pan Kemp pewnie miałby w tej sprawie coś do powiedzenia. Był w Maryborough i zna sprawę, jeśli mogę tak powiedzieć, o wiele lepiej niż pan.

— Jak pan śmie! Nie życzę sobie podobnych uwag. Nim dzień się skończy, będzie pan konstabłem!

Pollock przesunął formularz po blacie biurka.

— To jest czasowe zwolnienie ze służby, proszę je podpisać. Niedługo doślę prośbę o zwrot wydatków. Jeśli pan nie podpisze, zatelegrafuję do Kempa. Tak czy owak, jadę, a pan może sobie ten posterunek wsadzić...

Oficer odmówił podpisu. Pollock wysłał depezę do Kempa, ale nie poczekał na odpowiedź, która zalecała mu stosować się do poleceń przełożonego.

Wtedy jednak Pollock był już w domu, zajęty pakowaniem.

Radość z odnowionej i silniejszej, tak czuła Emilie, przyjaźni z Clive'em nie nadwątlila jej postanowienia, by wyciągnąć

pomocną dłoń do Mała. To mój obowiązek, mówiła sobie z zarem misjonarki, gdy stała przy relingu parowca, machając wszystkim na pożegnanie.

Była zaskoczona i wzruszona, że chciało im się przychodzić do portu, aby ją pożegnać, zwłaszcza że wyjeżdżała tylko na kilka tygodni, ale byli tu wszyscy... Clive, pani Mooney, rodzina Manningtree: ojciec, rozbrykane dzieci, nawet Kate i Nellie, choć pani Manningtree jednak nie było. Sąsiedzi Emilie, państwo Dresslerowie, także się pojawili, przyrzekając, że będą mieć oko na jej dom, a pani Dressler podarowała jej koronkową chusteczkę do nosa zapakowaną w bibułkę i przewiazaną różową wstążką. Ta nieoczekiwana dobroć poruszyła Emilie niemal do łez i dziewczyna postanowiła, że przywiezie wszystkim podarki z Brisbane. To było tak, jakby teraz stanowili rodzinę; pokazali jej, że nie jest już tutaj sama.

Kiedy parowiec ruszył w dół rzeki Mary, Emilie zeszła do salonu na filiżankę herbaty. Wróciła później na pokład, by obserwować powolne postępy statku. Wspominała swój pierwszy rejs tą samą rzeką, gdy zdenerwowana nie miała pojęcia, co ją czeka na końcu drogi.

Po południu, gdy parowiec opuścił ujście rzeki i wypłynął na błękitne wody zatoki Hervey, jej nastrój uległ zmianie: przed nimi była Wyspa Frasera, która dała schronienie Malowi. Wpatrując się w kolorowe piaski pod klifami, Emilie nie mogła dłużej myśleć o swojej wyprawie jak o misji, bo przypomniawszy sobie zuchwały uśmiech Mała, jego niebieskie oczy, śmiałe spojrzenie i to, jak bardzo mu na niej zależało. Znowu zaczęła się o niego martwić.

Kilka dni później parowiec okrążył kolejną wielką wyspę, która strzegła wstępu do zatoki Moreton u ujścia rzeki Brisbane. Ten widok był znajomy i Emilie czuła się jak doświadczony podróżnik. Statek z Londynu przewiózł dwie nieszczęśliwe dziewczyny przez tę zatokę, Emilie pokonała ją też w czasie tego smutnego rejsu w towarzystwie emigrantek, gdy płynęła do Maryborough. Wiedziała dokładnie, gdzie jest, i z podnieceniem wyczekiwała chwili, gdy wreszcie zobaczy się z Ruth.

Wzburzone wody zatoki wywołały u wielu osób chorobę morską, na pokładzie więc była tylko garstka pasażerów.

Poznany na statku dżentelmen podszedł do Emilie.

— Fale pani nie przeszkadzają?

Uśmiechnęła się.

— Właściwie nie. Uznałam, że rozsądniej **przebywać tutaj** i oddychać świeżym powietrzem.

— To był spokojny rejs, dzięki Bogu.

— O tak.

Mężczyzna wskazał wyspę, którą mijali.

— Tam jest więzienie.

Emilie wyteżyła wzrok.

— Tak? — zdziwiła się. — Myślałam, że kolonia trędowatych.

— Była, przed wielu laty, obecnie jednak jest to ściśle strzeżone więzienie. Tutaj trzymają groźnych przestępców. Powiadają, że jest tu ten bandyta Willoughby. Ten, który tam u nas dokonał krwawego napadu... — Mówił dalej, jak to czynią znajomi z podróży, przekazując znane sobie informacje. — W dawnych czasach ta mała grupa wysepek znana była jako Zielone Wyspy. Kolonia karna znajdowała się na Dunwich. Mieli tam więźnia Aborygena, którego nazywali Napoleon, bo wyglądał jak Bonaparte. Wszyscy się go bali, sprawiał mnóstwo kłopotów, więc przenieśli go na tę wyspę. Stąd wzięła się nazwa. Święta Helena, rozumie pani... Ale nasz Aborygen był sprytniejszy niż Bonaparte. Zbudował kanoe i uciekł. Nie wiem, czy go złapali...

Emilie ledwo słyszała swego towarzysza. Zszokowana wpatrywała się w przerażające ceglane ściany, tak nie pasujące do tej wyspy. Mai jest tutaj? Zamknięty z najgorszymi przestępcami? To było zbyt okropne, by w ogóle o tym myśleć. Takie niesprawiedliwe. Musiała się odwrócić, by ukryć łzy.

Ruth czekała na nią na nabrzeżu. Droga Ruth.

Emilie zbiegła po trapie i rzuciła się siostrze w ramiona.

— Och, moja kochana, tak cudownie znowu cię widzieć! Wydaje się, że minęło wiele lat...

Sztywniejac Ruth się cofnęła.

— Doprawdy, Emilie, takie emocje w miejscu publicznym! Panuj nad sobą. Ja też naturalnie się cieszę, że cię widzę, ale nie jesteśmy dziećmi. — Poprawiła siostrze kapelusz, zapięła górny guzik płaszczka. — O, teraz lepiej. Masz opaloną twarz. Ostrzeżałam, żebyś chroniła się przed słońcem. Nie nosisz kapelusza?

Emilie próbowała się usprawiedliwić.

— Noszę — wybąkała — ale dużo spaceruję i przypuszczam, że wiatr...

— To bez znaczenia. Poszukamy teraz twojego bagażu. Mam nadzieję, że nie wzięłaś zbyt dużo.

— Nie, mam tylko jeden kufer.

— To dobrze. Zamieszkas w moim pokoju, kazałam wstać dodatkowe łóżko, więc będzie nam dość ciasno.

— Mam oszczędności, mogę wynająć sobie pokój. — Emilie wolałaby mieć własny kąpielownię, sporo rzeczy musiała przemyśleć.

Ruth poczuła się obrażona.

— Och, rozumiem. Przypuszczam, że dzielenie pokoju z siostrą przestało być dla ciebie dobre, odkąd wynajmujesz dom.

— Boże wielki, w żadnym razie. Bardzo się cieszę, że będziemy razem. Nie chciałam tylko, żebyś przeze mnie cierpiała niewygody.

— To nie jest kwestia wygody, tylko pieniędzy. Nie znoszę marnowania pieniędzy. Ale skoro masz oszczędności, to możesz zapłacić połowę tygodniowego czynszu.

— Dobrze. — Emilie potulnie kiwnęła głową. Ruth wydała się wyższa i szczuplejsza niż w jej wspomnieniach. I o wiele bardziej oschła.

— Chodźmy więc. Musimy iść szybko. Chcę, żebyś poznała pana Bowlesa przed lunchem. Na szczęście przyjechałaś w sobotę, w przeciwnym wypadku sama musiałabyś dojść do Bellevue.

Po długich miesiącach spędzonych na wsi Brisbane wydało się Emilie metropolią: ludzie byli modnie ubrani, a sklepy wspaniałe, dużo ją kosztowało, by nie przystanąć i nie patrzeć.

— Nie mogę się doczekać spotkania z panem Bowlesem — powiedziała, dotrzymując kroku idącej spiesznie Ruth. — To wszystko takie podniecające. — Spojrzała na odzianą w rękawiczkę dłoń siostry. — Nie pokazałaś mi pierścionka.

Ruth gwałtownie się ku niej odwróciła.

— Tylko niech ci do głowy nie przyjdzie wspominać o pierścionku i wpędzać w zakłopotanie pana Bowlesa. To takie nie-dojrzałe! Niepotrzebne mi świecidełka.

— Nie, chyba nie.

Stał na werandzie w lśniącym czarnym garniturze, rozjaśnionym wykrochmalonym kołnierzem koszuli i cienkim krawa-

tern. Posmarowane pomadą włosy uczesał gładko z przedziałkiem nad podłużną ziemistą twarzą, w której wzrok przyciągał wielki pieprzyk na boku haczykowatego nosa. Powitał Ruth kordialnie i skłonił się lekko Emilie.

— Bardzo się cieszę, że panią spotykam, panno Tissington.  
— Spojrzał na zegarek i schował go na powrót do kieszeni kamizelki. — Już jesteśmy spóźnieni na lunch, Ruth.

— Tak, przepraszam. Wchodźmy.

Nie zaproponował Emilie pomocy, sama więc wzięła kufer i weszła za nimi do pensjonatu. Tam spotkali panią Mediów, która zwróciła się do Emilie:

— Miło znowu panią tu widzieć, moja droga.

— Miło tu wrócić — uśmiechnęła się Emilie. — Dobrze pani wygląda, pani Mediów.

— A tak, moja droga. Nie mam wolnej chwili. Podoba się pani życie na północy?

— Bardzo tam przyjemnie. Muszę przyznać, że w porównaniu z Brisbane to prawdziwa wieś, ale człowiek się przyzwyczaja.

— Dobrze to słyszeć...

Emilie zobaczyła, że siostra marszczy brwi, stojąc w drzwiach sali jadalnej.

— Muszę już iść. Czy mogę zostawić kufer w pani biurze? Później go odbiorę.

— Niech się pani tym nie kłopotczy. Każę pokojówce zanieść go do pokoju.

— Dziękuję. To bardzo uprzejme z pani strony.

Ruth była rozgniewana.

— Musiałaś tam stać i rozmawiać z nią? Pan Bowles już wszedł.

Emilie poczerwieniała, nie z powodu nagany, tylko na wspomnienie własnego zachowania, gdy z Ruth przyjechały do Australii. Obie nie miały zamiaru zniżać się do znajomości z tutejszymi ludźmi, prawdę mówiąc, zachowywały się niegrzecznie. Od tego czasu Emilie nauczyła się już, że ludzie, niezależnie od klasy, z której pochodzą, są po prostu ludźmi, a uprzejme słowa zwracają się z nawiązką. Samotność zmusiła ją do mniej krytycznej oceny, choć Emilie nie zdawała sobie wcześniej sprawy, jak bardzo się zmieniła. Dopiero teraz to pojęła. Najwyraźniej Ruth nie stanęła przed takim jak ona wyzwaniem, zawsze bowiem była



zamknięta w sobie. Emilie postanowiła, że musi się pilnować; w końcu siostra miała swoje nawyki i niedobrze by było, gdyby ją zdenerwowała.

Przy lunchu Bowles z zadowoleniem słuchał, jak Ruth wyśpiewuje na jego temat pochwały, rozwodząc się o jego ważnej pracy w parlamencie, i zaproponował, że weźmie Emilie na wycieczkę po gmachu, na co z radością się zgodziła. W rewanżu opowiedział o niezłomnych wysiłkach Ruth, która uczy roztrzepane dziewczęta w college'u. Ich wzajemny podziw spodobał się Emilie, choć jakoś nie potrafiła polubić Bowlesa. Był poważny, okropnie zarozumiały, zupełnie pozbawiony poczucia humoru. Szczerze mówiąc, pomyślała ponuro, Ruth i on są bardzo do siebie podobni.

Poruszyła kwestię ziemi, wciąż rozradowana tym prawdziwym darem z nieba.

— Miałśmy wielkie szczęście. Już nie mogę się doczekać, kiedy zobaczą te działki.

— Pojedziemy tam w przyszłym tygodniu.

— Dlaczego nie jutro?

— Jutro panu Bowlesowi nie odpowiada.

— Przecież to niedziela.

Bowles prychnął.

— Wygląda na to, że mój minister potrzebuje mnie niezależnie od dnia tygodnia. Czasami się zastanawiam, jak by sobie poradził beze mnie.

— Ja też — powiedziała Ruth. — Musisz być cierpliwa, Emilie. A poza tym moja działka zostanie sprzedana na dniach.

— Och, tak szybko? Ile za nią żądasz?

— Możemy zostawić to panu Bowlesowi — rzekła jej Ruth.

— On rozumie procesy handlowe.

Emilie zwróciła się do niego.

— Jestem pewna, że pan je rozumie. Ile jednak Ruth może się spodziewać? W przybliżeniu.

— Moja droga Emilie, w przybliżeniu nic nam nie powie — odparł sztywno. — Zażądam aktualnej ceny.

— Która wynosi?

— Jeszcze nie wiemy — zainteresowała Ruth. — Ale proszę, nie wyobrażaj sobie, że pan Bowles zniży się do targowania. Będę wdzięczna za każdą sumę, jaką otrzymam.

## ZATOKA ORCHIDEI

Po jego odejściu siostry siedziały w pokoju i wspominały dawne czasy. Emilie czuła się o niebo lepiej. Ruth była odprężona, a miały wiele spraw do omówienia.

— Napisałam do ojca — oznajmiła Ruth — żeby go powiadomić, gdzie jesteśmy i jakie mamy posady, ale nie odpowiedział.

— Przypuszczalnie nawet nie widział twojego listu. Ona mogła go spalić. Napisałaś, że się zaręczyłaś?

— Tak, w drugim liście. Czułam, że ma prawo wiedzieć.

— I wciąż nie było odpowiedzi?

— Na razie na nią za wcześnie.

Emilie wzruszyła ramionami.

— Na twoim miejscu nie stawiałabym na to.

— Doprawdy, Emilie, co za wyrażenie! Poczekamy i zobaczymy. Tęsknię za Anglią — dodała Ruth smętnie. — Nie mogę się doczekać, kiedy tam wrócę.

Wyznanie siostry zaskoczyło Emilie.

— Pan Bowles może będzie miał w tej sprawie coś do powiedzenia.

— Już powiedział. Kiedy tylko będziemy mogli sobie na to pozwolić, zamierzamy odwiedzić Anglię, a w odpowiednim czasie wrócić do domu na dobre.

— To nie jest jego dom.

— Chciałby, żeby był. Zawsze marzył o zamieszkaniu w starym kraju. Ale co z twoim panem Hillierem? Jest Anglikiem. Cóż za fortunny zbieg okoliczności. Niewykluczone, że wrócisz do domu przede mną.

— Nic o tym nie wiem. On nigdy nie wspomina o powrocie do domu.

— W takim razie powinnaś go zachęcić. Ten kraj jest taki prymitywny.

Emilie wybuchnęła śmiechem.

— Dobry Boże, jeśli uważasz, że w Brisbane jest prymitywne, powinnaś pojechać na północ. Maryborough to inny świat, świat pionierów, ale przez to bardziej interesujący. Chciałabym, żebyś pojechała ze mną, chociaż na tydzień.

Ruth zadrzała.

— Nie mam czasu, a poza tym byłabym o wiele szczęśliwsza, gdybyś ty mogła wrócić tutaj. Martwię się o ciebie.

— Nie ma potrzeby, kochanie. Radzę sobie.

Długo rozmawiały, później postanowiły zrobić sobie spacer do ogrodu botanicznego, dzień bowiem był bardzo przyjemny, ani gorący, ani zimny. Obie zgodziły się, że po prostu idealny. Emilie rozśmieszyła Ruth, popisując się znajomością egzotycznych roślin, Ruth zaś ugięła się na tyle, by zabawić siostrę anegdotkami o dyrektorze szkoły, osobie cokolwiek ekscentrycznej, zważywszy, że na zebraniach przemawia po francusku, choć nikt jej nie rozumie.

— Oprócz ciebie — zachichotała Emilie. — Jaki jest jej francuski?

— Okropny — przyznała Ruth — ale ja nic po sobie nie pokazuję. Stoję, kiwam głową i uśmiecham się, jakbym była pod wrażeniem, ponieważ doszły mnie słuchy, że myśli o mianowaniu mnie swoją zastępczynią.

— Cudownie — powiedziała Emilie. — Ale ty zawsze potrafisz zachowywać się z godnością. Ja bym wszystko zepsuła, nie byłabym w stanie zachować powagi.

Takie były szczęśliwe, tak sobą wzajemnie zajęte, tyle miały tematów do rozmowy, że od czasu do czasu brały się pod rękę. Kiedy wreszcie przysiadły na ławce, żeby Ruth mogła poprawić sznurowadła, Emilie poczuła, że to odpowiedni moment, by wspomnieć o Malu i zapytać o radę. Uczciwość siostry nigdy nie ulegała kwestii. Ruth niezłomnie stała po stronie słuszności.

— Posiedźmy chwilę — zaczęła Emilie. — Chcę ci opowiedzieć o pewnym moim przyjacielu, który cierpi okropną niesprawiedliwość.

— Co to za przyjaciel?

— Mai Willoughby.

— Nigdy o nim nie wspominałaś. Jaka niesprawiedliwość go spotkała?

— Ze strony prawa.

— W takim razie powinien wynająć prawnika, który będzie go bronił, prawdziwego, nie jakiegoś gryziopórka.

— Tak się cieszę, że się ze mną zgadzasz. Powiem ci, co się wydarzyło...

Ruth zachowała się na tyle taktownie, że nie przerywała, lecz Emilie, przedstawiając żalostną historię, widziała, jak twarz siostry najpierw robi się biała jak śnieg, a potem zastyga w kamiennym grymasie. Nie mogła jednak urwać w pół zdania, musiała wszystko dokładnie wyjaśnić, tak by Ruth zrozumiała.

ZATOKA ORCHIDEI

— I gdzie on jest teraz? — wyjąkała wreszcie Ruth.

— W więzieniu na Świętej Helenie, to wyspa u ujścia rzeki. Widziałam je, kiedy...

Ruth skoczyła na równe nogi.

— Przestań, przestań natychmiast. Nie chcę słyszeć ani słowa. Wiedziałam, że nie powinnam ci pozwolić na samodzielny wyjazd. To najbardziej przerażająca historia, jaką w życiu słyszałam. Morderstwa. Bandyci. Oszalałaś? W takim towarzystwie się obracasz? Nie wrócisz tam. Z samego rana pošlę po twoje rzeczy.

Ta reakcja uraziła Emilie.

— Ruth, proszę, usiądź i posłuchaj. Chyba nie wyjaśniłam ci tego...

— Wyjaśniłaś już dość. A ten twój pan Hillier? Co on o tym mówi?

— Także jest przekonany o niewinności Mała. Był jego współnikiem na polach złotonośnych.

— Pan Hillier był robotnikiem na polach złotonośnych?

— Najrozmaitsi ludzie szukają złota.

— Nie robi tego nikt z moich znajomych. Czas, żebyśmy wróciły, musisz się pozbierać. Całkiem straciłaś rozum. I ani słowa o tej sprawie. Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego sądziłaś, że będę chciała usłyszeć o takich przerażających rzeczach.

Emilie nie ruszyła się z miejsca. Popatrzyła na siostrę błagalnie.

— Pan Bowles ma kontakty w środowisku prawniczym. Powiedziałaś, że mój przyjaciel nie powinien wynajmować byle kogo. Pan Bowles mógłby doradzić panu Willoughby'emu.

Ruth zakryła uszy.

— Ani słowa, słyszysz? Ani słowa. Pod żadnym pozorem nie wspomnisz o tym panu Bowlesowi, rozumiesz? Zachowujesz się niesmacznie.

Otuliła się szalem, jakby popołudnie nagle stało się chłodne, i ruszyła aleją. Emilie nieszczęśliwa powlokła się za nią. Zastanawiała się, czy istotnie nie oszalała, zadając się z Małem... relacjonując wypadki... Wszak młoda dama z ich klasy nie powinna nawet rozmawiać o tych sprawach, nie wspominając już o przyznawaniu się do takiej znajomości.

Kiedy zrównała się z Ruth, ta poczęstowała ją pełnym furii wykładem: nie tylko srodze zawiodła starszą siostrę swoim

zachowaniem, ale też i wprawiła w wielkie zażenowanie. Czy zupełnie siebie nie szanuje? Najwyraźniej nie. I jasno widać, że straszną pomyłką było pozwolenie jej na wyjazd w pojedynkę do tego dzikiego miejsca, skoro nie ma pojęcia, jak bez czyichś wskazówek przyzwolicie się prowadzić. Ruth zrządziła przez całą drogę do Belleview, a Emilie nie wątpiła, że na tym by się nie skończyło, gdyby na frontowej werandzie nie czekał na nie Bowles.

Przyłączyły się do niego, siadając z wdziękiem na trzcinowych fotelach, i zaraz Ruth oznajmiła, że Emilie nie wraca do „tego miejsca”. Nie przyjął tego z nadmiernym entuzjazmem.

— Myślałam, że ma pani dobrą posadę w Maryborough?  
— zwrócił się do Emilie.

— Nie jest odpowiednia — uprzedziła siostrę Ruth. — Rozejrzę się tutaj za lepszą posadę dla niej. Na podstawie własnych doświadczeń naprawdę uważam, że ta konieczność kontaktów z wieśniakami jest dla nas dość poniżająca. To nie jest rodzaj ludzi, do przebywania z jakim jesteśmy przyzwyczajone.

— Z którym — poprawiła Emilie drżącym głosem, lecz Ruth ją zignorowała.

Emilie siedziała gotując się ze złości, podczas gdy oni rozprawiali o tym i o tamtym, aż wreszcie rozmowa zeszała na działki w Eagle Farm.

— W przyszłym tygodniu pokażę wam plany naszego domu — powiedział Bowles. — Już rozmawiałem z ludźmi, którzy dobudowali skrzydło do domu ministra, i gotowi są dać mi uczciwą cenę.

— Cudownie — odrzekła Ruth. — Jestem pewna, że pan Lilley korzysta z usług najlepszych robotników.

Nasz dom? Emilie nie była w nastroju, nie zamierzała pozwolić, by jej zgodę brali za pewnik. Jego dom? Za kogo ten pan Bowles się uważa, że mówi o swoim domu? Dom miał zostać zbudowany na ziemi Emilie za pieniądze ze sprzedaży działki Ruth. Należał do nich, nie do niego. Dopiero teraz dotarło do niej, co tu się dzieje. Wcześniej zbyt była pogrążona we własnych smartwieniach, by zwrócić na to uwagę. Kiedy jednak ożeni się z Ruth, będzie oczywiście miał prawo... Dobry Boże! Jako mąż Ruth będzie właścicielem jej majątku.

I na jakiej pozycji mnie to stawia? zadała sobie pytanie. Ruth mogła uważać, że Emilie popełniła błąd nawiązując znajomość z Malem, ale przecież nie była kompletnie głupia.

Pochyliła się przerywając im pogawędkę.

— Naturalnie będziemy potrzebować usług prawnika — powiedziała — by sporządził wszelkie stosowne dokumenty, nim dom zostanie zbudowany na mojej ziemi. Musimy ustalić prawo własności.

— Nie potrzebujesz żadnego prawnika — warknęła Ruth; przypuszczalnie sądziła, że Emilie tą określną drogą chce poznać odpowiedniego człowieka.

Bowles wykazał jeszcze większą stanowczość.

— Nie ma takiej konieczności. Dokumentami mogę sam się zająć. W końcu pracuję w biurze prokuratora generalnego. Wy, drogie panie, nie musicie zaprzętać sobie tym głowy.

Aha, pomyślała Emilie, więc ja w tej sprawie nie mam nic do powiedzenia. I wygląda na to, że nie będę dzieliła domu z moją siostrą, tylko z nimi. Współwłaścicielem będzie on.

Zdecydowanym ruchem spłotła dłonie na podółku.

— Nie jestem pewna, czy w ogóle chcę budować dom na mojej działce.

Bowles zamrugał bladoniebieskimi oczami.

— Słucham?

Ruth oblała się rumieńcem.

— Nie zwracaj na nią uwagi. Nie czuje się dzisiaj dobrze.

— Czuję się doskonale. I chciałabym dostać akt własności mojej działki, panie Bowles. Jak sądzę, ma pan go w swoim biurze.

— Zachowujesz się dziwnie! — wybuchnęła Ruth. — Po tym wszystkim, co pan Bowles dla nas zrobił... Nie wiedziałabyś nawet o możliwości dostania tych działek.

— To prawda i bardzo jestem panu wdzięczna za radę, panie Bowles, ale nie zamierzam budować. W każdym razie jeszcze nie teraz.

— Ale ja sprzedałam moją działkę! — wykrzyknęła Ruth.

— Jeszcze nie. Decyzja należy do ciebie. Możesz sprzedać, jeśli takie jest twoje życzenie, kupić mniejszą działkę w innym miejscu i na niej zbudować sobie dom. Ja na razie domu nie potrzebuję.

— Emilie! Nie możesz ciągle tu mieszkać, to zbyt kosztowne. Potrzebujemy domu.

— Zapominasz, Ruth, że ja jestem tu tylko z wizytą. Nie zgodziłam się wyjechać z Maryborough.

— Jeszcze zobaczymy! — Ruth wstała. — Wybaczysz nam, Danielu? Myślę, że Emilie jest zdezorientowana.

Po tych słowach zaprowadziła siostrę do pokoju.

— Jak śmiesz! Jak śmiesz tak mówić do pana Bowlesa! Natychmiast pójdziesz i go przeprosisz. Jestem przekonana, że zupełnie zwariowałaś. I co to znaczy, że nie chcesz domu? Potrzebujemy własnego domu. Nie zdajesz sobie sprawy, jakie szczęście nas spotkało? Kiedy opuszczaliśmy Anglię, byliśmy pewne, że do końca życia będziemy mieszkali w wynajętych pokojach...

— Więc jednak to nie jest taki zły kraj — zauważyła Emilie.

— Ta uwaga jest nie na miejscu, w dodatku wygłosiłaś ją triumfalnym tonem. To do ciebie nie pasuje.

— A twoje zrządzenie zaczyna mi działać na nerwy.

— Rozumiem. Karzesz mnie, bo nie pozwoliłam ci poprosić pana Bowlesa o pomoc dla tego twojego przyjaciela przestępcy. Ale intryga ci się nie uda, możesz być pewna. Nawet przez chwilę nie myśl sobie, że zdołasz mnie zmusić, bym zniżyła się do tych twoich oburzających planów.

— To nie ma z tym nic wspólnego. Tamtą sprawą zajmę się sama. Nie chcę być niemila, ale wydaje mi się, że lepiej by dla wszystkich zainteresowanych było, gdybyście po ślubie mieli własny dom. Mnie po prostu z tego wyłączenie.

— Jesteś zazdrosna! O to chodzi. Jesteś zazdrosna, bo ja znalazłam przyzwoitego człowieka, a ty nie...

— Och, przestań, Ruth. O, gong na herbatę. Idę.

Przy herbacie wszyscy siedzieli, zaciskając usta, Emilie jednak podjęła decyzję. Przez jakiś czas Ruth i pan Bowles być może będą urażeni, w końcu jednak im to minie. Przy odrobinie szczęścia może nawet zrozumieją jej punkt widzenia. Czuła się samotna, skazana na towarzystwo tej pary narzeczonych, patrzących na nią z dezaprobatą. Brakowało jej Clive'a i innych przyjaciół z Maryborough. Byli przynajmniej wesołymi ludźmi.

Emilie rozejrzała się po cichej sali. Ciekawe, kim są ci wszyscy ludzie, czym się zajmują. Ruth powiedziałaaby, że wydają się uczciwym ludkiem, mimo to do żadnego z nich nigdy się nie odezwała, wyjątkiem był tylko jej Daniel. A potem Emilie przypomniała sobie twarz wielkiego uprzejmego mężczyzny, który wraz z żoną zajmował miejsce przy sąsiednim stoliku. Pan Kemp. Komendant Kemp. Rozmawiał z nią w Maryborough

przed hotelem pani Mooney — wtedy przeraził ją do szpiku kości. Bała się, że może powiedzieć coś, co nadweręży szanse Mała na zachowanie wolności. Teraz wszakże, gdy siedział w więzieniu, czy miało to jakieś znaczenie?

Emilie wciąż nie wiedziała, w jaki sposób powinna wybrać odpowiedniego prawnika, który zajmował się takimi sprawami. Może pan Kemp mógłby jej pomóc. Zadrzała na tę myśl, ale jego przynajmniej znała. Lepsze to od zwracania na siebie uwagi prawnika, który może nawet tygodniami nie zgadzać się na spotkanie z nią. Tyle czasu nie miała. Im więcej o tym myślała, tym bardziej się martwiła, że zabraknie jej odwagi na wizytę u Kempa, ale będzie musiała spróbować. Z samego rana.

Pierwsze spotkanie Pollocka z Kempem nie przebiegło pomyślnie. Statek przybił do nabrzeża wczesnym rankiem i sierżant nie tracąc czasu pośpieszył do komendy głównej, by czekać na komendanta przy zdeptanych kamiennych schodach. Znał ten stary drewniany budynek bardzo dobrze, tutaj zaczynał karierę w policji, służąc kilka lat jako konstabl. Powiedziano mu, że komendant przyjdzie o ósmej. Pollock zapalił i oparł się o ścianę budynku, obserwując znużonych policjantów wychodzących do domu po nocnej służbie, która wiele lat temu także jemu przyspadała.

Kiedy zobaczył znajomą wysoką postać kroczącą ulicą, poprawił sobie kapelusz i potarł buty o spodnie, by bardziej lśniły.

— Dzień dobry, sir.

— Na Jowisza, Pollock! Nie traciłeś czasu. O co chodzi? Przedstaw dokumenty i zgłoś się do mojego gabinetu.

Pollock zbłądł.

— Proszę wybaczyć, sir, nie mam dokumentów, ale jestem pewny, że wszystko będzie w porządku.

— Co będzie w porządku? Musisz mieć pozwolenie na wyjazd. Czasowe przeniesienie? Oddaj je oficerowi na służbie.

— Nie miałem czasu, żeby je uzyskać, sir.

Kemp skrzywił się.

— Nie miałeś czasu? Co chcesz przez to powiedzieć? Mam rozumieć, że opuściłeś posterunek bez pozwolenia?

— Tak, sir. — Pollock nie zdawał sobie dotąd sprawy, że Kemp może być taki trudny. — Ale to było konieczne.

— W takim razie nie opowiadaj głupstw o braku czasu.



— Przepraszam, sir.

— Jesteś tymczasowo aresztowany, sierżancie. Natychmiast zgłoś się do raportu.

Kemp był zirytowany. Co prawda interesowały go kontakty między Willoughbym a tym człowiekiem, ale nie mógł pozwolić, by niesubordynacja uchodziła płazem, nieważne, kto ją popełnił. W drodze do swojego gabinetu poinstruował zastępcę, by zajął się tą sprawą.

Kazał Pollockowi czekać, wezwał go dopiero późnym popołudniem.

— Twój przełożony w Maryborough jednoznacznie odmówił ci pozwolenia na wyjazd do Brisbane...

— Ale to ważne, panie Kemp. Pan to wie. A ja już zmarnowałem cały dzień.

— Więc lepiej zacznij liczyć dni, które tutaj marnujesz, bo dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona, jesteś na bezpłatnym urlopie.

— Tak jak teraz to widzę, równie dobrze mogę zrezygnować ze służby.

— To już zależy od ciebie — odparł Kemp obojętnie. — Dostałeś telegram od więźnia Willoughby'ego. Jakie miałeś w związku z tym plany?

— Potrzebne mi pozwolenie na widzenie się z nim na wyspie.

— Prosisz mnie o pozwolenie. To dodaje mi otuchy. Cóż, możesz odwiedzić więźnia, kiedy otrzymam zgodę od kapitana Crofta, naczelnika więzienia.

— To nie będzie potrzebne. Nie pozwoliłby Willoughby'emu wysłać telegramu, gdyby nie wiedział, że to ważne, i nie spodziewał się mojej wizyty.

— Niemniej pisemne pozwolenie potrzebne jest każdemu, kto chce jechać na wyspę.

— Ale to potrwa kilka dni. Czy może pan do niego zatelegrafować, sir?

— Zastanowię się nad tym. Staw się u mnie o ósmej rano.

— A jeśli Willoughby zmieni zdanie? Jestem przekonany, że chce zeznawać.

Kemp odpowiedział śmiechem.

— Kilka następnych dni w więzieniu może tylko bardziej go do tego skłonić.

Trzy dni minęły, nim Pollock wsiadł na pokład więziennej łodzi, przedstawiając pozwolenie podpisane przez Kempa. Do tego czasu nabrał już przekonania, że policyjna hierarchia spiskuje przeciwko niemu, na jego barki zrzucając winę za śledztwo w sprawie morderstw, którego ani nie można rozwiązać, ani zapomnieć.

Croft, wystrojony w czarny mundur ze srebrnymi guzikami, z całą pewnością własnego pomysłu i uszyty na zamówienie, powitał go serdecznie.

— Cieszę się, że pana widzę, stary druhu. Nie miewam tu często gości. Przygotowałem dla pana specjalny lunch, najpierw jednak pozwoli pan, że go oprowadzę. Dajemy sobie radę. Można powiedzieć, jesteśmy samowystarczalni. Skazańcy sami pracują na swoje utrzymanie. Dwa miesiące temu odwiedził Świętą Helenę dżentelmen z Izby Lordów, wie pan, z Londynu — lord Blessington, doprawdy miły człowiek. Stwierdził, że to modelowe więzienie. Chociaż transporty skazańców z ojczyzny ustały, jego zdaniem należałoby je wznowić. Mamy setki wysp w Queenslandzie, mogliśmy wznieść mnóstwo takich twierdz jak ta i nie przeszkadzałyby to nikomu na stałym lądzie, a zyskalibyśmy wieczną wdzięczność Brytyjczyków, którym brakuje miejsca w więzieniach...

Jezu, ten to potrafi gadać, westchnął w duchu Pollock. Interesowała go jedynie rozmowa z Willoughbym, a nie spędzanie dnia w towarzystwie Crofta, lecz nie mógł sobie pozwolić na urażenie naczelnika...

Obejrzał piece do wypalania wapna i pola trzciny cukrowej, później cukrownię i pola uprawne, na których pracowali więźniowie w płóciennych ubraniach, i cały czas miał nadzieję, że zobaczy gdzieś Willoughby'ego. Wycieczka wydawała się nie mieć końca, byli na falochronach, które dopiero budowano, widzieli ceglane mury twierdzy, odwiedzili warsztaty, gdzie więźniowie robili buty, żagle i świece, oraz mleczarnię i kuźnię na drugim końcu wyspy. Mijając pale i trójkąty na placu, gdzie wymierzano kary, Pollock słowem ich nie skomentował, rozumiał bowiem konieczność takich urządzeń. Przez cały czas Croft ciągnął opowieść niczym doświadczony przewodnik, aż wreszcie sierżant zmuszony był zapytać o Willoughby'ego.

— Nigdzie go nie zauważyłem.

— Nie jest daleko, niech się pan nie martwi. Kopie doły pod

moje nowe podziemne zbiorniki na wodę. Może czegoś się napijemy? Wino już się chłodzi.

Lunch był wyśmienity i trwał wieczność. Naczelnik, bardzo zadowolony z domu i ogrodu, nie mógł się doczekać, kiedy pokaże je gościom. Chwilami Pollock współczuł temu człowiekowi, tak rozpaczliwie łakącemu towarzystwa, kiedy indziej zżymał się na niego za czas, który mu zabiera. Łódź czekała na plaży, w każdym momencie gotowa odwieźć go do Brisbane, a Croft dolewał wina i kreślił swoje plany założenia winnicy na wyspie.

— Nazywają tę wyspę piekielną dziurą — wyznał po kilku kieliszkach — ale trzeba zachowywać dyscyplinę, zgodzi się pan?

Pollock się zgadzał. Widział różne więzienia i to nie wydawało się wcale takie złe.

— Przysyłają mi najgorszych kryminalistów — dodał Croft na swoją obronę i Pollock znowu się z nim zgodził.

— Pewnie sporo się pan musi natrudzić, żeby utrzymać ich w ryzach. A teraz, sir, jeśli pan pozwoli, chciałbym porozmawiać z Willoughbym. Ta sprawa to prawdziwe utrapienie.

— Wierzę panu. Gazety bardzo nieprzyjemnie odnoszą się z jej powodu do policji, dlatego też zdecydowałem, że powinienem pomóc. Każę wezwać pańskiego człowieka i zobaczymy, co ma do powiedzenia.

Pollock ledwo poznał Willoughby'ego, kiedy pod eskortą wprowadzono go do gabinetu naczelnika. Krzepkie młodzieńcze ciało zmieniło się w wychudzoną postać, długie blond włosy ogolono prawie do gołej czaszki. Oczy — niebieskie oczy, tak Pollock w swoim raporcie charakteryzował bandytę — teraz wydawały się jaśnieć, osadzone w mrocznej, posiniaczonej twarzy.

— Witam, panie Pollock — powiedział więzień, idąc do wtóru szcękających łańcuchów, i Pollock coś jeszcze sobie przypomniał: uprzejmy, spokojny głos. Ile czasu upłynęło, od kiedy ten człowiek przyjechał do jego domu w Maryborough z informacją, że konwój złota czeka na wsparcie w Blackwater Creek? Wydawało się, że minęły lata.

— Witam, Willoughby. Wiem, że chciałeś się ze mną widzieć.

— Tak jest, sir.

Sierżant zwrócił się do Crofta.

— Będzie w porządku, jeśli tutaj usiądzie? Być może będę potrzebował pisemnego zeznania.

— Ależ oczywiście. — Żywo zaciekawiony Croft rozparł się na krześle. — Mów, o czym chciałeś rozmawiać z sierżantem Pollockiem.

— Pan mnie zna, panie Pollock — powiedział Willoughby. — Napisałem, że chcę rozmawiać z panem, a nie z nim.

Pollock powstrzymał bęknięcie. Za dużo zjadł na lunchu z Croftem. Nie był przyzwyczajony do pięciodaniowych posiłków.

— Wszystko w porządku — odparł. — Naczelnik ma prawo tu być jako świadek. Możesz swobodnie mówić w jego obecności.

— Niech mnie diabli, jeśli mogę. To z nim nie ma nic wspólnego.

Croft uderzył pięścią w biurko.

— Wiedziałem! Ten gnój sprowadził tu pana, żeby poskarżyć się na więzienie.

W jednej sekundzie ton głosu Willoughby'ego zmienił się z żądającego w przymilny. Pollock przysłuchiwał się temu ze zdumieniem.

— Ach nie, sir. Nie może pan w taki sposób tego traktować. Nie mam nic przeciwko więzieniu, poza tym że nie powinienem tu być. Pan Pollock i ja znamy się od dawna. Chcę mu coś powiedzieć, a jeśli mi uwierzy, będzie musiał coś z tym zrobić. On, nie pan. Rozumie pan, o co mi chodzi? Nie chcę, żeby pan żałował, że urządził to spotkanie.

Croft rozumiał, aczkolwiek udawał, że jest inaczej. Sprzeciwiał się i argumentował, choć mało przekonująco, a na ostatku wyszedł z gabinetu.

Sierżant oparł się o parapet.

— Ktoś mi powiedział, że gadaniem potrafisz czynić cuda, Willoughby.

— Naprawdę? — zapytał łagodny głos. — A kto tak powiedział?

— Clive Hillier.

— Czyżby nadal był moim przyjacielem?

— Tak.

— Dobrze wiedzieć. Ostatnio trochę mi ich brakuje.

— Co się stało z twoją twarzą?

- Obiecałem, że nie będę mówił o więzieniu.
- Racja. Więc o czym będziemy rozmawiać?

— I to wszystko?

Sierżant przeżył szok zmieszany z głębokim rozczarowaniem, kiedy Willoughby przedstawił mu swoją rozmowę z więźniem nazwiskiem Baldy Perry. To nie było przyznanie się do winy, to nic nie było. Mogło kosztować go pracę. Jego blef o odejściu z policji teraz stawał się rzeczywistością. Nie może z tymi bredniami wrócić do Kempa, bo jego bezpłatny urlop przedłuży się do końca życia.

— Ciagnąłeś mnie taki szmat drogi z tego powodu? — warknął. — Z powodu jakichś majaczeń szaleńca. Nigdy nawet nie słyszałem o Baldym Perrym.

— Aresztowano go w Maryborough. To mógł być pan.

— Ale tego nie zrobiłem. Pewnie nie było mnie w mieście. I co z tego? Twierdzi, że jest kamratem McPhersona i nikt mu nie wierzy, nawet więźniowie. Tylko głupek taki jak ty. Jezu, Willoughby, tym razem załatwiłeś mnie na dobre. Bodajbyś tu szczeł! Jeśli będę miał coś do powiedzenia, opuścisz tę wyspę w dniu, w którym cię powieszają.

Mai wiedział, że to nie będzie łatwe; sporo się natrudził przekonując samego siebie, że Baldy'emu wymknęło się słówko dotyczące napadu. Musi być bardzo cierpliwy wobec Pollocka, który miał prawo wrzeszczeć. Poczekał, aż sierżant wyrzuci wszystko, co leży mu na wątrobie.

— Mogę o coś zapytać?

Sierżant wzruszył ramionami; gotów już był wstać i wyjść.

— Jeśli mam być współnikiem McPhersona, to dlaczego Baldy był taki pewny, że nie wiedziałem o pobycie Szkota w Maryborough, a on wiedział?

— Bo jest głupi.

— Może. — Mai nie wspomniał o spotkaniach z McPhersonem w Brisbane i później, w górach; gdyby to zrobił, wykopałby sobie jeszcze głębszy grób. Wciąż twierdził, że nie brał udziału w napadzie, i z konieczności utrzymywał, że nie zna sławnego bandyty. — Ale ja tak nie myślę. Był taki pewny siebie, panie Pollock. Zacznę od początku. Ani przez chwilę nie wierzyłem, że McPherson brał udział w tym napadzie. Pan też w to nie wierzy. Nie pokazałyby się w mieście.

ZATOKA ORCHIDEI

— Co dowodzi, że Perry jest kłamcą.

— Tak, ma pan rację. Ale dlaczego świadomie zwałby siebie jego przyjacielem, jeśli nie miałyby powodu? Na przykład żeby na niego zwalić winę. Odsunąć od siebie podejrzenia. Uważam, że Baldy Perry brał udział w tym napadzie.

— To dość odważna hipoteza.

— Ale warta zastanowienia. I ten drań diabelnie dobrze wie, że mnie tam nie było. Widziałem to w jego oczach. Słyszałem w jego głosie.

Pollock westchnął i podrapał się po karku. Ta historyjka była bardzo naciągana, ale z drugiej strony wiedział od Kempa, że chociaż McPherson w więzieniu przyznał się do kilku napadów, wciąż zaprzeczał, jakoby miał coś wspólnego z rabunkiem w Blackwater Creek. Twierdził, że był wtedy w Bundabergu i może to udowodnić. Policja transportuje go teraz na południe; zatrzymają się w Bundabergu, by sprawdzić alibi bandyty, a co więcej, myślał Pollock ponuro, skłonni są mu uwierzyć. Czyli zostają Willoughby i prawdopodobnie Carnegie. Jako współnicy.

— A gdzie byłeś w dniu napadu w czasie pomiędzy rozmową ze mną a naszym wyjazdem na miejsce, gdzie czekał konwój? — zapytał.

— Rozglądałem się po mieście. Byłem tam po raz pierwszy.

— Może kontaktowałeś się z Baldym Perrym.

— Nie. Spotkałem go dopiero tutaj.

— Tak powiadasz. — Pollock wiedział, że o coś jeszcze musi zapytać, ale na razie nie potrafił ująć tego w słowa. Tymczasem doszedł do wniosku, że może uznać Perry'ego za podejrzanego, aczkolwiek na podstawie słabych przesłanek. Perry był w Maryborough w tamtym okresie. Tak samo jak setki podobnych rzezimieszków. — Dobrze — odezwał się po namyśle. — Każę im sprowadzić Perry'ego i rzucisz mu w twarz te oskarżenia. Ciekaw jestem, co na to odpowie.

Mai pokręcił głową.

— Niech pan posłucha, mogłem to zrobić sam. I jak pan sądzi, do czego by mnie to doprowadziło?

— Dostałbyś solidne manto.

— To nic nie da. On nie będzie gadał ze mną, a już na pewno nie z panem, panie Pollock. Będzie się pilnował.

— Ech, diabła warta nasza rozmowa! Twierdzisz, że jest podejrzanym, ale nie możemy go przesłuchać. To bez sensu. Ja

zdecyduję, co zrobić z Perrym, nie ty. — Pollock sięgnął po kapelusz. Czas się zbierać, nie może wioślarzom kazać dłużej czekać.

Łódź. O to chodziło. Łódź. Niemiecki szkutnik opisał człowieka, który kupił u niego nową łódź i rozmyślnie zatopił ją w rzece. Mniej więcej w czasie napadu. W rzece niedaleko ujścia strumienia Blackwater, gdzie miał miejsce napad.

Tonem niemal swobodnej pogawędki zadał następne pytanie.

— A jak wygląda ten Perry?

— Brutal. Wielki, wolałyby pan z nim nie zadzierać. Nalana twarz, świńskie oczka. Łysy jak kolano, za to ma wasy, i jeszcze coś panu powiem. Jeden gość tutaj twierdzi, że był świetnym strzelcem w buszu. Mógłby pan poprosić naczelnika, żeby go panu pokazał.

— Nie ma takiej potrzeby — odparł sucho Pollock, choć zamierzał właśnie tak zrobić.

— I co dalej? — zapytał Willoughby.

— A według ciebie co ma być?

— Perry niedługo stąd wychodzi. Powinniście go śledzić, baczyć na każdy jego krok. Niewykluczone, że doprowadzi was do złota.

— Fantasta z ciebie, Willoughby. Mamy lepsze rzeczy do roboty niż śledzenie byłych skazańców.

— W takim razie nigdy się nie dowiecie, co się wydarzyło.

— O tak, dowiemy się. A na razie życzę miłego pobytu.

Willoughby patrzył w zakratowane okno.

— Czy nikt mi nie wierzy?

Sierżant nie okazał mu współczucia. Nie usłyszał przyznania się do winy, tylko mgliste podejrzenia rzucane na innego więźnia — niewiele ma do przekazania Kempowi.

— Gdyby wierzyli, nie byłoby cię tutaj — odparł, po czym wezwał strażników.

Raport Pollocka nie zrobił na Kempie wrażenia.

— Spodziewałem się przyznania do winy, tymczasem mamy tu klasyczny przypadek więźnia zwalającego winę na kogoś innego. — Ponownie powiódł wzrokiem po stronicach. — To samo robi ten Perry. Przerzuca winę na McPhersona, choć wiemy już, że bandyta był wtedy w Bundabergu. Ukradł konia pewnemu farmerowi, ten zgłosił kradzież na policję, ale jako sprawcę

## ZATOKA ORCHIDEI

wskazał sąsiada, wywołując z nim wojnę. Oczywiście teraz Szkot aż nazbyt chętnie przyznaje się do tego przestępstwa. Jechał na koniu owego farmera, kiedy go aresztowano. Tak więc McPhersona musimy wykluczyć, raz na zawsze. I jeszcze jedno...

— Przepraszam, sir. Przed chwilą powiedział pan coś ważnego. Że Perry przerzuca winę na McPhersona. To dokładnie ten sam rodzaj błędu, jeśli pan pozwoli, jaki zauważył Willoughby w czasie rozmowy z Penyrn.

— Mój błąd? — Kemp zmarszczył czoło.

— Tak jest, sir. Łatwo go przeoczyć, sir, ale przedstawiłem treść tej rozmowy w raporcie. Wymaga zastanowienia — dodał przeproszającym tonem Pollock. — Widzi pan, Perry nie musiał przerzucać na nikogo winy. Nie był podejrzanym.

— Ale jest łgarzem i lubi się przechwalać.

— Zgoda. Dla mnie jednak jest teraz podejrzanym. Pasuje do opisu człowieka, który kupił tę łódź. Zamieściłem to w raporcie.

Sierżant poczekał, aż Kemp dokładnie tym razem przeczyta raport, który początkowo wydawał się mało obiecujący.

— Dobrze — rzekł wreszcie komendant. — Chwyta się pan brzytwy, ale przetransportujemy Perry'ego do naszego więzienia na przesłuchanie.

— Willoughby powiada, że nic z niego nie wydobędziemy.

— Guzik mnie obchodzi, co mówi Willoughby.

— Czy mógłbym wziąć udział w tym przesłuchaniu?

— Tak. To mogłoby przynieść pewne korzyści — uznał Kemp. — Ale mam interesującą informację o Willoughbym. Odwiedziła mnie wczoraj młoda dama z Maryborough, moja znajoma.

— A któż to taki?

— Niejaka panna Tissington.

— Guwernantka? Pracuje u pani Manningtree?

— Tak jest.

— I co ona ma z tym wspólnego?

— Zaraz powiem. Wygląda na to, że jest przyjaciółką młodego Willoughby'ego. Dobrą przyjaciółką. Przyjechała do Brisbane, żeby wynająć dla niego prawnika.

— Boże złoty!

— To bardzo miła dziewczyna i raczej nieśmiała. Prosiła mnie o radę w wyborze właściwego dżentelmena, jak to ujęła. Mnie naturalnie zaciekawiło, co wie o Willoughbym. W tym



aspekcie napotkaliśmy pewne przeszkody, bo panna Tissington nie bardzo chciała odpowiadać na pytania, polało się trochę łez, ale po filiżance herbaty wszystko wyznała. Spotkała go przypadkiem w Brisbane. A potem pewnego dnia, gdy szła ulicą w Maryborough, ktoś to się pojawia przed nią, jak nie nasz młodzieniec. Zachwycony jej widokiem. I wiesz, jaki to był dzień?

— Nie mam pojęcia.

— Dzień napadu, sierżancie. Poranek! Odprowadził ją do domu i chwilę gawędzili przy bramie. Wszystko jak najbardziej przyzwoicie. Później oznajmił, że musi się śpieszyć...

— Żeby pojechać do mnie?

— Tak — powiedział Kemp. — Ale najpierw umówił się z nią na randkę. Nazajutrz wieczorem mieli się spotkać przy tej samej bramie i pójść na zwiedzanie miasta.

— Nie do wiary! Ten biedny drań miał spotkanie z dziewczyną. Nigdy nie wyjaśnił, co robił przez ten czas. Mówił, że oglądał miasto.

— Widać nie chciał płacić jej w to, co potem się stało.

— Więc dama czekała przy bramie, a on się nie pojawił, bo już uciekał...

— Wręcz przeciwnie. Pojawił się. Wydaje mi się, że Willoughby zadurzył się w pannie Tissington. Był tam, we własnej osobie, podczas gdy ty i twoi ludzie przeszukiwaliście busz. Szukaliście w złym miejscu.

Pollock jęknął, wdzięczny Kempowi, że ten nie dodał „znowu”. Zaczynał nienawidzić Willoughby'ego.

— To kolejna interesująca część. Było mu smutno, że nie może odegrać roli wielbiciela, ale opowiedział jej o tym, co się wydarzyło. Denerwował się, stwierdził, że nie popełnił żadnego przestępstwa, ale ucieka przed policją i chce się tylko pożegnać. A potem zniknął. Panna Tissington mu wierzy. Jest absolutnie przekonana o jego niewinności i oburzona, że tak niesprawiedliwie go potraktowano. — Kemp uśmiechnął się siadając wygodnie. — Wiemy więc, co robił przez tę brakującą godzinę. A potem Willoughby wrócił do miasta, żeby pożegnać się ze swoją dziewczyną.

— Wątpliwe, czy to jego dziewczyna — zauważył Pollock.

— Teraz spotyka się z Clive'em Hillierem, który też jest przyjacielem Willoughby'ego. Co panna Tissington jeszcze wie?

— Nic poza tym, co było w gazetach.

Pollock wzruszył ramionami.

— Niewiele nam to daje.

— Niewiele — zgodził się komendant.

Emilie siedziała na długim korytarzu; dłonie w rękawiczkach spłotła na podołku, a oczy utkwiła w noskach swoich butów wyglądających spod długiej granatowej spódnicy. Nie ośmielała się patrzeć przed siebie. Po korytarzu kręcili się policjanci, wielu z nich pytało, czym mogą jej służyć, i czuła zakłopotanie, wystawiając się tak na widok publiczny. Nie mogła jednak się ruszyć, bo powiedziano jej, że ma czekać tutaj na pana Kempa.

Wszystko wokół było ponure i brunatne. Brunatna podłoga, brunatne ławki, beżowe ściany z brunatnym paskiem. Nawet buty policjantów były brunatne, choć mundury mieli czarne. Tak czy owak, brunatny kolor pasował do jej posępnego nastroju, martwiła się bowiem, że za wiele powiedziała Kempowi. Przyszła tylko zasięgnąć rady i nie miała zamiaru wybuchać płaczem. Ależ widok musiała stanowić! Ale pan Kemp to dobry człowiek; rozumiał, jak trudno jej było zdecydować się na przyście tutaj i prośbę o widzenie się z nim, ważną osobistością, i to bez wcześniejszej zapowiedzi.

A potem wszystko wyznała. Jak zobaczyła Mała po raz pierwszy, jak spotkała go ponownie w Maryborough. I tak dalej. Odpowiadała na pytania komendanta szczerze, a czyniąc to, zaczęła nabierać pewności, bo tak miło się do niej odnosił, uprzejmie kiwał głową i nie krytykował ani jej, ani Mała. To było tak, jakby prowadzili towarzyską pogawędkę. O wiele łatwiej było wytłumaczyć całą sytuację jemu niż Ruth. Nie był zszokowany, że guwernantka zaprzyjaźniła się z człowiekiem takim jak Mai. Jednakże ta pewność siebie pomogła jej wytyczyć granice. Nie wspomniała, że Mai dał jej pieniądze. Był przekonany, że mu je zabrają, a Emilie nie zamierzała ryzykować, że każą jej oddać całą sumę.

Kiedy powiedziała, że Mai pożegnał się z nią i odjechał, ponieważ poszukiwała go policja, Kemp zapytał, dlaczego nie poinformowała władz o tym spotkaniu. Wtedy się przestraszyła. Pamiętała, jak nadkładała drogi, by ominąć posterunek.

— Za bardzo się bałam — odparła zgodnie z prawdą. — Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Nie mam żadnego doświadczenia w takich sprawach.

— Jestem o tym przekonany, moja droga. Ale Willoughby nie został na terenie posiadłości państwa Manningtree ani w jej pobliżu?

— Boże wielki, nie. Zniknął. Nie mam pojęcia, gdzie był. A potem pewnego dnia przeczytałam, że go pojmano. Chyba nie zrobiłam nic złego?

— Myślę, że możemy o tym zapomnieć. Ale bardzo by nam pomogło, gdybyśmy wtedy wiedzieli, że jest w mieście.

Emilie spojrzała na komendanta.

— Ten człowiek jest niewinny. Nie miałam zamiaru pogłębiać jego kłopotów. Nie potrafię pojąć, dlaczego siedzi w więzieniu.

— Cóż, przekonamy się. — Na kartce papieru napisał nazwisko i adres. — Tego prawnika proszę odwiedzić w sprawie pana Willoughby'ego. Przypuszczam, że będzie mógł pomóc.

Czekała więc, aż jej zadumę przerwał głos Kempa.

— Panno Tissington, wróciła pani? Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Skoczyła na równe nogi.

— Och, panie Kemp, bardzo przepraszam, że znowu muszę pana niepokoić. Byłam w biurze pana Harveya, ale niestety jego kancelista powiedział mi, że jest chory i że jakiś czas będzie nieobecny. Zastanawiałam się, czy mógłby mi pan polecić kogoś innego?

Świadkiem zainteresowania Kempa przeuroczą młodą damą był pewien reporter; na jego oczach komendant policji wprowadził gościa do swojego gabinetu. Jesse Fields już miał zamiar wrócić do Chinchilli, kiedy w pubie spotkał wydawcę „Brisbane Couriera”. Obaj mężczyźni szybko nawiązali przyjaźń, interesowali się bowiem tym samym: polityką i zbrodnią. Po wielu drinkach Jesse chwiejnym krokiem wracał do hotelu, czując się tak, jakby złapał Pana Boga za nogi.

Dostał pracę w prestiżowym „Courierze”! Zegnaj, Chinchillo.

Ponieważ był na bieżąco ze sprawą Willoughby'ego, polecono mu jej kontynuowanie.

— To twoja działka — powiedział wydawca. — Stary Walt White z gazety w Maryborough twierdzi, że policja kompletnie sobie nie radzi z tym śledztwem, wszystko psują. Nic nie

osiągnęli, choć złapali Willoughby'ego. A to nie była robota jednego człowieka. Cokolwiek usłyszysz, przekaz Waltowi. Traktuj go grzecznie, bo dzięki temu będziemy mieć wiadomości z obu miast.

Pojmano McPhersona. McPherson przyznał się do wielu przestępstw, ale udowodniono, że w czasie napadu w Blackwater Creek przebywał w Bundabergu. Jesse zbierał o tym informacje. Sierżant Pollock z Maryborough przyjechał do Brisbane i szep-tano, że tutaj prowadzi śledztwo w tej samej sprawie. A dokładnie co robi?

Jesse zaczął Pollocka, ten jednak twierdził, że jest tu na wakacjach.

— To ci dopiero wakacje — zakpił dziennikarz — spędzane na posterunku!

Ale Pollock milczał jak zakłęty.

— Coś tu się święci — mruknął Jesse do wydawcy. — Wiem, że zdawał raport Kempowi. W jakiej sprawie? Chyba będę potrzebował kilku szylingów, żeby rozwiązać ludziom języki.

Świadom, że prasa następuje mu na pięty w tym śledztwie, Kemp zachował sprawę Perry'ego w tajemnicy. Posłał dwóch zaufanych policjantów na wyspę; przybili z Perrym na brzeg poza granicami miasta i dostarczyli go, skutego i w kapturze zasłaniającym twarz, nie na posterunek, tylko do celi w policyjnych koszarach. Kemp nadal był przekonany, że udział Perry'ego to tylko kość rzucona im przez Willoughby'ego, i nie mógł sobie pozwolić, by prasa się dowiedziała, że znowu oskarżyli niewłaściwego człowieka. Już i tak potępiano ich za obwinianie McPhersona, i czynili to nie tylko dziennikarze, ale i rozgniewani obywatele, podziwiający szkockiego bandytę. Reporterzy nie odstępowali posterunku, licząc na szansę rozmowy z tym przekłętym McPhersonem, który grał rolę ofiary policyjnej niekompetencji. Jego podróż przez miasta na wybrzeżu do Brisbane, gdzie trafić miał za kratki za rzeczywiście popełnione przestępstwa, zmieniła się w triumfalną procesję. Eskortujących go policjantów obrzucano wyzwiskami, on zaś słyszał wiwaty i słowa zachęty z ust zwykłych ludzi, którzy życzyli mu jak najlepiej.

Relacje o tych wypadkach rozwścieczyły Kempa. Ów człowiek był cholernym przestępcą, nawet jeśli w tamtym napadzie nie brał udziału. Świat się do góry nogami przewraca!

Nawet prokurator generalny chciał się spotkać z McPhersonem. Swoją prośbę przekazał komendantowi na oficjalnej kolacji.

— Ale po co, do diabła? — zapytał wtedy Kemp.

— Widziałem jego zdjęcie w gazecie — odparł Lilley.

— Myślę, że to on uratował mnie z zamieszek na początku zeszłego roku.

— McPherson? Nie wydaje mi się, sir.

— Mimo to chciałbym się z nim spotkać. Bądź tak dobry i załatw to, Kemp.

Świat naprawdę oszalał. McPherson zyskiwał większy rozgłos niż gwiazda opery. A sierżant Pollock wciąż pętał się komendantowi pod nogami, dręcząc go idiotycznymi przechwałkami Perry'ego.

— Sir, kilku więźniom powiedział, że jest bogatym człowiekiem!

— No to zapytaj go o te jego bogactwa.

— Zapytałem. Mówi, że tylko żartował. Ale im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że Willoughby ma rację. Perry jest w to zaplątany.

— Nie można skazać człowieka na podstawie mglistych przesłanek.

— Ale możemy mieć na niego oko — nalegał Pollock.

— W końcu czymś się zdradzi.

— Jeśli tak uważasz — zgodził się Kemp ze znużeniem. Nie cieszył się na weekend. W sobotę wieczór czekała go kolejna oficjalna kolacja, w niedzielę rano pokaz policji konnej, a po południu podwieczorek wydawany przez organizację Damy dla Poprawy Losu Więźniarek. Pani Kemp uwielbiała takie okazje — dzięki nim zyskiwała miejsce w życiu miasta, status społeczny — ale on wolałby zostać w domu i pracować w ogrodzie.

A w piątek po południu zjawiła się panna Tissington, śliczna jak obrazek w granatowym kostiumie i kapelusiku na ciemnych lokach. Słodycz jej twarzy i niewinny uśmiech przynajmniej na chwilę rozproszyły ponury nastrój komendanta. Nie dziwota, że młody Willoughby zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Panna Emilie na pewno koła zranione oczy, rozmyślał Kemp. Bogiem a prawdą Sonny Willoughby zachował się rycersko, podejmując olbrzymie ryzyko, by stawić się na umówione spotkanie z nią.

Znalazł kolejnego prawnika, po czym dodał:

— Jestem przekonany, że moja żona z przyjemnością znowu by panią zobaczyła. Musi nas pani odwiedzić, nim wróci pani do Maryborough.

— Dziękuję, panie Kemp. Z przyjemnością.

— Doskonale. Powiem pani Kemp, żeby wysłała pani liścik. Jeśli jeszcze coś panią zaniepokoi, proszę bez względu na porę zwrócić się do mnie. Znajdzie mnie pani tutaj albo w domu.

Pokiwała głową, jakby musiała się nad tym zastanowić. Kempowi wydało się, że chciała coś jeszcze dodać, ale stosowna chwila minęła. Wyraz troski na twarzy panny Tissington ustąpił łagodnemu uśmiechowi.

— To bardzo uprzejme z pana strony, panie Kemp. — Jej głos brzmiał żałośnie, jakby ktoś bardzo ją zranił, i Kemp poczuł, jak serce mu się do niej wrywa. Gdyby jego córka żyła, pewnie wyrosłaby na taką słodką dziewczynę jak panna Tissington.

Jesse był żwawym mężczyzną, zdołał się schować, nim Kemp go zauważył, mimo to usłyszał jego wymianę zdań z dziewczyną w progu gabinetu. Jej głos go zaskoczył. Angielka, i to od niedawna tutaj. Cóż ona tu robi? Tak cierpliwie czekała na Kempa.

— Rety, ale ładna — powiedział do przechodzącego konstabla. — Mam nadzieję, że tutejsza.

— Nie licz na to, Jesse — uśmiechnął się policjant. — Przyjechała z Maryborough.

— Przyjaciółka szefa?

— Może. Nie mam pojęcia.

Nic więcej tutaj się nie dowie. Jesse miał nadzieję, że pozna nazwisko dziewczyny, choć miasto, z którego przyjechała, było o wiele bardziej interesujące. Nie wierzył w zbiegi okoliczności. Postanowił opuścić posterunek bocznymi drzwiami, co oznaczało konieczność przejścia obok biurka zaprzyjaźnionego policjanta.

— Co powiesz na drinka w Pig and Whistle o szóstej? — zapytał.

— Dobry pomysł.

Jesse rozejrzał się, by zyskać pewność, że nikogo w pobliżu nie ma.

— Kim jest ta dziewczyna z Maryborough? — Mrugnął znacząco. — Chętnie bym się czegoś o niej dowiedział.

Policjant prychnął.

— W to nie wątpię.

I wrócił do stemplowania arkuszy. Jesse **odszedł wolnym** krokiem.

— Kim ona jest? — zawołał zdumiony.

Starszy sierżant Ellis jednym haustem wychylił kufel, po czym pchnął go po kontuarze w stronę barmana, domagając się w ten sposób kolejnej porcji.

— Wiedziałem, że to ci się spodoba. To dziewczyna Willoughby'ego. Przyjechała tutaj, żeby mu pomóc, tak powiadają. Nazywa się panna Tissington. Jest guwernantką. Nieźle jak na gościa w rodzaju Willoughby'ego, nie uważasz?

— Pewnie.

— Mógłbym więcej ci powiedzieć, Jesse, ale to będzie kosztować. I oczywiście nie wspomnisz, od kogo o tym się dowiedziałeś.

— Jasne. Pięć szylingów.

— Kemp nie jest za bardzo zadowolony z Pollocka. Wygląda na to, że ten wiejski gliniarz dał kolejną plamę. Nie tylko pozwolił uciec Willoughby'emu, ale jeszcze okazało się, że w tym samym czasie, kiedy on z wszystkimi swoimi ludźmi przeszukiwał busz, młody Sonny miał tupet wrócić do Maryborough, żeby zobaczyć swoją ukochaną!

— Mów dalej!

— To prawda — roześmiał się Ellis. — Tak jest w raporcie. Jeden z moich kumpi go widział. Nie ma wątpliwości, że Sonny to spryciarz. Chłopaki myślą, że gdyby nie wydał go wuj, pewnie nadal byłby na wolności.

— A co Pollock mówi o tym?

— Nic nie mówi. I coś ci powiem, jego raporty nagle znalazły się pod kluczem w gabinecie Kempa.

— Myślałem, że ma urlop.

— Bo ma. Wymuszony. Wyjechał z Maryborough bez zgody swojego szefa. Więc pracuje za darmo, szczęśliwy, że sam nie znalazł się w celi, ale Kemp go potrzebuje. Pozwolił mu jechać na Świętą Helenę i ponownie przesłuchać Willoughby'ego.

— Czego się dowiedział?

— Wychodzi nam, że niczego.

— Więc dlaczego jego raporty są pod kluczem?

## ZATOKA ORCHIDEI

- Dobrze pytanie.
- Pewnie coś się dzieje.

Niedługo po tej rozmowie Jesse wrócił do pracy ze świeżymi wieściami. Nowy zwrot akcji zaintrygował wydawcę.

— Ukochana Willoughby'ego, co? Dobrze się sprawiłeś, Jesse. Więc Sonny Willoughby wysłał policję w pościg, a sam wybrał się z wizytą do tej dziewczyny. Staremu Waltowi White'owi bardzo się spodoba ta historyjka z jego miasta. Opisz to, wyślij streszczenie do Walta, a ja postaram się o zdjęcie. Potrzebna mi jej fotografia. Gdzie się zatrzymała?

- Nie wiem.
- Nie szkodzi. Znajdziemy ją. A ty wracaj do sprawy.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Dlaczego ona to robi? — pytał Daniel.
- Po prostu próbuje mnie wyprowadzić z równowagi.
- Nie rozumiem. Wydawało mi się, że między wami dobrze się układa.
- Bo się układa — odparła Ruth. — Czy raczej układało. No wiesz, wróciła stamtąd z różnymi śmiesznymi pomysłami.
- Jakimi? Pozwól, żebym z nią porozmawiał.
- Nie. Jest uparta i nic z tego nie wyniknie. Chce zobaczyć akt własności jej działki. Przyniosłeś go do domu?
- Nie, za to domagam się wyjaśnienia jej zachowania.
- Może gdyby go zobaczyła, Danielu, poczułaby się lepiej. Jest taka niemądra, widok tego aktu na pewno poprawiłby jej humor.
- Przypuszczalnie masz rację. — Bowles kiwnął głową.
- Przyniosłem natomiast umowę sprzedaży twojej działki. Musisz tylko podpisać, nic więcej. A na twoim koncie w banku znajdzie się czterdzieści funtów, suma wystarczająca na budowę i umeblowanie domu.
- Czterdzieści funtów? — powtórzyła rozczarowana Ruth.
- Myślałam, że dostanę co najmniej trzy funty za akr.
- Ja też, ale wygląda na to, że część działki jest bagnista, nie nadaje się ani dla ludzi, ani dla zwierząt. To zrozumiałe. Nie możesz oczekiwać, że najlepsza ziemia rozdawana będzie za darmo, w końcu Brisbane jest także miejscami bagniste, zbudowano je nad rzeką. Żywym dowodem są te okropne komary, które dręczą nas o zmierzchu, jak sama dobrze wiesz.
- Mimo to spodziewałam się więcej...

— Nie zapominaj o prowizji dla agenta, moja droga. I o znaczkach skarbowych. To razem tworzy pewną sumę. Moim zdaniem udało ci się. Ale jeśli nie chcesz podpisać, mogę poszukać innego agenta.

— Och nie, Danielu. Jestem pewna, że dołożyłeś wszelkich starań...

— Tak. A inny agent może obniżyć cenę. — Pobiegł do salonu, żeby pożyczyć pióro i atrament od pani Mediów, która doskonale wiedziała, że lepiej nie pytać o powody.

Nie było żadnego agenta. Daniel uważał, że za swój czas i wysiłek ma prawo nie tylko do prowizji, ale i niejkiej nawiązki. Udało mu się uzyskać trzy funty za akr, a pieniądze, które dla siebie zachował, zamierzał użyć dla obopólnej korzyści. Kiedy się pobiorą, i tak będą należeć do Ruth.

Złożywszy podpis Ruth odetchnęła z ulgą. Rozpaczliwie potrzebowała dodatkowych pieniędzy na czynsz i zakup nowych ubrań, bo w starych widać już było cery, a bieliznę miała wręcz przetartą jak sito. Jeśli będzie ostrożna, wyda tylko kilka funtów z tych cennych czterdziestu, miła jednak była świadomość, że teraz nie musi dwa razy oglądać każdego pensa. Będzie mogła także odesłać następną ratę do Towarzystwa — może i dziesięć funtów.

— Dziękuję, Danielu — rzekła wręczając mu umowę. — Jesteś dobrym przyjacielem.

— Tylko nie wpadnij w szal zakupów — odparł z uśmiechem.

— O nie, nawet bym o tym nie marzyła. Ale co z jutrem? Jest sobota. Obiecaliśmy Emilie, że pokażemy jej działki.

— Po co, skoro jest w takim złym humorze?

— Pomyślałam, że gdybyśmy byli dla niej mili i zabrali ją tam, a nawet pozwolili zdecydować, gdzie powinien stanąć dom, może zmieniłaby zdanie. Wiesz, ona jest taka dziecinna!

— Skoro nalegasz. Chyba istotnie lepiej będzie, jeśli ją tam zabierzemy. Przyrzekliśmy. Ale doprawdy, Ruth, nie powinnaś ulegać jej kaprysom. Okaż stanowczość. Bo ponad wszelką wątpliwość brakuje jej twojego zdrowego rozsądku.

Przez cały tydzień prawie się do siebie nie odzywały. Ruth nie miała pojęcia, jak Emilie spędza całe dnie, a była zbyt rozgniewana, żeby o to pytać, teraz wszakże zdecydowała, że

potraktuje siostrę inaczej. Będzie dla niej miła, zresztą nie ma innego wyjścia; upokarzające jest to, że znalazła się w takiej sytuacji.

— Sprzedałam działkę — powiedziała. — Dostałam niezłą sumę po odliczeniu prowizji i opłaty skarbowej.

— To dobrze, o ile ty jesteś zadowolona.

— Nadal chcemy ci pokazać tę okolicę. Masz ochotę zobaczyć swoją ziemię, prawda?

— Oczywiście. Nie mogę się doczekać.

— Och, tak się cieszę. Spędzimy dzień za miastem. Pan Bowles powiedział, że skorzystamy z publicznego transportu. O dziesiątej rano odjeżdża stąd omnibus, taki sam jak te w Londynie, całkiem przyzwoity. Trasa wiedzie przez Fortitude Valley, potem kawałek wzdłuż rzeki, wreszcie skręca w głąb łądu do Eagle Farm. To miejsce szybko się rozwija.

— Czytałam w gazecie, że Brisbane Turf Club buduje tam tor wyścigowy.

— No cóż, jestem pewna, że nigdzie w pobliżu naszych działek. Ale dzięki temu będą tam udogodnienia.

— Co nie oznacza, że chcę budować na tej ziemi.

— Emilie, zadaliśmy sobie tyle trudu, żeby znaleźć tę ziemię, teraz po prostu jedź tam i bądź szczęśliwa. To taka radość...

Przynajmniej, myślała Ruth, nie było mowy o tym bandycie.

Za pozwoleniem Kempa sierżant Pollock postanowił złożyć wizytę Carnegiemu, który teraz mieszkał u brata na zboczach Paddington. Akacje, ciężkie od żółtego kwiecia, tworzyły nad wąską drogą baldachim, wśród gałęzi roiły się pszczoły. Ciszę przerywało tylko ich ciągłe bzyczenie, ostrzegające intruzów, by trzymali się z daleka. Pollock tak właśnie czynił, ostrożnie je wymijając. Bał się pszczoł.

Wykarczowane ścieżki na porośniętych gęstym lasem wzgórzach prowadziły do wielkich drewnianych domów, choć w ich rozlokowaniu nie widać było żadnego planu. Pollock sprawdził kilka ślepych uliczek, nim kobieta, która z uporem pokonywała zbocze, skierowała go na posiadłość Johna Carnegiego, emerytowanego hodowcy bydła.

Brat byłego komisarza ucieszył się na widok gościa. Gaduła, kiedy usłyszał, że sierżant przybył z Maryborough, chętnie zaczął się rozwodzić nad ohydny napadem i rabunkiem złota dokona-

nym w biały dzień, zwłaszcza że jego brat padł ofiarą nikczemnych zbrodniarzy.

— Allyn fatalnie to przeżył. Cholerny świat. A potem miał atak serca. Ale trudno się dziwić, prawda? Biedaczysko. Żona go opuściła, wie pan. Diabelnie przykra sprawa.

Najwyraźniej John Carnegie znał jedynie wersję wydarzeń swojego brata, włączając w to ten tak zwany atak serca, Pollock wszakże nie miał ochoty na oświecanie staruszka.

— Bez trudu trafił pan do mojego domu? — zapytał gospodarz.

— Tak — odparł krótko sierżant, nie chciał bowiem przedłużać tej pogawędki. — Czy zastałem pańskiego brata?

— O tak, oczywiście. Zaraz go poproszę.

Sierżanta wprowadzono do salonu, wygodnego pokoju, gdzie z solidnych cedrowych mebli patrzyły rodzinne portrety.

— To moja świętej pamięci żona — wyjaśnił Carnegie, ruchem głowy wskazując zdjęcie pulchnej niewiasty, które zajmowało honorowe miejsce na kominku. — Uroczą kobietą, odeszła prawie trzy lata temu. Serce, zawsze miała słabe serce, ale nigdy nie narzekała, powiadam panu, z jej ust nie wyszła ani jedna skarga. W końcu to ją zabiło. Mieszkaliśmy wtedy na farmie. Hodowaliśmy owce, radziliśmy sobie świetnie, ale po jej odejściu straciłem serce do tego miejsca i postanowiłem dać sobie z tym spokój. Mój syn...

W progu stanął Allyn Carnegie.

— Johnie — rzekł stanowczo — myślę, że gość chce widzieć się ze mną.

— Tak, właśnie miałem cię poprosić. Czy przysłać dziewczynę z poranną herbatą?

— Nie, dziękuję. Nie sędzę, żeby sierżant Pollock miał czas na przesiadywanie u nas.

— Na pewno?

Na to pytanie odpowiedział Pollock. Gospodarz był miłym staruszkiem, nie miało sensu go denerwować.

— Tak, panie Carnegie. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak radzi sobie pański brat.

— Uprzejmie z pana strony — mruknął zamierzając usiąść, lecz Allyn poprowadził go do drzwi. — Johnie, możesz nas teraz zostawić. Muszę zamienić słowo z panem Pollockiem na osobności.

Zamknawszy drzwi Carnegie zwrócił się do sierżanta.

— Czego pan tu szuka, do diabła? Dość już chyba wycierpiałem, jeszcze musi mnie pan nachodzić?

— Nie zabiorę panu dużo czasu. Pozwoli pan, że usiądę?

— Jak pan sobie życzy. — Carnegie nadal stał przy kominku z otwartym paleniskiem. — Czego pan chce?

— Na pewno wie pan, że pojmano McPhersona.

— I co?

— Ano to, że znowu musimy porozmawiać o napadzie. Udowodniono bez cienia wątpliwości, że McPherson tego dnia przebywał w Bundabergu, daleko od Blackwater Creek. Pan jednak twierdził, że go tam widział.

— Więc musiał to być ktoś do niego podobny.

— I tu mamy problem. Niewielu mężczyzn wygląda jak McPherson z tą rudą brodą i okazałą posturą.

— Tak, sierżancie. To wasz problem, nie mój.

— Pomyślałem, że może zastanowi się pan jeszcze nad tym rysopisem. Mógł pan się pomylić. Zrozumiały w tych okropnych okolicznościach...

— Ja nie popełniam błędów. Podałem wam rysopis. Jeśli to nie ten człowiek, musi to być ktoś do niego podobny.

— I na pewno słyszał pan, jak napastnicy odjeżdżają?

— Oczywiście, że tak.

— Myślałem, że może słyszał pan tylko odjeżdżającego Willoughby'ego.

— A reszta została? Niech pan nie gada głupstw. Słyszałem tętent oddalających się koni.

Jak zwykle Pollock zadawał te same co przedtem pytania, aż wreszcie Carnegie odmówił dalszych odpowiedzi.

Wracając do miasta Pollock zastanawiał się, czego właściwie oczekiwał po tej rozmowie. Chyba tego, co dostał. Rozważał, czy zapytać Carnegiego o człowieka nazwiskiem Baldy Perry, uznał jednak, że to może poczekać, aż przesłuchają Perry'ego. Coś z tego może wyniknąć. Albo nic.

Willoughby był głodny. Zawsze tutaj był głodny, w brzuchu wciąż mu burczało. Głód sprawiał, że praca przy kopaniu stawała się jeszcze trudniejsza, brakowało mu sił, żeby zamachnąć się kilofem, w nogach raz po raz łąpały go skurcze. Na wyspie było jedzenie, mnóstwo jedzenia wytwarzanego przez więźniów, choć

oni niewiele z tego mieli. Mai spojrział tęsknie na busz, zaczynający się na obrzeżach twierdzy. Człowiek zdołałby się tu wyżywić, w morzu pełno było ryb, jednakże z powodu rozmiarów wyspy strażnicy szybko wypłoszyliby każdego uciekiniera. Kiedy nie myślał o jedzeniu, Mai roił o ucieczce, o zbudowaniu tratwy i popłynięciu na stały ląd, ale ponieważ strażnicy nie spuszczaali z więźniów oka, były to li tylko dziecinne mrzonki.

Nie miał dalszych wiadomości od Pollocka, nie mógł więc od niego oczekiwać pomocy, choć na horyzoncie zabłyśło jednak światło. Po twierdzy rozeszła się wieść o pojmaniu McPhersona. Według strażników Szkot przyznał się do tak wielu przestępstw, że rozprawa nie będzie długa, a bandyta prosto z sądu popłynie na Świętą Helenę.

— Zostałeś sam, Willoughby — powiedział szyderczo strażnik. — Jimmy McPherson oczyszczony został z tych morderstw, więc lepiej ciesz się każdą chwilą tutaj. Ty z sądu pójdziesz na szubienicę.

McPherson. Mai rozpaczliwie pragnął z nim porozmawiać. To stuknięty drań, niewykluczone jednak, że mógłby pomóc. Teraz, gdy nie ciąży na nim zarzuty o morderstwo, pewnie ciekaw jest, gdzie ukryto złoto. Trzeba by tylko skierować go na Perry'ego. Może Szkot zdoła wydusić informacje z Perry'ego; w najgorszym wypadku, jako że czasu coraz mniej, mogliby połączyć siły i pięściami wydobyć z niego prawdę. Przebiegły McPherson miał wiele do zyskania, Mai zaś nie miał nic do stracenia. Uśmiechnął się ponuro, kiedy Perry z dumą oznajmił, że jego kamrat McPherson niedługo znajdzie się w twierdzy.

Jednakże parę dni później, gdy zgromadzili się na niedzielne nabożeństwo, Mai zauważył brak Baldy'ego.

— Gdzie jest Baldy? — zapytał strażnika.

— Zwolniony. Odsiedział swój wyrok. Wczoraj odpłynął.

Mai nie wierzył własnym uszom.

— Ach, cholerni głupcy!

Strażnik drgnął.

— Obrażasz mnie?

— Nie.

— W takim razie zamknij się i ruszaj.

Pałka spadła na plecy Mała.

Podczas nabożeństwa prowadzonego przez świeckiego kaznodzieję, na co dzień zarządcę mleczarni, Mai siedział z po-

chyloną głową, jak nakazywały więzienne reguły. Gdyby któryś z tych twardych mężczyzn uniósł głowę w domu Boga, popełniłby przestępstwo karane chłostą.

Mai słuchał głosu, lecz nie słów, próbując wykombinować, jak do diabła miałyby zbudować tratwę, starając się nie myśleć o Emilie w tej rzadkiej godzinie spokoju. Doszedł do wniosku, że do tego czasu pewnie już położyła na nim krzyżyk. Bo niby dlaczego miałyby tego nie zrobić? Wszystko przecież przemawiało przeciwko niemu.

Emilie o nim nie zapomniwała, po prostu przestała wspominać jego imię w rozmowach z Ruth. W poniedziałek rano planowała wizytę u drugiego prawnika, którego polecił jej komendant Kemp.

Ruth była w doskonałym nastroju, kiedy w sobotni poranek szykowały się do śniadania, zaproponowała nawet, że pożyczyci siostrze swój najlepszy słomkowy kapelusz, wyłożony zielonym materiałem, by lepiej chronił przed palącym słońcem.

— Czeką nas przyjemny dzień — powiedziała. — Po powrocie z Eagle Farm może weźmiemy cię na wycieczkę po parlamencie. Chcę, żebyś lepiej poznała to miasto ze wszystkim, co ma do zaoferowania. Nie należysz do tamtego okropnego miejsca...

— O, gong! — wykrzyknęła Emilie, zadowolona z pretekstu do przerwania tej rozmowy. — Widziałas moje rękawiczki?

— Są w górnej szufladzie.

Ktoś głośno walił w drzwi.

— A któż to może być? — zdziwiła się Ruth, urażona tym hałasem. Kiedy otworzyła, do środka jak burza wpadł Bowles.

Emilie, stojąc przy komodzie, spojrzała na niego zdumiona, za to Ruth była wstrząśnięta.

— Doprawdy, Danielu! To nasza sypialnia!

Zignorował ją, zwracając się wprost do Emilie:

— Kim ty jesteś? W jakim towarzystwie się obracasz?

— Nie powinienes tu być — mówiła Ruth. — Danielu, proszę, nie podnos glosu. Co ludzie sobie pomysla?

— Co pomysla? — pisnal biały jak kreda z wscieklosci.

— Oni juz mysla! Twoja siostra jest zhanbiona. — Rzucil w nia gazeta. — Widzialas to?

— Co? — Ruth podniosla gazeta i spojrzala na pierwsza strone, na ktorej naglowki informowaly o nowych odkryciach

złota na północy i planach zbudowania linii tramwajowej w Brisbane. — Nie rozumiem...

— Otwórz na trzeciej stronie — wydusił przez zaciśnięte zęby.

Ruth niezgrabnie próbowała rozłożyć gazetę. Daniel wyrwał jej dziennik z dłoni, rzucił na łóżko i cienkim palcem pokazał artykuł, o mało nie robiąc dziury w papierze.

— Co to jest? — zapytała Ruth, po czym głośno odczytała tytuł: — „Ukochana Sonny'ego przybywa do miasta”. Jakiego Sonny'ego, Danielu? Na litość boską...

— Wilłoughby'ego. Bandyty — warknął, z gniewem wpatrując się w Emilie, która zaszokowana cofnęła się pod okno. Modliła się. Wiedziała, że nie ma co liczyć na to, iż jej nazwisko nie pojawi się w gazecie, w duchu jednak łudziła się, że ją oszczędzą...

Ruth szybko przebiegła wzrokiem artykuł. Przeczytała go ponownie, kręcąc głową.

— „Niejaka panna Tissington, która twierdzi, że Sonny Wilłoughby jest niewinny... którą podobno Sonny odwiedził pod nosem policji.” — Odwróciła się do Emilie. — Coś ty narobiła? Ty głupia dziewczyno. Przrzekłaś mi, że zapomnisz o tej okropnej sprawie.

— Nic nie przrzekałam.

Teraz Daniel zaatakował Ruth.

— Wiedziałaś o tym? Wiedziałaś, z jakimi ludźmi ona się zadaje?

— Nie. To znaczy powiedziałaś jej, że nie chcę służyć o takich sprawach. Danielu, próbowałam ją powstrzymać.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Natychmiast kazałbym się jej pakować. Ten człowiek to przestępca. Morderca. A twoje nazwisko zostało z nim połączone. Twoje nazwisko! Mojej narzeczonej!

— Nie moje nazwisko...

— Och, rozumiem. Teraz muszę biec do wszystkich przyjaciół i Bóg wie kogo jeszcze z wyjaśnieniami, że to nie jest moja panna Tissington, tylko inna panna Tissington. Myślisz, że ludzie będą was rozróżniać? Nie będą, i dobrze o tym wiesz. Coś ty mi zrobiła? To twoja siostra. Jej nazwisko jest w gazecie! Nie myśl, że gdziekolwiek dzisiaj pojedziemy. Nie pozwolę, by widziano mnie w jej towarzystwie.



Kiedy wyszedł trzaskając drzwiami, Ruth zaczęła wygłaszać własne kazanie. Emilie mogła tylko kulić się pod gradem oskarżeń. Była tak samo wstrząśnięta jak oni. Jak pan Kemp mógł jej to zrobić? Wydawał się takim miłym człowiekiem i zaufała mu. A teraz jej nazwisko jest w gazecie. Damy z ich pochodzeniem nie widują swych nazwisk w gazetach, żadnych gazetach. Rana była głęboka. Ruth, której zabrakło słów, wybuchnęła płaczem. Emilie szlochała cicho w drugim kącie pokoju. Żadna nie zaproponowała, by iść na śniadanie. Nie miały pojęcia, co dalej robić. Obie zbyt były upokorzone, by pokazać się ludziom.

Po wielu godzinach Emilie nie potrafiła dłużej wytrzymać w pokoju. Spryskała twarz zimną wodą, by usunąć ślady po łzach.

— Nie możemy zostać tu do końca życia. Masz ochotę na spacer? Możemy pójść na herbatę i ciasto...

— Nigdzie z tobą nie pójde! — wybuchnęła Ruth. — Nie chcę, by widywano mnie w twoim towarzystwie. Im szybciej stąd wyjedziesz, tym lepiej.

— Bardzo mi przykro, Ruth, nie miałam pojęcia, że coś takiego się wydarzy. Nic nie zrobiłam, odwiedziłam tylko komendanta Kempa, bo nie zgodziłaś się, żebym zapytała pana Bowlesa o nazwisko prawnika.

— A, rozumiem. Więc teraz ja jestem winna.

— Nie. Pan Kemp mieszkał w tym pensjonacie razem z żoną. Jest policjantem, wysoko postawionym. To komendant policji...

— Poszłaś na policję? Najpierw przestępcy, teraz policja. I gazety. W życiu nie czułam takiego wstydu. Biedny Daniel. Dla mnie to straszne, ale dla Daniela, przy jego pozycji... O niczym nie wiedział, a teraz będą łączyć jego nazwisko z twoim. Pewnie jest zdruzgotany.

— Och, do diabła z Danielem. I tak nigdy mu nie ufałam.

— Pilnuj języka i nie waż się go krytykować! Nie masz prawa nikogo krytykować. Daniel to dobry człowiek, dokłada wszelkich starań, by nam pomóc...

— Niech mnie piekło pochłonie, jeśli to prawda — odpaliła Emilie. Nauczyła się wielu nowych wyrażeń od swoich przyjaciółek Kate i Nellie, a kilku także od swoich chlebodawców. — Jeśli chcesz wiedzieć, to uważam go za cholernego kanciarza. Szczwany lis, wykombinował sobie, że za twoje pieniądze zbuduje dom na mojej ziemi. Dom, który będzie nazywał swoim. A jaki jest jego wkład? Zerowy, o ile dobrze rozumiem.

Ruth zerwała się na nogi.

— Wynoś się! — krzyknęła piskliwie. — Wynoś się razem z tą pospolitą gadaniną. I nie wracaj, póki nie będziesz gotowa mnie przeprosić.

— Już cię przeprosiłam, Ruth. W żadnym razie nie chciałam cię zranić. Nie miałam pojęcia, że do tego dojdzie.

— Wynoś się!

Pani Mediów musiała na nią czyhać, bo kiedy tylko Emilie przekroczyła próg pokoju, natychmiast się na nią rzuciła.

— Mogłabym zamienić z panią słówko, panno Tissington?

Serce Emilie boleśnie się skurczyło. Pozwoliła, by gospodyni wprowadziła ją do salonu, nie potrafiła bowiem znaleźć żadnej wiarygodnej wymówki.

Nie było jednak tak źle. Pani Mediów z błyskiem w oku oświadczyła, że czytała gazetę.

— Przykro mi z tego powodu — zaczęła Emilie. — Nie miałam pojęcia, że kogokolwiek tak to zainteresuje. Nie wiem, dlaczego umieścili moje nazwisko w tym artykule.

— Ale wszyscy są pani ciekawi, moja droga. Zna pani Sonny'ego Willoughby'ego. To prawda? Rzeczywiście go pani zna?

Emilie parę razy zamrugała.

— Cóż... tak.

— Jakie to podniecające! Ja i moje przyjaciółki pękamy z ciekawości. Jest pani sławna. Niech mi pani powie, moja droga, jaki on naprawdę jest? Mam tu gdzieś fotografię, wycięłam z gazety. Przystojniak z niego. A teraz niech pani siada, proszę, i wszystko mi opowie. Nie mogę się już doczekać. W gazetach piszą, że jest bardzo rycerski.

Ku swojemu zaskoczeniu Emilie zalała się łzami.

Pani Mediów sprostała sytuacji. To były najbardziej zachwycające plotki, jakie w życiu słyszała, w dodatku bohaterka mieszkała pod jej dachem, chciała więc poznać najdrobniejszy szczegół. Wiedząc, że panny Tissington opuściły śniadanie, posłała do pokoju dziewczynę z herbatą i rogalikami, sama natomiast została z Emilie. Dowiedziała się, że może zwracać się do niej po imieniu, otarła jej łzy, trzymała za rękę i z triumfalną miną słuchała opowieści o młodzieńcu nazwiskiem Mai Willoughby,

łagodnym, dobrym i niewinnym. To była prawdziwa historia sławnego bandyty. Niewiarygodnie ekscytująca.

Wieści rozchodzą się lotem błyskawicy, nawet po ulicach prowincjonalnego, dzikiego miasta w rodzaju Maryborough, gdzie chaos rósł współmiernie do szybkiej rozbudowy rzeczno-portu, gdzie mieszały się różne narodowości, a wieśniacy zderzali się z twardymi żeglarzami i portowymi robotnikami. Noce przynosiły radość i chwilowe zawieszenie broni, aż do następnej bójki, co dostarczało Waltowi White'owi mnóstwo materiału do działu wiadomości miejskich oraz stanowiło pretekst, by dalej policji wytykać niekompetencję. Jednakże historia guwernantki była inna, dawała wytchnienie od przemocy, pozwalała trzeźwym okiem spojrzeć na sprawę Willoughby'ego, a co najważniejsze i najlepsze, dowodziła wyraźnie, że miejscowi gliniarze nie potrafiliby znaleźć szczura w klatce. Waltowi szalenie się to podobało. Nucił pod nosem, pisząc artykuł, później podskoczył, widząc go na pierwszej stronie swojej „Chronicie”, a nie upchany gdzieś w środku, jak zrobili w „Courierze”. Dzięki temu historia wróciła do jego czytelników, do Maryborough. Nie musiał wiele zmieniać w tekście przysłanym mu przez Fieldsa, tylko parę linijek tu i tam. Zdanie, w którym Jesse pisał, że Sonny odwiedził pannę Tissington, u Walta zawierało informację, że panna Tissington przyjęła u siebie bandytę. Uznał, że to znaczy to samo, ale brzmi lepiej.

— Na Jowisza — mruknął. — Guwernantka, co? Te ciche i spokojne zawsze potrafią człowieka zaskoczyć.

Pani Mooney przeczytała artykuł i pokręciła głową.

— Stek bzdur. Emilie jego ukochaną? Nie wierzę w ani jedno słowo. Przyjęła u siebie Willoughby'ego, kiedy ten uciekał przed policją? Wierutne brednie! Można by pomyśleć, że Walt znajdzie prawdziwe wiadomości, jak na przykład pożar w stajniach Barneya wczoraj w nocy, od którego zajęto się prawie pół ulicy.

Nikt z personelu nie odważyłby się zaprzeczyć pani Mooney, kiedy wszakże znalazła się poza zasięgiem ich głosu, zaczęli z zapałem plotkować. Pisali o tym w gazecie. To musiała być prawda.

Clive także przeczytał artykuł. I on też pokręcił głową.

— Dobry Boże, Emilie, w coś ty się wplątała? Z kim tam rozmawiałaś?

Zapałił papierosa i ponownie przebiegł wzrokiem po pierwszej stronie. Nie przejął się twierdzeniem, że była ukochaną Małą. To tylko gazetowa gadanina. I fragment o tym, że przyjęła go u siebie, także brzmiał fałszywie. Autor twierdził jednak, że przybyła do Brisbane, żeby pomóc Malowi. I to pasowało do Emilie, niemądrej dziewczyny. W jaki sposób zamierzała pomóc, tego nie napisano. Clive zastanawiał się, dlaczego starsza siostra pozwoliła jej rozmawiać z prasą. No ale jeśli jest tak naiwna jak Emilie...

Kancelista wstawił głowę w uchylone drzwi.

— Widziałeś gazetę, Clivie? Wygląda na to, że masz rywala. I to nie byle jakiego, tylko Sonny'ego Willoughby'ego.

— To przyjaciel nas obojga. I chcę te kwity widzieć na moim biurku za pięć minut!

Clive zaciągnął się i zapatrzył przez okno na żaglowiec, wpływający na szerokie wody zatoki. Żałował, że nie pojechał z Emilie do Brisbane. Gdyby nie stracił głowy z powodu Fleur, być może mógłby skłonić Emilie, by go zaprosiła, ale ona była urażona i zamknięta w sobie. Zastanawiał się, czy przed wyjazdem miała już jakieś szalone plany pomocy Malowi, a nie tylko chciała odwiedzić siostrę. Może zastanawiała się nad znalezieniem mu prawnego przedstawiciela, choć z drugiej strony Mai nie był w ciemną bitą i pewnie sam o tym pomyślał. Gdyby miał pieniądze... W takiej sprawie jak jego potrzebny byłby adwokat, a adwokaci liczą sobie słono. Clive słyszał, że biorą do dwóch funtów za dzień.

Tęsknił za Emilie. Wcześniej nawet nie podejrzewał, jak bardzo będzie mu jej brakowało. Minęło trochę czasu, nim odnalazł prawdziwą Emilie ukrytą za fasadą przyzwoitości i zasad. Kobietę ciepłą i serdeczną. I nazbyt lojalną dla własnego dobra.

Ktoregoś dnia będzie musiał ją zapytać, co właściwie czuje do Małą Willoughby'ego.

Mai, choć na odległość, pozostawał całkowicie pod jej urokiem, mimo że przecież prawie wcale się nie widywali. A może jednak? Clive był zdezorientowany. Czy naprawdę spotkali się gdzieś w Maryborough? Czy Mai przyszedł do jej domku?

Clive znał Emilie. Nawet gdyby tak było, to ona, wiedząc o policyjnym pościgu, nie pisnęłaby o tym nikomu.

— Nawet mnie — mruknął do siebie, nieszczęśliwy.

Ale to tylko domysły. Clive wolał nie zgadywać charakteru związku pomiędzy nimi; od Emilie zależeć będzie, czy szczerze wszystko mu opowie, ale cała ta sprawa tylko obudziła dawną zazdrość o Mała. O nich. I oboje wprawiali go w przygnębienie. Podobnie jak ta przeklęta gazeta. Szkoda, że Pollocka nie ma w mieście, od niego mógłby się dowiedzieć, co naprawdę się dzieje, bo na pewno nie z tej poprzekręcanej historyjki Walta.

W tym tygodniu jednak odbył satysfakcjonującą rozmowę z dyrektorem banku o kredycie na założenie sklepu z wysokiej jakości odzieżą; wyglądało na to, że już niedługo zostanie właścicielem firmy. W mieście budowano nowe sklepy na wynajem. Jeśli uda mu się otrzymać zgodę i umowy zostaną podpisane, mógłby osobiście pojechać do Brisbane po pierwszą partię towaru, a także, co było rzeczą najważniejszą, odszukać Emilie w pensjonacie i przekonać się, co planuje. Tylko że musiałyby pojechać w tym tygodniu, w przeciwnym wypadku ona zdąży już wrócić.

Może lepiej będzie, jeśli tu poczeka. Niewykluczone, że rozminęliby się w drodze.

— Cholera! — mruknął gasząc papierosa. — Dlaczego nie mogła najpierw ze mną pogadać? I do diabła z Malem i jego kłopotami.

Kate i Nellie pracowały gorączkowo, nie podnosząc głów, ponieważ chlebodawczyni wkroczyła na ścieżkę wojenną. Na lunchu przyjmowała swoje przyjaciółki, w tym jaśnie panią burmistrzową, jak ją nazywała, i wszystko musiało być bardziej niż doskonałe.

— Emilie mówiła, że to błąd — szepnęła Kate. — Powiada, że jest tylko panią burmistrzową, bo jej mąż nie ma tytułu szlacheckiego.

— Emilie się na tym zna — wyszczerzyła zęby Nellie.

W tej samej jednak chwili do kuchni wpadła pani Manning-tree, wymachując gazetą i krzycząc na Kate.

— Wiedziałaś o tym? Przysięgam, że jeśli wiedziałas, na koniec tego tygodnia stąd wylecisz. Prosto na bruk!

— Nie rozumiem, proszę pani.

— To! To! Ta nędznica, guwernantka. Zadawała się z kryminalistami pod moim nosem. W moim własnym domu! I to akurat dzisiaj!

ZATOKA ORCHIDEI

— Co się dzisiaj stało? — zapytała Kate nerwowo.

— Oto co się stało. — Pani Manningtree rzuciła gazetę na stół. — Popatrzcie. Na pierwszej stronie.

Kate wytarła ręce w fartuch i przebiegła wzrokiem tekst.

— O mój Boże!

— Wiedziałaś o tym? Mów prawdę!

— Nie, madame. Nie miałam o tym pojęcia.

Nellie zerkała kucharce przez ramię.

— Ja też nie.

Pani Manningtree kipiała ze złości.

— A to przeklęta mała hipokrytka! Zawsze mówiłam, że jest za dobra, żeby mogła być prawdziwa. Wymykała się, żeby za moimi plecami spotykać się z bandytą, tym zabójcą. Wszyscy mogliśmy zostać zamordowani we własnych łóżkach. Cóż, koniec z nią, tyle wam powiem. Nic dziwnego, że poszła mieszkać do tego domku. Idealne gniazdko na schadzki, a tutaj udzielała nauk moralnych moim dzieciom. Przypuszczalnie ten zbir cały czas z nią żył. Bóg wie, co powiem damom. Nastawiłaś już kaczkę?

— Tak, madame. Będą gotowe na czas.

— A sos pomarańczowy?

— Już przyszykowany.

— Lepiej, żeby tak było. Kaczki mają być porządnie pokrojone, tak żeby Nellie mogła od razu podawać. Przynajmniej menu będzie na poziomie. Ostrzegam was, nie życzę sobie, żeby nazwisko tej osoby kiedykolwiek wymieniano w moim domu. Wyczuwałam w niej coś dziwnego od samego początku. Ale czy mój mąż mnie słuchał? O nie. Słodka istotka, tak mówił. Teraz się dowie, jaką to słodką istotkę mieliśmy pod naszym dachem. Co za tupet! Przeklęta nędznica.

Pani wybiegła, a Kate zwróciła się do Nellie:

— O Boże! Ale się porobiło!

W niedzielę rano Bowles zapłacił czynsz i poinformował panią Mediów, że opuszcza Belleview.

Domyślając się powodu, nie miała zamiaru dłużej go u siebie gościć.

— W przypadku stałych lokatorów wymagam uprzedzenia na tydzień z góry — powiedziała. — Albo ekwiwalentu pieniężnego.

— Zapłacę pani za dwa dni.

Nie mogła za bardzo się sprzeciwiać, wzięła więc pieniądze.

— Czy poda mi pan adres, na jaki mam przekazywać korespondencję?

— Zgłoszę się po nią. Niech zniosą moje bagaże.

Pani Mediów zastanawiała się, czy jego narzeczona wie o wyprowadzce. Panna Ruth jest osobą nieprzystępną — to ta jej angielska natura, uznała wreszcie pani Mediów — ale to dobra kobieta, wspaniała lokatorka, zawsze płaci punktualnie co do minuty i nigdy nie stwarza najmniejszych kłopotów. A droga mała Emilie, taka słodka, taka niewinna, staje w obronie Sonny'ego Willoughby'ego. Wciąż jednak nie zdaje sobie sprawy, jakie zamieszanie tym wywołuje.

Właścicielka Belleview bynajmniej nie zamierzała płakać po Bowlesie z jego cuchnącymi skarpetkami i brudną pościelą, nawet jeśli zajmował jakieś ważne stanowisko. Lepszymi gośćmi, schludniejszymi, zawsze były przyzwoite kobiety, dżentelmeni pozbawieni opieki matek mogli budzić prawdziwy niesmak.

Panna Ruth martwiła się, to było oczywiste, Emilie zносиła jej posiłki do pokoju, tak więc pani Mediów miała na wszystko oko. Kiedy spotkała młodszą z siostr na schodach, przywołała ją do siebie.

— Słyszała pani, że pan Bowles się wyprowadził?

Emilie pokręciła głową.

— O nie!

Stąd pani Mediów wiedziała na pewno, że nie raczył nawet powiadomić o tym narzeczonej.

— Lepiej tu bez niego — oznajmiła przyjaciółce. — Nigdy go nie lubiłam. Oślizły gad.

Emilie łagodnie przekazała wiadomość siostrze, ta jednak nie była zaskoczona.

— Bardzo rozsądnie z jego strony. Nie potrzebuje, żeby wiązano go ze skandalem. Nie z jego pozycją. A twoja obecność tutaj, i to w moim pokoju, wprawiłaby go w wielkie zakłopotanie. Jak mógłby wyjaśnić, że jesteś tu ze mną? Zbyt wiele wymagasz od ludzi, Emilie, na tym polega twój problem.

Adwokat Robert Lanfield był postawnym mężczyzną z burzą białych włosów, gęstymi bokobrodami i bystrymi zielonymi oczami, które przewiercały Emilie na wskroś; siedziała na krześle jak przykuta. Głos prawnika był ostry, niemal szorstki, w rezultacie sama swoją sprawę przedstawiła szeptem.

— Proszę mówić głośniej, panienko. Jest pani krewną tego pana Willoughby'ego?

Zacisnęła dłonie na torebce. Były w niej wszystkie pieniądze, ukryte w głębokiej kieszeni, i Emilie nie spuściła jej z oka od wyjazdu z Maryborough.

— Nie, to przyjaciel.

— Ha, wygląda na to, że pani przyjaciel wpakował się w poważne tarapaty. Chce pani, żebym go reprezentował?

— Tak jest, sir. On jest niewinny.

Lanfield puścił ostatnią uwagę mimo uszu.

— Jeśli podejmę się tej sprawy, będę musiał wprowadzić w nią adwokata. Rozumie to pani?

Kiwnęła głową; nie obchodziło jej, co będzie robił, o ile tylko zgadzał się na obronę. O ile tylko uratuje Mała.

— I zakładam, że pani działa z polecenia pana Willoughby'ego?

— Nie, sir. On nie wie, że tu jestem. Myślałam, że pan mógłby do niego pojechać.

— Przebywa w więzieniu na Świętej Helenie. Jestem zajęтым człowiekiem. Wizyta na wyspie zajmie mi cały dzień.

Emilie nie wierzyła własnym uszom.

— Ale jak inaczej mógłby pan się z nim zobaczyć? Musi pan z nim porozmawiać, panie Lanfield. Zrozumie pan wtedy, że to niewinny człowiek, wobec którego popełniono rażącą niesprawiedliwość. On w ogóle nie powinien być w więzieniu.

Prawnik westchnął.

— Dobrze, dobrze. Ale nie mogę tam jechać, póki nie będę miał pewności, że ten człowiek zgadza się na moje usługi...

Nagle Emilie poczuła się lepiej, jakby wreszcie znalazła kogoś, kto razem z nią podźwiga to brzemień.

— Panie Lanfield, on się zgodzi, wiem, że tak. Jestem panu ogromnie wdzięczna. Nie potrafię wyrazić, jaka to dla mnie ulga. Tak się martwiłam.

— Poczekamy, zobaczymy. Napiszę do pana Willoughby'ego z pytaniem, czy przyjmuje moje usługi; list zaadresuję do biura naczelnika więzienia. Bez tego nic nie można zrobić. Dam pani znać, gdy będę wiedział.

— Dziękuję, panie Lanfield, choć zastanawiam się, jak długo może to potrwać, ponieważ na koniec tygodnia muszę wracać do Maryborough.



Prawnik usadowił się wygodnie.

— Popatrzmy. Mój kancelista sprawdzi, czy istnieje jakaś komunikacja z wyspą, co chyba jest mało prawdopodobne. Niewykluczone, że będzie mógł wysłać kuriera, aby osobiście doręczył mój list i tego samego dnia przywiózł odpowiedź. To zależy. Kancelista dołoży wszelkich starań. Tyle na razie mogę pani powiedzieć. Natychmiast też panią powiadomimy.

Pomimo szorstkich manier prawnik wstał i odprowadził ją do drzwi, na pożegnanie mówiąc uprzejmie:

— Życzę dobrego dnia, panno Tissington.

Emilie ponownie mu podziękowała i weszła do zewnętrznego biura, gdzie siedział kancelista, po uszy zagrzebany w dokumentach. Zawahała się, nie była bowiem pewna, czy nie powinna zaproponować mu zapłaty, on jednak uniósł głowę i skłonił się, po czym wrócił do swoich spraw. Emilie wyszła cichutko, zadowolona, że może uciec z tych ponurych pomieszczeń. Wizyta u Lanfielda kosztowała ją wiele nerwów, teraz kamień spadł jej z serca.

Nie mając nic innego do roboty, powędrowała do pensjonatu, gdzie na werandzie czaił się obcy dżentelmen.

Nim zdążyła pomyśleć, zawołał do niej:

— Proszę tu spojrzeć, panno Tissington!

Przeżona stwierdziła, że patrzy w obiektyw aparatu. Rozległ się trzask, sapnięcie i mężczyzna podniósł głowę.

— Dziękuję, panienko.

— Co pan robi? — zawołała. — Co to jest?

Wziął aparat i statyw.

— Nie przejmuj się, kochana, jesteś śliczna jak obrazek — powiedział i zbiegł koło niej po schodach. Po chwili był już na ulicy.

Uświadamiając sobie, co zaszło, Emilie ukryła się w pokoju.

— Dobry Boże. Przecież nie zamieszczą mojego zdjęcia w gazecie? To takie głupie i bezsensowne.

Nieszczęśliwa siedziała na skraju łóżka, martwiąc się reakcją Ruth. Przeżona awanturą, jaką takie zdjęcie wywoła. Miała nadzieję, że Ruth nie spotkają żadne trudności w college'u. Siostra co prawda sądziła inaczej. Emilie martwiła się też jej uwagą, że zbyt wiele wymaga od ludzi. Przecież to nieprawda! Zależało jej tylko na załatwieniu prawnej pomocy dla Mała. Nie planowała, że stanie się to sensacją dnia.

Później tego dnia otrzymała dotkliwszy cios.

Pani Manningtree zrezygnowała z jej usług z powodu „niewłaściwego zachowania”. Ton telegramu był ostry i zimny.

— Złe wieści? — zapytała pani Mediów, która przyniosła jej depeszę.

— Nie. — Emilie zmusiła się do uśmiechu. — To tylko prośba od przyjaciela.

— Widziała się pani z prawnikiem?

— Tak. Przekazałam tę sprawę, to wielka dla mnie ulga.

— To dobrze, moja droga.

Emilie uciekła. Poszła do następnej przecznicy, próbując otrząsnąć się z szoku, jakim było wyrzucenie z pracy. Przynajmniej miała bilet powrotny do Maryborough, tam nie będzie musiała płacić czynszu za domek. Ale co potem? Wzruszyła ramionami. Dość już tych trosk! uznała. Poszuka sobie innej pracy.

Tylko jakiej? Tego nie wiedziała.

Kiedy wróciła Ruth, słowem nie wspomniała jej o depeszy.

— W college'u wszystko w porządku?

— Pytasz, czy twoje zachowanie sprawiło mi kłopoty? Zapytano mnie, czy jestem panną Tissington, o której piszą gazety, na co mogłam odpowiedzieć: „W żadnym razie”. Nic więcej nie mówiono. Mam nadzieję, że na tym rzecz się skończy. Chciałabym jednak wiedzieć, jak długo tu zostaniesz.

— Do przyszłej niedzieli. — Taki był jej pierwotny plan, więc równie dobrze może się go trzymać, o ile tylko Lanfield zgodzi się bronić Mała. Kiedy wyjaśniła mu, o co oskarżono Mała, zapytała, czy istnieje możliwość odwiedzenia go w więzieniu, prawnik jednak odparł zdecydowanie:

— Wykluczone. Więźniowie nie mają prawa do wizyt. A poza tym to nie jest miejsce dla młodych dam.

— Hej, Willoughby, szef cię wzywa. Ruszaj się.

Mai wygramolił się z wapiennego dołu i wytarł dłonie w szorstką bawełnianą koszulę.

— Po co?

— Może chce cię zaprosić na kolację. Skąd do diabła mam wiedzieć?

Ze strażnikiem depczącym mu po piętach minął baraki i skierował się ku budynkowi administracji. Nienawidził, kiedy go tak

pilnowano. Tutaj człowiek nigdy nie był sam, chyba że zasłużył na drugie przeciwieństwo, karcer. Mai tęsknił za samotnością buszu, za jego świeżym czystym zapachem. Kiedy przechodzili obok pompy wodnej, pomyślał naraz, że to wezwanie wcale nie musi oznaczać kłopotów; niewykluczone, że znowu przyjechał Pollock.

— Mogę się najpierw umyć? — zapytał ogarnięty nagłym wstydem; wiedział, że okropnie cuchnie, ale strażnik popchnął go każąc iść dalej. Naczelnik nie może czekać.

Croft siedział przed budynkiem, pływając się w słonecznych promieniach. Na stoliku leżały rozrzucone gazety, nigdzie jednak nie było śladu gościa.

Podniósł głowę.

— A, Willoughby. Pan Robert Lanfield proponuje ci swoje usługi jako prawny przedstawiciel. Pyta, czy się zgadzasz.

— Jak to?

— Odpowiedz na pytanie — powiedział Croft przeciągając samogłoski.

— Tak, przypuszczam, że tak, sir. Ale kim on jest?

— Pan Lanfield to dżentelmen o świetnej reputacji. Dobrze go znam, prawdę mówiąc. Masz szczęście, że się tobą zainteresował, więc na twoim miejscu bym nie przypuszczała, tylko gorąco podziękował.

— Tak, sir, rozumiem, ale zastanawiam się, jak do tego doszło.

Croft ze śmiechem pokazał mu gazetę z Brisbane. Pochylił się nad fotografią.

— Znasz tę dziewczynę?

Mai otworzył szeroko oczy. Przecież to Emilie!

— Co to jest?

Jednakże podpis nie pozostawiał wątpliwości. „Ukochana Sonny'ego Willoughby'ego”. Zarumienił się, zakłopotany w jej imieniu. Na zdjęciu wydawała się przestraszona.

— No więc jak?

— Tak, sir. To moja przyjaciółka.

— Guwernantka, tak tu piszą.

— Tak, sir.

— Więc wszystko wiesz. Twoja guwernantka **zatrudniła pana** Lanfielda w twoim imieniu. Możesz odejść.

— Przepraszam, sir, ale co teraz się stanie?

— Będziesz czekał na pana Lanfielda. Inni więźniowie mają sprawy sądowe w toku, choć tylko niewielu stać na taki luksus jak usługi adwokata. Zostaniesz powiadomiony o jego przyjeździe, umyjesz się wtedy i ogolą ci włosy. Odmaszerować.

Mai zawahał się.

— Czy mógłbym dostać to zdjęcie?

— Powiedziałem: odmaszerować.

Strażnik szarpnął go ku sobie, ale Mai, działając pod wpływem impulsu, wyrwał się. Emilie! Próbuje mu pomóc. Więc jednak o nim nie zapomniała. Ale temu prawnikowi trzeba będzie zapłacić — skąd wezmą się na to pieniądze? I co on może zrobić oprócz tego, że będzie dużo gadał? Mai miał skąpą wiedzę o prawnikach i nie ufał im.

Tej nocy wszakże powróciła do niego nadzieja. Jeśli ów Lanfield okaże się dobrym mówcą, może będzie potrafił wydobyć go z więzienia. Mai przysiągł sobie, że w takim wypadku podejmie się każdej pracy, by opłacić prawnika co do ostatniego pensa, niezależnie od tego, ile wyniesie rachunek. Z drugiej strony, jeśli Lanfield poniesie klęskę, obaj będą przegrani. Nie można spodziewać się pieniędzy od nieboszczyka.

Emilie. Postąpiła bardzo odważnie, podejmując działanie, próbując pomóc. Mai wiedział, jaka jest nieśmiała i jaki to musiał być dla niej wysiłek, i głęboko go to wzruszyło. Nikogo w całym wielkim świecie nie obchodził jego los, nawet siostra nie kiwnęła palcem poza napisaniem ostrożnego listu, kiedy go aresztowano. Życzyła mu szczęścia. Rzeczywiście, strasznie się wysiliła.

Mai nie powiedział nikomu, dlaczego wezwał go naczelnik; nie chciał w tym miejscu wspominać o Emilie. To zbrukałoby jej imię. I tak rozpoczęło się kolejne wyczekiwanie.

Baldy Perry był wściekły. Myślał, że zostanie zwolniony, tymczasem znowu siedział w zimnej celi pod policyjnymi koszarami i nie miał do kogo gęby otworzyć.

Powiedzieli mu, że popełniono jakiś błąd, więc resztę wyroku odsiedzi tutaj, ale on tego nie kupował. Nie da się ukryć, było to lepsze niż harówka na wyspie, lepiej go też karmiono, ale człowiek musi być podejrzliwy, skoro przywieziono go tu w kapturze zakrywającej twarz, a z łodzi od razu wsadzono do zamkniętego powozu. Coś się dzieje i Baldy zgadywał, co to jest. Ale jak go namierzyli? Carnegie? Szedł o zakład, że to Carnegie,

który w ten sposób odpłaca się za niedostarczenie złota, ale przecież nie mógł zbyt wiele powiedzieć, nie oskarżając przy tym siebie. Baldy wykombinował, że musi tylko odsiedzieć do końca wyrok, a potem weźmie złoto. Będzie je całe miał dla siebie. Zostanie bogatym człowiekiem i wszystkie te błazny na wyspie inaczej się będą wtedy śmiały.

Przesłuchania zaczęły się nazajutrz. Prowadzili je Pollock z Maryborough — co dla Baldy'ego stanowiło ostrzeżenie, że musi uważać na słowa — oraz kilku gliniarzy z Brisbane.

Aby zbić ich z tropu, zrzędził i narzekał na wszystko, co tylko przyszło mu do głowy. Na koniec oznajmił, że odsiedział wyrok i powinni go zwolnić.

— Dokąd pójdziesz po zwolnieniu? — pytali.

— Gdzie pójdę? — warknął Baldy. — Szukać roboty na nabrzeżach, żebym miał na parę kieliszków.

Ciągle wracali do Maryborough. Gdzie przebywał w dniu napadu? Pytanie było nieuniknione i Baldy dobrze się przygotował.

— Nie wiem. Pracowałem. Co to był za dzień?

— Niedziela.

— Przekłeta niedziela. Skąd mam wiedzieć? W robocie na pewno nie byłem. Pewnie spałem po pijatyce. A jak wstałem, poszedłem do pubu.

Cieszył się, że to była niedziela. Inaczej mogliby mu udowodnić, że w roboczy dzień nie stawił się do pracy. Wystarczy, że sięgnęliby po stare listy obecności.

— Lubisz łowić ryby?

— Ja? Skąd! Cholerna strata czasu, wolę pić.

— Miałeś kiedyś łódkę?

— A co niby miałbym z nią robić?

— Pływać po rzece.

Przerażające wspomnienie wróciło w porę.

— Na tej przekłetej rzece? Z tymi wszystkimi krokodylami? Dajcie spokój.

— Znasz pana Carnegiego?

— Tego, co go postrzelili? Nie. Czytałem o nim, ale...

— Byłeś na polach złotonośnych w Gypmie?

— Taa. Reszta świata też tam była. Nic z tego nie wyszło. Wróciłem do Maryborough, żeby znaleźć robotę, za którą będą mi płacić.

- Znasz Mała Willoughby'ego?
  - Tak. Spotkałem go w więzieniu. **Będzie wisiał za ten napad.**
  - Znałeś go wcześniej?
  - Tak, jak teraz o tym myślę. Spotkałem go z McPhersonem tutaj, w Brisbane.
  - On był z McPhersonem?
  - Nie, ja. Jimmy jest moim kamratem. Willoughby kłócił się z McPhersonem o konia. Powiedział, że nazywa się Ned Turner.
  - Dlaczego tak mówił?
  - Po mojemu to urodzony łgarz. Podejrzany osobnik, ten cały Willoughby. Winny, to pewne jak drut, gdybyście mnie pytali.
- Przesłuchanie nabierało tempa i w końcu zniecierpliwieni policjanci pobili Perry'ego bezlitośnie, w zamian dostając tylko przekleństwa.

Dwa dni później Pollock wraz z dwoma oficerami policji z Brisbane wziął udział w naradzie z Kempem. Inspektor Greaves stał na stanowisku, że Perry'ego należy odesłać na wyspę, by tam odsiedział ostatnie tygodnie.

— To zbir, bez dwóch zdań. Odsiaduje trzeci wyrok za brutalne pobicie, ale z zarzutu, że dokonał tego napadu, trzeba go oczyścić. Nic z niego nie wydobyliśmy. Nie można go oskarżyć tylko dlatego, że w tym czasie był w mieście, bo w okolicy przebywało wtedy kilkunastu znanych bandytów. Nie trafiliśmy jeszcze na właściwego, i tyle.

— Trafiliśmy — sprzeciwił się Pollock. — Jestem o tym przekonany. Odpowiadał na każde pytanie, to prawda, ale bardziej interesuje mnie to, czego nie powiedział.

— Na przykład?

— To maruda. Skarżył się na wszystko, ale ani razu na to, że go przesłuchujemy. Nawet słówkiem nie pisał, bo jak mnie zobaczył, od razu się zorientował, w czym rzecz. Wiedział, o co nam chodzi, więc odpowiadał, biadolił, w końcu dostał kilka razy. Kiedy wspomnieliśmy o napadzie, jego odpowiedzi były za bardzo dopracowane, za sprytne.

— Nie możemy oskarżyć człowieka na podstawie tego, czego nie powiedział — wtrącił Greaves.

— Ale to tam było, nie widzisz? Było tam. Perry miał wolny dzień w niedzielę. Mógł kupić łódź i zatopić ją po napadzie. Mógł

na drugim brzegu rzeki zostawić konia, żeby zapewnić sobie powrót do miasta. Wciąż powiadam, że to jest w całej jego postawie, w tym, że nie sprzeciwił się podejrzeniom...

Kemp westchnął odwracając dokument.

— Zaczynasz mówić jak Willoughby.

Sierżant pokiwał głową.

— Faktycznie, jak się tak na tym zastanowić. Ale Willoughby wyczuł pismo nosem i ja też. Im więcej myślę o Willoughbym, tym silniej jestem przekonany, że go ktoś wrobił.

— Teraz próbujesz nam wmówić, że Willoughby to prosty parobek. Tego gościa znają na każdym jarmarku w połowie kraju; to oszust...

— I powiadają, że świetnie strzela — dodał drugi oficer.

— To nieprawda — zaprzeczył Pollock ze znużeniem.

— Wypytałem ludzi, co jeżdżą na jarmarki. Wyśmiali mnie. Powiedzieli, że Sonny nie trafiał do celu z odległości dwóch stóp. To sztuczka, mająca na celu zwabienie klientów. Dawali mu nagrodę, którą potem im zwracał, ale równocześnie zachęcał innych do spróbowania. Ale słuchajcie... Baldy dobrze strzela. To zostało udowodnione.

— Nie mam na to czasu — wtrącił Kemp. — Trzymajcie Perry'ego w celi. Nie dawajcie mu spokoju. Zmieńcie melodię. Powiedzcie mu, że go macie i zostanie oskarżony. To na pewno nie zaszkodzi.

— A co z Carnegiem? — zapytał Pollock. — Może bym pojechał do niego z wiadomością, że aresztowaliśmy Perry'ego?

— A on powie: „I co z tego?” — odpalił Kemp. — Zostawmy go na razie w spokoju.

— Jeszcze jedno — rzekł Pollock. — Czy mógłby pan poprosić prokuratora, żeby poczekali ze sprawą Willoughby'ego, dopóki nie rozgryziemy Perry'ego? Słusznie czy nie, sam nie mógł tego zrobić. Nawet Carnegie zwraca na to uwagę...

Kemp kiwnął głową.

— W porządku. I tak mają sporo do roboty, a Willoughby nigdzie się nie wybiera. Ale nie wystawiaj ich cierpliwości na próbę, sierżancie.

Nowe podejście też nie odniosło skutku. Perry wciąż znacząco się uśmiechał.

— Nic na mnie nie macie, bobyście mnie oskarżyli już dawno. Mogę wam podać nazwiska tuzina bandytów, którzy byli wtedy w okolicach Maryborough, ale wy musicie czepiać się mnie. Nie miałem z tym nic wspólnego, więc wsadźcie sobie te pytania w tyłek. Mam prawo do spacerów po dziedzińcu, nie możecie mnie tu trzymać. Chcę się widzieć z waszym szefem.

Emilie przeżywała najgorsze dni w życiu. Jej zdjęcie ukazało się w gazecie, co Ruth tak wstrząsnęło, że przez całą noc siostra musiała ją uspokajać. Niektórzy lokatorzy pensjonatu patrzyli na Emilie ze wzgardą, inni usiłowali zawrzeć z nią znajomość. Przy całej tej niepożądaney uwadze otoczenia i ciągłych naganach z ust Ruth szybko traciła pewność siebie i nie miała pojęcia, co dalej robić. Napisała do pani Manningtree, wyrażając żal, że jej postępowanie przyczyniło rodzinie kłopotów, a równocześnie podkreślając z wielką stanowczością, że nie zrobiła nic złego.

Napisała też do Clive'a; list był chaotyczny, nie nadawał się do wysłania, podarła go więc i w zamian zwięźle poinformowała o odłożeniu na jakiś czas powrotu do domu. Nagle ze wstrząsem sobie uświadomiła, że w Maryborough wszyscy będą wiedzieć o jej zwolnieniu, i na tę myśl poczerwieniła. W miejscowej gazecie też na pewno ukazały się o niej wzmianki! Upokorzenie za upokorzeniem.

Pokręciła głową; nie potrafiła na razie stawić czoła ludziom. Nawet Clive'owi, który by zrozumiał. Ale czy na pewno? A jeśli on również przeczytał, że jest ukochaną Małą? Czy za wiele od niego wymaga? Chciała napisać do Mała, powiedzieć mu, że robi, co w jej mocy, ale nie znała adresu, a nie odważyła się nikogo zapytać. Wzdrygała się na myśl o zaadresowaniu koperty do więzienia na Świętej Helenie, była bowiem przekonana, że ktoś z dyrekcji na pewno przeczytałby list, a może nawet przekazał jego treść do prasy. Ze zmartwienia była kompletnie roztrzęsiona, aż wreszcie kancelista Lanfielda przyniósł wiadomość, że pan Willoughby przyjął usługi prawnika, który odwiedzi oskarżonego przy najbliższej sposobności.

To pomogło. Emilie poszła do biura okrętowego i oddała bilet powrotny. Wracając, na Charlotte Street minęła inny pensjonat. Wydał jej się przyjemny, bez dalszych rozterek weszła więc do środka i wynajęła pokój. Sytuacja z Ruth stała się nie do zniesienia. Nie potrafiły zamienić zdania, żeby się nie kłócić.



PATRICIA SHAW

Pani Mediów żegnała Emilie ze smutkiem, którego Ruth wcale nie podzielała. Prawdę mówiąc, poczuła wielką ulgę.

— Nie mam pojęcia, co ty sobie myślisz, nie wracając do Maryborough, ale wygląda na to, że zajęta jesteś swoimi sprawami, wolę nie wiedzieć jakimi. Mam nadzieję, że twoi chlebodawcy wyrazili zgodę na te przedłużone wakacje.

— Doprawdy? Ostatnio mówiłaś, że chcesz, bym stamtąd wyjechała i znalazła posadę w Brisbane.

— Nie próbuj takich sztuczek ze mną, Emilie. Doskonale wiesz, a przynajmniej powinnaś wiedzieć, jeśli został ci choć gram rozsądku, że żaden szanujący się pracodawca w tym mieście nawet nie spojrzy na twoje podanie. A ja nie mogę cię utrzymać.

Emilie wiedziała, że siostra ma rację, w dodatku nie zostanie referencji od pani Manningtree, ale była już zmęczona tym ciągłym obwinianiem się o wszystko.

— A, przypomniałaś mi, Ruth. Czy pan Bowles dał ci już akt własności mojej ziemi? Chciałabym go mieć.

Ruth zjeżyła się.

— Nie widziałam się z nim.

— A co z pieniędzmi za twoją działkę? Tydzień temu podpisałaś umowę.

— To moja sprawa. Pan Bowles da mi je w stosownym czasie.

— Oczywiście. Ale kiedy się z nim zobaczysz, powiedz mu, proszę, że chciałabym przed wyjazdem dostać ten akt. — Skończyła się pakować. — Nie chcę być z tobą w złych stosunkach, Ruth. Przenoszę się o przecznicę dalej. Przyjdę do ciebie wieczorem, po kolacji. Wszystko się ułoży, zobaczysz.

— Mam nadzieję — odparła Ruth, ale nie odprowadziła siostry do drzwi.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Robert Lanfield odwiedzał już na wyspie klientów, poza tym był członkiem Stanowej Rady Więziennictwa. Uważał za wielką szkodę, że na tak ślicznej wysepce zbudowano wstrętne więzienie, ale ludzie popełniali przestępstwa i okrutnych zbrodniarzy trzeba było zamykać w dobrze chronionym miejscu.

Kancelista przekazał mu dość informacji o sprawie Willoughby'ego i postawionych mu zarzutach, był więc przygotowany, by wysłuchać więźnia z otwartym umysłem. W zależności od nastawienia Willoughby'ego będzie mógł jeszcze zrezygnować ze sprawy, choć była ważna. Trzy morderstwa i kradzież złota odbiły się echem w całym kraju, a Lanfield znał królewskiego radcę, który chciał wziąć udział w rozprawie.

Policja miała słabe dowody przeciwko Willoughby'emu, brakowało współnika, tak więc z wielką przyjemnością zobaczyłby sprawę na wokandzie najszybciej jak to możliwe, aczkolwiek słyszał, że prokuratura ma inne zdanie. Uśmiechnął się pod wąsem. Nie obwinał ich, ale to była premia dla niego. I dla więźnia, oczywiście.

Naczelnik Croft poczęstował go śniadaniem i zaproponował zwiedzanie więzienia, na co Lanfield uprzejmie odpowiedział, że tym razem przybył tu jako prawnik i dlatego nie może przyjąć propozycji. Zapytał o więźnia i z zainteresowaniem dowiedział się, że to zuchwalec, nie okazujący najmniejszej skruchy z powodu swoich występków, choć obecnie nie sprawia żadnych kłopotów.

— Zresztą skutecznie o to dbamy — chełpił się Croft, a Lanfield pokiwał głową, jakby na zgodę. Już osadzony i skaza-

ny, pomyślał. Na razie Willoughby był w areszcie tymczasowym i nawet nie powinien tutaj się znajdować, skoro jednak zdołał uciec, zmuszając policję do ciągnącego się miesiącami pościgu, istnej zabawy w kotka i myszkę, to mało prawdopodobne, by Lanfieldowi udało się go na powrót przenieść do więzienia w Brisbane. Ale warto spróbować. Ułatwiłoby mi to życie, uznał prawnik.

Więzień nie zrobił na nim wielkiego wrażenia, chociaż pomimo ogolonej głowy był przystojnym młodzieńcem o czystej opalanej cerze i uczciwych niebieskich oczach. Nie zdołały jednak rozbroić Roberta Lanfielda. W ciągu trzydziestu lat praktyki prawniczej spotkał aż nazbyt wielu kryminalistów, którzy swój wygląd traktowali jako atut i których uśmiechy roztopiłyby masło. Nie oszukały go też doskonałe maniere Willoughby'ego. To również mogły być pozory. Chciał się przekonać, jaki człowiek kryje się pod tym wesołym uśmiechem.

Z drugiej zaś strony wygląd liczył się w oczach ławy przysięgłych. Lanfield zapisał w pamięci, że musi poprosić Crofta, by pozwolił Willoughby'emu zapuścić włosy.

Zwykle więźniowie przebywający w areszcie tymczasowym prosili o zdjęcie kajdan, Willoughby jednak albo o tym nie wiedział, albo mu nie zależało. Kiedy Lanfield przedstawił się i pozwolił klientowi usiąść, ten natychmiast zapytał o pannę Tissington. Jak się miewa i w jaki sposób trafiła do Lanfielda.

Prawniki krótko mu to wyjaśnił, co wszakże Willoughby'ego nie usatysfakcjonowało.

— Jeśli pan pozwoli, sir, chciałbym zapytać o pieniądze. Chyba nie oczekuje pan od niej, że będzie płaciła?

Lanfield westchnął.

— Według tego, co mówi mój kancelista, dama kilka dni temu sama zgodziła się pokryć wszystkie wydatki.

— Ale to nie w porządku. Jej na to nie stać.

— W takim razie pan sam musi to zrobić.

— Tylko że nie mam pieniędzy. Czy mogę zaciągnąć u pana dług?

— Panie Willoughby, będzie miał pan dług u tej damy. Czy możemy przejść do rzeczy? Muszę jak najwięcej się o panu dowiedzieć, a w szczególności poznać każdy detal pańskiego udziału w tym napadzie.

— Nie brałem w nim udziału. Nie było mnie tam.

Prawnik kiwnął głową. Dobry początek. Zwykle specjalnie mówił o „braniu udziału”, chciał bowiem zobaczyć, jaką wywoła to reakcję. Nauczył się odczytywać myśli towarzyszące wypowiedyanym słowom.

— Czy to się panu podoba, czy nie, panie Willoughby, jest pan zaplątany w tę sprawę, a moim obowiązkiem jest pana wypłatać. Gdzie się pan urodził?

— A jakie to ma znaczenie?

— Dla mnie ma.

Powiadano, że Lanfield to twardy, niewrażliwy człowiek, gdyby jednak taki zarzut postawiono mu w oczy, sprzeciwiłby się mówiąc, że po prostu nie jest sentymentalny. Uważał sentymentalizm za cechę kobiecą, rzecz, dla której nie ma miejsca w prawie, chyba że trzeba ją wykorzystać jako ostatnią deskę ratunku, by zaapelować do ławy przysięgłych. Tak więc obojętnie słuchał o dzieciństwie swojego klienta, które jego zdaniem wcale nie było gorsze niż dzieciństwo wielu innych dzieci zbiedniałych rodziców. Jednakże Willoughby także wydawał się nieporuszony. Byłoby interesująco trochę nim wstrząsnąć.

— Nie lubił pan ojca?

— Lubiłem.

— Ale był pijakiem! To nie w porządku wobec dziecka.

— Pod jakim względem?

Oczy Lanfielda zabłysnęły. Najwyraźniej ten człowiek nie znał innej sytuacji. Zmienił temat.

— Mówi się, że był pan złodziejem.

— Skoro pan tak to ujmuje. Ale ja nie widziałem w tym nic złego, zabierałem drobne rzeczy jak zegarek, portfel i takie tam, kiedy szczęście mi nie dopisywało.

— I oczekuje pan, że to pochwalę?

— Dlaczego miałyby pan to robić? Jak się nad tym zastanowić, mnie też wiele razy okradziono.

— Bo obracał się pan w złym towarzystwie.

— Przypuszczalnie.

— Dawno już dowiedziono, że drobne przestępstwa prowadzą do gorszych zbrodni.

— Taa.

— Cóż, można powiedzieć, że w pana przypadku to okazało się prawdą.

— Nie. Nigdy nie miałem do tego serca.

Przeszli do pól złotoonośnych w Gympie. Ku swemu zaskoczeniu Lanfield dowiedział się, że oskarżony i jego wspólnik zarobili tam po czterysta funtów każdy.

— Byłem bogaty — mówił Willoughby. — To było więcej pieniędzy, niż miałem w całym moim życiu. Dlaczego miałbym kogoś okradać? I dlatego przyjąłem tę robotę. Obrabowano mnie na szlaku na północy. Uznałem, że te drogi nie są bezpieczne dla samotnego człowieka z fortuną w kieszeni. Wydało mi się dobrym wyjściem, że pojedę do Maryborough z konwojem złota. I jeszcze mi zapłaca.

— Nazajutrz został pan aresztowany. Co pan zrobił z pieniędzmi?

Po raz pierwszy w chłodnych niebieskich oczach pojawił się błysk niepokoju. Ta nagła zmiana nie uszła uwagi przesłuchującego.

— Schowałem. Dlaczego dawać je policji? Gdyby mnie złapali, wsadziliby je do kieszeni.

Kłamał, lecz Lanfield tej sprawy nie drażył.

— Niech mi pan opowie o Allynie Carnegiem.

W rzeczywistości Lanfield znał Carnegiego na gruncie towarzyskim i nie cenił go zbyt wysoko, ale jego opinia nie miała tu najmniejszego znaczenia. Pochylił się nad notatkami, podczas gdy Willoughby obszernie odpowiadał.

— Więc mówi pan, że Carnegie podstępnie wpłatał pana w tę sytuację, a potem zidentyfikował jako jednego z bandytów, by ukryć własny udział w zbrodni?

— Tak mi się wydaje.

— To dość nieprawdopodobne. Carnegie był komisarzem do spraw złota, człowiekiem z dobrą reputacją. Cała rzecz sprowadza się do pańskiego słowa przeciwko jego słowu.

— A ja jestem nikiem?

— Właśnie. Musi się pan lepiej postarać, panie Willoughby. Jaki był pański układ z panną Tissington?

— Układ?

— Odwiedził ją pan po tamtej ucieczce.

— Nie odwiedziłem jej, czekałem przy bramie. Dlaczego musiała w ogóle o tym mówić? Powinna trzymać się z daleka od tego wszystkiego.

— Ponieważ martwi się o pana.

— Ale czemu rozmawiała z prasą?

— Nie rozmawiała. Poszła tylko do swojego znajomego, komendanta Kempa, by prosić o pomoc w wyborze godnego zaufania prawnika. To doprowadziło ją do mnie. Najwyraźniej ktoś z posterunku policji podał tę informację prasie.

— Czy jest całą tą sprawą zdenerwowana?

— Tak sądzę. Ale muszę wiedzieć, jaki miał pan z nią układ.

— Jaki znowu układ, do cholery?

— Ujmijmy to tak. Oskarżają pana o rabunek złota. Ucieka pan policji. Podejmuje pan poważne ryzyko, odwiedzając przyjaciółkę w Maryborough, choć policja depta panu po piętach. Ktoś mógłby zapytać, czy nie dał pan jej złota. Na przechowanie.

Willoughby wybuchnął. Krzesło z hukiem poleciało do tyłu, kiedy skoczył na równe nogi i skutymi dłońmi walnął w stół.

— Niech pan tak nie mówi! Niech pan nawet tak nie myśli! Ona jest warta dziesięciu takich jak ty i ja, ty draniu! Do głowy by jej nic podobnego nie przyszło...

Słyszając hałas dwaj strażnicy niezgrabnie wpadli przez drzwi, rzucając się na Willoughby'ego, ale prawnik ich powstrzymał.

— Wszystko w porządku. Zostawcie go. Możecie odejść.

Kiedy w izbie znowu zapanowała cisza, a Willoughby stał spokojnie przy zakratowanym oknie, Lanfield przemówił:

— To było tylko przypuszczenie, panie Willoughby. W rodzaju tych, które wysuwać może prokurator, więc lepiej niech będzie pan przygotowany.

— Nie, nigdy na to nie pozwolę. Odwiedziłem ją, żeby przeprosić i powiedzieć, że mam kłopoty i nie mogę się z nią spotkać. Jezu Chryste! Co ja jej zrobiłem? Zapomnijmy o wszystkim, uznajcie mnie za winnego.

— To by sprawę tylko pogorszyło. Złota wciąż nie odnaleziono. Teraz niech pan usiądzie.

Reakcja Willoughby'ego stanowiła przełom. Przedtem nazbyt był radosny, odpowiadał na pytania w tej chłopięcej manierze, która tak dobrze mu dotąd służyła, zaskarbiając sympatię innych. To nie była fasada, lecz sposób na przetrwanie, który przyswoił sobie przez lata obcowania z pijanym ojcem, bez domu i absolutnie żadnych środków utrzymania. Nie był to jednak sposób zbyt dobry. Oskarżeniu równie łatwo uda się zedrzeć pozory niewinności i odsłonić niepewnego, a może i gwałtownego człowieka.

— Stosuje pan przemoc? — zapytał prawnik.

- Nie.
- Nigdy nie musiał się pan bronić w jakiejś niebezpiecznej sytuacji?
- Czasami.
- Jak? Miał pan broń?
- Nie. Nigdy nie noszę broni.
- Gołymi pięściami?
- Nie. Biczem pasterskim.
- Rozumiem. Dobrze włada pan biczem?
- Tak.

Głos był ponury. Wymijający. Lanfieldowi nie trzeba było niczego wyjaśniać. Widywał szkody wyrządzane przez ludzi, którzy do perfekcji opanowali te długie wężowe bicz. Willoughby w żadnym razie nie był łagodnym osobnikiem, za jakiego sam siebie uważał. Coraz bardziej intrygował Lanfielda.

- Niech mi pan opowie o tym człowieku, Baldym Perrym.
  - Nie usłyszysz pan nic więcej, niż usłyszał sierżant Pollock.
- Ważne jest to, czego on nie powiedział, to się liczy.

Lanfield uznał, że musi swojego klienta zachęcić.

— Może to pana zaskoczy, ale cała ta sprawa bardzo mnie interesuje. Zachowuje się pan jak bohater baśni, nawet pańska znajomość z ową młodą damą najwyraźniej opiera się wyłącznie na kilku przypadkowych spotkaniach...

- To prawda — potwierdził Willoughby skwapliwie.
- Bez oporu wykonał pan polecenie Carnegiego, by opuścić obóz i pojechać do miasta...
- Inni też go nie kwestionowali.
- W tamtą niedzielę rano bez podania powodu zniknął pan z oczu Pollockowi na godzinę, zanim pojechał pan z policją na spotkanie z konwojem...

— A skąd miałem wiedzieć, że dokonano napadu?

— Nagle jednak zaczyna pan słuchać więźnia Perry'ego. Wydaje mi się, panie Willoughby, że po raz pierwszy ruszył pan głową, choć chyba skłonił pana do tego przypadek. Teraz się pożegnaj. Proponuję, by od dziś traktował pan życie poważniej. Zaczniemy od mojego honorarium. Ponieważ panna Tissington zaproponowała, że pokryje pańskie wydatki, wypiszę teraz skrypt dłużny stanowiący, że jest pan jej dłużnikiem. Proszę tu podpisać.

Willoughby podpisał.

- Napisałem do niej list. Mógłby go pan jej przekazać?

— Nie, to sprzeczne z regulaminem więzienia. Ale przekażę jej najlepsze pozdrowienia od pana, jeśli pan sobie życzy.

— Dziękuję, panie Lanfield.

Prawnik pobierał dokumenty.

— Mogłoby nam pomóc, gdyby zastanowił się pan nad Perrym i Carnegiem. — Zmarszczył brwi. — Oraz nad tym, kto może mieć złoto. Był pan na polach złotonośnych. Przychodzi panu do głowy ktoś, z kin; Carnegie mógł być w spisku, skoro to jego pan podejrzewa?

— Nie.

— Jeśli zajdzie taka potrzeba, może pan komunikować się ze mną przez uprzejmego pana Crofta. Życzę szczęścia, panie Willoughby. Uczynię dla pana, co w mojej mocy.

W drodze powrotnej Lanfield rozmyślał o Carnegiem. Powszechnie znana była jego skłonność do kart. Jeśli istotnie maczał palce w napadzie, nie byłaby to sprawa precedensowa, aczkolwiek poprzednik nie popisał się planem. Na północy rządy sprawowały pięć i strzelba, dlatego tylko niewielu sprawców takich przestępstw udawało się policji złapać, ale komisarz do spraw złota Griffen został pojmany.

Kilka lat temu Griffen, namiętny hazardzista, zszedł na drogę przestępstwa. W towarzystwie dwóch żołnierzy eskortował z Rockhampton transport złota wart ponad siedem tysięcy. W drodze rozbili obóz i tam Griffen zastrzelił obu mężczyzn, kiedy byli pogrążeni we śnie. Później przyznał się do morderstw i kradzieży, za co skazano go na śmierć. Twierdził, że jego ludzie zabłądzili w buszu, gdzie wpadli w zasadzkę, ale w tę historyjkę nikt nie uwierzył. Griffen w końcu zaprowadził władze do miejsca, gdzie ukrył łup.

Precedens. Lanfield pokiwał głową. Inny człowiek mógł dojść do wniosku, że udoskonali to przestępstwo, biorąc sobie współnika i więcej uwagi zwracając na szczegóły. Prawnik nie wątpił, że Kemp i jego oficerowie także wiedzieli o sprawie Griffena, choć to niekoniecznie musiało doprowadzić ich do Carnegiego. W tych szalonych czasach byli inni komisarze i mnóstwo konwojów złota. Odnosiło się wrażenie, że północna część Queenslandu to sejf pełny złota, i nic nie wskazywało na to, że złóża mają się na wyczerpaniu.

Czy Carnegie był pomysłodawcą tej zbrodni?



Według Willoughby'ego tak. Choć wyciągnął taki wniosek jedynie przez wyeliminowanie innych podejrzanych. W gruncie rzeczy nie miał najmniejszego nawet dowodu na poparcie swojego twierdzenia.

Czy Carnegie w pojedynkę podjąłby próbę popełnienia takiego przestępstwa?

Zdaniem Lanfielda nie. Na pewno wzięłby na współnika jakiegoś kryminalistę. A ten Perry? Jak udowodnić mu ten związek? Willoughby powiedział, że Perry został zwolniony, tak więc najważniejszą sprawą będzie odnalezienie go. Absolutnie najważniejszą.

Panna Tissington była miłą dziewczyną, choć postąpiła nie-  
mądrze, dając się wplątać w tę sprawę. Co o tym myślą jej rodzice? Siedząc skromnie przed prawnikiem, patrzyła na niego z nadzieją, a on wiedział, że ten wyraz wkrótce zniknie z jej twarzy. Cierpliwie odpowiadał na pytania o Willoughby'ego, przez co się odprężyła. Tak, więzień czuje się dobrze i jest w dobrym nastroju. Przesyła serdeczne pozdrowienia, ale...

— Jak to się stało, że poznała pani tego dżentelmena?

Odpowiedź nim wstrząsnęła. Nawet nie zostali sobie przedstawieni! Willoughby poderwał ją na ulicy jak jakąś pospolitą dziewczuchę. Lanfield poprawił okulary i uważniej przyjrzał się pannie Tissington.

— Czy pani ojciec o tym wie?

Rumieniąc się wyjaśniła swoje położenie.

— Rozumiem. A pani siostra pochwała tę znajomość?

— O niczym nie wiedziała.

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego obdarzyła pani sympatią człowieka, który był zwykłym włóczęgą?

— Czy te pytania są konieczne, panie Lanfield?

— Obawiam się, że tak.

Zakłopotana pokręciła głową.

— Nie wiem. Był dla mnie miły. Wesoły. Kiedy spotkałam go w Maryborough, wydawał się taki zachwycony moim widokiem, że zabrakło mi tchu. I...

Zobaczył, że oczy Emilie wilgotnieją, pośpiesznie więc wpadł jej w słowo.

— Chyba nie chcemy tu łez, prawda? Spotkaliśmy się, żeby wypełnić nasz obowiązek względem pana Willoughby'ego.

Przełknęła głośno ślinę.

ZATOKA ORCHIDEI

— Byłam nieszczęśliwa. Pani domu traktowała mnie źle. Nie miałam przyjaciół. Byłam samotna, a on odnosił się do mnie z wielką sympatią.

Prawnik pokiwał głową.

— No tak. Czy był pani kochankiem?

— Nie! Kiedy przyszedł powiedzieć mi o swoich kłopotach, widziałam go dopiero trzeci raz. Z całą pewnością nie!

— A kiedy był czwarty raz?

— U mnie w domu, kiedy... — Nagle urwała.

— Proszę mówić dalej.

— Odwiedził mnie, kiedy ukrywał się przed policją. Martwił się o mnie.

— A nie o siebie?

— Właściwie nie. Nie został długo. Powiedział, że ma dokąd iść.

— I o tym spotkaniu także nie powiadomiła pani policji?

— Nie. Panie Lanfield, ja wcale im o tym nie mówiłam.

Cmoknął z naganą.

— I dobrze. Niech pani więcej o tym nie wspomina. A teraz proszę mi powiedzieć, czy pan Willoughby coś pani dał?

— Co ma pan na myśli?

— Dał pani pieniądze? Tylko niech pani mówi prawdę.

Nastroszyła się.

— Cały czas jestem szczerą i nie widzę, jaki to pytanie ma związek ze sprawą.

— Zagineła wielka ilość złota i banknotów, panno Tissington. Do tej chwili jest pani jedyną znaną policji osobą, z którą Willoughby kontaktował się po napadzie. Podjął ryzyko, żeby się z panią zobaczyć. Z pani słów wyraźnie wynika, że ufał pani, wiedział, że go pani nie wyda. W tej sytuacji można śmiało założyć, że powierzył pani łupy z napadu.

Wstrząśnięta, cała zeszywniała.

— Nie! Kto miałby coś takiego mówić? Nie. Nie ukradł tych pieniędzy i nie dał mi ich. — Tym razem też nie dało się uniknąć. — To okropne tak mówić — szlochała. — Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że robię źle, nie informując policji, iż po ucieczce Mai czekał na mnie przy bramie.

— No, no. Może była pani zaszokowana i zdenerwowana, kiedy opowiedział o swoich kłopotach, jak określa pani jego położenie, ale później musiało to do pani dotrzeć. Jest pani

wykształconą młodą damą, musiała pani wiedzieć, że jej obowiązkiem jest powiadomienie policji. Nie zrobiła pani tego. A teraz słucham: dał coś pani? Jakieś pieniądze, panno Tissington?

Trzęsa się nieopanowanie, podał jej więc szklankę wody, którą udało jej się wylać na spódnicę. Wciąż szlochając zaczęła grzebać w torebce. Przez cały ten czas Lanfield siedział nieporuszony myśląc, że dziewczyna szuka następnej chusteczki, bo ta, którą trzymała w dłoni, była już mokra od łez. Pomylił się jednak: wyjęła zwitek banknotów i rzuciła na biurko.

— Proszę! Niech pan je weźmie. To pieniądze Mała, jego własne. Zarobił je na polach złotonośnych. Dał mi wszystkie, bo powiedział, że jeśli złapie go policja i tak mu je wezmą. Wolał, żebym ja je miała. — Zgarbiła się popłakując. — Byłam zakłopotana. Nie chciałam ich brać, ale on nalegał. To nie są pieniądze z kradzieży! Przyniosłam je, żeby zapłacić obrońcy Mała. Żeby zapłacić panu, panie Lanfield.

Prawnik zadowolony klasnął w dłonie. Więc Willoughby jednak ich nie ukrył. Prawdę mówiąc, to było rozsądne posunięcie. Może dla tego młokosa jeszcze jest jakaś nadzieja. Mimo to nie powinien był angażować dziewczyny. Lanfield był teraz przekonany, że ma do czynienia z parą głupich koźląt. Ona w żadnym razie nie powinna była chodzić na policję, niezależnie od tego, jak sympatyczny jest Kemp, co do Willoughby'ego zaś, to niewykluczone, że jednak fałszywie go zidentyfikowano. Albo wrobiono, jak sam to ujął. Lanfield skłaniał się też ku przekonaniu, że ucieczka nie była takim złym pomysłem, biorąc pod uwagę okoliczności. Będzie mógł twierdzić, że przy nastrojach panujących wtedy w mieście Willoughby miał poważne powody, by obawiać się o własne życie. Powinien jednak był sam oddać się w ręce policji w innej części stanu.

— Czy rozmawiała pani z kimś o przyjaźni z panem Willoughbym?

— Tak, z panem Clive'em Hillierem. On też jest przyjacielem pana Willoughbyego, byli współnikami na polach złotonośnych. — Uniosła odważnie wzrok. — Clive wierzy w niewinność Mała.

— Czy wie o pieniądzach? Albo o tym, że pan Willoughby odwiedził panią w czasie ucieczki?

— Nie.

— O, to wielka ulga. Może zaświadczyć o dobrym charakterze pana Willoughby'ego, jak mniemam?

Pokiwała głową ze znużeniem.

— Tak. Czy mogę już iść?

— Naturalnie. Bardzo mi pani pomogła, panno Tissington. Pytania tego rodzaju to prawdziwa męka, ale pani dobrze sobie z nimi poradziła, nie ma powodu do obaw. A teraz proszę zabrać pieniądze. Należą do pani. Nie ma czego się wstydzić. — Lanfield obszedł biurko i podał jej zwitek banknotów. — Jeśli pani sobie życzy, może zapłacić kanceliście dziesięć funtów za moje dotychczasowe usługi. Będę jednak musiał zaangażować adwokata, a to już kosztuje więcej, proszę się zatem przygotować. — Uśmiechnął się. — Wygląda na to, że pan Willoughby zainwestował we własną obronę. Szczęściarz z niego, że ma taką przyjaciółkę jak pani.

Allynowi Carnegiemu wystarczyło sił, żeby z pogardą traktować tego wołu z policji w Maryborough, jednakże odziany w surdut dżentelmen, który siedział teraz w jego salonie, to zupełnie inna sprawa. Na widok Roberta Lanfielda wysiadającego z powozu Carnegie od razu wiedział, że to oznacza kłopoty, które nie mają nic wspólnego z jego długami. Prawnik tego formatu nie opuściłby biura z powodu byle drobnostki. Przygarbił się i powłócząc nogami ruszył w kierunku fotelu na biegunach.

— Serce, wie pan, mam z nim kłopoty od tamtego postrzału, panie Lanfield. Napije się pan herbaty? A może kropelkę brandy?

— Nie, dziękuję, panie Carnegie. Przykro mi słyszeć, że nie czuje się pan dobrze. Chciałem z panem porozmawiać o tej sprawie. Przede wszystkim muszę poinformować, że działałem w imieniu pana Mallachiego Willoughby'ego...

— Nie mam panu nic do powiedzenia.

— Nie takiego nastawienia od pana oczekiwałem, sir. Wyobrażałem sobie, że chętnie mi pan pomoże, zwłaszcza że sam pan był ofiarą tego okrutnego napadu. Zdaję sobie sprawę, że wolałby pan nie wspominać owego koszmaru, ale byłbym wdzięczny, gdyby zechciał mi pan przedstawić własną relację z tamtych wypadków.

Puszyste bokobrody Lanfielda nie maskowały jego twardej szczęki i zimnych zielonych oczu. Budził przerażenie w Allynie, który uznał, że lepiej mieć prawnika po swojej stronie niż przeciwko sobie. W końcu teraz już znał całą historię na pamięć i nie miał nic do stracenia.

— Jestem okropnie zmęczony — mruknął. — To samo ciągle od nowa. Chyba nie oczekuje pan ode mnie, że złożę zeznania zaświadczające o dobrym charakterze człowieka, którego pan broni. Mordercy. Przecież to śmieszne.

— Ależ nie, drogi przyjacielu. Źle mnie pan zrozumiał. Chcę tylko usłyszeć pańską wersję zdarzeń, bo Willoughby twierdzi, że go tam nie było.

— Może tak kłamać do końca świata. Był tam, zapewniam pana. Wrócił z nimi.

— Z nimi?

— Ze współnikami, kimkolwiek byli.

Po krótkich namowach Lanfield usłyszał wreszcie historię Carnegiego; specjalnie mu nie przerywał, nie ulegało bowiem wątpliwości, że opowieść jest dobrze przeciwuczona.

— Pomylił się pan co do McPhersona. Czy to możliwe, że pomylił się pan także co do Willoughby'ego?

— W żadnym razie. Znałem go. Sam go zatrudniłem, Bóg mi świadkiem.

— Mówi się — zwrócił uwagę — że z pana rekomendacji zatrudnił go pański zastępca Taylor, którego zastrzelono w czasie napadu.

— Tak było.

Lanfield uważnie przyjrzał się rozmówcy ponad oprawkami okularów.

— Ale pan Taylor znany był ze swej przenikliwości. Po-wszechnie uważano go za doskonałego sędziego ludzkich charakterów.

Natrafił na ten klejnocik podczas studiowania policyjnych kartotek i wycinków prasowych zebranych przez entuzjastycznych mieszkańców Maryborough i uznał za interesujący, zwłaszcza że Willoughby odniósł wrażenie, iż Taylor i Carnegie nie pozostawali w przyjacielskich stosunkach.

Carnegie jednak ze smutkiem się zgarbił.

— Ten błąd kosztował życie biednego Taylora.

— Na to wygląda. — Lanfield nieoczekiwanie zakończył rozmowę. — Doceniam pańską współpracę, panie Carnegie. Miałem nadzieję, że obudziły się w panu pewne wątpliwości względem mojego klienta.

— Jakżeby mogły? Choć zostałem ranny, widziałem go wyraźnie.

— Oczywiście. Uprzejme z pana strony, że poświęcił mi pan czas. Dołożę wszelkich starań, by jak najlepiej przygotować sprawę dla królewskiego radcy.

Carnegie zbladł.

— Jakiego radcy?

— Dżentelmena, którego spotka pan w sądzie — wyjaśnił Lanfield sadystycznie. — Pan Willoughby będzie miał radcę królewskiego, ja w hierarchii zajmuję mało poczesne miejsce. Zostawię panu moją wizytówkę, panie Carnegie. Nie proszę o żadne przysługi, ale widzę, że jest pan sprawiedliwym człowiekiem. Jeśli istnieje najmniejsza możliwość, że pomylił się pan co do pana Willoughby'ego, proszę mnie o tym powiadomić. Jeszcze nie jest za późno, by sprawę wyjaśnić.

— Już to zrobiłem — odparł Carnegie nerwowo.

— Naturalnie. A dobry uczynek zasługuje na nagrodę. Słyszał pan o sprawie Griffena?

— Griffena? Nie. A o co chodzi?

Lanfield o mało nie zaczął bić brawa. Takiej właśnie odpowiedzi potrzebował. Nie było komisarza do spraw złota, który nie znałby sprawy Griffena. Ten człowiek to kłamca.

— Och, taki epizod z przeszłości — mruknął. — Bez znaczenia, jak przypuszczam.

Wrócił do gigu, by zjechać w dół zbocza, a potem skręcić do miasta.

— Wet za wet — powiedział, jakby zwracając się do oskarżenia. — Wy czaicie się wokół mojej młodej damy, próbując wydrzeć z niej informacje, więc ja wybrałem się do waszego dżentelmena. Na rozprawie panna bez wątpienia przeżyje ciężkie chwile, ale to będą dziecinne igraszki w porównaniu z tym, co mój radca królewski zrobi z waszym świadkiem.

Lanfield był obecnie bardziej niż pewny niewinności Willoughby'ego. Nie miał pojęcia, kto tę zbrodnię popełnił. Możliwe, że brał w niej udział Carnegie, ale prawnik nie był detektywem, nie do niego należało szukanie prawdziwych sprawców. To robota policji. Jego celem było oczyszczenie Willoughby'ego z zarzutów.

Wzdłuż rzeki pojechał do nabrzeża, po czym skręcił w stromą Queen Street, przy której mieścił się jego klub. Czekał tam na niego radca królewski Allenby. Allenby lubił wygrywać, a ta sprawa nie tylko była do wygrania, lecz także cieszyła się wielkim zainteresowaniem opinii publicznej. Willoughby budził wiele

niemądrych sentymentów dzięki zdjęciom przedstawiającym jego urodziwą twarz oraz dziecinnemu przezwisku „Sonny”, choć tym, co przeciągnęło ludzi na jego stronę, był fakt, iż wydał go dla pieniędzy rodzony wuj, któremu zaufał. Okazało się, że było to najlepsze, co wuj mógł dla niego zrobić.

Lanfield nie potrafił uwierzyć własnemu szczęściu, że panna Tissington przekroczyła próg jego kancelarii. Allenby podejmie się obrony. Wręcz rzuci się na sprawę. Muszą jednak porozmawiać o dziewczynie. Należy odesłać ją do Maryborough, żeby na razie znalazła się daleko stąd.

Niepokoił się o pannę Tissington. Będzie z niej dobry świadek obrony, o ile ze strachu nie zemdleje na sali sądowej. Lecz i sam Willoughby to wielki atut. To dla chłopaka najlepsza okazja, by zaprezentować cały swój urok. Lanfield żałował, że na ławie przysięgłych nie zasiadają kobiety.

— Ach, wyjeżdżamy na weekend — westchnął. Cały ten pośpiech nie jest dobry dla wątroby. Przynęcił, że w sobotę rano zabierze rodzinę do ich domu w Sandgate nad morzem, pod warunkiem wszakże, iż nie będzie tam żadnych pieczeniarzy, jak lubił nazywać gości. Nie miał nastroju na towarzystwo, ani młode, ani stare. Czasami mówił sobie, że życie zbieracza muszelek byłoby całkiem przyjemne, gdyby człowiek nie miał na utrzymaniu żony i trzech córek. Ta myśl gwałtownie sprowadziła go na ziemię.

Wcześniej odwiedził Kempa i przekonał się, że to miły gość, choć nieskłonny do odkrywania swoich kart. Wydawał się nie mieć zdania o Willoughbym i Carnegiem, nie wspomniał słowem o panie Tissington, co Lanfieldowi odpowiadało — miał nadzieję, że o niej zapomnieli. Choć to mało prawdopodobne. Później udał się do sierżanta Pollocka, który sprawą był osobiście zainteresowany. To on pozwolił Willoughby'emu uciec i do tej pory ponosił konsekwencje.

W przeciwieństwie do Kempa, który rozmowę kierował na inne tematy, sierżant przypominał psa z kością w pysku. Był zdecydowany rozwiązać tę sprawę, co Robert uznał za godne podziwu, pod warunkiem że nie będzie to oznaczało udowodnienia winy Willoughby'emu.

Jednakże Pollock nie krył wcale, że o zaplanowanie napadu podejrzewa Carnegiego. Robota wewnętrzna. Zastrzegł się przy tym, że nie jest to równoznaczne z oczyszczeniem Willough-

by'ego. Allenby będzie zadowolony słysząc opinię Pollocka; radca pragnął mieć swój dzień w sądzie, nie mógł się doczekać, kiedy na strzępy rozerwie zeznanie Carnegiego, prawdziwe czy nie.

Dobłą nowiną było to, że przestępcą Perry wciąż znajduje się w więzieniu — nie zaginął bez śladu na wolności.

— Więc wierzy pan Willoughby'emu?

— To możliwe, i tyle.

— Czy mógłbym zobaczyć się z Perrym?

— Zgodę musi wyrazić Kemp. Ale to nie jest najlepszy pomysł. Przesłuchujemy go od jakiegoś czasu, choć na razie nie udało nam się go złamać.

— Wydaje mi się, sierżancie, że skoro trzymacie tutaj Perry'ego i przesłuchujecie go, to bez większego trudu będę mógł z nim porozmawiać.

Pollock zmienił ton.

— Niech pan posłucha, panie Lanfield. Szczerze mówiąc, uważam, że Perry jest w to wplątany, ale inni oficerowie nie podzielają mojego zdania, więc sprawa jest dość delikatna, jeśli mnie pan rozumie. Jak zacznie pan na Perry'ego naciskać, mogę go stracić. A na razie nic nie mogę zrobić poza wywieraniem na niego presji.

— Rozumiem. W końcu mamy ten sam cel, sierżancie. Sprawcy owej zbrodni muszą stanąć przed obliczem sprawiedliwości. Powiniennem więc panu powiedzieć, że według mnie Carnegie to kłamca. Jestem o tym przekonany.

— Rozmawiał pan z nim?

— Prawo tego nie zabrania.

— Co powiedział?

— Wszystko, czego by się pan spodziewał.

— Co? Jak? To znaczy, zdradził się jakoś? Zachodzę w głowę...

— Powiedzmy tylko, że usłyszałem od niego kłamstwo. Z drugiej strony nie znalazłem ani jednego kłamstwa w tym, co mówił mi Willoughby. — Oczywiście jeśli pominąć historyjkę o ukryciu pieniędzy zarobionych na polach złotonośnych, dodał w myślach Lanfield. — Oskarżenie lepiej niech uważa, gdzie stawia stopę. Willoughby jest niewinny, nie będzie łatwą ofiarą. Co na niego mają oprócz zeznania Carnegiego?

Lanfield wierzył w prawo, dlatego też zażądał od Kempa, żeby Willoughby'ego przeniesiono z kolonii karnej do więzienia



stanowego na obrzeżach miasta. Kemp obiecał, że rozważy tę prośbę.

Jeśli się nie zgodzi, zawsze można zwrócić się do prokuratora generalnego Lilleya, powołując się na możliwość dostępu do własnego klienta. Podróż na wyspę była stratą całego dnia.

Prawnik zmarszczył się i wezwał kancelistę.

Kancelista Lanfielda odwiedził Emilie w nowym pensjonacie. Przyniósł jej wiadomość, że może w każdej chwili wracać do Maryborough.

— Co to znaczy? — zapytała niespokojnie. — Pan Lanfield będzie prowadził tę sprawę, prawda?

— Ależ oczywiście. Szefer panuje nad wszystkim.

— Sądziłam, że powinnam zostać, na wypadek gdyby mnie potrzebował.

— To jest zupełnie zbędne, panienko.

Emilie spojrzała na niego uważnie.

— Dlaczego pana Lanfielda tak interesuje to, czy zostanę czy też wyjadę?

Kancelista zakaszlał zakłopotany.

— Ja tylko miałem przekazać wiadomość, panienko.

— Nieprawda, wiem o tym. Czy pan Lanfield chce, żebym wyjechała? Zawadzam? Nie będę przeszkadzać, może mi pan wierzyć.

Kancelista był poważnym młodzieńcem, który lubił patrzeć na siebie jak na początkującego Lanfielda z mocną szczęką i oniesmielającym spojrzeniem, czytał jednak akta i uważał, że przywiązanie młodego oskarżonego i tej młodej damy jest niezwykle romantyczne. Sonny Willoughby nie był żadnym bandytą, lecz rycerskim młodzieńcem, a panna Tissington prawdziwą przyjaciółką. Żałował, że nie ma przyjaciółki, która wyglądałaby tak jak ona; patrząc teraz na tę słodką dziewczynę, pragnął, żeby to ona nią była.

— Boże wielki, nie, panno Tissington, na pewno by pani nie przeszkadzała. — Zerknął za siebie, jakby chciał się upewnić, czy nikt go nie słyszy. — Myślę, że tak będzie najlepiej. Musi pani zaufać panu Lanfieldowi, on próbuje panią chronić. Wie pani, sąd to nie jest przyjemne miejsce. Powinna pani trzymać się na odległość, jeśli mogę tak powiedzieć.

Dotąd Emilie nigdy nie wpadło do głowy, że w związku z tą okropną sprawą być może będzie musiała stawić się w sądzie. Zrobiło się jej słabo.

— Czy pan Lanfield uważa — wyjąkała szeptem — że mogę być wezwana do sądu?

Kancelista z nieszczęśliwą miną pokiwał głową; rozumiał jej obawy.

— Ale nie przez pana Lanfielda, tylko przez drugą stronę.

— Boże wszechmogący! Co ja narobiłam? O rety. — Ścisnęła go za ramię.

— Dobrze się pani czuje?

Emilie płacząco westchnęła.

— Tak, dziękuję. Był pan naprawdę uprzejmy. A teraz proszę mi wybaczyć. I jeszcze raz dziękuję. Prześlę mój adres w Maryborough. Teraz nie czuję się na siłach.

Pobiegła przez dziedziniec do swojego pokoju, o wiele bardziej przestronnego niż ten, który dzieliła z Ruth. Miał nawet balkon, na którym mogła siadywać wieczorami i rozważać wydarzenia dnia w spokoju, teraz wszakże była to kolejna samotna kryjówka, niczym nie różniąca się od tych wszystkich żałosnych miejsc, w których mieszkała, odkąd z Ruth wyjechały z domu. I wcześniej, odkąd ich droga matka umarła.

Emilie uciekła w nienawiść. Nienawidziła kobiety, którą poślubił ojciec. Nienawidziła ojca za jego obojętność. Nienawidziła Ruth za jej pruderię i egoizm, najmocniej jednak nienawidziła Mała Willoughby'ego. To on sprowadził na nią upokorzenia. To przez niego straciła pracę, stała się tematem plotek w mieście, w którym nawet nie przestrzegano zasad normalnego zachowania. To przez niego oddaliła się od siostry. On za wszystko ponosił odpowiedzialność, ponieważ był szalony. Takiego człowieka od razu należało odprawić, kiedy tylko się zorientowała... czy raczej powinna była się zorientować.

Boże, jak ona nienawidziła Mała. Nie chciała nic wiedzieć o nim ani o jego pieniądzach, które rano próbowała oddać Lanfieldowi, nie chciała więcej na oczy go oglądać. Szlochając zadrzała z przerażenia na myśl, że zmuszą ją, by stanęła na miejscu dla świadków, gdzie wszyscy, cały świat będzie na nią patrzył, gorsza rzecz nie może nikomu się przydarzyć. Nigdy nie wybaczy Willoughby'emu. Przenigdy, do końca życia. Rozpaczyliwie szukając drogi ucieczki, pomyślała nawet, żeby wsiąść na

statek, ale nie do Maryborough, tylko do Londynu. Z całych sił pragnęła wrócić do domu. Nienawidziła tego miejsca.

Ruth stwierdziła, że siostra jest niezwykle cicha, wręcz skruszona, kiedy przyszła jej powiedzieć, że najbliższym statkiem płynie do Maryborough. Nie była zaskoczona. Najwyższy czas, by Emilie stanęła twarzą w twarz z konsekwencjami.

— Mam nadzieję, że od tej chwili z większą uwagą będziesz dobierać sobie towarzystwo.

— Tak. Dostałaś już wiadomość od ojca?

— Nie. Najwyraźniej nie ma ochoty pisać, tak to wygląda.

— A co z panem Bowlesem?

— A o co pytasz?

— Kontaktował się z tobą?

— Musisz zrozumieć, że to człowiek zajęty...

— Zbyt zajęty, żeby spotkać się z narzeczoną? Przepraszam, Ruth, ale naprawdę potrzebny mi akt własności mojej działki. Chcę go zabrać ze sobą.

— Więc sama do niego idź! — wybuchnęła Ruth. — Nie możesz oczekiwać, że będę za nim goniła.

I nagle zalała się łzami. Emilie objęła siostrę.

— Co się stało, moja droga? O co chodzi?

Ruth wyjęła z kieszeni list i rzuciła nim w Emilie.

— Masz! Jesteś teraz zadowolona? Żałuję, że w ogóle tu przyjechałaś. Wszystko zepsułaś.

Siostra nie musiała zgadywać treści listu. Był krótki. Bowles zrywał zaręczyny z powodu „różnic towarzyskich” i życzył Ruth wszystkiego najlepszego na przyszłość.

Emilie milczała. Cóż mogła powiedzieć? Nie ulegało wątpliwości, że przyczyniła się do ich rozstania, wywołując skandal, czuła wszakże, iż nie tylko o to tu chodzi. Nie chciała bardziej denerwować Ruth sugestiami, że na zmianę uczuć Daniela mogła też wpłynąć utrata domu, który nic by go nie kosztował. Westchnęła. Będzie musiała na razie dźwigać brzemień winy, przez co ułatwi sytuację Ruth.

— W końcu o nim zapomnisz — powiedziała po chwili.

Ruth zeszywniała.

— Oczywiście, że zapomnę. Nie miał nawet na tyle przyzwoitości, żeby osobiście ze mną porozmawiać. Upokorzenie to jednak zupełnie inna sprawa. Wszyscy wiedzą, że jestem zaręczona. Jak mam to wyjaśnić? Co ludzie pomyślą? — Opadła na

krzesło. — Napisałam nawet do ojca, że wychodzę za męż. Jego żona dowie się, że mnie porzucono... ta kobieta się dowie!

— Nie musi wiedzieć. Napisz, że zmieniłaś zdanie.

— Mam kłamać? Oczekujesz, że będę kłamała?

— Owszem. Na litość boską, Ruth, zacznij dla odmiany myśleć o sobie. Masz teraz fundusze, wszystko dobrze się ułoży. Zobacysz.

— Ale on ma moje pieniądze! — wykrzyknęła Ruth.

— To nic złego, odda ci je.

— I będę musiała spojrzeć mu w twarz. O mój Boże! O Boże, co jeszcze złego mnie spotka?

— Nic — odparła Emilie zdecydowanie. — Jeśli nie czujesz się na siłach, żeby pokazać się ludziom, to może przyjedziesz dzisiaj na kolację do mojego pensjonatu? Ja zapłacę...

— To kolejna sprawa, która mnie martwi. Jak to możliwe, że stać cię na długi pobyt tutaj i równoczesne płacenie czynszu tam? Zupełnie tego nie pojmuję. I twoje ubrania. Niektóre są całkiem nowe.

— Wiem — powiedziała kojąco Emilie. — To długa historia, później ci ją opowiem. Ale wszystko jest w porządku, możesz mi wierzyć. Teraz musimy się martwić tylko o siebie. Wkładaj kapelusz, idziemy na Charlotte Street. Mają tam wyśmienitą kuchnię.

Na szczęście Ruth nie miała sił się kłócić, zbyt znużona, by jeszcze czymś się przejmować, i Emilie z uśmiechem pomyślała o Lanfieldzie.

— Nie jestem bankiem — powiedziała jej rano. — Nie może pani tutaj zostawiać pieniędzy dla pana Willoughby'ego. Dał je pani w dobrej wierze, należą więc do pani. Powinna pani odłożyć około stu funtów, jeśli dojdzie do najgorszego, bo rachunek zostanie pani wystawiony. Poza tym, panno Tissington, pani finanse zupełnie mnie nie interesują. Ani też finanse pana Willoughby'ego. Poznanie pani było prawdziwą przyjemnością, ale teraz niech już pani zmyka. I bardzo proszę, żeby po powrocie do domu nie omawiała pani tej sytuacji z policją.

Lubiła Lanfielda. Był nad wyraz apodyktyczny, na początku okropnie ją przerażał, ale teraz wiedziała, że miał dobre zamiary. I natchnął ją pewnością siebie. Oby tylko ta pewność ujawniła się podczas rozmowy z Bowlesem. Nie było chwili do stracenia.

\*

Portier przy bocznym wejściu do gmachu parlamentu skierował ją do woźnego na tyłach imponującego budynku z piaskowca. Sprawdził listę pracowników i wysłał gońca po Dana Bowlesa. Emilie kazano czekać na zewnątrz, co bardzo ją rozczarowało, nie miała bowiem okazji nawet zerknąć do środka.

W końcu pojawił się Bowles.

— Co pani tu robi? — syknął, ciągnąc ją w kierunku wysokiego żywopłotu.

— Niedługo wyjeżdżam, panie Bowles, i chciałabym dostać akt własności mojej ziemi, jeśli pan tak uprzejmy. A także pieniądze ze sprzedaży działki mojej siostry.

— To niewybaczalne, panno Tissington. Jak pani śmie tutaj przychodzić!

Emilie wcale się nie przestraszyła, wręcz przeciwnie, starała się naśladować Lanfielda. Albo przynajmniej jego kancelistę.

— To niewybaczalne, że nie miałam innego wyboru, jak tutaj przyjść. Niech pan będzie uprzejmy i spełni moją prośbę.

— Nie mam tutaj tych dokumentów. Proszę powiedzieć siostrze, że je prześlę.

— Nie. Przyniesie je pan. Dzisiaj. Wrócę tu o piątej po południu, a pan wszystko mi da...

— Niech pani stąd idzie. — Zniesmaczony odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi, lecz Emilie zawołała za nim:

— W przeciwnym wypadku podejmę działania prawne!

Bowles stanął jak wryty. Portier, słysząc ton jej głosu, obejrzał się zainteresowany.

— Nie chcę więcej słuchać tych bzdur — powiedział Bowles wracając do niej. — Jest pani okropną osobą.

— Doskonale. A ja nie będę dłużej czekać. Skontaktuje się z panem pan Robert Lanfield, przypuszczalnie jeszcze dzisiaj po południu.

Twarz miał białą, głos pojednawczy.

— To bardzo niewygodne...

— Dla mnie też. Będzie pan tutaj o piątej?

Wzruszył ramionami.

— Jak sobie pani życzy.

— Świetnie. I żądam także kopii umowy, którą podpisała moja siostra. Niech pan będzie punktualny, panie Bowles.

Bowles miał sporo spraw do załatwienia. Akt własności leżał co prawda w jego biurku razem z pieniędzmi Ruth, jednakże

umowa ujawniłaby różnicę pomiędzy sumą, którą podał, a tą, która naprawdę się jej należała. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko wymknąć się do banku i podjąć różnicę z mizernego konta oszczędnościowego. Przekłeta dziewczucha. Wszystko zepsuła. I gdzie ta jej oziębła siostra znajdzie innego kandydata na męża? Obie są skompromitowane.

O czwartej po południu wręczył portierowi zapieczętowaną kopertę z poleceniem, by oddał ją tej kobiecie, pannie Tissington. Prerażony, że Emilie pobiegnie do prawnika, jeśli gotówka nie będzie się zgadzała z kwotą wymienioną w umowie i potwierdzeniu odbioru po potrąceniu opłaty skarbowej, dokładnie przeliczył pieniądze. Przypuszczalnie siostry zobaczą, że nie było żadnego agenta, ale czy to go obchodzi? Zawsze może powiedzieć, że Ruth jest głupia i nie potrafi nawet zapamiętać, co jej mówił. I krzyżek na drogę obu siostram.

Łódź, która przewiozła Mała ze Świętej Heleny do Brisbane, w drodze powrotnej zabrała kolejną grupę skutych łańcuchami skazańców, wśród których był sławny „dziki Szkot”. Swoją reputacją zasłużył na lepsze traktowanie ze strony strażników niż zbiry w rodzaju Baldy'ego Perry'ego, za to naczelnik powitał go obojętnie. McPhersona skazano na pięć lat pobytu na wyspie, od początku więc skierowany został do ciężkiej pracy.

— Niech się zaaklimatyzuje — uśmiechnął się Croft ponuro.

Cztery tygodnie łupania skał na falochron pod palącym słońcem to było za wiele dla McPhersona. Istne piekło na ziemi. Szybko zaczął się buntować; najpierw ukradł siekierkę, przywiązując ją do ciała pod płóciennym kaftanem, potem wyrąbał dziurę w tylnej ścianie latryny i uciekł w busz.

Przedarł się przez chaszczę w gęste dzikie ostępy, a kiedy dostatecznie oddalił się od twierdzy, wybrał potrzebne mu drzewo, niezbyt grube u podstawy, tak by zdołał je ściąć w ciągu tygodnia, na tyle jednak solidne, by utrzymało na powierzchni wody człowieka płynącego w kierunku stałego lądu. Do diabła z rekinami; McPherson gotów był podjąć ryzyko. Wiedział, że po drugiej stronie zatoki jest przystań wielorybników, i uznał, że jeśli rekiny mają choć za grosz rozsądku, będą tam, gdzie jest pełno jedzenia.

Jednakże ludzie Crofta doskonale znali tę grę. Natychmiast po ogłoszeniu alarmu ruszyli tyralierą w busz. Złapali McPhersona,

kiedy włókł okorowany pień na plażę. Najpierw przywiązali go do trójkąta i wychłostali, a następnie wrzucili do karceru. Nigdy więcej nie próbował ucieczki.

Kiedy statek z Emilie na pokładzie płynął przez wody zatoki Moreton, wiał porywisty wiatr i pasażerów ostrzeżono, by pozostali w kajutach.

Emilie przyjęła to z ulgą. Nie potrafiłaby znieść widoku tej wyspy. I myśli o Malu, dopóki nie otrząśnie się po koszmarze, jakim była wizyta w Brisbane.

Statek wypełniał wesoły tłumek i Emilie zaprzyjaźniła się z parą misjonarzy, którzy wracali na Wyspę Frasera. Z zainteresowaniem dowiedzieli się, że jest guwernantką bez posady. Bardzo wielkim zainteresowaniem, jak się okazało. Założyli tę małą osadę, by miejscowych Aborygenów przywieść do Boga, i odnosili niejaki sukcesy, ale rozpaczliwie poszukiwali nauczyciela angielskiego.

Z zachwytem opisywali piękno wyspy, las deszczowy, wspaniałe błękitne jezioro i oszałamiające widoki.

Wbrew sobie Emilie powiedziała im, że jej przyjaciel także był na Wyspie Frasera i tak samo zauroczyło go jej piękno.

— Znają państwo Zatokę Orchidei? Wydaje mi się, że jest nad oceanem.

Kobieta pokręciła głową, za to jej mężowi wydało się, że wie, o czym mowa.

— Jest zatoka, którą można tak nazwać ze względu na obfitość orchidei rosnących w pobliskim lesie deszczowym. Tak, to chyba to miejsce. Powinna się pani zastanowić nad naszą propozycją, panno Tissington. Życie tam jest sielskie, a tubylców nie trzeba się obawiać. Nigdy by nas nie skrzywdzili, to wesoły ludek. Obawiam się, że bardziej ciekawi są nas niż Boga, ale takie sprawy muszą potrwać.

I Emilie o tym pomyślała. Życie na wyspie wydawało się takie spokojne, kusiło odpoczynkiem po ciosach, które na nią spadły, rozpraszało obawy o przyszłość. Wyspa dawała schronienie.

W porcie stało na kotwicy kilka statków, na nabrzeżach panowało zamieszanie, ale teraz Clive dostrzegał już porządek w tym chaosie i był łatwo rozpoznawalną postacią w białym drelichowym ubraniu i modnym korkowym hełmie, który niedaw-

no sobie sprawił. Uśmiechnął się. Nakrycia głowy od razu zdradzały aktorów występujących na tej scenie. Biedne kobiety nosiły chusty albo szale, bogatsze stać było na kapelusze. Robotnicy i marynarze wiązali przepocone bandany, plantatorzy wkładali płaskie kapelusze słomkowe, a hodowcy upodobali sobie kapelusze z szerokim rondem z nie wyprawionej skóry. Emigranci i poszukiwacze złota wybierali zniszczone filcowe kapelusze, a nieliczni bankierzy, prawnicy i inni przedstawiciele wolnych zawodów woleli cylindry. Clive zwracał uwagę na modę, ponieważ jego marzenie zaczynało przybierać kształty. Dostał kredyt i zapewnił sobie wynajem jednego ze sklepów budowlanych na Kent Street, których właścicielem był nie kto inny, jak tajemniczy pan Xiu.

Agent poinformował go, że Xiu prowadzi rozległe interesy i rzadko bywa w mieście.

— Nie ma potrzeby, żeby pan się z nim spotykał, panie Hillier. Sam mogę odpowiedzieć na wszystkie pańskie pytania — oznajmił wyniośle.

— Mimo to proszę przekazać mu moje pozdrowienia. Osobiście znam pana Xiu.

— Doprawdy?

— Jeśli pan tak uprzejmy, proszę mu powiedzieć, że z przyjemnością zjem z nim kolację, kiedy znów przyjedzie do miasta.

— Oczywiście, panie Hillier, oczywiście.

Clive nie miał pojęcia, czy Xiu zniża się do spożywania posiłków w lokalach, nie wiedział nawet, czy któryś z hoteli obsługuje Chińczyków, ale podejrzewał, że uda mu się wynająć w tym celu pokój. Xiu bardzo go intrygował, a ponieważ inwestował w mieście, stanowił dobry kontakt dla początkującego biznesmena.

Clive zręcznie poruszał się w tłumie z ołówkiem zatkniętym za uchem, dokumentami i kawałkiem kredy w dłoni, którą zaznaczał skrzynie i beczki z alkoholem, kiedy nagle ją zobaczył. Emilie! Przedzierała się przez grupy ludzi z bagażami.

Pobiegł za nią, wołając ją po imieniu, aż w końcu usłyszała. Nie uśmiechnęła się jednak do niego, nie ucieszyła tym przypadkowym spotkaniem, tylko kiwnęła mu głową. Ale przynajmniej na niego poczekała. Ona naprawdę jest śliczna, pomyślał, w tym uroczym kapelusiku nasadzonym na czarne włosy. Nie potrafił się oprzeć, musiał ją objąć i pocałować.



— Moja kochana! Tak się cieszę, że wróciłaś. Martwiłem się o ciebie. Dostałaś mój list?

— Nie.

— Pewnie poczta nie zdążyła na czas. Tak długo cię nie było. Zastanawiam się, czy chcesz, żebym cię odwiedził. Dobrze się czujesz?

— Tak, Clivie, nic mi nie jest.

— Twój głos świadczy o czymś przeciwnym.

— Pewnie tak — powiedziała gorzko. — Pozwolisz, że teraz już pójdę? Nie mam ochoty tu stać.

— Nie, nie pozwolę. — Zaprowadził ją do budynku. — Poczeka tutaj, odwiozę cię do domu.

— Nie ma takiej potrzeby. Mogę iść pieszo.

— Emilie, robi się późno. W domu nie masz jedzenia. Rób, jak ci mówię. Czeka tutaj, zaraz po ciebie przyjdę.

Odmówiła opuszczenia gigu, Clive zrobił więc dla niej zakupy biorąc wszystko, czego zdaniem sklepikarza mogła potrzebować, i od siebie dodając butelkę niemieckiego wina oraz tłustą niemiecką kiełbasę, która ostatnimi czasy bardzo przypadła mu do smaku.

Otworzył drzwi i wstawił kufer do sypialni, podczas gdy Emilie stała jak kołek. Nalał wina do dwóch kieliszków, jeden podał jej i polecił, żeby usiadła przy stole.

— A teraz o wszystkim mi opowiedz.

— Wiesz, że mnie zwolniono? — zapytała obojętnie.

— Tak, słyszałem. Rozmawiałem z Bertem Manningtree, powiedziałem mu, co o tym myślę, ale on twierdzi, że to wyłącznie decyzja jego żony. On nie miał o niczym pojęcia. Chciałby, żebyś wróciła...

— To bez znaczenia. Nie wróciłabym tam.

— No i dobrze, Emilie. Przyda ci się odpoczynek. Ale do końca życia nie zrozumieję, jak to się stało, że aż tak się zaangażowałaś. No wiesz, sympatia to jedno, a...

— Wiele zawdzięczam Malowi — szepnęła.

— Co to znaczy? Co mu zawdzięczasz?

— Ten dom na początek.

— Co?

— Pamiętasz, że Mai wyjechał z pól złotoonośnych ze sporą sumą pieniędzy? Miał chyba czterysta funtów.

## ZATOKA ORCHIDEI

— Tak. To prawda.

— Cóż... dał je mnie.

— Dał? Dlaczego?

— Clivie, jestem zmęczona wyjaśnianiem tej sytuacji ciągle od nowa. Teraz nie mam na to siły. Jesteś bardzo dla mnie dobry, ale naprawdę byłabym wdzięczna, gdyby dzisiaj zostawiono mnie w spokoju.

— Dobrze — westchnął Clive. — Ale nie możesz się tutaj ukrywać. Nie zrobiłaś nic złego. Głowa do góry! Wróć jutro.

Przez kilka następnych dni zdołał wydobyć z niej opowieść o serii wydarzeń, które doprowadziły ją do stanu wyczerpania nerwowego. Żałowała, że nie poradziła się go, nim pośpieszyła na tę swoją misję ratunkową, ale nic nie powiedział. Chociaż przez swoją naiwność znalazła się w centrum uwagi publicznej, i tak miała szczęście, że Kemp potraktował ją ulgowo. Widziała się z Malem, kiedy ten uciekał przed policją, i mogła zostać oskarżona o ukrywanie informacji na temat poszukiwanego przestępcy. Wciąż najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, jak wiele ryzykowała, opowiadając o wszystkim w nadziei, że udowodni tym niewinność Mała.

Czy była zakochana w Malu? Na razie trudno było jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Nie przestała się o niego martwić, Clive'owi jednak wydało się, że słyszy w jej głosie nutkę irytacji z powodu problemów, których jej przysporzył.

Chciał zapytać, czy Mai kiedykolwiek odwiedził ją w tym domu, ale nie śmiał. Emilie nigdy by nie skłamała. Jeśli Mai tutaj był, on wolał o tym nie wiedzieć. Kochał Emilie głęboko, ale musiał patrzeć, gdzie stawia kroki; była taka roztrzęsiona, potrzebowała przyjaźni i wsparcia, nie zaś niecierpliwego kochanka.

Usłyszał za to o jej rodzinnych problemach. Siostra wpadła w furję na wieść o znajomości z bandytą. Clive musiał tłumić śmiech. Nie dziwota, że tak zareagowała. Jego siostra w takiej sytuacji wypędziłaby go z domu. Jednakże narzeczony Ruth, eks-narzeczony, to była inna sprawa.

— Nie podoba mi się ten gość.

— Nie cierpiąłbyś go. Okropny człowiek. Ruth lepiej jest bez niego. Nie sądzę, by kiedykolwiek go kochała, ich narzeczeństwo sprawiało wrażenie wygodnego układu.

— Dla obu stron.

W końcu Emilie zdobyła się na uśmiech.

— Ale przynajmniej mam akt własności ziemi, a Ruth dostała swoje pieniądze. Więcej, niż się spodziewała. Próbował ją oszukać. Straszny człowiek.

Clive zastanawiał się, czy na tym koniec. Siostry powierzyły Bowlesowi pieniądze na spłatę długu zaciągniętego w Towarzystwie Emigracji; obiecał, że dla bezpieczeństwa prześle je do Londynu pocztą dyplomatyczną. Clive wszakże wątpił, by niższemu urzędnikowi zezwolono skorzystać z poczty dyplomatycznej w celach prywatnych, i nie byłby zaskoczony, gdyby się okazało, że cała suma wciąż znajduje się w kieszeni szanownego pana Bowlesa. Czas pokaże. Prawdę mówiąc, przekonają się o tym po wielu miesiącach, a wtedy Emilie lepiej będzie mogła sobie z tym poradzić. Gdyby ta wielka przecież suma pieniędzy nie dotarła do Towarzystwa, to można by wezwać na pomoc prawnika Emilie, Lanfielda, który sprawiał wrażenie skutecznego i obytego w świecie.

Stopniowo Emilie zaczęła wychodzić z dobrowolnego odosobnienia, zachęcana do tego przez sąsiadów, panią Mooney i oczywiście Clive'a, który zabierał ją na długie spacery polnymi drogami z dala od miasta. Straszliwie obawiała się ludzkich spojrzeń, wzgardy i w żaden sposób nie potrafili jej przekonać, żeby brała udział w życiu społeczności. Wzruszała ją dobroć Clive'a, ze wstydem wspominała swoje zachowanie z przeszłości. Ależ była podła i małostkowa! Jakim prawem oceniała go w sprawie tej kobiety, Fleur? Miałaby za swoje, gdyby Clive osądził ją tak samo jak Ruth, pani Manningtree i Bóg wie ilu jeszcze mieszkańców miasta. Był zazdrosny o Małą, a ona dała mu więcej powodów, żeby czuł się źle... od żadnego dżentelmena nie można by oczekiwać, żeby spokojnie to znosił, on zaś mimo wszystko wciąż stał u jej boku. Kochany Clive.

Nadszedł uprzejmy list od misjonarzy z Wyspy Frasera, w którym prosili, by przyjęła posadę nauczycielki angielskiego w szkole dla tubylców; zapewniali, że to wzniosła praca i służba Bogu. Choć Emilie nikomu o tym nie wspomniała, zastanawiała się nad ofertą. Brzmiała interesująco, oznaczała prawdziwe wyzwanie, coś zupełnie odmiennego, co pozwoliłoby jej otrząsnąć się z tego okropnego poczucia niższości, które ją przytłoczyło. I czy Mai nie mówił, że wyspa jest niewiarygodnie piękna?

Znowu Mai. Pozbyła się tego nieracjonalnego gniewu na niego, choć niepokój pozostał. Mogła się tylko za niego modlić. Wyglądało na to, że gazety przestały interesować się tą sprawą, Emilie wiedziała jednak, że historia lada dzień znowu trafi na pierwsze strony, i musiała się jakoś na to przygotować.

Później odwiedził ją Manningtree przywożąc ze sobą dzieci, które przybiegły i rzuciły się Emilie na szyję; rozpłakała się, podczas gdy ojciec stał obok, patrząc na grupkę z radością.

Przywieźli jej prezenty: rysunki dzieci, jagodowe ciasto od Kate i ananasa przewiązanego różową wstążką od Nellie.

Kiedy pierwsze podniecenie opadło i dzieci pobiegły odkrywać schodzący tarasami do rzeki ogród, Manningtree na swój bezpośredni sposób zapytał, co Emilie teraz porabia.

— Niewiele — odpowiedziała zakłopotana.

— Tak słyszałem. Nie widuję cię w mieście. Nigdzie cię nie widuję. Zamieniasz się w pustelnicę czy co?

— O nie. — Emilie nerwowo odwróciła wzrok. — Po prostu rzadko wychodzę.

— Dlaczego? Nie mogę nic poradzić, że moja żona cię wyrzuciła. Przyjęła inną, córkę jednego z plantatorów, ale po mojemu ta dziewczuszka niewiele wie. Nawet nie umie grać na pianinie. Wracając do tej drugiej sprawy, z tego co czytałem, wydaje mi się, że słusznie postąpiłaś wobec tego chłopaka.

— Tak, panie Manningtree. Nadal wierzę w jego niewinność.

— Jeśli tak, panienko, to ma straszego pecha, tyle powiem. Ale co z tobą? Chcesz tu siedzieć i rozczulać się nad sobą?

— Słucham?

— To prawda, no nie? Boisz się pokazać ludziom twarz. Myślałem, że masz więcej ikry. Robisz z igły widły, i tyle. Nie ciebie pierwszą i nie ostatnią moja pani wylała. Chyba nie pozwolisz, żeby to cię załamało?

— To nie było przyjemne, panie Manningtree, prawdę mówiąc, przeżyłam szok. Ale gazety były gorsze. — Emilie poczuła, że za chwilę się rozpłaczę. — To bardzo trudne.

— I co z tego? Nigdy nie myślałem, że zobaczę, jak tracisz z oczu to, co naprawdę się liczy, a przecież jesteś wykształconą kobietą.

— Nie rozumiem.

— Więc lepiej się nad tym zastanów. Ludzie tutaj przeżyli prawdziwe tragedie i znowu stanęli na nogi. Życie pionierów to

nie przelewki: dzieci umierają, żeby przetrwać, trzeba walczyć z każdym przeciwieństwem, które ten przeklęty kraj rzuca ci pod nogi... Nie umiem tak dobrze mówić jak ty, ale jesteś tu dość długo, żeby się przekonać, że w tej części świata nic nie przychodzi łatwo. — Wstał, by popatrzeć na dzieci, które biegały wśród krzaków. — Straciliśmy naszego pierwotnego — powiedział z goryczą. — Nie było doktora. Myślałem, że moja pani oszaleje. Miał dopiero roczek. Był prawdziwym skarbem...

— Tak mi przykro.

— Cóż... Powinnaś się rozejrzeć, to próbuję ci powiedzieć. Ale jest jeszcze coś. Przekazałem radzie miejskiej działkę przy March Street pod budowę szkoły. I w końcu się do tego zabierają, cholernie długo im to zeszło. Widziałem plany, szkoła będzie jednoklasowa, ale na razie nam wystarczy. Powinnaś natychmiast złożyć podanie. — Skończywszy przemowę odwrócił się do rzeki. — Do diaska, to cholernie ładne miejsce, widok jest świetny. Stary Paddy znał się na rzeczy. Poczciwiec był z tego Paddy'ego. Czas na nas, zawołam dzieciaki.

Emilie podeszła do niego i ujęła pod ramię.

— Czy pamięta pan, jak przyjechał pan odebrać mnie ze statku? Mogę teraz się przyznać, że mnie pan przeraził. Nie zdawałam sobie sprawy, jakim dobrym pan jest człowiekiem, panie Manningtree. Pewnie myślał pan sobie, że okropnie zdzieram nosa.

— Co prawda, to prawda — przytaknął Bert. — Dzieci, chodźcie tu do mnie! Musimy jechać, bo spóźnimy się na obiad.

Clive był zaskoczony, kiedy Emilie zgodziła się sama przyjść do miasta na lunch w hotelu pani Mooney. Chociaż nie było to łatwe. Na każdym rogu musiała walczyć z pokusą, by zawrócić, i z całej siły starała się skupić myśli na poranku... Już było gorąco, a to przypomniało jej Ruth, która zawsze narzekała na pogodę.

— Tu jest upał albo jeszcze większy upał, Emilie. Wiele bym dała, żeby znowu zobaczyć śnieg i szron.

— Nie zносиłaś śniegu, a w naszym domu zawsze było tak zimno...

Kiedy weszła do miasta, nie miała pojęcia, czy ktoś się jej przygląda. Włożyła słomkowy czepek, nie dlatego że wstążki pasowały do letniej sukni, lecz dlatego że był niczym kłapki — nie widziała w nim na boki. Zastanawiała się nad nagana,

której udzielił jej Bert Manningtree; w gruncie *rzeczy* nie była przekonana, czy pograżyła się w żalu nad sobą, ale jego uwagi zmusiły ją do podjęcia wysiłku. Czuła się tak, jakby znowu zaczynała od nowa, idąc główną ulicą Maryborough przenikniętą tą samą obehwładniającą nieśmiałością, którą doskonale pamiętała z pierwszych dni pobytu w mieście.

Może istotnie muszę zacząć od nowa, rozmyślała. Potem jednak zobaczyła Clive'a czekającego przed hotelem i poczuła taką ulgę, że prawie zerwała się do biegu. Drogi Clive, tak przystojny, emanujący pewnością siebie, a równocześnie bez cienia wątpliwości darzący ją uczuciem. Na jej widok jego twarz rozjaśniła się radością i Emilie poczerwieniała; pomyślała, że chyba pocałuje ją na ulicy. I oczywiście pocałował, kiedy wszakże zdecydowanym ruchem ujął ją pod ramię, doświadczyła własnej radości. Uwielbiała przebywać z Clive'em.

W czasie lunchu dołączyła do nich pani Mooney i swobodnie gawędzili o własnych sprawach. Pani Mooney za radą niemieckich przyjaciół ustawiała stoliki i krzesła w ogrodzie za hotelem, by klienci mogli spożywać posiłki na świeżym powietrzu.

— Moi przyjaciele byli przerażeni, kiedy im powiedziałam, że muszę zbudować dach na słupach — śmiała się pani Mooney. — Oznajmili, że nie rozumiem istoty pomysłu, ale to oni niczego nie rozumieją. Nadal będzie na tyle ciepło, żeby tam siedzieć, choć w porze deszczowej dach jest absolutnie konieczny. Nigdzie indziej nie widziałam takich ulewnych deszczów jak tutaj.

Clive i Emilie zgodzili się, że to świetny pomysł, po czym Clive opowiedział o własnych planach. Po lunchu chciał obu paniom pokazać sklep, który wynajął, i zapytać o pomysły na urządzenie, zanim wezwie cieślę. Otrzymał pierwszy katalog z męskimi ubraniami z magazynu w Sydney i wkrótce spodziewał się wizyty ich przedstawiciela.

— Myślałam, że zamierzasz jechać do Brisbane i osobiście kupić towar — powiedziała Emilie.

— Zamierzałem, dopóki nie pogawędziłem sobie z panem Xiu.

— Kto to jest pan Xiu?

— Chiński dżentelmen, prawdziwa krynica mądrości. Rozpytał się na własną rękę i mógł mnie poinformować, że hurtownicy w Sydney są tańsi i bardziej wiarygodni.

— To szalenie miło z jego strony.

Pani Mooney kiwnęła głową.

— I sprytnie. Nie może pozwolić, żeby jego najemcy zbankrutowali. Clive doskonale sobie poradzi, zapamiętaj moje słowa. Przyda nam się taki sklep.

Podczas całej rozmowy Emilie widziała wchodzących i wychodzących ludzi, nie dostrzegła jednak żadnych ukradkowych spojrzeń, nikt nie okazywał jej niemiłego zainteresowania i stopniowo zaczęła się odprężyć, miała bowiem wrażenie, że najgorsze już za nią. Przynajmniej na razie.

— Słyszę, że wreszcie budują szkołę — mówiła pani Mooney — a mały ptaszek szepnął mi, że możesz być naszą pierwszą nauczycielką, Emilie.

— Och nie, naprawdę. Jestem pewna, że będą potrzebowali kogoś lepiej wykwalifikowanego niż ja. Jak twojej córce podoba się pobyt w szkole z internatem? Miałaś od niej ostatnio wiadomości?

Udało jej się zmienić temat, ale kiedy spacerkiem wracali do domku, Clive zapytał z ciekawością:

— Wiedziałaś o szkole?

— Tak, od pana Manningtree. Chce, żebym ubiegała się o posadę nauczycielki, ale ja nie mam zamiaru. Musiałabym złożyć podanie do rady miejskiej, a jestem pewna, że po tych wszystkich nieprzyjemnościach wcale nie braliby mnie pod uwagę-

— Nic o tym nie wiem. I masz odpowiednie kwalifikacje.

Emilie przystanęła.

— Clivie, bądź szczerzy, mój drogi. Dobrze wiesz, że reputacja, jaką ostatnio się cieszę, będzie mnie wyprzedzać. Niektórzy ludzie mogą okazać na tyle uprzejmości, że nie wezmą jej pod uwagę, ale nazbyt wielu innych postąpi odmiennie. Gdybym ja była członkiem tej rady, to obiektywnie patrząc na sprawę, odrzuciłabym podanie. Nie mam najmniejszego zamiaru stawiać się w sytuacji, w której czeka mnie odmowa. Możemy więc zapomnieć o szkole?

— Oczywiście. Z radością o niej zapomnę. Nie spodziewam się, że moja żona będzie musiała pracować.

— Przepraszam, ale nie rozumiem? — Emilie otworzyła szeroko oczy.

— O Boże, to mi się wymknęło! Wszystko zepsułem. Chciałem poczekać, aż poczujesz się silniejsza...

— Twoja żona?

— Tak powiedziałem — odparł smutno. — I myślałem poważnie, choć zamierzałem się oświadczyć w bardziej romantycznej scenerii, nie na rogu ulicy. Kocham cię, Emilie, i proszę, byś uczyniła mi ten zaszczyt i została moją żoną.

Osołomiona Emilie miała pustkę w głowie, nie przychodziła jej na myśl żadna rozsądna odpowiedź.

Ujął ją pod ramię i ruszyli w dół z boczna do furtki.

— Nie powinienem był tak cię zaskakiwać. Nie musisz odpowiadać mi natychmiast ani nawet w przyszłym tygodniu. — Uśmiechnął się. — Jeśli chcesz, możemy na razie odsunąć termin oświadczyn.

— Tak, dziękuję — rzekła cicho. — Rzeczywiście mnie zaskoczyłeś. Ja... jakby to ująć... nie myślałam o małżeństwie. Chyba zbyt byłam zajęta własnymi troskami.

— Chodzi o Małą?

Emilie zdrząła.

— Mai? Nie wiem, Clivie, naprawdę nie wiem. Nie mogę przestać się o niego martwić. Jest niewinny. To takie okrutne.

Poczuła ulgę, gdy Clive nie próbował drażyć żadnego z tych tematów.

— Porozmawiamy o tym kiedy indziej, Em. Pamiętaj jednak, że cię kocham. Wierzę, że możemy być razem bardzo szczęśliwi, ale sama musisz zdecydować.

Nie został. Pocałował ją w policzek i pożegnał się przed drzwiami i Emilie była rozczarowana. Sobą. Oświadczyły to w końcu nie jest coś, co zdarza się codziennie. Mogła przynajmniej okazać jakieś emocje, zamiast mamrotać coś w zakłopotaniu. Miała nadzieję, że nie zraniła uczuć Clive'a. I co powiedziała o Malu? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Tak trudno było wyjaśnić jej stosunek do Mała, nawet samej sobie. Tamten wieczór, kiedy odwiedził ją w domku, był bardzo romantyczny, podniecający. Jakby nikt poza nimi nie istniał na całym świecie.

Podeszła do okna i popatrzyła na rzekę. Świat i ludzie jednak istnieli, a wybory życiowe tych dwóch mężczyzn dzieliła przepaść. I była wielka różnica pomiędzy miłością a przyjaźnią. Emilie wreszcie przed samą sobą przyznała, że kocha obu, Mała i Clive'a. Zastanawiała się jednak, czy jej uczucia do Mała nie są teraz oparte wyłącznie na lojalności. W gruncie rzeczy wcale go



przecież nie znała. Gdyby tylko znowu mogła się z nim zobaczyć, porozmawiać...

W jej głowie pojawiła się niewygodna myśl. A jeśli Mai przestał się nią interesować? Może jest wdzięczny za jej pomoc, ale przeżył okropny okres i jego uczucie do niej mogło zblaknąć. Emilie westchnęła. Co pomyślałaby Ruth o oświadczeniach Clive'a? Nic miłego. Jego też nie aprobowała.

Zdjęła czepek, rzuciła na stół i bez celu zaczęła krążyć po pokojach. Być damą, która nie ma nic do roboty przez cały dzień i z nikim nie może porozmawiać — to nie należało do przyjemności. Powinna zastanowić się nad jakimś zajęciem. Nagle zatęskniła za domem w Brackham, za rodzinnym życiem, które wydawało się oczywistością przed ponownym małżeństwem ojca, za wioską, w której wszystkich znała... W Brackham zawsze miała co robić, na przykład mogła pójść do biblioteki pani Collet. Tutaj nie było biblioteki ani księgarni...

— Tylko rzeźnik, piekarz i wytwórca lichtarzy — powiedziała ze smutkiem, zastanawiając się, jak to miejsce musiało wyglądać przed dwudziestu laty, kiedy przybyli tu pierwsi osadnicy. — Piekło na ziemi — wzdrygnęła się. Według Berta Manningtree większość tych pierwszych osadników nadał tu mieszka. Byłoby rzeczą zajmującą spisać ich doświadczenia, kontakty z wrogimi Aborygenami, karczowanie buszu gęstego jak dżungla, obywanie się bez dostaw świeżej żywności. Na Boga, dlaczego ludzie, przede wszystkim emigranci, z własnej woli decydowali się na takie niebezpieczeństwa? Poznanie odpowiedzi na to pytanie z pierwszej ręki byłoby interesujące. Och, gdyby Bert Manningtree mógł ją przedstawić tym pionierom! Kto wie? Wtedy z pewnością miałyby czym wypełnić czas.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Radca królewski Quentin Allenby nie używał zbędnych słów.

— Nie widzisz, stary druhu? Nasz klient wraca na pole. Carnegie może i jest jedynym na świecie człowiekiem, który nie słyszał, że komisarz Griffen zastrzelił swoich strażników. Albo wypadło mu to z pamięci. Tak czy owak, nie czyni go to mordercą. Nie zapominaj, że jest ofiarą, dlatego też bez najmniejszych trudności sprowadzi do sądu ludzi z najwyższych kręgów, którzy zaświadczą o jego dobrym charakterze przed ławą przysięgłych. O ile w ogóle będą mu potrzebni. Pamiętaj, że to nie jego będą sądzić.

Lanfield pokiwał głową.

— Rozumiem, ale spodziewałem się, że będziesz mógł podważyć jego zeznania. Już jest zdenerwowany...

— W sali sądowej nerwowość nie jest przywilejem winnych, wiele niewinnych osób załamuje się przekroczywszy jej próg.

— Wiem o tym — rzekł Lanfield cierpko. — Na pewno jednak możesz go podejść...

— W jakim punkcie? Z tego, co mi mówisz, wciąż niezłomnie twierdzi, że Willoughby brał udział w napadzie. Rzeczą prawie niemożliwą będzie skłonienie go, by to odwołał. Opinia publiczna nadal gani policję za to śledztwo, więc muszą kogoś skazać, a Willoughby jest ich człowiekiem. Przedstawią go jako złodzieja, oszusta, desperado, który nie okazuje najmniejszej skruchy po popełnieniu tej ohydnej zbrodni.

Mimo że Allenby twierdził, iż omawia sprawę z najgorszego punktu widzenia, by dzięki temu uporządkować własne argumenty, Lanfield odnosił wrażenie, że adwokat żałuje podjęcia się

obrony, i to go przygnębiło. Do tej chwili był przekonany, że Willoughby zostanie oczyszczony z zarzutów dzięki udowodnieniu, iż Carnegie w najlepszym razie się pomylił. Tylko tego potrzebowali. Policja miała słabe dowody, teraz wszakże zaczynały tworzyć całość z silnymi motywami.

Wracając do siebie wspominał pożegnalne uwagi Allenby'ego.

— Ponieważ nie ulega wątpliwości, że wszyscy podejrzewają Carnegiego, jego zeznanie dokładnie prześwietle. Jest bankrutem. Sprzedaż domu pokryła jedynie najważniejsze długi, co do długów karcianych wszakże, drogi przyjacielu, w towarzystwie nikt nie uważa ich za zbrodnię. Co i tak jest bez znaczenia, skoro to nie on będzie oskarżonym. Jeśli chodzi o tego dżentelmena, to albo jest niewinny, a tym samym jako ofiara napadu ma wszelkie prawo sprzeciwić się okrutnym podejrzaniom, albo też jest o wiele sprytniejszy, niż powszechnie się uważa. Rozumiesz, na czym polega mój kłopot?

Lanfield był zaskoczony, kiedy zobaczył, że w holu czeka na niego sierżant Pollock.

— Czym mogę panu służyć?

— Muszę z panem porozmawiać, panie Lanfield. To rzecz nie cierpiąca zwłoki. Niedługo wracam do domu, a nie zakończyłem tutaj pracy.

— To z pewnością problem pańskich przełożonych. Proszę wejść.

Powiesił kapelusz i laskę na wieszaku, po czym wprowadził sierżanta do swojego gabinetu, zniecierpliwionym wzrokiem mierząc stos dokumentów, który kancelista umieścił na jego biurku. Usiadł i gestem zachęcił gościa, by uczynił to samo.

Pollock usadowił swoje kościste ciało na krześle, po czym się pochylił.

— Panie Lanfield, istnieje możliwość, że rozprawa Willoughby'ego rozpocznie się w przyszłym tygodniu.

— Tak mi się wydaje. Będziemy gotowi.

— Z radością to słyszę, ale czy wygracie?

— Jesteśmy o tym przekonani.

Sierżant pokręcił głową.

— Chciałbym to przekonanie podzielać. Carnegie jest kluczem do sprawy, wiem o tym. Ale nie wydobędziecie z niego więcej, niż nam się udało. Wezwiecie Baldy'ego Perry'ego?

— Wie pan, że nie możemy. On nie ma związku z tą sprawą.

ZATOKA ORCHIDEI

— Wierzę, że ma.

— I co miałbym z nim zrobić? Wezwać jako świadka obrony? Śmieszne. Nie pozwolono mi z nim porozmawiać z obawy, że zepsuję tę odrobinę szansy na powiązanie go ze zbrodnią, a teraz sugeruje pan, żebym go wezwał.

Pollock wzruszył ramionami.

— Nie, w gruncie rzeczy nie. Chodzi o to, że robię się cholernie zdesperowany. Jcćli oczyścicie Willoughby'ego, sprawa nadal będzie otwarta...

— Obawiam się, że to pański problem.

— A jeśli nie, to po mojemu dojdzie do pomyłki sądowej.

— Myśli pan, że on jest niewinny?

— To niewykluczone, ale nawet jeśli jest winny, nie mógł w żadnym razie dokonać napadu w pojedynkę, więc to sprawy nie załatwia. — Sierżant wyjął zniszczony skórzany woreczek i z wprawą skręcił papierosa, po czym zapalił go, przystaniając płomyk dłonią, jakby przebywał w buszu, a nie w zamkniętym pomieszczeniu. — Niech pan posłucha, panie Lanfield. Jest coś, czego jeszcze nie wypróbowaliśmy. Mam na oku Carnegiego...

— Siedzi go pan?

— Nie przez cały czas. Nie chciałem, żeby mnie zauważył, więc wynająłem do tej roboty gościa z agencji Chestera.

— Policja płaci prywatnemu detektywowi? — zdumiał się Lanfield.

— Nie, ja płacę — zaprzeczył Pollock gwałtownie. — Mówiłem, wpadłem w desperację, na szali leży moja praca. Złoto i gotówka z napadu wciąż gdzieś tam mogą być.

— A pan myślał, że Carnegie zaprowadzi pana do łupu. Że gdzieś go ukrył. Rzeczywiście wpadł pan w desperację.

— Nie wiedziałem, czego szukam. Czegoś innego. Miejsca, do którego on może się udać. Na przykład do pokątnego jubilera. Nie wiem, do osoby, której nie powinien znać.

— I co pan odkrył?

— Nic — wzruszył ramionami Pollock. — Poza tym że chodzi do klubu w czwartki i do kościoła w niedziele. To kościół anglikański w Paddington. Resztę czasu spędza z bratem w domu. Wszystkie zakupy dostarczają im na próg. Nic podejrzanego.

Prawnik był rozczarowany, ale nie okazał, że stracił świeżo rozbudzoną nadzieję.

— Nie rozumiem, co to ma ze mną wspólnego.

— Wciąż mamy szansę. Chciałbym, żeby pan wyświadczył mi przysługę. Chodzi o dość nietypową rzecz, ale pańska współpraca jest tu istotna.

— W jakim charakterze miałbym wystąpić?

— Jak sądzę, jest pan także członkiem jego klubu. Gdyby mógł pan odstąpić od zwyczaju i przypadkiem pójść tam w czwartek, żeby przekazać mu informację. Bardzo ważną informację...

— O nie, to raczej wykluczone. Nigdy nie chodzę do klubu w czwartki, bo jest zatłoczony emerytami, a obsługa marna.

— Bardzo proszę, sir. Ten jeden jedyny raz. Chciałbym, żeby mu pan powiedział, że policja aresztowała człowieka, który się przechwala, że jest bogaty...

— Ma pan na myśli tego Perry'ego?

— Tak, ale niech ręka boska broni pana od wymienienia jego nazwiska. Powie mu pan, że to kryminalista bez żadnych środków utrzymania, a tu nagle zaczyna opływać w dostatki i policja odnosi się do niego z podejrzliwością. Myślą, że to może być drugi poszukiwany...

— Oszalał pan, Pollock? To nie jest nietypowe, tylko oburzające. Oczekuje pan, że pójdę do własnego klubu i zacznę odgrywać jakąś rolę. Nie, zdecydowanie nie.

Pollock nalegał. Argumentował z ferworem, nawet ze złością, lecz Lanfield uparcie odmawiał.

— Jezul! — wykrzyknął wreszcie sierżant. — Nie proszę o wiele. Chodzi o kilka słów, wiadomość. Może mu pan ją przekazać uprzejmie, wcale nie musi pan niczego odgrywać, jak pan to nazywa, bo to prawda. Tylko nie chcę, żeby wymieniać nazwisko, jeszcze nie w każdym razie. On może zapytać. Powie pan, że pan nie wie. Usłyszał pan o sprawie, i tyle.

— A potem co? — ustąpił Lanfield.

— Jego reakcja będzie ważna. To go zainteresuje, bez dwóch zdań. Może się przestraszy. A jeśli uwierzy, że to jego współnik w przestępstwie? Który na przykład zacznie mówić. Możliwości jest wiele. A ja będę czekał na zewnątrz, żeby się przekonać, dokąd potem pójdzie. Nigdy nic nie wiadomo.

— To wysoce niestosowne!

— Ale robi to pan?

— Czy Kemp o tym wie? Albo ktoś inny?

— Nie. Tylko pan i ja.

— Cóż, niech tak zostanie. Jeśli nadarzy się okazja, może coś mu powiem — rzucił Lanfield gniewnie. — Nie wiem jeszcze. Nic nie mogę obiecać.

Pollock zerwał się z krzesła, najwyraźniej pragnąc odejść, nim prawnik zmieni zdanie.

— Proszę zrobić co w pana mocy — rzekł stanowczo. — Będę bardzo wdzięczny, panie Lanfield. W jakiś sposób musimy wydusić prawdę z Carnegiego; moim zdaniem siedzi w tym po uszy.

W Klubie Dżentelmenów przy Edward Street unosił się gwar przytłumionych teatralnie głosów, jako że jedynie garstka obecnych tu członków przyzwyczajona była do prowadzenia rozmowy po cichu, jak wymagały tego zasady. W palarni wrywający się komuś od czasu do czasu okrzyk lub poirytowane szeleszczenie gazetą powodowały, że pozostali unosili głowy lub brwi, poza tym jednak wszystko było jak zwykle. Przy oknie siedział Robert Lanfield, pozornie zagłębiany w lekturze wiadomości giełdowych. Miał nadzieję, że Carnegie zrezygnuje z odwiedzin w klubie w ten czwartek, a tym samym uwolni go od zrobienia z siebie kompletnego głupca. Kelner przyniósł mu sherry.

— Zostanie pan na lunch, sir? Zwykle w czwartki pan nie przychodzi. Czy mam zarezerwować stolik?

— Nie, dziękuję. — Lanfield wyjął ołówek i zrobił w notesie jakąś bezsensowną uwagę o akcjach kopalni złota, po czym westchnął, rozważając wzięcie nóg za pas. Jednakże w tej samej chwili w progu pojawił się Carnegie, na czas, tak jak przewidział Pollock, i co więcej, ruszył prosto ku Lanfieldowi. Przez jedną okropną minutę prawnik myślał, że chce się do niego przysiąść, lecz Carnegie skłonił się komuś za jego plecami. Kiedy mijał Lanfielda, ten wstał, jakby zbierał się do odejścia, i z udanym zdziwieniem zastąpił mu drogę. Czuł się przy tym jak głupiec.

— Pan Carnegie. Cieszę się, że pana widzę. Lepiej się pan czuje?

— Trochę.

Lanfield zawahał się, nim zrobił mu przejście; w istocie wahał się, czy ciągnąć tę farsę, górę jednak wzięła ciekawość. Teraz sam chciał już zobaczyć reakcję Carnegiego.

— Jeszcze chwilę. Słyszałem wiadomość, która może pana zainteresować.

— O co chodzi? — rzucił Carnegie obojętnie.

— Proszę na minutę się zatrzymać, muszę panu o tym powiedzieć! To niesamowite. — Robert bez reszty wcielił się w swoją rolę. — Policja wierzy, że złapali drugiego z tych bandytów. Tych, co na pana napadli.

— Kogo? — zapytał Carnegie zimno.

— Nie pamiętam nazwiska... jakiś kryminalista, zabijaka, wzbudził podejrzenia przechwałkami o swoim bogactwie. To dla tych zbirów typowe, nie mają za grosz zdrowego rozsądku. Nie potrafi wytłumaczyć źródeł swojego nagłego bogactwa...

Błada twarz Carnegiego przybrała zielonkawy odcień.

— Nie ma żadnych znanych środków utrzymania, a tu nagle pieniądze! Powiadają, że był wtedy w Maryborough.

— Nie zna pan nazwiska? — wychrypiął Carnegie.

— Choćby mnie pan zabił, nie przypomnę sobie. Nigdy wcześniej go nie słyszałem. Ale obu zobaczymy na szubienicy. Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć...

— I tak bym się dowiedział w odpowiednim czasie. Dziękuję.

— Carnegie odszedł, kierując się ku grupie mężczyzn w odległym kącie, i było po wszystkim.

— Co za strata czasu — mruknął Lanfield do siebie, chowając notes do kieszonki kamizelki, po czym opuścił klub.

Później tego samego dnia ponownie pojawił się Pollock, by porównać spostrzeżenia.

— I znowu nic odbiegającego od normy. Był w klubie do trzeciej, potem wrócił prosto do domu.

— Od początku to był głupi pomysł — warknął Lanfield.

— Mogę tylko panu powiedzieć, że wyraźnie pozieleniał, kiedy usłyszał o aresztowaniu, zapytał o nazwisko, ale nic poza tym. Więc lepiej niech pan trzyma język za zębami, Pollock, albo stanę się pośmiewiskiem.

Pollock jednak nie okazał niepokoju ani rozczarowania.

— Powiedział mu pan. To pierwszy etap.

— Jaki znowu pierwszy etap?

— Musimy sprawę kontynuować — uśmiechnął się sierżant

— inaczej pańska dobra robota pójdzie na marne.

Lanfield słuchał ze zdumieniem, podczas gdy sierżant przedstawiał następny krok.

— Niemożliwe! Wykluczone!

ZATOKA ORCHIDEI

— Wręcz przeciwnie. Musimy to zrobić. Musi pan to zrobić dla dobra Willoughby'ego. Muszę spróbować, po prostu muszę!

— Kemp nigdy się na to nie zgodzi.

— Kemp pozornie przestrzega zasad, ale on jest z Sydney. Po mojemu doskonale umie je naginać, jeśli widzi istotny powód. Mógł mnie dawno wylać, a tego nie zrobił. To sprawiedliwy człowiek. Wiem, że nie ufa Carnegiemu, wciąż go dręczy, że nawet on nie potrafił nic z niego wydobyć.

— A czego pan ode mnie oczekuje? W tej farsie nie ma dla mnie roli.

— Ależ jest! Musi pan przekonać Kempa. Ja jestem tylko niskim rangą gliniarzem z buszu.

— Nawet by mi się nie śniło, żeby z takim planem iść do Kempa.

— Willoughby będzie wisiał. A ja nie chcę mieć tego na sumieniu.

— Tego nie można przewidzieć. A jeśli podstęp nic nie da?

— To będzie pana czekała ciężka rozprawa, niech mi pan wierzy. Dzisiaj rano słyszałem, że Lilley chce jak najszybciej wyroku skazującego. Nasz prokurator generalny dostaje cięgi od prasy.

Lanfield zaprosił Kempa na drinka w swoim klubie. Kemp z ciekawości przyjął zaproszenie, ale odmówił spotkania w klubie — wolał puby. Stał przy barze w River Inn, ubrany po cywilnemu, kiedy wszedł prawnik rozglądając się za wieszakiem, na którym mógłby zostawić kapelusz, choć oczywiście żadnego tu nie było. Lanfield wyglądał jak ryba wyjęta z wody w tym hałaśliwym barze, głównie odwiedzanym przez robotników, ale — i tu Kemp uśmiechnął się do siebie — to jego problem. Zastanawiał się, czy to Allenby polecił Lanfieldowi w cztery oczy wywieźć się o możliwość wyroku skazującego, nim kwestię tę podniosą w rozmowie z biurem prokuratora. Zasięgnąć rady. Chodzi mu o radę czy o informację? Kemp nie był zadowolony z oskarżenia przeciwko Willoughby'emu, choć Lilley twierdził, że jest żelazne. Wcale nie był zadowolony. I jeszcze jedno. Lilley, polityk w każdym calu, chciał się sfotografować z pojmanym bandytą McPhersonem, ale Kemp zapomniał o tej prośbie. A kiedy Lilley mu przypomniał, sławnego Szkota wysłano na wyspę, by w ściśle strzeżonym



więzieniu odsiedział swój wyrok. Ministrowi to się nie spodobowało.

Kemp odsunął od siebie te myśli i powitał Lanfielda.

— Czego pan się napije?

— Brandy z wodą, dziękuję, Kemp. Uprzejmie z pańskiej strony, że zgodził się pan ze mną spotkać.

— To przyjemność. Lubię ten pub. Mają tu dobre piwo.

Rozmawiali o łagodnej i słonecznej zimie w Brisbane, o wspólnym upodobaniu do uprawiania ogrodu, o egzotycznych roślinach bujnie kwitnących w ogrodzie botanicznym, o tym i o owym, a Kemp z zainteresowaniem obserwował, jak kilka szklaneczek brandy odprężyło tego zwykle zamkniętego w sobie człowieka, który najwyraźniej chciał mu coś powiedzieć, ale wcale się z tym nie śpieszył.

Był piątkowy wieczór, niebo na zachodzie czarowało bajecznymi odcieniami różu znikającego za horyzontem słońca. Pani Kemp pewnie czeka na męża, on jednak nie zamierzał uprzedzać swego rozmówcy. Może jednak było to tylko spotkanie towarzyskie.

Wreszcie Lanfield przeszedł do rzeczy.

— Chciałem z panem omówić pewną sprawę, komendancie. To dość nietypowe i nie będę zaskoczony, jeśli od razu się pan sprzeciwi, ale byłbym wdzięczny, gdyby wysłuchał mnie pan do końca.

— Naturalnie.

Kemp nie przerywał, gdy Lanfield mówił o swoich podejrzeniach wobec byłego komisarza.

— Przykro mi — pokręcił głową. — Już to przerabiałem, wiele razy. Nie mogę znowu tego powtarzać.

— No cóż — westchnął Lanfield. — Mój adwokat Allenby wierzy, że Carnegie przechytrył policję.

Kemp, który akurat podniósł kufel, aż się wzdrygnął.

— Tak bym nie mówił! Zdajemy sobie sprawę, że coś tu jest na rzeczy.

— Oczywiście — odparł Lanfield łagodząco. — Ale zna pan Allenby'ego. Chodziło mu raczej o to, że policja nie chce zając zdecydowanego stanowiska wobec Carnegiego, przez co wszyscy jesteśmy w zawieszaniu, by tak to ująć.

— Nieprawda. Kiedy Willoughby zostanie skazany, usłyszymy całą historię. Nie pójdzie sam na szubienicę, niech pan zapamięta moje słowa.

ZATOKA ORCHIDEI

— Tylko że Willoughby nie zostanie skazany. Już nasza w tym głowa, a opinia publiczna znowu zwróci się przeciwko policji.

— Do czego pan zmierza? — Kemp zmarszczył brwi. — To bardzo poważna sprawa, szokująca zbrodnia, a my jesteśmy teraz za kulisami. Musimy pozwolić, żeby sprawiedliwość przemówiła. Korona przeciwko Willoughby'emu.

— A Carnegie?

— Przeklęty Carnegie! Złoży zeznanie w sądzie i to wszystko.

— Jestem rozczarowany, że pan tak łatwo się poddaje. Nim pan tu przyjechał, słyszałem o panu wiele dobrego od Lilleya.

— A co jeszcze mógłbym zrobić?

— Jest taka rzecz.

— Jaka?

Tym razem to Lanfield przedstawił plan, dokładając wielkich starań, by brzmieć przekonująco, choć niewiele się spodziewał. Brakowało mu desperackiego patosu Pollocka.

— Co?! — zapytał zdumiony Kemp. — Chce pan, żebym się na to zgodził?

Lanfield ponownie wyjaśnił pomysł i wiążące się z tym możliwości.

— No, to chyba jakaś cholerna gra — skrzywił się Kemp. — Szczeniackie podchody. Kto je wymyślił? Willoughby? To w jego stylu.

— Nie. Rozmawiałem z nim dzisiaj rano. Wielka to dla mnie ulga, że przeniesiono go z powrotem do tutejszego więzienia, nie muszę marnować całego dnia... ale nie. On nie ma z tym nic wspólnego. Pomyśleliśmy, że skoro nikomu z nas nie udało się usłyszeć od Carnegiego nic poza tymi samymi zeznaniami, powinniśmy spróbować innego podejścia.

Kemp przyjął za pewnik, że Lanfield ma na myśli siebie i Allenby'ego, i zaintrygowała go taka zuchwałość.

— Co ma pan do stracenia? — ciągnął Lanfield. — Nic, poza kilkoma godzinami pańskiego czasu. W gruncie rzeczy nikt nie musi o tym wiedzieć, jeżeli plan spali na panewce. Jeśli mam być szczerzy, Kemp, sam także nie jestem nim zachwycony, to tylko eksperyment. Może jednak okazać się interesujący...

Komendant patrzył na zalane czerwienią niebo i słońce chowające się za wzgórze. Na ulicy zapalano latarnie wiszące na

drewnianych słupach. Migotały światełka przepływającego promu. Kemp pomyślał o Carnegiem i bezsennych nocach, których ten nędznik mu przysporzył, i wybuchnął śmiechem. Odwróciły się ku niemu głowy, oczy spojrzały przyjaźnie, razem z nim się weseląc.

— A tam, do diabła! — powiedziała. — To jakieś szaleństwo, Lanfield. Ale czemu nie spróbować? Tylko niech pan posłucha. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, nikomu ani słowa. Zachowamy sprawę w tajemnicy.

Lanfield z ochotą się zgodził.

— Może mi pan wierzyć, nie będę więcej chciał o tym słyszeć.

— Więc kiedy? Może w niedzielę, po kościele?

— Wyjeżdżam na ten weekend, zresztą to chyba trochę za wcześnie. Uznaliśmy, że najlepszy będzie czwartek w jego klubie.

— Wszystko zaplanowaliśmy.

— Istotnie. Ale to tylko eksperyment.

— Doskonale. Czwartek w takim razie. — Na Kempie wielkie wrażenie zrobiło to, że Allenby zmusił niechętnego Lanfielda do udziału w intrydze. O tak, Allenby znany był z radykalnych posunięć. W sądzie okazywał się niezłym aktorem. Ciekawe, co z tego wyniknie.

— Pewnie nic — powiedział później żonie. — Sam nie wiem, jak mogłem się na to zgodzić. Módl się, żeby coś się wydarzyło. Musimy zdecydować coś w sprawie Carnegiego.

— To prawda — odrzekła. — Jeśli ten biedak jest niewinny, musi wreszcie zająć się własnym życiem. Już dość się wycierpiął.

Koszmary znowu powróciły. Allyn wierzył, że jest od nich wolny, że zostawił za sobą wszelkie nieszczęścia, kiedy zamieszkał w spokojnym domu brata. Za życia żony John zdecydowanie odmawiał mu dalszych pożyczek, po jej śmierci jednak stało się jasne, że jego władze umysłowe słabną. Po powrocie z północy Allyn przeżył szok, widząc Johna krążącego bez celu po domu, zagubionego i zdeorientowanego, i chętnie zgodził się z pastorem, że pięknym braterskim gestem będzie wprowadzenie się i zaopiekowanie starym dżentelmenem, kiedy sprzeda dom.

Pastor, choć wiedział o separacji państwa Carnegich, nie zdawał sobie jednak sprawy, iż było to schronienie, którego Allyn rozpaczliwie potrzebował.

A potem przyszedł kolejny wstrząs. Allyn odkrył, że sytuacja finansowa brata wcale nie jest tak dobra, jak sobie wyobrażał, za co w mroczniejszych momentach obwiniał bratanka. Był przekonany, że syn Johna przejmując wielką posiadłość ziemską oskubał ojca do czysta. Nie mógł jednak zrażać do siebie bratanka w obawie, że ten sprzeda dom i półakrowy ogród, a ojca zabierze do siebie na zachód. Wtedy Allyn zostałby znowu bez dachu nad głową. Na razie braciom na niczym nie zbywało i Allynowi przypadło do gustu życie emeryta. Stracił zainteresowanie kartami i towarzystwem, chociaż co tydzień odwiedzał klub, by zachować pozory i pogawędzić ze starymi znajomymi.

Kiedy pojmano Willoughby'ego, wiedział, że będzie musiał stanąć się w sądzie, i przez jakiś czas się tym martwił, ponieważ jednak nabrał sił w spokojnym otoczeniu, uznał, że po raz setny powtórzy tylko swoją historię, a potem spokojnie odejdzie. Sala sądowa w żadnym razie nie może być gorsza od tych okropnych przesłuchań, które musiał znosić w Maryborough, kiedy był naprawdę chory z niepokoju i cierpiał dotkliwe bóle w przestrzelonym ramieniu.

Nabrał jeszcze większej pewności siebie, gdy otrząsnął się ze strachu wywołanego wizytą Pollocka, ponieważ wiejski gliniarz niczego nie osiągnął. Obaj wiedzieli, że tylko stracił czas. Allyn był o wiele za sprytny dla tego osła.

Później pojawił się Lanfield, próbując coś zyskać dla Willoughby'ego, licząc, że Allyn przyzna się do popełnienia błędu. Nie miało najmniejszego znaczenia, że źle zidentyfikował McPhersona — rzecz dawała się łatwo wytłumaczyć: nie znał Szkota osobiście. Jednakże oskarżając Willoughby'ego, stał na pewnym gruncie. Tu nie mogło być pomyłki. Niekiedy Allyn gratulował sobie, że wplątał w sprawę Willoughby'ego. Naprawdę wierzył, że był to przebłysk geniuszu. Udowodniło to aresztowanie Willoughby'ego. Dał policji kozła ofiarnego, którego tak bardzo potrzebowali. Gdyby tego nie zrobił, to nie wątpił, że po tak długim okresie bez znalezienia sprawcy bardziej by go dręczyli.

Martwił się natomiast podstępą wzmianką Lanfielda o sprawie Griffena. Oczywiście była mu znana, to z niej czerpał inspiracje do własnego planu. Griffen był głupcem. Wymyślił idiotyczną historyjkę o strażnikach, którzy zabłądzili w buszu, podczas gdy on ich szukał. Kretyn. Zasłużył na stryczek.

Allyn wiedział, że powinien być przyznać, iż o tym słyszał. Wszyscy o tym słyszeli. Ale co z tego? I kogo to obchodzi? Lanfield także odszedł jak niepyszny. Kolejna strata czasu. A potem spotkali się w klubie.

Lanfield myślał, że przekazuje mu dobrą wiadomość, Allyn natomiast o mało nie zemdłał. Jedyne te długie miesiące zachowywania równowagi podczas okrutnych przesłuchań uratowały go od zdradzenia się. Serce mu waliło, w ustach wyschło na wiór, mimo to zdołał spokojnie zakończyć rozmowę z prawnikiem i podejść do przyjaciół jak gdyby nigdy nic. Doprawdy godny podziwu przykład panowania nad sobą. Zjadł lunch bez pośpiechu, zdecydowany w żadnym razie nie okazać, że coś go dręczy, choć z powodu bolesnych skurczów żołądka śmiertelnie się bał, że nie zdoła zachować kontroli nad kiszka. Razem z przyjaciółmi narzekał na nowomodny system telefoniczny, główny temat dnia, z trudem przełknął pudding, po czym o zwykłej godzinie opuścił klub.

Zabrał kapelusz i łaskę, wyszedł na ulicę i skręcił w lewo, energicznym krokiem mijając budynek, następnie ruszył brukowaną alejką do stajni, gdzie zostawił konia. W połowie potknął się i oparł o ścianę, rozpaczliwie walcząc z falą wymiotów.

Dojechał jakoś do domu, a nudności ustąpiły miejsca do tkliwemu niepokojowi.

Kogo aresztowała policja? Typowe dla tego idioty, że zapomniał nazwiska. Co właściwie powiedział? Człowiek nieznany, innymi słowy nie ścigany listem gończym. To może być Peny. Chełpiący się bogactwem brutal, który nie potrafi wytłumaczyć źródeł swojego bogactwa. To w stylu tego tępaka. Miał całe złoto i gotówkę z napadu i był na tyle głupi, żeby się tym przechwalać, przypuszczalnie też wydawał jak szalony.

Choć może nie. Ten aresztowany może być kimkolwiek. Zwykłym złodziejem, który co zrozumiałe, nie myśli przyznać się do kradzieży. Allyn mówił sobie, że w gruncie rzeczy nie ma się czym przejmować, że nadmiernie puszcza wodze wyobraźni, robi z igły widły, wpada w panikę z powodu aresztowania zwykłego złodzieja.

Tej nocy śnił, że zamordowani mężczyźni są w jego sypialni, mówią coś, ich głosy dudnią jak grzmot, a potem pojawili się inni ludzie, nieznajomi. Taylor zdjął kapelusz i podsuwał każdemu, lecz Allyn nie miał pieniędzy. Próbował im to wytłumaczyć, jednakże groźba wyczuwalna w powietrzu była tak przerażająca,

że zaczął na nich krzyczeć, żeby się wynosili. Zostawili go w spokoju.

Jego wrzaski obudziły Johna, który przywłókł się zapytać, czy Allyn coś słyszał.

— Nie, wracaj do łóżka.

Przez wiele dni na próżno szukał w gazetach wzmianki o aresztowaniu podejrzanego i nie mógł się zdecydować, czy to zły czy dobry znak. Lanfield powiedział, że ten człowiek pochodzi z Maryborough albo przebywał tam w czasie napadu. Allyn tak często rozmyślał o rozmowie z prawnikiem, że nie potrafił przypomnieć sobie użytych przez niego słów. Ale mogło chodzić o Perry'ego. Nienawidził Perry'ego z całego serca. Oczyma wyobraźni widział, jak ten łajdak chełpi się łupem, jak się przechwala, że przechytrzył Allyna Carnegiego, jak w barach, piwiarniach i burdelach udaje wielkiego gościa, triumfuje... ma do dyspozycji tysiące funtów, fortunę. Allyn modlił się, by miłosierny Bóg położył tego zbirą trupem. To morderca. Piekło jest dla niego za dobre.

Ale był też tchórzem, brutalem i tchórzem. A jeśli policja rzeczywiście go aresztowała? Co właściwie zrobił, by przyciągnąć ich uwagę? Mógł zrobić cokolwiek. I co im powiedział? I co by powiedział, gdyby go oskarżyli o morderstwa? O Boże, co by powiedział, żeby uratować własną skórę?!

W dzień Allyn szedł na długi spacer, by zмагаć się ze strachem, w nocy brały go we władanie koszmarne sny. Próbował je odpędzić brandy, co pomagało, ale za to budził się z potwornym bólem głowy i jeszcze bardziej niespokojny. Przez cały ten czas czekał, przerażony, że umundurowany człowiek zapuka do drzwi, lecz nikt się nie pojawiał.

Świadom, że najważniejszą teraz sprawą jest zachowanie pozorów normalności, Allyn zabrał brata do kościoła w niedzielny poranek. Wymienił grzeczności z pastorem, obiecał nawet wziąć udział w wiosennym przyjęciu w przykościelnym ogrodzie, które wydawano w następną sobotę... „jeśli John będzie dobrze się czuł”.

Allyn nie wiedział, czy sprawił to pobyt w domu Boga czy też wesołość otaczających go tam ludzi, lecz w drodze powrotnej do domu opadł go wielki smutek. To nie były wyrzuty sumienia — zamordowani mężczyźni nie budzili w nim żadnych uczuć — z całego serca żałował jednak, że wdał się w tę sprawę, że poszedł na takie ryzyko. Nawet bankructwo i nieunikniona hańba

byłyby lepsze od tego piekła, wyniku zbrodni, którą sam głupio uważał za przestępstwo doskonałe. Została mu tylko gorycz. Wspólnik ukradł pieniądze, a więc on nic nie osiągnął. Ból, niesprawna ręka, wieczny niepokój, strach przed prawem... wszystko to na próżno. Serce mu pękało od żalu nad sobą.

W gazetach ciągle nic. W czwartkowy poranek ubrał się starannie, szesał przydługie włosy na kark w stylu wiejskiego dżentelmena, przypiął złoty zegarek Johna do kamizelki, długo wiązał biały jedwabny krawat, wreszcie zawołał pokojówkę, żeby wyszczotkowała ciemny surdut, tak by odrobina łupieżu ani najmniejszy pyłek nie psuły lśniącej materii. Tak wystrojony, zdecydował się pojechać dwukółką, nie wierzchem. Ten dzień był ważny; Allyn musiał sprawić wrażenie spokojnego, to oczywiście, choć miał nadzieję, że znowu spotka Lanfielda i uda mu się nawiązać z nim swobodną pogawędkę, podczas której zapyta, czy policja ma nowe informacje o podejrzanym. I niewinnym tonem rzuci: „Jakże on się nazywał? Bo zapomniałem.”

Coś w tym rodzaju.

Raz po raz powtarzał sobie w duchu tę rozmowę, zjeżdżając w dół zbocza, mijając policyjne koszary i wzdłuż rzeki kierując się w stronę Roma Street. Starał się powstrzymać dreszcz koło posterunku — czy nigdy nie uwolni się od tego strachu? Z Turbot skręcił w Edward Street, po czym zatrzymał powóz. Stajenni podbiegli, dżentelmen zaś zsiadł, nie zaszczycając ich spojrzeniem. Poprawił kapelusz, obciągnął surdut, wziął laskę i ruszył w kierunku alejki. Niewykluczone, że dzisiaj dowie się, co się dzieje, i będzie mógł poczynić odpowiednie przygotowania. Musi wiedzieć. Ten okropny tydzień sprawił, że nerwy miał w strzępach, podskakiwał przy najmniejszym hałasie, a w lewym oku pojawił się nieprzyjemny tik. Powtarzał sobie, że to nie może być Perry, to musi być ktoś inny, choć niezależnie od tego samo wspomnienie owego zbira budziło w nim wściekłość. Perry go pokonał, temu tępakowi udało się to, czego nie potrafiła dokonać policja. Kłamliwy drań.

— Co jest? — zapytał Perry, kiedy Pollock i szef weszli do jego celi, rzucając na prycę ubranie.

— To komendant Kemp — powiedział sierżant. — Zrobisz dokładnie to, co ci każe, jeśli życie ci miłe.

— O, miejskie ubranie — zdziwił się Perry. — Wychodzę?

— Niewyklucone — potwierdził Kemp. — Każ mu się umyć, Pollock, i przyprowadź go z powrotem.

Więzień nie ucieszył się, kiedy głowę wsadzono mu pod lodowatą wodę, a konstabl zaczął szorować go szczypiącym mydłem.

— Hej, uważaj! Mydło włazi mi w oczy. Co wy mi robicie?

Niczego mu nie wytłumaczyli. Dali szorstki ręcznik, a kiedy się wytarł, poprowadzili zimnym korytarzem do celi, gdzie czekał Kemp.

— A teraz się ubieraj.

Perry kompletnie nic nie rozumiał. Zwalnianym więźniom nie dawano takich modnych strojów, był jednak na tyle sprytny, żeby nie narzekać. To był ubiór prawdziwego dżentelmena, choć przypuszczalnie te umundurowane tępaki się na tym nie znały. Pobyt na wyspie sprawił, że Baldy stracił piwny brzuch, tak więc spodnie pasowały jak ulał. Koszula w paski była miła w dotyku. Baldy spojrział na resztę stroju; szedł o zakład, że policja za niego nie zapłaciła, że należał do jakiegoś umarlaka. Był modny, naprawdę rewelacyjny. Dali mu nawet kamizelkę, czerwoną, z lśniącą złotą nicią, i surdut pasujący do spodni. Trochę się napinał na jego szerokich ramionach, ale poza tym był w porządku.

— Masz, weź też to. — Pollock rzucił mu wymyślny krawat i wypolerowane buty.

Wystrojony Baldy aż cały pokraśniał. Wyglądał tak samo dobrze jak każdy z tych elegantów, co zadawali szyku na jarmarkach. Nawet lepiej.

— Mogę już iść?

Kemp z kwaśną miną stał w progu.

— Jeszcze nie odsiedziałeś wyroku, ale może dopisze ci szczęście. Mamy dla ciebie robotę; jeśli zawalisz, wracasz natychmiast na wyspę. Traktuj to jak zwolnienie warunkowe.

— Jakie zwolnienie?

— Przepustkę.

— Taa, łapię, o co wam chodzi. A jak nie zawalę, będę mógł zatrzymać te ciuchy?

— Jasne. — Kemp wzruszył ramionami.

Baldy widział wyraźnie, że komendant nie jest zadowolony, ale miał przecież swoje prawa. Człowiek nie może wyjść na ulicę w więziennych łachach, muszą w coś go przyodziać, więc równie dobrze może dostać to.



— Co to za robota? — zapytał, bo nagle ogarnęła go podejrzliwość względem tego zwolnienia.

— Prawo do zmiany dla ciebie — warknął Kemp. — Wyprowadź go, sierżancie. Bez kajdanek, ale jeśli spróbuje uciekać, zastrzel go.

— Co?! — wrzasnął Baldy. — Idę spokojnie, nie musicie do mnie strzelać. Po prostu jedźmy na tę robotę.

Wyszorowany i elegancki w kosztownym stroju z krzykliwymi dodatkami Perry został sprowadzony po zimnych kamiennych schodach. Wyszli przez łukowatą bramę na ulicę, gdzie wreszcie mógł odetchnąć wolnością.

Czekał tam na nich woźnica z dwukółką. Kiedy podeszli, wręczył Pollockowi pas z nabojami i strzelbą. Baldy patrzył ponuro, jak sierżant je przypina, i martwił się, że dziura po kuli zniszczy najlepsze ubranie, jakie w życiu miał na sobie.

Podczas gdy Baldy siedział w dwukółce, Kemp wezwał sierżanta na bok.

— Tylko nie pozwól mu uciec — powiedział przez zaciśnięte zęby.

Odprowadził ich wzrokiem, wciąż zaniepokojony tą szaradą, która sprawiała wrażenie z góry skazanej na niepowodzenie, ale wyraził zgodę i teraz nie pozostało mu nic innego, jak kontynuować plan. Nie ma przedstawienia bez marionetki, myślał, wracając do koszar i ryglując za sobą bramę. Poweselał: Baldy wyglądał odpowiednio do swojej roli, już Pollock o to zadbał. Idąc do stajni, śmiał się w duchu.

Jego wierzchowiec czekał tam na niego, podobnie jak trzej uzbrojeni policjanci, których wcześniej poinstruował o zadaniu. Wyjął zegarek...

— Dobrze. Mamy mnóstwo czasu. Pamiętajcie, chcę, żebyście byli pieszo. Konie usuńcie z widoku. Jeden z was na każdym końcu. Forrest, ty dasz gwizdnięciem Pollockowi znak, że pora zaczynać. Tylko nie używaj policyjnego gwizdka. Nie pokazujcie się. Mamy tylko tę jedną szansę. — Wskoczył na siodło i spojrzał na podwładnych. — Pilnujcie Perry'ego. Na litość boską, nie dajcie mu uciec.

Dla swojego dobra, dodał w duchu, gdy ciężkie skrzydła bramy rozsunęły się przed nimi. Stratę Perry'ego trzeba by gruntownie wyjaśnić.

Stali koło dwukółki na tłocznej Edward Street, niedaleko wejścia do Klubu Dżentelmenów, budynku, który Perry'ego wcale nie interesował.

— Co my tu robimy? — zapytał.

— Nie jestem pewny, czy to właściwe miejsce — odparł Pollock grając na zwłokę; zaraz jednak zobaczył, że jego główek z agencji Chestera, który mijał ich konno, kiwa głową. Dobrze, Carnegie jest w drodze. Sierżant poczuł ulgę. Obawiał się, że były komisarz może zmienić zdanie i zrezygnuje z wizyty w klubie w ten dzień. Mógł nawet z innego powodu wybrać się do miasta, co spotkanie czyniłoby trudnym, choć nie niemożliwym. Ale nie, odetchnął Pollock. Na razie wszystko idzie jak po maśle.

Zapalił papierosa i spojrzął na Perry'ego.

— Masz ochotę?

— Jasne, sierżancie. — Perry był zadowolony z siebie, zaciągając się dymem i pławiąc w tej nieoczekiwanej przyjemności.

A potem Pollock usłyszał cichy gwizd i zebrał się w sobie. Musi dobrze to przeprowadzić. Ujął Perry'ego pod ramię i ruszył ulicą, mijając klub i kierując się ku alejce.

— Chryste — powiedział nagle. — Wiedziałem, że to złe miejsce. Popatrz, pójdziesz do tych stajni, ale bez żadnych numerów, będę zaraz za tobą. Muszę tylko powiedzieć Jackowi, żeby przyprowadził tutaj dwukółkę.

— Co?

— Idź już!

— Jasne.

Wciąż rozkoszując się papierosem, Baldy wolnym krokiem ruszył alejką. Nie obchodził go charakter tej roboty, wypuścili go z więzienia i to było najważniejsze, wiedział też, że nie pora na sztuczki. Nie zdziwiłoby go, gdyby kazali mu pracować w stajniach, dobrze znał tę okolicę. Zostanie tu tak długo, jak będzie musiał, więc pieprzyć ich, a potem spokojnie wróci do Maryborough, żeby zabrać coś, co czeka tam na niego od dawna. Wciągnął w nozdrza aromat papierosa. I na początek kupi sobie setkę takich papierosów.

Na drugim końcu alei zobaczył zbliżającego się ku niemu dżentelmena, którego cylinder rysował się wyraźnie na tle nieba. Prawdziwy wytwornisz, z najwyższych kręgów. Z przyzwyczajenia Baldy zerknął za siebie — Pollock jeszcze go nie dogonił

— bo to było ulubione miejsce kieszonkowców. Nadal może jest, pomyślał złośliwie, ale dzisiaj miał zamiar zachowywać się bez zarzutu, skoro na pięty następował mu Pollock... Przyśpieszył kroku, rzucając przed siebie niedopałek — teraz sam był dżentelmenem, jego strój o tym świadczył. Dorównywał temu jegomościowi i na pewno nie zejdzie mu z drogi. Baldy przesunął się na środek alei, gdzie płaskie kamienie tworzyły płytki rowek.

Od nieznanego dzieliło go kilka jardów, gdy rozpoznał Carnegiego. Carnegie! A niech to diabli! I Pollock idzie tuż za nim! Baldy nie ośmielił się obejrzeć, zamiast tego pochylił głowę starając się ukryć twarz. Przecież nikt nie powinien wiedzieć, że się znają. Musi iść...

Allyn zobaczył przed sobą wielką postać i trochę się zdenerwował; dżentelmenów napadano w tej alejce, choć ostatnio rzadko zdarzało się to w biały dzień. Poza tym ten jegomość był dość wystrojony, nie wyglądał na kieszonkowca, raczej na jakiegoś kombinatora. I było w nim coś znajomego. Carnegie głowę trzymał wysoko, ale wzroku nie odrywał od nadchodzącego człowieka. Z jakiegoś powodu go przeraził — był taki zwalisty. Carnegie mocniej ścisnął laskę, by móc się obronić, gdyby nieznajomy go zaatakował.

A potem wytrzeszczył oczy. Znał go. Przyjrzał się raz jeszcze i poznał Perry'ego, który chował twarz w nadziei, że Allyn Carnegie, były wspólnik, minie go obojętnie. O mało mu się to nie udało. Był wystrojony i dlatego nie — w głowie Allyna myśli goniły jak oszalałe — skoro tyle ma pieniędzy, że mógłby nimi zapalać cygara? Jednakże żadne bogactwo ani nowe ubranie nie zamaskują tego nędznego zbira.

Allynowi oczy przesłoniła czerwona mgła. Całe to cierpienie, niepokój i strach eksplodowały, gdy zaatakował Perry'ego laską z gwałtownością, o jaką siebie nawet nie podejrzewał.

— Ty świni! — krzyczał. — Ty gnoju! Myślałeś, że nigdy cię nie znajdę! Zabiję cię, łajdaku!

Peny odpychał go od siebie.

— Nie! Nie! Idź dalej, ty przekłety głupecze. Ja cię nie znam! Zostaw mnie!

W gorączce Carnegiemu nie wpadło do głowy, że olbrzym nie reaguje normalnie, że przecież mógłby zwalić go z nóg jednym ciosem. Widząc, że Perry próbuje od niego uciec, złapał go za koszulę, bijąc w piersi i obrzucając najgorszymi obelgami. Laska

## ZATOKA ORCHIDEI

wyleciała mu z dłoni, ale nie dbał o to; kopał Perry'ego i drapał, chwycił za kołnierz, jakby chciał go udusić, nie puszczając, chociaż Perry rozpaczliwie próbował się od niego uwolnić...

— Zostaw mnie, ty głupcze!

Nagle pojawili się policjanci, by uratować zbira, co Carnegie jeszcze bardziej rozwścieczyło.

— Ten człowiek mnie zaatakował! — zawołał piskliwie. Zapadła cisza, Perry stał i kręcił głową z pogardą.

— Oszalałeś, Carnegie — powiedziały. — Kompletnie straciłeś rozum.

W połowie alei otworzyło się służbowe wejście do klubu i Carnegie przymrużył oczy, widząc kolejną znajomą postać. Kemp. Co on tu robi? Nie był przecież członkiem, choć może teraz się przydać.

— Ten człowiek mnie zaatakował! — krzyknął do Kempa. — Zaaresztujcie go!

— Czy to prawda? — zwrócił się komendant do Perry'ego.

— Tak, zaatakowałem go. Zdenerwował mnie.

Zaczerwieniony Carnegie z trudem łapał oddech; ubranie miał w nieładzie, zgubił gdzieś kapelusz i laskę. Kiedy ich szukał, dotarła do niego niezwykłość tej sytuacji, uświadomił bowiem sobie, dlaczego Perry zachowuje się tak ulegle.

Policjanci czekali. Kemp podniósł laskę i podał Carnegieму. Nie śpieszył się. Aleją biegł następny policjant, wysoki, kościsty. Pollock! Allyn patrzył na niego z niedowierzaniem.

— Odnoszę wrażenie, że wy dwaj, panowie, znacie się — powiedział wreszcie Kemp.

— Nie znam go — odparł Perry, a Carnegie, odzyskawszy panowanie nad sobą, natychmiast potwierdził.

— Nigdy go nie widziałem.

— Perry zwrócił się do niego po nazwisku — wtrącił umundurowany policjant.

Jego kolega dołączył swoją opinię:

— Szedłem od strony stajni, widziałem, jak Carnegie napadł na Perry'ego.

— To nieprawda! — krzyknął Allyn. — Nieprawda!

— Wręcz przeciwnie — zaprotestował policjant.

— Nieważne — powiedział Kemp ze znużeniem. — Wszystko słyszałem. Wy zabierzcie Perry'ego do aresztu. A pan, panie

Carnegie, pójdzie z nami. Będzie nam pan musiał wyjaśnić parę rzeczy.

— W jakiej sprawie? Nigdzie nie pójdę! Jak śmiecie!

Kemp jednak nie zważał na te protesty. Poinstruował Pollocka, by przewiózł byłego komisarza na posterunek. Zauważył, że po raz pierwszy sierżant zapomniał języka w gębie. Zaryzykował i wygrał, wszystko na to wskazywało, i teraz chyba nie potrafił jeszcze tego ogarnąć.

Kemp wrócił do stajni, gdzie zostawił konia, wciąż rozmyślając o reakcji Pollocka.

— A niech mnie diabli! Nie wydaje mi się, żeby ten drań naprawdę był przekonany, że podstęp się uda. Chwytał się brzytwy i jeszcze mnie do tego namówił. — Kemp od początku podejrzewał, że autorem pomysłu nie był Lanfield. A równocześnie wiedział, iż nerwy Carnegiego są w takim stanie, że nie poradzi sobie z nagłym wstrząsem; ten człowiek był chodzącym duchem, równie wiarygodnym co pens z dwoma awersami. Kemp w żadnym razie nie zgodziłby się stracić Carnegiego z oka.

Teraz jednak trzeba się zająć Perrym i Carnegiem. I jeśli tym razem zrobią to dobrze, sierżant zasłuży na nagrodę.

Baldy stracił dobry garnitur. Znowu miał na sobie szorstkie więzienne łachy, znowu siedział w więzieniu w Brisbane i z całych sił walczył z oskarżeniami. Zaprzeczał, kłamał, zmieniał zeznania i w końcu sam się pogubił. Nie wiedział już, czy zna Carnegiego, nie miał pojęcia, co i jak. Przesłuchania zaczęły się od nowa dzięki temu szaleńcowi. Baldy orientował się, że to był podstęp i gdyby Carnegiemu wystarczyło rozumu, żeby spokojnie go wyminąć, za tydzień lub dwa byłby wolnym człowiekiem. Nie miał nic wspólnego z tym napadem. Zupełnie nic. Pewnie widział Carnegiego na polach złotoñośnych i stąd znał jego nazwisko. I to on napadł go w alejce. A dlaczego nie? Wyglądał na bogatego, a nikogo poza nimi tam nie było. To głupie? Bo dokoła czaili się gliniarze? Oczywiście, ale on o tym nie pomyślał. I co z tego?

Baldy, który przetrwał wiele przesłuchań i chłost, wciąż był twardym orzechem do zgryzienia. Pollock miał zamiar sprowadzić niemieckiego skutnika na konfrontację.

Carnegie natomiast był roztrzęsiony. Upokorzony. Zażądał obecności prawnika na wszystkich przesłuchaniach i spełniono jego prośbę, musiał jednak do czasu wyjaśnienia sprawy pozostać

na posterunku, co pozwoliło Jesse Fieldsowi trafić na największą w jego karierze sensację.

Nagłówek na pierwszej stronie „Couriera” krzychał: „Były komisarz do spraw złota przesłuchiwany!” W mieście zahuczało. Rabunek i morderstwa w Blackwater Creek znowu znalazły się na ustach wszystkich.

Mai siedział w tym samym więzieniu, kiedy wszakże trafił tam Bałdy, nagle przeniesiono go do innego bloku. Przeczytawszy artykuł w gazecie, którą więźniowie ukradkiem sobie podawali, zażądał widzenia ze swoim prawnikiem.

— Na razie nic nie możemy zrobić — oznajmił mu Lanfield.  
— Musimy czekać, żeby się przekonać, co z tego wyniknie.

— Ale ja chcę rozmawiać z Carnegiem. Chcę konfrontacji. Zmuszę tego drania do mówienia.

— To niemożliwe. Zrobi pan najlepiej, jeśli będzie pan cicho siedział. Zwróciłem się z prośbą o odroczenie pańskiej rozprawy i wygląda na to, że zostanie przyjęta pozytywnie.

— A ja nadal muszę tu siedzieć. Jestem niewinny. Nie zrobiłem nic złego. Moje życie zostało zrujnowane. To niesprawiedliwe.

Zapytał o Emilie. Chciał się z nią zobaczyć.

— Na pewno pojechała do domu?

— Tak. Kazałem jej wrócić w zeszłym tygodniu.

— Szkoda, że nie poczekała.

— Panie Willoughby, ta młoda dama bardzo wiele dla pana zrobiła. Nie wydaje mi się, by miał pan pojęcie, co przeżywała, kiedy jej zdjęcie znalazło się w gazecie, kiedy o niej pisano i plotkowano, a wszystko z powodu znajomości z panem.

— Tak, wiem i jest mi przykro z tego powodu.

— Wybacz pan, że to powiem, ale pan nie wie. Dla młodych dam z jej klasy wszelki rozgłos, nie wspominając już o tak nieprzyjemnym, jaki z pańskiej przyczyny wybuchł wokół jej osoby, jest czymś potwornym. Pański system wartości zupełnie nie pokrywa się z jej systemem. Odpłaciła panu za pańską dobroć, pokrywając wszelkie prawne wydatki, i proponuję, by tak pan to zostawił.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Na litość boską, niech pan zostawi ją w spokoju. Jaśniej już chyba nie muszę tego wyrazić.

— Lubi ją pan?

— Tak — przyznał Lanfield. — Obecnie wszystko wskazuje na to, że zostanie pan oczyszczony z zarzutów, niezależnie jednak od wyników rozprawy niechże się pan więcej nie narzuca panie Tissington, jeśli choć trochę panu na niej zależy.

— Według pana jestem niczym?

Lanfield potarł ucho palcem, przyglądając się uważnie swojemu klientowi.

— Sam pan wybrał swój styl życia. Panna Tissington wybrała swój. Nie należy pan do jej świata. Wyświadczy jej pan wielką przysługę, jeśli pan to zrozumie.

Mai miał mnóstwo czasu, by rozmyślać o tej niechcianej radzie. Marzył o wolności, o odnalezieniu Emilie, a teraz zaczynał pojmować, jakie to były puste rojenia. Lecz nadal ją kochał. Jak mógłby jej nie kochać? Była dla niego wszystkim. Co mu pozostało? Napisał do niej długi list, przepraszając za wszystkie kłopoty i dziękując za to, co dla niego zrobiła. Pióro i kartka obudziły w nim odwagę, pisał więc, że bardzo kocha Emilie, że wszystko będzie dobrze, kiedy znowu się spotkają. Jakże jednak mógł teraz wysłać taki list? Marzył o słodyczy i niewinności Emilie, a widział siebie takim, jakim naprawdę był: włóczęgą, niezdolnym sprostać jej wymaganiom.

Kiedy Pollock przyszedł, żeby zadać więźniowi kolejne pytania, bo liczył, że odpowiedzi pomogą mu w usidleniu Carnegiego, Mai zachowywał się obojętnie, jakby zupełnie go to nie interesowało.

Sierżant nie krył zdziwienia.

— Co się dzieje? Chyba zostaniesz uniewinniony.

— A kogo to obchodzi? Chciałeś mnie powiesić, ty draniu.

— Wykonywałem tylko swoją pracę. I pamiętaj, że starałem się ciebie chronić, a tyś mi zwiął. Za to twój przyjaciel Hillier twardo stał po twojej stronie. Robił mi piekło wstawiając się za tobą.

— A gdzie on jest teraz?

— W Maryborough. Jest kierownikiem składu celnego.

Początkowo ta informacja niewiele znaczyła dla Mała, później jednak wpadł na pomysł. Skoro nie powinien pisać do Emilie, może przynajmniej napisać do Clive'a. Zapytać go, jak Emilie się miewa... zapytać o nią... w końcu mieszkają w tym samym mieście. Kochana Emilie.

Razem z czterema kolegami z celi Mai posłusznie ustawił się w szereg i czekał, aż otworzą zakratowaną bramę, po czym z tłumem innych więźniów poczłapał do stołówki. Bardziej przygniatały go własne myśli niż więzienna dyscyplina.

Prawnik Carnegiego był niskim krępyim mężczyzną o pulchnych dłoniach, którymi uderzał w biurko Kempa, nadymając się i oburzając, że znieważono przyzwoitego, zasłużonego dla miasta dżentelmena, zakuwając go w kajdany na ulicy, jakby był pospolitym złodziejaszkiem. Groził, że pozwie policję do sądu za nieuzasadnione aresztowanie. Przestrzegł Kempa, że jako nowo przybyły do Brisbane powinien się nauczyć, iż w tym mieście nie może traktować dżentelmenów pokroju Carnegiego w taki sposób. Mówił o ustosunkowanych przyjaciółach, którzy nie będą tolerować podobnej arogancji wobec dobrego i uczciwego obywatela. Trwało to tak długo, że nawet Carnegie, który z nieszczęśliwą miną siedział koło biurka Kempa, zaczął niespokojnie się wiercić. Widział, że do niczego to nie prowadzi.

W końcu Kemp, zupełnie nieporuszony, poprosił prawnika, by usiadł.

— Po pierwsze, sir, pański klient nie został aresztowany, choć najwyraźniej tak uważa; zatrzymano go na przesłuchanie. Miał pan czas, żeby porozmawiać ze swoim klientem, więc musi pan wiedzieć, że to bardzo poważna sprawa.

— Wcale nie! — wykrzyknął Carnegie. — Nie mam pojęcia, dlaczego tu jestem.

— Nie? Zaskakuje mnie pan. Żeby jednak wszyscy dokładnie orientowali się w sytuacji, informuję, że został pan zatrzymany, panie Carnegie, ponieważ jest pan podejrzany u udział w morderstwach i rabunku w Blackwater Creek niedaleko Maryborough.

Oszołomiony prawnik zakołysał się na piętach.

— Nie do wiary! To nie może być prawda. — Spojrzał na Carnegiego. — Nie mogą ci tego zrobić, Allynie. Nie mogą! To się w głowie nie mieści!

Język mu się płątał, z czego Kemp wywnioskował, że prawnik jest kompletnie zbity z tropu.

— Oczywiście, że to wierutne brednie — warknął Carnegie. — Żądam, by natychmiast mnie stąd wypuścić.

— Wszystko w swoim czasie — odparł Kemp. — W areszcie przebywa znany kryminalista; mamy wszelkie powody przypusz-



czać, że wziął udział w tej zbrodni, tak samo jak mamy powody przypuszczać, że był pańskim współnikiem, panie Carnegie.

— To kłamstwo!

— Nic nie mogłoby być odleglejsze od prawdy — zawtórował prawnik z niedowierzaniem.

— Przekonamy się. Dwaj oficerowie czekają, by przesłuchać pańskiego klienta, sir. Jeden to mój człowiek, drugim jest sierżant z Maryborough, znany panu Carnegie.

— Nie zgadzam się na przesłuchanie, a już z całą pewnością nie będę rozmawiał z Pollockiem. To kolejne prześladowanie; zbyt długo cierpliwie je znosiłem. — Carnegie wstał. — Idę do domu.

Kemp puścił jego słowa mimo uszu. Wyszedł z biura, by poinstruować inspektora i Pollocka.

— Koniec z cackaniem się. Atakujcie wszystkim, co mamy. Historia Perry'ego jest teraz bardzo dziurawa. Omówcie przebieg napadu, jaki wynika z waszych ustaleń, aż do ucieczki Perry'ego łodzią z łupem. Przedstawcie to tak, jakbyście dowiedzieli się o tym od Perry'ego. Przypomnijcie sprawę Griffena, to piekielnie wystraszy jego prawnika. — Kemp głos miał szorstki. — Ludzie mówią o wielkiej ilości złota, ale tam życie straciło trzech ludzi. Nie zapominajcie o tym. Intuicja podpowiada mi, że ci dwaj byli w znowie. Do was należy dowiedzenie się tego. — Zwrócił się do inspektora: — Carnegie to śliski typ; niech inicjatywę przejmie Pollock, ale ty słuchaj uważnie każdego cholernego słowa. Zmęczcie tego drania. Nieważne, jak długo to potrwa.

Allyn próbował rozpedzić burzę zbierającą się nad jego głową. W powietrzu wisiała groźba, bardziej przerażająca od jakiegokolwiek koszmaru, i błagał swojego prawnika, by położył kres oskarżeniom i kłamstwom, ale ten głupiec potrafił tylko go pocieszać i mówić, że to nie potrwa długo, że przecież chcą mu jedynie zadać parę pytań. Allyn krzyknął, że to nieprawda.

— Nie widzisz, co tu się dzieje, ty przeklęty idioto? Wsadzili mnie do więzienia, a przecież mają tych dwóch bandytów, Perry'ego i Willoughby'ego. Oni to zrobili, nie ja! Ja byłem ranny.

— Więc zgadza się pan teraz, że Perry był jednym z tych bandytów? — zapytał spokojnie inspektor.

— Nie powiedziałem tego. Skąd mam wiedzieć?

Pytania zdawały się napływać falami jak mdłości; policjanci przez cały czas wracali do Perry'ego i jego zeznań, podkreślali, że przecież ustalono ponad wszelką wątpliwość, iż Carnegie go zna, dlaczego więc kłamię w tej kwestii? Perry był z nim na polach złotonośnych.

— Nie ze mną — jęknął Carnegie. — Nie. Nigdy. Nigdy wcześniej go nie widziałem. To potworne. Nie czuję się dobrze. Potrzebuję doktora.

Przynieśli herbatniki i herbatę, zapalili lampy. Dwie twarze po drugiej stronie biurka zdawały się groteskowo powiększać, a potem maleć i Allyn musiał odwrócić od nich głowę. Żałował, że nie może zemdleć albo przynajmniej upozorować utraty przytomności, ale nawet to było ponad jego siły.

Pollock usiadł wygodnie.

— Jak może pan twierdzić, że Willoughby tam był, skoro Perry mówi, że go nie było?

— Perry się myli. Wie, że Willoughby tam był.

Prawnik Allyn wciągnął powietrze przez zęby i te swoje tłuste rączki, ozdobione brzydkim rubinowym pierścieniem, położył na biurku.

— Myślę, że na dzisiaj wystarczy.

— Jeśli dzisiaj nie zakończymy tego przesłuchania — odparł Pollock zdecydowanie — to pański klient zostanie zatrzymany na noc. — Spojrzał na Allyn. — W areszcie.

Allyn siedział z głową w dłoniach, podczas gdy ci dwaj się sprzeczali. Wreszcie zainterweniował inspektor.

— Jedna rzecz szczególnie mnie interesuje. Złoto. Perry to człowiek bogaty, sam o sobie tak mówi. Śmieje się, twierdzi, że stać go na najlepszych adwokatów w kraju. A jaka jest pańska sytuacja, panie Carnegie?

— A co to ze mną ma wspólnego?

— Obawiam się, że w świetle zeznań Perry'ego ogromnie dużo. Wygląda na to, że sprawa będzie długo się ciągnąć; tak to zwykle jest w podobnych przypadkach. Perry powiada, że Willoughby'ego tam nie było, a musiał mieć wspólnika. Wskazał na pana, panie Carnegie, przyznając się do znajomości z panem, a pan ze swej strony potwierdził, że zna Perry'ego. Dlaczego go pan zaatakował, panie Carnegie?

— Nie zaatakowałem. Słyszał pan, jak mówił, że tego nie zrobiłem.

— Mamy świadków... — stwierdził inspektor sucho.

Przesłuchanie trwało. Allyn czuł, że się załamuje. Płakał, choć nie z żalu nad sobą, tylko z wściekłości, że Perry jest bogatym człowiekiem, że Perry wszystko zepsuł z czystej chciwości. Że Perry zawlecze go do sądu, i to nie jako zatrzymanego, ale oskarżonego. Widział to teraz wyraźnie i kurczył się w sobie. Szlochał. Jego prawnik, kompletny idiota, bardziej zainteresowany niż oburzony, nieudolnie próbował powstrzymać tych dwóch ponurych mężczyzn, którzy nie dawali mu spokoju, zasypywali gradem pytań, przywoływali zmarłych, przywoływali Taylora, dobrego i uczciwego człowieka, troskliwego męża i ojca trojga -i  
dzieci, i Allynowi przed oczyma znowu stanął ten koszmar senny, ci ludzie mówiący w jego sypialni, i uświadomił sobie, że te nieznanne postaci obok zmarłych były ich dziećmi. Przeczytał w gazecie, że strażnicy i Taylor osierocili w sumie dziewięcioro potomstwa. Na pogrzebie widział dzieci, stojące smutno obok wdów...

— Nie zastrzeliłem ich! — krzyknął. — Musicie mi uwierzyć. Nie zastrzeliłem ich. To zrobił Perry, a potem strzelił do mnie. On ma złoto, do ostatniego pensa. — Złapał swojego prawnika za koszulę. — Powiedz im, przecież wiesz. To mój kuzyn, wie, że jestem bankrutem. Powiedz im... nie miałem z tym nic wspólnego. Jak bym mógł?

Dwaj policjanci w milczeniu patrzyli, jak szlochający Carnegie pada w ramiona swojego kuzyna, prosząc go, by wyjaśnił, wytłumaczył, że policja się myli, że przecież on, Allyn, jest ofiarą, czy nie potrafią tego zrozumieć?

Dla George'a Carnegiego, prawnika Allyna, nastąpiły trudne dni. Nie miał ani umiejętności, ani ochoty na sprawę tego rodzaju, nie był przyzwyczajony do napastliwych pytań reporterów i przerażała go myśl, że ich rodowe nazwisko zostało zbrukane taką ohydą. George był wściekły na Allyna, że go w to wplątał. Gdyby miał choć cień podejrzenia, dlaczego Allyn został zatrzymany, sprytnie by się wykrcił. Na jego nieszczęście inni prawnicy, do których się zwrócił w imieniu kuzyna, byli zajęci.

W końcu postanowił odwiedzić Johna Carnegiego, aby przedyskutować z nim poważną naturę tych oskarżeń i może wspomnieć o delikatnej kwestii własnego honorarium, jako że w rodzi-

nie wiadomo było, iż to John trzyma sakiewkę. Serce mu się ścisnęło, kiedy zobaczył dwóch mężczyzn na frontowej werandzie; tak liczył, że będzie mógł porozmawiać z Johnem na osobności. A co gorsza, owymi ludźmi, którzy posępnie go powitali, byli pastor Trimble i młody Tom, syn Johna, w swych najlepszych momentach człowiek dość grubiański.

Tom szybko przerwał towarzyską pogawędkę oznajmiając, że czas przejść do sedna.

— Po pierwsze mój ojciec wierzy, że Allynowi grozi rozprawa o bankructwo, i niech tak zostanie. Nie chcę, by o sprawie rozmawiano w jego obecności.

— Oczywiście. — George Carnegie kiwnął głową.

— Iw żadnym razie nie należy od niego oczekiwać, że pokryje całość lub część wydatków związanych z rozprawą mojego stryja.

George z nieszczęśliwą miną wzruszył ramionami; zastanawiał się, do kogo z rodziny mógłby się jeszcze zwrócić.

— Cieszę się jednak, że przyszedłeś, George. Do diabła, co właściwie się dzieje? Czy te oskarżenia, od których huczy w mieście, są choćby w części prawdziwe? Opowiadaj. Cała ta sprawa wydaje mi się cholernie zwariowana.

George zrobił, co w jego mocy, by przedstawić sprawę, związane z nią trudności oraz niefortunne przyznania się do winy, które padły nie tylko z ust tego drugiego, Perry'ego, lecz i samego Allyna. Równocześnie musiał odpierać zarzuty rozgniewanego Toma, który ostro krytykował jego poczynania. Łatwo temu młodemu arogantowi teraz mówić, co powinien był zrobić, by chronić Allyna. Wreszcie George nie wytrzymał i oznajmił, że sprawa została mu narzucona.

— I nie waż się więcej mnie obwiniać — warknął. — Nie miałem pojęcia, że podejrzewają Allyna. Przeżyłem szok. To wszystko jest takie przerażające. Zwykle nie prowadzę spraw kryminalnych.

— Ale wydostaniesz go z tego? Widać wyraźnie, że to zostało sfabrykowane. Przecież on jest Carnegie! Na rodzinie przez wiele pokoleń będzie ciążył taki skandal.

— W takim razie rodzina musi mi pomóc. Jeśli nie chcecie, żeby skazano go za morderstwo, musicie się dołożyć. Potrzebny mi adwokat, albo miejscowy, albo z Sydney. Nie możesz oczekiwać, że wezmę na własne barki cały ciężar, nie dam rady.

— Musisz. Do diabła z adwokatami! Znasz stryja Allyn, nie byłby zdolny do udziału w takim strasznym planie.

George milczał, nie podobała mu się postawa młodego Toma. Wiedział, że Allyn sam się w to wpakował, odpowiedzi na pytania policjantów poważnie go obciążały, i obawiał się długiej rozprawy. Jeśli nazwisko Carnegiech zostało obrzucone błotem, to po wyroku będzie o wiele gorzej.

— Czy mogę wtrącić słowo? — zapytał pastor łagodnie.

— Ależ oczywiście — odparł George. Przynajmniej Trimble nie przeszkadzał mu w wyjaśnieniach.

— George, czy twoim zdaniem Allyn jest winny?

George spojrzął na wysokie nieruchome gumowce trzymające straż przy bramie, usłyszał gwizd kurawongi i dobiegający z od-dali odzew.

— Nie do mnie należy odpowiedź na to pytanie.

— Wszyscy szukamy boskiej prawdy, George. Nie ma innej drogi. Muszę zapytać, czy bronisz człowieka winnego czy niewinnego. Nie możesz w tej sprawie mieć wątpliwości.

— A co to za różnica? Nie mam innego wyjścia, muszę go bronić. Czy tego nie rozumiesz?

— W takim razie proszę, byśmy ukłękli i zmówili modlitwę.

Ani George, ani Tom nie byli w nastroju do modlitwy, pastor Trimble skłonił ich jednak, by padli na kolana i odmówili „Ojcie nasz”, po którym wygłosił żarliwe błaganie. Podnosząc głos do krzyku, najpierw prosił Boga o odsłonięcie przed nimi prawdy, później uwagę Najwyższego zwrócił na George'a.

— Spraw, by twój sługa zaczął mówić. W imię Jezusa, mów, George! Tylko prawda przyniesie ci ukojenie. Nie ośmielisz się kłamać przed Bogiem. Nie zabijaj, rzekł Pan, a kto odważy się mu sprzeciwić? Nie kradnij, mówi Pan. George, czy jego sługa Allyn złamał te przykazania?

— Niech nam Bóg pomoże, zrobił to — odparł George.  
• — Co teraz pocniemy?

— Amen — zakończył pastor Trimble triumfalnie, po czym wstał i otrzepał kolana z kurzu.

Pozostali dwaj także się podnieśli. Tom z ławki wziął kapciuch z tabaką.

— No i świetnie. Co teraz zrobimy?

Pastor znał odpowiedź na to pytanie.

— Jest tylko jedna droga. Allyn musi wyznać prawdę Bogu i swoim oskarżycielom. Musi błagać o wybaczenie, póki ma na to czas. Wiem, że George nie doszedł do tego wniosku bezpodstawnie; słuchając twojej relacji, George, ja także nie miałem wątpliwości.

— Mimo to musi go bronić — upierał się Tom, co nie spotkało się z aprobatą pastora.

— Bóg jest naszym sędzią. George nie może używać żadnych sztuczek. Zbyt często nasze sądy stają się schronieniem dla grzeszników. Przestępcy kłamią, dopuszczają się krzywoprzysięstwa w swej walce o wolność i płacą prawnikom, by im pomogli w przekręceniu boskiej prawdy dla własnej korzyści. Wielu ludzi twojej profesji składa własne zbawienie na ołtarzu oszustwa. Nie możesz zmienić się w grzesznika, nawet jeśli w ten sposób miałbyś uratować swego drogiego kuzyna. — Pochylił głowę. — Niechaj się stanie wola boska.

— Twoim zdaniem powinien przyznać się do winy? — szepnął George, nerwowo zerkając na Toma.

— Musi to uczynić, jeśli jest winny. Innego wyjścia nie ma. Tom słuchał uważnie.

— Dzięki temu cała ta sprawa szybko się skończy, prawda?

— Ale go powieszają — zaprotestował George.

Tom wzruszył ramionami.

— Z tego, co nam mówiłeś, George, już go mają. I tak powieszają drania, jeśli pastor wybaczy mój język.

Trimble kiwnięciem głowy dał mu rozgrzeszenie.

— Musimy pójść razem do Allyna, George. Pomodlimy się z nim. Powierzmy go Bogu, bo tego ten nieszczęśnik teraz najwięcej potrzebuje. Musi powiedzieć prawdę, całą prawdę, bez uciekania się do prawniczych machinacji, w imię Boga, nasz Pan bowiem nigdy nie opuszcza skruszonego grzesznika. Wszyscy jesteśmy w rękach Boga.

Po posterunku krążyły plotki, że Carnegie przyznał się do zaangażowania Baldy'ego Perry'ego w napad bardziej jeszcze okrutny od tego, którego sprawcą był Griffen, inny komisarz do spraw złota. Policjanci mówili o uporze Pollocka, sierżanta z buszu, który z taką determinacją dążył do rozwiązania sprawy, że nawet naraził się przełożonym; teraz na pewno czeka go awans. Śmiali się, zachwyceni szeptanymi pogłoskami o brawuro-

wej akcji komendanta Kempa, której celem była konfrontacja Carnegiego i Perry'ego, nieświadomych obecności obserwatorów. Policjanci, którzy brali udział w zasadzce i na własne oczy widzieli bójkę tych dwóch szubrawców, przysięgali, że to prawda.

— Wszystko się wtedy wydało — mówili. — Na Boga, szef może i wygląda na ostatniego guzdrałę, ale jest sprytny. Ta sprawa to dla niego powód do dumy.

Gdzież więc jest złoto? Nikt nie wiedział.

A co z Willoughbym? Jego prawnik wydeptywał ścieżkę do biura Kempa, by Sonny'ego oczyszczono z wszystkich zarzutów, i wydawało się pewne, że Kemp to uczyni, kiedy będzie miał podpisane zeznania tamtej dwójki.

Policjanci konni, którym żal było Willoughby'ego, postanowili mu pomóc. Wysłali depezę do sierżanta Moloneya z Chinchilli, tego samego, który przyprowadził Sonny'ego do Brisbane.

Na piętrze Kemp usiłował poradzić sobie z nawałem pracy, który się nagromadził przez ostatnich kilka dni. Nagły podmuch wiatru rozwiął stos papierów i komendant zerwał się ze swojego krzesła obrotowego, by zamknąć okno. Chwilę stał, patrząc na mroczną ulicę, na której migotały lampy gazowe, jakby zapalane niewidzialną ręką. Dostrzegł wysoką kościstą postać przechodzącą na drugą stronę i westchnął. Miał nadzieję, że Pollock tym razem będzie miał coś jednoznacznego. Odkąd Carnegie, który gorliwie uwierzył w Boga, wyznał cały nieszczęśny plan, Perry także chętnie dorzucał własne szczegóły, nadal jednak pozostawało złoto, setki angielskich banknotów i australijskich suwerenów. Gdzie jest łup z napadu? Co z nim zrobili?

Kemp wciąż stał przy oknie, gdy do gabinetu wszedł Pollock.

— No i?

— Nic, jak na razie. Stary Baldy wścieka się na Carnegiego. Żałuje, że go nie zastrzelił i nie wziął całego łupu. Narzeka i marudzi, ale nie okazuje żadnej skruchy z powodu zastrzelenia tamtych. Wygląda na to, że Carnegie strasznie na niego wrzeszczał... Baldy miał zranić go lekko, a nie miażdżyć kość.

Kemp uśmiechnął się ponuro.

— Najwyraźniej ręka mu drgnęła.

— Tak. A to kolejny powód, dla którego Carnegie jest taki na niego zły. Tak czy owak, Carnegiego nie mógł nikt zobaczyć z łupem, więc poinstruował Baldy'ego, żeby ten zabrał wszystko

do miasta. Co Baldy też uczynił. Na drugim brzegu rzeki wsiadł na konia i przez nikogo nie niepokojony pojechał na przystań promu, żeby przeprowić się do miasta.

— Nic dziwnego. Po prostu kolejny jeździec w tłumie innych. A potem co?

— Potem wziął łup, jak mu kazano, i zakopał pod domem Carnegiego.

— Boże wszechmogący! Kazałeś rozpocząć poszukiwania?

— Tak. Zatelegrafowałem na posterunek. Chyba już kopia przy świetle lamp. Wracając do sprawy, dopóki wrzawa nie ucichnie, Baldy miał przez kilka tygodni siedzieć cicho. Umówili się, że potem przyjdzie do Carnegiego w środku nocy i podziela łup. Ale to mu się nie udało. Wrócił do pracy na nabrzeżu, wdał się w pijacką bójkę i wylądował w więzieniu.

— Co oznacza, że Carnegie ma wszystko.

— Na to wygląda. Carnegie powiedział Baldy'emu, żeby pod żadnym pozorem z nim się nie kontaktował, poza tym umówionym wcześniej nocnym spotkaniem, więc Baldy nie mógł powiadomić współnika o tym, co mu się przytrafiło. Myślał, że złoto jest bezpieczne, a jak odsiedzi wyrok, zgłosi się po swoją część.

— A Carnegie nie mógł się z nim nie podzielić.

— To nie wchodziło w grę z gościem takim jak Baldy — roześmiał się Pollock. — No, chyba że życie było mu niemiłe. Nic dziwnego, że w więzieniu Baldy przechwalał się, iż jest bogaty. — Oparł się o parapet, bo Kemp wrócił na swoje miejsce za biurkiem. — Ale wciąż mamy problem. Carnegie twierdzi, że nigdy nie widział worków. Że Baldy nie dotrzymał umowy. Carnegie powiada, że czekał i czekał, ale Baldy się nie pojawił. Uważa, że został oszukany.

— Przekonamy się. Mam nadzieję, że łup nadal tam jest. Carnegie mógł go przenieść.

Sierżant pokiwał głową.

— Też mam taką nadzieję. Historia Baldy'ego brzmi prawdziwie. Nic nie ma do stracenia. Wie, że czeka go stryżek. Ale ten przeklęty Carnegie najwyraźniej sądzi, że skoro przyznał się do winy i nikogo nie zastrzelił, to dostanie lżejszy wyrok.

— Skąd wziął ten pomysł?

— Bo zaufał Bogu. Mówi, że nigdy na oczy nie widział nawet części tego łupu, więc nie można oskarżyć go o rabunek.



Kemp prychnął ze złością.

— Cholernie dobry powód, żeby trzymać go w ukryciu. Nic o nim nie wiedzieć.

— On tak uważa. Myśli, że skoro ciągle koło niego wężymy, lepiej zostawić łup w ukryciu, aż to, co nazywa dręczeniem, ostatecznie się skończy. Może sobie pozwolić na czekanie.

— A Willoughby? W tym punkcie Carnegie kłamie. Próbuje uwiarygodnić swoją historię. Czasami pamięta o Willoughbym, ale kiedy zaczynamy od nowa, zapomina o nim. Ku naszemu zaskoczeniu Baldy to wyjaśnił. Powiedział: „Ten głupi Willoughby o niczym nie wie”.

— Mówi, że Willoughby był kozłem ofiarnym, którego Carnegie podsunał policji, żeby miała zajęcie.

— Willoughby cały czas to powtarzał.

— No i rozumiałe, że tak mówił. Ale niech pan poczeka, nasz Baldy powiedział mi, że nawet nie widział tego chłopaka, tylko o świcie słyszał, jak ktoś odjeżdża. I nic dziwnego! Już i tak trudno jest szybko zastrzelić dwóch ludzi, trzeci był mu niepotrzebny...

— Dwóch!

— Tak. Od razu pomyślałem, że to się panu spodoba. Baldy zabił strażników, a Carnegie strzelił Taylorowi w plecy.

— Przeklęty kłamca!

Pollock wykrzywił się ponuro.

— Bogu to się nie spodoba, szanowny panie Carnegie.

Nazajutrz po południu policja z Maryborough poinformowała Kempa, że przekopali każdy cal wokół domu Carnegiego, aż do granic jego posiadłości, przeszukali też dokładnie dom, ale nic nie znaleźli. Kempa tak ta wiadomość zdenerwowała, że wysłał swojego zastępcę, by porozmawiał z Carnegie.

— Nie marnuj na niego czasu. Powiedz, że wszystko wiemy: on zastrzelił Taylora i w jego posiadaniu jest ukradzione złoto oraz gotówka. Wyjaśnij mu wyraźnie, że lepiej niech się modli, bo dostanie karę śmierci, więc równie dobrze może zrzucić ciężar z serca i zdradzić, gdzie jest łup z tego napadu. Trzeba go zwrócić prawowitym właścicielom.

Jednakże zastępca nic nie wskórał.

— Wciąż się upiera, że nikogo nie zastrzelił i nie ma pojęcia, gdzie są pieniądze i złoto.

— No dobrze, zostawmy to na razie. Carnegie pęknie, kiedy sobie uświadomi, że czeka go stryżek. To chyba jeszcze do niego nie dotarło.

Okazało się wszakże, iż nie będzie dalszych przesłuchań Allyn Carnegiego. Koniec ze strachem i upokorzeniami. Koniec z więzienną celą. O świcie, kiedy ze szczękiem otwarto żelazne wrota, znaleziono go martwego, wiszącego na okiennej kracie na sznurze zrobionym z wyspy materaca. Allyn Carnegie zdecydował, że woli oddać się w ręce Boga, aniżeli czekać na wyrok ziemskiego sądu.

Wszyscy byli w tym samym więzieniu. Kiedy Baldy o tym usłyszał, śmiał się do rozpuku. Poszukał nawet Willoughby'ego na dziedzińcu.

— Wiesz, że ten drań chciał zrzucić na mnie śmierć Taylora? A ja go nie zastrzeliłem.

— I co z tego? — zapytał gniewnie Mai. — Zastrzeliłeś pozostałych dwóch. I próbowałeś na mnie zwalić winę.

— Nie ja, brachu, tylko Carnegie. Nigdy nie mówiłem, że tam byłeś. Wyświadczyłem ci przysługę. Powinieneś mi podziękować. Powiedziałem im, że cię wrobiono, że ten przekłety Carnegie wystawił policji zająca, żeby mieli za kim gonić. Jesteś czysty, kolego.

— Więc dlaczego dalej tu jestem? Łziesz, Perry, aż się kurzy. Czemu miałbyś to dla mnie zrobić?

— Bo chcę, żebyś ty mi wyświadczył przysługę. Jesteś moim dłużnikiem. Jimmy McPherson jest na wyspie. Dostał pięć lat. — Wziął Mała na bok i szepnął: — Jak będzie po mnie, przekaz mu wiadomość. Powiedz mu, że umarłem jako bogaty człowiek. Żadnemu z nich nie udało się tak dobrze jak mnie.

— Co ty bredzisz?

— Nieważne — burknął Perry. — Powiedz mu to. A zanim wyjdiesz, skombinuj mi trochę tytoniu.

Dzień ciągnął się w nieskończoność, podczas gdy Małem targały wątpliwości, czy istotnie został oczyszczony z zarzutów, noc zaś przyniosła zniecierpliwienie i złość. Mai kopał w drzwi, krzycząc na strażników, żeby go wypuścili. Zignorowali go, współwięźniom pozostawiając groźby, że spuszczą mu manto, jeśli się nie zamknie.

Nazajutrz Lanfield był w sądzie, nie zapomniał jednak o Wiloughbym. Przysłał kancelistę z przeprosinami...

— Pan Lanfield nie chciał, żeby spędził pan w więzieniu choćby minutę dłużej, niż było to konieczne — wyjaśnił urzędnik. — Policja wycofała zarzuty przeciwko panu, jest pan wolnym człowiekiem.

— Już po wszystkim? — zapytał Mai bez tchu, gdy uśmiechnięty strażnik rozwarł przed nim bramę.

— Tak jest.

— Och, niech was Bóg błogosławi! Podziękuj pan ode mnie swojemu szefowi? — Tanecznym krokiem Mai przemierzał kamienne korytarze, wychodząc przez kolejne bramy, aż znaleźli się na dziedzińcu. Tam sobie o czymś przypomniał. — Mógłby mi pan dać trochę tytoniu? Obiecałem więźniowi...

— Oczywiście. Pan Lanfield polecił mi zaopiekować się panem. Niestety będzie pan musiał trochę poczekać, aż załatwię wszystkie dokumenty. Wtedy przyniosę tytoń.

Dziedziniec był mały i goły, przypominał kamienną skrzynię z wysokimi ścianami i dwiema zakratowanymi bramami, ale w górze widać było fragment błękitnego nieba. Mai westchnął. To był piękny dzień. Naprawdę piękny.

Kancelista był już przy bramie, którą strażnik przed nim rozwierał, kiedy nagle zawrócił.

— Proszę wybaczyć, panie Wiloughby, taki jestem podniecony, że spotkał mnie zaszczyt załatwiania pańskiego zwolnienia, że mało brakowało, a bym zapomniał. Mam dla pana list.

Mai wziął kopertę. Zobaczył staranne pismo i domyślił się, że to od Emilie. Bo od kogo innego? Choć ogromnie się ucieszył, że do niego napisała, rozrywał kopertę powoli, starając się swymi wielkimi niezgrabnymi dłońmi nie podrzeć jej bardziej, niż było to konieczne... autorem jednak był Clive. Odpowiadał na list od Mała. Szybko przebiegłszy wzrokiem stronicę, by się przekonać, czy Emilie przesyła pozdrowienia, Mai nic takiego nie znalazł. Uznał jednak zrezygnowany, że Clive zachował się miło.

Clive cieszył się, że Mai czuje się dobrze. Clive był przekonany, że dzięki skutecznym działaniom pana Lanfielda Mai wkrótce zostanie uwolniony, i miał nadzieję, że się z nim spotka, kiedy będzie po wszystkim. Clive niedługo zrezygnuje z pracy w składzie celnym, ponieważ otwiera własny sklep w Maryborough...

Mai opuścił opis tego przedsięwzięcia, ponieważ niżej zobaczył imię Emilie.

*Emilie przesyła serdeczne pozdrowienia. Jesteśmy dumni, że oboje od samego początku Twojej udręki wierzyliśmy, iż jesteś niewinny.*

Mai domyślił się, co znaczy „udręka”, choć użycie liczby mnogiej, to mówienie o obojgu, obudziło jego czujność.

*Pytasz o Emilie. Teraz czuje się o niebo lepiej, choć oczywiście bardzo wiele ją kosztowała ta sprawa z gazetami; muszę przyznać, że był to dla niej wielki szok, choć Emilie wciąż twierdzi, że Ty nie ponosisz najmniejszej winy. To dzielna dziewczyna i wierzę, że niezależnie od wszystkiego dzisiaj też pojechałaby do Brisbane, żeby Ci pomóc.*

Mai pokiwał głową. Emilie to dzielna i śliczna dziewczyna, Clive nie musi mu o tym mówić. Wielkie dzięki.

*Przez jakiś czas przeżywała trudne chwile. Siostra ją potępiła. Była tematem plotek, także w naszym mieście, i zwolniono ją z posady guwernantki. Emilie nie zasłużyła sobie na to, ale nawet tutaj skandale w końcu umierają.*

— O Chryste, tak mi przykro — jęknął Mai. — Biedna Emilie.

Wrócił do lektury. Co jeszcze jej zrobili?

*Teraz jednak wszystko powoli wraca do normy dzięki pomysłnej wiadomości o aresztowaniu Carnegiego i jego pachołka, co przyspieszy Twoje zwolnienie. Muszę Ci powiedzieć, że poprosiłem Emilie o rękę. Wiem, że jej domek w rzeczywistości należy do Ciebie, i chciałbym Ci zwrócić wszelkie związane z tym koszty...*

Mai zmiął list w dłoni. Clive ma zamiar ożenić się z Emilie? Nie! Nie!

— Emilie to moja dziewczyna! — krzyknął zdruzgotany. Jak mogło do tego dojść? A potem sobie przypomniał, że sam posłał Clive'a do Emilie. Do diabła! Sam sobie jest winien.

— Jeszcze zobaczymy — mruknął pod nosem, widząc zbliżającego się kancelistę. — Przyniósł pan tytoń?

— Tak. Mam nadzieję, że to odpowiedni gatunek.

Mai wzruszył ramionami. A kogo obchodzi gatunek? Uderzył pięścią w bramę.

— Zapomniałem o czymś!

Strażnik pytająco spojrzął na kancelistę, który kiwnął głową.

— Dobra. Tylko szybko, Sonny. Nie powinieneś dłużej się tu kręcić.

Mai przebiegł przez opustoszały blok, zerkając na cele na piętrze i przejścia z balustradami. Na dziedzińcu zaskoczył swoim widokiem strażnika, który tubalnie się roześmiał.

— Co, nie możesz się z nami rozstać?

— Obiecałem jednemu gościowi, że przyniosę mu tytoń — odparł Mai.

— Dobra, dawaj. Przekażę mu.

Oczy Mała zabłyśły.

— Och, dajże spokój, przyjacielu. Pozwól mi zrobić właściwą rzecz. Nie chcę łamać danego słowa. Przez nich myślę teraz jak skazaniec.

— Zgoda. Masz pięć minut. Jak nie zdążysz, trafisz na apel.

Biegiem pędził między grupkami mężczyzn, którzy bez celu kręcili się po wielkim dziedzińcu. Szybko też dostrzegł potężną postać Perry'ego. Stał oparty o mur. Był sam. Mai z dreszczem przypomniał sobie, że inni więźniowie unikali skazanych na szubienicę. To przynosi pecha, mówili, on jednak przypuszczał, że chodzi o coś więcej. Niewielu miało talent krasomówcy. Nie wiedzieliby, co powiedzieć.

— Tu masz swój tytoń — wykrztusił zaskoczony, że tak drobny wysiłek pozbawił go tchu. Wina za to obarczał miesiące beczynności, które tu spędził.

— Dobrze zrobiłeś — pochwalił Baldy odbierając paczkę.

— Będziesz pamiętał tę wiadomość?

— Tak. Ale znasz McPhersona. Zażąda dowodu. Jeśli łapiesz, o co mi chodzi.

— Taa — prychnął Baldy. — Ale może sobie żądać. Złoto jest moje. I krokodyli. Nikt nigdy go nie znajdzie. Tylko na pewno mu powiedz, że umarłem jako człowiek bogaty. Pobitem go. Zawsze wiedziałem, że mogę być od niego lepszy.

— Dobrze.

— I posłuchaj, mały. Nie myśl, że możesz polecieć z jadczką do gliniarzy, bo nic z tego nie będzie. Cały ten cholerny cyrk skończył się ze śmiercią Carnegiego.

— Jasne. Życzę szczęścia, Baldy.

— I nie nazywaj mnie Baldy. Na imię mam Angus.

Mai biegiem wrócił do czekającego nań kancelisty, który powiedział, że następnym przystankiem będzie główne biuro, gdzie zostanie wypisany. Załatwiwszy ostatecznie formalności, kancelista poprowadził go na tyły budynku, ale Mai zaprotestował.

— Nie zrobiłem nic złego. Ci dranie zabrali mi pół roku życia i nic za to nie dostałem. Mam prawo wyjść przez główną bramę.

— Niech pan wybaczy — powiedział kancelista. — To po prostu zaoszczędzi nam czasu.

Nie było więcej strażników. Minęli zagracone biura i wreszcie znaleźli się na zalanej słońcem ulicy. Mai był wolny! Chciałby się z tego cieszyć, ale nie potrafił. Niechętnie patrzył na zbliżającego się policjanta. A ten czego znowu chce?

— Nie pamiętasz mnie? — zapytał policjant i Mai przyjrzał się mu uważnie.

— A tak, Moloney z Chinchilli. Chciałem pana odwiedzić...

— Nie trzeba — uśmiechnął się Moloney. — Popatrz tutaj.

Wokół zgromadzili się inni policjanci konni, bijąc brawo. Mai zobaczył swojego konia Strikera, wystrojonego jak na paradę, z zaplecioną grzywą, lśniąca skórą i nowym siodłem.

— Chryste! — wykrzyknął, gdy Striker witał przyjaciela, ocierając się o niego łbem.

— Mówiłem, że się nim zaopiekuję — powiedział Moloney.

— Chłopcy dali mi znać, że wychodzisz, więc go przyprowadziłem.

Kręcąc głową, Mai gładził konia.

— Boże wszechmogący, Striker! Nie myślałem, że jeszcze go zobaczę. Dzięki, przyjaciele. Jak na gliniarzy porządni z was goście.

Kiedy mała ceremonia dobiegła końca, policjanci odeszli. Moloney został.

— Wszystko w porządku, Sonny?

— Jasne — odparł zgryźliwie. — Poza tymi bliznami na plecach, pamiątką z wyspy.

— Przykro mi. Wykonywałem tylko swoją robotę. Nie masz pretensji?

- Nie.
- Jak będziesz kiedyś w Chinchilli, wpadnij do mnie.
- Nie wydaje mi się, żebym mógł sobie zaufać — uśmiechnął się Mai. — Niewykluczone, że znaleźlibyście mojego wuja wiszącego za nogi w kurniku.

Wreszcie zostali tylko we dwójkę z kancelistą.

— To było bardzo wzruszające — powiedział młody urzędnik. — Pięknego ma pan konia. — Wyjął starannie złożony pięciofuntowy banknot. — Pan Lanfield przesyła to panu. Nie może pan wychodzić z więzienia bez grosza przy duszy.

— Czyje to pieniądze? Pana Lanfielda czy panny Tissington?

— O rety. Przypuszczam, że zostaną doliczone do rachunku.

— Rachunku płaconego przez pannę Tissington?

— Tak sędzę.

— W takim razie ich nie chcę.

— Ale musi pan coś mieć, panie Willoughby.

— Nie chcę.

Aby przełamać impas, kancelista przeszukał kieszenie.

— Niech pan posłucha, mam kilka szylingów. Dziewięć... proszę je wziąć.

— Dostanie je pan od szefa?

— O tak. Zwrot dziennych wydatków plus zakup tabaki.

— To dobrze. Niech pan tylko dopilnuje, żeby panna Tissington nie musiała płacić. Cała ta sprawa dość ją kosztowała.

Ucisnęli sobie dłonie i młody kancelista patrzył, jak sławny Sonny Willoughby, wolny człowiek, odjeżdża ulicą. Zaraz poprawił się w myślach: niegdyś sławny Sonny Willoughby. Ludzie szybko zapominają. I nikogo nie będzie obchodziło, co ten niewinny człowiek przecierpiał. Jak go dręczono i bito nie tylko w tym więzieniu, ale i na przerażającej Świętej Helenie. Nikogo nie będzie to interesować.

Na początku pragnął jechać prosto do Maryborough, oddalonego tylko o kilkaset mil na północ, ale taką radość czerpał z odzyskanej właśnie wolności, z myśli, iż może się udać tam, dokąd zechce, że szybko wzięły w nim górę stare nawyki. Nie potrafił się oprzeć jarmarkom i już po jednym dniu na szlaku wzdłuż wybrzeża wędrował pomiędzy namiotami i straganami, ciepło witany przez starych przyjaciół. Wiedział, że nie powinien

zwlekać, miał zadanie do wykonania. Clive napisał tylko, że prosił Emilie o rękę, w liście nie było mowy o tym, że go przyjęła. Mai musiał porozmawiać z nią w cztery oczy. Drżał jednak przed tym spotkaniem, obawiał się, że usłyszy, iż wybrała Clive'a. A przede wszystkim zastanawiał się, jak mógł być tak zuchwały, by sądzić, że dama taka jak Emilie uzna go za odpowiedniego kandydata na męża.

Mała opuściła pewność siebie. Upokarzające warunki więziennego życia zrobiły swoje, wiele wody musi upłynąć, nim otrząśnie się ze strasznych poniżeń, których tam doznał, i był jeszcze ten ostateczny śmiertelny cios wymierzony mu przez Lanfielda, gdy ów okrutnie stwierdził, że Emilie jest dla niego za dobra. Clive, wbity w pychę, uważał tak samo, nawet przez myśl mu nie przeszło, że Emilie może zależeć na Malu, nie na nim. Dla niego Mai po prostu nie wchodził w grę. Właśnie to, czego nie napisał, tak zirytowało i przygnębiło Mała. Ot, zwyczajnie przekazał wiadomość o swoich oświadczeniach, jakby gość pokroju Mała się nie liczył. A w oczach Emilie może tak było. Rozmyślanie o jej kłopotach jeszcze bardziej go dręczyło. Żałował, że Clive powiadomił go o utracie przez nią pracy i jej zdenerwowaniu rozgłosem. Mai wiedział, że ponosi za to odpowiedzialność, i pewnego dnia za to przeprosi. Spróbuje wszystko jakoś jej wynagrodzić.

Kiedy kramarze, kuglarze i nieodłączne cygańskie wróżki ruszyli w drogę, Mai pojechał z nimi. W końcu kierowali się na północ.

Z pozoru sprawiał wrażenie takiego samego jak przedtem beztroskiego chłopaka, choć brakowało mu dawnej zadzierzystości. Potrzebował tych ludzi, ich pewności, bezwarunkowej akceptacji, łaknął też zabawy. Ich śmiech był jak lekarstwo, wielką przyjemnością sprawiało mu siedzenie przy ognisku do późna w nocy, słuchanie opowieści i obserwowanie, jak lekką ręką odrzucają wszelkie zasady.

Odwiedzili miasto położone w głębi ładu i znowu wrócili na wybrzeże, a Mai wędrował z nimi. Pomagał przy zwierzętach i sprzęcie, czasami za kilka szylingów, czasami za darmo. Pełnił funkcję naganiacza, zdobywając nagrody, które potem zwracał, czym zachęcał klientów do spróbowania szczęścia, i grał w karty z majątnymi dżentelmenami, używając znaczących kart, choć przypuszczalnie wygrałby i bez oszukiwania, na



oko widać bowiem było, że tym młodzieńcom przydałoby się parę lekcji.

Mai nie miał dla nich za grosz współczucia. Odziani w tweedowe surduty, sztruksowe spodnie i drogie buty, z przyjaciółkami wiszącymi u ramienia, bawili się świetnie i w serce Mała zaczynała wkradać się zawiść. Nie ścigano ich przez cały kraj, nie zamknięto w więzieniu, nie chłostano i nie zakuwano w kajdany, nie zwolniono bez słowa przeprosin, jakby byli jakiegoś gatunku zwierzęciem, które przypadkiem wypuszczono z klatki.

Dziewczęta wynagradzały mu tamte niewesołe czasy. Zawsze ich było pełno, niektóre rozpoznawały w nim sławnego Sonny'ego Willoughby'ego, przez przyjaciół ze śmiechem ochrzczonego „dodatkową atrakcją”. Jeden z kuglarzy chciał nawet wykorzystać Sonny'ego jako gwiazdę swojego cyrku pcheł, ale Mai się zgodził.

Włosy mu odrosły, znowu na głowie miał gęstą słomianą czuprynę; przystojny młody chłopak z dziecięcymi niebieskimi oczami stał się celem zarówno dla mężatek, jak i panien. Cyganki powiadały, że po przejściach stał się bardziej „męski”, i ostrzegały go przed złymi kobietami, on tymczasem uśmiechał się do kokietek i czasami zabierał je na kilka godzin do swojego namiotu. Dawały mu pociechę swoimi miękkimi i chętnymi ciałami, Malowi zaś było żal tych dziewcząt... i żal samego siebie. Niedługo klepnąłby przygodną kochankę po pupie, objęci chodziliby po jarmarku i śmiali się, teraz jednak miewał humory, był zdezorientowany i nie stanowił zbyt przyjemnego towarzystwa. Zgubił gdzieś swoją radosną spontaniczność.

Allora, cygańska matrona, która choć grubo po sześćdziesiątce, czarne jak sadza włosy ozdabiała jaskrawymi paciorkami, martwiła się o niego. Mówiła, że Mai żyje pod sprzecznymi gwiazdami, które nie potrafią się ze sobą porozumieć, bo jest ich za dużo. Wszystkie na niego napierają, każda chce, by poszedł wyznaczoną przez nią drogą. Allora powiedziała też, że widzi śliczną damę i piękno, najważniejszą treść jego życia. Jego prywatną radość. Wszystkie kolory tęczy. To była cygańska część jego duszy.

Jak zwykle Mai nie potrafił znaleźć w tym sensu; zapłacił wróżbiarce pensa i cmoknął ją w policzek.

— Opuszczasz nas — powiedziała.

## ZATOKA ORCHIDEI

- Tak. Ruszam w swoją drogę.
- Z okrutnej wyspy na dobrą wyspę?
- Tak. Mam wiele spraw do przemyślenia.
- Zrobisz, co zrobisz — rzekła Cyganka zwracając mu pensa. — Ja nie mogę ci pomóc, drogi chłopcze. Pomyśl o nas czasami.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przez wiele dni „Chronicie” publikowała drażniące wzmianki o postępach w sprawie napadu w Blackwater Creek. Walt White sam niewiele potrafił się dowiedzieć, uznał jednak, że skoro to oczekiwanie jego doprowadza do gorączki, to taki sam wpływ musi mieć na czytelników.

Kiedy wreszcie dostał od Fieldsa wiadomość, że dwóch ludzi wzięto na przesłuchania, nie potrafił zapanować nad ciekawością i wysłał depeszę do reportera w Brisbane: „Za mało. Nazwiska.”

Z wielkim niedowierzaniem wpatrywał się w odpowiedź: „...Angus Perry i Allyn Carnegie”.

Perry, kimkolwiek był, obchodził go tyle co zeszłoroczny śnieg, za to Carnegie... Prawdziwa sensacja! Wiadomość na pierwszą stronę. Zaraz też Walt zaczął się krzątać, wykrzykując polecenia, grzebiąc w archiwum w poszukiwaniu wszelkich informacji o Carnegiem, a na koniec łapiąc za pióro, by napisać artykuł, bo czy od początku nie mówił, że Carnegie maczał w tym palce? A może nie mówił? Nie potrafił sobie przypomnieć. To jednak nie miało znaczenia; jego pióro sunęło linijka po linijce.

Po prawie tygodniu męczącego oczekiwania mógł wreszcie ogłosić, że Carnegie został oskarżony! Razem z bandytą nazwiskiem Angus Perry, który na razie dla Walta był nieważny. Później się nim zajmie. Ale co z Sonnym Willoughbym? O nim nie wspomniano. To była historia z Maryborough i Waltowi bardzo się nie podobało, że poznaje ją we fragmentach. Nachodził posterunek policji, domagając się informacji, zdołał wszakże wywiedzieć się tylko tyle, że istnieje teoria, według której napad zaplanował Carnegie i Perry'emu zaproponował w nim udział. Dla

Walta to nie była teoria, ale fakt; dołączył też słowa świętego oburzenia na człowieka, który zdradził pokładane w nim zaufanie. Nazajutrz na pierwszej stronie zażądał odpowiedzi na pytanie, gdzie znajduje się złoto. Czyżby policja zapomniała o rabunku?

Taki był zajęty całym tym zamieszaniem i codziennymi relacjami, które dostawał od Jesse Fieldsa, że prawie zapomniał o Willoughbym, aż wreszcie trafił na obojętną wzmiankę: „Zarzu-ty przeciwko Willoughby'emu wycofane. Zwolniony dzisiaj rano”.

Walt pokiwał głową z namysłem. Willoughbym nikt się już nie interesował, ale on może coś z tego zrobić. Ruszył na poszukiwanie panny Tissington.

Kiedy otworzyła drzwi, życzył jej dobrego dnia i chciał się przedstawić, ale mu przerwała.

— Wiem, kim pan jest, panie White — rzekła lodowato.  
— Czym mogę panu służyć?

— Czy mógłbym zamienić z panią słowo? O nowych ustale-niach w sprawie Blackwater Creek.

— Nie może pan. Nie mam nic do powiedzenia.

Była śliczną dziewczyną o ciemnych włosach, jasnej cerze i ciemnoniebieskich oczach, ale surowa mina psuła ten obrazek. Walt westchnął. Trzeba kogoś silniejszego od tej panienki, żeby go odprawić.

— Moja droga, mam dla pani interesujące wiadomości. I niech mi pani nie mówi, żebym nie zadawał sobie trudu.

— Cokolwiek to jest, może mi pan powiedzieć teraz — od-parła, roztropnie zasłaniając sobą wejście.

— Oczywiście, ale jest taki upał. Czy mógłbym przynajmniej napić się wody?

Walt ukrył uśmiech, kiedy pozwoliła mu przekroczyć próg i poszła do kuchni.

Przyjął szklanekę z udaną wdzięcznością, rozglądając się po saloniku.

— Słowo daję, bardzo przyjemnie urządziła pani ten pokój. Spora odmiana od czasów Paddy'ego. Nie ma to jak kobieca ręka, zawsze tak mówię. Wpadło mi teraz do głowy, że w mojej gazecie też powinno się znaleźć miejsce dla kobiecej ręki. Damski punkt widzenia bardzo by się tam przydał.

— Czy o tym chciał pan ze mną rozmawiać?

— To tylko taki pomysł, moja droga, interesujący pomysł. Będę o nim pamiętał. Wykształcona młoda dama, taka jak pani,

byłaby idealną kandydatką do pisania o kobiecych sprawach, o prowadzeniu domu, właściwym umeblowaniu i modzie, takich rzeczach... Porozmawiamy o tym kiedy indziej, proszę jednak mieć to na uwadze. Czy mogę usiąść?

Trudno jej było odmówić, choć sama nadal stała, gdy Walt przycupnął na sofie, kapelusz kładąc obok siebie.

— Cóż, panno Tissington, pomyślałem, że chętnie się pani dowie o zwolnieniu pana Willoughby'ego. Wszystkie zarzuty przeciwko niemu zostały wycofane. Jutro ukaże się wiadomość w „Chronicie”.

Najwyraźniej ta dziewczyna miała już dość reporterów. Jej wyraz twarzy nie uległ zmianie.

— Cieszę się.

— I powinna się pani cieszyć. Dowiodła pani, że zna się na ludziach, bo od początku wierzyła pani w jego niewinność. Musi pani czuć wielką ulgę.

— W tej sprawie nie mam nic więcej do powiedzenia, panie White.

— Nie sądzi pani jednak, że policja potraktowała go okrutnie? Niewinny człowiek ścigany przez cały kraj, zamknięty na Świętej Helenie.

— Wybacz pan, panie White, ale mam sporo do zrobienia. Wzruszył ramionami i wstał.

— Naturalnie. Nie chciałem się pani narzucać, pomyślałem tylko, że powinna się pani o tym dowiedzieć.

Podeszła do drzwi i je otworzyła.

— Dziękuję panu.

— Czy on teraz tu wróci? Chciałbym przeprowadzić z nim wywiad. Poznanie jego punktu widzenia byłoby interesujące.

— Nie mam pojęcia.

No cóż, pomyślał, wciąż mogę coś z tego wyciągnąć. Panna Tissington z radością słyszy dobrą nowinę i tak dalej...

Zawrócił z progą.

— Mówiłem poważnie o tej kolumnie. Czy chciałaby pani dla mnie pisać, panno Tissington? Za wynagrodzeniem, oczywiście.

Wyraźnie odczuła ulgę, że najgorsze za nią, i lekko skinęła głową.

— Pomyślę o tym, panie White.

— To dobrze. Proszę wpaść do redakcji, wszystko omówimy. Tylko niech pani długo z tym nie zwleka.

W końcu się uśmiechnęła.

— Dziękuję panu.

Wróciwszy do redakcji Walt zdecydował, że jednak da jej spokój. Nie chciał jej teraz do siebie zrażać. Może okazać się bardziej przydatna jako współpracownica „Chronicie” niż skrawek informacji w wielkiej sprawie, w której i tak nie brak różnych wątków.

— Tak — powiedział do siebie. — Kto lepiej od młodej Angielki z klasą nadaje się do pisania dla naszych pań? No kto?

Emilie opadła na krzesło, czując nieludzkie zmęczenie. Wyczerpanie. Więc już po wszystkim. Zawsze sobie wyobrażała, że w dniu, kiedy Mai zostanie ostatecznie oczyszczony z zarzutów, o ile taki dzień w ogóle nadejdzie, będzie tryskać podnieceniem, tańczyć z radości, biegać po ulicy, by podzielić się tą wiadomością ze światem, zamiast tego jednak czuła tylko ulgę. Ulgę i znużenie. Cieszyła się ze względu na Małą, była zadowolona, jak z rezerwą powiedziała White'owi, jednakże skąpe informacje napływające z Brisbane na temat Carnegiego i jego wspólnika też nadszarpane jej nerwy. Udręką było to codzienne przeglądanie gazety w poszukiwaniu faktów, nie przypuszczeń, podczas gdy policyjne przesłuchania ciągnęły się w nieskończoność. Wreszcie obu mężczyzn oskarżono, choć nawet wtedy nie wspomniano nic o Mału. A tu nagle, tak nieoczekiwanie, do jej drzwi zapukał White.

Od razu się zorientowała, że zamierzał ponownie wplątać ją w tę sprawę. Nie przyszedł, żeby z dobrego serca przekazać jej wiadomość, i nie podobało jej się to jego natręctwo. Była zadowolona, ucieszona ze względu na Małą, ale White zmusił ją do powściągliwości, bała się okazać jakiegokolwiek uczucia, żeby nie przeczytać ich nieprzyjemnego opisu w gazecie. Hamując radość odnosiła wrażenie, że reporter postawił ją przed kamienną ścianą.

Mai jest wolny. Dokąd pojechał? I jak się czuje, na litość boską? Emilie nie byłaby zdziwiona, gdyby z więzienia wyszedł w gniewie, załamany. Miał do tego wszelkie prawo. Z drugiej zaś strony odznaczał się zawsze wesołym usposobieniem i to powinno mu pomóc w powrocie do normalnego życia. Zapewne niełatwo mu się będzie otrząsnąć po trudnych przejściach, ale

Emilie wierzyła, że Mai wkrótce pozbędzie się ciężaru złych wspomnień. Wciąż przed oczyma miała jego szeroki uśmiech, szczery i zawadiacki, i żałowała, że nie może wysłać mu najlepszych życzeń. Może Mai przyjedzie teraz do Maryborough. Dobrze byłoby znowu go zobaczyć.

Niedaleko przy tej samej ulicy farmerzy otworzyli małą spółdzielnię mleczarską, Emilie więc postanowiła przejść się tam i kupić masło i ser; słyszała też, że mają doskonały bekon. Spacer dobrze jej zrobi, rozjaśni myśli, pomoże poczuć szczęście, które powinno wprost ją rozpierać. Mai jest wolny. Emilie i Clive czuli się teraz świetnie w swoim towarzystwie. Miała wrażenie, że zna go od zawsze, łączyły ich wspólne doświadczenia emigrantów. A co z tą propozycją White'a? Z radością by ją przyjęła. Więc dlaczego nie?

Kiedy wróciła z mleczarni, Clive czekał na nią, podniecony wiadomością, która rozeszła się po mieście dzięki plotkarzom z urzędu telegraficznego.

— Wiem — ubiegła go uśmiechnięta. — Mai został zwolniony. Pan White przyszedł mi o tym powiedzieć.

— Niech go dunder świśnie! Sam chciałem przynieść ci dobre wieści. Biedny Mai, przeżył cholernie trudny czas. Ciekawe, co teraz robi?

— Mam nadzieję, że przyjedzie tutaj. Będzie potrzebował przyjaciół po tym, co go spotkało.

Twarz Clive'a zachmurzyła się.

— W gruncie rzeczy wcale go nie znasz, Emilie. Miał mnóstwo przyjaciół na polach. Był tam moim współnikiem, pamiętasz? To sympatyczny gość, ludzie go lubią. A może to tobie szczególnie zależy na spotkaniu z nim?

— Chciałabym się upewnić, że u niego wszystko w porządku. Byłoby mi przykro, gdyby myślał, że o nim zapomniałam.

— Nie pomyśli tak. Zrobiłem, jak prosiłaś, przesłałem mu twoje serdeczne pozdrowienia w liście, który miał przekazać Małowi jego prawnik. Twój prawnik. Na pewno go dostał. Ale czy oczekujesz, że wróci tu, żeby ci podziękować?

Emilie odwróciła się od Clive'a.

— Nie musi za nic mi dziękować. Wiesz, że to były jego pieniądze.

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę — rzucił Clive ostro.

— Ty chcesz, żeby on wrócił, prawda? Masz nadzieję, że

wdzięczność go tu przyciągnie. Zaczyna mnie męczyć ta sytuacja. Mai wiecznie między nami stoi...

— Wcale między nami nie stoi. To przyjaciel i jego los powinien nas obchodzić.

— O nie, jest kimś więcej niż przyjacielem. Szalał na twoim punkcie, oboje o tym wiemy. Przypuszczalnie wciąż szaleje, a tobie to się podoba. Mai nigdy nie był w twoim typie, ale ty głośno tego nie przyznasz. Pochlebiała ci jego uwaga, zadurzyłaś się w nim! Kochasz go czy nie? Najwyższa pora, żebyśmy to sobie wyjaśnili.

Emilie nie miała ochoty wyznawać prawdy, wolałaby, żeby Clive po prostu przestał o tym mówić. Od dawna już wiedziała, że jej uczucie do Mała było przelotne, bardziej oparte na podnieceniu niż czymkolwiek innym, a podsycala je lojalność. Westchnęła.

— Nie kocham. I chciałabym, żebyś przestał mnie tym dręczyć. Wiesz, że kocham ciebie.

Aż podskoczył z radości. Wziął ją w ramiona i okręcił.

— I nic więcej nie musisz mówić! Wyjdzie pani za mnie, panno Tissington?

— Tak.

— Cudownie! Wspaniale! — Pocałował ją mocno. — Ustalmy datę. Kiedy to się stanie?

Emilie jednak była ostrożna.

— Ustalimy datę, i to niedługo. Posłuchaj, nie chcę cię denerwować mówieniem o Mału, ale byłoby miło, gdybyśmy wiedzieli, jak się z nim skontaktować i powiadomić go o naszej decyzji. — Martwiła się, że Mai znowu nieoczekiwanie się tutaj pojawi, by stwierdzić, że wyszła za jego przyjaciela.

— On wie — odparł Clive obojętnie. — W tym liście napisałem mu, że prosiłem cię o rękę.

— Napisałeś mu o tym, kiedy był w więzieniu? — zapytała Emilie wstrząśnięta. — Clivie, jak mogłeś postąpić tak okrutnie?

— Chciałem, żeby wiedział, co czuję. Miał do tego prawo. Wolałabyś, żeby wierzył, że siedzisz i czekasz na niego? Na pewno między wierszami wyczytał, że łączy nas coś więcej niż tylko znajomość. Tak jest lepiej.

Emilie pokręciła głową.

— O rety, sama nie wiem, co o tym myśleć. Bardzo mi go żal. Czy mogę żywić nadzieję, że jego uczucie do mnie puścisz w niepamięć? Czy nie okażę się zuchwałą marzycielką?



— Rzekłbym raczej: realistką — uśmiechnął się Clive.  
— Chociaż trudno mi będzie zapomnieć. To nasz szczęśliwy dzień, Emilie. Niech taki zostanie.

Niezbadane są wyroki boskie. Kiedy nadszedł list, Ruth padła na kolana przy łóżku, by podziękować Bogu, zapewnić Go, że zawsze ufała w Jego łaskawość. Odmówiła modlitwę za tych, co odeszli, i nawet przeprosiła Wszechmogącego za swój brak wrażliwości, nie, wręcz bezdusność, którą jednak skruszył wpływ tego smutnego wydarzenia na życie dwóch panien Tissington, przebywających tak daleko od domu. I tak rozpaczliwie za nim tęskniących.

Po wyjeździe Emilie sprawy w college'u nie układały się dobrze dla Ruth. Mianowano nową dyrektorkę, która w Londynie uczęszczała do szkoły kształcącej nauczycieli. Była przerażona, że kilka nauczycielek w college'u, w tym Ruth, nie ma żadnego przygotowania, choć przecież takie kwalifikacje od roku 1850 można zdobyć w Sydney.

Od tamtego dnia Ruth groziło zwolnienie. Ponieważ w Sydney istniała akademia pedagogiczna, rząd Nowej Południowej Walii prowadził rejestr nauczycieli.

— Nie mogę pani zatrzymać, panno Tissington. Moi nauczyciele muszą być wykwalifikowani. Jednakże jest pani jeszcze młoda, powinna się pani udać do Sydney i zapisać na ten kurs, który dla nauczycielek klas początkowych trwa tylko rok. Jestem przekonana, że ukończy go pani z wyróżnieniem.

— Uczę też starsze dziewczęta francuskiego, muzyki i literatury. Wie pani, że do tych przedmiotów jestem dobrze przygotowana.

— Oczywiście. I dziewczęta miały szczęście, mogąc korzystać z pani wskazówek. Jednakże Brisbane niedługo będzie miastem, a my musimy dotrzymać kroku naszym czasom. Jak pani się orientuje, nasze opłaty nie są niskie. W zamian muszę zapewnić uczennicom najlepszych nauczycieli. Nauczycieli wykwalifikowanych, a nie korepetytorów. Każda nauczycielka w moim college'u będzie absolwentką akademii pedagogicznej. Być może ucieszy panią, że nie składam tej propozycji innym paniom, które zamierzam zwolnić, panno Tissington, a jeśli wróci pani do mnie z dyplomem, bez zwłoki znajdę dla pani pracę.

— Mnie jednak nie stać na roczny pobyt w Sydney bez żadnego źródła dochodu. I wyobrażam sobie, że trzeba będzie opłacić czesne...

— Spodziewam się. Panno Tissington, jeśli ta droga pani nie odpowiada, to powinna pani znowu zostać guwernantką. Rodziny na zachodzie będą wdzięczne za pani usługi, a ja z radością dam pani referencje. Na razie nie ma powodów do pośpiechu. Będę poszukiwać absolwentów stopniowo...

Ruth poczuła się urażona. Nie rozumiała, jak absolwenci, mający braki w przedmiotach, w których ona odznaczała się biegłością, mogą okazać się lepszymi nauczycielami! Akademie pedagogiczne! Tam nie pogłębiało się wykształcenia, tam udzielano rad, jak zachowywać się w klasie. Na to wystarczyłby tydzień.

Dyrektorka dała jej broszurę z opisem planu zajęć. Ruth wydały się one bez sensu, choć do głębi wstrząsnęła nią informacja, że musiałyby spędzać czas w sali wykładowej zarówno z kobietami, jak i mężczyznami, przy czym górna granica wieku nie mogła przekraczać trzydziestu lat. Dzięki sprzedaży działki pewnie stać by ją było na przeżycie tego roku, ale na myśl o Sydney, tym obcym mieście, i możliwości, że jak w wiejskiej szkółce będzie dzieliła ławę szkolną z mężczyzną, ogarniała ją panika. A perspektywa „wyjazdu na zachód” i zamieszkania pod jednym dachem z jakąś obłąkaną rodziną w buszu doprowadzała ją do mdłości. Będzie musiała przestrzec Emilie o nowych uregulowaniach dotyczących nauczycieli, choć podejrzewała, że mimo sporo czasu, nim te innowacje dotrą do żałosnej peryferyjnej miejsciny, w której mieszkała siostra.

Co robić? Przerazona nic nie robiła. Nie zapisała się na kurs w Sydney, nie poprosiła dyrektorki o referencje, które pozwoliłyby jej szukać innej posady. Ruth osiągnęła kraniec swych możliwości. Wysłała do Londynu ostatnią ratę, na którą składały się też pieniądze od Emilie. Nie chciała wiedzieć, jak siostrze udało się zgromadzić taką sumę bez sprzedaży swojej działki, bo pomimo dzielących je różnic wiedziała, że to dobra dziewczyna. Była niemądra, wręcz głupiutka, wplątując się w tę dziwną awanturę w rodzaju tych, które kobietom każą biec na drugi koniec świata.

Ruth była przekonana, że Emilie nie zrobiła nic poza rzucając się na ratunek jakiemuś niesprawiedliwie potraktowanemu

przez władze rozpuśnikowi. O tak, czytała gazety. Poszła do biblioteki publicznej i w poprzednich wydaniach przeczytała wszystkie artykuły o sławnym Sonnym Willoughbym, a później na bieżąco orientowała się w sprawie. Widziała jego zdjęcia. Ot, przystojny zawadiaka. Należał do takich mężczyzn, których ojciec Ruth nie wpuściłby za próg. Jednakże Emilie, przebywając w tym nieucywilizowanym otoczeniu, straciła do cna poczucie przyzwoitości; im szybciej stamtąd się ją zabierze, tym dla niej lepiej.

Ruth nie wątpiła, że ręka Boga kierowała dłonią dobrej sąsiadki, gdy ta zasiadła do listu, w którym zawiadamiała siostry o śmierci ich macochy. Padła ofiarą ospy wietrznej razem z pięcioma innymi biednymi duszami w wiosce. Czytając ponownie list, Ruth nie potrafiła wykrzesać ani odrobiny współczucia dla tej kobiety, choć niepokoiła się o ojca. On też poważnie zachorował, choć udało mu się przetrwać najgorsze. Niestety, choroba bardzo go osłabiła, a nie miał się kto nim opiekować. Słyszano, jak mówił, że strasznie tęskni za córkami.

Ruth też za nim tęskniła. Obwiniała tę kobietę o skłócenie córek z ojcem, o spowodowanie wszystkich nieszczęść.

A potem pojawiła się ta kwestia...

*Biedaczysko jest inwalidą; doktor uważa, że z tego stanu już nie wyjdzie. Nieboszczka pani Tissington zatrudniła Meg Glover jako służącą na przychodnię i Meg nadal tam jest, choć to nie najlepsza osoba...*

— Meg Glover! — warknęła Ruth. Co sobie myślała macocha, przyjmując tego starego flejtucha? Była tłusta, leniwa i na bakier z uczciwością, wszyscy o tym wiedzieli. Ruth do głowy przyszła brzydka myśl, że nikt inny nie chciał pracować u nowej pani Tissington, bo taka była z niej jędza.

*...do prowadzenia domu, jak sama dobrze rozumiesz, ale nie możemy się wtrącać. Meg już o to dba. Pan Tissington to przyzwoity dżentelmen, powszechnie szanowany, i martwimy się, widząc go pozbawionego właściwej opieki. Przykro mi, że przekazuję Ci złe wieści, ale trudno nie zadać sobie pytania, czy nie mogłybyście zadbać lepiej o ojca? Wiem, że ucieszyłyby się niepomierne, gdyby zobaczyły Ciebie albo Emilie.*

Ruth nie posiadała się z radości. Oto był powód, nie pretekst, do powrotu do domu. Może wreszcie opuścić to straszne miejsce i wrócić do siebie. Do własnego domu. Podejrzewała, że w Brackham będą się cieszyć sławą, pojechały przecież na drugi koniec świata, miały ciekawe przeżycia i były w stanie zapłacić za podróż do Londynu w pierwszej klasie, a to dzięki sprzedaży obu działek. Pan Bowles jednak na coś się przydał, uśmiechnęła się do siebie Ruth. Pierwszą klasą podróżują odpowiedni ludzie. Rejs powrotny będzie po prostu cudowny. Ruth zamierzała niezwłocznie wypytać o najlepszy statek.

Po raz pierwszy w życiu była naprawdę podniecona, nie mogła się doczekać przyjemnego rejsu i triumfalnego powrotu do domu. Zaproszą przyjaciół, by opowiedzieć o swoich podróżach, może nawet napisze kilka artykułów do miejscowej gazety, pomijając nieprzyjemne aspekty ich doświadczeń. I oczywiście nie wspominając o skandalu, który wywołała Emilie. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Wieczorem, nim zasiadła do listu, w którym zawiadamiała Emilie, że wracają pierwszym odpowiadającym ich wymaganiom statkiem do Anglii, ponieważ pilnie potrzebne są w domu, poświęciła kilka myśli ojcu.

Jako posłuszna córka, Ruth niepokoiła się o ojca, choć musiała też przyznać, że sam sobie jest winien. Tak się zakochał w tej okropnej kobiecie, że wziął jej stronę przeciwko własnym córkom. Zmienił się nie do poznania. Czasami Ruth ukradkiem nasłuchiwała odgłosów dochodzących z sypialni ojca i rumieniła się ze wstydu, z jęku sprężyn odgadując, co się tam dzieje. Choć była pewna, że żądza kompletnie zmaćla mu umysł, i to w wieku, kiedy takie zachowanie powinno oburzać, nie mogła powiedzieć o tym młodszej siostrze. Ta kobieta go uwiodła, starego głupca, zawładnęła jego życiem i domem, wyrzuciła na bruk jego córki. A on się temu nie sprzeciwiał.

— Cóż, staruszkule — rzekła do siebie Ruth — teraz nas potrzebujesz. Prawdziwe jest powiedzenie, że zbierasz to, co zasiejesz. Ona odeszła i nie masz nikogo.

W liście do Emilie zwróciła uwagę na to, jakie szczęście ma ich ojciec, że jego córki potrafią wybacząć. Wyrażała nadzieję, że ojciec czuje się na tyle dobrze, by podziękować Bogu za ich powrót.

Wiatr zmian wiał w mieście: rozbudowano nabrzeża, by mogły przyjmować więcej statków, licznymi grupami przybywali nowi, chętni do pracy emigranci. Nad rzeką Mary usadowiły się warsztaty szkutników i odnosiło się wrażenie, że całe to ożywienie stąd bierze swój początek. Na Wharf Street wyrastały nowe sklepy i hotele; za tym przykładem szły inne ulice, puste działki szybko znikwały. Emilie, idąc ulicą do nowego sklepu Clive'a, notowała w myślach wszystkie te zmiany; miała przy tym wrażenie, że jej życie także bardziej się ustabilizowało. Dobrze było brać udział w rozwoju miasta, znać tak wielu ludzi, być przez nich uznawaną za swoją i odpowiadać na pozdrowienia przechodniów.

Na palcu miała pierścionek zaręczynowy, mały szafir osadzony w złocie, dzieło miejscowych jubilerów.

— Uroczy — mówili ludzie.

Chociaż ani jej, ani Clive'owi nie przyszło na myśl zamieszczenie anonsu o zaręczynach w „Chronicie”, wydawca zrobił to za nich, narzeczonego opisując jako energicznego młodego przedsiębiorcę, a pannę Tissington jako „jedną z naszego grona”, ponieważ zgodziła się raz w tygodniu pisać dla niego artykuły, z których dwa już ukazały się drukiem. Jeden zawierał porady kulinarne, które Emilie w całości zaczerpnęła od entuzjastycznie nastawionej do pomysłu pani Dressler, w drugim zaś znalazły się rady dla pań emigrantek, które szukały dla siebie miejsca w nowym środowisku. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu po ogłoszeniu zaręczyn kobiety, które ledwo znała, zatrzymywały ją na ulicy, by życzyć jej szczęścia i obejrzeć pierścionek, ale teraz nie miała już kłopotów z przystosowaniem się do nowych obyczajów i nie reagowała urazą.

Dziwiła się, że oboje są ostatnio tak bardzo zajęci, jakby zaręczyny przyśpieszyły tempo ich życia. Clive przekonał się, że urządzanie sklepu to nie taka łatwa sprawa, jak dotąd sądził. Zamówiony z katalogów towar jakością nie dorównywał jego wyobrażeniom. Narzekał, że wepchnęli mu byle jakie ubrania, bo myślał, że klient w takiej zapadłej mieścinie na niczym się nie zna, i ostatecznie postanowił, że pojedzie jednak do Brisbane, by osobiście dokonać zakupów. Z cieślą budującym wyposażenie sklep wydawał się ciasny, a co gorsza, Clive'a martwiło, że obok będzie warsztat szewski. Nie mógł znieść myśli o smrodzie skóry i kleju psującym łagodną atmosferę wnętrza.

Emilie roześmiała się. Wiedziała, że Clive rozwiąże wszystkie swoje problemy, a sądząc po zainteresowaniu już okazywanym przez panów, przedsięwzięcie powinno zakończyć się sukcesem. Mimo to przekonała go, by zrezygnował z szumnych nazw dla swego sklepu. Nie podzielała opinii, jakoby Maryborough było gotowe na „Wytworne Męskie Stroje” lub „Elitarny Magazyn dla Dżentelmenów”. Proste „Męskie Ubrania” nie odstraszą nieśmiałych klientów, a i tak będą pozytywną odmianą od sklepów, które swoje towary na wzór jarmarków wystawiały na ulicach obok siodeł i butów.

Sporo czasu zajmowało jej pisanie i plany rozbudowy domu, którą postanowili przeprowadzić przed ślubem. Z całą pewnością potrzebowali porządnej kuchni, nie tylko małej wnęki, oraz kilku innych udogodnień. Emilie żałowała, że nie może pozbyć się wyrzutów sumienia z tym związanych. Za prawdziwego właściciela wciąż uważała Mała. Lecz gdzie był? Minęły tygodnie od jego zwolnienia z więzienia, a on nie dał znaku życia. Chciała z nim porozmawiać, przekonać się, jak się miewa, jak sobie radzi.

Clive'a nie było, Emilie zamieniła więc kilka słów z cieślą, który obiecał, że rozpocznie pracę w domku, jak tylko skończy sklep. Później zajrzała do magazynu z materiałami, próbując ustalić, jaki rodzaj pościeli potrzebny jest mężatce. W domu większość dziewcząt w jej wieku posiada kufer wypełniony ręcznie uszytymi przed ślubem cudёнkami, lecz ona — tu Emilie się uśmiechnęła — wielka podróżniczka, nie miała na to czasu. Co nie znaczy, że ją to martwi. Kupiła kilka białych ręczników i powędrowała dalej.

I była jeszcze suknia ślubna. Emilie wciąż niecierpliwie wyczekiwała na wiadomość od krawcowej, która w Brisbane zamówiła zwoje białego jedwabiu i koronki, ale najwyraźniej jeszcze ich nie dostarczono. Westchnęła. Jej suknia ślubna! Zawsze sądziła, że weźmie ślub w zabytkowym kościele w Brackham. Kto by pomyślał, że pójdzie nawa w małym drewnianym kościółku zbudowanym pośrodku gołej działki?

Następnym przystankiem była poczta. Emilie napisała do Ruth, zawierając w liście wiadomość o swoich zaręczynach i propozycję, że ustalą datę ślubu na czas letnich wakacji, tak by Ruth mogła wziąć w nim udział jako jej drużna, oczywiście jeśli się zgodzi. Emilie pamiętała, że Ruth z niezadowoleniem przyjęła

pierwsze wzmianki o Clivie, teraz jednak było inaczej. Kiedy go pozna, na pewno go polubi.

I znowu jej myśli powędrowały do Mała. Nagle pojęła, gdzie może być. Na Wyspie Frasera. Kochał to miejsce, zwłaszcza Zatokę Orchidei. Niewykluczone, że tam wrócił. Łatwo go będzie znaleźć. Emilie napisze do swych przyjaciół misjonarzy...

List od Ruth czekał, zatłoczona poczta nie była jednak odpowiednim miejscem do lektury, i na razie musiała schować go w torebce, choć bardzo chciała poznać reakcję siostry. Jaka niespodzianką musiała być dla niej wiadomość o zaręczynach i bliskim ślubie! A także zaproszenie do Maryborough. Emilie taka była podniecona, nie była w stanie czekać, aż wróci do domu. Zamiast tego usiadła na ławce przed sklepem ze świecami i rozerwała kopertę. Znalazła dwa listy, starannie poskładane. Wzięła pierwszy, mieszczący się na pojedynczej kartce...

*Droga Emilie,*

*kiedy skończyłam list do Ciebie, dostałam Twój z piątego, stąd ten dopisek. Jak sztucznie stwierdziłaś, wiadomość o zaręczynach była dla mnie zaskoczeniem, choć biorąc pod uwagę Twoje nierozważne zachowanie ostatnimi czasy, zastanawiam się dlaczego. Z pewnością nie oczekujesz mojej aprobaty? Nie znam i nie chcę znać tego człowieka. Trudno powstrzymać się od myśli, że przez ten nadmiar słońca wplątałaś się w następny ambaras prawie natychmiast po poprzedniej fatalnej awanturze. Na szczęście mogę Ci dać wiarygodny pretekst do uwolnienia się z tej sytuacji, o czym przekonasz się czytając drugi list. Musisz niezwłocznie powiadomić chlebodawców, że rezygnujesz z pracy, i przyjechać do Brisbane przy pierwszej możliwej sposobności, tak byśmy mogły razem wrócić do Anglii.*

Emilie była oszołomiona. O co chodzi Ruth? Wrócić do Anglii? Gniewnym ruchem rozwinęła pozostałe kartki. Dowiedziała się o śmierci macochy, o stanie ojca, który rozpaczliwie potrzebuje ich opieki, oraz o planach Ruth dotyczących powrotnego rejsu i ich przyszłości w domu, gdzie otaczać je będą właścivi ludzie.

Zdezorientowana i urażona Emilie wróciła do domu. Nie powiedziała Ruth, że zwolniono ją z posady guwernantki, choć

teraz nie miało to znaczenia. Bolało ją nastawienie siostry, obraźliwe uwagi o Clivie, który w żadnym razie nie będzie mógł przeczytać tego listu, i lekceważący stosunek do jej planów małżeńskich. Jakby Emilie brakowało rozsądku i nie była w stanie wybrać mądrze.

— Tylko dlatego że ty popełniłaś błąd — mruzczała ponuro, maszerując drogą — nie znaczy, że Clive nie jest uczciwym człowiekiem. Nie ma żadnego porównania między nim a tym okropnym Danielem Bowlesem.

Jednakże ojciec... Zgadzała się z Ruth; jest teraz chory, nie powinny więc chować dawnych uraz. Potrzebował opieki, to nie ulegało wątpliwości, ale dlaczego akurat opieki obu córek? Ruth może sama wrócić do domu, od dawna jej na tym zależało.

Pisząc pierwszą odpowiedź Emilie przelała na papier wszystkie kłębiące się w niej emocje. Podkreśliła, że od początku miała rację co do pana Willoughby'ego, o czym świadczyło zakończenie, bynajmniej nie fatalne, lecz potwierdzające jej postawę. Oskarżyła siostrę o bezdusność i brak lojalności, po czym żarliwie stanęła w obronie Clive'a... później jednak podarła ten list i zaczęła od nowa, spokojniejszym tonem, jako że wyrzuciła z siebie gniew. Ruth to jej jedyna siostra, nic dobrego nie przyjdzie z obrzucania jej zniewagami. Po co jeszcze pogłębiać istniejące nieporozumienia?

Emilie była dumna z wyważonej odpowiedzi. Ruth naturalnie musi pojechać do ojca, skoro teraz jej potrzebuje; Emilie prosi, by przekazała mu wyrazy jej szczerego przywiązania. Jednakże jej narzeczony to człowiek dobry i przyzwoity i zamierza za niego wyjść. Dlatego też prosi Ruth, by przed rejssem do Anglii przyjechała do Maryborough i wzięła udział w radosnej ceremonii. Wybiorą taki termin ślubu, który będzie pasował do planów Ruth.

Emilie miała nadzieję, że jej suknia ślubna zostanie uszyta na czas, ponieważ Ruth już zrezygnowała z posady w college'u.

Po dwóch tygodniach otrzymała następny list od siostry; Ruth przybrała ton bardziej pojednawczy, choć przedstawiła Emilie kolejny problem do rozwiązania.

*Sprawiasz wrażenie zdeterminowanej w swoich planach posługiwania pana Hilliera. Twierdzisz, że jesteście w sobie bardzo zakochani. W takim przypadku jestem przekonana, że pan Hillier*



*nie będzie stał Ci na drodze, jeśli mu powiesz, że Twój jak najszybszy powrót do Anglii jest absolutnie konieczny. Ojciec jest człowiekiem starym i chorym. Wyraził życzenie zobaczenia córek. Jeśli chodzi o Ciebie, być może po raz ostatni, jako że najwyraźniej zdecydowałaś, że zostaniesz w tym kraju. Nie potrafię dostrzec powodów, dla których Ty miałabyś nie spełnić prośby ojca, a pan Hillier miałby nie udzielić Ci urlopu...*

— Urlop! — prychnęła Emilie. Taka wizyta potrwałaby ponad pół roku i dała Ruth nadzieję na odwołanie ślubu, a nie tylko odłożenie. Czy jednak Emilie może odmówić?

Omówiła ten problem z Clive'em, który nie zamierzał podejmować za nią decyzji.

— To zależy do ciebie, Em. Będę rozczarowany, jeśli przesu-niemy ślub, skoro jednak czujesz, że powinnaś jechać, to nie masz wyboru. — Wzruszył ramionami. — Będę tutaj, gdy wrócisz.

Emilie przez wiele dni męczyła się nad tym dylematem; decyzję podjęła dopiero wtedy, gdy Clive oznajmił, że na koniec tygodnia jedzie do Brisbane i zabierze ją ze sobą, żeby spotkała się z siostrą.

— Tak sobie myślałam, że miło by było mieć ślub w Wigilię — powiedziała nieśmiało.

— Ale przecież Ruth chce wyjechać wcześniej, prawda? — zapytał zdziwiony.

— Tak. Popłynie sama.

— Ty nie jedziesz?

— Nie. Wysłałam długi list do ojca, on mnie zrozumie. Będzie musiał. Napisałam mu, żeby dbał o siebie, że Ruth wraca do domu, że później, kiedy ułożymy nasze życie tutaj, oboje go odwiedzimy. Kiedy przyjadę do domu, będzie ze mną mój mąż.

Clive odetchnął z ulgą. Objął mocno Emilie.

— Dzięki Bogu. Nie chciałem, żebyś wyjeżdżała, ale... nie-ważne. Wigilia, powiadasz? Moja droga, będę zaszczycony, poślubiając cię w Wigilię. Chcesz jechać ze mną do Brisbane, żeby pożegnać się z Ruth?

Emilie zadrżała.

— Raczej nie. Bezpieczniejsza jestem tutaj. Ona wpadnie w gniew, a ja nie chcę następnej kłótni.

— W takim razie ja ją odwiedzę, przedstawię się i w twoim imieniu przeproszę. Przynajmniej się poznamy.

— Tylko się nie zdziw, jeśli odprawi cię z progu — roześmiała się Emilie.

— Do tego na pewno nie dojdzie — odparł stanowczo. — Nie pozwolę na to. Choć z tego, co mówisz, wynika, że twoja siostra musi nauczyć się większej serdeczności wobec ludzi.

W tych dniach na drogach pełno było nieznanym, nikt więc nie zwrócił uwagi na samotnego buszmena jadącego przez Gypie; zaskoczyła go przemiana głównego traktu w ulicę, która przestała sprawiać wrażenie prowizorycznej. Opuścił Gypie i jechał dalej. Wcześniej był tu tylko raz, ale znał na pamięć każdy cal tej drogi. Miał mnóstwo czasu, by o tym myśleć.

Rozbił obóz w Blackwater Creek, dobrze ukryty w buszu, nie chciał bowiem przygodnego towarzystwa i nieuniknionej rozmowy o tym, co się tutaj wydarzyło. Tamten napad nie budził w nim już emocji. Obojętnie, powoli, rozglądał się po okolicy, patrzył na drzewa otaczające polanę, z których jedno stanowiło wtedy kryjówkę Baldy'ego. Następnie zsunął się po zboczu nad strumień, by obejrzeć miejsce, w którym według policji Baldy zostawił łódkę. Wówczas na trasie jego ucieczki nie było innych jeźdźców, nie było bandytów, tylko stary głupi Baldy. A teraz nie było tu żadnych duchów, jedynie lekki wiatr przemykający się wśród gałęzi wysokich drzew mącił ciszę. Mai zwinął derkę i ułożył się do snu. Spał jak dziecko.

Rano ruszył w kierunku Maryborough, lecz ominął miasto. Promem przepłynął się na drugi brzeg rzeki. Podjął decyzję: nie odwiedzi Emilie i Clive'a. Jechał na Wyspę Frasera, najpiękniejsze miejsce na świecie. Tylko tam mógł zmyć odór więzienia, cywilizacji. Pragnął zanurzyć się w pełnym cudów i tajemnic lesie deszczowym, usłyszeć znowu bicie fal o plażę, na których rzadkością były ślady ludzkich stóp, gdzie mógł krzyczeć i nikt go nie uciszał. Mai ze zwierzęcą pewnością wiedział, że tylko tam odzyska własną duszę, oczyści się z myśli, uzdrowi ciało. Będzie biegał, łowił ryby, pływał, stawiał czoło wysokim falom. Będzie zasypiał, szczęśliwie zmęczony. I czekał.

Wiadomość od pastora Bettsa prowadzącego misję na Wyspie Frasera nadeszła pod nieobecność Clive'a. W odpowiedzi na pytanie Emilie informował, że pan Willoughby przebywa na wyspie.

Emilie nie wahała się ani chwili. Musiała zobaczyć się z Małem. Najwyższy czas, żeby porozmawiali. Pośpieszyła na nabrzeże, by dowiedzieć się o środki transportu na wyspę. Prom dostawczy odpływał dopiero za tydzień, skierowano ją jednak do szypra, który prowadził kecz należący do przedsiębiorstwa drzewnego działającego na wyspie. Szyper zgodził się zabrać ją nazajutrz rano.

— Wypływamy o pierwszym brzasku, panienko. Da pani radę przyjść o tej porze?

— Oczywiście. Ale proszę mi powiedzieć, która to będzie godzina?

— Około piątej, panienko — roześmiał się szyper. — Bez obaw, dzień zapowiada się pogodny, w sam raz na przeprawę przez zatokę.

I nie mylił się. Dzień był cudowny. Emilie była jedyną kobietą na pokładzie, ale załoga traktowała ją miło. Kiedy kecz opuścił nurt rzeki Mary i wypłynął na błękitne wody zatoki, Emilie siedziała zadowolona w małej kabinie i z zainteresowaniem patrzyła na bezludne wyspy, które mijali. Wreszcie kecz przybił do długiego mola.

Był tam pastor Betts, zaskoczony widokiem Emilie.

— Wielkie nieba! Panna Tissington! Jak miło panią widzieć! Może pani chwilę poczekać? Muszę zamienić słowo z tymi dżentelmenami, potem pójdziemy do misji.

Emilie spojrzała na brzeg. Morze się cofnęło, a choć spod kępek trawy wyglądał biały piasek, plaża była błotnista, poznaczona jamami krabów, wcale nie przypominała tych czystych pofałdowanych przestrzeni, które opisywał Mai. Na jej granicy wznosiła się ściana gęstego lasu deszczowego i Emilie nagle ogarnął niepokój. Nie powinna była tak pochopnie wyruszać na tę ekspedycję, lepiej by zrobiła, gdyby poczekała na Clive'a. To były przerażające miejsce, w którym żyli Aborygeni. Przypomniała sobie wszystkie straszne historie o morderstwach i gwałtach popełnionych na tej wielkiej wyspie i zapragnęła wrócić na kecz, ale wtedy pastor Betts załatwił już swoje sprawy i gotów był prowadzić ją do misji.

Kiedy szli piaszczystą ścieżką wiodącą przez ogromny las, pastor zachwycał się pięknem otoczenia, Emilie jednak nie czuła się swobodnie. Zgadzała się, że potężne drzewa są wspaniałe, ale

przepuszczały niewiele światła i na ścieżce panował mrok; rosnące wzdłuż niej bujne rośliny nadawały ciemności barwę zieleni. To pewnie gra światła, pomyślała Emilie nerwowo.

Wreszcie zza zakrętu wyszli na misję. Emilie przeżyła kolejny szok, jakby spacer przez dzicz cofnął ją w czasie. Zastanawiała się, czego właściwie oczekiwała... białego kościółka i szkoły, schludnego domu pastorostwa, czegoś w tym rodzaju, z całą pewnością jednak nie osady drewnianych chat pokrytych słomą, ledwo widocznych wśród drzew.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił Betts z dumą. — Nie ma jak w domu.

Przybiegło ku nim kilkoro aborygeńskich dzieci, śmiejących się radośnie na widok gościa. Starsi także wychodzili i witali ich przyjaznym uśmiechem. Emilie z ciekawością zauważyła, że wszyscy odziani byli w nie dopasowane stroje, jakby ubranie rozdawano im na chybił trafił ze skrzyni z darami dla biednych, zaraz wszakże uświadomiła sobie, iż tak właśnie było. Misjonarze dokładali starań, by okryć nagość tubylców. Nikomu jednak to nie przeszkadzało. Emilie uprzejmie do wszystkich się uśmiechała i pozwoliła, by dwóch czarnych malców wzięło ją za ręce i zaprowadziło do pani Betts, która stała przed chatą, pośpiesznie zdejmując fartuch.

Oboje państwo Betts byli rozczarowani słysząc, że panna Tissington postanowiła nie przyjmować posady w misji, choć nie zepsuło to ich radości z jej wizyty. Zaraz też oprowadzili ją po prymitywnej osadzie.

Emilie była pod wrażeniem ich poświęcenia i dumy z misji. Żałowała, że nie pomyślała o drobnym prezencie, ponieważ widać było wyraźnie, że brakuje im wszystkiego. Misja była bardzo biedna, za to jej gospodarze tryskali entuzjazmem i wydawali się niewiarygodnie szczęśliwi.

Przy porannej herbacie powiedziała im, że celem jej wizyty jest odnalezienie pana Willoughby'ego. Czuła, że mają prawo do wyjaśnień, przedstawiła więc jego historię.

— Oczywiście słyszeliśmy o nim — odezwała się zaskoczona pani Betts. — W gazetach nazywali go Sonny Willoughby. Czytaliśmy o nim w Brisbane. Więc to on? Och, nieszczęsny człowiek! To musiało być dla niego okropne. I mówi pani, że ukrywał się na naszej wyspie, kiedy policja go ściagała? Bardzo sprytnie!

— Nie dziwota, że wrócił tu z więzienia — dodał jej mąż. — Byłem na Świętej Helenie z wizytą duszpasterską. To straszne miejsce nawet dla zatwardziałych przestępców, a człowiekowi niewinnemu może zniszczyć duszę. Jak sobie teraz radzi?

— Nie wiem, ale jako przyjaciółka czuję, że powinnam zdobyć się na wysiłek i odnaleźć go.

Pani Betts kiwnęła głową.

— Spełnia pani dobry uczynek, panno Tissington. Żałuję, że nie wiedzieliśmy, kim on jest, moglibyśmy mu pomóc, gdyby tego potrzebował. Ale on wydaje się wesoły i swobodny.

— Wiedzą państwo, gdzie teraz jest?

Pastorowa pokręciła głową.

— To bardzo rozległa wyspa, ma około sześćdziesięciu mil długości, w większej części nie zbadana. On może być gdziekolwiek.

— Mówił, że jego ulubionym miejscem jest Zatoka Orchidei, ale sądzę, że wymyślił tę nazwę. Znajduje się od strony oceanu.

Betts bębnił palcami po stole.

— Już o tym rozmawialiśmy. Mogę tylko przypuszczać, ale to chyba jest Indian Head, gdzie strumienie wpływają do oceanu. Istotnie w niektórych miejscach na wyspie orchidee rosną bujnie. Niestety, ani pani Betts, ani ja nie jesteśmy dostatecznie biegli w botanice, by przeprowadzić nad nimi badania, aczkolwiek nie wątpimy, że niektóre z występujących tu odmian nie są jeszcze znane ekspertom. Ale wróćmy do pana Willoughby'ego. Popytam naszych czarnych, wędrują po wyspie i może rzucają jakieś światło na miejsce jego pobytu.

Kiedy czekały na powrót pastora, Emilie zaproponowała pani Betts, że mogłaby rozpocząć w Maryborough zbiórkę pieniędzy lub żywności dla misji.

— Bylibyśmy niezmiernie wdzięczni, panno Tissington. W większości żywimy się tym, co sami wyhodujemy, ale z radością przyjęlibyśmy pomoce szkolne, materiały piśmiennicze, a przede wszystkim lekarstwa. Drwale są dla nas bardzo dobrzy. Często dają nam paczki z jedzeniem, kiedy dostają świeże zapasy z ładu.

Pani Betts gawędziła o pracy na wyspie, niefrasobliwie opowiadając o atakach „trudnych” czarnych, którym nie podoba się ich obecność, a Emilie słuchała jej ze zdziwieniem i zadawała sobie pytanie, czy ci ludzie są odważni czy też głupi.

— Mówiła pani, że drwale mają tu osady. Dlaczego nie przeniesiecie misji bliżej nich?

— O nie, to by przeszkadzało naszym celom. Nie możemy pozwolić, żeby dziewczęta zadawały się z drwalami. Wielkie nieba, to wykluczone.

Wrócił rozradowany Betts.

— Znalazłem go. Dwaj z naszych chłopców wiedzą, gdzie on jest. Nie mieszka w obozie drwali, ale w miejscu, które jak rozumiem, położone jest od nas dokładnie na wschód. To dość daleko, więc jeśli nie przeszkadza pani jazda na osle, zabiorę tam panią.

Emilie przełknęła ślinę.

— Na osle?

— Och, nie musi się pani bać, są bardzo spokojne. Doprawdy urocze zwierzęta. Sama się pani przekona.

A co tam, to kolejne doświadczenie, myślała Emilie, kiedy ruszali na drugi brzeg wyspy, ona i pan Betts na osłach, a dwaj „chłopcy”, siwowłosi Aborygeni, biegli przed nimi wskazując drogę. Niepokoiła się jednak reakcją Mała. A jeśli nie spodoba mu się jej wizyta? W końcu nawet nie próbował się z nią skontaktować.

Niewielki osioł kroczył przed siebie, przez małe pagórki, które przewodnicy nazywali podskokami, i drobne strumyki, coraz głębiej w las, głośny od ptasich gwizdów i świergotów. Przy każdym zakręcie wąskiej ścieżki Emilie spodziewała się zobaczyć czarnych, nikogo jednak nie widzieli. To było tak, jakby świat zostawili za sobą. Czy dlatego Mai tutaj wrócił? A jeśli tak, to co ona tu robi? Popełniła straszliwy błąd.

Tak niespodziewanie wyjechali z lasu na brzeg oceanu, że Emilie przez moment nic nie widziała. Osiołek także podrzucił łbem, starając się przyzwyczaić oczy do nagłego blasku.

Z wysokiej wydmy Emilie patrzyła z podziwem na szeroką plażę schodzącą łukiem ku bezmiarowi oceanu. Plaża była pusta, dziewicza, sprawiała wrażenie, iż nie ma na niej miejsca dla nich, co tylko wzmogło w Emilie poczucie, że jest tu intruzem. Mogła tylko bez sprzeciwu wykonać polecenia pastora.

— Osły zostawimy tutaj, panno Tissington, i pójdziemy pieszo. Chłopcy mówią, że pan Willoughby rozbił obóz trochę dalej na północ. Nad strumieniem, tak jak myślałem. Chodź o wodę, rozumie pani.

Emilie zsunęła się z osła i poklepała zwierzę po łbie. Nie chciała się z nim rozstawać, obawiała się tego, co czeka ją na końcu tej drogi. Tęsknota za Malem nie była łatwa, ale ponowne spotkanie z nim może okazać się jeszcze gorsze. Miał wszelkie prawo do irytacji, a nawet rozbawienia, że Emilie tak za nim goni. Twarz jej zapłonęła.

Nie dosłyszała, co pastor do niej mówił, on zaś wziął jej rumieniec za niewieści wstyd.

— Wszystko w porządku — powiedział. — My pójdziemy przodem.

— Przepraszam, ale nie rozumiem, panie Betts.

Uśmiechnął się.

— Żeby mogła pani zdjąć buty i pończochy. W przeciwnym razie nie da rady pani zejść z wydmy w tym głębokim piasku. W tych okolicznościach gołe stopy są całkiem stosowne.

— Och, już pojmuję.

Emilie przekonała się, że chodzenie boso nie tylko jest stosowne, ale ten dziecięcy sposób poruszania się stanowi też świetną zabawę. Stopy ślizgały się i zapadały w ciepłym piasku, aż wreszcie znalazła się plaży. Także i tam, podążając za mężczyznami, czerpała przyjemność z szelestu, z jakim bose nogi ocierały się o piasek, to ją odprężyło. Z każdym krokiem czuła się lepiej. Pragnęła pobiec przez plażę, wejść do oceanu, poczuć chłód tej cudownej, zapraszającej wody, napominała się jednak w duchu, że jest już dorosła, że powinna dobrze się zachowywać.

Znaleźli obóz Mała, szałas zrobiony z gałęzi i palmowych liści, na który pastor patrzył z niepokojem.

— Cieszę się, że tu przyszliśmy. Przyjazd tutaj na jakiś czas dla wytchnienia, na wakacje, by tak rzecz ująć, to jedno, ale nie możemy pozwolić, żeby pan Willoughby zaczął żyć jak tubylec. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Jednakże Emilie była oczarowana. Zajrzała do szałasu i przekonała się, że nie ma w nim nic prócz kilku wiklinowych mat; rzeczy Mała leżały bezładnie w jednym mrocznym kącie. Przypomniła jej się domek na drzewie, który ojciec zbudował dla córek, kiedy były małe, chociaż nie rozciągał się z niego taki widok jak tutaj, na ocean, na potężne fale wznoszące się i opadające z grzmiotem przywodzącym na myśl turkot pociągu. Nigdy wcześniej Emilie nie widziała tak rozległej plaży, i zastanawiała się, jak to jest, gdy nocą pod rozgwieżdżonym niebem słucha się

## ZATOKA ORCHIDEI

tego odgłosu, który nigdy nie milknie. To jak słuchać nieskończoności. Siłą woli wyrwała się z zadumy i poszła zbadać, co kryje się za szafasem. Mężczyźni tymczasem skierowali się na plażę.

Zobaczyła, że są tam inne czyste strumyki i oczywiście orchidee we wszystkich kolorach tęczy, które jaśniały nieśmiało na zieleni. Z korzeni oplecionych o pnie drzew zwisały łodygi pełne żółtego kwiecica, fioletowe, białe i niebieskie orchidee spoczywały majestatycznie na konarach, a na drugim brzegu strumienia Emilie ujrzała różowe, w odcieniu najdelikatniejszego różu. Dotąd widywała orchidee jedynie w książkach i pożałowała, że nie ma ze sobą farb, mogłaby wtedy niektóre namalować. To naprawdę była Zatoka Orchidei, tutejszy klimat sprawiał, że bujnie rozkwitały. Emilie poczuła wstyd, że Mai, ten beztroski Mai, taką uwagę zwraca na przyrodę. Wątpiła, by Clive cokolwiek tu zauważył.

Do rzeczywistości przywróciło ją wołanie pastora.

— Jacyś ludzie nadchodzą!

Emilie zbiegła ku mężczyznom.

— Tam — wskazał pastor. — Chłopcy ich zauważyli. Sam ledwo ich widzę. Kto nadchodzi?

— Czarni — odparł jeden z przewodników. Przysłonił oczy.

— Czarni idą. Rybacy z jednym białym.

— Chyba powinna pani pójść do szafasu, panno Tissington

— zaproponował pastor z niepokojem.

Emilie jednak była zaintrygowana. Widziała ich teraz, byli daleko, wydłużone widmowe postaci, przysłonięte mgiełką z rozpryskujących się fal. Trudno było stwierdzić, czy stoją w miejscu czy poruszają się w jakimkolwiek kierunku.

Przewodnik przewrócił oczami.

— Szefie, lepiej, jak pan tu zostanie z panienką. Idziemy zobaczyć, czy to dobrzy faceci.

Kiedy pobiegli plażą, Emilie zwróciła się do pastora.

— Coś nam grozi? — zapytała wprost.

Jego zaprzeczenia nie brzmiały zbyt pewnie, ku swojemu zaskoczeniu jednak Emilie wcale się nie bała. Doszła do wniosku, że jeśli ci czarni są wrogo nastawieni, i tak nic nie można na to poradzić. Ona i pastor nie mogli uciec, ponieważ zostawiliby ślady stóp na nieskazitelnym piasku. Miała jednak nadzieję, że tym białym jest Mai, a nie jakiś nieznajomy, który stał się



tubylcem. Wydawało się, że minęło wiele godzin, nim ostatecznie można było stwierdzić, że nadchodzący to czarni. Zanim jeszcze pastor zdążył się odezwać, Emilie wiedziała, że jest z nimi Mai; rozpoznała go po swobodnym kroku i po jasnej gęstej czuprynie.

— Proszę iść do szałas, panno Tissington — powiedziała Betts. — Ci czarni nie są odziani.

Po tych słowach pobiegł ku swoim przewodnikom, by powstrzymać nadchodzących i oszczędzić damie widoku nagich mężczyzn.

Emilie niechętnie się odwróciła, pragnęła bowiem zyskać pewność, że to naprawdę jest Mai, a nie wytwór jej wyobraźni. Nastąpił odpływ i szła teraz ciężko po twardym, mokrym piasku, zamiatając go długą spódnicą, walcząc z własnym buntem. A jeśli to Mai? Nigdy w życiu nie widziała równie rozległej plaży. I bardziej samotnej. Choć teraz byli na niej ludzie. Dziwne, lecz pomyślała o Ruth, która w tych okolicznościach biegłaby szukając schronienia, zakrywając oczy przed bliskim wstydem, z drugiej jednak strony Ruth nigdy nie zniżyłaby się do takiej sytuacji. Ruth w żadnym razie nie goniłaby za mężczyzną, jak czyniła to Emilie. Nie chodziłaby też boso, mimo oblepiającego wszystko piasku. Jak to się stało, że tak szybko oddaliły się od siebie? Czy powodem jest ten kraj? A może zawsze były inne i dopiero okoliczności sprawiły, że ich postawy nabrały wyraźnego kształtu? Emilie pomyślała o matce, kobiecie z bystrym umysłem, która o wszystkim chciała wszystko wiedzieć, utalentowanej malarce. Matka cieszyłaby się mogąc widzieć to miejsce. Ojciec natomiast nie. Był mocno zakotwiczony w Brackham, gdzie spędził całe życie. Podobnie jak Ruth — jej miejsce też tam było.

Emilie oderwała się od myśli o Ruth na długo przedtem, nim doszła do szałas, i zaraz się odwróciła. Nieważne, czy batalion nagich czarnych mężczyzn zbliża się ku niej, musi wiedzieć, czy między nimi jest Mai.

A potem go zobaczyła. Biegł plażą, swoich towarzyszy zostawiwszy daleko w tyle. Na sobie miał tylko spodnie z samodziąłu, do kolan mokre od morskiej wody, i wyglądał wspaniale, opalony, szczęśliwy i taki... męski. Zadrżała. Nie miała jednak czasu dłużej o tym myśleć. Mai zamknął ją w niedźwiedzim uścisku, uniósł wysoko, rozradowany. Piasek z jego włosów i zarost drapały ją w policzki.

— Emilie! To ty! Boże wszechmogący! Miałem nadzieję, że przyjdiesz.

— Postaw mnie. Skąd wiedziałeś, że tu przyjdę?

Wypuścił ją z objęć i uśmiechnął się.

— Betts mi powiedział, że o mnie pytasz. I oto jesteś.

Emilie odzyskała panowanie nad sobą.

— Mogłeś mnie odwiedzić, Mai. Okrutnie postąpiłeś, pozwalając mi się tak martwić. I wcale nie było mi łatwo znaleźć cię tutaj. Musiałam wstać przed świtem, żeby zdążyć na łódź, i godzinami jechać na ośle. Gdyby nie pastor Betts, wcale bym nie wysiadła na brzeg, więc nie myśl sobie, że to była wielka przyjemność. Nie była. I w dodatku muszę wrócić.

— Zawsze możesz tu zostać — zażartował.

— Nie kij. Martwiłam się o ciebie, a teraz widzę, że całkiem niepotrzebnie.

— Och, przysiągłbym, że ucieszyłaś się, kiedy zobaczyłaś mnie na plaży. Myliłem się?

Wciąż żartował, musiała jednak przyznać, że miał rację.

— Dobrze. — Ujął ją pod ramię. — Co powiesz na zawieszanie broni? Przykro mi, że sprawiłem ci kłopot. Znowu. Chodźmy do chaty, tam jest chłodniej. Betts może sobie myśleć, że znalazł nowych nawróconych, choć na jego miejscu bym na to nie liczył. Mogę poczęstować cię wodą i rybą, jeśli chcesz zostać na lunchu.

— No, nie wiem — odparła niespokojnie. — Wydaje mi się, że pan Betts ma lunch dla nas.

— Dobrze, w takim razie urządzimy sobie piknik.

Emilie odwróciła się do niego.

— Mai, nie przyszłam tu na piknik. Martwiłam się, wciąż się o ciebie martwię. Jak sobie radzisz po tym wszystkim, co cię spotkało? Po...

— Nie chcę o tym mówić — odparł, nagle pochmurniejąc, ale kiedy się odwrócił, Emilie zobaczyła jego plecy, poznaczone bliznami, i natychmiast zrozumiała, co było ich powodem.

— O mój Boże! Wychłostali cię! Och, Mai, tak mi przykro!

— To zbędne — wybuchnął. — Twoje współczucie to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję. Wychłostali mnie, i co z tego? Na Świętej Helenie chłószczą każdego, to opłata za wejście. — Wprowadził ją do szałas. — Nie ma krzeseł, ale te maty dobrze chronią od piasku. Nie przeszkadza ci, że na nich usiądziesz?

— Wcale nie.

Pocałował ją w policzek, nim usiadła.

— Nie dałaś mi czasu, żebym ci powiedział, że wyglądasz śliczniej niż kiedykolwiek, Emilie. I jestem ci wdzięczny, że posłałaś mi na ratunek Lanfielda. Do końca życia będę twoim dłużnikiem.

Ta nagła zmiana nastroju zbiła z tropu Emilie, choć zdawała sobie sprawę, że Mai nie jest taki jak dawniej; coś było w nim zwichrowane.

Kiedy wrócił z kubkiem wody dla niej i usiadł obok po turecku, zaczęli prowadzić urwaną rozmowę, przerywaną długimi chwilami milczenia... jak starzy przyjaciele, którzy swobodnie się ze sobą czują. W jego szałasie było naprawdę przyjemnie. Wymieniali uwagi o wyspie, orchideach, misji. Emilie powiedziała, że nie pracuje już u państwa Manningtree, za to pisze artykuły do „Chronicie”, co na Malu zrobiło wielkie wrażenie. Miał zamiar zostać drwalem na wyspie. Bardziej teraz pewny, podniósł temat Lanfielda.

— Jak do niego dotarłaś? To twarda sztuka, ale sprytna.

Emilie zaczęła wyjaśniać, choć szybko złapała się na tym, że opowiada o swych trudnych kontaktach z policją, prawnikami i gazetami, o wynikłym z tego rozgłosie, który śmiertelnie obraził jej siostrę, a wszystko to było tak chaotyczne, że oboje nagle wybuchnęli śmiechem. Emilie poczuła ulgę, patrząc na swoje problemy z perspektywy.

— A co gorsza — mówiła — poznałam narzeczonego Ruth, okropnego jegomościa, sekretarza pana Lilleya, posła do parlamentu...

— Lilley? Raz go spotkałem, choć wtedy nie wiedziałem, kto to jest. Wpadł w poważne tarapaty, groził mu tłum... to było tego dnia, kiedy poznałem ciebie. Były zamieszki. Powiedziałem ci, żebyś zawróciła...

— Wielkie nieba, rzeczywiście! A poznałeś jego sekretarza Daniela Bowlesa?

— Nie zostałem tam długo — uśmiechnął się Mai.

— No, prawda. Pan Bowles tak się rozgniewał, że zerwał zaręczyny.

— A co to miało z nim wspólnego?

— Zupełnie nic. Moim zdaniem skorzystał z pretekstu. Był strasznie zajęty, próbując oskubać moją siostrę z pieniędzy. Ale

odzyskałyśmy je co do pensa... bo zagroziłam, że poślę do niego pana Lanfielda.

— I wszystko z mojego powodu?

— Właściwie nie. Przynajmniej pozbyłyśmy się narzeczonego Ruth, nim było za późno.

Mai ujął ją za rękę.

— A twój narzeczony, Emilie? Czy to pierścionek zaręczynowy?

Zakłopotana kiwnęła głową.

— Clive pisał do mnie. Wyjdiesz za niego?

— Tak.

Mai wolno podniósł się i stanął w progu, patrząc na ocean. Po chwili wzruszył ramionami.

— No cóż, chyba mogłaś gorzej trafić. Na przykład na mnie.

Emilie pośpiesznie dołączyła do niego.

— Proszę, nie mów tak. Wiesz, jak mi na tobie zależy, Mai.

— Więc dlaczego? — zapytał szorstko.

— Nie wiem dlaczego — odparła Emilie ze smutkiem.

— Moje uczucie do Clive'a różni się od uczucia do ciebie, Mai, i to wszystko.

— Nie tak miało być. Gdybym wiedział, nie posłałbym go do ciebie. Byłaś moją dziewczyną. Chciałem z tobą być.

Z uśmiechem ujęła go pod ramię.

— Jesteś pewny? Naprawdę chciałeś osiąść w Maryborough z żoną nauczycielką? Nie byłoby to dla ciebie trochę nudne?

— Zrobiłbym tak, gdybyś ty tego chciała!

Te słowa powiedziały wszystko i oboje zdawali sobie z tego sprawę. Emilie wybuchnęła śmiechem.

— Ale z ciebie marzyciel, Mai! Nie mógłbyś znieść myśli, że jesteś związany, a ja do końca życia czułabym się winna.

Zeszli na brzeg i ku zachwytowi Emilie brodzili po płyciźnie, nie uciekając przed falami. A potem, trzymając się za ręce, poszli przed siebie.

— Wiesz, że mną zawsze tak jest — odezwała się wreszcie.

— Ciągłe z jakiegoś powodu mam wyrzuty sumienia. Nigdy jakoś nie czuję się w porządku.

— Dlaczego? Z jakich powodów?

— Na przykład z powodu ciebie.

— Dam sobie radę — odparł sucho.

— I mojej siostry. I ojca. Jest chory. Chcą, żebym wróciła do domu. Jeśli nie pojedę, a on umrze, nigdy sobie nie wybaczę.

— O Jezu, Emilie. A jeśli umrze, kiedy będziesz płynęła do Anglii? Wtedy dopiero będziesz głupio wyglądała. Przestań wszystkim kierować. Nie od ciebie zależy, jak rozłożą się karty, musisz tylko zrobić co się da, żeby jak najlepiej rozegrać te, które ci przypadły.

— Chyba masz rację. — Była o tym przekonana. — Ale jest jeszcze coś. Domek. Należy do ciebie, Mai. I w banku są jeszcze pieniądze. Teraz są ci potrzebne.

Przystanął.

— Opłaciłaś Lanfielda. A jeśli coś zostało, to bez znaczenia. Te pieniądze zawsze były twoje. Posłuchaj mnie teraz uważnie. Domek należy do ciebie, nie do Clive'a. Dopilnuj, żeby tak zostało. Na czarną godzinę, moja kochana. — Spojrzał przed siebie wyrażając wzrok. — Oho, Betts tu idzie. Lepiej zapomnijmy o pikniku. Nie mogę z tobą rozmawiać w jego obecności.

Emilie kiwnęła głową.

— I tak muszę już wracać. Nie chcę, żeby kecz odpłynął beze mnie.

Objął ją i ruszyli z powrotem po własnych śladach.

— Cieszę się, że przyjechałaś, Emilie.

— A ja się cieszę, że zostaniemy przyjaciółmi.

— Nic o tym nie wiem, przekonamy się. Ale powiedziałaś, że ci na mnie zależy. To była najlepsza chwila całego dnia.

Emilie niepewnie skinęła głową.

— Tak, ale wiesz, co miałam na myśli.

— Chyba tak, tylko że miłość braterska mi nie wystarczy.

Wziął ją w ramiona i przytulił.

— Pocałuj mnie na pożegnanie, Emilie. Nie przyjdę na ślub.

Pastor Betts nadchodził, ale widząc młodą parę w słodkim uścisku, odwrócił się gwałtownie. Gwizdnął na czarnych chłopców, żeby sprowadzili osły. Najwyższa pora wracać do misji.

## KODA

Wielka chińska dżonka pod pełnymi kwadratowymi żaglami płynęła na północ wzdłuż wybrzeża Queenslandu, po wodach, których granicę stanowiła Wielka Rafa Korallowa. Jej celem były Chiny. Załoga ciężko pracowała, wszyscy bowiem zdawali sobie sprawę, że Maryborough to ostatni australijski port, później zapasy uzupełniać będą na samotnych wyspach, które w spisach celnych nie figurują nawet jako porty. Dżonka przewoziła smutny ładunek: trumny ze szczątkami Chińczyków — ogrodników, poszukiwaczy złota, wielkich dam — by złożyć je na wieczny spoczynek w ojczyściej ziemi, obok przodków. Rejs smutny, acz konieczny.

Załoga wiedziała też, choć nie ośmielała się o tym wspominać, że w trumnach ukryto złoto dla rodzin zmarłych, złoto, o którym władze nie miały pojęcia i za które nie otrzymały tak lubianej przez nie opłaty celnej. Na pokładzie znajdowało się pięciu pasażerów: czterech chińskich dżentelmenów oraz biały, najwyraźniej ważna persona, którego wprowadzono na pokład w środku nocy u ujścia rzeki Mary, nim dżonka przepłynęła na drugi koniec zatoki Hervey i okrążywszy Wyspę Frasera, wypłynęła na otwarte morze. Pięciu pasażerów miało przyjemne kajuty na dziobie oraz stewardów zajmujących się posiłkami i dbających o wygody — członkowie załogi nic więcej nie musieli wiedzieć. Chociaż podobno jednym z dżentelmenów był jasnie pan Xiu, drugim zaś jego sekretarz, zajmujący tak wysoką pozycję, że zasługiwał na własną kajutę. Powiadano wszakże, iż sekretarz, potężny mężczyzna z łysiną na czubku głowy i war-

koczykiem, pełni także funkcję ochroniarza i jest mistrzem sztuk wojennych, traktowano więc go z szacunkiem.

Człowiekiem, który wszystko to brał za oczywistość, jakby codziennością był rejs w nieznane na wspaniałej chińskiej dżonce, był Mallachi Willoughby. Bawiło go, że zwykła dżonka pod pokładem miała wszelkie wygody. Malowi podobał się tupet Chińczyków. Zawsze go to pociągało.

Stał na pokładzie, podziwiając krajobraz. Za każdym zakrętem w swoim życiu trafiał w miejsca, które wydawały mu się najpiękniejsze na świecie, zaraz jednak następne jeszcze silniej go oczarowywały. Teraz wpatrywał się w połyskujące jak klejnoty wody Whitsunday Passage; nazwę podał mu Xiu, który zdawał się wiedzieć wszystko o tych stronach. Morze było szafirowe, wyspy szmaragdowe. Mógłby stać tu godzinami, nurzając się w tych barwach, podczas gdy stara dżonka z wysiłkiem parła naprzód.

Powiew wiatru przyniósł korzenny aromat lasów i wilgotnych kwiatów, zapach soli i spieczonych słońcem plaż... zapach podobny do lawendy, do tych płóciennych woreczków, które matka trzymała pod poduszką i w szufladzie komody. Zapach kobiecy, senny. Mai chciałyby, żeby jego matka poznała Emilie, wiedział, że by się polubiły. To byłoby miłe.

Westchnął... sen na jawie, który będzie towarzyszył mu tam, dokąd zaprowadzi go ten lawendowy wiatr.

Odnalezienie pana Xiu nie było trudne. Wysłał listy do nowo otwartej poczty, którą widział w Gympie, do Maryborough oraz do Cooktown, portu bazowego ostatnio odkrytych pól złotonośnych. To był jakiś początek. Jeden z listów dotarł do dżentelmena, który swoją odpowiedź skierował na podany przez Mała adres: Misja Metodystyczna, Wyspa Frasera.

Mai pomyślał o swoim koniu. Wysłał Strikera w prezencie pani Foley i ostrzegł stajennego, któremu zapłacił za tę usługę, że Foleyowie i ich przyjaciele to twarde sztuki, mieszkańcy gór. Jeśli Striker nie zostanie dostarczony w najlepszym stanie, poszukają go i zastrzelą jak psa. McPherson przez kilka lat jeszcze nie wyjdzie na wolność, może ta kobieta będzie miała lepsze życie bez niego. Na pewno zdziwi się, dostając konia, ale będzie zadowolona; Mai w duchu wierzył, że czasami o nim pomyśli. Lubił panią Foley.

Zastanawiał się, czy nie wysłać Strikera Clive'owi w prezencie ślubnym, ale zmienił zdanie. Nie był aż tak wyrozumiały.

## ZATOKA ORCHIDEI

Co do Emilie... Cóż, jak sam powiedział, człowiek nie ma wpływu na układ kart. Gdyby wybrała jego zamiast Clive'a, choć musiał przyznać, że szanse na to były marne, wszystko inaczej by się potoczyło. Emilie już by tego dopilnowała. Emilie i jej wyrzuty sumienia. Nie potrafiłaby sobie z tym poradzić. Od razu by go zaprowadziła do Pollocka... Roześmiał się w głos. Boże, jaka ona jest urocza. Choć tak nie na miejscu na tej wyspie, z białymi stopkami zapadającymi się w piasku, w schludnej białej bluzce i granatowym krawacie pasującym do spódnicy. Czasami żałował, że nie rzucił się z nią w ciepłe fale; nie przeszkadzałoby jej, że jest ubrana, spleceni uściskiem toczyliby się w morzu dla czystej radości takiej zabawy.

Emilie nigdy się nie dowie, że o mała nie wepchnął jej do wody, nie żeby spłatać złośliwego figla, lecz by zburzyć ten mur przyzwoitości, który między nimi się wznosił. Boże, jak on ją kocha! Żałował, że Emilie nie towarzyszy mu w tej cudownej przygodzie. Jednakże szczerze życzenia nie wystarczają, by coś się urzeczywistniło, człowiek sam musi znaleźć na to sposób.

Emilie. Słuchał, jak mówi o siostrze. Oddaliły się od siebie, żyły w innych światach i to bardzo ją smuciło. Nie zdawała sobie sprawy, że opisuje taką samą przepaść, jaka oddziela dwoje innych ludzi, Emilie i Mała. Za to Emilie i Clive ulepieni byli z tej samej gliny. Czy zawsze o tym wiedział? Może tak.

Przeszedł na drugi koniec pokładu, by spojrzeć na ginący w oddali łód. Stary Baldy nie żył. Wrócił do Stwórcy, dumny z wygranej, dumny, że dokonał rabunku, który przewyższył wszystkie dokonania McPhersona. On i Carnegie wzięli tajemnicę do grobu, tak powiadali ludzie. Nigdy nie odzyskano gotówki i złota. Zaginęły. Są bezpowrotnie stracone.

Ale stary Baldy pękał z ochoty, by komuś powiedzieć, udowodnić, że wygrał ten wyścig. Nie mógł zdradzić sekretu, bo wtedy by przegrał. Umierał z łupem należącym do niego, co pozwoliło mu się chełpić, że jest bogatym człowiekiem, i oznaczało, że do samego końca trzymał w ręku asa. Musiał jednak komuś powiedzieć, jeśli nie wprost, to aluzjami, a Mai słuchał uważnie. I była taka chwila, kiedy Ziemia przestała się obracać. Kiedy Baldy grał rolę błazna. „Złoto jest moje. I krokodyli.”

Tamtej nocy, gdy Mai odwiedził scenę mordu w Blackwater Creek, stał i patrzył na rzekę Mary. Wiedział, że roi się w niej od krokodyli.



Nazajutrz ominął Maryborough, przeprowił się na drugi brzeg promem, po czym zawrócił do miejsca położonego naprzeciw ujścia strumienia. Nikt go nie poganiał, miał mnóstwo czasu na rozmyślanie. Rozbił obóz na wysokim brzegu i spędził tam dwa dni. Rozglądał się. Widział krokodyle leniwie wygrzewające się na słońcu, choć ich żółte oczy spoglądały czujnie. Krokodyle Baldy'ego. Nic nie uszło ich uwagi. Poruszały się szybko, kłapiąc szczękami. Potwory. Obserwowały Baldy'ego. Który co robił? Naturalnie gdzieś tutaj chował łup. Baldy nie zawiózł łupu do miasta. Oszukał Carnegiego. Oni też byli ulepieni z tej samej gliny. Łup był skarbem przewyższającym najbardziej zuchwałe marzenia Baldy'ego, który jednak upił się i trafił do więzienia. I co z tego? Skarb wciąż tu był. Czekał na niego. Baldy był bogaty. Mai nie wątpił, że tak właśnie to się odbyło.

Dokładnie przeszukał okolicę, biorąc pod uwagę to, że lekką łódkę mógł znieść prąd w jedną lub drugą stronę. W takiej sytuacji człowiek nie kopie dziury, bo nie może naruszyć trawy, drzew czy krzaków i ryzykować, że ktoś to zauważy, trzeba bardziej się postarać. Korzenie drzew. Rosnące tu drzewa, zwłaszcza figowce, były naprawdę stare, korzenie grubości dorównywały męskim ramionom. Mai nie miał nic do stracenia. Nie przeszkadzały mu żadne wyrzuty sumienia. Nie spuszczał z oka krokodyli, szukając w korzeniach jednego drzewa po drugim. Zaniepokojone węże rzucały się na niego, nad głową wisiał mu rój moskitów, pająki biegły po rękach, kiedy zanurzał je głęboko w dziurach, szukając czegoś, co nie powinno tu być...

— Jezu — mruknął kręcąc głową. — O mało nie zrezygnowałem. Ale te cholerne krokodyle zawsze tam były, sprytne czujne dranie, jakby wiedziały coś, o czym ja nie wiem.

Jeden skoczył na niego. Biegł w górę zbocza. To wtedy Mai uświadomił sobie, że Baldy na pewno tam nie czekał, zapraszając je do ataku, na pewno poszedł wyżej. W miejsce, które znajdowało się poza zasięgiem krokodyli.

— Myliłeś się, Baldy, ty draniu — rzekł do siebie Mai wzdychając ciężko. — Umarłeś jako biedak. Przegrałeś. Ja wygrałem.

Przez cały ten czas, gdy Emilie siedziała z nim w jego szałasie, w kącie leżała rzucona beztrąsko sakwa. Derka zwinięta była w gruby rulon razem z kamizelką, choć od owego dnia nad rzeką Mary Mai nigdy nikomu nie pozwalał jej tknąć. Był silny,

## ZATOKA ORCHIDEI

podnosił sakwę ze skarbem, jakby niewiele ważyła. Taka powinna być. Mężczyzna bez trudu może zarzucić ją na ramię.

Martwy ciężar, pomyślał z uśmiechem, ale kto zwróciłby uwagę na derkę? Xiu naturalnie wziął swoją prowizję i poczynił wszelkie ustalenia, które zapewniały Malowi bezpieczeństwo w czasie rejsu.

Podszedł do niego Chung Lee kłaniając się nisko.

— Jego ekscelencja pan Xiu prosi, by pan towarzyszył mu w czasie obiadu, sir.

— Tak, proszę mu podziękować. Zaraz do niego zejść.

Mai raz jeszcze spojrzął na ład.

— Lepiej dobrze się nią opiekuj, Clivie, w przeciwnym razie wrócę. — Jednym susem pokonał schody prowadzące z pokładu, pełen dawnej żywiołowości. — Co teraz, panie Xiu?